POLSKA
LITERATURA WSPÓŁCZESNA

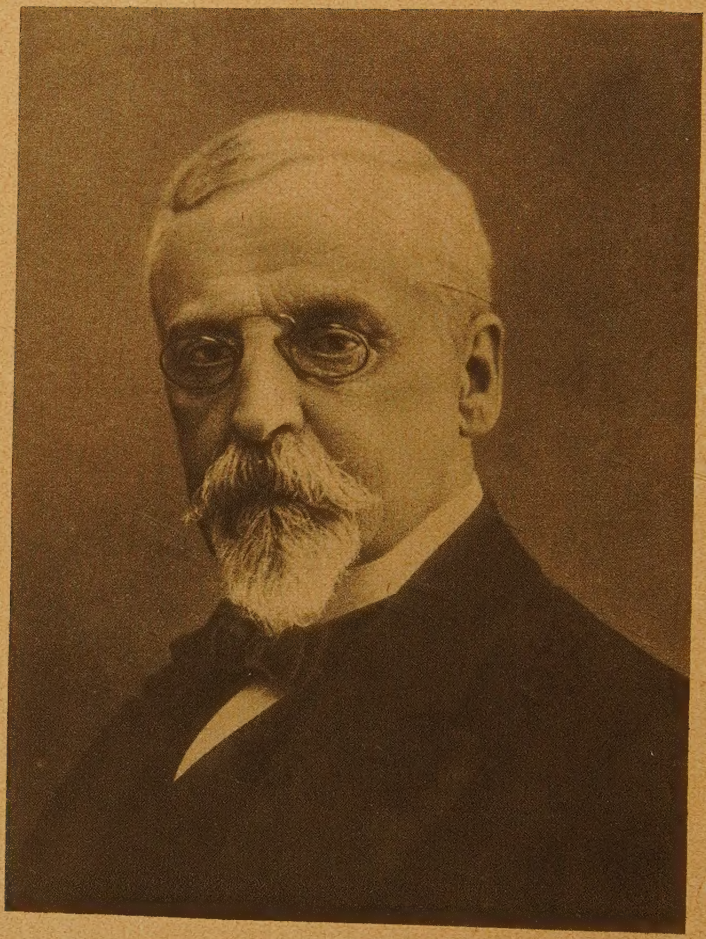

HENRYK SIENKIEWICZ

POLSKA LITERATURA WSPÓŁCZESNA

(OD ROKU 1897 DO CHWILI BIEŻĄCEJ)

CHARAKTERYSTYKI I WYPISY

Z 9 ILUSTRACJAMI

OPRACOWAŁ

DR. STANISŁAW LAM

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN
1924

Printed in Poland

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

Ostatnich dwadzieścia pięć lat literatury polskiej obfitowało w wiele talentów różnorodnych, które wzbogaciły piśmiennictwo szeregiem dzieł trwałych, a do skarbca poezji dorzuciły prócz nowych i szczytnych idei także ogromne zasoby piękna formalnego. Lecz to co do niedawna było jeszcze bieżącą literaturą, co z rąk do rąk przechodziło, budziło zapał i przykuwało do siebie uwagę czytelników, poczyna obecnie przechodzić do historji, a cały obraz dorobku polskiej twórczości z perspektywy czasu nabiera innych barw i kolorów. Zacierają się wolno granice, które oddzielały od siebie dzieła i ludzi, książki przeszły do szaf bibljotecznych a w rocznikach literatury zapisano znów nowy jeden okres.

I czas już dzisiaj popatrzyć na to dzieło lat dwudziestu pięciu nie pod kątem aktualności i nowości jedynie, ale dla wydobycia na plan pierwszy tych indywidualności i dzieł, które są zrębem faktycznym dla całego tego okresu. Trzeba sobie w pewnej kolejności przypomnieć, jaką techniką pisarską posługiwali się mistrze prozy i słowa wiązanego, co zajmowało ich twórcze umysły, jakim był ich pogląd na świat, człowieka i przyrodę — jak wreszcie współcześni patrzyli na nich i co o nich sądzili. Do celu tego najodpowiedniejsze są wypisy, pozwalają bowiem czytelnikowi zbliżyć się wprost do danego pisarza, z urywków chociażby odtworzyć te wrażenia, jakie miało się przy lekturze dzieł całych, z zestawienia ważniejszych sądów krytycznych odtworzyć tę atmosferę literacką, która panowała w danym okresie. Ma się rozumieć, że taki rzut oka wstecz przy pomocy antologji, choćby najlepszej, będzie tylko skróconą metodą badań literackich dla najszerszej publiczności i nie zdoła zastąpić lektury najwybitniejszych i wybitnych twórców w całości. Ale systematyczne rozczytywanie się w setkach dzieł pierwszorzędnej wartości nie da znów tego ogólnego pojęcia, jakiego nabrać można przy równoczesnem zestawieniu kilkudziesięciu pisarzy naraz. Książka więc niniejsza

ma być niejako wstępem do studjum najnowszej literatury dla tych, co, poznawszy jej granice i skalę z ułamków — przejdą później do poznania tych dzieł i autorów, którzy im najlepiej odpowiadać będą.

W układzie wypisów z *Polskiej literatury współczesnej* miał wydawca kilka punktów wytycznych. Przedewszystkiem chodziło o to, aby dać do rąk publiczności dzieło czytelnicze, w którem byłoby jak najwięcej tematów ciekawych, treści najbardziej zajmującej i odmian najrozmaitszych pod względem formy. To dla tego, kto szuka w książce dobrego towarzysza godzin samotnych jest zawsze ponętne. Dla kształcącej się zaś młodzieży ma wartość ze względu na porównania tematowe i formalne, drogą których można dojść do określeń zarówno cech charakterystycznych dla danych autorów, jako też rodzajów literackich. Starano się dalej obok rzeczy pięknych, okazać także i linje idei, które w latach ostatnich przenikały dzieła literackie. Wiele z nich było znamiennych, choć nie wszystkie do należnego przychodziły głosu. Ktokolwiek jednak uważnie się wczyta w karty tej książki, zobaczy, że mimo iż historycy tego okresu odmawiali „Młodej Polsce“ wielu szczytnych haseł, przecie nie braknie tu ani jednego z tych, które w okresach najżywszego tętna literackiego rozbrzmiewały. Nuta patrjotyzmu i silnej wiary, poświęcenia dla kraju i miłości bliźniego, nuta cichego szczęścia domowego i wielkich celów wszechludzkich, oto, co w ogólnym chórze, zaintonowanym ku czci piękna, wybić się zdołało.

W wyborze poszczególnych ustępów do wypisów kierowano się nietylko tem, co jest najbardziej charakterystyczne dla danego pisarza, gdyż wychodzono z założenia, że to jest najlepiej wszystkim znane i najmniej zainteresowania wzbudzić może. Starano się zatem dobrać takie utwory, któreby okazały talent autora z najciekawszej strony, były dopełnieniem tego, co jest ogólnie wiadome. Nie zaniedbano jednak selekcji z takich dzieł, które mogą służyć do urobienia sobie zdania o całokształcie twórczości danego pisarza. Przytem nie ilościowo, ale jakościowo reprezentowano poszczególnych pisarzy, ograniczając się także i co do liczby tych ostatnich. Nie wydaje się bowiem rzeczą wskazaną z literatury czynić bibljografji, w którejby najbardziej imponującą była obfitość nazwisk. Nie ten obraz jest najpiękniejszy, w którym są wszystkie kombinacje kolorów, lecz ten, gdzie zachowano ich har-

monję. O tę harmonję też starano się w *Wypisach* tych jak najusilniej, zestawiając tak pisarzy jak i wyjątki z dzieł ich, aby ogólny obraz był prawdziwy i odpowiadał istotnie temu, co dla literatury ostatniego ćwierćwiecza było znamienne.

Dopełnieniem twórczości i jej wykładnikiem jest krytyka literacka. Uwzględniono też ją po raz pierwszy w wypisach w szerokim zakresie, dobierając tak poszczególne ustępy, aby mogły one dać pewne wytyczne do samoistnych rozważań czytelnika. Przy twórcach, o których krytyka nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa — dorywczych głosów recenzentów nie podawano, chcąc, aby w ten sposób zaznaczyły się granice między krytyką a publicystyką literacką.

Jeśli jednak wspomnieliśmy wyżej o tem, że ostatnich lat dwadzieścia pięć stanowi nowy okres w piśmiennictwie, to nie dlatego tylko, że ćwierćwiecze w pojęciu czasu jest już tem, co ma swój wyraz i swoje oblicze. Przed dwudziestu pięciu laty bowiem zarysował się nowy pogląd na literaturę, który do dziś jeszcze w wielu razach obowiązuje. Zamknęła się wówczas jedna karta i zaczęto pisać nową. W roku 1897 umarł ostatni bard romantyzmu K. Ujejski — zeszedł do grobu Adam Asnyk — na miejsce ich wchodzą nowi. Stanisław Wyspiański wydaje pierwszy swój utwór *Legendę*, a na gruncie krakowskim ukazuje się pierwszy zeszyt bojowego organu Młodej Polski: *„Życia“*. W tymże samym czasie — jak słusznie zauważył M. Mann — „coś się kończy w powieści polskiej, bo umarł Kaczkowski (1896), coś w niej dochodzi do szczytu, bo Prus wydaje *Faraona*, a Sienkiewicz *Quo vadis*, wreszcie coś w niej się nowego zaczyna, Reymont bowiem ogłasza pierwszą powieść *Komedjantkę*, Przybyszewski kończy pierwszą Trylogję *Homo Sapiens*, a pół roku wcześniej Żeromski wydał swe pierwsze opowiadania“. Literatura polska miała wówczas swój świetny okres. Z sławnych pisarzy twórca Trylogji, autor *Lalki*, Eliza Orzeszkowa, Al. Świętochowski, Felicjan Faleński, Marja Konopnicka są jeszcze w pełni sił swoich, a już przy nich stają młodsi, którzy sztandar literatury w ostatnim najcięższym okresie niewolnej Polski — wysoko dzierżyć umieli i skarb narodowej myśli szczęśliwszemu pokoleniu nienaruszony przekazać potrafili. Poprzez okres rewolucji z r. 1905, poprzez jałowe lata wojny, aż do dziś przetrwali oni na stanowisku, niezastąpieni i ciągle czynni. Z chaosu nowych prądów wyłania się kilka ledwo in-

dywidualności ciekawych, które może równie jak pisarze Młodej Polski próbę czasu wytrzymać zdołają. Nie można atoli powiedzieć, aby z wystąpieniem najmłodszych tak jak z rokiem 1897 coś wybitnie nowego zaczęło się w piśmiennictwie polskiem. Okres poprzedni trwa, mimo rewolucyj literackich, które nie obaliły rządów genjuszu Wyspiańskiego, nie ściągnęły na ziemię orlich lotów Kasprowicza i nie uszczupliły granic władztwa prozy Żeromskiego. Wszystkie idee czekają godnego spadkobiercy i lutni dziedzica.

St. L.

HENRYK SIENKIEWICZ

(ur. 5. V. 1846 w Woli Okrzejskiej † 15. XI. 1916 w Vevey).

Pisma zbiorowe w 38 tom. zawierają: T. I. Stary sługa. Hania. Szkice węglem. Janko muzykant. T. II. Listy z podróży (po Ameryce) cz. I. T. III. Listy z podróży cz. II. Komedja z pomyłek. T. IV. Przez stepy. Orso. Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. Czyja wina. Za chlebem. T. V. Latarnik. Niewola tatarska. Jamioł. Na jedną kartę. Bartek Zwycięzca. T. VI—IX. Ogniem i mieczem. T. X—XV. Potop. T. XVI—XVIII. Pan Wołodyjowski. T. XIX. Ta trzecia. Sachem. Sielanka. Walka byków w Hiszpanji. Z puszczy Białowieskiej. Wycieczka do Aten. T. XX. Wyrok Zeusa. Z wrażeń włoskich. Organista z Ponikły. U źródła. Lux in tenebris lucet. Bądź pozdrowiona. Pójdźmy za Nim. Listy o Zoli. T. XXI—XXIII. Bez dogmatu, T. XXIV—XXVI. Rodzina. Połanieckich. T. XXVII—XXIX. Quo Vadis. T. XXX. Listy z Afryki. T. XXXI—XXXIV. Krzyżacy. T. XXXV. Dwie łąki. Diokles. Przygoda Arystotelesa. Biesiada. Dzwonnica. Płomyk. Sąd Ozyrysa. Kordecki. O Bismarku. Mowa przy pomniku Mickiewicza. Mowa polska. List do bar. Suttner. M. Konopnicka. Korynek. Książki i ludzie. Naród sobie. Trzeci maj. Ankieta o wywłaszczeniu. Z ankiety. Zjednoczenie narodowe. List do Wilhelma. Odpowiedź na artykuł Björnsona. T. XXXVI. Na marne. Na jasnym brzegu. T. XXXVII. i XXXVIII. W pustyni i w puszczy. Poza zbiorowem wydaniem: „Na polu chwały“ 1907. „Wiry“ T-ów II. 1910. „Legjony“ 1918. „Pisma zapomniane i niewydane“ 1922.

IGN. CHRZANOWSKI O SIENKIEWICZU.

Ignacy Chrzanowski, *5 lutego 1866 r. we wsi Stok na Podalsiu. Wydał: „O literaturze polskiej“ 1910, „Historja literatury niepodległej Polski“ 1908, „Biernata z Lublina Ezop“, wydanie krytyczne 1909, „Facecje Mikołaja Reja“, 1894, „Zwierciadło Reja przed sądem potomności“ 1914, „Dwa listy łacińskie, Alojzego Lipomana i Mikołaja Radziwiłła“, w przekładzie polskim Reja, 1905, „Marcin Bielski“ 1906, „Mikołaja Sępa Szarzyńskiego poezje“, wydanie krytyczne (II), 1913, „Anonima-protestanta XVI wieku erotyki, fraszki, obrazki, epigramaty“, 1903, „O kazaniach sejmowych Skargi“, wyd. II., 1912, „Wielka reforma szkolna

Konarskiego", 1908, „Hugo Kołłątaj" 1912, „Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku", 1909, „Okruchy literackie", 1903, „O komedjach Aleksandra Fredry", 1917, „Za co mamy kochać Pana Tadeusza"? wyd. II, 1916, „Ojcze nasz Augusta Cieszkowskiego" wyd. III. 1922, „Zygmunt Kaczkowski", zarys życia i działalności (jako przedmowa do dziesięciotomowego wyboru pism). 1900, „Kornel Ujejski" (jako przedmowa do wyboru pism), 1909, „Liryka patrjotyczna Asnyka", wyd. II, 1918, „Władysław Nehring", wspomnienie pośmiertne, 1909, „Henryk Sienkiewicz" wyd. II, 1917. „Z epoki romantyzmu", studja i szkice, 1918. „Chleb macierzysty Ody do młodości" 1920. „Nasz hymn narodowy" 1922. „Wśród zagadnień, książek i ludzi" 1922.

...Już po ukazaniu się pierwszych nowel Sienkiewicza krytyka nazwała go realistą. I słusznie: jest on wielkim realistą — jednym z największych w literaturze powszechnej. Tylko co kto pojmuje przez realizm. Jedni nazywają realistami tych tylko powieściopisarzy, którzy odtwarzają wiernie realną prawdę życia; inni nie odmawiają tego miana i tym, którzy tej prawdy nie odtwarzają, tylko ją przetwarzają, ale tak, że czytelnik ma złudzenie realnej prawdy życia. Słuszność jest, naturalnie, po stronie tych innych. Prawdziwą sztuką jest tylko ta, która nie odtwarza, ale przetwarza rzeczywistość; jeżeli realizm chce stworzyć dzieło sztuki, musi być realizmem artystycznym, musi być syntezą prawdy i piękna, albo, jeśli kto woli, harmonją rzeczywistości z ideałem. Realizm bez piękna, bez ideału, przeradza się, a raczej wyradza, w naturalizm. Otóż realizm Sienkiewicza jest w całem znaczeniu tego wyrazu realizmem artystycznym, nie naturalizmem, do którego już w młodości żywił odrazę.

...Zarzucano czasem, a nawet wyrzucano Sienkiewiczowi, że, mając tak wielki, tak genjalny talent realistyczny, nie tworzy w swoich powieściach pełni życia, że się boi np. jego strony smutnej, że unika tematów społecznych, że w swoim poglądzie na świat jest tanim optymistą; znaleźli się nawet i tacy, którzy go pomawiali o apoteozę wszystkiego, co przeciętne.

Cóż na to poradzić! Niezgłębiona jest wielkość Pana Boga w różnorodności stworzeń Jego, a papier jest cierpliwy...

Sienkiewicz boi się smutnej strony życia! A tragedja Rzepowej? a krwawa ironja dziejowa bitwy pod Gravelotte? a Latarnik? a Pamiętnik poznańskiego nauczyciela? a tragedja duszy Płoszowskiego i nieszczęście Zawiłowskiego i Anielki? a śmierć Litki? a tragedja dziejowa Polski w XVII wieku? a prześladowanie chrześcijan?

Tematy społeczne, prawda, w epoce najświetniejszego rozkwitu talentu, to znaczy w epoce powieści historycznych, nie pociągały Sienkiewicza: ale czy to zarzut? czy przyszło komu kiedy na myśl zarzucać Prusowi, że prócz Faraona nie pisał powieści historycznych? czy ma kto żal do Kiplinga, że bardziej od ludzi pociągają go zwierzęta?

Nie, tylko niechęć i stronniczość mogły się zdobyć na podobne zarzuty!

Optymistą, rzeczywiście, był Sienkiewicz, ale nie był to wcale optymizm tani, nie był owocem zamykania sobie oczów i uszów na łzy i jęki ludzkie. Sienkiewicz nigdy nie był ślepy na smutki życia, ale nie był także głuchy na jego radości, a przedewszystkiem miał głęboką, mocną i żywą wiarę, że pomimo łez i jęków życie ma jednak sens i wartość, że cierpienie jest jego pierwiastkiem nietylko koniecznym, ale i potrzebnym. I to szczęście dla nas, że miał taką wiarę: pomyśleć sobie tylko, czyby to naszym duszom na zdrowie wyszło, gdyby je najpoczytniejszy ze wszystkich pisarzów poił pesymizmem i zwątpieniem, zamiast wlewać w nie wiarę w życie! Niech będzie błogosławiony optymizm Sienkiewicza!

Apoteoza przeciętności! A tak, wśród postaci, powołanych do życia przez jego twórczą fantazję, niema ani jednego „nadczłowieka", któryby np. poczytywał Golgotę za legendę, a ideał chrześcijański miłości za słabość ducha i głupotę, albo któryby drwił sobie z obowiązków względem człowieka i ojczyzny, albo któryby zbrodnią i rozpustą stwierdzał swoje nadczłowieczeństwo, a w orgii zmysłów i alkoholu szukał absolutu i nieskończoności! Są zato tak bardzo przeciętni ludzie, jak Skrzetuski, który nie chce słyszeć o własnem szczęściu, póki ojczyzna nieszczęśliwa; albo jak Kmicic, który, kiedy go opętała pokusa, żeby już nie iść na wojnę, rzucił się na ziemię i „krzyczeć jął w przerażeniu: Jezu, nie karz! Jezu, zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!", „ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste, idę!" — i poszedł; albo jak Wołodyjowski, który, uczyniwszy ślub, że złoży życie na ofiarę ojczyźnie, oswaja z tą myślą swoje biedne, ukochane, zalewające się łzami i tulące się do niego stworzenie: „Pamiętaj, Baśka: nic to!"; albo jak Jurand, który dla miłości Chrystusa puszcza wolno podłego Krzyżaka, co go oślepił i okaleczył; albo jak Glaukus, który, kiedy wśród straszliwych męczarni, płonąc żywym ogniem, jako pochodnia Nerona, usłyszał wołanie swego kata: „Glauku, w imię Chrystusa, przebacz!", odpowiedział: „Przebaczam!", a kat „rzucił się na twarz, wyjąc jak dziki zwierz i, nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę", a potem wstał, odwrócił się ku tłumom i zaczął nie wołać, ale krzyczeć: „Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten", „i wskazał palcem na Nerona". Oto przeciętność Sienkiewicza!...

...Smutne były dusze polskie po roku 1863. Ogarnęło je zwątpienie już nietylko co do przyszłości, ale i co do przeszłości. Nie wierzono już dawnej odpowiedzi na bolesne pytanie: dlaczego?, które sobie głowy i serca polskie od końca XVIII w. zadawały. Dawniej mówiono sobie: Polska upadła dlatego, że jest narodem wybranym, ofiarą dla odkupienia grzechów i podłości Europy, że

zmartwychwstanie i całemu światu zaśpiewa pieśń szczęśliwą. Teraz ta wiara ustąpiła miejsca przekonaniu, że wszystko, co się stało, stało się z własnej winy. I chciano poznać te winy, żeby się z nich poprawić, żeby znaleźć drogę ratunku. Znajdowano ich tyle i tak strasznych, że serca aż zadrżały: jakto? więc ta dawna, święta, ukochana Polska nic nie warta? Oto pierwsze niebezpieczeństwo, domowe: gmach przyszłości można budować tylko na fundamencie przeszłości, na niczem więcej, więc jakże go budować, jeżeli w jego fundamencie niema ani jednej niezepsutej cegły? A do takiego właśnie wniosku doprowadzały nieraz badania historyczne po roku 1863. Nikt nie przeczy, że one przyniosły nam dużo, dużo pożytku, że uleczyły nas z przesadnego mniemania o naszej przeszłości; ale, że się posuwały zbyt daleko w jej krytyce, że w pogoni za cieniami nie widziały świateł, że tych samych cieniów, co u nas, nie widziały w innych krajach, to także nie ulega wątpliwości.

...W takiej to epoce Sienkiewicz, który dotychczas rozpraszał swój wielki talent na nowele i feljetony literackie, uczuł, jak sam wyznaje, „niesmak do nowelek, do bohaterów-liliputów, do rozczulania się na kwincie za cienko brzmiącej". Powiedział sobie: dosyć tego — i postanowił uderzyć w inną strunę, bohaterską.

Miłość przeszłości wyniósł Sienkiewicz z domu rodzicielskiego, i od małego dziecka rycerska przeszłość Polski wywierała nań jakiś magiczny wpływ. Jak sam opowiada, był w pierwszej klasie gimnazjalnej, kiedy w katedrze św. Jana w Warszawie nie mógł oderwać wzroku od pomników, portretów, a zwłaszcza posągów rycerzy w zbrojach.

...Pokazały się mu żywe, jasne duchy naprzód tych rycerzów, którzy obronili Rzeczpospolitą przed nawałą kozacką, potem tych, którzy ją ocalili tonącą w potopie najazdu szwedzkiego i własnej zdrady, później tych, co ją przed Księżycem zasłonili, a wreszcie tych, którzy na polach Grunwaldu uratowali na całe wieki narodowość polską i państwo polskie i chrześcijańską kulturę polską od zalewu krzyżactwa: w roku 1884 t. j. w pół wieku po Panu Tadeuszu wyszło Ogniem i mieczem, w 1886 Potop, w 1887 Pan Wołodyjowski, w 1900 Krzyżacy.

...W lat dwanaście po pierwszej części Trylogji ukazało się Quo Vadis. Niebawem przełożono je na wszystkie języki europejskie i już w roku 1900, kiedy na pamiętnym obchodzie jubileuszowym Uniwersytetu Jagiellońskiego stanęli przed jego senatem delegaci uniwersytetów amerykańskich, zaświadczyli głośno, że przybywają z kraju, którego każdy mieszkaniec ma w swojem sercu Kościuszkę, a w swoim domu, prócz Pisma Świętego, także i Quo Vadis. Z roku na rok wzrastała sława wszechświatowa Sienkiewicza, czarowi jego powieści nie oparła się nawet Francja, która, słusznie rozkochana w swojej własnej, wielkiej, wszechświatowej literaturze, niesłusznie z nieufnością i pogardą patrzy

na cudzoziemską. I wówczas to Sienkiewicz, z jednej strony widząc i czując, że we własnym kraju jest najpopularniejszym i najukochańszym już nietylko pisarzem, ale człowiekiem, a z drugiej wiedząc, że jest pisarzem głośnym na całym świecie, że jego nazwisko nie jest dla cudzoziemców tylko pustym dźwiękiem, jak nazwiska innych autorów naszych, nie wyłączając wielkich poetów, — wówczas stał się orędownikiem sprawy polskiej wobec zagranicy: przez jego usta cały naród polski, który go milcząco uznał za swego przedstawiciela, zaczął przypominać światu swoje nieprzedawnione prawa i wobec całej ludzkości piętnować dziejące się nad nim nikczemne bezprawia. Oto myśl przewodnia kilku odezw Sienkiewicza, czy to Listu do baronowej Suttner, czy Listu otwartego Polaka do ministra rosyjskiego, czy Ankiety o wywłaszczeniu i jeszcze innych.

Te wszystkie odezwy w tej spuściźnie królewskiej, którą narodowi swojemu pozostawił Sienkiewicz, należą do najświetniejszych klejnotów, naprawdę królewskich. Drga w nich ból, ale słabości ducha, ale pęknięcia serca tam niema; jest zato majestatyczny spokój, jest nieskruszona moc ducha, niewzruszona świadomość sił moralnych narodu, jest królewskie poczucie godności i honoru narodu skrzywdzonego, ale który nie żebrze litości, tylko domaga się swoich świętych praw, jest potężny protest przeciwko bezprawiu, nazywający zbrodnię po imieniu.

...Lecz jest w tych odezwach jeden jeszcze rys tak piękny, tak szlachetny a tak nawskroś polski. Romantyzm utrwalił i pogłębił w sercach polskich religijną wiarę w najwyższość ideału chrześcijańskiego, w jego harmonję z ideałami narodowemi, w istnienie porządku moralnego na świecie, w ostateczny triumf sprawiedliwości, która ...w końcu wygrywa na wieki.

Otóż wiara ta bardzo silnie dźwięczy w odezwach Sienkiewicza, który nietylko przez swoją bujną fantazję i gorące uczucie i talent poetycki jest prawowitym spadkobiercą wielkich romantyków, ale i przez swoją czystość moralną i podniosły idealizm.

Z „Ogniem i mieczem".

Straże na zamku zbaraskim odbywały północ, a Jeremi ciągle jeszcze rozmawiał z Bogiem i z własną duszą wyniosłą. Rozum, sumienie, miłość dla ojczyzny, duma, poczucie własnej siły i wielkich przeznaczeń zmieniły się w jego piersi w zapaśników i wiodły z sobą bój zacięty, od którego pękała pierś, pękała głowa i ból targał wszystkie jego członki. Oto wbrew woli prymasa, kanclerza, senatu, regimentarzów, wbrew woli rządów szły do tego

zwycięzcy wojska kwarciane, szlachta, cudze chorągwie prywatne — słowem cała Rzeczpospolita oddawała się w ręce, uciekała się pod jego skrzydła, losy kraju powierzała jego geniuszowi i przez najlepszych synów wołała: „Ratuj, bo ty jeden ratować możesz!“ Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a pod Zbarażem stanie sto tysięcy wojowników, gotowych na bój śmiertelny ze smokiem wojny domowej. Tu obrazy przyszłości, oblane jakiemś niezmiernem światłem sławy i potęgi, poczęły się przesuwać przed oczyma kniazia. Zadrżą ci, którzy go pominąć i upokorzyć chcieli — a on porwie te żelazne hufce rycerstwa i powiedzie je w stepy ukraińskie do takich zwycięstw, do takich triumfów, o jakich dzieje jeszcze nie słyszały. I kniaź czuje w sobie siłę odpowiednią — z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła wielkiego Michała Archanioła. Oto zmienia się w tej chwili w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może. Na Boga! on zetrze Chmielnickiego! on zdepce bunt — on spokój ojczyźnie powróci! Widzi rozległe błonia, krocie wojsk, słyszy huk armat, bitwa! bitwa! pogrom niesłychany, niebywały! Krocie ciał, krocie chorągwi zaścielają step zbroczony, a on tratuje po cielsku Chmielnickiego i trąby grają zwycięstwo, a głos leci od mórz do mórz... Kniaź zrywa się i ręce do Chrystusa wyciąga, a naokół jego głowy płonie jakieś czerwone światło: „Chryste! Chryste! — woła — Ty wiesz! widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij mi, iżem powinien!“

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczy, taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto.

„Na chwałę to Twoją!“ — woła książę — non mihi! non mihi! sed nomini Tuo da gloriam! Na chwałę wiary i Kościoła, całego chrześcijaństwa! O Chryste! Chryste! — I nowy obraz mknie przed oczyma bohatera. Nie na zwycięstwie nad Chmielnickim kończy się ta droga. Kniaź, bunt pożarłszy, jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie kozaków do kroci szlachty przyłączy i pójdzie dalej; na Krym uderzy, strasznego smoka w jego własnej jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały.

Albo też pójdzie w te ziemie, które już raz kniazie Wiśniowieccy kopytami końskiemi stratowali, i granice Rzeczypospolitej, a z niemi Kościoła, do ostatnich krańców ziemi rozciągnie...

Gdzie to koniec tego pędu? Gdzie koniec sławy, siły, potęgi? — Niemasz go wcale...

Do komnaty zamkowej wpada białe światło miesiąca, ale zegary biją późną godzinę i kury pieją. Dzień wzejdzie już niezadługo, ale będzie-li to dzień, w którym, obok słońca na niebie, nowe słońce na ziemi zaświeci?

. . . . . .

Tak jest! Dzieckiem byłby książę, nie mężem, gdyby tego nie uczynił, gdyby dla jakich bądź powodów przed głosem tych przeznaczeń się cofał. Oto czuje już pewien spokój, który na niego widocznie zlał Chrystus miłosierny — niechże za to będzie pochwalon!... Już myśli trzeźwiej, lżej i oczyma duszy położenie ojczyzny i wszystkich spraw jasno ogarnia. Polityka kanclerza i tych tam panów z Warszawy, również jak i wojewody bracławskiego, jest zła — i dla ojczyzny zgubna. Zdeptać naprzód Zaporoże, ocean krwi z niego wytoczyć, złamać je, zniweczyć, zgnieść, zwyciężyć, a potem dopiero przyznać pokonanym wszystko, — ukrócić wszelkie nadużycia, wszelkie uciski, zaprowadzić ład, spokój; mogąc dobić — do życia wrócić: oto droga, jedynie tej wielkiej, wspaniałej Rzeczypospolitej godna. Może dawniej, dawniej można było obrać inną, dziś — nie. Do czegoż mogą bowiem doprowadzić układy, gdy naprzeciw siebie stoją krocie tysięcy zbrojnych, a choćby je zawarto — jakąż siłę mieć mogą? Nic! nic! to senne mary, to urojenia, to wojna rozciągnięta na wieki całe, to morze łez i krwi na przyszłość!... Niech się uchwycą tamtej drogi, wielkiej, szlachetnej, potężnej, — a on niczego więcej nie będzie ani chciał, ani pożądał. Osiądzie napowrót w swych Łubniach i będzie czekał cicho, póki go przeraźliwe trąby Gradywa na nowo do czynu nie powołają...

Niech się uchwycą!... Ale kto? senat? sejmy burzliwe? kanclerz, prymas, czy regimentarze? Kto prócz niego tę wielką myśl rozumie i kto wykonać ją może? Niech się znajdzie taki — to zgoda! Ale gdzie jest taki? kto ma siłę? — On jeden — nikt więcej! — Do niego idzie szlachta, do niego ściągają wojska, w jego ręku miecz Rzeczypospolitej. Przecie Rzeczpospolitą, nawet gdy pan jest na tronie, a cóż dopiero gdy pana niema, rządzi wola tegoż narodu. Ona to — s u p r e m a l e x. A wypowiada się nietylko na sejmach, nietylko przez posłów, senat i kanclerzy, nietylko przez pisane prawa i manifesty, ale jeszcze silniej, jeszcze dobitniej, jeszcze wyraźniej — czynem. Kto tu rządzi? Stan rycerski — a oto ten stan rycerski ściąga się do Zbaraża i mówi mu:

Tyś jest wodzem! Cała Rzeczpospolita bez wotów władzę mu oddaje, siłą faktów, i powtarza: Tyś jest wodzem.

I on miałby się cofać? Jakiejże jeszcze nominacji potrzebuje? Od kogo ma jej czekać? Czy od tych, którzy Rzeczpospolitą zgubić, a jego upokorzyć usiłują?

Za co, za co? Czy za to, że gdy wszystkich ogarnęła panika, że gdy hetmani w jasyr poszli, wojska zginęły, panowie kryli się po zamkach, a kozak postawił nogę na piersi Rzeczypospolitej, on jeden tylko zepchnął tę stopę i podniósł z prochu zemdlałą głowę tej matki -- poświęcił dla niej wszystko, życie, fortunę, uratował od hańby, od śmierci — on zwycięzca!!

Kto tu zasłużeńszy, niech tedy bierze tę władzę! Komu się słuszniej należy, niech w tego ręku spocznie. On chętnie zrzeknie się tego ciężaru, chętnie Bogu i Rzeczypospolitej powie: „Puśćcie sługę w pokoju“ — bo oto znużon już bardzo i sił zbawion, a przytem i tego pewien, że pamięć jego, ni grób, nie zginie.

Ale gdy niemasz nikogo takiego — po dwakroć i trzykroć byłby dziecięciem, nie mężem, gdyby tej władzy, tej słonecznej drogi, tej świetnej, ogromnej przyszłości, w której jest ratunek Rzeczypospolitej, jej sława, potęga, szczęście, miał się wyrzekać.

I dlaczego?

Kniaź znowu głowę dumnie podniósł i płonący wzrok jego padł na Chrystusa, ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto...

Dlaczego? Bohater skronie rozpalone rękoma przycisnął... Może i jest odpowiedź. Co znaczą te głosy, które wśród złotych i tęczowych widzeń sławy, wśród szumu przyszłych zwycięstw, wśród przeczuć wielkości i potęgi tak nieubłaganie wołają mu do duszy: „Ach! stój, nieszczęsny!“ Co znaczy ów niepokój, który nieustraszoną pierś jego dreszczem jakiejś trwogi przejmuje? Co znaczy, że gdy on najjaśniej i najdowodniej okazuje sobie, że władzę wziąć powinien, coś mu tam w przepaściach sumienia szepce: „Sam się łudzisz, duma cię uwodzi, szatan pychy królestwa ci obiecuje“.

I znów straszna walka zawrzała w duszy księcia, znów porwał go wicher trwogi, niepewności i zwątpień.

Co czyni szlachta, która do niego, zamiast do regimentarzów, ciągnie? Prawo depce! Co czyni wojsko? Dyscyplinę łamie. I on, obywatel, żołnierz ma stawać na czele bezprawia? ma je

swoją powagą okrywać, ma pierwszy dawać przykład niekarności, samowoli, nieposzanowania praw, i to wszystko dlatego tylko, by władzę o dwa miesiące pierwej zagarnąć, boć jeśli królewicz Karol na tron obrany będzie, to i tak ta władza go nie minie? On to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Koniecpolski, Potocki, Firlej, Zamoyski lub Lubomirski! A gdy każdy, bez uwagi na prawo i karność, gwoli własnej ambicji działać rozpocznie, gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów, jakaż to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny? Robactwo samowoli, nierząd, prywaty toczą już i tak pień tej Rzeczypospolitej; pod siekierą wojny domowej próchno się sypie, uschłe gałęzie z drzewa opadają — co się stanie, gdy ci, którzy chronić je powinni i strzec, jak źrenicy oka — sami ogień podkładać będą? Co się stanie? Jezu! Jezu!

Chmielnicki też dobrem publicznem się osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierzchności powstaje.

Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głowy. Ręce załamał: „Zali ja mam być drugim Chmielnickim — o Chryste!“

Ale Chrystus głowę na piersi zwiesił i milczał taki bolesny, jakby go dopiero przed chwilą rozpięto.

Kniaź szarpał się dalej. Jeśli on władzę weźmie, a kanclerz, senat i regimentarze zdrajcą i buntownikiem go ogłoszą — to co będzie? Druga wojna domowa? A przytem, czy to Chmielnicki jest największym i najgroźniejszym wrogiem tej Rzeczypospolitej? Wszak nieraz biły się z nią jeszcze większe potęgi, wszak gdy dwieście tysięcy żelaznych Niemców szło pod Grunwaldem na pułki Jagiełłowe, gdy pod Chocimem pół Azji stanęło do boju, zguba jeszcze bliższą się zdawała, — a cóż się stało z temi wrogiemi potęgami? Nie! Rzeczpospolita wojen się nie lęka i nie wojny ją zgubią! Ale czemuż to wobec takich zwycięstw, takiej utajonej siły, takiej sławy, ona, która pogromiła Krzyżaków i Turków... taka jest słaba i niedołężna, że przed jednym kozakiem przyklękła? Że sąsiedzi rwą jej granice, że wyśmiewają ją narody, że głosu jej nikt nie słucha, o gniew jej nie dba, a wszyscy zgubę przewidują?

Ach! to właśnie duma i ambicja magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego przyczyną. Wróg najgorszy to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, roz-

terki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak pierwsza burza je zwali — ale parrycyda ten, kto do takiej roboty ręce przykłada, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia!!!

Idźże teraz, zwycięzco z pod Niemirowa, Pohrebyszcz, Machnówki i Konstantynowa! Idź, kniaziu-wojewodo, idź, odejmij władzę regimentarzom, zdepcz prawo i zwierzchność i dawaj przykład potomnym, jak w matce targać wnętrzności.

Strach, rozpacz i obłąkanie wybiło się na twarzy kniazia... Krzyknął okropnie i, chwyciwszy się rękoma za czuprynę, padł w proch przed Chrystusem.

I kajał się kniaź i bił dostojną głową w kamienną posadzkę, a z piersi jego wydobywał się głuchy głos:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!...

Różana jutrznia wstała już na niebie, a potem przyszło złote słońce i oświeciło salę. W gzymsach począł się świegot wróbli i jaskółek. Kniaź wstał i poszedł zbudzić pachołka Żeleńskiego, śpiącego z drugiej strony drzwi.

— Biegaj — rzekł mu — do ordynansowych i każ im zwołać tu do mnie pułkowników, którzy stoją w zamku i w mieście, tak kwarcianych, jak i z pospolitego ruszenia.

We dwie godziny później sala poczęła się napełniać wąsatemi i brodatemi postaciami wojowników. Z książęcych ludzi przyszedł stary Zaćwilichowski, Polanowski, Skrzetuski z panem Zagłobą, Wurcel, oberszter Machnicki, Wołodyjowski, Wierszuł, Poniatowski, wszyscy niemal oficerowie aż do chorążych, prócz Kuszla, który był ku Podolu na podjazd wysłany. Z kwarty byli obecni Osiński i Korycki. Wielu znaczniejszej szlachty z pospolitego ruszenia nie można było z pierzyn powyciągać, ale przecie i tych zebrała się garść niemała — a między nimi personaci z różnych ziem, od kasztelanów aż do podkomorzych... Brzmiały szmery rozmowy i szumiało jak w ulu, a wszystkie oczy zwrócone były na drzwi, przez które miał się książę ukazać.

Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł. Twarz miał spokojną, pogodną, i tylko zaczerwienione bezsennością oczy i ściągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. Ale przez ową pogodę, a nawet słodycz przebijała się powaga i nieugięta wola.

— Mości panowie — rzekł. — Dzisiejszej nocy rozmawiałem z Bogiem i własnem sumieniem, co mnie uczynić należy: oznajmuję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu, iż dla dobra ojczyzny i zgody potrzebnej w czasach klęski poddaję się pod komendę regimentarzów.

Głuche milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

Z „Quo Vadis".

Rozdział XXVI.

Wieść o cudownem ocaleniu Ligji szybko rozniosła się wśród rozbitków chrześcijańskich, którzy ocaleli dotychczas z pogromu. Wyznawcy poczęli się schodzić, by oglądać tę, nad którą jawnie okazała się łaską Chrystusowa. Przyszedł naprzód młody Nazarjusz z Mirjamą, u których krył się dotychczas Piotr Apostoł, a za nimi ściągali i inni. Wszyscy razem, wraz z Winicjuszem, Ligją i chrześcijańskimi niewolnikami Petronjusza, słuchali ze skupieniem opowiadania Ursusa o głosie, który odezwał się w jego duszy i nakazał mu walczyć z dzikiem zwierzęciem, i wszyscy odchodzili z otuchą i nadzieją, że Chrystus nie pozwoli jednak wyplenić na ziemi doreszty swych wyznawców, zanim sam przyjdzie na sąd straszliwy. I nadzieja ta podtrzymywała ich serca, albowiem prześladowanie nie ustawało dotąd. Kogo tylko głos publiczny wskazał jako chrześcijanina, tego wigilowie miejscy porywali natychmiast do więzienia. Ofiar wprawdzie było już mniej, bo ogół wyznawców schwytano i wymęczono, pozostali zaś albo wyszli z Rzymu, by w odległych prowincjach przeczekać burzę, albo kryli się najstaranniej, nie odważając się zbierać na wspólne modlitwy inaczej, jak w arenarjach, leżących poza miastem. Jednakże śledzono ich jeszcze i pomimo iż właściwe igrzyska były już ukończone, zachowywano ich na następne lub sądzono doraźnie. Jakkolwiek lud rzymski nie wierzył już, by chrześcijanie byli sprawcami pożaru miasta, jednakże ogłoszono ich za nieprzyjaciół ludzkości i państwa, i edykt przeciw nim trwał ciągle w dawnej mocy.

Piotr Apostoł długo nie śmiał ukazać się w domu Petronjusza, wreszcie jednak pewnego wieczoru Nazarjusz oznajmił jego przybycie. Ligja, która chodziła już o swej mocy, i Winicjusz wybiegli na jego spotkanie i poczęli obejmować jego nogi, on zaś witał ich ze wzruszeniem tem większem, że niewiele pozostało mu już owiec

w tej trzodzie, nad którą rządy zdał mu Chrystus, a nad której losem płakało teraz jego wielkie serce. To też gdy Winicjusz rzekł mu: „Panie! za twoją to przyczyną Zbawiciel powrócił mi ją“, on odrzekł: „Powrócił ci ją dla wiary twojej i dlatego, by nie zamilkły wszystkie usta, które wyznawały imię Jego“. I widocznie myślał wówczas o tych tysiącach dzieci swych, porozdzieranych przez dzikie zwierzęta, o tych krzyżach, któremi nabite były areny, i o tych słupach ognistych w ogrodach „Bestji“, albowiem mówił to z żałością wielką. Winicjusz i Ligja zauważyli też, że włosy jego pobielały zupełnie, cała postać pochyliła się, a w twarzy tyle miał smutku i cierpienia, jakby przeszedł przez wszystkie te bóle i męki, przez które przeszły ofiary wściekłości i szału Nerona. Lecz oboje rozumieli już, że gdy Chrystus sam poddał się męce i śmierci, nie może uchylić się od niej nikt. Jednakże krajało się w nich serce na widok Apostoła, przygniecionego brzemieniem lat, trudu i bólu. Więc Winicjusz, który za kilka już dni zamierzał odwieźć Ligję do Neapolis, gdzie mieli spotkać Pomponję i udać się dalej do Sycylji, począł go błagać, by wraz z nimi opuścił Rzym.

Lecz Apostoł położył rękę na jego głowie i odpowiedział:

— Słyszę oto w duszy słowa Pana, który nad jeziorem Tyberjadzkiem rzekł mi: „Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twe, a inny cię opasze i poprowadzi, gdzie ty nie chcesz“. — Słuszna przeto, bym poszedł za trzodą moją.

A gdy umilkli, nie rozumiejąc, co mówi, dodał:

— Dobiega końca trud mój, ale gościnność i odpocznienie znajdę dopiero w domu Pana.

Poczem zwrócił się do nich, mówiąc: „Pamiętajcie mnie, bom was umiłował, jako ojciec miłuje dzieci swoje, a co w życiu czynić będziecie, czyńcie na chwałę Pana“.

Tak mówiąc, podniósł nad nimi swe stare drżące dłonie i błogosławił ich, oni zaś tulili się do niego, czując, że to jest ostatnie może błogosławieństwo, jakie z jego rąk otrzymują.

Przeznaczonem im jednak było widzieć go raz jeszcze. W kilka dni później Petronjusz przyniósł groźne wieści z Palatynu. Odkryto tam, iż jeden z wyzwoleńców Cezara był chrześcijaninem i znaleziono u niego listy Apostołów Piotra i Pawła z Tarsu, oraz listy Jakóba, Judy i Jana. Przebywanie Piotra w Rzymie było już poprzednio wiadomem Tygellinowi, sądził jednak, że ów zginął wraz z tysiącami innych wyznawców. Teraz wydało się, że dwaj

naczelnicy nowej wiary są dotychczas przy życiu i znajdują się w stolicy; postanowiono więc odnaleźć ich i chwycić za wszelką cenę, gdyż spodziewano się, iż dopiero wraz z ich śmiercią ostatnie korzenie nienawistnej sekty zostaną wyrwane. Petronjusz słyszał od Westynusa, iż sam Cezar wydał rozkaz, by w ciągu trzech dni i Piotr i Paweł z Tarsu byli już w Mamertyńskiem więzieniu, i że całe oddziały pretorjanów wysłano dla przetrząśnięcia wszystkich domów na Zatybrzu.

Winicjusz, usłyszawszy o tem, postanowił pójść ostrzec Apostoła. Wieczorem obaj z Ursusem, przywdziawszy galijskie płaszcze, osłaniające twarze, udali się do domu Mirjamy, u której Piotr przebywał, położonego na samym krańcu zatybrzańskiej części miasta, u stóp Janikulskiego wzgórza. Po drodze widzieli domy otoczone żołnierzami, których prowadzili jacyś nieznani ludzie. Dzielnica była zaniepokojona, a miejscami zbierały się gromady ciekawych. Tu i owdzie centurjonowie badali schwytanych więźniów, wypytując ich o Piotra Symeona i o Pawła z Tarsu.

Ursus i Winicjusz, wyprzedziwszy żołnierzy, doszli jednak szczęśliwie do mieszkania Mirjamy, w którem zastali Piotra, otoczonego garstką wiernych. Tymoteusz, pomocnik Pawła z Tarsu i Linus znajdowali się również przy boku Apostoła.

Na wieść o bliskiem niebezpieczeństwie, Nazarjusz wyprowadził wszystkich ukrytem przejściem do furtki ogrodowej, a następnie do opuszczonych kamieniołomów, odległych o kilkaset kroków od bramy Janikulskiej. Ursus musiał przytem nieść Linusa, którego kości, połamane przez tortury, nie zrosły się dotychczas. Raz jednak znalazłszy się w podziemiu, uczuli się bezpieczni i przy świetle kaganka, który rozniecił Nazarjusz, poczęli cichą naradę, jak ratować drogie im życie Apostoła.

— Panie — rzekł mu Winicjusz — niech jutro świtaniem Nazarjusz wyprowadzi cię z miasta ku górom Albańskim. Tam cię odnajdziem i zabierzemy cię do Ancjum, gdzie czeka statek, który ma przewieźć nas oboje do Neapolis i Sycylji. Szczęśliwy będzie dzień i godzina, w której wstąpisz w dom mój i pobłogosławisz moje ognisko.

Inni słuchali go z radością i nastawali na Apostoła, mówiąc:

— Chroń się, pasterzu nasz, albowiem nie ostać ci się w Rzymie. Przechowaj żywą prawdę, aby nie zginęła wraz z nami i tobą. Wysłuchaj nas, którzy błagamy cię, jak ojca.

— Uczyń to w imię Chrystusa! — wołali inni, czepiając się szat jego.

On zaś odpowiadał:

— Dzieci moje! Któż wie, kiedy mu Pan kres żywota naznaczy?

Lecz nie mówił, że nie opuści Rzymu, i sam wahał się, co uczynić, gdyż już oddawna wkradła się w duszę jego niepewność, a nawet i trwoga. Ale trzoda jego była rozproszona, dzieło zburzone, Kościół, który przed pożarem miasta wybujał, jak drzewo wspaniałe, obróciła w proch moc „Bestji". Nie zostało nic, prócz łez, nic, prócz wspomnień mąk i śmierci. Siejba wydała plon obfity, ale szatan wdeptał go w ziemię. Zastępy aniołów nie przyszły na pomoc ginącym i oto Nero rozsiada się w chwale nad światem, straszny, potężniejszy, niż kiedykolwiek, pan wszystkich mórz i wszystkich lądów. Nieraz już Boży rybak wyciągał w samotności ręce ku niebu i pytał: „Panie! co mam czynić? Jakoż mi się ostać? i jakoż starzec bezsilny mam walczyć z tą nieprzebraną siłą Złego, któremu pozwoliłeś władać i zwyciężać?"

I wołał tak z głębi niezmiernego bólu, powtarzając w duszy: „Niemasz już onych owiec, które mi paść kazałeś, niemasz Twego kościoła, pustka i żałoba w Twej stolicy, więc co mi teraz rozkażesz? Mam-li tu zostać, czy też wyprowadzić resztę trzody, abyśmy gdzieś za morzami sławili w ukryciu imię Twoje?"

I wahał się. Wierzył, że prawda żywa nie zginie i musi przeważyć, ale chwilami myślał, że nie przyszedł jeszcze jej czas, który nadejdzie wówczas dopiero, gdy Pan zstąpi na ziemię w dzień sądu w chwale i potędze, stokroć od Neronowej potężniejszej.

Często wydawało mu się, iż jeśli sam opuści Rzym, wierni pójdą za nim, a on zawiedzie ich wówczas aż hen, do cienistych gajów Galilei, nad cichą toń Tyberjadzkiego morza, do pasterzy, spokojnych jak gołębie lub jako owce, które się tam pasą wśród cząbrów i nardu. I coraz większa chęć ciszy i wypoczynku, coraz większa tęsknota za jeziorem i Galileją ogarniała rybacze serce, coraz częstsze łzy napływały do oczu starca.

Lecz gdy na chwilę uczynił już wybór, ogarniał go nagły strach i niepokój. Jakoż mu opuścić to miasto, w którem tyle krwi męczeńskiej wsiąkło w ziemię i gdzie tyle ust konających dawało świadectwo prawdzie? Ma-li on jeden uchylić się od tego? I co odpowie Panu, gdy usłyszy słowa: „Oto oni pomarli za wiarę swoją, a ty uciekłeś?"

Noce i dni upływały mu w trosce i zmartwieniu. Inni, których rozdarły lwy, których poprzybijano na krzyże, których popalono w ogrodach Cezara, posnęli po chwilach męki w Panu, on zaś spać nie mógł i czuł mękę większą od tych wszystkich, które obmyślali kaci dla ofiar. Świt często już bielił dachy domów, gdy on wołał jeszcze z głębi rozżalonego serca:

— Panie, przecz mi tu przyjść kazałeś i w tem gnieździe Bestji założyć stolicę Twoją?

Przez trzydzieści cztery lat od śmierci Pana swego nie zaznał spoczynku.

Z koszturem w ręku obiegał świat i opowiadał „dobrą nowinę". Siły jego wyczerpały się w podróżach i trudach, aż wreszcie, gdy w tym grodzie, który był głową świata, utwierdził dzieło Mistrza, jedno ogniste tchnienie Złości zżegło je i widział, że walkę trzeba podjąć na nowo. I jaką walkę! Z jednej strony Cezar, senat, lud, legje, obejmujące żelazną obręczą cały świat, nieprzeliczone grody, nieprzeliczone ziemie, potęga, jakiej oko ludzkie nie widziało, z drugiej strony on, tak zgięty wiekiem i pracą, że drżące jego ręce zaledwie już zdołały unieść kij podróżny.

Więc chwilami mówił sobie, że nie jemu mierzyć się z Cezarem Romy i że dzieła tego może dokonać tylko sam Chrystus.

Wszystkie te myśli przebiegały teraz przez jego stroskaną głowę, gdy słuchał próśb ostatniej garstki swych wiernych, oni zaś, otaczając go coraz ciaśniejszem kołem, powtarzali błagalnemi głosami:

— Chroń się, Rabbi, i nas wyprowadź z pod mocy Bestji.

Wreszcie i Linus pochylił przed nim swą umęczoną głowę.

— Panie! — mówił — tobie Zbawiciel kazał paść owce swoje, ale niema już tu ich, lub jutro ich nie będzie, więc idź tam, gdzie je odnaleźć jeszcze możesz.

Oto żywie jeszcze słowo Boże i w Jeruzalem i w Antjochji i w Efezie i w innych miastach. Co wskórasz, zostawszy w Rzymie? Gdy legniesz, powiększysz tylko triumf Bestji. Janowi Pan nie oznaczył kresu życia, Paweł jest obywatelem rzymskim i bez sądu karać go nie mogą, lecz jeśli nad tobą, Nauczycielu, rozsroży się moc piekielna, wówczas ci, w których upadło już serce, pytać będą: Któż jest nad Nerona? Tyś jest opoką, na której zbudowany jest Kościół Boży. Daj nam umrzeć, ale nie pozwól na zwycięstwo Antychrysta nad Namiestnikiem Bożym i nie wracaj tu, póki Pan nie skruszy tego, który wytoczył krew niewinną.

— Patrz na łzy nasze! — powtarzali wszyscy obecni.

Łzy spływały i po twarzy Piotra. Po chwili jednak podniósł się i, wyciągając nad klęczącymi dłonie, rzekł:

Niech imię Pańskie będzie uwielbione i niech się stanie wola Jego!

Rozdział XXVII.

O brzasku następnego dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanji.

Jedną z nich był Nazarjusz, drugą Piotr Apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna, coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafranną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liljowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między któremi bielały kolumny świątyń.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie pozaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, któremi aż do gór wyłożony był gościniec, szedł w ciszy odgłos drewnianych postołów, jakie podróżni mieli na nogach.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazarjusz.

Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie. Nazarjusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostoła.

— Rabbi! co ci jest? — zawołał z niepokojem.

A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt.

Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętemi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste! Chryste!...

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— Quo vadis, Domine?...

I nie słyszał odpowiedzi Nazarjusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazarjuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i, nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś, widząc to, powtórzyło, jak echo:

— Quo vadis, Domine?...

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł.

I wrócił.

* * *

Paweł, Jan, Linus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tem większą, że właśnie o brzasku, zaraz po jego wyjściu, pretorjanie otoczyli mieszkanie Mirjamy i szukali w niem Apostoła. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem:

— Panam widział!

I tegoż jeszcze wieczora udał się na cmentarz Ostrjański, aby nauczać i chrzcić tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia.

I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codzień liczniejsze tłumy. Zdawało się, że z każdej łzy męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącznych piersiach. Cezar pławił się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. Ale ci, którym dość było zbrodni i szału, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku,

wszyscy pognębieni, wszyscy smutni, wszyscy nieszczęśni przychodzili słuchać dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować, by odkupić ich winy.

Odnajdując zaś Boga, którego mogli kochać, odnajdowali to, czego nie mógł dać dotychczas nikomu świat ówczesny, szczęście z miłości.

A Piotr zrozumiał, że ni Cezar, ni wszystkie jego legje nie zmogą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni łzy, ni krew i że teraz dopiero zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynało być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz.

BOLESŁAW PRUS

(Aleksander Głowacki)

(urodz. 20. VIII. 1847 — † 19. V. 1912 w Warszawie).

Wydał: Szkice i obrazki 4 t., 1886. Omyłka, 1888. Placówka, 1886. Lalka, 1890. Emancypantki, 1894. Grzechy dzieciństwa, 1896. Faraon, 1897. Pisma, wyd. Wawelberga, 4 t., 1897. Dzieci, 1910. Zbiorowe wydanie pism w 14 tomach w Warszawie.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI O PRUSIE.

Bronisław Chlebowski urodził się 10. XI. 1846 w Warszawie. Wydał: Jan Kochanowski w świetle własnych utworów, 1884. Zadania historji literatury polskiej wobec warunków i czynników jej dzisiejszego rozwoju, 1884. Nieboska i Irydjon, 1884. Mikołaj Rej jako pisarz, 1905. Rozwój kultury polskiej, 1917. Pisma (tomów 4), 1912.

Zmarł 28. III. 1918.

Najwybitniejszą cechę, a zarazem istotę wartości moralnej, piękna duszy i artyzmu Bolesława Prusa, niepospolitego pisarza i działacza społecznego, stanowi niezwykła swem ciepłem, prostotą i szczerością — dobroć i wynikający z niej stosunek przyjacielski i braterski względem wszystkich, a przedewszystkiem tych, co jako słabi, ciemni, bezradni, biedni, najwięcej potrzebują pomocy, opieki i światła.

Cecha ta spokrewnia Prusa z wielkiemi duszami przeszłości: Modrzewskim, Skargą, Staszicem. Żaden z nich jednak i wogóle żaden z wielkich naszych pisarzów czy działaczy społecznych nie zajął względem współbraci, zarówno tych, do których przemawiali, jak i tych, za którymi się ujmowali, równie przyjacielskiego stanowiska, nie stał się takim, budzącym ufność i otuchę spowiednikiem, doradcą, rzecznikiem trosk, krzywd i potrzeb, jakim był ten niezrównany znawca i odtwórca dusz ludzkich, przenikający je, prześwietlający promieniami swej dobroci i myśli. Miłość ku ludziom otwierała mu tajniki ich dusz, czyniła psychologiem i artystą, pojmującym, widzącym, bo odczuwającym i poznającym we własnem

sercu przeżycia, bóle, troski i pragnienia, w stopniu, niedostępnym dla tych, którzy patrzą na świat jedynie oczami obserwatorów, artystów czy socjologów.

W tej niezwykłej uczuciowości, w tym wyjątkowym stosunku Prusa, jako człowieka do społeczeństwa, tkwi podstawa jego znaczenia, jako pisarza, a w historji literatury — trwała wartość jego dzieł, odrębność jego niepospolitego artyzmu.

I.

Za mało jeszcze posiadamy świadectw, ażeby można było rozjaśnić należycie dzieje tej tak bogatej, pięknej, a niezwykłej duszy. Jakkolwiek ona wypowiadała się tak wymownie w swej działalności i twórczości, w stosunkach koleżeńskich i pracy społecznej, jednak w rzadkich chwilach jedynie odsłania Prus swe najgłębsze przekonania, a dziejów życia wewnętrznego nie odtworzył bezpośrednio w żadnym z utworów. Jedynie w „Lalce", w postaci Wokulskiego, możemy domyślać się dość znacznej łączności duchowej z charakterem i przeżyciami twórcy. Miejscem urodzenia (Puławy) i pochodzeniem szlacheckiem wiąże się Prus, podobnie jak i współcześni mu: Sienkiewicz i Świętochowski, z całym zastępem pisarzów, których wschodnie, młodsze prowincje dawnej Polski i występujące zkolei na widownię warstwy drobnej szlachty dostarczyły literaturze polskiej w jej świetnym rozkwicie w ciągu całego wieku XIX. Klęska, jaką się zakończyło powstanie 63 r., wywołała taki przełom w umysłowości i uczuciowości ogółu, a zwłaszcza występującego na widownię młodego pokolenia, rozpoczynającego działalność swą w zmienionych do gruntu stosunkach politycznych, społecznych, ekonomicznych i umysłowych, że mimo zasłaniającej ten skromnie uwydatniający się z początku, nowy kierunek działalności dalszej dawnych pisarzów, jak: Kraszewski, Pol, Pług, Wójcicki, Kaczkowski, a poczęści i Jeż, wpływ nowych warunków, przebytych i przeżywanych wstrząśnień, oddziaływanie świeżych prądów pojęciowych, przekształci stopniowo pojęcia i nastrój uczuciowy ogółu.

Do r. 1864, wielka poezja polska, wykwit cierpienia i tęsknoty, rozłączonych z pognębioną ojczyzną wieszczów i tułaczy — przygnębieniu i bezwładowi ciężkiego bezdziejowego żywota przeciwstawiała kojącą, upajającą wizję mesjanistyczną Polski, ukrzyżowanej za winy ludzkości, oczekującej wyzwolenia z wyroku Bożego i z obowiązku, ciążącego na ludach Europy. „Przedświt" i „Psalmy" wiarę tę zaszczepiły we wszystkich duszach polskich. Oswobodzenie Włoch zdawało się zapowiadać nową erę w stosunkach europejskich. Napoleon III podejmował dzieło rozpoczęte, lecz nieprzeprowadzone przez swego wielkiego poprzednika. Wypadki lat 1860—1864 były wyrazem głębokiej wiary w pomoc Niebios i Napoleona, w skuteczność modlitwy, płynącej z miljona serc, gotowych ofiarnością swą stwierdzić siłę i prawdę uczuć i pra-

gnień narodowych, w doniosłość protestu, zaniesionego wobec rządów i ludów, opartego zarówno na prawach historycznych, traktatach, uchwałach kongresu wiedeńskiego, jak i na pozyskującej wtedy coraz więcej znaczenia — w opinji ludów i dyplomatów nawet — idei narodowości. Wybuch styczniowy r. 1863 był właściwie tylko najsilniejszym, rozpaczliwym protestem, manifestacją, mającą rozbudzić sumienia rządów i ludów i skłonić je do przyznania należnych narodowi polskiemu praw. Klęska poniesiona i ruina nietylko nadziei, ale i posiadanych dotąd instytucyj, podtrzymujących byt narodowy, wywołać musiała, w duszach młodszych naturalnie, szybkie przewartościowanie dotychczasowych pojęć i ideałów, odwrócenie się od idealizmu mesjanistycznej historjozofji i całego systemu wiążących się z nią pojęć i tradycyj, do wskazań wiedzy współczesnej, która świetnością dokonywanych odkryć, nowością i doniosłością poglądów i hipotez, odnoszących się do życia i rozwoju przyrody i społeczeństw, potęgą mnożących się i przekształcających ludzkie stosunki wynalazków, obiecywała duszom, spragnionym i poszukującym środków dźwignięcia powalonego narodu, dostarczyć zarówno światła, rozjaśniającego drogi pracy i dążeń, jak i sił duchowych i środków do osiągnięcia na tych drogach upragnionych wyników. Przyjmując za swe hasło: „Wiedza jest potęgą“, młodzi patrjoci wyrazili w niem nietylko swój entuzjazm dla nauki, ale też radość i nadzieję, że przyswojenie potęgi wiedzy pozwoli skuteczniej pracować nad podźwignięciem ojczyzny, stworzy trwały fundament jej odrodzenia. Gdy niedawno w duszach polskich przemagały uczucia i na nich oparte poglądy, przekonania polityczne, historyczne i społeczne, teraz ta uczuciowość rozlewna, przechodząca w mistycyzm, ulegnie zahamowaniu, zrównoważeniu, koncentracji, pod wpływem siły i powagi nowych pojęć, wnoszących do umysłów potężny czynnik doniosłych prawd. W zetknięciu ze światłem wiedzy uczucia zmienią swój charakter, uspokoją się i schronią do głębi dusz, zyskując przez to dużo siły i powagi.

Stosunek uczuciowości do sfery umysłowej będzie naturalnie przedstawiał wielkie różnice u wybitniejszych jednostek. Przewagę umysłowości, opanowanej przez nowe pojęcia filozoficzne i naukowe, a więc pozytywizm, spotkamy głównie i stale u Świętochowskiego i Chmielowskiego. Uczuciowość przeważać będzie u Sienkiewicza, Dygasińskiego i Prusa, lecz u każdego z nich wytworzy się inny stosunek, inny „modus vivendi“ między temi dwiema sferami.

II.

Już we wczesnej młodości Prus, obok serdeczności i uczynności w stosunkach koleżeńskich, upodobania do lektury, okazywał zamiłowanie do nauk matematycznych, które stwierdził zapisaniem się na wydział fizyczno-matematyczny Szkoły Głównej w r. 1866. Zapoznanie się z naukami filozoficznemi i przyrodniczemi

wprowadziło wtedy do jego duszy pojęcia, które mu rozjaśniły położenie ówczesnego społeczeństwa i przyczyny jego ubóstwa i niedoli. Uczuciowość i upodobanie do obserwacji życia znalazły w różnorodności pojawów, jakie nastręczała ówczesna Warszawa, skupiająca tysiące rozbitków, wyrzuconych ze swych siedzib, stanowisk, przez niedawną burzę i szukających tu środków do życia, a przytem przedstawiająca w swem mieszczaństwie, licznej klasie urzędniczej, polskiej jeszcze, i rosnącym liczebnie proletarjacie, szybko wzmagającej się ludności żydowskiej, bogaty materjał dla socjologa, satyryka, powieściopisarza. Przekształcenie stosunków społecznych i ekonomicznych przez uwłaszczenie włościan, zniesienie instytucyj autonomicznych w Królestwie, rozwój przemysłu za sprawą obcych kapitałów i przedsiębiorców — przy jednoczesnem skrępowaniu życia publicznego, wkładały na prasę perjodyczną, jęczącą pod uciskiem cenzuralnym, ubogą w środki materjalne i poważnie uzdolnionych pracowników, doniosłe zadanie uświadamiania potrzebującego orjentacji społeczeństwa, budzenia życia duchowego, instynktów społecznych, energji moralnej. Podobnie, jak i jego rówieśnicy: Świętochowski i Sienkiewicz, Prus zaczął swą działalność od publicystyki i nie porzuci tego kierunku aż do zgonu. Jako publicysta wystąpił on nie w radykalnym organie młodzieży: „Przeglądzie Tygodniowym“, w którym zamieścił jedynie suche sprawozdanie z literatury naukowej, lecz w organie grupy umiarkowanej: „Opiekunie Domowym“ (Nr. 22 z roku 1872), rozwijając tu p. t. „Nasze grzechy“ program społeczny, przystosowany do ówczesnych potrzeb i warunków politycznych. „Nauczeni doświadczeniem — pouczał 25-letni a trzeźwy już polityk — zmieńmy system, ograniczając plany i prace nasze szczupłem kołem codziennych stosunków. Pokorni wobec samych siebie, zrezygnowani wobec konieczności, zajmijmy się spłacaniem długów społecznych, oszczędnościami, podnoszeniem rolnictwa i przemysłu, ścieśnieniem rodzinnych i towarzyskich węzłów, zwiększaniem liczby małżeństw, zmniejszaniem śmiertelności dzieci, wspomaganiem nieszczęśliwych, rozszerzaniem zdrowej oświaty i moralności. Przy pracy tej niejeden ogromny majątek wypadnie podzielić na drobniejsze, niejeden frak zamienić na kapotę, herb na szyld, pióro na młotek i łokieć, wielu rzeczy sobie odmówić, wielu zapomnieć, a najwięcej się uczyć i uczyć... Pamiętajmy, że tylko zachowawczość obok postępu, miłość wszystkich ludzi obok polegania na własnych wyłącznie siłach, pokora w duchu obok zachowania godności charakteru, zrobią nam to, że przy wszelkiej nędzy naszej nie stracimy i bez uszczerbku przekażemy następcom jedyny najdroższy skarb każdego: honor“. W tym programie, którego głównym zasadom Prus pozostał wierny aż do zgonu, daremniebyśmy szukali odbicia „pozytywizmu“, pod którego sztandar niesłusznie bywa zaciągany, zato uwydatnia się przeniknięty uczuciami chrześcijańskiemi społecznik i patrjota. Zająwszy sta-

nowisko feljetonisty-kronikarza, najpierw w „Kurjerze Warszawskim“, następnie w „Codziennym“, a wkońcu w „Tygodniku Illustrowanym“, wytrwał przez lat 40 na tym posterunku, pozwalającym mu ciepłem ujmującej uczuciowości i ponętą jowjalnego, polskiego, lecz tonem i duchem więcej ludowego niż szlacheckiego humoru, pozyskiwać sobie czytelników, wdzięcznych mu za orzeźwienie moralne, chwile wzruszeń i rozweseleń, otwierających dusze czytelników dla rozsiewanych w każdej kronice spostrzeżeń, pomysłów, zamierzeń, mających na celu postęp moralny i materjalny społeczeństwa, a nadewszystko dobro warstw ludowych.

W związku z tą działalnością, jako owoc żywego interesowania się ludem, pozostają obrazki, odtwarzające położenie i losy małoletnich i pełnoletnich biedaków, nie znajdujących w ubogiem, bezradnem, ciemnem społeczeństwie opieki, oparcia, pomocy, jak: Antek, Michałko. Dusze dziecięce wogóle, bez względu na sferę, w której się znajdują, budzą serdeczne współczucie w obserwatorze, odtwarzającym ich radości i smutki, ich kolizje z nierozumiejącem ich otoczeniem, w pełnych prawdy, wdzięku, uczucia i humoru opowiadaniach, jakiemi są: „Sieroca dola“, „Anielka“, „Przygoda Stasia“, „Grzechy dzieciństwa“. Cisnący się do Warszawy za chlebem, wyrzuceni przez ówczesne wstrząśnienia ekonomiczne i polityczne ze swych siedzib ziemianie, dzierżawcy, oficjaliści, rzemieślnicy, z trudem zdobywający w ciężkich warunkach pracy swe utrzymanie, ludność żydowska z jej odrębnemi potrzebami i warunkami, dostarczają Prusowi publicyście, stającemu się stopniowo artystą, bogatego zasobu postaci, położeń i właściwości. Rozwój przemysłu fabrycznego wysunął nieznaną poprzednio kwestję robotniczą i rosnącą potęgę żywiołu niemieckiego. Unaocznił je zaraz Prus w obrazku: „Powracająca fala“ (1880 r.) i w bezpośrednio po nim utworzonej nieśmiertelnej „Placówce“, wskazującej w świetnie pochwyconych cechach duszy i charakteru chłopa polskiego, tamę przeciw parciu kolonizacji niemieckiej.

Nie opuszczając stanowiska publicysty, pomimo niepomyślnych wyników, jakie osiągnął w krótkotrwałej działalności na stanowisku redaktora „Nowin“ (1883), zwraca się Prus, świadom swych uzdolnień artystycznych i bogactwa nagromadzonych spostrzeżeń, pogłębionej znajomości dusz ludzkich, do odtwarzania życia współczesnego w szerszych rozmiarów obrazach i z bogatszemi duchowo postaciami. Od dusz ubogich, charakterów prostych, odsłaniających się łatwo w pospolitych sprawach i stosunkach życiowych, przejdzie do dusz złożonych, natur, kryjących swą istotę pod warstwami osadzającej się na nich kultury obyczajowej i umysłowej. Odczuwając, jak wszyscy poeci, potrzebę wypowiedzenia się, odtworzenia własnych przeżyć, własnego stosunku do otoczenia, nie rozumiejącego, nie domyślającego się ukrytych w głębi duszy publicysty i humorysty wierzeń, pragnień i ideałów, zaczyna wprowadzać do swych utworów takich samotników, odosobnio-

nych od otoczenia polotem idealnych pragnień i celów, podniosłością uczuć, wyższością umysłową, narażonych przez to na kolizje, tragiczne czasem, z otoczeniem, śród którego i przy udziale którego zmuszeni są działać.

III.

Ten nowy okres twórczości rozpoczyna w r. 1880 „Omyłka", w której szczupłych ramach zamknął poeta, na tle tragedji r. 1863, zarysowanej realistycznem odbiciem się ruchu powstańczego w ciasnych duszach ludności małomiasteczkowej i ciemnych umysłach wieśniaków, tragicznych także losów starego emigranta. Człowiek ten, wyższością rozumu i charakteru ściągnąwszy na siebie u towarzyszów tułaczki podejrzenie o szpiegostwo, pada teraz ofiarą doraźnego wyroku, wydanego i spełnionego przez oddział powstańczy. „Placówka" (1885), choć osnową i postaciami wiąże się z utworami poprzedniego okresu, to przecież artyzmem wykonania, przemyśleniem, rozwinięciem i zobrazowaniem doniosłej myśli narodowej i społecznej zarazem, świadczy o osiągniętej przez twórcę dojrzałości duchowej, której wyrazem będą trzy niepospolite, trwałej wartości dzieła: „Lalka" (1890), „Emancypantki" (1894) i „Faraon" (1897), wznoszące powieść polską, zarówno artyzmem formy, jak głębokiem ujęciem i odtworzeniem życia społeczeństwa polskiego, w całej pełni jego dążeń, interesów, powiązań, cech kulturalnych i moralnych, na stanowisko ogólnoludzkie, pozyskujące jej, wraz z całym ciągiem współczesnych, świetnością artyzmu jaśniejących dzieł Sienkiewicza, prawo do trwałego bytu i poważnego stanowiska w literaturze wszechświata. Trwałą, ogólnoludzką wartość i piękność zawdzięczają te utwory współdziałaniu zespolonych szczęśliwie w duszy pisarza - poety czynników, jakiemi są: uczuciowość żywa, ciepła, pogodna, ogarniająca cały świat istot żyjących, a przedewszystkiem istoty słabe, biedne, bezradne, dzieci, prostaków, samotników, nierozumianych marzycieli; obok tego umysłowość spostrzegawcza i refleksyjna zarazem, interesująca się zarówno zjawiskami przyrody, pojawami społecznemi, jak życiem duszy, skłonna i uzdolniona do pospiesznego nieco klasyfikowania i uogólniania dostrzeganych i poznawanych szczegółów, a przytem wyobraźnia, dostarczająca humoryście-socjologowi w wielkiej obfitości rysów, charakteryzujących warunki materjalne, stan moralny i umysłowy przedstawianych postaci, a poecie-myślicielowi — odtworzeń plastycznych jego wizyj, nacechowanych realizmem. Prawość, dobroć i prostota charakteru wreszcie — nadają stosunkowi Prusa do ludzi znamię przyjacielskiej poufałości, swobody i szczerości. Ukazując im w dosadnej, jaskrawej charakterystyce ich wady i słabości, jednocześnie dobrem a wesołem spojrzeniem, nieznacznym gestem współczucia upewnia ich o swej życzliwości, uspokaja rozdrażnionych. Bogactwo niezwykłe duchowych czynników, trudność zharmonizowania uczuciowych wierzeń, dążeń i ideałów z wymaganiami wiedzy,

BOLESŁAW PRUS

w której szuka wskazówek i środków dla osiągnięcia swych zamierzeń, wreszcie miękkość woli, owładniętej przez osłabiającą jej energję uczuciowość, nie pozwoliły Prusowi osiągnąć w zakresie artyzmu tej miary, pełni, spokoju i swobody, tego owładnięcia materjałem i techniką, ideą i jej wcieleniem, jakie osiągają nieliczni zresztą mistrze, i to w szczytowych chwilach swej dojrzałości duchowej i artystycznej. Jednakże zbliżenie się znaczne ku tym szczytom, powinowactwo duchowe i artystyczne z Mickiewiczem z okresu „Pana Tadeusza" — pozwala wyznaczyć twórcy „Lalki" i „Faraona" wysokie stanowisko w gronie wielkich poetów-wychowawców.

Choć sztuce i pięknu przyznaje Prus dość skromne, drugorzędne stanowisko w życiu społecznem, wysuwając na pierwszy plan umoralnienie, pracę i oświatę, sam jednak, mimowolnie poniekąd, zjednoczeniem potężniejących w jego duszy czynników staje się twórcą nietylko dobra i prawdy, lecz i piękna, z ich zespolenia wynikającego. Czynnikami temi, które czynią z Prusa poetę-wychowawcę i zbliżają go duchowo z twórcą „Pana Tadeusza", są: podniosła, głęboka a pogodna, czysto chrześcijańska religijność, wyzwolona z formuł katechizmowych, a wyrażająca się w bezgranicznej ufności w Bogu i miłości, tudzież patrjotyzm, ogarniający przedewszystkiem współczesność i przyszłość ojczyzny, wreszcie — zaznaczone przez Mickiewicza w zakończeniu jego nieśmiertelnej powieści i w wierszu, uważanym za wstęp do „Pana Tadeusza", stanowisko — nie wieszcza-artysty — lecz opowiadacza, niosącego braciom prostą, ujmującą, rozweselającą i rozrzewniającą naprzemian, pouczającą i podnoszącą ducha, pięknem treści i formy, opowieść o najbliżej obchodzącem ich życiu.

Podobnie jak Mickiewicz, który w swej zatraconej „Historji przyszłości" ukazał skłonność, cechującą stale umysłowość Prusa — upodobanie do snucia realistycznych wizyj przyszłości — twórca „Lalki", „Emancypantek" i „Faraona" pogodę i ciepło swego humoru zawdzięcza moralnej równowadze ducha, silnego głębokością i stałością wierzeń religijnych — o czem świadczą wymownie takie obrazki jak: „Z żywotów świętych", „Z legend dawnego Egiptu", „Sen" — i zdolnego w swem czystem zwierciedle odbijać głębie dusz ludzkich, odtwarzać rozwój charakterów, zmieniających się i odsłaniających się coraz pełniej wraz ze zmianą warunków i położeń. Stąd płynie również ta prostota i jasność języka i stylu, to stanowisko ludowej mądrości, z jakiego Mickiewicz i Prus wydają swe sądy moralne, wypowiadają swe najgłębsze przekonania.

Jak religijność, tak i polskość Prusa przy całej swej sile, cieple i czystości, pozbawiona jest tych cech zewnętrznych, symbolów, które dla większości ludzi zasłaniają i zastępują istotę rzeczy. Zespala on w swoich właściwościach znamiona szlacheckiego i ludowego humoru, rozumu, języka; uczuciowością zaś i umysłowością spokrewniony jest z najlepszemi i najbogatszemi duszami przeszłości; mimo to ta przeszłość z jej tradycjami, choć żyje

w duszy poety-patrjoty, nie odbija się nigdy w jego utworach. Przyczyn tego szukać należy nie w zakazach cenzuralnych, które nie przeszkodziły przecież Sienkiewiczowi ogłosić w Warszawie „Trylogji", ale w naturze uczuciowości Prusa. Przejęty do głębi niedolą chwili obecnej, troską o groźnie rysującą się przyszłość, oddaje się ten obywatel - publicysta i poeta wyłącznie zadaniom dnia dzisiejszego i zabiegom o lepsze jutro.

Chociaż jako artysta nie dorównywa Prus plastyką, barwnością, wdziękiem i swobodą opowieści Sienkiewiczowi, to jako pisarz-wychowawca, mogący bogactwem skarbów swej pięknej duszy, swej uczuciowości i mądrości życiowej kształcić długi szereg pokoleń — ma wszelkie dane do zdobycia w życiu duchowem społeczeństwa polskiego stanowiska pokrewnego temu, jakie zajął w świecie angielsko-amerykańskim bliski mu uczuciowością, religijnością, artyzmem, Dickens.

IGN. MATUSZEWSKI O B. PRUSIE I H. SIENKIEWICZU.

Ignacy Matuszewski, * 2. VI. 1858 r. w Wilanowie († 10. VII. 1919 roku). Osobno wydał: „Djabeł w poezji" 1894. (II. wyd. zmienione 1900). „Czarnoksięstwo i medjumizm" 1896. „Swoi i obcy" (wyd. I. 1898, wyd. II 1903). „Słowacki i nowa sztuka" wyd. I 1902, wyd. II 1904, wyd. III 1913. „Twórczość i twórcy" 1904. „Król duch, czy królowie duchy" 1910. „Studja o Żeromskim i Wyspiańskim" 1921.

I.

Do czego prowadzi zestawianie z sobą talentów twórczych? czy dowiemy się przez to, który z nich jest wyższy?

Bynajmniej. M i e r z y ć można tylko rzeczy jednorodne, tymczasem prawdziwe talenty, poza czysto zewnętrznemi cechami, niewiele mają żywiołów wspólnych. A im mniej ich mają, tem lepiej: wartość artysty i dzieł jego spoczywa właśnie we wszystkiem, co nowe, oryginalne, niepodobne do istniejących już typów, motywów i wzorów.

Przy zestawieniu więc obu naszych największych powieściopisarzy współczesnych dążyć będziemy przedewszystkiem do uwydatnienia ich odrębności, pozostawiając zupełnie na boku jałową kwestję rzekomej wyższości lub niższości.

Dla pewnych grup i jednostek zawsze wyższym będzie jeden, dla innych — drugi.

To rzecz nieunikniona i zależna od nastroju wrażliwości. Czytelnicy, reagujący silnie na dany rodzaj bodźców estetycznych, słabo odczuwają podniety odmiennego typu i v i c e v e r s a. Stąd namiętne a bezpłodne spory, ożywiające niekiedy ciężką atmosferę naszych salonów, ale niewłaściwe w krytykach.

Porównywać można tylko epigonów jakiegoś mistrza; samych mistrzów wolno tylko zestawiać, by przez kontrast uwypuklić dosadniej ich rodzime, indywidualne właściwości.

II.

Po Warszawie kursuje formułka, wyrażająca pogląd inteligentnego ogółu na twórczość obu powieściopisarzów naszych. Prus jest więcej filozofem, Sienkiewicz więcej artystą — powiadają czytelnicy.

Ta popularna definicja nie odbiega może zbyt daleko od prawdy, ale niepodobna jej przyjąć en bloc, bez zastrzeżeń, uzupełnień i komentarzy.

Ściśle biorąc, każdy twórca, w każdym zakresie działalności ludzkiej, jest i musi być współcześnie i filozofem i artystą, każdy bowiem posiada pewien ogólny pogląd na cel i istotę bytu, i każdy dąży do wcielenia tego poglądu w formy realne.

Kto nie umie uzmysławiać swych uczuć i myśli, będzie — genjalnym niekiedy — dyletantem; kto zna doskonale technikę danej sztuki, lecz nie ma nic własnego do powiedzenia, jest tylko wirtuozem.

Atoli u talentów tego pokroju, co Prus i Sienkiewicz, treść równoważy formę: artyzm i filozofja zlewają się w jedną harmonijną całość.

Dlaczegoż więc ludzie mówią, że Prus jest więcej filozofem, a Sienkiewicz więcej artystą?

Sądzimy, że nie idzie tu tyle o stosunek treści do formy, ile raczej o rodzaj owej „treści“ i „formy“.

III.

Na słynnym fresku Rafaela, zwanym „Szkołą Ateńską“, w centralnym punkcie obrazu, stoi dwóch mędrców, z których jeden, Plato, wzniósł dłoń ku niebu, drugi, Arystoteles, wyciągnął rozpostartą prawicę przed siebie, zaznaczając niejako tym gestem, że świat, otaczający człowieka, winien być głównym celem badania naszego.

Te dwie figury symbolizują dwojaką dążność ducha ludzkiego, który pragnie ująć wewnętrzną i zewnętrzną, idealną i realną, nieskończoną i skończoną, niepoznawalną i poznawalną, nadzmysłową i zmysłową treść istnienia.

Każde zjawisko, począwszy od najdrobniejszego, a skończywszy na całym ogromie wszechbytu, należy współcześnie do dwóch światów: do stykającego się z nami bezpośrednio świata skutków, oraz do tkwiącego korzeniami w otchłaniach wieczności świata przyczyn.

Pierwszy poznajemy za pośrednictwem obserwacji zmysłowej, drugi zaś przy pomocy rozumowania oderwanego, w połączeniu z t. zw. intuicją, oraz wyobraźnią twórczą.

Otóż, rzadko się zdarza, żeby który artysta posiadał wszystkie wspomniane dary w równym stopniu. Zwykle pewna zdolność rozwija się nadmiernie kosztem reszty, i jeden sztukmistrz okazuje wyraźną skłonność do odtwarzania zmysłowo-plastycznej strony życia, drugi zaś stara się pochwycić nici przyczynowe, wiążące objawy istnienia z sobą i ze wszechświatem, i splata je w pewną organiczną całość.

Nietylko w dziełach pojedyńczych osobników, lecz i w twórczości całych ras, narodów i epok, widać wyraźne i stałe odchylanie się busoli duchowej ku jednemu albo drugiemu biegunowi.

Żywioł realno-plastyczny przeważa w literaturach greckiej i rzymskiej; najdoskonalszym zaś typem literatury, opartej niemal wyłącznie na pierwiastkach filozoficznych, jest piśmiennictwo staro-indyjskie, gdzie potężny potok życia transcendentalno-kosmicznego pochłania w swych nurtach objawy indywidualno-zmysłowe. Pokrewną w dążeniach była poezja i sztuka wieków średnich, marząca tylko o nieskończoności i wieczności, a lekceważąca świat skończony i doczesny, do którego zwróciła się znowu, wykarmiona klasycyzmem, epoka Odrodzenia.

W każdym narodzie i wieku atoli, kierunek panujący nie przytłumia absolutnie przeciwnego. W epokach krańcowego idealizmu zjawiają się talenty o uzdolnieniu zmysłowo-plastycznem, i odwrotnie: okresy, hołdujące trzeźwemu realizmowi, wydają pisarzów skłonnych do metafizyki, a nawet mistycyzmu.

W Grecji, obok Platona istniał Arystoteles, a obok Arystofanesa — Eurypides.

W Rzymie Catullus poprzedza Wirgiljusza; we Włoszech Dante — Boccaccia. W Hiszpanji Cervantes godzi się z Calderonem; we Francji Rabelais z Kalwinem, Lafontaine i Molière z Pascalem. W Niemczech Schiller królował przy boku Goethe'go, w Anglji zaś Shelley szedł ręka w rękę z Byronem.

Słowem, zawsze i wszędzie prąd zasadniczy rozszczepiał się i polaryzował.

U nas, w okresie romantyzmu, jak słusznie zauważył Zygmunt Krasiński, rozdwojenie wyrażało się w „dośrodkowej" potędze genjuszu Mickiewicza, oraz w „odśrodkowości" panteistycznych dążeń Słowackiego, chociaż obaj poeci do jednej należeli epoki i szkoły i jednym ideałom cześć składali.

W dzisiejszem piśmiennictwie naszem, głównymi przedstawicielami owej antynomji estetycznej, występującej stale w dziejach literatury i sztuki, są — Prus i Sienkiewicz.

IV.

Ponieważ obaj koryfeusze naszego powieściopisarstwa wzrastali w epoce realizmu, kiedy poezja, porzuciwszy na pewien czas tęczowe krainy fantazji, zwróciła się niemal wyłącznie ku rzeczywistości, obaj przeto odtwarzali w głównych swoich dziełach życie

prawdziwych ludzi, nie idealnych bohaterów, lub nadziemskich demonów i tytanów.

Na tem jednak kończy się podobieństwo obu autorów, z których każdy z innego punktu na owo życie patrzał i malował je w odmienny sposób.

Dla Sienkiewicza (mamy obecnie na myśli artystyczną, nie dziejowo-społeczną stronę jego wielkich utworów), życie — to przedewszystkiem potężna symfonja barw, kształtów i ruchów; dla Prusa — to głęboka zagadka, którą rozwiązać należy.

U Sienkiewicza proces życiowy przypomina machinę, idącą całym pędem: olbrzymie koło rozmachowe furczy, migają pasy, suną się transmisje, lśni stal polerowana, jarzy się krwawo czerwień miedzi, świecą łagodnie bronzowe okucia i ozdoby, a białe kłęby pary buchają sycząc z cylindrów, w których tłoki skaczą szybko w górę i na dół. Wszystko to razem zlewa się w pewien chaos, ale chaos niezwykle przyjemny dla oka, ze względu na swój ruch, blask i koloryt, a dla ucha ze względu na rytmiczność gwaru...

U Prusa machina nie kręci się w tak szalonem tempie i nie oślepia swym połyskiem, ale twórca ustawił ją w ten sposób, że oko nasze obejmuje nietylko wielkie koła, tłoki i pasy, ale nawet najdrobniejsze gwoździki i śrubki, wiążące mechanizm w jedność. Spostrzegamy odrazu wszystkie części składowe i rozumiemy ich stosunek do siebie i do całości; widzimy, skąd płynie energja, poruszająca motor, jakie przechodzi w nim fazy i jakim jest cel jej działania...

V.

Naturalnie, że porównanie powyższe, jak każde zresztą porównanie, ma tylko względną wartość dowodową, nie obejmuje bowiem wszystkich cech, charakteryzujących talent obu pisarzów.

Nikt nie zaprzeczy, że Sienkiewicz, obok kolorów i kształtów, odtwarzał także w sposób wyrazisty myśli i uczucia, Prus zaś nietylko zgłębiał istotę życia, lecz odzwierciedlał również po mistrzowsku jego objawy zewnętrzne.

Jeżeli jednak zechcemy uwydatnić to, co stanowi zasadniczy ton arcydzieł obu pisarzów, co jest osią ich twórczości, co wieje z ich prac, niby woń z kwiatów, musimy się zatrzymać na pierwiastkach plastycznych u Sienkiewicza, a na żywiole filozoficzno-poetycznym u Prusa.

Porównajmy tylko z sobą dwie powieści historyczne obu autorów: „Quo vadis“ i „Faraona“.

Co nas uderza przedewszystkiem w pierwszej? Niezrównana oryginalność, barwność i jędrność opisów, realność, wypukłość i żywotność figur, oraz nadzwyczajna pełnia ruchu w scenach zbiorowych.

A co nam daje „Faraon“? Naprzód świetny i nakreślony z uwzględnieniem wszelkich wymagań perspektywy obraz wewnętrznego ustroju, oraz rozwoju państwa Egipskiego w danym

momencie dziejowym; następnie psychologię jednostek i grup socjalnych, rozpatrywanych nie jako samoistne atomy, lecz jako żywe członki wielkiego organizmu politycznego.

Tę samą, do pewnego stopnia, różnicę spostrzeżemy, rozbierając powieści współczesne obu pisarzów[1]). W „Rodzinie Połanieckich" np. mamy interesującą galerję doskonale narysowanych i pełnych prawdy postaci, należących przeważnie do jednej tylko warstwy społecznej i słabo związanych z życiem ogółu. W „Lalce" tymczasem Prus przedstawił nie jedną klasę, lecz całe społeczeństwo, na którego tle występuje kilka wybitniejszych, ale zrosłych z niem bardzo mocno typów.

Słowem, Sienkiewicz, w swojem dążeniu do oddania z możliwą dokładnością życia realnego, kładzie główny nacisk na to, czem życie najwyraźniej do wrażliwości naszej przemawia, a mianowicie na charakterystyczne cechy zjawisk pojedyńczych; Prus zaś, uważając rozproszone fenomeny za manifestacje jednolitej siły wyższej, za wyniki ogólniejszej przyczyny, stara się zawsze i wszędzie uwydatnić ich związek i zależność od owej przyczyny.

Sienkiewicz tedy jest indywidualistą, Prus zaś syntetykiem.

VI.

Do każdego z bohaterów Prusa dałoby się zastosować to, co autor mówi o młodym studencie w fantazji pod tyt. „Sen": „Spostrzegł, że z jego serca wysnuwają się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się, jedne domu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod któremi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, a nawet o gazety i paradyz w teatrze. Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, które połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy".

Uwzględniając na każdym kroku łączność wszystkiego ze wszystkiem i śledząc ustawicznie oddziaływanie wszystkiego na wszystko, m u s i a ł Prus — skłonny z natury do układania swych pojęć w formy architektoniczne — dojść do własnego systematu filozoficznego.

Systemat ów znowu nie mógł być prostą klasyfikacją faktów, lecz m u s i a ł wkroczyć w granice transcendentalizmu, gdyż Prus zawsze poza tem, co zmysłowe i z m i e n n e, szuka tego, co nadzmysłowe i n i e z m i e n n e. „Filozof — według własnych słów jego — to pracownik, który usiłuje pokazać ludziom c e l i p l a n c a ł e j n a t u r y widzialnej, tudzież — odsłonić rąbek n i e w i-

[1]) I porównanie „Wrażeń z podróży" Sienkiewicza z takiemiż wrażeniami Prusa daje ten sam rezultat. Pierwszy maluje piękno oglądanych miejscowości, drugi — kreśli ich plany i wchodzi w szczegóły ekonomiczne, administracyjno-społeczne etc.

dzialnego świata". Jest to definicja bardzo szeroka, a zadanie niełatwe.

Otóż Prus spróbował sam rozwiązać trudny problemat i w „Emancypantkach" wyłożył obszernie i systematycznie, przez usta jednego z bohaterów, swoje poglądy na świat „widzialny" i „niewidzialny", oraz ich wzajemny stosunek.

Metafizyczne teorje Prusa rozbieraliśmy szczegółowo na innem miejscu, tutaj wystarczy uwaga, że właściwie autor „Emancypantek", ujmując wszechświat w organiczne ramy i wyznaczając różnym jego składnikom odpowiednią rolę, zrobił to samo na wielką, co robił w każdej swojej powieści na mniejszą skalę, a mianowicie: stworzył piękną syntezę.

Ponieważ jednak tym razem synteza ogarnęła nietylko zjawiska psychologiczne, lub społeczne, ale wszystko, co istnieje, ułatwia ona krytyce orjentowanie się w bogatej i oryginalnej twórczości Prusa.

Podobnego klucza nie dał nam do rąk Sienkiewicz, który, jeśli dotykał kwestyj ogólno-filozoficznych, to albo, jak w „Bez dogmatu" traktował je analitycznie, albo też, jak w „Rodzinie Połanieckich", lub „Quo vadis", załatwiał się z niemi w sposób dogmatyczny. Niekiedy jednak, pozostawiwszy na boku wszelkie teorje, rzucał obraz — i wtedy wywoływał na pewno silne wrażenie. Tak np. w noweli „Lux in tenebris lucet" opowiada, jak rzeźbiarz Kamionka umiera, nie wiedząc jak i kiedy, i, obudziwszy się ze snu życiowego, spostrzega obok siebie żonę, a poniżej „swego własnego trupa z szeroko otwartemi ustami, które w wyżółkłej twarzy tworzyły jakby czarną jamę. I patrzał na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą, po chwili wszystko poczęło mu gnąć z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność..."

Jak widzimy, problemat nieśmiertelności został tu wzięty, jako rzecz, stojąca poza dyskusją, a przytem czysto zmysłowa i realna. Dusze sprawiają wrażenie istot, subtelniejszych może od ludzi, ale najzupełniej cielesnych. Autor nie wdawał się w rozumowania, tylko przedstawił fakt w taki sposób, w jaki mu go podyktowała jego zmysłowa, plastyczna wyobraźnia i, jak się to zwykle w podobnych wypadkach u Sienkiewicza zdarza, osiągnął efekt niepospolity.

Sienkiewicz tedy, podobnie jak Homer i Hezjod, budował świat nadziemski z żywiołów świata ziemskiego, Prus zaś, którego fantazja przypomina na wielu punktach wyobraźnię poetów indyjskich, a który wychodził z zasady, że „prawdy nikt nie dotknie palcem, nie dojrzy jej okiem, ale znajdzie ją duchem i w duchu", stawiał kwestje nadzmysłowe na czysto transcendentalnym gruncie i albo rozwijał je w sposób filozoficzny, albo też ubierał w formy oryginalnych symbolów i alegoryj.

VII.

Dla uzupełnienia paraleli, musimy jeszcze rozpatrzeć, jak ci dwaj pisarze traktowali trzy ważne czynniki twórczości poetyckiej, a mianowicie: miłość, humor i cierpienie.

Co do miłości, to w najdojrzalszych pracach Sienkiewicza odgrywa ona rolę dominującą. Wygłosiwszy w młodzieńczym swoim utworze pod tyt.: „Na marne“ (1879) zdanie, że „ nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś, jak ptak, odleci, a siły idą na marne“, — zmienił Sienkiewicz później pogląd na tę kwestję i w prześlicznej noweli pod tyt. „U źródła“ (1894) twierdzi stanowczo, że „takie życie, którego miłość, nawet jako sen, nie nawiedzi, jest gorzkie“. „Gdyby przyszedł jaki genjalny matematyk i obliczył miłość na pieniądze — dopiero wzięlibyśmy się za głowy, co to za bogactwo!“

To też w każdem z arcydzieł wielkiego realisty miłość należy do żywiołów, nietylko pierwszorzędnych, lecz traktowanych z pewną predylekcją, idealizowanych, pieszczonych i pielęgnowanych przez autora, niekiedy nawet kosztem innych czynników.

W „Bez dogmatu“ np. struna erotyczna brzmi tak silnie, że przytłumia wkońcu inne, niemniej ważne, nuty.

W „Trylogji“, w „Rodzinie Połanieckich“, w mnóstwie nowel i alegoryj („U źródła“, „Wyrok Zeusa“, „Bądź błogosławiona“), oraz w „Quo vadis“ — wszędzie mówi się o niej z poetycznem rozrzewnieniem, z pietyzmem prawie.

Inaczej wygląda erotyzm u Prusa. Rozpatrując zjawiska życiowe z wysokiego stanowiska filozoficznego, widzi on w miłości nie przedmiot kultu, lecz wielką potęgę żywiołową, podobną do innych rodzajów energji powszechnej i dążącą, przy pomocy ludzi, do spełnienia pewnych celów kosmicznych.

Uważając ludzkość za „sieć, wyławiającą ducha z natury“, a kobiety za „węzły owej sieci“, sądzi on, że miłości nie można brać w oderwaniu od całego układu faktów przyrodniczo-moralnych, lecz trzeba ją traktować, jako jeden z wielu motorów ciągłej ewolucji wszechświata.

Dlatego też u Sienkiewicza miłość zawsze jest czynnikiem, nietylko wszechwładnym, lecz i dobroczynnym: „dogmatem“ i talizmanem szczęścia... — Prus zaś przyznaje jej dodatnie znaczenie wtedy tylko, kiedy, jak wielka a burzliwa rzeka, ujętą będzie w granitowe tamy.

Wszyscy prawie bohaterowie Sienkiewicza kochają i znajdują w miłości zdrój zadowolenia i rozkoszy (Skrzetuski, Kmicic, Połaniecki, Petronjusz, Winicjusz etc.), a jeżeli który kończy niedobrze, to albo dlatego, że, jak Płoszowski, bał się pokochać w porę i przez to złamał sobie życie, albo też, jak Zawiłowski, dał się opętać podszeptom i wpływom ubocznym, i umiłował przypadkiem kobiete nieodpowiednią, to jest niższą od siebie moralnie i umysłowo.

U Prusa miłość rzadko występuje w szacie godowej. Już w jednym z drobniejszych utworów odmalował „przeklęte szczęście“, strzaskane przez namiętność zmysłową.

Równie fatalnem w skutkach jest wściekłe i szalone uczucie, jakie, pomimo energicznego oporu, opanowało i kruszy Wokulskiego. W „Emancypantkach“ miłość zeszła na drugi plan i także nie przedstawia się zbyt pociągająco: poczciwa Ada Solska zostaje żoną łotra; panna Howard zamienia uczucie w farsę; pani Latter zwichnęła sobie los, a Madzia i Solski — nie mogą się połączyć.

W „Faraonie“ poszedł Prus jeszcze dalej i stworzył jedyną może w literaturze europejskiej powieść, w której, poza kilku epizodami, miłość nie występuje prawie zupełnie na scenę, zajętą ciągle przez knowania polityczne i kwestje społeczno-psychologicznej natury.

VIII.

A jak się przedstawia dar, który obaj autorowie posiadają w najczystszym i najszlachetniejszym gatunku? Jak mianowicie wygląda humor u Prusa, a jak u Sienkiewicza?

Prus sam określił niegdyś naturę humorystyki literackiej wogóle — a pośrednio i swojej własnej — w sposób następujący: „Humorysta w wielkim stylu niczego nie usiłuje zdobyć, nikogo nie nawraca i nikomu nie ulega; on raczej obserwuje wszystko i wszystkich z pobłażliwym spokojem. Nie uznaje żadnych dogmatów, nie uważa nic za konieczne, ani za niemożliwe, lecz tylko za prawdopodobne. W stosunku do natury trzyma się on tej granicy, z której równie dobrze widać namacalne fakty rzeczywistości, jak i mistyczne cienie nadzmysłowego świata. W stosunku do ludzi znajduje się jakby na grzbiecie łańcucha gór, skąd po jednej stronie ciągną się łagodne zielone stoki, po drugiej skaliste otchłanie, z jednej pogoda, z drugiej słota. Dla takiej wysokości znikają równie dobrze mali, jak i wielcy, bogaci, jak i ubodzy, mędrcy, jak i prostaczkowie, a pozostaje tylko dusza ludzka, jej nikłe radości i łzy ukryte.“

Określenie powyższe jest tak szerokie, że dałoby się w nie wtłoczyć nietylko humorystykę, lecz — z pewnemi zastrzeżeniami — i całą twórczość artystyczną Prusa, w której to, co się popularnie nazywa „humorem“, zajmuje sporą, ale ograniczoną dziedzinę.

Oceniając rzeczy z wyższego, a więc zewnętrznego punktu widzenia, zachowuje Prus względny spokój ducha i rzadko bardzo pozwala swemu dobrotliwemu humorowi przerodzić się w gryzącą satyrę.

Częściej daleko zdarza się to u Sienkiewicza, który, stojąc, nie ponad życiem, lecz w samem jego wnętrzu, silniej odczuwa zło i umie je w razie potrzeby chłostać biczem bezlitosnej ironji. Za dowód może posłużyć cała, wykończona świetnie pod względem psychologicznym, grupa głupich lub zwyrodniałych kobiet w „Rodzinie Połanieckich“ (pani Broniczowa, pani Osnowska, Niteczka etc.).

Skoro zaś autor „Szkiców węglem“ przestanie szydzić, wtedy traktuje i obrabia sceny, oraz charaktery komiczne z równą werwą, lecz zarazem z wielką sympatją artystyczną: bawi się niemi sam i sprawia niemało rozkoszy czytelnikowi.

Doskonałe postacie sprytnego i dowcipnego Zagłoby, chytrego i wygadanego Chilona, głupowatego Bartka Zwycięzcy i t. d., weszły u nas do popularnej galerji figur przysłowiowych.

Humorystyczne typy i pomysły Prusa w powieściach — nie w kronikach — są niekiedy zbyt skomplikowane, żeby się mogły stać popularnemi. Taki Rzecki np. nosi w sercu całe morze uczucia, i dlatego, pomimo dużej dozy komizmu, nie rozwesela, lecz wzrusza.

Śledząc przebieg zabawnej rozmowy starego manjaka politycznego z eks-obywatelem Wirskim[1]), o kampanji włoskiej, czytelnik uśmiecha się, tłumiąc łzy, napływające mimowoli do oczu.

IX.

Różnica zapatrywań, uwydatniona przez nas przy rozbiorze kwestji humoru i miłości, występuje równie jaskrawo w poglądach pisarzów na jeden z najważniejszych problematów istnienia, a mianowicie: na ból, zło, cierpienie.

W dziełach obu autorów, podobnie, jak w życiu, więcej znajdujemy kart smutnych, niżeli wesołych, więcej rozpaczy, niżeli radości.

W pierwszych swoich utworach odtwarzali obaj, z głębokiem współczuciem, niedole i troski biednych, drobnych, wydziedziczonych istot („Szkice węglem“, „Pamiętnik nauczyciela“, „Jamioł“, „Bartek Zwycięzca“, „Latarnik“, „Janko muzykant“, — „Anielka“, „Kamizelka“, „Sieroca dola“, „Michałko“, „Antek“).

Później, rozszerzywszy horyzont swych obserwacyj, malowali męczarnie dusz wielkich i silnych, odtwarzali jęki nadczułych i pozbawionych nadziei jednostek, lub też opowiadali tragiczne dzieje monarchów, bohaterów i narodów.

Jaką jednak rolę wyznaczał każdy z nich cierpieniu?

Sienkiewicz, jak zwykle, nie rozwiązywał kwestji teoretycznie, tylko dał szereg wstrząsających scen i dramatycznych obrazów, z których można pośrednio wyciągać wnioski o poglądach artysty na przedmiot, w mowie będący.

Otóż, jak się zdaje, autor „Bez dogmatu“ uważa cierpienie za rzecz, ze względu na niedoskonały ustrój świata, konieczną, ale bynajmniej nie pożądaną: za dopust boży, za wynik osobistych albo narodowych błędów i t. p., ale w każdym razie za czynnik n e g a t y w n y, bez którego ludzkość czułaby się swobodniejszą i lepszą.

„Życie tyle jest warte — powiada w noweli „U źródła“ — ile w niem jest szczęścia“. I dlatego właśnie ceni tak wysoko

[1]) „Lalka“, II.

miłość, że widzi w niej „ogromny kapitał, niewyczerpane źródło owego szczęścia".

Prus nietylko odtwarzał ból i niedolę ludzką, lecz, swoim zwyczajem, zapragnął zbadać ich cel, oraz przyczynę, i doszedł do przekonania, że cierpienie posiada pewną, i to niemałą, wartość p o z y t y w n ą.

Na pierwszy rzut oka wyda się to paradoksalnem; rozpatrywana jednak ze stanowiska transcendentalnego, kwestja sprawia wrażenie logiczne, a zarazem staje się zgodną z całym systematem filozoficznych poglądów Prusa.

W jednym z drobniejszych, lecz bardzo pięknych i głębokich utworów, wyłożył autor swoją teorję w sposób symboliczny, ale tak prosty i zrozumiały, że wystarczy przytoczyć odpowiednie ustępy bez wszelkich komentarzy.

Rzecz dzieje się na „tamtym" świecie. Prowizoryczny nieboszczyk, ubogi student medycyny, pyta sam siebie: „Naco w życiu ludzkiem są cierpienia, a naco radości?"

Gdy to pomyślał, ujrzał ciemną kuźnię, gdzie jeden olbrzym dął miechem w ognisko, z którego wyskakiwały iskierki mniejsze od maku, drugi chwytał iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych, jak karmelicka bania.

Iskry — to były dusze ludzkie, granit wyobrażał — ciało.

Trzeci olbrzym brał granitowe kule z zamkniętemi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfuntowego młota, dziurawił granit aż do środka.

„Za każdem uderzeniem granit j ę c z a ł i p ł a k a ł k r w a w e m i ł z a m i. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze; tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami, albo więdła, a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która wystawiona na powietrze znowu rosła. I tak wciąż!"

Zdumiony student zapytał olbrzyma: co robi i kim jest?

„Pomagam rozwijać się duszom — odpowiada widmo — a jestem C i e r p i e n i e. Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które ś p i ą w bryle m a t e r j i."

To nietylko głębokie, lecz i jasne.

Cierpienie jest ważnym czynnikiem ewolucyjnym, nie należy mu więc złorzeczyć. Nietylko w fizycznym, lecz i w moralnym świecie, nic zginąć nie może, a skutki, nie dające się wymierzyć zmysłowemi środkami, trwają jednak i działają w sferach niedostępnych badaniu, a mimo to realnych i prawdziwych...

X.

Z szeregu powyższych zestawień widać, że Sienkiewicz i Prus — to talenty wielkie, lecz różnorodne w typie, dążeniach i formie.

Obaj są poetami pierwszej wody, ale kiedy Sienkiewicz idealizuje świat zmysłowy, wykazując, ile w nim jest ładu, składu i piękna, Prus, mniej nieco czuły na harmonję zewnętrzną, stara się natomiast uchylić rąbek zasłony, skrywającej wewnętrzny porządek istnienia.

Z „Faraona".

W nocy z 14-go na 15-ty Paofi, arcykapłan Samentu, stosownie do obietnicy, danej faraonowi, wszedł sobie tylko znanym kurytarzem do Labiryntu. Miał w ręku pęk pochodni, z których jedna paliła się, a na plecach niewielki koszyk z przyborami.

Samentu bardzo łatwo przechodził z sali do sali, z kurytarza na kurytarz, jednem dotknięciem usuwając kamienne tafle w kolumnach i ścianach, gdzie były drzwi ukryte. Niekiedy wahał się, lecz wówczas odczytywał tajemnicze znaki na ścianach i porównywał je ze znakami na paciorkach, które miał na szyi.

Po półgodzinnej podróży znalazł się w skarbcu, skąd usunąwszy taflę w podłodze, dostał się do sali, leżącej pod spodem. Sala była niska, lecz obszerna, a jej sufit opierał się na mnóstwie przysadkowatych kolumn.

Samentu położył koszyk i, zapaliwszy dwie pochodnie, przy ich świetle zaczął odczytywać napisy ścienne.

„Mimo podłej postaci — mówił jeden napis — jestem prawdziwy syn bogów, gdyż gniew mój jest straszny.

Na dworze zamieniam się w słup ognia i czynię błyskawicę. Zamknięty, jestem grzmotem i zniszczeniem, i niema budowli, która oparłaby się mojej potędze.

Ułagodzić mnie może tylko święta woda, która odbiera mi moc. Ale gniew mój tak dobrze rodzi się z płomienia, jak i z najmniejszej iskry.

Wobec mnie wszystko skręca się i upada. Jestem jak Tyfon, który obala najwyższe drzewa i podnosi kamienie."

— Słowem, każda świątynia ma swoją tajemnicę, której inne nie znają!... — rzekł do siebie Samentu.

Otworzył jedną kolumnę i wydobył z niej duży garnczek. Garnczek miał pokrywę, przylepioną woskiem, tudzież otwór, przez który przechodził długi a cienki sznurek, niewiadomo gdzie kończący się wewnątrz kolumny.

Samentu odciął kawałek sznurka, przytknął go do pochodni i spostrzegł, że sznur spala się bardzo prędko, wydając syczenie.

Teraz ostrożnie zdjął nożem pokrywę i zobaczył, wewnątrz garnka, niby piasek i kamyki popielatej barwy. Wydobył parę kamyków i, odszedłszy na bok, przytknął pochodnię. W jednej chwili buchnął duży płomień i kamyki znikły, zostawiając po sobie gęsty dym i przykry zapach.

Samentu wyjął znowu trochę popielatego piasku, wysypał na posadzkę, umieścił wśród niego kawałek sznura, który znalazł przy garnku, i — wszystko to nakrył ciężkim kamieniem. Potem zbliżył pochodnię, sznur zatlił się i po chwili — kamień wśród płomieni podskoczył do góry.

— Mam już tego syna bogów!... — rzekł z uśmiechem Samentu. — Skarbiec nie zapadnie się...

Zaczął chodzić od kolumny do kolumny, otwierać tafle i z wnętrza wydobywać ukryte garnki. Przy każdym był sznur, który Samentu przecinał, a garnki odstawiał na bok...

— No — mówił kapłan — jego świątobliwość mógłby darować mi połowę tych skarbów, a przynajmniej... syna mego zrobić nomarchą!... I z pewnością zrobi, gdyż jest to wspaniałomyślny władca... Mnie zaś należy się, co najmniej, świątynia Amona w Tebach...

Zabezpieczywszy w ten sposób salę dolną, Samentu wrócił do skarbca, a stamtąd wszedł do sali górnej. Tam również były napisy na ścianach, liczne kolumny, a w nich garnki, zaopatrzone w sznury i napełnione kamykami, które, przy zetknięciu się z ogniem, wybuchały.

Samentu poprzecinał sznury, powydobywał garnki z wnętrza kolumn i szczyptę popielatego piasku zawiązał w gałganek.

Potem zmęczony usiadł. Wypaliło mu się sześć pochodni; noc musiała się już zbliżać ku końcowi.

— Nigdybym nie przypuszczał — mówił do siebie, — że tutejsi kapłani mają tak dziwny materjał?... Przecie możnaby rozwalać nim asyryjskie fortece!... No, my także nie wszystko ogłaszamy naszym uczniom...

Strudzony począł marzyć. Teraz był pewny, że zajmie najwyższe stanowisko w państwie, potężniejsze od tego, jakie zajmował Herhor.

Co wtedy zrobi?... Bardzo wiele. Zabezpieczy mądrość i majątek swoim potomkom. Postara się o wydobycie tajemnic ze

wszystkich świątyń, co w nieograniczony sposób umocni jego władzę, a Egiptowi zapewni przewagę nad Asyrją.

Młody faraon drwi z bogów, to ułatwi mu ustanowienie czci dla jednego boga, naprzykład Ozyrysa, i połączenie Fenicjan, Żydów, Greków i Libijczyków w jedno państwo — z Egiptem.

Współcześnie przystąpi do robót nad kanałem, który ma połączyć morze Czerwone z Śródziemnem. Gdy wzdłuż kanału pobuduje się fortece i nagromadzi dużo wojska, cały handel z nieznanemi ludami Wschodu i Zachodu wpadnie w ręce Egipcjan.

Trzeba też posiadać własną flotę i majtków egipskich... A nadewszystko trzeba zgnieść Asyrję, która z każdym rokiem staje się niebezpieczniejszą... Trzeba ukrócić zbytki i chciwość kapłanów... Niechaj będą mędrcami, niech mają dostatek, ale niech służą państwu, zamiast, jak dziś, wyzyskiwać je na swą korzyść...

— Już w miesiącu Hator — mówił w sobie — będę władcą!... Młody pan zanadto lubi kobiety i wojsko, aby mógł zajmować się rządami... A jeżeli nie będzie miał synów, wówczas mój syn, mój syn...

Ocknął się. Jeszcze jedna pochodnia spłonęła i był wielki czas do opuszczenia podziemiów.

Podniósł się, zabrał swój koszyk i opuścił salę nad skarbcem.

— Nie potrzebuję pomocników... — myślał, uśmiechając się. — Sam wszystko zabezpieczyłem... ja sam... pogardzany kapłan Seta!...

Minął już kilkadziesiąt komnat i kurytarzy, gdy nagle stanął... Zdawało mu się, że na posadzce sali, do której wszedł, widzi cienką smugę światła...

W jednej chwili ogarnęła go tak straszna trwoga, że zgasił pochodnię. Lecz i smuga na posadzce znikła.

Samentu wytężył słuch, ale słyszał tylko bicie tętna we własnej głowie.

— Przywidziało mi się!... — rzekł.

Drżącemi rękoma wydobył z kosza małe naczynie, gdzie powoli tliła się hubka, i znowu zapalił pochodnię.

— Jestem bardzo senny!... — pomyślał.

Rozejrzał się po sali i podszedł do ściany, w której były ukryte drzwi. Nacisnął gwóźdź, drzwi nie uchyliły się. Drugi... trzeci nacisk... nic...

— Co to znaczy? — rzekł do siebie zdumiony.

Już zapomniał o świetlnej smudze. Zdawało mu się, że spotkał go nowy, niesłychany wypadek. Tyle setek drzwi ukrytych otwierał w swem życiu, tyle ich otworzył w Labiryncie, że poprostu nie mógł pojąć obecnego oporu.

Wtem znowu ogarnął go strach. Zaczął biegać od ściany do ściany i wszędzie próbować ukrytych drzwi. Wreszcie jedne ustąpiły. Samentu głęboko odetchnął i znalazł się w ogromnej sali, jak zwykle, przepełnionej kolumnami. Jego pochodnia rozświetlała zaledwie część przestrzeni, której ogromna reszta ginęła w gęstym mroku.

Ciemność, las kolumn, a nadewszystko nieznajomość sali dodała kapłanowi otuchy. Na dnie jego trwogi zbudziła się iskra naiwnej nadziei: zdawało mu się, że ponieważ on nie zna tego miejsca, więc i nikt go nie zna, nikt tu nie trafi...

Uspokoił się nieco i uczuł, że nogi gną się pod nim. Więc usiadł. Lecz znowu zerwał się i począł obzierać się dokoła, jak gdyby chciał sprawdzić: czy istotnie grozi mu niebezpieczeństwo i — skąd?... Z którego z tych ciemnych kątów wyjdzie ono, aby rzucić się na niego?

Samentu, jak nikt w Egipcie, był oswojony z podziemiami, ciemnością, zbłąkaniem... Przechodził też różne niepokoje w życiu. Ale to, czego doznawał obecnie, było czemś zupełnie nowem i tak strasznem, że kapłan bał się nadać temu właściwe nazwisko.

Wkońcu z wielkim wysiłkiem zebrał myśli i rzekł:

— Gdybym naprawdę widział światło... gdyby naprawdę ktoś pozamykał drzwi, byłbym zdradzony... A w takim razie co?...

Śmierć!... — szeptał mu głos, ukryty gdzieś na dnie duszy.

Śmierć?...

Pot wystąpił mu na twarz; zatamował mu się oddech. I nagle opanowało go szaleństwo strachu. Zaczął biegać po sali i uderzać pięścią w mury, szukając wyjścia. Już zapomniał, gdzie jest i jak się tu dostał; stracił kierunek, a nawet możność orjentowania się zapomocą paciorków.

Zarazem poczuł, że jest w nim jakby dwu ludzi: jeden prawie obłąkany, drugi spokojny i mądry. Ten mądry tłumaczył sobie, że wszystko może być przywidzeniem, że nikt go nie odkrył, nikt go nie szuka i że wyjdzie stąd, byle nieco ochłonął. Ale ten pierwszy, obłąkany, nie słuchał głosu rozsądku, owszem, z każdą chwilą brał górę nad swoim antagonistą wewnętrznym.

O, gdyby można było ukryć się w tej kolumnie!... Niechby wówczas szukali... Choć zapewne niktby go nie szukał i nie znalazł, a on, przespawszy się, odzyskałby panowanie nad sobą.

— Cóż mnie tu może spotkać? — mówił, wzruszając ramionami. — Bylebym uspokoił się, mogą mnie gonić po całym Labiryncie... Wszak do przecięcia wszystkich dróg trzebaby kilku tysięcy ludzi, a do wskazania, w której celi jestem — chyba cudu!...

No, ale przypuśćmy, że złapią mnie... Więc i cóż!... Biorę ten oto flakonik, przykładam do ust i w jednej chwili uciekam tak, że mnie już nikt nie złapie... Nawet bogowie...

Lecz, pomimo rozumowań, znowu schwyciła go tak straszna trwoga, że po raz drugi zgasił pochodnię i, drżąc, szczękając zębami, wcisnął się pod jedną z kolumn.

— Jak można... jak można było wchodzić tutaj!... — mówił do siebie. — Alboż nie miałem czego jeść... na czem wesprzeć głowy?.... Prosta rzecz, że jestem odkryty... Przecież Labirynt posiada mnóstwo czujnych, jak psy, dozorców i, tylko dziecko albo głupiec mógłby myśleć o oszukaniu ich!...

Majątek, władza!... Gdzież jest taki skarb, za który wartoby oddać jeden dzień życia?...

I oto ja, człowiek w sile wieku, naraziłem swoje...

Zdawało mu się, że usłyszał ciężkie stuknięcie. Zerwał się i — w głębi sali — zobaczył blask!...

Tak jest: blask rzeczywisty, nie złudzenie... W odległej ścianie, gdzieś na końcu, stały otwarte drzwi, przez które w tej chwili ostrożnie wchodziło kilku zbrojnych ludzi z pochodniami.

Na ten widok kapłan uczuł zimno w nogach, w sercu, w głowie... Już nie wątpił, że nietylko jest odkryty, ale ścigany i otoczony.

Kto mógł go zdradzić?... Rozumie się, że tylko jeden człowiek: młody kapłan Seta, którego wtajemniczył dość szczegółowo w swoje plany. Zdrajca sam z miesiąc musiałby szukać drogi w Labiryncie; ale gdyby porozumiał się z dozorcami, mogli Samentu wytropić w jeden dzień...

W tej chwili arcykapłan doznał wrażeń, znanych tylko ludziom, którzy stają w obliczu śmierci. Przestał się bać, gdyż jego urojone trwogi pierzchły wobec rzeczywistych pochodni... I nietylko odzyskał panowanie nad sobą, ale nawet poczuł się nieskończenie wyższym od wszystkiego, co żyje... Za chwilę już nie będzie mu groziło żadne... żadne niebezpieczeństwo!...

Myśli przebiegały mu przez głowę z szybkością i jasnością błyskawic. Ogarnął całe swoje istnienie: prace, niebezpieczeństwa, nadzieje i ambicje i — wszystko to wydawało mu się drobiazgiem. Bo i coby mu przyszło, gdyby w tej chwili był nawet faraonem, albo posiadał klejnoty wszystkich skarbów królewskich?...

Wszystko to marność, pył, a nawet gorzej, bo złudzenie. Jedna tylko rzecz jest wielka i realna — śmierć...

Tymczasem ludzie z pochodniami, pilnie oglądając kolumny i zakątki, doszli już do połowy ogromnej sali. Kapłan widział nawet ostrza ich włóczni i poznał, że wahają się, że posuwają się naprzód ze strachem i niechęcią. O kilka kroków za nimi szła inna grupa osób, oświetlona jedną pochodnią.

Samentu nawet nie czuł do nich niechęci, tylko ciekawość: kto mógł go zdradzić? Ale i ta kwestja niebardzo go obchodziła; wydawało mu się bowiem nierównie ważniejszem pytanie: dlaczego człowiek musi umierać i — poco się rodził?... Gdyż, wobec faktu śmierci, całe życie skraca się w jedną chwilkę bolesną, choćby było najdłuższem i najbogatszem w doświadczenia.

— Poco to?... Naco to?...

Otrzeźwił go głos jednego ze zbrojnych.

— Tu nikogo niema i być nie może!...

Zbrojni stanęli. Samentu poczuł, że kocha tych ludzi i — serce w nim uderzyło.

Powoli nadciągnęła druga grupa osób, w której spierano się.

— Jak nawet wasza dostojność może przypuszczać, że tu ktoś wszedł?... — mówił głos drgający gniewem. — Przecież wszystkie wejścia są pilnowane, osobliwie teraz. A gdyby nawet kto zakradł się, to chyba poto, ażeby umrzeć z głodu...

— A jednak patrz, wasza dostojność, na zachowanie się Lykona — odparł drugi głos. — Śpiący wciąż wygląda tak, jakby nieprzyjaciela czuł blisko...

— „Lykon?... — myślał Samentu. — Ach, to ten Grek podobny do faraona... Co widzę?... nawet Mefres go tu przyprowadził...“

W tej chwili śpiący Grek rzucił się naprzód i stanął przed kolumną, za którą ukrywał się Samentu. Zbrojni pobiegli za nim, a blask ich pochodni oświetlił czarną figurę kapłana.

— Kto tu?... — krzyknął chrapliwym głosem dowódca.

Samentu wysunął się. Jego widok zrobił tak silne wrażenie, że ludzie z pochodniami cofnęli się. Mógłby przejść między prze-

rażonymi i niktby go nie zatrzymał; ale kapłan już nie myślał o ucieczce.

— A co, czy mylił się mój jasnowidzący?... — zawołał Mefres, wyciągając rękę. — Oto zdrajca!...

Samentu zbliżył się do niego z uśmiechem i rzekł:

— Poznałem cię po tym okrzyku, Mefresie. Gdy nie możesz być oszustem, jesteś tylko głupcem...

Obecni osłupieli; Samentu mówił ze spokojną ironją:

— Choć prawda, że w tej chwili jesteś i oszustem i głupcem. Oszustem, bo wmawiasz w dozorców Labiryntu, że ten łotr ma dar podwójnego widzenia; a głupcem, bo myślisz, że ci uwierzą. Lepiej odrazu powiedz, że i w świątyni Ptah znajdują się dokładne plany Labiryntu...

— To fałsz!... — zawołał Mefres.

— Zapytaj tych ludzi, komu uwierzą: tobie, czy mnie? Ja jestem tutaj, gdyż znalazłem plany w świątyni Seta, ty przyszedłeś z łaski nieśmiertelnego Ptah... — zakończył Samentu, śmiejąc się.

— Zwiążcie tego zdrajcę i kłamcę!... — krzyknął Mefres.

Samentu cofnął się o parę kroków. Szybko wydobył z pod odzieży flakonik i, podnosząc go do ust, rzekł:

— Mefresie, ty do śmierci będziesz głupi... Spryt masz tylko wówczas, gdy chodzi o pieniądze...

Przytknął do ust flakonik i upadł na posadzkę.

Zbrojni rzucili się na niego, podnieśli, ale już leciał im przez ręce.

— Niechże tu zostanie, jak inni... — rzekł dozorca Labiryntu.

Z legend dawnego Egiptu.

Patrzcie, jak marne są ludzkie nadzieje wobec porządku świata! patrzcie, jak marne są wobec wyroków, które ognistemi znakami wypisał na niebie Przedwieczny!...

Stuletni Ramzes, potężny władca Egiptu, dogorywał. Na pierś mocarza, przed którego głosem pół wieku drżały miljony, padła dusząca zmora i wypijała mu krew z serca, siłę z ramienia, a chwilami nawet przytomność z mózgu. Leżał, jak powalony cedr, wielki faraon, na skórze indyjskiego tygrysa, okrywszy nogi triumfalnym płaszczem króla Etjopów. A surowy był nawet dla siebie, zawołał najmędrszego lekarza ze świątyni w Karnaku i rzekł:

— Wiem, że znasz tęgie lekarstwa, które albo zabijają, albo odrazu leczą. Przyrządź mi jedno z nich, właściwe mojej chorobie, i niech mi się to raz skończy... tak albo owak.

Lekarz wahał się.

— Pomyśl, Ramzesie — szepnął — że od chwili twego zstąpienia z wysokich niebios, Nil wylewał już sto razy; mogęż ci zadać lekarstwo, niepewne nawet dla najmłodszego z twoich wojowników?

Ramzes aż usiadł na łożu.

— Snać jestem bardzo chory — zawołał — kiedy ty, kapłanie, ośmielasz się dawać mi rady! Milcz i spełnij, com kazał. Żyje przecież trzydziestoletni wnuk mój i następca, Horus; Egipt zaś nie może mieć władcy, któryby nie dosiadł wozu i nie dźwignął oszczepu.

Gdy kapłan drżącą ręką podał mu straszne lekarstwo, Ramzes wypił je, jak spragniony pije kubek wody; potem zawołał do siebie najsłynniejszego astrologa z Teb i kazał szczerze opowiedzieć, co tam pokazują gwiazdy.

— Saturn połączył się z Księżycem — odparł mędrzec — co zapowiada śmierć członka twojej dynastji, Ramzesie. Źle zrobiłeś, pijąc dzisiaj lekarstwo, bo puste są ludzkie plany wobec wyroków, które na niebie zapisuje Przedwieczny.

— Naturalnie, że gwiazdy zapowiedziały moją śmierć — odparł Ramzes. — I kiedyż to może nastąpić? — zwrócił się do lekarza.

— Przed wschodem słońca, Ramzesie, albo będziesz zdrów jak nosorożec, albo twój święty pierścień znajdzie się na ręce Horusa.

— Zaprowadźcie — rzekł Ramzes cichnącym już głosem — Horusa do sali faraonów; niech tam czeka na moje ostatnie słowa i na pierścień, ażeby w sprawowaniu władzy ani na chwilę nie było przerwy.

Zapłakał Horus (miał on serce pełne litości) nad bliską śmiercią dziada; ale że w sprawowaniu władzy nie mogło być przerwy, więc poszedł do sali faraonów, otoczony liczną zgrają służby.

Usiadł na ganku, którego marmurowe schody biegły wdół aż do rzeki i, pełen nieokreślonych smutków, przypatrywał się okolicy.

Właśnie księżyc, przy którym tliła się złowroga gwiazda Saturn, złocił spiżowe wody Nilu, na łąkach i ogrodach malował

cienie olbrzymich piramid i na kilka mil wokoło oświetlał całą dolinę. Mimo późnej nocy, w chatach i gmachach płonęły lampy, a ludność pod otwarte niebo wyszła z domów. Po Nilu snuły się łódki gęsto, jak w dzień świąteczny; w palmowych lasach, nad brzegami wody, na rynkach, na ulicach i obok pałacu Ramzesa falował niezliczony tłum. A mimo to była cisza taka, że do Horusa dolatywał szmer wodnej trzciny i jękliwe wycie szukających żeru hien.

— Czemu oni tak się gromadzą? — spytał Horus jednego z dworzan, wskazując niezmierzone łany głów ludzkich.

— Chcą w tobie, panie, przywitać nowego faraona i z twoich ust słyszeć o dobrodziejstwach, jakie im przeznaczyłeś.

W tej chwili pierwszy raz o serce księcia uderzyła duma wielkości, jak o brzeg stromy uderza nadbiegające morze.

— A tamte światła co znaczą? — pytał dalej Horus.

— Kapłani poszli do grobu twej matki, Zefory, ażeby zwłoki jej przenieść do faraońskich katakumb.

W sercu faraona na nowo zbudził się żal po matce, której szczątki — za miłosierdzie okazywane niewolnikom — srogi Ramzes pogrzebał między niewolnikami.

— Słyszę rżenie koni — rzekł Horus, nasłuchując — kto wyjeżdża o tej godzinie?

— Kanclerz, panie, kazał przygotować gońców po twojego nauczyciela, Jetrona.

Horus westchnął na wspomnienie ukochanego przyjaciela, którego Ramzes wygnał z kraju za to, że w duszy wnuka i następcy szerzył odrazę do wojen, a litość dla uciśnionego ludu.

— A tamto światełko za Nilem?...

— Tamtem światłem, o Horusie! — odparł dworzanin — pozdrawia cię z klasztornego więzienia wierna Berenika. Już arcykapłan wysłał po nią łódź faraońską; a gdy święty pierścień błyśnie na twojej ręce, otworzą się ciężkie drzwi klasztorne, i powróci do ciebie stęskniona i kochająca.

Usłyszawszy takie słowa, Horus już o nic nie pytał; umilkł i zakrył ręką oczy.

Nagle syknął z bólu.

— Co ci jest, Horusie?

— Pszczoła ukąsiła mię w nogę — odparł pobladły książę.

Dworzanin przy zielonawym blasku księżyca obejrzał mu nogę.

— Podziękuj Ozyrysowi — że to nie pająk, którego jad o tej porze bywa śmiertelny.

O! jakże marne są ludzkie nadzieje wobec niecofnionych wyroków...

W tej chwili wszedł wódz armji i, skłoniwszy się Horusowi, powiedział:

— Wielki Ramzes, czując, że mu już stygnie ciało, wysłał mnie do ciebie z rozkazem: „Idź do Horusa, bo mnie niedługo na świecie, i spełniaj jego wolę, jak moją spełniałeś. Choćby kazał ci ustąpić Górny Egipt Etjopom i zawrzeć z tymi wrogami sojusz braterski, wykonaj to, gdy mój pierścień ujrzysz na jego ręce; bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys".

— Nie oddam Egiptu Etjopom — rzekł książę — ale zawrę pokój, bo mi żal krwi mego ludu; napisz zaraz edykt i trzymaj w garści konnych gońców, aby, gdy błysną pierwsze ognie na cześć moją, polecieli w stronę południowego słońca i zanieśli łaskę Etjopom. I napisz jeszcze drugi edykt, że od tej godziny aż do końca czasów żadnemu jeńcowi nie ma być wyrywany język z ust jego na polu bitwy. Tak powiedziałem.

Wódz upadł na twarz, a potem cofnął się, aby napisać rozkazy; książę zaś polecił dworzaninowi znowu obejrzeć swoją ranę, gdyż bardzo go bolała.

— Trochę spuchła ci noga, Horusie — rzekł dworzanin. — Cóżby się stało, gdyby zamiast pszczoły ukąsił cię pająk!...

Teraz wszedł do sali kanclerz państwa i, skłoniwszy się księciu, mówił:

— Potężny Ramzes, widząc, że już mu się wzrok zaćmiewa, odesłał mnie do ciebie z rozkazem: „Idź do Horusa i ślepo spełniaj jego wolę. Choćby ci kazał spuścić z łańcucha niewolników, a lud obdarować wszystką ziemią, uczynisz to, gdy zobaczysz na jego ręce mój święty pierścień, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys".

— Tak daleko nie sięga serce moje — rzekł Horus. — Ale zaraz napisz mi edykt, jako ludowi zniża się czynsz dzierżawny i podatki o połowę, a niewolnicy będą mieli trzy dni na tydzień wolne od pracy i bez wyroku sądowego nie będą bici kijem po grzbietach. I jeszcze napisz edykt, odwołujący z wygnania mego nauczyciela, Jetrona, który jest najmędrszym i najszlachetniejszym z Egipcjan. Tak powiedziałem.

Kanclerz upadł na twarz, lecz, nim zdążył cofnąć się dla napisania edyktów, wszedł arcykapłan.

— Horusie — rzekł — lada chwila wielki Ramzes odejdzie do państwa cieniów, i serce jego na nieomylnej szali zważy Ozyrys. Gdy zaś święty pierścień faraonów błyśnie na twojej ręce, rozkazuj, a słuchać cię będę, choćbyś obalić miał cudną świątynię Amona, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys.

— Nie burzyć — odrzekł Horus — lecz wznosić będę nowe świątynie i zwiększać skarbiec kapłański. Żądam tylko, abyś napisał edykt o uroczystem przewiezieniu zwłok matki mojej Zefory do katakumb i drugi edykt... o uwolnieniu ukochanej Bereniki z klasztornego więzienia. Tak powiedziałem.

— Mądrze poczynasz — odparł arcykapłan. — Do spełnienia tych rozkazów wszystko już przygotowane, a edykty zaraz napiszę; gdy ich dotkniesz pierścieniem faraonów, zapalę tę oto lampę, aby zwiastowała ludowi łaski, a twojej Berenice wolność i miłość.

Wszedł najmędrszy lekarz z Karnaku.

— Horusie — rzekł — nie dziwi mnie twoja bladość, gdyż Ramzes, dziad twój, już kona. Nie mógł znieść potęgi lekarstwa, którego mu dać nie chciałem, ten mocarz nad mocarze. Został więc przy nim tylko zastępca arcykapłana, aby, gdy umrze, zdjąć święty pierścień z jego ręki i tobie go oddać na znak nieograniczonej władzy. Ale ty bledniesz coraz mocniej, Horusie?... — dodał.

— Obejrzyj mi nogę — jęknął Horus i upadł na złote krzesło, którego poręcze wyrzeźbione były w formę głów jastrzębich.

Lekarz ukląkł, obejrzał nogę i cofnął się przerażony.

— Horusie — szepnął — ciebie ukąsił pająk bardzo jadowity.

— Miałżebym umrzeć?... w takiej chwili?... — spytał ledwie dosłyszalnym głosem Horus.

A później dodał:

— Prędkoż to może się stać?... powiedz prawdę...

— Nim księżyc schowa się za tę oto palmę...

— Ach, tak!... A Ramzes długo jeszcze żyć będzie?...

— Czy ja wiem?... Może już niosą ci jego pierścień.

W tej chwili weszli ministrowie z gotowemi edyktami.

— Kanclerzu! — zawołał Horus, chwytając go za rękę — czy, gdybym zaraz umarł, spełnilibyście moje rozkazy?

— Dożyj, Horusie, wieku twego dziada! — odparł kanclerz. — Lecz, gdybyś nawet zaraz po nim stanął przed sądem Ozyrysa,

każdy twój edykt będzie wykonany, byleś go dotknął świętym pierścieniem faraonów.

— Pierścieniem! — powtórzył Horus — ale gdzie on jest?...

— Mówił mi jeden z dworzan — szepnął naczelny wódz — że wielki Ramzes już wydaje ostatnie tchnienie.

— Posłałem do mego zastępcy — dodał arcykapłan — aby natychmiast, gdy Ramzesowi serce bić przestanie, zdjął pierścień.

— Dziękuję wam!... — rzekł Horus. — Żal mi.... ach, jak żal... Ale przecie nie wszystek umrę... Zostaną po mnie błogosławieństwa, spokój, szczęście ludu, i... moja Berenika odzyska wolność... Długo jeszcze?... spytał lekarza.

— Śmierć jest od ciebie na tysiąc kroków żołnierskiego chodu odparł smutno lekarz.

— Nie słyszycie?... nikt stamtąd nie idzie?... — mówił Horus.

Milczenie.

Księżyc zbliżał się do palmy i już dotknął pierwszych jej liści; miałki piasek cicho szeleścił w klepsydrach.

— Daleko?... — szepnął Horus.

— Osiemset kroków — odparł lekarz — nie wiem, Horusie, czy zdążysz dotknąć wszystkich edyktów świętym pierścieniem, choćby ci go zaraz przynieśli...

— Podajcie mi edykty — rzekł książę, nasłuchując, czy nie biegnie kto z pokojów Ramzesa. — A ty kapłanie — zwrócił się do lekarza — mów, ile mi życia zostanie, abym mógł zatwierdzić przynajmniej najdroższe mi zlecenia.

— Sześćset kroków — szepnął lekarz.

Edykt o zmniejszeniu czynszów ludowi i pracy niewolnikom wypadł z rąk Horusa na ziemię.

— Pięćset...

Edykt o pokoju z Etjopami zsunął się z kolan księcia.

— Nie idzie kto?...

— Czterysta... — odpowiedział lekarz.

Horus zamyślił się, i... spadł rozkaz o przewiezieniu zwłok Zefory.

— Trzysta...

Ten sam los spotkał edykt o odwołaniu Jetrona z wygnania.

— Dwieście...

Horusowi zsiniały usta. Skurczoną ręką rzucił na ziemię edykt o niewyrywaniu języków wziętym do niewoli jeńcom, a zostawił tylko... rozkaz oswobodzenia Bereniki.

— Sto...

Wśród grobowej ciszy usłyszano stuk sandałów. Do sali wbiegł zastępca arcykapłana. Horus wyciągnął rękę.

— Cud!... — zawołał przybyły. — Wielki Ramzes odzyskał zdrowie... Podniósł się krzepko z łoża i o wschodzie słońca chce jechać na lwy... Ciebie zaś, Horusie, na znak łaski, wzywa, abyś mu towarzyszył...

Horus spojrzał gasnącym wzrokiem za Nil, gdzie błyszczało światło w więzieniu Bereniki, i dwie łzy, krwawe łzy stoczyły mu się po twarzy.

— Nie odpowiadasz, Horusie?... — spytał zdziwiony posłaniec Ramzesa.

— Czyliż nie widzisz, że umarł? — szepnął najmędrszy lekarz z Karnaku.

Patrzcie tedy, że marne są ludzkie nadzieje wobec wyroków, które Przedwieczny ognistemi znakami wypisuje na niebie...

ELIZA ORZESZKOWA

ELIZA ORZESZKOWA

(urodz. w r. 1842 w Grodzieńszczyźnie, † 18. V. 1910 w Grodnie).

Wydała oddzielnie: Pan Graba 1872. Na dnie sumienia 1873. Marta 1873. Eli Makower. 1875. Pompalińscy 1875. Meir Ezofowicz 1878. Widma 1881. Sylwek Cmentarnik 1882. Pierwotni 1883. Mirtala 1886. Niziny 1886. Dziurdziowie 1888. Nad Niemnem 1888. Cham 1889. Z różnych sfer (1880, 1886). Panna Antonina 1888. Dobra pani 1888. W zimowy wieczór 1888. Drobiazgi 1888. Czciciel potęgi 1891. Jędza 1891. Bene nati 1891. Westalka 1891. Dwa bieguny 1893. Australczyk 1895. Melancholicy 1896. Pieśń przerwana 1896. Iskry 1898. Argonauci 1899. Chwile 1901. Anastazja 1903. Ad astra (z J. Romskim) 1904. I pieśń niech zapłacze 1905. Gloria victis 1910.

Wydanie zbiorowe (w 47 tomach) Warszawa 1884—89. Pisma (wyd. Wawelberga) 4 tomowe, Warszawa 1899. Pisma (wyd. zbiorowe) u Gebethnera i Wolffa (dotychczas wyszło tomów XVIII).

STANISŁAW TARNOWSKI O E. ORZESZKOWEJ.

Stanisław Tarnowski urodził się 7 listopada 1837 w Dzikowie. Był profesorem Uniw. krakowskiego (od r. 1872) oraz prezesem Akademji Umiejętności. Zmarł 31. XII. 1917 w Krakowie. Wydał oddzielnie: Romans polski na początku XIX w. 1871. Artur Grottger 1874. O niewydanych poezjach Fr. Wężyka 1876. Andrzej Maks. Fredro 1876. Komedje Al. Fredry 1876. Pisarze polityczni XVI w. 1886. H. Rzewuski 1887. Jan Kochanowski 1888. Zygmunt Krasiński 1893 (II wyd. 1912). O dramatach Schillera 1896. Henryk Sienkiewicz 1897. Adam Mickiewicz 1898. Historja literatury polskiej (7 tomów) 1900—1907. Ponadto: Rozprawy i sprawozdania (4 tomy 1895—1898). Z doświadczeń i rozmyślań 1891. Studja polityczne 1895. Chopin i Grottger 1892. Jan Matejko 1897.

Rychło po roku 1863 występuje pani Orzeszkowa. Zrazu jako umysł zajęty ważnemi zagadnieniami swego czasu, jako serce zbolałe jego różnemi cierpieniami i szukające środka ratunku, wyjścia: te cierpienia i zagadnienia przewalają się i kłębią w umyśle, i w sercu dręczą ją, ale wydają kilka powieści, nie zapowiadających

jeszcze wielkiego talentu, jaki w autorce tkwił. W klatce powie nam, co autorka myśli o zależnem stanowisku kobiety. Cnotliwi powiedzą, co myśli o fałszywej pobożności (poczęści, co myśli o religii i wierze w ogólności). Z Pana Graby, z Pamiętników Wacławy dowiemy się, że powodem złego u nas jest złe, miękkie, na pokaz a nie do rzeczywistego życia wychowanie i mężczyzn i kobiet. Wszystkie te powieści pokazują, że autorka dobrze chce, że myśli sama przez się, i głębiej (nawet kiedy się myli) — że wierzy w postęp, pragnie go szczerze i gorąco, ale za jego warunek (jeden z głównych) ma wyzwolenie z przesądów, przedewszystkiem z przesądu katolickiej wiary. Ale te wszystkie wyznania przekonań i dążności wydają powieści długie i — (przepraszamy za otwartość) — raczej nudne.

To zajęcie się społeczeństwem, różnemi jego niebezpieczeństwami lub złemi stronami zwróciło wzrok pani Orzeszkowej w jedną stronę ważną, i wydało osobną grupę jej powieści. To powieści o żydach. Jacy oni są? Dlaczego są tacy jak są? Czy nie mogą być innymi i lepszymi? Obserwacja, studjum żydowskich pojęć i obyczajów musiały być bardzo staranne i gruntowne: powieści są bardzo zajmujące jako obraz tego świata, choć czasem przydługie.

Jedna naprzykład z tych, Eli Makower (zawikłana bardzo i od przesadnie patetycznych sytuacyj nie wolna) kończy się tą moralną nauką, że żydzi przestaną Polakom szkodzić, kiedy będą mogli zacząć ich szanować. Przypuściwszy, że wielu Polaków może nie zasługiwać na szacunek, to jeszcze można zapytać, czy autorka myśli, że żydzi mają prawo sądzić ich tak surowo, czy więcej zasługują na ten szacunek, którego nam odmawiają? Później nie mięsza autorka świata żydowskiego z polskim. Zamyka się w małem żydowskiem miasteczku, bada wszystkie tajemnice bożnicy i kahału, szkoły i mieszkania, kramu i propinacji, wzajemnych stosunków między żydami postępowymi a zacofanymi, między bogatymi elegantami a tymi, którzy zachowują dawny strój i obyczaj; nie pomija nawet wzgardzonych sekciarzy Karaimów, których dwoje utopionych cichaczem w stawie czy rzece pada ofiarą fanatyzmu talmudzistów. Opisuje to wszystko w sposób nawet dość zajmujący, a bardzo dokładnie; opuszcza tylko to, co nieestetyczne, niemiłe brudy i wyziewy zwykłe naszym małym miasteczkom, ich domostwom, ubiorom i sprzętom. Autorka wiadomości swoje ma z pierwszej ręki, sama zapuszczała się w te tajemnice, a rezultatem jej badań jest, że jedni z żydów, jak Meir Ezofowicz, bohater powieści, pragną światła i postępu, a drudzy, skostniali w swoich formułach, zagrzęźli w swoich przesądach, prześladują ich i wyklinają. Walka trwa między nimi oddawna: jeszcze za Zygmunta Starego jeden z Ezofowiczów reprezentował między swoimi postęp i dążność do zlania się ze społeczeństwem; za czteroletniego sejmu był drugi taki sam w tej samej rodzinie, wreszcie dążność ta przeszła

dziedzicznie na młodego bohatera powieści, „a jeżeli kiedy, czytelniku, spotkasz śród drogi swej Meira Ezofowicza, podaj mu szczerze, prędko braterską dłoń przyjaźni i pomocy".

.....W i d m a to inna strona rzeczy, ale to także skutek rozmyślań i cierpień nad tem, co się stało, co się stać może. Rzecz dzieje się w mieście Onwilu (anagram łatwy do przeczytania), stary szlachcic zrujnowany służy za portjera w żydowskim hotelu. Boli go to, ale zniesie wszystko, żeby wyżywić i wychować wnuczkę, sierotę po jedynym synu, który zginął. Oddał ją pod opiekę ubogich zacnych ludzi, którzy jak on odmawiają sobie wszystkiego, żeby wychować syna. Ten chłopiec, od dzieciństwa upokorzony ubóstwem i zazdrosny, wraca z rosyjskiego uniwersytetu zepsuty. Nie szanuje nic, nawet rodziców. Ma się za apostoła nowych idei, wyzwolenia świata ze wszystkich przesądów i praw, i te swoje idee przelewa w słabą a marzącą głowę dziewczyny. Wywozi ją w świat wreszcie, obiecując sobie, że w podróży nawróci ją do najwyższego ze swoich pojęć, do wolnej miłości. A kiedy ta para młodych n i h i l i s t ó w pędzi za swemi w i d m a m i, dziadek znika ze swego hotelu, zapewne umiera.

Ten dziadek reprezentuje cierpienia Litwy; te młode głowy przewrócone a sumienia skrzywione reprezentują niebezpieczeństwa, jakie grożą z wpływów rosyjskich. Dziadek jest wzruszający, postęp złego w młodych dobrze prowadzony, powieść zajmująca, a zasługa dążności widoczna i niezaprzeczona.

Jest różnica znaczna między pierwszemi powieściami pani Orzeszkowej a tą grupą późniejszą: ale to jeszcze nie jest zupełny rozkwit jej talentu i jego zupełna dojrzałość. Wreszcie przychodzi i to.

Gdzieś N a d N i e m n e m jest szlachecki zaścianek, i jest szlachecki dwór. W tym dworze żyje szlachcic, niegdyś może pełen życia, może i nie bez zdolności, dziś osłabły, zniechęcony, zwątpiały. Siły i energji zostało mu tyle tylko, ile potrzeba, żeby trzymać się swego kawałka ziemi. Wszystko stracił, to mu jedno zostało: czuje, że tego powinien się trzymać. Zresztą? niczego się nie spodziewa, nic nie może robić, niczem na swoje losy wpływać. W tym zaścianku żyje i roi się ludzi dużo i różnych. Są więcej myślący i są głupi, są poważni i śmieszni; z sumieniem i honorem są wszyscy. Nad zaściankiem i nad dworem wisi jakieś nieszczęście, o którem się nie mówi, ale którem przygnębieni są wszyscy ci ludzie. Ono przeszło, ale zostawiło skutki, i tych ludzi otacza ciężka atmosfera smutku, bezradności, beznadziejności. To Litwa po roku 1863. Z dziwną sztuką autorka, nie mówiąc o tych wypadkach, nie nazywając ich ani razu, nie narażając się cenzurze, umie dać uczuć całą boleść tych czasów, przejąć nią swoją powieść. Jest tam w lesie gdzieś głęboko ukryta mogiła powstańców poległych w jakiejś utarczce: leży w niej między innymi brat szlachcica z dworu, i ojciec młodego szlachcica z zaścianka. Wyprawa

dwojga młodych ludzi do tej mogiły, to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie są w powieści polskiej: a nie jedyna wcale piękność tej powieści. Są obrazy wieczorów albo ranków, żniw na polu albo wiejskiej niedzieli, żywe, pełne uroku (urok każdego obrazu w innym rodzaju). Nie wszystko jest smutne: są sceny pogodne, są młodzi, którzy się bawią, są figury całkiem albo przez pół śmieszne: a ta strona weselsza powieści w niczem nie ustępuje tej smutnej. Wiejski drużba czy mistrz ceremonji i orator, wdowa, co nie może żyć bez przyjaciela i ledwo jednego męża pochowa, spieszy się za drugiego, rozgrymaszona lafirynda we dworze, niezrozumiana przez prozaicznego męża i myśląca przez całe życie o wzniosłej miłości, pytająca czy Eskimosy kochają? Humoru, żyłki komicznej, jest wiele, i jest subtelna, umie cieniować. Zaleta wielka: ale większa od niej i rzadsza jest inna. Autorka ma poezję w duszy: przez nią patrzy na smutną jak na pogodną stronę swego obrazu, i przez nią trafia do współczucia swego czytelnika, i do jego wyobraźni, zostawia w niej wrażenie i pamięć tych postaci, które mu pokazała. Umie nawet (co może najrzadsze) nadać życie, indywidualność, własną i sympatyczną fizjognomję, nawet parze zakochanych bohaterów. W N a d N i e m n e m taka para to młody chłopiec szlachcic, ale żyjący jak chłop (zamożny), i młoda dziewczyna z dworu, krewna tych państwa. Ona może nie tyle, ale ten chłopiec ma naprawdę dużo wdzięku. Jedna nuta cokolwiek fałszywa, to młody chłopiec z dworu, wracający z uniwersytetu, a taki postępowy, że nawet rodzonego ojca ma za nic. Autorka powinnaby temu młokosowi przypomnieć, że jest bardzo zarozumiały, a ojciec więcej wart od niego: ale mu tej nauczki nie daje. Czy tego nie widzi i sama w niego wierzy?

Z późniejszych powieści pani Orzeszkowej N a d N i e m n e m jest największą, nie jest najpiękniejszą. Następne, choć mniejsze, ubiegają się z nią o pierwszeństwo, i może je zdobywają. B e n e n a t i, to także powieść z zaścianka: to dziewczyna szlachcianka, zaręczona z młodym leśniczym, chłopskim synem. Ale krewni, przyjaciele, sąsiedzi, nie mogą znieść tego upokorzenia i doprowadzają dziewczynę do zerwania z narzeczonym. Ją swatają z innym; on przebolał i oświadczył się o inną także, o taką, która go się nie wstydzi. Ale biedna Salusia nie może wyjść za innego: w wilję ślubu ucieka z domu, piechotą, idzie do tej wsi, gdzie mieszka Jerzy, i widzi go za weselnym stołem, obok tylko co poślubionej żony! Rzuca się do stawu; ratuje ją młody kaleka, trochę półgłówek, który w niej tylko żyje, choć tego nigdy nie wyjawia, i instynktem szedł za nią, czując że ją coś boli, coś jej może grozi. Powieść się kończy: ale czy teraz nie zacznie się dramat? Co będzie, jak się Jerzy dowie, że Salusia z tamtym zerwała, że się chciała utopić? Cokolwiek stanie się dalej, powieść jest śliczna.

.....Okropnie smutne także, rozdzierające, z mniejszych powiastek A n i k a w a ł k a (ziemi) i Ś m i e r ć d o m u; pogodniejsze

a bardzo ładne Babunia, Moment, Zagadka. Jest u nas dużo powieści, są między niemi i dobre, i ładne, ale takich, jak powieści pani Orzeszkowej, jest mało, i takich nigdy dużo być nie może.

Z „Nad Niemnem".

Anzelm opuścił okolicę, i z drogi, która w tem miejscu szybko w dół spadać zaczęła, skręcił w stronę, w której płynął niewidzialny stąd jeszcze Niemen. Było to tak, jakby z powierzchni ziemi, oblanej światłem i ciepłem słonecznem, weszli w ocieniony i chłodny korytarz. Roztworzył się przed nimi parów tak długi, że końca jego najbystrzejsze oko dosięgnąć nie mogło, a tak głęboki, że dwie jego ściany podnosiły się nad nim jak wysokie góry.

Zrazu ściany te miały pozór nagich, piaszczystych skał, przez niewiadome siły przyrody pogiętych w niezliczone garby i jamy, wśród których gdzie niegdzie wyrastał krzak jałowcu, albo cienka sośninka pochylała się nad przepaścią. Powoli przecież żółte ich tło usiewać zaczynała roślinność coraz obfitsza, aż wybuchały morzem zieloności wszelkich odcieni, posypanej kwiatami wszelkich barw... Jak okiem sięgnąć, naprzód i ku górze, po stromych spadzistościach i łagodnych stokach, rosły tam olszynowe i brzozowe gaje, jasne i przezroczyste nad nieprzeniknioną gęstwiną berberysów, ożyn, dzikich porzeczek, kwitnących głogów, wilczyn osypanych purpurowemi gronami jagód, kaliny śnieżnemi kwiaty jak wielkiemi płatami śniegu bielejącej, które za podścielisko swoje miały całe lasy krzaczystej lucerny, ogromnych pokrzyw, ostrą woń wyziewających piołunów, wysokich, gwiaździstych rumianków i słoneczników polnych, dzikiego chmielu, plączącego się z mnóstwem nierozwikłanych i nigdzie, zda się, początku ani końca nie mających wiklin. Wszystko to ze stron obu i z wielkiej wysokości, ogromną i w różne kształty wydymającą się falą, spadało aż ku dołowi. U samego szczytu światło słoneczne przeciągało po tej gęstwinie szeroki pas złoty, w którym delikatne olchy zdawały się drżeć z rozkoszy, a biała kora srebrniała na brzozach. Ale niżej, słoneczny ten pas bladł i przygasał, aż znikał zupełnie, a w głębie parowu zsuwały się stopniowo chłodne i wilgocią napojone cienie.

W głębi, na dnie, sunął kręty, puszysty szlak łąki. On to zdradzał tajemnicę przyrody i wieków, opowiadał, że tem czemś nieznanem i dawnem, co w tem miejscu ziemię na ogromną szczelinę

rozłamało, było gwałtowne ramię wielkiej rzeki. Niegdyś, niegdyś, uderzyło ono o ląd i przedarło w nim sobie łożysko, którego wody zniknęły oddawna, ale które dotąd jeszcze wilgocią przejęte, zabarwiało tę łąkę zielonością wiecznie majową i bajeczny nieledwie rozrost dawało roślinnym tłumom, wyścielającym te wysokie góry. Jednak, łagodne i wdzięczne zakręty łąki coraz się zwężały, aż ustąpiły miejsca wąskiej rozpadlinie, a ścieżki w głąb parowu prowadzące zaczęły się piąć po stokach gór, to nagie, skaliste, ostremi rozpęknięciami poprzerywane i kolczystą wikliną zjeżone, to zielone i tajemniczo pod sklepieniami liściastej zarośli przepadające. W rozpadlinie czuć było zbliżanie się do miejsc mokrych i żywemi wodami przejętych. Leżały tam wielkie, wilgotną pleśnią obrosłe kamienie, błękitnemi kępami kwitły niezapominajki, szeroko rozpościerała się leszczyna, a pod miękką pościelą, którą tworzyły trójzębne łotocie i okrągły podbiał, toczył się cichy, ledwie słyszalny szmer...

Wtem coś zawarczało i zadzwoniło nakształt gotującego się wrzątku. Była to krynica, której kryształowa szyba pobłyskiwała pod sklepistem pokryciem leszczyny i cienką nić strumienia rzucała pomiędzy gęste łotocie i czerwonawe kamienie. W gęstwinę leszczyn wplątane, wysoko tam kwitły błękitne cykorje, śniegiem bielały puszyste kity kotuszników, krzaczysty, liljowy dzięgiel z groniastych koron swoich rozlewał mocną woń heljotropu. I jakby w tem miejscu natura prawo głosu dawała tylko srebrnej strunie wodnej, cisza panowała tu nieskazitelna. Ptaki mieszkały u szczytów tych ścian wysokich, wśród jasnych olszyn i brzóz, ale w tej głębi nie było ich prawie. Krynica wrzała, strumień dzwonił i czasem tylko w berberysowym czy wilczynowym krzaku dało się słyszeć frunięcie skrzydeł lub od strumienia przyleciał rzeźwy powiew i z cichym szelestem strącił z głogowej gałęzi liście dzikiej róży.

Justyna stanęła pomiędzy leszczyną i naprzód pochylona patrzyła przez chwilę na utopioną w liściach i kwiatach krynicę. Za nią przystanął Anzelm i z brodą opartą na dłoni przesuwał wzrok dokoła. Cierpiące jego oczy były teraz bardzo pogodne; z żartobliwym uśmiechem wymówił zwolna:

Luby wietrzyk trawę pieści,
Strumyk mruczy, liść szeleści...

Było to niewyraźne echo, przynoszące mu z odległej młodości urywek nawpół zapomnianego wiersza. Zaraz przecież zaczął iść

dalej, a raczej wspinać się na górę, po naturalnie wyżłobionych, korzeniami najeżonych wschodach. Szedł powoli, z przygarbionemi plecami i z widoczną trudnością; ale Jan, torując sobie drogę wśród gęstych krzewów, dopomagał mu do przebycia miejsc najtrudniejszych. Ten, do wejścia na stromą górę nie potrzebował wschodów. Wysoka i kształtna jego postać kołysała się w obie strony, jakby w wesołem i triumfującem poczuciu swojej siły. Czasem, w gęstwinie znikał zupełnie, lub ukazywała się z niej tylko głowa jego, małą czapką ocieniona, i ramię w białym rękawie, troskliwie wyciągające się ku staremu.

W pamięci Justyny błysnęło wspomnienie. Widziała już tych dwóch ludzi, w ten sam sposób wstępujących na wysoki brzeg Niemna; wtedy jeden z nich przystawał czasem i twarzą zwracał się ku otwartemu oknu, w którem ona stała. Ale to przypomnienie błyskawicą tylko przemknęło jej przez głowę; zatrzymała się i z ciekawością patrzyła dokoła siebie.

Znajdowali się w miejscu, o kilka stóp zaledwie oddalonem od szczytu góry, na łagodnej pochyłości, która tworzyła małą, nieco spadzistą równinę. Trzeba było tylko trochę wzrok podnieść, aby zobaczyć ruchomą frendzlę zboża, rozrzuconego nad samym brzegiem parowu. U końca cienistej i w nierówne wschody powyszczerbianej alei, którą wspięli się aż tutaj, leżał olbrzymi kamień, mający liczne wgłębienia i wypukłości, za siedzenia służyć mogące, miejscami siwym i brunatnym mchem obrosły, a miejscami zwieńczony gibkiemi gałęźmi ożyn i rozchodników. Kilka cienkich sosen z szerokiemi u góry koronami i rozłożysta grusza z gęstwiną drobnych liści, wyrastały tam z ziemi, okrytej rzadką trawą i osypanej igłami sosen. Pod sosnami i gruszą coś czerwieniało, błękitniało i bielało; trzeba było wejść pomiędzy drzewa, aby rozpoznać, że to grobowiec...

Był to grobowiec bardzo prosty i ubogi, ale takiego kształtu i w taki sposób przyozdobiony, że aby móc podobny mu zobaczyć, trzebaby cofnąć się wstecz o kilka wieków. Składał się z sześciokątnego, grubego u podstaw a zwężającego się ku szczytowi krzyża, na którego czerwonem tle bielała postać Chrystusa, a którego boki okryte były różnobarwnemi godłami i figurami. Były tam białym pokostem powleczone i ściśle do krzyża przylegające trupie głowy, różne narzędzia męki Chrystusowej, płaskie popiersie Bogarodzicy, z tkwiącemi w niem siedmiu pozłacanemi niegdyś i w kształt mie-

cza wyrzeźbionemi strzałami, wsparte na rękach, i na podstawach z drzewa lub gliny siedzące, wypukłe figury świętych. Z chudości tych figur, z długości ich członków, z okaleczeń, któremi czas zatarł rysy ich twarzy, poznać można było smak i robotę odległych czasów. Krzyż był tak spróchniały, że rychłym upadkiem groził, ale rozpięta na nim postać Chrystusa i figury okrywające boki krzyża, przez czas okaleczone, ze spłowiałemi barwami i pozłotami, zachowywały niezmącenie główne zarysy i cechy. Osłaniał je i od zupełnego zniszczenia chronił zawieszony u szczytu gontowy daszek. Na szerokiej podstawie krzyża bielał wyraźny jeszcze, choć miejscami zacierający się już napis: Jan i Cecylja, rok 1549, memento mori.

Napis grobowy był zagadką. Nazwiska nie miał żadnego. Z bezimiennego grobowca, osłonionego ścianą nadniemeńskiego parowu, przeszło trzy wieki patrzyły na przepaść zieloną, z warczącą w głębi krynicą, na olbrzymi i cały w mchach i wiankach leżący kamień, na wielki trójkąt Niemna, odsłoniony tu przez wyginające się wtył ściany przepaści i stojący teraz w cichej pogodzie, szybą błękitu i srebra. Za nieruchomą, zda się, rzeką, wielka, samotna tarcza słoneczna wisiała nad samym już szczytem boru, i tak go światłem swojem przenikała, że żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się wzajem od siebie, pod ciemnem pokryciem koron stojąc nieprzejrzanemi szeregi.

Teraz ciszę tu panującą przerywać począł monotonny szmer hebla, przesuwającego się po leżącej na ziemi i do połowy już obrobionej kłodzie drzewa. Anzelm zdjął wielką swoją czapkę przed grobowcem, ale wnet znowu głowę nakrył i w milczeniu, z nasępionemi brwiami, pogrążył się w swojej robocie. Powoli i jakby automatycznie, nieprzerwanie przecież, długa i blada jego ręka przesuwała narzędzie po powierzchni drzewa. Krzyż próchniejący, który pierwsze jesienne wiatry obalić mogły, musiał być zastąpiony przez inny. Kilkadziesiąt lat temu, taką samą robotę spełniał zgrzybiały dziś i nawpół obłąkany Jakób. Teraz jemu przypadło w udziale stróżować nad tą pamiątką, drogą zapewne licznym pokoleniom, skoro z nich każde znalazło wśród siebie kogoś, kto jej z powierzchni ziemi zniknąć nie pozwolił. Nowy krzyż okryją stare godła, krótki napis wyraźniej zabieleje na czerwonej podstawie grobowca i wszystko tu znowu będzie tak samo, jak było przed trzema blisko wiekami, jak było w owej porze dalekiej, gdy dwoje jakichś ludzi o nieznanych nazwiskach i dziejach złożono w jednej mogile.

Justyna wpatrywała się w stary grobowiec i w pamięci jej uparcie powtarzać się zaczęła strofa pieśni, którą niedawno, uniesiona wspomnieniem, wydeklamowała przed nią Marta:

„A gdy kto przyjdzie, albo przyjedzie,
Pomyśli sobie:
Złączona para, złączona para
Leży w tym grobie!“

Czy kochali się oni? Czy świat ich rozłączył a połączyła mogiła? Jak żyli? i dlaczego, gdy umarli, tak na długo, na wieki pozostali w sercach i pamięci ludzi?

O parę kroków od niej, na obalonym pniu sosny siedział Jan i uśmiechał się wpół filuternie, wpół tajemniczo.

— Stryj wie wszystko i bardzo lubi historję tę opowiadać. Trzeba go tylko pięknie poprosić, a opowie...

Istotnie, po Anzelmie widać było, że walczyć zaczynał z ogarniającą go chęcią mówienia i czemś, co go do milczenia raczej skłaniało. Zatrzymał raz hebel pośrodku kłody, spojrzał na Justynę i zcicha rzekł:

— Naco? dla jakiej przyczyny?

Po chwili jednak znów podniósł oczy i dłużej popatrzył na zbladłą nieco i smutną w tej chwili twarz młodej kobiety. Czarowne marzenia grobowiec ten budzić musiał w jej młodej głowie. Nie śmiała prosić o nic tego nieznajomego człowieka, który ze swoją pracowitą niezależnością i przeszłością pełną jakichś wielkich cierpień, wydawał się jej dziwnie poważnym i surowym. Ale on prośbę wyczytał z jej oczu. Obejrzał się na słońce: już było poczerwieniało i do połowy ukryło się za borem.

— Mało już dziś będzie roboty mojej! A wszystkie pustoty od młodych pochodzą! Wymyślają, pytają się, czas bałamucą, a tu nic tak osobliwego do gadania niema!

Nigdy jeszcze pod siwiejącym wąsem nie uśmiechał się tak łagodnie; mówił też wesoło i prawie z odcieniem filuterności. Czapkę nad głową podniósł.

— Dlaczego nie? — dodał, — jeżeli pani żąda posłyszeć tę historję, to o moją fatygę bynajmniej... Ja owszem... Nikt jej nie opisywał i w książkach nie drukował... Jeden człowiek opowiadał ją drugiemu, i tak zdaleka, jak rzeka przez różne kraje, przez pradziadów, dziadów i ojców naszych przepłynęła aż do nas. Mnie jej nauczył stary Jakób, gdy jeszcze boso latałem i cielęta pasłem,

a jego uczył niewiadomo kto, może dziadek, może przeddziadek, bo w ich familji wszyscy długo żyją.

Stolarskie narzędzia położył na stronie i na jednem z wgłębień olbrzymiego kamienia siedząc, uśmiechnął się jeszcze.

— Bajki babom, a to co ja powiem, nie bajka!

Wysoki zrąb kamienia, siwym mchem w tem miejscu porosły, służył za oparcie przygarbionym jego plecom, a na baranią czapkę i aż na ramiona spadały mu cienkie gałęzie ożynowego krzaku.

— Było to w starych czasach, w sto lat, albo może jeszcze i mniej potem, jak litewski naród przyjął świętą chrześcijańską wiarę, kiedy w te strony przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji, i to tylko można było poznać i z mówienia ich i z ubioru, że przyszli z Polszczy. Dla jakiej przyczyny porzucili swój kraj rodzony i aż tu przywędrowali, zarówno niewiadomo było. Kiedy spotykający ich ludzie podczas pytali ich o nazwiska, odpowiadali, że przy chrzcie świętym nadano im imiona: „Jan i Cecylja". A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd i dla jakiej przyczyny wędrują, mówili: „Szukamy puszczy!" Widać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod Boskiem okiem. Całej pewności co do tego niema, ale takie o nich chodziły głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospólstwie bywa, a ona, czy to szła, czy stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Ale jak tam było z ich początkiem, wszystko jedno; dość, że nietrudno znaleźli to, czego szukali.

Cały tutejszy kraj zalegała podtenczas nieprzebyta puszcza, w której Pan Bóg nasiał coniemiara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad, w których trudnili się sobie różną przemyślnością. W jednych miejscach, nad jeziorami lub nad rzeczułkami, siedzieli rybaki i bobrowniki; w inszych, tam gdzie stały lipowe lasy, pszczelniki miód i wosk pracowitym zwierzątkom odbierali; niektórym król nakazał, aby dla niego hodowali sokoły i od tego poszło, że nazywali się sokolnikami; a inszych wolnością obdarował, aby tylko wszelkie posyłki jemu sprawiali, i dla tej przyczyny mieli oni nazwanie bojarów, czyli ludzi wolnych. O uprawianie ziemi było im b y n a j m n i e j; ogrody mieli, ale najwięcej rzepę w nich sadzili i len w wielkiej obfitości sieli, bo owiec nie mając i wełny nie znając, odzieży płótnianej tylko

używali. Zboże zaś rzadko gdzie zobaczyć można było, i to przy miastach, a w głębokiej puszczy jeszcze gdzie niegdzie nikt i nie słyszał o niem. Ale zato byli tacy, co w dębowych lasach żyjąc, trzody świń na żołędziach hodowali i od tego dane im było brzydkie przezwisko świniarów, i tacy, co przy łąkach mieszkając, bawoły obłaskawiali, i dla tej przyczyny nazywali się bawolniki. O pieniądzach to jeszcze gdzie niegdzie i nic nie wiedzieli, a jak kto chciał co sobie potrzebnego kupić, dawał skóry zdarte z ubitych bobrów, niedźwiedzi, lisów, kun i innych zwierząt, albo troszkę miodu i wosku, albo przyswojonego bawołu, karmną świnię i co tam zresztą kto miał. Chaty ich nazywały się n u m y i były bardzo biedne i smrodliwe, bez pieców i kominów, bo tym leśnym ludziom nieznajoma jeszcze była mularka. W Boga chrześcijańskiego niby to wszyscy już uwierzyli, a jednakowoż w głębokościach puszczy wiele jeszcze kłaniało się bałwanom i żyło z kilku żonami.

Jan i Cecylja, wzdłuż puszczę przeszedłszy, poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów; zachodzili także do świniarów i do bawolników, ale nigdzie im nie podobało się tak, jak tutaj, nad brzegiem tego Niemna, i na tem właśnie miejscu, gdzie teraz ten pomnik stoi... Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednem Boskiem okiem pozostawać. Może już tak im było przeznaczono, ażeby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i nasz ubogi, ale długowieczny ród ufundować...

Powolny i przyciszony głos opowiadającego brzmiał na wysokim stoku góry, monotonnością swoją podobny do mruczącego u dołu strumienia. Czasem jednak zatrzymywał się i szukał w pamięci wyrazu lub nazwy, których w życiu codziennem nie używał prawie, ale jak słowa z pacierza, ze starej gadki wyrzucić nie chciał. Teraz, z widocznem naprężeniem rysów, wiązał przez chwilę w głowie wątek opowiadania, bojąc się splątać go, albo część jego uronić.

— Podtenczas - - zaczął znowu - - nie było w tem miejscu żadnego kawałka zaoranej ziemi, ani żadnego ludzkiego plemienia. Z tej strony rzeki i z tamtej strony rzeki, na prawo i na lewo, naprzód i wtył, rosła jedna tylko puszcza. Jan i Cecylja upatrzyli sobie właśnie to miejsce, gdzie teraz ten pomnik stoi, a gdzie podtenczas stał dąb taki stary, co może i tysiąc lat miał wieku, bo w jego wydrążeniu bawoła ukryć byłoby można, i pod tym dę-

bem zbudowali sobie najpierwej chatę, czyli takoż numę bez pieca i komina, nędzną i smrodliwą. Odrazu inszej zbudować nie mogli.

Lepiej mówiąc, on zrąbywał drzewa, oprawiał kłody i budował, a ona zbierała orzechy i dzikie jabłka, gotowała rybę, doiła bawolicę, którą on rychło sobie obłaskawił, naprawiała odzież, a gdy wieczór przyszedł i on położył się pod dębem, z oszczepem i łukiem napiętym przy boku, by zawsze od dzikiego zwierza się obronić, siadała przy jego głowie śpiewając i grając na harfie. Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała i ręce z początku miała takie białe, by lilje. Ale krótko tego było, bo, pracując ciężko, w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach, wyrosła, zmężniała w sobie, że podobną się stała do płowej łani, której trudności i samotności leśne najmilsze. Jak pierwsza matka ludzkiego rodu, miała ona podobno włosy złociste i takie długie, że pokryć niemi mogła siebie i swoją harfę; gdy też późnym wieczorem nad spracowanym, senliwym mężem śpiewała, on choć senliwy, pieścił się z jej włosami, a potem o wschodzie słonka, zdrowy i wesół do roboty wstawał, bo siły miał wzmocnione i serce pocieszone przez nią.

Jednakowoż pomimo kochania i wszelkich jego rozkoszy, nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że innym ludziom i pomyśleć o nich byłoby trudno. Wszystko tu było nie tak jak teraz, ale okropniej i dziczej. Po puszczy chodziły stada żubrów, turów, niedźwiedzi, dzików i wilków, w gałęziach czaiły się drapieżne jastrzębie i krogulce, szerokiemi skrzydłami łopotały krzywodziobe orły. Nocami wyły puszczyki, a po drzewach wieszały się rysie, w ciemności oczami jak latarniami świecące. Czasem kruki i kawki czarną chmurą zakrywały niebo, a dzikie konie napełniały zaciszności leśne grzmotem kopyt i przeraźliwem wiżdżeniem. Nad rzeką i na wszelkich mokrych miejscach lęgło się mnóstwo obrzydłych żab, tarakanów, wężów i jaszczurek. I rzeka ta nie była taka jak teraz. Głębinę i prędkość miała ogromniejsze. Wody były wtenczas nadmiar silne i gniewliwe. Rozlewały się daleko i o ziemię biły, koryta w niej sobie porząc, czego do dzisiejszego dnia te parowy pamiątką ostały.

Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo, dość, że znieśli i przemogli. Już to jest pewne, że żaden człowiek siły swojej nie zna, dopóki jej w potrzebie z siebie nie dobędzie. Prawda i to, że wiele rzeczy i stwo-

i nie wynikała z tego nikomu żadna obraza, ani ujma. Skąd synowie pojmowali żony, stamtąd przybywali mężowie dla córek i, poślubiwszy je, nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie budowali chaty; a tnąc las coraz dalej, uprawiali pola. Tak przeminęło lat ośmdziesiąt albo może i więcej, od tego dnia, kiedy Jan i Cecylja pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili...

Umilkł Anzelm zmęczony niezwykłym wysiłkiem pamięci i myśli, kilka kropel potu zaświeciło na jego zapadłych i rozognionych policzkach, spłowiałe zwykle i blade oczy pobłyskiwały pod wielką czapką. Obejrzał się w stronę słońca; znikło już ono za borem, lecz Niemen stał żółtawą taflą i jasne smugi, rozciągnięte u zachodu nieba, jaskrawo oświecały sunący od wschodu zmrok.

ADOLF DYGASIŃSKI

(* 1839 w Niegosławicach † 3. VI. 1902 w Warszawie).

Wydał oddzielnie: Nowele (1884—6). Na pańskim dworze 1884. Von Molken 1885. Nowe tajemnice Warszawy 1887. Z siół, pól i lasów 1887. Właściciele 1887. Nowele 1888. Beldonek 1888. Z ogniw życia; Z zagonu i bruku 1889. Kuba Gąsior 1889. Pan Jędrzej Piszczalski 1890. Na złamanie karku 1893. Garstka 1893. Krańcowy 1893. Gorzałka 1894. Wint 1894. Bracia Tatary 1894. Opis imprezy wojennej I. M. P. Alberta Milicarego 1894. Wywczasy Młynowskie 1895. Przyjaciel koni 1895. As 1896. Cudowne bajki 1896. Pióro 1897. Dramaty Lubądzkie 1897. Nędzarze życia 1898. Szelągi kieleckie 1898. Żywot Beldonka (cz. II.) 1898. Muchy, Sen 1899. Nowele 1899. W Swojczy 1899. W Kielcach 1899. Z naszej niwy 1900. Zając 1900. Łabędzia woda 1901. Wielkie Łowy 1901. Margiela i Margielka 1901. Gody Życia 1902. Na odlocie 1907.

ZYGMUNT WASILEWSKI O AD. DYGASIŃSKIM.

Zygmunt Wasilewski, * 29. IV. 1865 r. w Siekiernie. Osobno wydał: „Jagodne", zarys etnogr. 1889. „Promieniści, Filareci i Zorzanie" 1896. „Pomnik Mickiewicza w Warszawie" 1899. „Warszawa współczesna" 1902. „Nowy Konrad" 1903. „Śladami Mickiewicza" 1906. „Spór o Słowackiego" 1906. „Od romantyków do Kasprowicza" 1907. „Listy dziennikarza" 1908. „Z życia poety romantycznego" 1910. „O sztuce i człowieku wiecznym" 1910. „W obronie polskiej stacji zagranicznej" 1911. Myśl przebudowy" 1912. „Orjentacja wewnętrzna" 1917. „Demokracja narodowa" 1917. „Na wschodnim posterunku" 1919. „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej" 1920. „Mickiewicz i Słowacki 1922. „Jan Kasprowicz; zarys wizerunku" 1923. Prócz tego wydał: „Dzieła zbiorowe Goszczyńskiego", 4 tomy 1911. „Pieśni Osjana" (Goszczyński) 1905.

Niepodobna w rozwoju naszego powieściopisarstwa wyznaczyć Dygasińskiemu miejsca między pisarzami takimi, jak: Klemens Junosza, Maciejowski, Prus, Reymont. Ci ostatni stanowią

szereg, w którym każdy następny udoskonala w dziedzinie powieści ludowej twórczość poprzedniego. Dygasiński stoi ze swoją metodą naturalistyczno-filozoficzną na uboczu, nie wiążąc się genetycznie z nikim.

Wszyscy tamci rozważają życie w dramacie społecznym, ten je obserwuje, jako dramat istnienia samego, ze strony przyrodniczej. Jako poeta, wyczuwa we wszechistnieniu żądzę życia i miłość powszechną — to jest światłem w jego obrazach; myślicielowi jawi się znów życie, jako wysiłek śmiertelnej walki o byt, życie kruche z jednej strony i bezlitosne z drugiej — to są cienie w jego obrazach. Jest poetą życia pierwotnego, rządzonego prawami natury.

...Cały przepych oryginalnego talentu naszego pisarza wystąpił, mojem zdaniem, najokazalej w „Godach Życia". Jest to synteza i zenit jego natchnienia, pracy obserwacyjnej i myślowej.

Pomysł sam i rodzaj wykonania tej rzeczy nie ma sobie nic podobnego w naszej literaturze. Widać z każdego wiersza, że Dygasiński pisał ją z zamiłowaniem, że wyśpiewał w niej najlepszą pieśń swoją na cześć życia, którego kultowi cały żywot swój, pomimo pozorów pesymizmu, poświęcił.

...Na Dygasińskim widzimy, czem jest miłość w sztuce. U niego, u tego pozytywisty, naturalisty, wiwisektora niemal, okrzyczanego pesymisty, który na świat patrzył przez pryzmat walki o byt, miłość wygórowała nad wszystkiem i odtąd dopiero stał się poetą. W „Godach Życia" niema przecież wiersza jednego, poświęconego miłości własnej lub osobniczej, niema sentymentalizmu, a jednak utwór cały jest jednym hymnem miłości. Nad zło i dobro, nad piękno i brzydotę, nad walkę duchów światła i ciemności, nad słońce samo wznosi się dusza poety ze swoją wrażliwą sympatją dla wszelkich objawów życia i daje im wyraz idealny.

Zadziwiające zjawisko! Co można zrobić więcej dla zagłuszenia w sobie instynktu poetyckiego, dla zabicia wogóle sentymentalizmu, jak zrobił Dygasiński pod nakazem ducha czasu? Oddał umysł całkowicie na usługi pozytywistycznego racjonalizmu, w poglądach etycznych hołdował zasadzie walki o byt jako podstawowemu czynnikowi życia powszechnego, a jednak ostała się w nim samym władza duchowa, sprawująca nadto rządy naczelne w jego duszy, która była zaprzeczeniem wszelkiej racjonalności oraz interesowności zachowawczej. Za sprawą tej władzy był poetą, cała dusza jego poszła za instynktem. Sprawiła to panteistyczna sympatja do świata.

Dygasiński — to reakcja przeciwko romantyzmowi, jego, jak się zdawało, całkowite zaprzeczenie. Byłby zaprzeczeniem, gdyby nie został poetą. Na gruncie prawdziwej poezji umysły się schodzą, bo tu się kończą rządy wszystkich innych władz umysłowych, a rozpoczyna dyktatura instynktów bezinteresownych: tęsknoty i sympatji do świata.

Z „Godów Życia".

I znowu święto, święto nielada.

Ludzie już związali na niwie snop zboża ostatni, gruby a ciężki — prawie na pokaz. Ozdobili głowę jego jagodami kaliny, ustroili w kwiaty dziewanny, macierzanki, mięty, ostróżki. Istna to osoba!

Snop tak wygląda, jak białogłowa leciwa, otyła, z małą wcięłością w pasie — baba sążnista a przysadkowata.

Z szacunkiem posadzili tę postać na wozie, obłożyli ją sierpami, kosami, grabiami, oddawali jej pokłony czołobitne.

Woły ruszyły z miejsca, żeńcy donośnie jęli śpiewać chórem:

„Raźno, raźno, boże woły, spieszcie z Babą do stodoły!
Plon wieziemy, plon — w gospodarski dom!"

Kto tam szczęśliwie doczeka godów jarowych, będzie jadł kołacze i baby z tego zboża białego. Na Świątki Zielone nie użyją też innej mąki. Do żniw przyszłych trza przekołatać żywot o starym chlebie, no i podzielić się nim z bogami.

Umajony paprocią, widłakiem, jałowcem, jedliną, wóz żałościwie skrzypi w piachach, turkota gderliwie po głazach i pomyka na Bugaj.

„Raźno, raźno, boże woły!"

Wzięli łupież z ziemi, uchodzą z nią do domu.

Woły ubrane w wieńce zielone na szyjach, na rogach, kroczą z powagą uroczystą, jak gdyby wiedziały, że w dniu „dożynków" ciągną wóz z wizerunkiem matki-ziemi — biorą udział w obrzędzie świętym.

Młodzieńcy i dziewki pobrali się w pary dziarskie, pląsają żwawo po drodze i zawodzą pieśni, których echa grzmią gromko aż w puszczy Bohboru.

Grajkowie nadążają po obu stronach wozu; bo bez gędźby niema święta, niema obrzędu. Ten wali z całej siły w bęben, tamten dmie w trąbę, aż mu oczy na wierzch wyłażą. Inny tkliwie piska na piszczałce — przebierawie, a jeszcze inny dobywa głosu z dudy, czy też sadzi się, aby po swojemu wyciągnąć na ligawce.

Stado ptaszków wesołych powraca z żeru, buja ponad nimi, w pląsie polotu zatacza łuki wdzięczne z góry na dół i z dołu do góry.

Ptacy nasłuchują, ochoczo wtórują gędźbie ludzkiej wrzawą ucieszną świegotu.

Oj, jak tu wesoło!

Skowronek posłyszał pienia radosne, rozgłośne.

— Czy może wiosenka już idzie przez niwy?

Wzleciał ponad rżyska złote, zawisł w górze i śpiewa z całego serca, jak to on umie:

— Ti-ri-li-ri-ri-li-li!

Szpaki porwały się na ługach, szparko gonią przez powietrze i w drodze gwarzą wesoło. Pasikoniki podskakują w ścierniach. Świerszcze namiętnie i na wyścigi cierkają. Zające i przepiórki nasłuchują w miedzach:

— Skąd się dziś bierze światu takie wesele?

Krąg słońca właśnie się już stacza, zapada na noc w owe kraje, gdzie Czarna Przemsza płynie, gdzie Siewierz stoi, gród słynny z iłów srebrodajnych.

Wśród pokrzyków uciechy, potrząsów wyskocznych przyśpiali z Babą do swej wieśnicy na Bugaju.

Tutaj objatnik u trebiszcza wraz rzeże kozła na cześć Perunowi.

— Oto objata dziękczynna Bogu! — I zawiesił na słupie głowę rogatą zwierzęcia.

Lud to wznosi oczy ku Niebu, to kornie przypada do Ziemi i bije czołem.

Okrzyk przewlekły wypadł z ust wszystkich:

— Ooo! Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Modlą się z zapałem, a po skończonej modlitwie będą hulali, ucztowali. Nie dziw, bo latoś mieli żniwo bogate, kosowicę ogromną.

— Bóg groźny p'orunów okazał ludziom łaskę wielką: klęską gradową nawiedził sąsiednią puszczę Bohboru, a oszczędził łany i chyże Bugaju. Przecz go nie uczcić?... O chwała Bogu!

Ludzie, Perun jedynie postrachem gromów trzyma was w pobożności!

Ludzie, kochacie Matkę-ziemię o tyle, o ile mnogo grzywien płacą wam za kłodę zboża!

Trwoga pędzi do czci, zysk — do miłości. W razie potrzeby zaprzecie się Boga, sprzedacie ojczyznę!

Smutno ci, Ziemio, w czasach niedoli wśród dziatwy samolubnej.

Czyż miłość ludzka zawdy jest samolubna?

Niekiedy samolubstwo czyni całopalenie z siebie, gore na żarowiszczu własnego serca i wtedy miłuje przezacnie.

Człowiek — Mysikrólik!

Skrzydlate dzieci Ziemi, zatrwożone przyszłością, uciekają z pośpiechem wielkim. Niema siły, coby je zdołała powstrzymać! Lecą co tchu do krain obcych i dalekich na miłość, na śpiewy, na wesele. Tylko opasłość powstrzymuje niektórych od ucieczki. Schudną, to i pójdą sobie przed zimą.

Chciwość doradziła innym pozostać, spożyć ostatki bogactw ze śpiżarni matki.

Nawet ty, skowronku, niewdzięczniku, coś się tak przytulał do łona Ziemi, także uchodzisz!

Jedyny Mysikrólik, pociecha matki, pozostaje przy niej nie w nadziei żeru. Ni go tu w ojczyźnie widoki zysków nie wabią, ni go pieśń cicha, serdeczna nie uczyni sławnym wśród wron i wróbli. Najbiedniejszy on z ptaków, a nie ucieka. Zostać i przetrwać wszystko, to proporzec Mysikrólika. On jest synem Ziemi rzetelnym, jej ludem, a jego pieśń — podaniem, pieśnią ludową.

Duszo pogańska dobra, która pracujesz na kukułki niewdzięczne, butne, śpiewaj dalej o chłodzie i głodzie, żyj bez sławy, bez nadziei zysku! Świat nie miałby wdzięku i wartości bez takich.

Nasz Bohbór samotny, nagi i jak obumarły stoi pod sklepieniem Nieba szarego, zamglonego.

Co się zrobiło z tej uroczej bożnicy Życia!... Dziś chmura za chmurą goni od zachodu i polewa świat dżdżami zimnemi. A nie, to z północy, ze wschodu wiatr suchy, mroźny ciągnie, dziko wyje po nocach, zgrzyta i świszcze, tnie dotkliwie kaszą lodową. W puszczy Bohboru wyprawia sobie pohulanki wyuzdane.

Księżyc posępny błąka się między chmurami czarnemi jak smoła, nie może wybrnąć z ich parowów niezmiernych. Zupełnie podobny jest do pątnika, który zgubił drogę w górach i nie wie, dokąd ma podążać. Dostał zawrotu głowy, oczy go mamią, rozum zawodzi. Czasem wyłazi na chmurę jaśniejszą, strapiony pogląda przez chwilę po falach Prądnika, po skałach, zaziera w niepewności do jarów i przepaści puszczy.

— Nie, nie tędy moja droga!

I zaraz uchodzi, tonie kędyś w czarnych otchłaniach Niebios.

Bardzo mdłe bywają te spojrzenia miesiącowe, rzucane Ziemi z pod kłobuka lisiego.

Smok u-hu-huu straszy po staremu, płoszy w kniejach zające i łanie, przeraża Mysikrólika.

Matka-ziemia rzuca pytanie skrytobójcy:

— Gdzie są bracia twoi?

A on odpowiada z szyderstwem:

— Czyż ja jestem stróżem braci?

Głównie z wron pobiera w tej porze myto krwawe. Okropność, co za głos wydaje wrona, która się ze snu ocknęła w szponach puhacza!

Dnieje. Słońce zaszło wczoraj krwawo, a dziś wschodzi łuną szeroką, płomienistą — niby pożar straszliwy. Boczkiem idzie, otula głowę płaszczem z mgły szaraczkowej, zerka krzywo na Ziemię, jakby jej nie znało.

Tyżeś to Jasny, pan i król świata, rodzic stworzenia żywego? Patrz, Ziemia goni przy tobie resztkami Życia!

Bo jakież dziś jest Życie bez światła, ciepła, bez zieleni i kwiatów, bez ptaków, motyli, pszczół i mrówek?... Pięknej niegdyś oblubienicy bogacza Słońca teraz tylko Mysikrólik ubożuchny śpiewa.

Już żołądź, bukiew i orzechy opadły. Owoc róży leśnej i jagoda jarzębiny płoną rumieńcem prześlicznym i krzepko się trzymają.

Z pomiędzy kolców tarniny kulki ciemno-modre jaśnieją czerstwością. Czarne paciorki jałowców zapachem wabią kwiczoła. Kolonje uschłych ostów zapraszają szczygła na ucztę.

Włosy brzozy nadobnej utraciły wraz z liśćmi ów połysk cudnie zielony i sczerniały na słotach; wiszą, jak ongi, kołyszą się wdzięcznie od powiewów wiatru, a wśród nich widnieje utkwiona plama czarna — stare gniazdo sroki czy wrony.

Liście niedobitki dzierżą się jeszcze tylko u dołu koron dębowych: wieńce uwiędłe żywota sławnego. Zato opadły do krzty z lip, klonów, jesionów i grabiny, gęsto zasłały swą padliną padół ziemski. Wicher porywa je w naręcza z podołka Ziemi, rozmiata je namiętnie, dla igraszki nosi po świecie, wrzuca w Prądnik.

Ej, hula na fali rączej suchy liść bohborski, płynie do Wisły, do morza, poza nasze światy — okruch obleczenia naszej ojczyzny!

Z pod prześcieradeł suszu opadłego łodygi ziół nieboszczyków sterczą powszędy — skielety martwe, wybladłe.

Śmierć zdrajczyni przeszła po boru!...

Dopiero teraz, w porze jej toków, sędziwość żywota starców puszczy występuje w całej nagości: rany, blizny, mnogie kalectwa starodrzewu.

Narośla osobliwe, jakieś brodawice, czy wrzody ogromne z niemocy chorobliwej, a może z długiej pracy życiowej, siedzą na

niektórych. Inne, stoczone przez robactwo, umarły, stojąc na stanowisku i zmartwiałe oczekują wichru, co je z nóg zwali.

Pełno jest kolebek życia nowego w mogiłach Bohboru, podobnie jak w żalnikach na Bugaju. Jeden Bóg, jedno Życie!

Olbrzymy wiekowe, odarte z liści, wypłókane na deszczach, przemawiają głosem o tej porze: drżą, jęczą wnętrzem ciał swoich nawpół skostniałych. Nie umieją już szumieć tak, jak za dobrych czasów. Sterane, pogarbione, powykrzywiane, obrosłe mchem siwym, grzybami, pełne próchna wewnątrz, ponuro patrzą w świat dziuplami czarnemi.

Oh, straszne są te ich oczy, niejako wystraszone i przez łzy cierpień wyżarte!

Przemów, dębie stary, ojcze tysiąca pokoleń, przemów!

Nie, lepiej milcz, milcz!...

Na łąkach doliny prądnickiej, w tym raju wiosennym motyli i kwiatów, mgły długie opieszałe wloką się po ziemi rankiem i wieczorem, a ponad niemi rozsiadłe garby gór lesistych dymią nieustannie.

Jeśli dzień jest pogodny, to po stepach Lel ściga Polela i pogoń ich wyznacza ślady nićmi pajęczyny. Babie lato!

Aż dnia jednego, o północku mróz siwy, mocarz srogi, chłop okrutnie jary przychodzi do ziemi ciężko znękanej.

Wziął niebogę w ramiona krzepkie, ścisnął i skrępował tak potężnie, że i drgnąć nie mogła. Skostniała zupełnie.

Niebo nad ranem rzuciło na świętą nieboszczkę szmatę bieluteńką, ubrało ją do trumny. I tak nam oblicze matusi lubej zniknęło. Ona umarła. Nawet te liście uschłe, szczątki szaty godowej, poszły za nią do grobu.

Wrony rozpoczęły obrady wiecowe pełne zgiełku:

— Próżnując, żyłyśmy w dostatkach po uszy; teraz musimy na chleb pracować!

Jastrząb oddawał się dumaniom samotnym na gruszy polnej. Wolny nareszcie od trudów Życia rodzinnego, pan możny, spoglądał przed siebie w dale śnieżne i myślał:

— Tam dalej jest także Ziemia, a za nią — jeszcze Ziemia i jeszcze... Cóż mię Bohbór obchodzi? Jeżeli tu środki do Życia nie będą mi wystarczały, przeniosę się do innych włości. My jastrzębie nie umieramy z głodu!

Dzięcioł inaczej myślał:

— Praca u podstaw i praca jedynie pozostaje dla naszego brata. Precz z marzeniami, niech żyje praca!

Wziął się odrazu do roboty i stuk jego młota ciągle się już rozlegał po boru.

Niekiedy kruk złowieszczo kraknie, sójka wrzaśnie, gil tkliwo gwizdnie. Pod wieczór sowa nawołuje głosem smętnym.

Źle, przykro jest na mogile świeżej!

A kto wie, czy jastrząb, kruk, sowa, są to ptaki istotne?

Wiara starożytna głosi, że dusza nieraz lata „jastrzębiem, wroną, krukiem, dzięciołem, sową — że skacze odyńcem, wilkiem, rysiem".

Jasny już dawno przekroczył ów pomost w swej drodze, na której noc staje w twarz naprzeciw dnia:

— Dziś jestem ci zupełnie równa, a jutro!...

Od tej chwili ciemności coraz gęstsze, trwoga i śmierć razem z hukiem wichru jesiennego wpadają na świat przez bramę naoścież otwartą.

Czarny pokonał, zwyciężył bóstwo słoneczne i oto zuchwały wyzwala swe wszechzłości. Dzisiaj nikt nie śmie zamarzyć o uśmiechu, o weselu. Jeden człowiek jest zdolny śpiewać i pląsać na mogile.

Po śmierci matki nieodżałowanej, gospodyni dobrej, żałoba gruba wstrzymała zajęcia i pracę w jej domu, Bohborze osieroconym. Któżby miał śmiałość weselem naruszać spokój wielkiej nieboszczki, zmożonej snem twardym, przywalonej lodowem wiekiem trumny?...

Ah, pani nasza, bogaczka taka ogromna, karmicielka Życia taka szczodra umarła w opuszczeniu!

Mysikrólik, pieśniarz maleńki i cichy, żałośnie obwieścił o jej zgonie:

— Płaczmy, dzieci — śpiewał — płaczmy łzami żywnemi! Słyszycie, kochanie nasze zgasło, matuś nam umarła!

Tylko jodły i sosny odpowiedziały szumem uroczystym:

— Ci-cho, ci-cho! Ona już nie żyje!

Cóż kiedy nikt nie załkał, nikt rąk nie łamał, nie rwał włosów, szat nie rozdzierał, nie drapał twarzy, nie wydawał jęków żalu. Bo krzyk, co leciał po boru, nie był głosem boleści:

— Zabraknie nam żeru, zobi!

Dzieci rzetelnych, rodzonych nie było u łoża śmierci.

Płaczki postronne, pokajnice żałosne załkały gdzieś gwoli zwyczaju, a nie stawiły się na pogrzeb.

Niebo z litości — bo nie przez miłość — pogrzebało swą powinowatą, usypało żalnik biały królowej przewielkiej, bogini naszej Wandzie.

W państwie śmierci ponure duchy teraz błądzą: dobre i złe krążą powszędy.

Ojcowie, dziady, pradziady, zmarli przed laty i przed wiekami wieków, przybywają w odwiedziny na niskości ziemskie.

Spieszą do nas z raju, dokąd ich Nija, wódzca dusz, zawiózł był onego czasu w swej łodzi sławnej przez morze powietrzne.

Inni — także nasi — pickielnicy biedni dążą z kraju strasznego gór, jaskiń, przepaści i żarów: — tam sądziennice skazują na pobyt różnych winowajców.

Co tylko żyło kiedy bądź, porzuca mogiłę i idzie w świat z duchem nieśmiertelnym, wcielonym w prochy martwe.

Na grobie Ziemi zjawiają się postaci wszechzmarłych: dzieje przeszłości nabierają Życia, a żywi zaczynają kochać to, co nie istnieje.

Wielkoludy bohaterowie, orły i sokoły białe narodu, lecą nad bohborami, bóggajami, gdzie w czasach prastarych składali bogom objaty błagalne i dziękczynne. Żywi znają ich z podań, z pieśni przedwiekowych, nawpół zapomnianych.

Ci nieboszczykowie urośli przez wieki i wyglądają jak duchy światów wielkich — może słońc, gwiazd zgasłych, albo bliscy pobratymcy niebian. Im większa odległość czasu ich od nas oddziela, tem wyższy urok świętości błyszczy nad nimi.

Kneziowie sławy niezrównanej, czy przybywacie na ziemię, aby obchodzić wielkie święto dziadów — pradziadów?

O mocarze, któż żywy będzie śmiał zasiąść z wami do uczty wspólnej?

Praszczurowie rodzaju ludzkiego, olbrzymy ogromne opuszczają kościeliska, spieszą oglądać pole swoich czynów dzielnych. Ogień nieśmiertelności płonie w ich źrenicach, postaci mówią o pochodzeniu ich raczej boskiem, niż człowieczem.

Jest mus czcić takich, dopóki Życie trwa na ziemi. Ludzie żywi czują wobec nich małość swoją.

— My karły bijemy czołem, skoro nie zdołamy sprostać wam dziełami. Przez oddanie czci pragniemy okazać się godnymi prawnukami wielkich.

Atoli co wiek, to inne czasy, inni ludzie, inne czci rodzaje...

Wielkie dzieła prapradziada bywają nieraz przeklęte dla praprawnuków, a pochód dziejów znowù je zmienia w błogosławieństwo. Tak chcą wyroki bogów.

Dusze skrycie zamordowanych przebywały wcielone w wierzby nagrobne, w topole, brzozy i tam żałościwie kwiliły po nocach, wołając o pomstę odwetu. Biegają teraz o północy wokoło chyż Bugaju i zawodzą wśród jęków:

— Gdzież jest żelazo msty, które winno krew za krew wytoczyć?

— Cóż kiedy zakon pradawny wróżdy rodowej już zamilkł nad Prądnikiem.

Od strony zachodu Słońca często tu bowiem wieść przylata, że z za gór, z za lasów, z za dziesiątej rzeki wróg wszystkich ludzi zbliża się ku nam coraz bardziej.

Niemce prą ku wschodowi! Jest to tłum pijący krew ludzką, zakuty w żelazo, o mieczach obosiecznych, o szczytach, które połyskują jak Słońce.

Więc gromada, na wypadek najścia, potrzebuje do obrony dużo męża i każda kropla krwi swojskiej jest bardzo droga.

Błądnice znowu, dusze ciał niepogrzebanych, w rozpaczy gonią po lasach, po kniejach zapadłych i nieszczęściem swojem płoszą dzikie zwierzęta. Są to ci nasi, którzy różnemi czasy poszli byli w świat szeroki i przepadli dla Ziemi swojej. Poginęli w wojnach srogich za swobodę cudzą, za bogi obce, albo — pomagając mocnym do ujarzmienia słabych. Nieszczęście!

Wielu zmarniało w niewoli, w służbie u cudzoziemca, strwonili żywot w zapasach z niedolą... Sprzedali ciało i ducha!

Dopiero dziś — zaprzańcy umarli — spieszą do Ziemi ojczystej na święto „dziadów", żądni woni swojszczyzny, obcowania z ziomkami żywymi lub nieboszczykami. Któż was uzna, wy bez rodziny?

Tęsknota niewysłowiona dręczy te błądnice i ciągle a nadaremnie wypiera ich popioły z obczyzny do ojczyzny lubej.

Mamy jesienne święto dziadów, święto i smutne i wesołe ku czci przodków, uroczystość grobów, a raczej — powołania zmarłych do Życia w gromadzie.

O tej porze gwiazdy mnogie tak spadają w nocy, jak niedawno liście z drzew spadały.

Każda gwiazda spadająca, co gaśnie tam w górze, oznacza pono czyjś zgon tu na Ziemi.

FELICJAN FALEŃSKI

(* 5. VI. 1825 w Warszawie † 11. XI. 1910 tamże).

Wydał oddzielnie: Kwiaty i kolce 1856. Z ponad mogił. Odgłosy gór. Świstki Sylena. Harmonje jesienne. Meandry. Pieśni spóźnione. Utwory dramatyczne 1896—1898. Utwory powieściowe 1884.

TADEUSZ GRABOWSKI O FEL. FALEŃSKIM.

Tadeusz Grabowski, * 29. X. 1871 r. w Krakowie. W książkowych wydaniach: „Stanisław Staszic", Kraków 1898. „Michał Grabowski", Kraków 1900. „Poezja polska po roku 1863", Kraków 1903. „Anatol France", Kraków 1905. „Literatura kalwińska w Polsce", Kraków 1906. „Literatura arjańska w Polsce", Kraków 1908. „Piotr Skarga", Kraków 1913. „Juljusz Słowacki", Kraków 1909 i 1912, wyd. II, 1921. „Krytyka literacka w epoce pseudoklasycyzmu", Kraków 1918. „Literatura luterska w Polsce", Poznań 1920. „Adam Mickiewicz", Poznań 1922.

....Gdy się ma mówić o Faleńskim, przypomina się to, co mówi współczesny historyk sztuki Overbeck w Geschichte der griechischen Plastik, że w epoce aleksandryjskiej kwitła tak zwana mała sztuka, realistyczna, rodzajowa, lubiąca małych ludzi i małe rzeczy, odtwarzająca swe pomysły cierpliwie, misternie i z wykończeniem zadziwiającem. Zamierzchły dla Grecji czasy Skopasa, Praksytelesa, twórcy grupy Nioby, Lysipposa, szkoły sikyońsko-argiwskiej, i nastał czas małej sztuki. Praksyteles umiał wyrazić w marmurze całą skalę uczuć, od czułości do namiętności, od radości do rozdzierającego bólu i wogóle to, co Diodor z Sycylji nazywa τὰ τῆς ψυχῆς πάθη.

Nie każdego przecież stać na Wenus knidyjską, albo Erosa, albo Apollina. Obok Mickiewicza może być Odyniec, obok Słowackiego Ujejski; gdy oni zmarli lub zamilkli, przyszli nowi, a gdy Pol, Lenartowicz, Łuszczewska i inni ustępowali i tworzyli rzeczy słabsze, występowali tacy jak Sowiński lub Faleński. Niema zapewne większych kontrastów, niż dwaj ostatni poeci. Pierwszy....

rozstrojony, drugi zharmonizowany, spokojny, unikający wywnętrzeń i bezpretensjonalny a prosty, jak sama natura, zrównoważony i cichy. Faleński nie wkładał nigdy koturnów, nie nastrajał się byronicznie, był powściągliwy do zbytku, a o formę i jej udoskonalenie dbał jak może nikt po wielkich poetach. Jeżeli podobny do kogo z obcych, to chyba do Leconte de Lisle'a. Jak tamten jest erudytem niepospolitym w poezji, jak tamten tłumaczy starożytnych i jest jakby neoklasykiem, ubiegającym się o uprzedmiotowienie poezji, jak tamten bierze swe tematy z najodleglejszych krańców świata, a wszystko opracowuje z precyzją, wirtuozją, miłością sztuki.

On nie jest jak Leconte de Lisle pesymistą na wzór i pod działaniem Schopenhauera, bywa często smutny, rozpłakany, bolejący, ale nie głosi jak tamten, że wszystko jest iluzją, i że tylko śmierć jest pewną. A choć i w nim znajdą się te akcenta może pod wpływem mistrza francuskiego parnasizmu, przygłusza je rój tonów weselszych, nie bez wiary i otuchy. On nie jest romantykiem jak Sowiński; nie wywleka swych własnych bólów i zwątpień, kryje się jak Leconte de Lisle za cierpieniem i niepewnościami ludzkości, wolny jest od wszelkiej pozy i udawania. Jest parnasistą jak ówcześni poeci nad Sekwaną i indziej, jest nim niemal od początku, z całem zamiłowaniem do poetyckiego realizmu. Nie ma tej energji plastycznej co poeta Poèmes antiques, tego natężenia i ognia co twórca włoskiego poganizmu w sztuce, ale forma u niego pięknieje z każdym nowym zbiorkiem, jest bez zarzutu i dokładna jak u Monachijczyków; ma niekiedy filigranowość kamei i pełność solidną starożytnego bronzu lub terrakoty. Faleński wniósł do poezji polskiej po r. 1863 miłość formy kunsztownej, prawdziwie parnasyjską i dlatego nie podobał się pozytywistom, szukającym treści silnie przedmiotowej i społecznej nawskroś; nie dbał o to i trwał, póki nie uznano, że on ma też swój temperament oryginalny, póki nie przehuczała burza materjalizmu i nie ukołysały się fale, pędzące do nas z zagranicy poezją społeczną w myśl Proudhona, potępienie romantyzmu, apoteozę rozumu i wiedzy, porzucenie metafizyki, przedmiotowości, marzycielskości — jak wnosił jakiś współpracownik Przeglądu Tygodniowego z r. 1872 w artykule: O stosunku poezji do życia społecznego konieczność poezji liczącej się z konsumentami, czyli publicznością.

Czego żąda ta publiczność wedle opinji warszawskiego estetyka? Oto myśli, że ideały Krasińskiego nie potrafią nas rozegzaltować, że Słowacki lepiej wskazał cel poezji, która winna zerwać z odgrzebywaniem przeszłości. Wzorem poety może być Coppée; cała „wodnistość, lub fałszywa barwność dzisiejszych wieszczów pochodzi właśnie z nieznajomości nauk społecznych, a poeta epoki pozytywnej winien zerwać z górnobrzmiącą teorją sztuki". Potępiono więc parnasizm, zanim zdołał się u nas zagnieździć; za cel najbliższy uważano dobrobyt materjalny i moralny. Tego rodzaju opinje krążące wśród pozytywistów, znających przeważnie poezję

elementarnie i nie przeczuwających, że ona nie może ulec chemicznej meljoracji jak rola i musi mieć swobodę ruchów i niezależność, zwracały się też przeciw Faleńskiemu. Chciano w braku prawdziwych brylantów mieć fałszywe, ale mieć koniecznie, i za ideał poety podawano Coppée'go, który wtedy zdobył sobie opinję mistrza w tym rodzaju i tworzył wymuszenie, prozaicznie, bez energji, sucho, średnio, ale zrozumiale dla każdego. Chciano poezji, naginającej się do instynktów mas, zniżającej się do ich poziomu, rodzajowej i popularnej, napół czułej, napół naiwnej, a w istocie nieco sztucznej i robionej. Niech nie będzie w tem poezji, ale pewne zagadnienie społeczne, wierne odbicie rzeczywistości. Nie chciano, jak to czynili wielcy, a za nimi mali romantycy, powiększania i upiększania idealizmu i rojeń; chciano tonu elegijnego, mieszczańskiego, poufałego, bez rozwichrzań, dyskretnego, miernego i bez blasku. Poezja musi być jak reszta literatury zwrócona do żądań chwili i pracować nad spełnieniem programu pracy organicznej. Faleński nie posłuchał i poszedł swoją drogą, obraną dawno, bo już na progu drugiej połowy ubiegłego wieku, gdy wystąpił z swemi tworami w Bibljotece Warszawskiej, skupiającej wtedy u nas dążności literackie i utrzymującej zapomocą tak zwanej kroniki paryskiej jakąś spójność z tem, co działo się w poezji europejskiej.

Jak opowiada dobry znawca tych czasów, Kraszewski, mistrz polskiego parnasizmu wychował się w czasie, gdy nie było u nas uniwersytetu. Pojęcia o poezji czerpano ciągle z przejętego teorjami niemieckich estetyków pseudoklasyka Euzebjusza Słowackiego; najwięcej pomogła Faleńskiemu znajomość literatury starożytnej, zdobyta od profesora Nędzyńskiego w gubernjalnem gimnazjum warszawskiem. Na zawsze pozostał też wielbicielem tego klasycznego piękna i tych studjów, a zagłębiał się też w Dantem i Szekspirze. Pamięcią sięgał czasów warszawskiej cyganerji, mającej w Cyprjanie Norwidzie najsubtelniejszego liryka; od niego nie przejął wprawdzie symboliczności tak dziś ponętnej, ale dbał jak tamten o piękną formę i pewne wyrafinowanie umysłowe, obce ówczesnym koryfeuszom poezji, jak Pol lub Syrokomla. Rówieśnik poniekąd Lenartowicza, miał on jak inni cyganie smutek łagodny, marzycielskość spokojną, trzeźwość mimo idealizmu; nie zwracał uwagi ani goryczą, ani egzaltacją, ani tendencją społeczną, jak Żeligowski lub Sowiński. Wystąpił w czasie, gdy romantyzm przekwitał na dobre, gdy wielkich romantyków niedość rozumiano i naśladowano, gdy rubaszność, gawędziarstwo, swojskość płytka i pozbawiona wyższych cech artyzmu popłacała lepiej niż dramaty Słowackiego.

Faleński miał instynkt sztuki subtelniejszej, kształcił się w zaciszu na artystę i pisał utwór po utworze, ogłaszając go najczęściej w Bibljotece Warszawskiej. Nie rozwinął jeszcze swego właściwego kierunku, nie znalazł nowych akcentów uczucia i myśli, tworzył miękko i bez głębi, jak wtedy ogólnie. Pogodny, czuły, żar-

tobliwy ton jego wylewów zbliża go do wielu podobnych tworów ówczesnych gwiazd poezji, głośnych jeszcze nazwiskiem, ale mało czytanych. Tak powstały, jak sądzę, K w i a t y i k o l c e (1856) zniszczone podobno przez samego poetę. Poczynają je rzeczy dość banalne, mdłe i w ulubionym wtedy stylu staropolskim, a proste aż do przesady. Uwagę zwraca S o b i e ś p i e w a m, n i e k o m u, zwiastujący wedle zdania Chmielowskiego cały przyszły kierunek poezji debiutanta:

Szła pieśń wędrowna, brzmiąca słowo Boże
Przez chłód światowy, w wieczność ku grobowi...
Rzadki przechodzień rzucił jej grosz wdowi,
A nikt jej nie rzekł: Pójdź! serçęć otworzę.
O pieśni moja! ty wiosno majowa!
Wróć w pierś jak byłaś, niech cię chłód nie studzi —
Wszystkiego chciałem dla Boga, dla ludzi,
A nic dla siebie prócz dobrego słowa.

Nie dano go poecie i dlatego wyrzekł, że śpiewa sam sobie i nie wieści długiego trwania pieśni, co „brzmi dla nikogo". Jest w tych próbkach młodzieńczych pewna wielomówność bez skupienia, manierowana prostota, rozwodnienie treści dość błahej i brak świeżości, ale znajdzie się i perełka, drobna, ale jasna. K o n a j ą c y g l a d j a t o r już lepszy, choć temat zużyty; niekiedy zastanawia ironiczny ton, zapożyczony od Heinego, czasem błysk dobrodusznego humoru, mający wiele pokrewieństwa z Béranger'em, by przytoczyć N a r o d z i n y m i ł o ś c i, lub T a n c e r k ę H e r k u l a n u m.

Wdzięk, śpiewność, dowcip, sarkazm bez cynizmu, harmonja, szlachetność tonu obiecywały wiele; mimo to poeta zamilkł na długo i rzucił się do studjów literackich, doskonaląc się w technice wierszowej. Studjował zwłaszcza Wiktora Hugo, i brał szczególnie około r. 1860 czynny udział w ówczesnej publicystyce jako feljetonista, recenzent i krytyk. Od poety francuskiego i jego ucznia, a mistrza parnasizmu, Leconte de Lisle'a uczył się pewnie tego kultu formy, nieznanego wtedy u nas, a szerzącego się nad Sekwaną. Podziwiając w nich miłość kunsztownej formy, stawał się zwolna wirtuozem niepospolitym, wyrabiał sobie język doskonały jak oni, unikał powtarzania i nie gardził nawet symbolizmem znanego mu niewątpliwie Baudelaire'a. Kto, jak Faleński, zgłębił poezję francuską, nie mógł nie stosować francuskiej ekspresywności wiersza, ruchu strof, stosownie do uczuć i myśli, harmonji treści ze strukturą metryczną. Delikatność, rozmaitość, filigranowość formy bez potęgi plastycznej rozwinąć miał odtąd w stopniu równym jedynie Asnykowi.

.....Gdy myśli się o Faleńskim, nasuwa się wyrażenie Gautiera o Leconte de Lisle'u, że nad niego nie było liryka więcej bezosobistego, żyjącego niejako za obrębem czasu, zatopionego we własnych marzeniach i obojętnego na popularność. Przyznaje to

Chmielowski, upatrujący w nim artystę niepośledniego; widzi się to na pierwszy rzut oka i wdzięcznym się jest poecie, że został tem, czem chciał być od początku, i mimo lat sędziwych współczesnym, by się nie wyrazić modernistycznym. Jest on nim rzeczywiście przez swój kult formy czysto parnasyjski, prostotę realisty pełną odcieni, subtelność, jakiej nie powstydziłby się Verlaine. Pojęciem swej sztuki zbliżył się do parnasistów, a także nastrojem lekko pesymistycznym, stoicznym, chłodnym, rozmaitością form i harmonją treści i rytmu. On nie jest i m p a s s i b l e, odczuwa bóle społeczne, cierpi nad zboczeniami jednostek i ogółu, zasępia się wielokrotnie, ale rzadko wybucha, a jeżeli to czyni, czyni z miarą i wytwornie. A jednak, kto ma wrażliwość silniejszą i nie cierpi jaskrawości i pozy — robionej na zimno, wyczuje tu akcenta uczucia skupionego i bijącego niby źródło podziemne. Mają te liryki wdzięk wizji intelektualnej bardziej niż czuciowej zmysłowo, a przecież to poezja nawskroś zmysłowa i wymowna, nie okazująca własnych ran po histrjońsku, ale kryjąca je dumnie, nie dbająca o poklask i zamiłowanie sensacji tłumu, nie działająca na nas blaskiem, wonią, dotykiem, a jednak wyczuwalna, bezosobista, wzniesiona w błękity, pełna bólów właściwych każdej istocie uduchowionej, transponowanych jednak pod formą ogólnikowych skarg i moralnych niezmiernie.

Za nią poszli inni, zamykający się w obrębie czystej sztuki, od Gomulickiego do wirtuozów świeższej daty jak Lange, a ona świeci ciągle jako przykład wiekuistej harmonji rozumu i poezji, istniejącej w poezji helleńskiej, możliwy i spełniony wielokrotnie w dziejach, a może nawet jedyny w tym kształcie dla umysłów większości.

Z „Harmonij jesiennych".

XIII.

Ku zachodowej milczącej stronie
Myślą za słońcem ja gonię...
I tęskną słodycz tego dumania
O! któż wypowie?
Słońce się mieni — słońce się skłania
W chmur złotogłowie —
Płyną od wschodu poprzez błękity
Zorzami dniejące ciemnie —
Żegnaj mi, jeszcze jeden przeżyty
Dniu, co odlatasz ode mnie!

Od drzew smugami cień się wydłuża...
Tam — tam — drożyną stromą od wzgórza,
Kędy snem śmierci posiana niwa
W krzyże wykwita
I mogiłami majaczy,
Ciągną strudzone woły wóz wieśniaczy,
A na tym wozie, z czterech desek zbita
Trumna spoczywa —
A za tą trumną, tąż drogą
Zbawczego Krzyża,
Żeby choć dusza szła żywa...
Lecz nie — nikogo!
Patrzę — i w oczach łzy mi wezbrały...
Któż jest ten: co tak osamotniały
Do swego kresu się zbliża?

Kto był? Skąd przyszedł? poco? — któż zbada?
Kiedy jutrzenka nad ranem blada
Spojrzała okiem zwilżonem
W mgły ścięte szronem,
Na przyźbie którejś z chat, znaleziono
Pochylonego, z głową zwieszoną,
Starca o kuli,
Bez ręki prawej.
Mniemano zrazu: że on swą nędzę
W lichej siermiędze
Przed chłodem tuli,
Ale już nie żył — w bezdenne jawy
Wpatrzony smętno —
Z oczu zaś, w których blasku już niema,
Przez twarz mu szramami zrytą
Błyszczały drogami dwiema
Łez przyschłe strugi...
A przecież — kiedy zbadać chcąc tętno,
Pierś mu rozkryto,
To niespodzianie
Ujrzano: że na łachmanie
Miał Krzyż Zasługi...

Zgorzkniało we mnie serce do żywa,
I duch się tęskny do lotu zrywa...
Tam obłok siny sunie się, sunie
Z mglistej zamroczy —
Tam słońce zda się w chłodnym całunie
Przymykać oczy. —
Wślad za niem w przestrzeń myśl rzeźwo buja:
— Hosanna Panu i Alleluja!
Nim blasków resztki zmrok pozasłania
I noc się czarna rozgości,
Bądź pozdrowiona na wysokości
Chwało skonania! —

XVIII.

Święty Paweł do Koryntjan I. 13.

Niech w każdej ludzkiej biegły będę mowie,
W tej nawet, którą mówią Aniołowie,
A zato, niechby ujemnie
Miłości nie było we mnie —
To niby jak najobłudniej
Tak to wypadło:
Żem jest jak pusty bęben, który dudni,
Albo miedziane brzękadło.

I niechbym w zachwytów szale
Mógł w ciemną przyszłość patrzeć poufale,
I niechbym Wiedzę z piętnem tajemniczem
Tak silną posiadł, że aż z jej pomocą
Góry się dla mnie, tak jak chcę, szamocą,
Lecz niech miłości nie mam — jestem niczem.

I choćbym biednym rozdał wszystko mienie,
I choćbym ciało dręczył nieskończenie,
I wreszcie, niech z niego zrobię
Pastwę rzuconą na ogniste łoże —
Jeśli miłości mieć nie będę w sobie,
To mi to nic nie pomoże.

Miłość łaskawa, Miłość jest cierpliwa,
Ni ona wyrządza złości,
Ni komu czego zazdrości,
Ni kiedy wyniosłą bywa.
Ni dba, by stała na przedzie,
Ni ma swą korzyść na pieczy,
Ani się gniewem uwiedzie,
Ani też myśli złe rzeczy.
I nie jest rada, jeżeli
Coś nieprawego się stanie,
Lecz niesłychanie
Z prawdy się każdej weseli.
Wszystko wyczeka i jak najszczerzej
Wszystkiemu wierzy,
I dzielne mając ufanie,
Wszystko wycierpieć jest w stanie.
Nie zginie Miłość z Wiarą i Nadzieją
Choć i proroctwa zniszczeją,
Chociaż języki ustaną,
Choć się i Wiedza stanie zepsowaną.

Dziś bo zaledwie część się nam odsłania
Równie poznania jak i nauczania;
Ale w całości udoskonalenia,
Patrz, jak ta cząstka dziwnie się odmienia.
Oto, dziecięciem będąc, wszakże przecię
Mówisz, rozumiesz, myślisz tak, jak dziecię;
Lecz gdyś się wreszcie mężem stał, to dłużej
Twe niemowlęctwo już ci nie usłuży.

Dzisiaj nam niby rzeczy te się marzą
W zwierciedle krytem zasłoną —
Lecz byle ją odchylono,
Spojrzymy wonczas w twarz twarzą.
Dziś, wiemy ledwie cząstkę Prawdy samej
Co nam odwieczna jest pani —
Lecz wonczas tak ją poznamy,
Jak sami przez Nią jesteśmy znani.

A teraz oto, smutny byt człowieczy
Cóż nierozłącznie upiększa?
Wiara, Nadzieja, Miłość — te trzy rzeczy —
Lecz z nich jest Miłość największa.

XX.

Kiedy już będę daleko,
Na innym, nie na tym świecie,
Nad niepamięci mej rzeką
Kwiat myśli mojej znajdziecie.

Do wschodzącego miesiąca
Jego się kielich otworzy,
A z niego, rosy łza drżąca
W wieczornej rozbłyśnie zorzy.

Mgle wątłej, która się słania
Jak puch, jak powiew leciutki,
Bez żalu i bez szemrania
Wypowie wszystkie swe smutki.

Poczem, w serdeczną tę ciszę,
Zmierzch gwiazd mającą za świadka,
Zwolna go coś ukołysze
Do snu, jak Anioł, jak Matka.

Aż wreszcie, wśród tej samotni
Którą zna tylko wzrok Boga,
W niebo się z niego ulotni
Pociechy słodkiej woń błoga.

Z „Meandrów".

195.

— Czego ty godzisz w moje zdrowie? —
Tak raz przedziurawiana
Do gwoździa rzeknie ściana.
— Wina nie moja — gwóźdź odpowie —
Młotek mi twardy siadł na głowie.
Jam sługa — pytaj pana.

— Czemu więc — tamta znów się żali —
Wbijaniem we mnie sęka
Twa moc mię, młotku! nęka? —
A on jej rzecze: — Pytaj dalej.
Mnie zmusza twardsza od mej stali,
Znająca cele ręka. —

— Ach, ręko! — tamta znów zawoła —
Nie wbijaj w pierś mą ćwieka! —
A ta jej tak odrzeka:
— Twej krzywdy jam niewinna zgoła,
Bom nie jest w służbie u Anioła,
Lecz tylko u człowieka.

202.

Bywa człek taki, co się wśród odcieni
Pożytku z czynów, chwieje w strony obie,
I kiedy drudzy w obrachunku dobie
Przez szczęście bliźnich z sobą są zgodzeni
On wciąż się jeszcze dobrze zrobić leni
Zarówno drugim, jak samemu sobie.

218.

Dumałem: czy też po mnie jeszcze
Istoty mej choć cząstka mała
Pośmiertne życie będzie miała?
Wtem coś nade mną zaszeleszcze
I usłyszałem słowo wieszcze,
Jakiem przemawia duch bez ciała.

Mowę tę smutną w serce wziąłem...
— Kto, jak ty — brzmiała niezbłaganie —
Odkąd mu błysło dnia świtanie,
Miał ciemną gwiazdę ponad czołem,
Ten przeznaczeniem niewesołem
W swym grobie cały pozostanie.

220.

Nie w każdym czynie tkwi otucha,
Która, jak dzień z przyćmienia,
Blask prawdy wypromienia.
Gdyż wolę, której ludzkość słucha,
Ma tylko człek wielkiego ducha —
Mały zaś tylko ma zachcenia.

On nie wie: droga ta, czy nie ta,
Do siebie, czy od siebie,
Wiedzie ku serc potrzebie.
Więc w takim próżna jest podnieta, —
Bo on, jak trumna Mahometa,
Ani na ziemi jest, ni w niebie.

222.

Bogu zdaj twej wiedzy pieczę,
Bowiem, jak w locie ptak z niwy
Ogląda wszelkie ziemskie dziwy;
Tak, z ciała duch twój gdy ucieczę,
Dowiesz się wszystkiego, człecze —
Tylko nie bądź niecierpliwy.

231.

Ten boleśnie siebie łudzi,
Kto od drugich się oddziela,
Chcąc wyjątkiem być z śród wiela.
Bo człek, gdy go życie strudzi,
Może obejść się bez ludzi, —
Ale nie bez przyjaciela.

Z „Drobiazgów".

IV.

Opiekun domowy.

Jam ani duch, ani ciało,
Jam tylko tchnienie skrzydlate,
Co wpośród was zamieszkało,
Słodząc wam Raju utratę.

Ja skryte myśli w was zgadnę,
Jam to, co sercem mieć chcecie:
Wszystko, co mądre, co ładne,
Wszystko, co dobre na świecie.

Jam i skowronek z nad niwy,
Który zbudzenie wam dzwoni.
Jam także wietrzyk pieściwy,
Który wam chłodzi znój skroni.
Jam też, gdy skończy się praca,
A na kominku żar błyska,
Radość, co znowu was wraca
Do domowego ogniska.

Ja wam żon strzegę i dziatek,
Gdy z niemi być nie możecie,
By w domu wzrastał dostatek,
A w bożej bojaźni dziecię.
Mnie wasza czeladź jest droga,
Jeżeli służy wam szczerze,
I nawet pies, co u proga
Waszego mienia wam strzeże.

W radosnej, czy smutnej chwili,
W domu, czy w polu, warsztacie,
Byleście wy z Bogiem byli,
To już i mnię z sobą macie.
Wzamian mi czysty dar nieście
Z uczynku, myśli i mowy —
Bo, bracia, wiedzcie to wreszcie,
Żem wasz Opiekun domowy.

Mijają lata, rok świeży
W rajskich ogrodach wykwita —
Dalej do rannych pacierzy,
O, dziatwo ty pracowita!
Z różannej w niebie kąpieli
Nowy dzień Pański nam wraca —
Z nami jest Pan Bóg, jeżeli
Z nami modlitwa i praca!

Tam! — Tam!

Głos mój — podwójnie bogaci —
Niechaj za serca was chwyci.
Życie tam wisi na nici —
A gdy czas płaci, czas traci,
Dajcie jeść głodnej współbraci,
Wy, coście syci!

A gdy dni lepszych otucha
Nędzę wytępi do rdzeni,
Gdy lud, co naszym się mieni,
W głos pobratymczy się wsłucha,
Ze skarbów dajcie mu ducha,
Ludzie uczeni!

I niech nie skąpi dłoń prawa,
Przeto iż dać może lewa, —
Bośmy wspólnego pień drzewa —
Wreszcie po Bogu to sprawa,
A On, im więcej dawa,
Tem więcej miewa!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

(* 18. I. 1849 w Stoczku).

Odzielnie wydał: „Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären“ 1876. „Niewinni“ 1876. „Nieśmiertelne dusze“ („Ojciec Makary“) 1876. „O powstawaniu praw moralnych“ 1877. „Dumania pesymisty“ 1877. „Piękna“ 1878. „Wolter“ 1878. „Dramata“ 1879. „O życie“ 1879. „Klemens Boruta“ 1880. „O epikureizmie“ 1880. „Poeta jako człowiek pierwotny“ 1896. „O prawach człowieka i obywatela“ 1906. „Utopje w rozwoju historycznym“ 1910. „Ofiarność obywatelska“ 1911. „Źródła moralności“ 1912. „Drygałowie“ 1914. „Czcigodni Polacy“ 1923. „Pisma“ (wyd. w 8 tomach) 1896—1900.

PIOTR CHMIELOWSKI O AL. ŚWIĘTOCHOWSKIM.

Piotr Chmielowski urodził się 9. II. 1848 w Zawadyńcach na Podolu. Wydał oddzielnie: Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens 1874. Geneza fantazji 1873. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego 1873. Rousseau w setną rocznę śmierci 1878. Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu 1881. (wyd. II. 1886, wyd. III. 1895, wyd. IV jako „Zarys najnowszej literatury polskiej“ 1898). Autorki polskie XIX w. 1885. Adam Mickiewicz 1886. Studja i szkice literackie 1886. Nasi powieściopisarze 1887 i 1895. Józef Ign. Kraszewski 1888. Współcześni poeci polscy 1895. Nasza literatura dramatyczna 1898. Józef Korzeniowski 1898. Zygmunt Kaczkowski 1898. Tadeusz Czacki 1898. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa 1899. Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi 1898. (wyd. oddzielne). Estetyka Mickiewicza 1898. Metodyka historji literatury polskiej 1900. Historja literatury polskiej (6 tomów 1900, II wyd. t. I. 1914). Henryk Sienkiewicz 1901. Najnowsze prądy w poezji naszej 1901. Dramat polski doby najnowszej 1902. Dzieje krytyki literatury w Polsce 1902. St. Wyspiański 1902. Stylistyka polska 1903. Jan Kasprowicz 1904.

Piotr Chmielowski zmarł 22. IV. 1904 we Lwowie.

Odrębne od innych dramatyków naszych stanowisko zajmuje Aleksander Świętochowski (Władysław Okoński), znany nam jako publicysta, śmiało a często zuchwale broniący haseł postępowych, jako stylista nieporównany, jako talent przedniego rzędu. Pierw-

szym jego utworem dramatycznym byli N i e w i n n i, który to utwór komisja krakowska do grania zaleciła; nastąpiły potem: O j c i e c M a k a r y, A n t e a, N a t a r g u, H e l w j a, P o d d a n k a, Z a m a s k ą, P i ę k n a, B ł a z e n, P a u z a n j a s z. Zaletą wszystkich tych utworów jest jakiś rys oryginalny, jakaś strona, zazwyczaj przez dramatyków naszych pomijana — czy gdy w imię swobody indywidualnej, czy w imię praw człowieka, zakłada protest przeciw zwyczajom i obyczajom tradycyjnym. Czaruje nas dalej w tych dramatach styl wszystkiemi blaskami drogich kamieni najstaranniej oszlifowanych; autor unika wszystkich wyrażeń pospolitych, utartych i spowszedniałych, a tak dba o wykwintność jak żaden z naszych spółczesnych pisarzów; przenośnie jego i porównania oryginalne i świeże, a zwykle nader trafne, nie mają nic spólnego z figurami retorycznemi; polegają one przeważnie na przywracaniu albo nadawaniu wyrazom abstrakcyjnym znaczenia konkretnego, na wlewaniu w te oderwane pojęcia — życia i ruchu. Dowcip, mianowicie dowcip zjadliwy, jest zawsze na zawołanie autora; z temperamentu satyryk i pamflecista, przenosi swą niepohamowaną werwę i swój subtelny zmysł spostrzegania różnic do dramatu i wywołuje na usta uśmiech, pełen złośliwego zadowolenia, czasami bolesny; szczerego, serdecznego śmiechu nigdy on nie wywoła, ale niekiedy przejmuje strachem: ostrze jego błyszczy jak stal, migoce jak brylant. A dialog, zawsze świetny, dościga niejednokrotnie najdalszych granic dramatyczności i ożywienia. Potrzeba wytężyć wszystkie zdolności ujmowania wrażeń, ażeby zrozumieć i według zasługi ocenić całą kunsztowność tej wymiany słów, która jest wymianą pocisków.

Obok tych zalet atoli, stoją inne właściwości tworzenia, które mnie przynajmniej wydają się wadami. Bogactwo i różnorodność natury ludzkiej sprowadzone zostały w dramatach Okońskiego do minimum. Temperamenty i charaktery w wyrażaniu swych uczuć i myśli, w postępowaniu i czynach zacierają się do niepoznania, a czasami i znikają nawet zupełnie. Panującym wszędzie typem jest człowiek rozumujący, dowcipny aż do rozkrwawiania ran serca własnego, wykształcony wykwintnie, zręczny dialektyk, mówiący abstrakcjami zamienionemi w obrazy. Czy to będzie niewolnik z IV wieku przed Chrystusem, czy patrycjusz rzymski z czasów Cezara, czy szlachcic polski z połowy XVIII stulecia, czy dzierżawca z początku wieku naszego, czy adwokat spółczesny: wszyscy przemawiają językiem, właściwym jedynie i wyłącznie samemu autorowi; wszyscy mają na zawołanie nadzwyczajną zręczność dialektyczną, obfitość wielką porównań i obrazów; wszyscy są sprytni i przebiegli w myśli, mniej zdolni do czynu, drażliwi, nerwowi, pesymiści i cynicy potrochu. Co się powiedziało o mężczyznach, to prawie bez wyjątku da się zastosować do kobiet: są to umysły subtelne, władnące skarbami mowy, jak mało kto, wyposażone wyobraźnią bujną i lotną, rozumiejące każdy splot myśli i szermujące słowem, jak wytrawni i wytworni sofiści. Z pozoru możnaby te osoby

wziąć nawet za istoty pozbawione serca, które pochłonęła zdolność rozumowania. W gruncie rzeczy tak nie jest, — mają one wiele uczucia i to głębokiego, wulkanicznego; ale tak się przyzwyczaiły do ukrywania go w głębi duszy, tak się uzbroiły w kolce dla świata otaczającego, że uczucie to wydobywa się najaw rzadko i nie wypowiada się prostą mową serca, ale amplifikacją poetycką.

I późniejszy pięcioaktowy dramat Świętochowskiego Aspazja (w Prawdzie 1885) ma podobne zalety i wady, tylko że wady w mniejszym tu wydatnieją stopniu aniżeli w dramatach poprzednich, dlatego, że większość osób w nich występujących — to najświetniejsze umysły Grecji Peryklesowej: to Anaksagoras, Protagoras, Sokrates, Fidjasz, Sofokles, Eurypides, Perykles i Aspazja; ich więc rozmowy, choćby najwykwintniejsze, choćby wszystkiemi blaskami drogich kamieni błyszczały i lśniły, choćby zręcznością i dowcipem szczytu pomysłowości sięgały, jeszcze rażącemi nieprawdopodobieństwem nie będą. A jeżeli zauważymy, że autor umiał tu się powstrzymać w szafowaniu skarbami wykwintnego stylu i dozwolił mówić niektórym osobom, nie należącym do wytwornego grona np. Hermipowi, w sposób zwykły, a nawet pospolity; jeżeli nawet rozmówcom wytwornym potrafił nadać odrębne odcienie wyrażania się, np. Sokratesowi; to uznać będziemy musieli znaczny postęp w urozmaiceniu dykcji stosownie do temperamentu i stopnia ukształcenia personelu dramatycznego; w wyrażeniu tylko uczucia głębokiego nie wzniósł się ponad retorykę. W osnowie dramatycznej porusza Świętochowski odwieczną walkę postępowej i wolnomyślnej demokracji z konserwatywną, pozornie bogomyślną, a w gruncie samolubną i zepsutą arystokracją, która wszelkich dokłada starań, ażeby ludziom nowym i poglądom nowym utrudnić wpływ na masy społeczne. Jako zwykłą a najdotkliwszą broń, którą w tej walce posługują się żywioły zachowawcze, przedstawia autor oskarżenie postępowców o znieważenie wiary i moralności. Pod ciosami tej broni wielu umiera, jak Fidjasz, inni, chcąc ich uniknąć, muszą iść na wygnanie, jak Anaksagoras, a rzadko kto odpiera je zwycięsko, jak Perykles z Aspazją. Można nawet powiedzieć, że to zwycięstwo Peryklesa w dramacie jest raczej frazeologiczne tylko niż rzeczywiste, gdyż cokolwiekbyśmy mówili o zmienności usposobień tłumu, mowa Peryklesa nie była tego rodzaju, ażeby mogła wpłynąć stanowczo na uspokojenie umysłów roznamiętnionych w tym stopniu, w jakim go odmalował Świętochowski. Układu całości doskonałym nazwać niepodobna; za dużo w dramacie poruszono spraw, ażeby je można było równomiernie obrobić; brak zogniskowania części daje się czuć silnie; a zmiany scen nieraz upowodować należycie nie powiodło się.

Dwa następne dramaty Świętochowskiego: Aureli Wiszar (1888) i Regina (1889), stanowiące wraz z Ojcem Makarym trylogję „Nieśmiertelnych dusz“, nie przedstawiają postępu pod względem artystycznym. Znowuż w nich natura ludzka w uszczuplonych pojawia się kształtach, znowuż rozmowa osób, na różnym

stopniu wykształcenia będących, a odmiennemi temperamentami obdarzonych, jest jednakowa; uczucie zaś, jak i poprzednio, w tyradach retorycznych występuje. Idea zasadnicza obu dramatów jest wspólna: wypieranie jednostek, wyjątkowo utalentowanych i pragnących działać z siebie i na swoją rękę, przez tłum ucywilizowany, trzymający się pewnych norm tradycyjnych. Aureli Wiszar, pragnąc dać przykład unormowania uczciwego stosunków między pracodawcami a robotnikami, „założył fabrykę, której dochody i zyski miały być rozdzielane między robotników. Rzeczywiście pokochali go oni i widzieli w nim swego dobroczyńcę. Przedsięwzięcie szło dobrze, ale ponieważ szkodliwie oddziaływało na interesa innych przemysłowców i budziło niepożądane roszczenia w ich gromadach roboczych, więc usiłowano go odwieść od zamiaru, następnie odstraszyć, a wreszcie gdy to nie pomogło, pozbawiono kredytu i doprowadzono do niemożności pokrycia zobowiązań pieniężnych. Jednocześnie rozniecano w robotnikach naprzód przesadne nadzieje, a potem nikczemne podejrzenia. Ciemni, rozłakomieni, poduszczeni przez intrygantów, nie otrzymawszy spodziewanych i lichwiarzom sprzedanych zysków, wybuchnęli buntem i podpalili fabrykę. Aureli, oburzony niewdzięcznością i zbrodnią, wpadł do papierni, gdzie go paru łotrów i sprawców pożaru zamknęło w gorącej suszarni". Regina po okropnym zgonie męża opuszcza Europę i udaje się do Afryki, do Ojca Makarego, który tu rozwija bardzo skuteczną cywilizacyjną działalność. Staje się jego pomocnicą w oświecaniu, wspomaganiu i leczeniu biednych murzynów. Niedługo wszakże mogą swobodnie oddawać się swoim dobroczynnym zajęciom. Francuzi domagają się, żeby Ojciec Makary służył ich polityce; Anglicy, żeby popierał ich interesy handlowe; Kościół, żeby działał w myśl papieża; Niemcy, żeby nie wchodził w sferę ich zaborów. A gdy Ojciec Makary, chcąc utrzymać swą niezależność i mając na celu dobro tuziemców, nie zaś jakiekolwiek względy postronne, odmawia tym żądaniom i nagabywaniom, czuje się nagle przez wszystkich opuszczonym, widzi demoralizację zapomocą wódki szerzoną wśród jego własnej gromadki, wreszcie przez nasłanego od handlarza niewolnikami murzyna zostaje otrutym. Regina, otoczona nieprzyjaciółmi, nie widząc możności dalszego działania, rozczarowana co do wyników misji przez siebie podjętej, zażywa truciznę i ażeby się nie dostać w ręce wrogów, podpala chatę, w której się znajduje. Taka jest treść tych obu dramatów; ponieważ w nich głównie chodziło o uwydatnienie myśli przewodniej, charaktery, z wyjątkiem głównych, zostały ledwo naszkicowane. Aureli Wiszar ma nieco więcej wydatności pod tym względem aniżeli Regina.

I najnowsza praca Świętochowskiego: Duchy (1895) ujęta została w formę dramatyczną. Nie jest to jeszcze całość skończona; ogłoszone dotąd trzy części stanowią dopiero jej połowę. O sposobie zatem przeprowadzenia idei zasadniczej nie można sobie wyrobić należytego pojęcia. Ideą tą jest walka ludzkości o światło

i swobodę. Wyobrazicielami tej idei są dwie jednostki ludzkie Arjos i Orla, odradzający się w coraz to nowej postaci w ciągu wieków. Pierwsza część Duchów p. t. „Alrun“ przedstawia bojowanie Arjosa i Orli, wśród pierwotnej hordy ludzkiej o prawo miłości osobistej dwojga kochających się istot. W części drugiej p. n. „Moronowie“ widzimy pragnienie wydobycia się z więzów rządu kapłańskiego, narzucającego jarzmo niewoli na wszystkich, utrzymującego rozbrat między plemionami i nie dozwalającego indywiduom działać swobodnie. Część trzecia p. t. „Zwiastun“ zajmuje się zobrazowaniem apostolstwa miłości, przyjmowanego z upojeniem przez głodnych i biednych, a ściganego przez sytych i możnych. Część ta jest najpiękniejszą, bo w niej zalety stylu Świętochowskiego mogły w przedstawieniu bardzo urozmaiconych stosunków zajaśnieć w całej pełni; kiedy w dwu pierwszych, dalekich od prostoty, jaką sobie wyobrażamy w zaraniu dziejów, autor, chcąc upoetyzować swych bohaterów, kazał im przemawiać nieraz słowami sztucznej i chłodnej patetyczności. Sceny w Duchach są przeplatane opisami krajobrazów i siedzib ludzkich, opisami bardzo, czasami zanadto wykwintnemi.

Szersze pojęcie natury ludzkiej znajdujemy w powiastkach Okońskiego: Karl Krug, Chawa Rubin, Damian Capenko, Klemens Boruta, które łączą się wspólną ideą walki o byt. Niema tu już ludzi dowcipnych, nerwowych i drażliwych; ale osoby z różnemi temperamentami, z różnym stopniem wykształcenia i odmiennemi nałogami. Widoczny jest w autorze wpływ obserwacji, wpływ wspomnień osobistych, branie osnowy więcej z życia, niż z fantazji. Wprawdzie i tu przemaga jeszcze jedna sytuacja tylko; widzimy, jak ci ludzie dążą do zapewnienia sobie sposobu do życia, jak myśl ich pracuje nad tem wyłącznie, ażeby zdobyć kawałek chleba albo o biedzie zapomnieć, ażeby zapewnić byt rodzinie lub móc ją utworzyć. Lecz łatwo sobie to wyjaśnić szczupłemi rozmiarami noweli, której głównem zadaniem jest odmalowanie charakteru w pewnej kolizji dramatycznej. Tymczasem drobne szczegóły, z życia zaobserwowane, dowodzą, że autor, jeżeli chce, potrafi wdrożyć się w przedstawianie natury ludzkiej wszechstronnie. Nawet język zastosował, choć w części, do stopnia wykształcenia tych osób, które malował: nie mówią już one, jak osoby dramatów, stylem wykwintnym i naukowym; autor pohamował w sobie popęd do szyderskiego dowcipu i każdą z postaci swoich odmiennym nieco sposobem wyrażania się obdarzył.

Z „Aspazji“.

Sofokles, Protagoras, później Fidjasz.

Sofokles (ciekawie). Cóż mówił?

Protagoras. Tylko syczał, skrzypiał, rzężał, wydawał najrozmaitsze głosy, jak gdyby miał gardło gąbką zatkane. Trzeba

mu będzie usta gdzie indziej przekroić, bo temi już chyba nigdy nie przemówi.

Sofokles. Pytałeś go?

Protagoras. Naturalnie, ale przyleciał tak zadyszany, że płuca mu piszczały, jak dziurawe miechy, zakrwawione oczy tkwiły w twarzy nieruchomie, jak rubiny w tarczy, a wargi poczerniały z żaru. Wyjął tylko list od Peryklesa i podał go Anaksagorasowi, który też zaraz zamknął się z Fidjaszem w sąsiedniej komnacie, gdzie dotąd radzą, albo pewniej — milczą, wbiwszy cztery łokcie w stół i ścisnąwszy czterema dłońmi pękające głowy. Kilkakrotnie próbowałem coś wydobyć z niewolnika: zawsze wstał, patrzył na mnie głupowato i ziajał.

Sofokles. Ale jak sądzisz z jego miny — dobre przyniósł wieści?

Protagoras. Ach, uwierz mi, Sofoklesie, że podzieliłbym się z tobą kroplą wiadomości, gdybym jedną z niego wycisnął. Powtarzam, iż nie przemówił ani słowa, a jego mina wyrażała tyle, ile widok spienionego konia: można się domyśleć, że prędko biegł, ale nie — co przyniósł.

Sofokles. Jak węże owijają mi i kąsają serce złe przeczucia. Walki w rodzinie plemiennej są zawsze biciem się jednej ręki z drugą. Gdybym był wszechmocnym bogiem, w kamienie zakląłbym takie podniesione przeciw sobie bratobójcze ręce, ażeby potomności służyły za widomą przestrogę.

Protagoras. A ponieważ jesteś tylko poetą, więc możesz winnych ukarać zaledwie tragedją, jeżeli naturalnie bracia Spartanie, zwyciężywszy nas pod Tanagrą, tej srogiej zemście nie zapobiegną, przeznaczywszy twą lirę na szufelkę do wylewania wody z czółen.

Sofokles. Mniejsza o mnie, którego trzmiel może bezkarnie ukąsić, a tem bardziej sofista lekceważyć, ale czyż istotnie byłoby to dla ciebie zabawnem, gdyby Spartanie rozbili nasze wojska i zdobyli Ateny?

Protagoras. Wcale nie, gdyż to gbury, którzy nie znają szacunku dla filozofów i którym się zdaje, że ludzkie żebra dlatego są niezrośnięte i poprzedzielane błonami, ażeby oni mieli którędy miecze swoje w cudze piersi wpychać.

Sofokles (do drzwi bocznych pukając). Można? (po chwili). Jeżeli chętnie jadane przez Spartan żółwie ateńskie wiedzą o bi-

twie pod Tanagrą, czują zapewne tę samą, co ty, obawę. W tak młodym wieku tyle samolubstwa — wstydź się, Protagorasie!

Protagoras. Czego? Cały ród ludzki składa się z samolubów szczerych, obłudnych lub naiwnych. Ci ostatni, gdy ktoś wobec nich gra melodję skoczną a potem smutną, nie sądzą, że słyszą dźwięki dwóch odmiennych fletów, tylko jednego. Ale gdy ktoś dba o siebie, albo troszczy się o innych, mniemają, że raz dmucha w instrument samolubstwa, a drugi raz — miłości bliźniego, tymczasem on dmucha w jeden instrument — własnego zadowolenia.

Sofokles. Ty wszakże na swoim fleciku nigdy nie wygrywasz miłości bliźniego.

Protagoras. A, to rzecz gustu. Kot, jedząc słowika, nie podnosi dumnie wąsów dla urągania dzięciołowi, który wydłubuje z drzewa owady, a człowiek, włożywszy sobie w usta jagodę winną, zaraz wzgardliwie patrzy na innego, który żuje groch. Zresztą — o co spór: wszak i wodzowie spartańscy napadli na nas nie dla osobistej korzyści, ale dla interesu bliźnich — swoich współziomków.

Sofokles. Spartanie podli! Podczołgali się pod nasz dom jak złodzieje, którym zdradzieckie możnowładztwo ateńskie drzwi otwiera a sofiści podają z krętej filozofji kute wytrychy! Krew mi się burzy, gdy o tem myślę, a wyrazy mi się pienią, gdy o tem mówię!

Protagoras. Eh, mistrzu, zanadto jesteś wielkim, ażebym chciał wskakiwać na twoje ramiona i udawać wyższego, ale wyznać ci muszę, że gotujący się w garnku barszcz nie wybełkotał nic niedorzeczniejszego od tych twoich słów lekkomyślnych i rzeczywiście spienionych. Gdzie i jakie wytrychy podają sofiści? Pojmuję twój szczery gniew, bo Spartanie, zwyciężywszy nas, sponiewieraliby królujące dziś Ateny, a bez wątpienia lepiej i zaszczytniej być koroną na głowie Grecji, niż wanienką do moczenia jej prostaczych nóg; ale nie widzę w tem nic dziwnego i nic nieludzkiego, że te nogi chcą z naszej korony zrobić sobie wanienkę. Spartanie bowiem dążą do tego, co wszyscy ludzie — do korzyści, władzy, panowania...

Sofokles (który podczas ostatnich słów znowu do drzwi pukał). Ale jaką drogą?

Protagoras. Ludzką. Gdybym cię zabijał, Sofoklesie, to czy napchałbym ci w nos tyle kwiatów, żebyś się ich wonią

udusił, czy nalałbym ci w usta tyle cykuty, żebyś się nią otruł — to chyba byłoby dla ciebie wszystko jedno. Genjalnemu poecie nie przystoi naśladować szynkarzów moralności, którzy rozpajają tłum szkodliwemi bredniami. Dziwnym, doprawdy, jest człowiek: w filozofję zapuszcza się jak dziecko w wodę — idzie śmiało naprzód, dopóki płytka, ale przed głęboką cofa się z obawy, ażeby go w otchłań nie wciągnął — topielec. Owym zaś topielcem bywa zawszę logika.

Sofokles. I pod Tanagrą?

Protagoras. Nieinaczej. Jeżeli zajdę cichaczem i zamorduję jednego śpiącego łotra — to będzie karygodna zbrodnia; ale jeśli w czasie wojny tysiąc nas napadnie i wyrznie kilka tysięcy śpiących żołnierzy przeciwnej armji — to będzie szlachetną zasługą. Albo znowu: gdyby Spartanie uwiadomili Ateńczyków, że ich chcą wykłuć pod Tanagrą — to byłoby uczciwem, a ponieważ ich nie uwiadomili — więc postąpili nikczemnie. Czy tak? Wolałbym oganiać muchy ze świętego wołu w Egipcie i drapać, gdzie go zaswędzi, niż wyznawać taką moralność.

Sofokles. O, bodajby mi osy w uszach usłały gniazda i głuszyły je swym brzękiem, ażebym tej twojej filozofji nie słyszał! Biedna Grecjo, dobro moje, na twoje piękne i zdrowe dotąd oblicze występują sine plamy zepsucia. Możeś ty mądry, Protagorasie, wszakże Perykles powierzył ci wychowanie swych synów, założyłeś chwaloną szkołę wymowy i prawa, Anaksagoras twierdzi, że widzisz dno każdej rzeczy, ale ja w trudnych sprawach zwykłem się radzić wyroczni, która mnie nigdy jeszcze nie zawiodła a w tej chwili ostrzega, że moralność przewracasz na obie strony, jak worek. Nieszczęście ludzi uczciwych jedna a złych przeciw dobrym zwraca. Spartanie...

Protagoras. Są źli, a my naturalnie dobrzy, bo... my.

Sofokles. Bo my zdobywamy potęgę pracą w dzień, a oni kradzieżą w nocy. Od wojen perskich, po strasznym wylewie azjatyckiego barbarzyństwa, który odparliśmy pod Maratonem i Salaminą, zamiast zbratać się z nami uczuciem wspólnej obrony, zaczęli nas nienawidzić — i za co? Za promienie sławy, które z czoła Aten tryskają, za nasz genjusz, wiedzę, męstwo, przewagę, której inne plemiona greckie dobrowolnie się poddały. A czem płaciliśmy im za tę zazdrość? Wierną przyjaźnią. Gdy zbuntowani niewolnicy osaczyli ich, jak gromadę wilków w kniei, wbrew rozumnemu oporowi Peryklesa usłuchaliśmy nierozważnego i poku-

tującego na wygnaniu za tę radę Cymona, posłaliśmy im odsiecz, którą podejrzliwie odprawili. Gdziekolwiek lud z nami sprzymierzony uwikła się w kłótnię sąsiedzką, oni zaraz przybiegają jego nieprzyjacielowi na pomoc. Gdy nie śmią uderzyć jawnie, podkopują się skrycie i rwą lub plączą intrygami nici sojuszów, któremi państwa greckie z nami się związały. I teraz w lisich skórach przyszli pozornie z obroną Parnasczykom, walczącym z Focejczykami, a tymczasem podburzyli przeciw nam sprzymierzeńców, przywrócili zwierzchnictwo Teb i stanęli zuchwale na granicy Attyki, wabiąc ku sobie naszych arystokratów, którzy im odkrzykują się zdradziecko, gotowi sprowadzić do Aten podkopem nawet morze, gdyby ono chciało nas potopić a ich na falach swoich unieść. I to wszystko według ciebie jest uczciwem?

Protagoras. Według mnie, natura żadnych moralnych tytułów ani ludziom, ani ich czynom nie daje. Ona rodzi tylko twory i zjawiska, a człowiek wyznacza im imiona. Jak księżyca nie nazwała księżycem, podobnie nie nazwała napaści jednego państwa na drugie zbrodnią lub cnotą.

Sofokles. Ale ty nie jesteś naturą, tylko człowiekiem, więc...

Protagoras. Jako Ateńczyk nazwałbym ów podstęp zbrodnią, jako Spartanin — cnotą.

Sofokles. A ponieważ jesteś Ateńczykiem...

Protagoras. Z obecnego pobytu, bo jako filozof uważam się za obywatela całego cywilizowanego świata, nie zaś jego drobnej, choćby najlepszej kruszyny.

Sofokles. A!

Protagoras. Zamiast dziwić się — pojmij, co powtarzam: natura nie przezywa swych dzieci, lecz rodzi je i chowa bezimiennie, no, a jeśli już daje któremu pierwszeństwo przed innemi, to tylko mocniejszemu przed słabszem. Pod Tanagrą, zdaje mi się, sprzyja Spartanom — a prawdziwy filozof z jej wolą musi się godzić.

Fidjasz (który wyszedł z komnaty, do Protagorasa ironicznie). Wietrzysz, braciszku, spartańską rękę na naszem gardle, więc wyciągasz sobie mędrkowaniem język, ażeby ją filozoficznie polizać. Tfu! (do Sofoklesa). Przed chwilą dopiero poznałem twój głos. Ty pukałeś?

Sofokles. Cóż się stało?

Fidjasz. Za chwilę ci opowiem, tylko odpiszemy Perykle-sowi. Poczekaj (odchodzi).

Protagoras. Gdybym wierzył w mitologję, przypuszczałbym, że Apollo plunął w czaszkę ludzką i stworzył mózg Fidjasza, którego mądrością jest tfu!

Sofokles. On nie zmaleje, chociaż go swoją złośliwością przytniesz.

Lew kamienny.

(Wejścia do przystani jeziora Konstancjeńskiego w Lindau strzeże lew kamienny, zapatrzony w widniejące zdala śnieżne szczyty Alp Vorarlberskich).

Opowiem ci bajkę, dla której najmniejsze dzieci są za duże, aby w nią uwierzyć mogły.

— Owszem — rzekła, podnosząc tyle ciekawe, ile piękne oczy.

— Ukochał lew naprzód samotność, więc rozkoszował się i gęstwiną leśną, w której spoczywał tak osłonięty, że go często słońce nie widziało, i płaską, olbrzymim kręgiem w kopule nieba osadzoną pustynią, po której zwykle tylko wiatr chodził i wielkie garście piasku z miejsca na miejsce przerzucał. Bo on jeden nie trwożył się i nie uciekał, usłyszawszy gniew króla zwierząt, a nawet miał odwagę zwichrzać lub głaskać mu grzywę i puszczać w wir pląsające przed nim słupy kurzu. Tygrysy, jaguary, wszystkie drapieżce, równym przestrachem zdjęte, jak żyrafy, kozy, antylopy, małpy, o ile nie ginęły rozszarpane i pożarte, pierzchały z okolicy aż tam, gdzie ich przerażające ryki lwa najsłabszem echem nie dobiegały.

Żył on więc tylko z samotnością, która mu rodziła niezliczone marzenia. Ale zwłaszcza jedno z tych dzieci umiłował. Szumem z wysoka na ziemię padającego wiatru, głosami zdaleka przylatujących ptaków mówiło mu ono ciągle, że gdzieś poza widnokręgiem wznoszą się olbrzymie góry, które w zawojach z chmur lub w koronach z promieni słonecznych wznoszą nad światem swo głowy.

Poszedł tedy lew dnia pewnego w kierunku, który mu jego marzenie wskazywało. Przebył długą drogę, przepłynął szerokie morza, a owych śnionych wyżyn nigdzie nie spotkał. Zmęczony bardziej zawodem, niż podróżą, gdy mu raz chmury nawet światło

gwiazd zaćmiły, legł nad brzegiem jeziora, w którem utonąć zapragnął. Szczebiotało ono do niego czule i wabiło go nęcącym szmerem swych drobnych fal:

— Ukołyszę cię, wypieszczę, ocałuję... Na mojem łonie zaśniesz w spokoju, którego ci życie nigdy nie da. Zejdź z dobrowolnej tortury na miękką pościel mojego kryształowego pałacu, przytul się do mojej piersi, która cię nigdy nie odepchnie i dla ciebie bić będzie. Szczęście jest nieczułością i zapomnieniem...

Ale u głowy tułacza siedziało skrzydlate marzenie, które mu przewodniczyło ciągle w wędrówce i które go teraz odciągało od tej pokusy.

— Nie wierz zdradzieckiej namowie. Nie ścigaj śmierci, bo ona cię goni. Ile razy zechcesz, stawi się natychmiast na twoje rozkazy: nie potrzeba jej prosić i wzywać, nie potrzeba po nią ręki wyciągać, bo ona stoi tuż przy tobie... Jesteś już u celu twych rojeń. Gdy ranek zasłony nocy pościąga i góry z mgieł omiecie, zobaczysz...

Lew powstał. Przez mroki dojrzał na drugiej stronie jeziora czarne ściany, ogromne skały czy mury, jak gdyby wynurzone z wody cielska potworów. Miałżeby ón za niemi tęsknić, do nich dążyć?

Tymczasem posępne oblicze nieba zbladło; mroki rzedniały, nabierały coraz większej przezroczystości. Powoli zarysowały się rozmaite kształty w otchłani cieniów i występowały barwy z tła szarego. Wszystko, co noc stopiła w jedną czarną masę, zaczęło się wydzielać i wyosobniać.

Lew patrzył ciekawie na to budzenie się natury i jej rozdziewanie z szat nocnych. Na przeciwległym brzegu jeziora stała gromadka gór, owiniętych w mgłę białawą. Jedna za drugą, podejmując ku wierzchowi tę oponę, ściągały ją przez głowy i zawieszały na krawędziach skał wyższych. A gdy brzask rozlał w powietrzu jasność poranku, gdy na niebie zapłonęła łuna, poprzedzająca wschód słońca, one już stały nagie i przeglądały się w jeziorze. Były to góry niskie, rodzajne, karmicielki człowieka, obwieszone kiściami ziaren i gronami jagód.

Lew je podziwiał, ale ciągle wzrok puszczał poza nie, dalej, gdzie stały inne, większe, z głowami zatopionemi w puchach obłoków. Jeszcze drzemały, gdyż dopiero dzień je budzi i odkrywa.

Nareszcie cicho i skromnie, jak gdyby nie było panem i żywicielem natury, szeroko rozwartą i niczem nieznąconą źrenicą

wysunęło się na lekko wyzłocony błękit nieba świeże, odmłodniałe słońce. Trącone jego promieniami wielkie, dotąd senne góry zerwały szybko ze swych głów białe zawoje i oblały się strugami światła. Wtedy lew ujrzał widok czarujący. Na śnieżnem czole jednej z gór słońce zapaliło olśniewający diadem, który błyszczał jak zwieszony z nieba łuk ognisty. Ramiona jej okrywał kołnierz gronostajowy, z pod którego ku dołowi zbiegał płaszcz ciemnego granatu, oszyty futrem zielonych drzew i krzewów. Ze słońcem nad głową stała ona wspaniała i majestatyczna, jak królowa, przed którą inne w licznym orszaku pochyliły się i upadły na kolana.

Lew wskoczył na ocios głazu, wystający z jeziora, usiadł, patrzył na to urocze zjawisko i powoli w zachwycie kamieniał. A chociaż słońce, odchodząc wyżej na sklepienie niebios, zdjęło swe blaski z czoła góry, chociaż ona znowu owinęła się obłokiem, on ciągle na niej wzrok trzymał.

Nieruchomy, skamieniały, z obliczem w jedną stronę zwróconem, z uśmiechem upojenia i tęsknoty na odemkniętych wargach siedzi tak od lat wielu na bryle granitu u bramy przystani jeziora. Codziennie przepływają koło niego setki statków i tysiące ludzi, wre nieustanny gwar życia i pracy, przesuwają się coraz nowe obrazy — on nigdy na nie nie spojrzał, ani na chwilę nie odchylił ku nim głowy. Natura przebiera się w rozmaite widoki, czaruje wiosną, odurza latem, siecze deszczami jesieni, mrozi chłodami zimy — on tego wszystkiego nie widzi. Nieraz wybuchały koło niego pieśni wesela, nieraz rozszalała się burza: wicher wstrząsał jego podstawą, znurtowana woda opryskiwała mu oblicze, gromy huczały nad nim jak gryzące się lwy — on nie zmrużył powieki i nie odwrócił oczu od punktu, w którym je utkwił. Spokojny i niewzruszony czeka ciągle chwili, kiedy góra, którą ukochał, znowu odgarnie swe zasłony, a on ją w koronie strzelającej promieniami światła pierwszy zobaczy.

I co w niej tak umiłował, że oczarowany nią skamieniał? Czy to, że tak wysoko ponad inne się wzniosła? Czy to, że blaskami słońca tak wdzięcznie się stroi? Czy to, że głowę na niebie oparła i nigdy śnieżnego czoła pyłem ziemskim nie oprószyła? Czy za to, że wielka, czy za to, że niepokalana, czy za to, że w światła natury zbliska spogląda?

Nigdy na te pytania nikomu nie odpowiedział, bo, stawszy się głazem, jak głaz milczał.

Tylko czatownik latarni jeziora twierdzi, że pewnej nocy słyszał, jak lew przemówił do jakichś cieniów, które po falach do niego przyszły i dziwnym głosem z odrętwienia go zbudziły. Słowa jego wszakże nie wiązały się w żadną treść zrozumiałą. Mówił, że żyje, myśli i czuje, ale skamieniał na wszystko, co spodem świata się toczy, że cierpi, gdy mu chmury promienny szczyt przesłonią, ale te smutki roztapia mu w rozkosz jedna chwila widzenia góry w jej majestacie, że największem szczęściem jest zawieszenie wzroku na wysokości, do której kurz walk padołu nie sięga i która nie mdłemi ognikami nizin, ale blaskami podniebia gorzeje. Ten tylko między ludźmi był rozumnym, zadowolonym i szczęśliwym — wyszeptał wkońcu — kto tak, jak ja, kochał i kto do przedmiotu swej miłości nie zbliżył się bardziej, niż na odległość kochania.

Szeroko wieść rozniosła te słowa, które usiłowano złożyć w jasne rozwiązanie zagadki, — ale daremnie. Lew pozostał sfinksem.

Siedzi on dotąd kamienny na kamiennym zrębie i patrzy w zachwyceniu ku górze, czy ona płaszczem się otuli, czy rozodziana z cieniów uroki na jego oczy rzuca. Zdaje się, że widzi on coś duszą nawet wtedy, kiedy wszyscy nie mogą niczego dojrzeć wzrokiem. A ponieważ znudził ludzi swem osłupieniem, więc uznali, że nie żyje, a jego rozmowa z cieniami czatownikowi się przyśniła.

— A ty jak sądzisz? — spytała słuchaczka.

— Ja sądzę — odrzekł — że w bajce wszystko jest możliwe.

MARJA KONOPNICKA

(* 23. V. 1842 w Suwałkach, † 8. X. 1910 we Lwowie).

Pierwsze poezje w Tyg. Illustr. od r. 1877. Osobno: Z przeszłości, fragmenty dram. 1881. Poezje 1881, 1883, 1886, 1895, potem szereg pomniejszych tomików w różnych ugrupowaniach. Pan Balcer w Brazylji 1910. Imagina, z przedmową A. Siedleckiego 1913. Nowele i opisy: Wrażenia z podróży 1884. Cztery nowele 1888. Moi znajomi 1890. Dym 1898. Na normandzkim brzegu 1904. Studja: O Mickiewiczowskiej Odzie do młodości 1890. Z roku Mickiewiczowskiego 1900, Trzy studja 1902; rozprawy z Bibl. Warsz. o Asnyku 1897. Sienkiewiczu, Zaleskim 1902, zebrane razem „Szkice" 1905. O Beniowskim 1911. — Poezje, wydanie zupełne, krytyczne, opracował Jan Czubek, ze słowem wstępnem H. Sienkiewicza, Warszawa 1916.

J. KALLENBACH O MARJI KONOPNICKIEJ.

Józef Kallenbach, * 24. XI. 1861, w Kamieńcu Podolskim. Oddzielnie wydał: Z poezji rzymskiej; kilka słów o poemacie Lukreciusza „De rerum natura", Propercjusza „Królowa elegij" 1881. „Kilka słów o elegjach łacińskich Jana Kochanowskiego" 1883. „Sobótka miłości z łacińskiego" 1883. „Odprawa posłów greckich Jana Kochanowskiego, jej wzory i geneza" 1883. „Rewizja tekstu pierwszej części „Dziadów" A. Mickiewicza według autografu" 1887. „Kilka słów o balladzie Neryna" 1888. „Czwarta część „Dziadów" A. Mickiewicza, studjum porównawcze" 1888. „Filozofja Jana Kochanowskiego" 1888. „Polacy w Bazylei w XVI w." 1888. „O improwizacji Konrada" 1890. „Polacy w Bolonji 1388—1628" 1890. „Les humanistes polonais" 1891. „Simon Simonides, lateinisches Drama Castus Joseph, kritisch untersucht" 1892. „Szymonowicza dramat Castus Joseph" 1892. „Adam Mickiewicz" (monografja) t. I. i II. 1898 (wyd. II. 1918, wyd. III. 1923). Tło obrzędowe „Dziadów"; studjum porównawcze" 1898. „Mickiewicz à Lausanne 1838—1840" wyd. 1899. „Dziady Mickiewicza w oświetleniu P. Marji Konopnickiej" 1899. „Uroczystość Mickiewiczowska w Lozannie d. 24. XII. 1898" wyd. 1899. „Wybór listów A. Mickiewicza" 1898. „Correspondance de Sig. Krasiński et de H. Reeve" 1902. „Zygmunt Krasiński, życie i twórczość lat młodych t. I. i II." 1904. „Czasy i ludzie" 1905. „O Postylli Reja" 1905. „Lata szkolne Krasińskiego" 1907. „O Wincentym Polu" 1908. „O nieznanych utwo-

rach A. Mickiewicza“ 1910. „Tradycja domowa w Panu Tadeuszu“ 1911. „Twórczość Sienkiewicza“ 1917. „Bard Polski A. Czartoryskiego“ 1918. „Poezja polska w latach 1800—1863“ (w Encykl. Akad. Umiej. 1918) „Triumf Filomatów“ 1919; ponadto wydania: Mickiewicza: „Pisma“ t. I—VII. Brody 1911; „Bibljoteka Narod.“ Nr. 6, 11, 20, 33. „Pisma“ Krasińskiego i Słowackiego 1922.

Perspektywa czasu ukazuje nam Konopnicką w coraz to prawdziwszem świetle. Zagasły pochodnie jubileuszowe, przepłynęły fale uczestników obchodu; dorasta nowe pokolenie, które nie patrzało na Konopnicką. Wizerunek jej staje się coraz bardziej duchowym; odpadają ozdoby przemijające i jaskrawe, krzykliwe barwy uznania odświętnego: pozostaje szczere ziarno duszy. Indywidualność poetki rysuje się na tle wydania zupełnego w kształtach trwalszych, niż za życia. Do syntezy jeszcze daleko, ale próby jej teraz dopiero stają się możliwe.

* * *

Konopnickiej młodość przypadła na czasy głośnego „pozytywizmu“ warszawskiego.

Nim nabierze tej mocy i wdzięku, aby wzruszyć pierś „grecką“, poetka instynktownie krzepi się u matki przyrody: Pieniny, górskie wrażenia są pierwszą szkołą utrwalenia wzruszeń w mowie wiązanej. Niema tu jeszcze prawdziwej, późniejszej Konopnickiej. Jest zaś wiersz odrazu gładki, język strojny i śmiały nawet w nowotworach — tylko oryginalności jeszcze brak. Tok wiersza, budowa strofy, co chwila przypomni to Słowackiego, to Bohdana Zaleskiego, a w śpiewności zaleci nieraz tęskna nuta ludowej pieśni. Wobec wielkich, narodowych tematów poetka będzie jeszcze niema: Na Wawelu — „upadłszy twarzą na prochach tej ziemi —

„Modlę się — myślę — czuję — z usty zamkniętemi“.

Nad tą początkową poezją bardzo wyraźnie panuje: „Anioł Milczenia“. Nie tyle przeżycia duchowe, wewnętrzne, decydują o tematach, ile pobudki zewnętrzne, malitia diei, której nigdy nie brakowało na polskiej ziemi. Styl ulega jeszcze dziennikarskim zwrotom, szablonom artykułów wstępnych, a grzmiącej retoryki także echa zalecą; w pierwszych poezjach mamy sporo liczmanów pseudo-filozoficznych, a za pozorną kwiecistością wyrażenia kryje się nieraz pustka myśli.

Równocześnie kształci się strofa z natury już bujna, rwąca się do muzyki słowa (Dwie noce wigilji), ale nieumiarkowana jeszcze i często nużąca monotonją, zwłaszcza przy ulewie zużytych abstraktów: „talizmany tajemnicze“, przeszłość, prąd, sztandar obowiązku, sny narodów, zapał walki i t. d. wszystko to na

jednej stronicy! — Poetka jeszcze nie umie dobrać rytmu słowa do rytmu myśli.

Idzie pod tym względem za złym przykładem B. Zaleskiego. Nieraz ma się wrażenie tak sprzeczne, jak gdyby kto Dies irae śpiewał sobie na nutę krakowiaka! Taki rozstęp między formą a treścią widzę w całym wierszu p. t. „To my!“, który jest sobie perorą Pana Boga, godną formy mniej terkotliwej.

Konopnicka szuka jeszcze swej własnej drogi; daje się uwieść to lekkim, zwinnym strofom Wiośnianek czy Rusałek Bohdanowych, to znowu roi o gawędzie Winc. Pola, której ton pochwyci do złudzenia (Na odludziu). Ale ponad problemy formalne wzbiją się kwestje ważniejsze, społeczne. Uczucie poetki zwróci się ku wiecznym zagadkom („Co to jest życie?“) i wobec nich stanie zadumana („Jak mi smutno!“). I rozpoczną się na przestrzeni lat całych pytania i rady rzucane Bogu, zrazu jeszcze łagodne w tonie („Ty nam, Boże, nie strój ziemi“), zczasem coraz to namiętniejsze, gwałtowniejsze, aż wreszcie — bluźniercze (Zakończenie wiersza Ja się nie skarżę).

W tych wzlotach myśli roznamiętnionej uczuciem nie odrazu zdoła poetka wzbić się na zawrotne wyżyny Konradowej Improwizacji. Monolog p. t. „Mojżesz“ nie ma tła jakiegokolwiek; trzeba go się dopiero domyślać z Biblji. Nie widać obrazu, słyszy się tylko grzmiące wyrazy, napozór silne, w istocie zaś przesadne w porównaniu naciąganem, męczącem. Ten „Mojżesz“ Konopnickiej nie ma powagi heroicznej Mojżesza, jak go pojął 20-letni Krasiński we fragmencie francuskim.

Zanadto jest jej Mojżesz człowiekiem XIX-go wieku, zanadto rezonuje i roztkliwia się nad sobą samym i nad swoją dolą.

Zwolna, z latami, uczucie coraz gorętsze zakreśla sobie coraz to bliższe, droższe sercu plany działania społecznego. Może tam, gdzieś, na wyżynach wszechludzkich są takie szczyty, „kędy łez niema, lecz tron wieczystej pogody“; ale Polka nie da się ukoić oddechem wieczności:

„Ja będę latać, jako ptak zraniony,
Nisko nad ziemią tą, co w bólach kona,
Bym mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miljony!
I jak jaskółka, bijąc w skrzydła drżące,
Latać ja będę nad niskie zagrody,
Nad pola nasze i lasy szumiące
I modre wody...
I choćby wszyscy milczeli, ja przecie
Błękity wstrząsać będę mym protestem.“

Taki program działania miał odtąd wypełnić jej życie. Szlak był wytknięty jej sercem współczującem: „idę tą drogą, którą łez

ludzkich wskazują mi ślady". Nie o stronnictwa tu szło, nie o hasła, nie o wpisywanie się pod taki czy owàki sztandar:

...„droga moja ni w lewo, ni w prawo:
Ja idę p r o s t o do biednej tej c h a t y,
Co n ę d z ą swoją odbija jaskrawo
Od głośnych haseł, rozdwojeń i kłótni."

A z czem poszła?

W jej przekonaniu, poszła z ziarnem zdrowem i czystem, wolnem od kąkolu zawiści społecznej:

„Ja sieję ciszę, ja sieję pogodę...
Ja ciepło sieję...
Ja ducha mego, ja krew moją sieję..."
(Co ja sieję?)

Dla tych zaś, co się lękali rozbudzenia ducha u maluczkich, co nie godzili się na „wstrząsanie pieśnią", miała poetka słowa dumnej wzgardy: „Słowa moje, jak świst giętkich biczy, rażą tym uszy, co w spokój zwodniczy chcą ukołysać sumienie"...

„Tak! biczem jestem na serca, w tłustości własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem! Ja wam to mówię, ja mówić m a m s i ł ę!" Ten wiersz programowy z r. 1882-go był istotnie objawem samopoczucia, był rykiem lwicy, stającej w obronie zbiedniałej i zgłodniałej rzeszy. Odtąd już Konopnicka idzie z podniesioną przyłbicą, a na jej głos kupią się miljonowe tłumy wydziedziczonych. Nie dba ona o nazwę słowika pieśni, przystaje na nazwę ptaka burzy i trwogi:

„Nie przyszłam poto, by pieścić wam uszy
I z kwiatów składać wiązankę różową,
Lecz by niedoli milczącej dać *słowo*
I sięgnąć do waszej d u s z y..."

„A kiedyś przecie powiedzą nędzarze: „Płakał ktoś łzami naszemi!".

Po latach zaś napisze o niej jeden z największych znawców duszy współczesnej, Sienkiewicz: „Wszyscy wydziedziczeni, wszyscy, którzy jęczą pod przemocą praw naturalnych i społecznych, pod pogardą i niemiłosierdziem możnych, gdyby mogli i umieli wypowiadać w pieśni swoją niedolę i swoje bóle, wypowiadaliby je jej słowami. Ona jest ich skargą wobec nieba i orędowniczką wobec sytych".

Trudno o większe świadectwo Prawdy w poezji społecznej wogóle, ale w poezji polskiej przedewszystkiem.

Ten lot niski ponad zagrodami wiejskiemi nie był odrazu pewnym siebie; jest i w nucie ludowej u Konopnickiej pewna ewo-

lucja, pewien punkt wyjścia, pewna szkoła, którą ona przechodziła. Szkoła była znakomitą, a nauczycielem — Lenartowicz. Próbnym wierszem, którego jakby ojcem chrzestnym był piewca Lirenki, to wiersz U okienka, taki jeszcze nieśmiały, łagodny... Ale wnet przyjdą po nim inne, ostrzejsze, przenikliwsze, nie dla salonu, takie „Na fujarce“ (z których pierwszy jest jakby prologiem, później dodanym, nie ludowym). To właśnie owe wiersze gwałtowne, z pod serca dobyte, a smagające jak biczem inne serca „w tłustości własnej osiadłe“; wiersze, odtąd po całej Polsce rozbrzmiewające:

„A czemuż wy, chłodne rosy, padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?“
„Świecą gwiazdy, świecą na wysokiem niebie,
Jeno nie myśl, chłopie, że to i dla ciebie!“

Pół wieku trzeba było, aby po Edmundzie Wasilewskim i Teofilu Lenartowiczu pieśń polska takie dobyła czarowne tony na fujarce wiejskiej. Arkusze-by mnogie spisać potrzeba, aby ten rodowód pieśni wiejskiej Konopnickiej w szczegółach rozprowadzić; ale o wiele prościej odczytać sobie na głos i raz i drugi i trzeci:

„A kto ciebie, ty wierzbino, wychował?
A kto twoje fujareczki czarował?“

Polskiemu uczuciu robi się błogo, gdy takie proste, a niebywałe przedtem w poezji naszej tony posłyszy; roztaje nie wiem jak w mieszczuchu zakrzepła dusza, gdy posłyszy odpowiedź wierzbiny:

„Wykarmiła mnie ta ziemia, ta matka,
Płakiwała ze mną brzoza sąsiadka“.

I wtedy zrozumiemy lepiej od wszelkich filologicznych wywodów prawdę słów Sienkiewicza o znawstwie mowy u Konopnickiej: „Zna ona nawskroś ten wielki skarbiec, wie, gdzie jakie leżą klejnoty, i czerpie z niego obu rękoma i rozrzuca i sypie, ale rozrzucając i sypiąc — jeszcze przysparza“.

* * *

Konopnicka wrodzony dar słowa umie cudownie rozmnożyć i zasilić żywą patoką gwary ludowej, którą zna wybornie z obcowania bezpośredniego po wsiach Mazowsza i Kujaw i Kurpiów.

Rozkochana w ziemi ojczystej, hołd jej składa prześliczny w wierszu Do ziemi, czerpie z niej iście Ateuszowe siły, ilekroć przejdzie się Rankiem w polu i wsłucha się w rytm wiejski. Powstaje wówczas arcydzieło takie, jak Na Kujawach, w którem plastyka wyrażenia i dosadność malownicza dosięgają szczytu możliwości. Wiersz to taki, że spokojnie go odczytać nie można nawet sam na sam, a cóż dopiero we dwoje! Jeden to z owych wierszy, które urągają wszelkiemu naśladownictwu, a cóż dopiero tłumaczeniu, tak jak nikt oberka nie przerobi na żadne tango czy fandango. Tak w tym wierszu jak i w owym Na Kurpikach czuje się ogrom mistrzostwa, które wezbraną toczy się falą szczerego natchnienia. Ziemia polska odpłaciła po macierzyńsku swej córze miłość gorącą i dała jej słowu dziwną moc malowania dźwiękami. Wraz z poetką czarodziejką tęsknimy „po tych wodach, co tam cieką strugą modrą i daleką, het, przez łężny szlak...“ Jest w niej dziwna jędrność mowy, która z równą prawdą wyrazić umie i chrzęst zbroi pancernej i szmer zdroju wśród łąk. Do niej to, do niej zastosować trzeba to, co ona mówi „na lechickiem polu o cichym pielgrzymie“:

„I wyrosły one słowa
Niby kłosy żyzne, chlebne,
Takie proste, polne takie,
A takie podnicbne!“

Ten związek żywiołowy poezji Konopnickiej z polem lechickiem jest tak nierozerwalny, że poetka odrazu czuje ubytek sił, ilekroć na obcym stanie gruncie: „Co mi nada, co pomoże cudza ziemia, cudze morze, kiedy moja dusza cała tam przyrosła, tam została, gdzie mój stary próg!“ I dlatego obrazy obcej przyrody, pomimo całego artyzmu formy, nie przemówią do nas taką prawdą odczucia, jak swojskie. Tak będzie z Renem o wrażeniach niejasnych a nieraz i nienaturalnych; tak z Kartkami Prowansalskiemi, tak będzie nawet z przeważną liczbą wrażeń włoskich, ujętych w zbiór p. t. Italia. Wiem, że narażę się na zarzuty przeróżne, ale chcę być szczerym i otwarcie wyznać, że wolę polską, ludową, jędrną nutę z Kujaw i ziemi Kurpiów, niż pompatyczne: „Którzy idziemy“ i cały szereg kunsztownych ale chłodnych (pomimo doboru ornamentów) sonetów. Siłą kontrastu Włochy przypominały Konopnickiej przedewszystkiem Polskę i dlatego najrzewniejsze w Italji wiersze to właśnie te, co mówią, że poetka idzie z krain

„kędy na dnia progu
Świt, we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata“.

MARJA KONOPNICKA

Albo owa odezwa do Wierzby w Prato; nawodzi ona analogją wspólnej doli: „fujarkowe, ciche granie", które, co prawda, niezbyt przystaje do krajobrazu toskańskiego. Z całego zaś cyklu Italia bodaj najwięcej włoską jest transkrypcja rytmem polskim klasycznego fryzu z domu Vettiusów „Prace Amora".

Najważniejsze dla zrozumienia ducha poetki są Echa florenckie, oczywiście nie z powodu Florencji pisane, ale w rzewnem rozpamiętywaniu lirnika mazowieckiego, co nad Arno życia dokonał, Teofila Lenartowicza. Są tam perły natchnienia, są najpiękniejsze duchowe akordy, które więcej mówią od nie wiem ilu sonetów o bezbrzeżnej tęsknocie tych dwojga aniołów bożych z ziemi włoskiej do polskiej, z czarów florenckich do prostych naszych ziół polnych... Jedyne to w poezji tej karty przepojone wonią mistyczną, tak jak jedyne, godne poety wielkiego określenie malarskie dźwięków:

„Dziś twe poznałem kolory,
Pieśń twoja *modrość*, co w *róże* przepada,
Jak kiedy zorza w przejrzyste wieczory
Ugasa blada..."

Takie to miały tam dwie polskie dusze swe wieczory florenckie! Taką sobie wróżyły przyszłość:

„Jeszcze my pójdziem tą drogą kmiecą
Pomiędzy sioł oplotki,
Jeszcze my będziem rzucali ziarno,
Gorczyczne ziarno cudu,
Co drzewem wzrośnie nad ziemią czarną,
Nad ziemią łez i trudu..."

.....Konopnicka wrosła krzepko na ojczystej ziemi, ...ukochała ją nadewszystko i z niej czerpie soki ożywcze. Ale nie znaczy to, jakoby w ludowości był główny urok jej poezji. Ludowość — to tylko jedna z wartości jej nieprzemijających, ale nie jedyna. Konopnicka, owładnąwszy przemożnie mową ojczystą, wzbiła się na jej skrzydłach w niebotyczne przestworza czystego Piękna. Gdy zrazu bywał w niej tylko lot dla lotu, dla samej rozkoszy bujania ponad obłoki, kiedy za pierwszej młodości szał rymów i rytmów ponosił ją i upajał ją tak, że nie zawsze zdawała sobie sprawę z rozstępu między makowem ziarenkiem myśli a kaskadą i ulewą słów nieokiełznanych — to po latach poetka wyzwoliła się z tyranji dźwięku dla dźwięku, opanowała wartki potok słów i kazała mu płynąć silnie ale spokojnie łożyskiem, wyżłobionem przez myśl cierpiącą.

Trzeba rozróżnić wiersze jej, pisane od ręki, na obchody, uroczystości lub poprostu dla zaradzenia bieżącym troskom matki,

obarczonej dziatwą — od poezyj, będących czarodziejskim kwiatem natchnień wyjątkowych, wywołanych najrzadszym na ziemi umiarem uczucia, wyobraźni i potęgi słownej. Od tego to umiaru zależy wartość utworu, tak jak od utrafionej szczęśliwie proporcji szlachetnych metalów zawisły wibracje tonu, jaki wyda odlew dzwonu. Wiadomo, że wśród władz zasadniczych Konopnickiej najprzemożniejszą władzą jest uczucie; ale samo uczucie nie byłoby jej wzniosło na szczyty twórcze. Szczyty osiąga ona wtedy, gdy równomiernie uczuciu towarzyszy wyobraźnia. Otóż bardzo charakterystycznym dla Konopnickiej jest stosunek wyobraźni do uczucia. Daleko jej do wyobraźni Słowackiego, który był mistrzem jej początkowego wiersza. Ale poetka nie u poety kształciła i wzbogacała swą wyobraźnię, uboższą od uczucia. Ona przed arcydziełami wyobraźni malarskiej stawała w zachwycie i dawała się ponosić ich wpływom sugestywnym. Tak działała na nią najpierw grottgerowska Wojna (1888 r.). Pobudza ona poetkę do wspaniałego opowiadania, gdzie niewiadomo co więcej podziwiać: czy złączenie Danta ze Słowackim w dostojnem odtworzeniu wizji Grottgera, przed którem sam artysta stanąłby w zachwycie; czy też wyjątkową w poezji naszej transkrypcję uczuć grottgerowskich na uczucia Polki w ćwierć wieku po katastrofie narodowej, Polki, która półgłosem tylko (bo cenzor czuwa!) wyrazić może tajnie swego bólu. Powinniśmy co rychlej mieć osobne wydanie kartonów Wojny Grottgera z niezrównanym komentarzem Konopnickiej. Będzie to wspaniała biesiada duchowa, pełna pouczających i krzepiących wzruszeń.

W kilka lat potem (r. 1894) poetka porwała się na ponowną, jeszcze trudniejszą próbę podołania takiemu bezmiarowi tytanicznych porywów jak Michała Anioła Sykstyna! Tu wyobraźnia poetki miała się czem zapłodnić i przejąć! Nie mogło być mowy o całokształcie Sykstyny: mamy tylko ogólny ton wzruszenia, obraz Sybilli, Stworzenie Adama — a wreszcie Sąd! Ten Sąd Michała Anioła doczekał się w poezji polskiej komentarza tak wspaniałego, jakiego nie mają dotychczas Włosi.

Jest to jeden z najsilniejszych wierszy Konopnickiej i sam przez się poucza, dokąd się mogło wzbić jej słowo, skoro było potężnej myśli gońcem. Zrazu zadziwić może forma: wiersz siedmiozgłoskowy, napozór za krótki dla tak ponurej treści; zresztą wiersz w poezji naszej trudny, którym przed Konopnicką tylko Mickiewicz w Liljach potrafił tak dzielnie pisać. Ale właśnie to zestawienie uspokaja obawy co do właściwego użycia siedmiozgłoskowca (Konopnicka miała Lilje w pamięci; są nawet formalne ich wpływy). Trzeba było tej mocy wyrazu, którą już w latach owych miała poetka, aby nie przestraszyć się śmiałym krokiem, który dzieli wzniosłość od śmieszności. Groza Sądu Ostatecznego wieje od tego

wiersza. Dies irae rozbrzmiewa jakiemś drżeniem organów kościelnych:

„Z pod grobowej się darni
Budzą goście cmentarni,
Bieleją zgła, jak śniegi...
Rozpadł się nieba zrąb,
Wołanie słychać trąb...
To idzie On!...

A dopieroż przeprowadzenie wizji Michała Anioła w języku napoły biblijnym, napoły ludowym, jakby średniowiecznym, wspaniałym w swej prostocie! Zakończenie zaś niezrównane w oddaniu gestu Chrystusa-Sędziego! Gdy tak wobec Grottgera i Michała Anioła słowo i uczucie poetki musiało nadążyć wielkiej wyobraźni płomiennej, inną bardziej uspokajającą, krzepiącą dziedziną były krajobrazy rodzinne, jak wiosenne widoki Bugu, odmalowane z wiernością czułą, godne stanąć obok krajobrazów z „Pana Tadeusza". Kto zaś chce mieć krajobraz ożywiony wielką historyczną chwilą, niech pilnie czyta i odczytuje rapsod p. t. „Przez Głębinę", na cześć obchodu unji horodelskiej napisany. Przyjdzie już może niedaleki czas, że rapsod ten wejdzie do szkół polskich na wieczną pamiątkę lat strasznych na polskiej ziemi, kiedy poetka pytać mogła:

„Czy nam już iść tak, pod umarłych zorze
Bez upojenia chwały i bez siły?
Czy, karki zgiąwszy w hańbiące obroże,
Pokoleniami kłaść się do mogiły
Bez czci..."

Tyrteuszowa nuta rozbrzmiewała coraz donośniej pod koniec życia Konopnickiej. Gdy inni milczeli, ona nie same tylko cenzuralne pisała utwory, ale w chwilach stanowczych umiała ożywić nadzieję. Cześć jej więc za to,

„Że w pieśń zaklęła ten błysk piorunowy,
Co z wielkich godzin bije w serce ludu,
I że śpiewała pieśń, czekając cudu!"

* * *

Artyzm Konopnickiej na szczytach narodowych natchnień wymagałby osobnego studjum, które przekroczyłoby znacznie zakres niniejszych skromnych rozważań. Wszakże mówimy tu tylko o wydaniu ośmiotomowem, które pomnożyć się ma dalszemi to-

mami. Nie chodzi zatem o t. zw. „wyczerpanie“ przedmiotu, który urąga wogóle „wyczerpaniu“. Chodzi tylko o przypomnienie, że oto wielki skarb poezji doczekał się uporządkowania i jest powszechnie dostępny. Nawet dla znawców i wielbicieli Konopnickiej dopiero wydanie Czubka odsłoni niejeden zapomniany klejnot. Uwidocznia się np. jej zasługa wznowienia dawno w poezji naszej zaniedbanych b a l l a d z podkładem historycznym lub legendowym (wspaniała: „W jagnięcej chodzi wełnie“); w rodzaju tym osiąga prawdziwe perły, jak „Pocałunek Roberta Emmeta“. Gorętsze od ballad będą oczywiście wiersze liryczne, jak „wyłamane z piersi kryształów klejnoty“, drżące od przeżytych wzruszeń i jakby rosą łez pokryte.

....Przeżycia osobiste rzucą welon czarny na niejeden wiersz i zaprawią usta goryczą. A wtedy wszystko wyda się jej złudą bezcelową prócz jednej tylko prawdy: bólu i śmierci. Tragizm doli ludzkiej z różnych stron życia wyziera ku poetce, czy to kiedy przemoc żądzy cielesnej urąga wszelkim teorjom i w nonsens je przeobraża, czy też kiedy rozdźwięk ducha każe jej przed Madonną Botticelli'ego uderzyć w spazmatyczny jęk nad nieubłaganą niedolą ludzkości. Obok podkładu ogólnoludzkiego ma ten tragizm jeszcze osobne zabarwienie polskiej rozpaczy i dlatego filozoficznej myśli Konopnickiej brak spokojnego kąta, gdzieby snuć mogła beznamiętnie wątek czysto ideowy. To też ideologja jej (bo o filozofji poetki właściwie mówić nie można) nie da się ująć w jakieś linje wyraźne, ale ma raczej znamiona żywiołu płynnego i rozwiewnego zarazem. (Por. wiersz „Kto z nas pomni“, gdzie mamy coś nakształt kosmogonji; a także „Nic darmo“). Jeśli dodam, że cała ideologja tu przesiąkła także łzami, które wyciskał ból wszechludzki, to w ostatecznym wyniku rozważań dojdziemy do stwierdzenia, że główną władzą twórczą Konopnickiej był przez całe życie l i r y z m, uszlachetniany cierpieniem polskiem i ludzkiem wogóle, prawie pozbawiony egotycznych pierwiastków. I dlatego to najodpowiedniejszemi naturze poetki były wybuchy żywiołowe liryczne, jako płomienny wyraz jej osobistego heroizmu. Ody takie, jak „Ty, coś walczył dla idei“, lub „Iskrę słońca masz w sobie“, lub „Młody żołnierzu, w jaki ty idziesz bój?“ — pozostaną w dziejach naszych porozbiorowych jako wspaniałe odezwy ducha, nie dającego się zakuć w dyby, a zarazem jako najlepszy wyraz naszej potęgi słownej na przełomie dwu wieków.

Obok nich stoją, jak gwiazdy pierwszorzędnego blasku w nocy pogrobowej, te wspaniałe, silne przykazania, które wiodły naród ku rozświtom wolności. Niepodobna przytaczać tu wszystkich, ale godzi się zwrócić uwagę na wiersze, o których dziś zwłaszcza pamiętać powinniśmy: „Na zjazd weteranów z r. 1831“, „Lubelskiej młodzieży“, „Pod nową zorzą“ r. 1900, a zwłaszcza krótkie ostrze-

żenie „Wyrocznego klucza żywota: „Lud, co się sam nie zbawi, pozostać rabem musi".

W późne, potomne lata będą szczęśliwsze od nas pokolenia z wdzięcznem wzruszeniem zastanawiać się nad puścizną duchową Konopnickiej; bo nie była pieśń ta echem jej tylko czasów, ale szła z samych głębin narodowego życia, jako istotny a potężny objaw tego życia.

W śmiertelnych zapasach pogrobowców z niedolą dni wczorajszych i jutrzejszych, pieśń Konopnickiej jak krzepiła nas, tak krzepić będzie i potomnych. Bo naprzekór tym, co radziby nas uleczyć ze „złud" i pogodzić z nieporządkiem dziennym i z dziejową krzywdą — ona contra spem sperabat, ona w głębi mogił czuła życia dreszcze. Jej testamentem było i pozostanie:

„Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów —
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei
Przeciw nadziei!"

A w związku z tem credo polskiem wołała w zachwycie jasnowidzenia dni dzisiejszych:

„Już nadszedł czas! Już stał się cud!
Już godzin słyszę bicia...
Letargu snem schwycony lud
Przebudził się do życia.
Już nadszedł dzień, już błysnął dziw
Zdawna przepowiadany —
Z letargu lud się przecknął żyw
I wstrząsnął grobu ściany,
A duch przejasny woła nań,
Wieczysty Duch Narodu:
Łazarzu, wstań! Łazarzu, wstań!
Już idą brzaski wschodu!...

We wdzięcznej pamięci Polski ta, co Jej pobudkę zmartwychwstania grała, pozostanie wiecznie żywa, jako

„Ten Anioł, co odwalił głaz
Z grobu Chrystusa w skale;
Nie wrócił w niebo, lecz śród nas
Został na ziemi — stale!
I blaskiem, co mu bije z piór,
Nad mrokiem czasów świeci,
Wpatrzony w brzask, nim błyśnie z chmur
Dzień Zmartwychwstania trzeci!"

Z „Poezyj".

Zawsze leciałam...

. . . . . .

Zawsze leciałam do ciebie,
O światło!
Zawsze leciałam do ciebie,
O światło wieczne na niebie,
I byłam ci, jak drobny ptak,
Co w podsłoneczny płynie szlak,
I byłam ci jak muszka licha,
Co za płomieniem dech wydycha,
O światło!

Czyliś zabłysło dla ziemi,
O światło,
Czyliś zabłysło dla ziemi
Kwiatami nocy srebrnemi,
Czyś na majestat weszło swój,
Zwycięski z cieniem zwiódłszy bój,
Czyliś miesięczną swą poświatą
W brzózce tej drżało przed mą chatą,
O światło!...

Zawsze tęsknemi ja loty,
O światło!
Zawsze tęsknemi ja loty
Wzbijałam ducha w blask złoty,
I w burzę nawet, kiedy grom
Zatrząsł te węgły i ten dom,
W błyskawicowych ogniach cała,
Jeszczem przed tobą z pieśnią stała,
O światło!

Angelus.

W cichej komnacie pada mrok,
Zachodu mrok perłowy,
Ostatnie blaski sieje dzień
Na czarnych lasów głowy.

Strzelista jasność oknem mży
Na sprzęty i na ściany,
I na odkrytą mędrca skroń,
Co siedzi zadumany.

I złotem brzeży jedną z kart
Otwartej przed nim księgi!
Wiją się po niej, niby szlak,
Starych minjatur wstęgi.

Ale myśliciel utkwił wzrok
W bezmiernej, pustej dali...
Nie widzi nawet, że się dzień
Zachodnią łuną pali.

Ciało i duszę rozbił on
Na cząstki, na atomy,
Przeniknął tajnię ruchów, sił,
I cały świat widomy.

I nic nie znalazł na dnie złud,
Jak warsztat ów pajęczy,
Na którym człek sieć marzeń tka
I barwi w blaski tęczy.

Więc wszystkim wiarom, wszystkim snom
Zaprzeczył głośno, śmiało,
I zerwał z życia przędzę tę,
Pod którą serce drżało.

I obojętny patrzy dziś
Po wyludnionem niebie,
W milczącą, chłodną pustkę gdzieś,
Wskroś świata, czy wskroś siebie.

Wtem stary zegar, stary druh,
Zaskrzypi, załopota,
I na „Angelus“ bije w śpiż,
Jak sygnaturka złota.

I dwoje skrzydeł w strony dwie
Odskoczy z cichym trzaskiem,
I na lazurów ciemnych dnie
Miesięcznym zalśni blaskiem.

I od zachodnich, krwawych zórz
Topnieje w szczere złoto
Tryptyku wnętrze, tak jak je
Malował niegdyś Giotto.

Owiana — niby ranną mgłą —
Panieńskich rąbków strażą,
Służebna Pana klęczy tam
Z przejasną, cichą twarzą.

A srebrny anioł wchodzi w drzwi,
Migając szatą białą...
— Ave Maria! — słychać szept —
Słowo się ciałem stało.

I srebrną lilję wzniósł na znak
Poselstwa gdzieś z niebiosów...
A światłokręgiem łaska lśni
Z przejasnych Panny włosów...

I bije zegar, śpiż w nim drga,
Różaność płonie słońca,
I na „Angelus“ zorza gra,
Złotemi pyły mżąca...

Tak codzień mędrzec z myśli swych
Budzi się owym gwarem;
Lecz dziw: nie pragnie rozstać się
Ze starym swym zegarem!

I gdy mu ciąży znojny dzień
I pustka w piersi głucha,
Podnosi wzrok i patrzy weń,
I głosów jakichś słucha.

Z „Pana Balcera".

Hej, puszczo, puszczo niezgłębionych borów,
Stanęłaś ty nam w drodze czarną ścianą,
Na której kartę ognistych kolorów
Widziałem, ręką Boga wypisaną!...
Skroś ciemnej nocy, skroś mroku wieczorów,
Widzę cię, w gwiazdy i kwiaty utkaną...
W cichości stoisz. Naraz z ciebie bucha
Krzyk, jęk, przekleństwo... I znów cisza głucha.

Hej, puszczo, puszczo! Zeszli my się społem,
Jak te dwa wichry z zachodu i wschodu.
A ty się ostrym stawiłaś nam kołem,
Przeciwna rzeszom onego narodu,
Co spadł na ciebie lecącym sokołem,
I piersi jego przebiłaś od spodu...
I posypało się skrwawione pierze,
Którego Bóg sam, choćby chciał, nie zbierze.

Hej, puszczo, puszczo! Połknęłaś ty rosy
Krwawe, po których gdy ziemia zarodzi,
Słyszane będą westchnienia i głosy,
Jak kiedy z płaczem po lasach kto chodzi!
Otrzęśli my się o ciebie, jak kłosy,
Gdy je w sto cepów grad tęgi ugodzi...
I padło ziarno pleniste a świeże
W ugory twoje i w twoje rubieże.

Kujawiak.

Na Kujawach rżną skrzypice,
Skoczę w taniec, dziewczę chwycę,
Chwycę dziewczę z poza stoła,
Wykręcę je dookoła.
Dokoluśka widno z nieba
Dokoluśka bochen chleba
Dokoluśka talar biały
Dokoluśka świat je cały!
Niech ta wpodłuż tańczą pany,
Z izby za próg odbijany.
Na Kujawach, chwalić Boga,
Chłop nie przejdzie swego proga.

Na Kujawach, dziewczę moje,
Dzisiaj jedno, jutro dwoje!
Jasne słonko kołem chodzi,
Na co wejrzy, to zarodzi!
Kołem, kołem, popod ściany,
Przez bok poła od sukmany,
Na łbie czapa, jak pół stoga,
Przy niej wstęga, że — laboga!
Kołem, kołem, popod ściany,
Trzos rzęsiście nabijany
A we trzosie — dukat prawy!
Jak Kujawy, to Kujawy!
Dokoluśka chaty nasze,
Dokoluśka gniazda ptasze,
Dokoluśka kumy, braty,
Dokoluśka płot u chaty!
Coraz prędzej Pietr Muzyka
Po skrzypicy ciągnie smyka,
Coraz gibciej dziewczę gnie się,
Jak węgorek w mokrym lesie...
Na przechybkę, na przegiętkę,
Oj, załowię cię na wędkę!
Na przegiętkę, na przechybkę...
Oj, załowię moją rybkę!
Coraz głośniej huczą basy...
Przeszły czasy... przyjdą czasy!
Na psa urok stara bieda!
Kto się da — a chłop się nie da!
A jak bieda za mną k'sobie,
To ja odsieb migiem drobię,
Nim się bieda odsieb ruszy,
Ja znów k'sobie — co mam duszy!
Chce mnie bieda za czuprynę,
To ja klęknę, to się zwinę,
To do ziemi się przychylę,
Że nie dotknie mnie — i tyle!
Nie przychylę się daremno.
Wszędy Boża moc nade mną!
A i co mi za niewola?
Komu z pola, mnie — do pola!

Z prawej nogi, z lewej nogi,
Umykajta na bok z drogi!
Jak Kujawiak się okręci,
Na bok z drogi — wszystkie święci!

Pole Grochowskie.

O, Grochowskie pole sławne!
Olszynowy lesie krwawy!
Tyś pomnikiem naszych nieszczęść
I ogromnych bojów sławy!
O, gdyby tam była z g o d a,
Gdyby wodza wiara miała,
Pewno noga by Moskala
W kraju naszym nie postała!
Drogo bitwę tę opłacił
Żołnierz polski krwią swą dzielną,
Ale klęski jego nawet
Chwałą kwitną nieśmiertelną.
Tam Mycielski Ludwik zginął,
Gdy związawszy ranę w szmaty,
Znacząc drogą ślad swój krwawy,
Szedł zagwoździć dwie armaty.
Już dochodził do baterji,
Już dosięgał — blednąc — działa,
Kiedy kula go moskiewska
W pierś trafiwszy — dokonała...
Tam i Szembek padł generał,
Z konia lecąc pod kopyta:
— Naprzód! — wołał — Naprzód nasi!
Kraj — zwycięzców niech powita!
Dziewięć padło tam tysięcy
I konnicy i piechoty,
A imiona ich Ojczyzna
Wpisze kiedyś w regestr złoty.
Dwakroć tyle Moskwy legło,
Wśród krwawego tego pola...
I to ludzie. Idą — bo ich
Rozkaz pędzi — carska wola.

Pod Grochowem, tu raz pierwszy
Błysnął sztandar ten przyszłości:
— W bój idziemy tak dla naszej,
Jak dla waszej też wolności.

O, było to piękne godło!
Już go dzieje nie zapomną...
Wzejdzie kiedyś nad narodem
Zorzą złotą i ogromną!

Oj, ty kulo nieszczęśliwa,
Chłopickiego coś raniła...
Hej, inaczej z takim wodzem
Wiara nasza by się biła!

O, nieszczęsny Krukowiecki,
Coś opuścił boju pole...
Równy zdradzie czyn twój leży
Plamą czarną na twem czole!

O, Grochowskie pole krwawe,
O, ty świadku naszej sławy,
Ogarnęła ciebie Moskwa,
Lecz nie weszła do Warszawy.

Ogarnęła ciebie Moskwa
Swym ogromem, lecz nie męstwem!
Grochów — zawsze pozostanie
I wśród klęski nam — zwycięstwem!

Wojciech Zapała.

Kiedym poznał Wojciecha Zapałę, był on już dobrze posunięty w lata, wyschły jak trzaska, pożółkły jako liść jesienny, a taką przez łeb miał szramę, że choć czwórką po niej zawracaj.

Prosto się jednak trzymał jeszcze stary, a jego szczotkowate, w górę sterczące wąsy dodawały mu marsowej miny.

Równego z nim wieku zdawała się być i kurta jego zielona, zarywająca na mundur strzelecki, mocno już spłowiała, ale twarda widać do zgryzienia, jako i jej pan.

Mieszkał Zapała pod lasem, w chatynce nędznej, na piaski rzuconej, z dachem roztrzęsionym, sczerniałym, czesanym przez wszystkie cztery wiatry, hulające po nim zawieruchą jesienną albo zimową zamiecią; — z kalenicą zaklęsłą, z bokiem jednym z węgła

ruszonym, drugim w ziemię idącym; z drzwiami licho wie jak trzymającemi się jeszcze odźwierka — ot, w pustce ciężkiej, i tyle.

Prócz wróbli pod strzechą, tulił przy sobie Zapała w chacie owej drobnego chłopczynę, sierotę, co go niegdyś wiosną zgubiły bociany we wsi, lecące na łąki, na zielone. Poterało się mizeractwo, to tu, to tam, popychane, szturchane, niewiedzące kędy się dziać, a prócz sińców na grzbiecie mające tylko jedną koszulinę, czarną jak święta ziemia.

Płaczącego z głodu i chłodu, przydybał kiedyś chłopca stary pod lasem, popatrzał, splunął, wąsy najeżył, potem go na ręce wziął, kożuchem okrył, do chaty zaniósł, okrajcem chleba utulił — i na ławie, kędy sam legiwał — uśpił. Odtąd już się nie rozłączali.

Jako przy pniu dębowym odrostek wiosenny, tak Antek tkwił przy Wojciechu.

I dobrze im było razem; tylko w miarę, jak chłopak podrastał i łyżką kartofli najeść się już nie mógł — stary pasa przyciągał, aby im obu starczyło.

Wiosennym wczesnym porankiem już słychać było głos starego Zapały:

— Dalej, chłopcze, marsz! A coś ty, baba, żebyś nie wiedział, jak żołnierz chodzić powinien? Prawa noga naprzód!... Nie ta... a czy skaranie boskie... toćże ta, druga! Uszy do góry! brzuch w siebie! a! że też ty, chłopak, nijakiego rychtunku nie masz!...

A „żołnierz“ w koszulinie tymczasem, drepcząc obok starego, wystawiał nogi bose, brudne, cienkie jak badyle — i podnosił konopiastą głowinę wysoko, sądząc słusznie, że i uszy z nią pójdą do góry; z brzuchem tylko jakoś nigdy do ładu dojść nie mógł. Odęty, wielki, sterczał on uparcie z pod chudych żeber i tuż pod piersiami z za koszuliny wyglądał.

Czas jakiś maszerowali w milczeniu. Strwożone żaby w desperackich skokach pierzchały z pod nóg Wojciecha, chroniąc się w bróżdy i w kępy wilgotne, a w ciszy porannej, dzwoniącej pieśnią skowronka, słychać było daleko, szeroko, ciężkie stąpanie starego wiarusa.

Aż naraz, precz dalej maszerując, odzywał się Wojciech:

— Uważasz, chłopcze, przed nami idzie dobosz i bębni, aż w niebie słychać! A dalej trębacze złociste na trąbach grają, a tu z boku nasz kapitan, ej, dziarska u niego mina! a za nami wali

piechota, jak morze. A tu adjutanty polatują, jak ptaki, ino wiatr furczy, a jenerały aż kapią od złota; a tam, dalej, na białym koniu, sam cesarz... Wiw limperer! hurra!

I wyrzucał w górę czapkę swoją stary Zapała, i salutował kijem sękatym, i promieniał cały; a zasłuchany chłopczyna, chcąc dojrzeć owego dobosza, owych trębaczy złocistych, adjutantów, jenerałów, a najbardziej onego cesarza — wytrzeszczał oczy, otwierał usta — i naturalnie takt gubił.

Stary maszerował jeszcze kilkanaście kroków, jaśniejący w sobie, odmieniony, piękny niemal, jak był przed trzydziestu laty; z oczami utkwionemi w przejrzystą różaność poranku, z rozwianym włosem, naprzód podaną piersią, na której spłowiała jego kurta nabierała też życia i barwy. Usta jego szeptały coś pocichu — zdawał się jakby natchniony. Po chwili opamiętywał się, gasł w sobie, kułakiem przecierał oczy, a spostrzegłszy, że Antek przyzostał, poczynał burczeć na niego.

— A czegóżeś ty gębę rozdziawił, nie mający na co? Widzicie go, piecucha; a ruszajże się prędzej! Oj! żeby ty służył pod naszym wachmistrzem, dopieroby on ci pieprzu w uszy natarł! Dalej! prawa noga naprzód! Raz, dwa... a cóż ty, na kolkach idziesz? A czy cię też...

Ale chłopak, raz takt zmyliwszy, szedł jak odurzony, przebierając nogami bez składu.

To zdawało mu się, że nie ma ani lewej, ani prawej nogi, to znowu, że ma ich za wiele jakoś — i ani rusz do ładu z niemi trafić nie umiał. Szerzej więc jeszcze otworzywszy usta, stawał zapatrzony w Zapałę, a wydęta jego brzuszyna wyglądała z otworu koszuli, zapomniawszy całkiem o wojennej karności.

Stary dąsał się, gderał przez chwilę — aż ustawiwszy dzieciaka „do frontu", zaczynał sam maszerować przed nim napokaz. Nie był to już jednak ów bohaterski Zapała z przed chwili. Wielkie jego stopy podnosiły się teraz nad ziemią, sztywno i martwo opadały, jakoby na drewnach sękatych wprawione; nadęta wierzchnia warga komicznie jeżyła się przystrzyżonemi wysoko wąsami, a spencer jego spłowiały zwisał na zaklęsłej piersi, którą chwytał kaszel suchy, głęboki. Wówczas zatrzymał się stary, głowę opuszczał, dyszał chwilę, a wziąwszy chłopca za rękę, szedł z nim w milczeniu, powłócząc zmęczonemi nogami.

Dzieciak jenerałów owych złocistych, dobosza i trębaczy zapomnieć nie mógł.

Drepcząc obok Zapały, myślał, przemyśliwał, gdzieby ich dziaduś mógł widzieć? A przed nimi, jak okiem zajrzeć, rozciągały się pola ozime, mazowieckie pola, zachodzące runią zieloną, po której poranny tuman bił w słońcu pyłem złotym, jakoby się mietlice kurzyły. Od lasu tylko błękitność jakaś przejrzysta siała się po ziemi, jakoby kto smugę modrą w powietrzu rozdmuchał przez przetaki srebrne.

Chłopak wytrzeszczał oczy coraz szerzej, nadążając krokom starego. Juści nie gdzie, jeno w tym złocistym tumanie muszą być jenerały owe i cesarz. Patrzał, patrzał, otworzywszy gębę szeroko, gdy jednak nic dojrzeć nie mógł, pociągnął za rękaw starego i odezwał się głosem cichym: — Dziadusiu!

Ale pogrążony w sobie Wojciech nie słyszał chłopięcia.

— Dziadusiu! — przemówił wtedy malec głośniej, — ja tam tego cesarza nie widział, ani trąbów nijakich...

Uśmiechnął się stary.

— A co ty myślisz, pędraku, że lada komu będą trąby grały? Oj, nasłuchał ich ja się, nasłuchał! To mi potem przez dziesięć lat z okładem w uszach dzwoniło, że anim ludzkiego gadania, ani wiatru w polu nie słyszał, jeno to ich granie. Hej! nie słyszałem nawet, jak starość przyszła i bieda! Ludziska głupi powiadają: głuchy Zapała. Oj, nie głuchyć, nie głuchy, jeno słyszący takie rzeczy, o jakich wam się, Mazury, nie śniło! Gdzie człowiek nie był, czego nie zaznał! Szedł pan na wojnę, szedł i ja. Wojciechu, powiada, nie żal ci chaty? Juści żal, panie, powiadam. To wracaj zdrów, powiada: ja stoję przy Napoljonie. Ha! to i ja stoję. A pan na to: daj rękę, bracie; nie wrócę do domu, powiada, aż z Francuzami. I nie wrócił. To był pan!

I puszczał stary głowę, i szedł zadumany, wzdychający, aż po chwili prostował się i mówił dalej:

— Albo co! Raz, pamiętam, wali nasza wiara do szturmu. Gorącyż to był dzień! Pewno go tam Bóg Najwyższy czerwono w kalendarzu zapisać raczył! Trąby grają, jakby na skończenie świata, bęben grzmi, że człowiek własnego strachu dosłyszeć nie może; gdzie spojrzysz, las nie las, sterczą bagneciska, że aż w oczy kole. My nic. Przed frontem przeleciał adjutant, błysnął szpadą, niby jasną świecą. A my, wiara, jak hukniem: Wiw limperer! tak ci tu zara one Hiszpaniska jak nie puszczą swoich fortów w taniec! Boże miłosierny! żeby się nasza ziemia trzy razy zapadła, toby takiego huku nie było. Oficery krzyczą: marsz! marsz! Idziesz,

jakby ci kto za piętami gorącą smołę lał: niewiada jeszcze, czyś z głową, czy już bez głowy. Same nogi niosą cię naprzód: prawa, lewa, prawa, lewa, marsz! A tu znów jak nie gwizdnie! Chryste Panie! Czapkę z głowyby zdmuchnęło, żeby niżej poszło. My nic!

Trzeba było widzieć starego Zapałę, z jakim ogniem, z jaką werwą mówił te dwa słowa: my nic!

Była to cała epopeja tej mazurskiej duszy.

— Dziadusiu — przerwał nagle Antek, oglądając się niespokojnie dokoła, — a płota tam nie było, żeby się skryć za niego, a potem w nogi do wsi?

— Płota? — powtórzył Zapała z wzgardliwym uśmiechem, — oj, ty chłopska maniero! A hunor, a ambicja? a co powie cesarz, abo i kapitan? Dałby ja ci płot na wojnie, abo i uciekanie! Nasz kapitan powiadał, co jak ta wojna przyszła, to wszyscy królowie i wszyscy panowie posiedli, pozakładali ręce i patrzyli, jak się Polak za Francuza bije. Ot, pięknieby to było, żeby potem gadali, cośma tchórze. Nie daj Boże takiego doczekania!

— A nacóż się Francuz sam nie bił? — pytał dalej Antek.

— Co się miał sam bić? W przyjacielstwie wszystko po równości: my im, oni nam. A to juści i dla człowieka jest z hunorem, że go tam ludzie widzą we świecie, i znają, i powiadają o nim tak i tak. A ty się pilnuj, żeby ci kula nie policzyła zębów nawylot: to już twoja rzecz!

— A cesarz? — pytał chłopczyna głosem z niepokoju stłumionym, — kto pilnował cesarza?

— Cesarza? oj, dziecko ty moje! Pilnował ci go sam Pan Bóg Stwórca, i ona jasność, co od niego biła po świecie, i ony orły, co nad nim latały na sztandarach naszych, i ten dech gorący, co szedł ku niemu z owych piersi ludzkich, gotowych murem stanąć, żeby jeno skinął! Nie broniły go zamki, ani pałace; w obozie jadł, w obozie spał. Ktoby powiedział: człowiek, jak i drugi. Ano kulka kulce świstała lecący, że to Napoljon Bonapart, i żadna tknąć go nie śmiała.

Umilkł stary wiarus, dźwiękiem własnego uniesiony głosu, a źrenice jego cicho gorzały, zapatrzone w dalekość siną.

Antek dreptał obok niego, coraz szybciej przebierając bosemi nogami. Postać bohatera, odtworzona gorąco przez starego Zapałę, widomie niemal przechodziła z duszy jego w duszę dziecka. Chłopiec czuł się zaniepokojony, wzruszony; moc go jakaś brała

za czuprynę konopiastą, więc podnosił głowę do góry, jak ptak do słońca — i coraz silniej ściskał rękaw starego Wojciecha. Miał też skrytą nadzieję, że tam daleko, gdzie dziaduś spostrzegł postać swojego cesarza — i on też może przecie, otworzywszy dobrze gębę — cośkolwiek obaczy. Nie mógł jednak zobaczyć nic, i to go srodze trapiło.

Spojrzał staremu raz w oczy, spojrzał drugi raz, potem go za rękaw pociągnął i szepnął:

— Dziadusiu!

Ale Zapała utonął myślą w takiej dalekiej przeszłości, że głos dziecka dobić się tam nie zdołał. Ognie mu jeno chodziły po zoranej twarzy — zwiesił głowę i w milczeniu wracał pod las, do chaty.

Nocy tej Antek spać nie mógł.

Po ławie się ciskał, rękami rozrzucał, majaczył; a kiedy go Wojciech świtaniem obudził, pierwszą myślą malca był... cesarz.

Skąd bo się mógł wziąć ów cesarz na białym koniu, co go dziaduś wczoraj w polu widzieli? Białego konia w całej wsi nie było; nie było go i we dworskiej stajni. Jak też mógł wyglądać koń taki? A cesarz? kulki nad nim latały, śpiewając, — broniła go zorza złota, idąca przed nim na wojnę, a chorągwie furczały na wietrze, jako skrzydła ptasie, przypięte owemu koniowi białemu.

Taki sobie obraz utworzywszy w duszy, stanął chłopczyna przy zydlu u misy, wedle siedzącego Wojciecha; nie mógł jednak jeść wiele, jeno łyżkę z garści w garść przekładał, zadumany, zapatrzony...

Aż kiedy Zapała pośniadał i jął siekierę na brusiku ostrzyć, zbierając się na porębę do lasu, malec zaczął się kręcić, staremu drogę zachodzić to z tej, to z owej strony, aż wreszcie za kolana go chwycił rączynami chudemi.

— A ty czego, chłopcze? — zapytał stary.

— Mój dziadusiu! moi złoci! niechby ja też tego cesarza choć raz obaczył! choć bez płot!

Zapała uśmiechnął się pod wąsem.

— Ot, czego się głupiemu zachciało! Cesarza! cesarza!... A cóż to, cesarz jest ekonom, abo strach na wróble, żeby go lada kiep widział? Hej! hej! nawędrował ja się niemało po świecie i niemało biedy zgryzł, i skórę własną, jak wąż, odmienił, zanim go oczy moje ujrzały!

— A jakże go oczy wasze ujrzały? mój złoty dziadusiu! — pytał dalej Antek z najwyższem zajęciem, chwytając znowu za kolana starego.

Zapała siekierę poostrzoną na brusiku wsparł i westchnął głęboko.

— Oj! nie bez płot, nie bez płot, moja sieroto! Ujrzały go oczy moje w tumanie krwawym, niesionego, jako sokół wiatrem zachodnim, nad pole kłosów dostałych. A nie były to kłosy, jeno ludzkie głowy; a co kulka świśnie po nich, to jakby kosa przeszła, brózda się ściele i ściernisko trupie...

— A któż tak kosił, dziadusiu?

— Śmierć kosiła, chłopcze.

— A cesarz?

— Cesarz był z nami. A ktoby dotrwał bez niego? Na górze stał w kapocie swojej szarej, rękę do oczu przyłożył i rozkazy dawał, i patrzał, jak się Mazury prą na baterję. Bóg widzi, nie my ją brali, ale to wejrzenie jego. Zrazu-m ci ja nic nie widział, który to jest cesarz; bo wkoło sztab się kręcił, cały w złocie, a w piórach, a w szelestach. Aż tu mi pan mój powiada: Wojtek, powiada, to Napolijon. Spojrzę ja, jeno go maluj! Porozlatały się one adjutanty złociste z rozkazaniem pańskiem, a on stał sam; a choć był drobnej urody, tak mi się wydał ogromny, jak świat.

Zadumał się stary i zamilkł; aż widząc po chwili, że chłopię u kolan mu stoi, a w oczy pogląda, pogładził szorstką dłonią jego rozsypane włosy i przemówił łaskawie:

— No, no, jeno ty mi się wyucz maszerunku, jak się patrzy, i wszelakiej komendy, to już ja ci Napolijona pokażę; niechno jarmark...

A podjąwszy siekierę, na ramię ją sobie założył i ruszył w las na porębę.

Straciłem potem jakoś z oczu Wojciecha Zapałę. Stary podobno chorzał, dyszał, w lesie na porębie nie stawał, z chaty nie wychodził; nawet na jarmark doroczny zajść nie mógł, tak mu się dawne, zamłodu nieliczone cięcia odzywały po kościach a stawach.

Małego zato Antka spotkałem kiedyś na drodze.

Było to jesienią. Dzieciak był równie chudy i nędzny jak dawniej; w stroju tylko jego zaszły niektóre odmiany. Ta sama wprawdzie koszulina zgrzebna okrywała mu grzbiet niebogi, ale

na niej miał po wierzchu starą kamizelę Zapały. Kamizela była ogromna, za kolana chłopakowi idąca, na przodzie roztwarta, gwoli owej niepoprawnej brzuszynie, co to nie chciała iść „w siebie“ i odejmowała Antkowi „wszelaki rychtunek“ rycerski.

Chłopak maszerował po ostrem ściernisku, trzymając na ramieniu sękaty kij Wojciecha i stawiając z góry cienkie swoje nożyny, z których jedna obuta była w stary babski trzewik, wywleczony ze śmiecia przez jakiegoś Kruczka, a druga tkwiła w wielkim drewnianym chodaku, opadającym ciężko za każdym krokiem malca. Ten to chodak właśnie dawał takt marszowi i napełniał serce Antka uczuciem słusznej dumy. Istotnie „maszerunek“ szedł świetnie. To chodak, to trzewik podnosiły się do wysokości nosa chłopięcia i opadały z łomotem, któremu wtórowała cieniutka komenda: raz, dwa! — i znowu: raz, dwa!

Idąc tak, patrzał chłopczyna przed siebie daleko, daleko... jakoby miał tam cel upragniony, do którego trzeba mu było koniecznie maszerować po ściernisku, ot tak, jak stał: w koszuli i w kamizeli.

Przed jego wzrokiem przejrzystym, smętnym, wzrokiem chłopskich sierot, promieniała kędyś w dali postać jasna, ogromna, unosząca się — „jak sokół na zachodnim wietrze“ — postać cesarza.

Spotkanie to nie było ostatniem. Widywałem go później twardą już jesienią, w półkożuszku Wojciecha i całkiem boso; nie odejmowało mu to jednak fantazji, a komenda szła żwawo i składnie.

Nadeszła zima.

Wieczór był cichy, mroźny, miesięczny.

Świeże śniegi słały się puchem przez pola; w niebie, głęboko, paliły się gwiazdy sine; między niemi a ziemią leżały błękitne cienie i srebrne pary. Ze wsi dolatywały łomoty cierlic i psów szczekania, a pod lasem, het, precz — u Wojciechowej chaty, słychać było stuk siekiery.

Idąc prosto na stuk ten, ujrzałem starego Zapałę, jak ociosywał dębczak, zdawna u progu leżący.

Pobladł, postarzał, a w miesięcznych blaskach wyglądał bardziej na widmo, niźli na człowieka.

Przy nim stał Antek, przebierając na śniegu bosemi nogami; jego cienki głosik dziecięcy mieszał się do stuku siekiery, szczebiotał coś, jak wróbel, pożerając oczyma robotę dziada.

Stary pracował z widocznym wysiłkiem. Raz po raz postawał, opuszczał siekierę, czoło z potu ocierał i dyszał ciężko. W ostatnich czasach rozniemógł się, osłabł, a choć się codzień jeszcze z tapczana zwłóczył, czuł już, jak mawiał, ordynans u proga.

Pojednał się tedy z Bogiem i z ludźmi, odczyścił swoją zieloną kurtę, wysmarował grube buty i czekał.

Największą jego jednak troską był obiecany chłopakowi cesarz. Skąd on go weźmie? jak mu go pokaże? Do miasta nie doniosą go już stare nogi; rzecz zresztą niepewna, czy nawet na jarmarku coś podobnegoby znalazł. A tu chłopiec codzień dopomina się spełnienia obietnicy. Zresztą, zasłużył. Maszeruje dzielnie, niema co!

Komendę myli co prawda miejscami, ależ to jeszcze małe, douczy się, niech jeno podrośnie. I coby to za radość była mieć pod ręką obrazek, abo co takiego, i móc powiedzieć sierocie: patrzaj, chłopak, to Napolijon! Staremu od tej myśli serce rzucało się w piersi, jakby je warem oblał. Myślał, myślał — nareszcie onego miesięcznego wieczora wziął siekierę, poostrzył i począł ociosywać ów dębczak, przed chatą leżący.

I cóż, że tego nigdy nie robił? Toć ma cesarza, jak żywego, w duszy: Na górze stoi, ręce u piersi skrzyżował i patrzy, patrzy...

Antek, któremu także cesarz z myśli nie schodził, zagadywał starego o to, o owo, drepcząc bosaka po śniegu, nareszcie spytał: jakżeby Napolijon miał buty?

Odprostował się Zapała, o odźwierk wsparł i rzekł:

— Czekajże, chłopcze... buty to miał ogromne, z gwiazdami przy ostrogach; jak konia niemi sparł, to cała armja ostrogę poczuła w piersiach. I szła, i szła, choć na koniec świata.

— Pewnikiem siedmiomilowe — zauważył Antek dla siebie. Potem zaś dodał: — a kapotę?

— Kapotę? — powtórzył stary — żeby tak nie skłamać, to kapota nie była cesarska, lada ordynans miał lepszą. Tylko, że jak ją Napolijon na siebie wdział, a przed frontem stanął, to ci się zdawało, żeś słońce obaczył. Oj, ginęli też ludzie, ginęli dla tej kapoty, i nie żal było! Cesarz był mały, zwięzły, składny, a oczyma przez skórę cię brał, choć wejrzenie miał zawsze łaskawe. Pamiętam... — Tu stary umilkł, nagle za piersi się chwycił, począł kaszleć ciężko, aż uspokoiwszy się, po niejakiej chwili rzekł: — Ale ty, chłopcze, do izby ruszaj, a do spania się zabieraj... kurki zachodzą — dodał, poglądając ku gwiazdom sinym.

— A kiedyż ja, dziaduniu, cesarza obaczę? — powtarzał Antek zwykłą swoją piosenkę. — Obaczysz, obaczysz... śpij jeno...

A kiedy chłopiec do chaty wszedł i drzwiami skrzypnął, stary ręce w górę wzniósł i mówił głośno:

— Panie Boże Wszechmogący! nie wołajże mnie ze świata, póki oto tej sierocie nie pokażę Napolijona cesarza, amen!

A gdy to mówił, taka była cisza, żeś słyszał w powietrzu lecące igiełki par mroźnych.

Zaraz potem dziad w garść splunął, siekiery się jął, a stukot jej aż do samego świtu obijał się o sosny po lesie.

W kilka dni potem, o wczesnem zaraniu, w pośrodku nędznej, czarnej chaty pod lasem, stał dębczak ów z pod progu, zmieniony w postać człowieczą.

Gruba to była robota, chropawa, nieskładna, głowa przyduża, nogi przykrótkie, kadłub przyciężki; kiedyś jednak stanął w progu izby, ot tak, jak teraz przy ogarku łuczywa, płonącego w kominie, toś na pierwsze wejrzenie musiał krzyknąć jak Zapała:

— Napolijon!

Charakterystyki posągu tego nie stanowiły rysy twarzy — to pewna; można je było owszem nazwać rysami tego lub owego człowieka, chociaż i one zarywały cośkolwiek z potężnej, znanej wszystkim głowy bohatera. Co do kapoty zato, kapelusza i rąk skrzyżowanych na piersi — niepodobna się było pomylić.

Przed dziełem swojem stał Wojciech Zapała jaśniejący, natchniony, ogromny w sobie, istny Fidjasz w chłopskiej siermiędze.

U nóg jego leżały dłóta i pilniki, gorące jeszcze od rozmachu mazurskiej dłoni.

Oczy mu gorzały ogniem miłości i dumy, usta zaszły czerwienią, jako za młodych lat, pierś poruszała się oddechem pełnym, swobodnym, i stał tak w przemienieniu onem — prosty i piękny — trzymając w jednej ręce podjętą z ziemi siekierę, a drugą po wojskowemu salutując cesarza.

Po chwili uśmiechnął się i zwrócił głowę w róg izby. Tam, na ubogim tapczanie spał Antek sierota. Rozrzucona na piersiach koszulina pokazywała chude jego żebra, a z pod kamizeli, którą był przykryty, wyglądały nogi, cienkie jak badyle. Równy, głęboki oddech poruszał jego pierś drobną, a obie ręce leżały nad głową, jako nad słomianą strzechą. Zapała patrzył na chłopca i oczy jego wilgotniały niby poranną rosą.

Tymczasem odniało na wschodzie.

Styczniowe słońce podniosło się nad Zelazową Wolą, wielkie, gorejące, czerwone. Śniegi spłonęły w blaskach różanych i w złocie.

I uderzyły promienie słońca w okienko izby czarnej i padły na postać bohatera łuną jarzącą. Światło zbudziło wróble i Antka.

Przewrócił się z boku na bok, zamruczał niewyraźnie: „...dwa, trzy", — potem westchnął i oczy otwarł. Otwarł — siadł na tapczanie i spojrzał po izbie. Zamknął je znowu i znów otworzył, przetarł kułakiem, spojrzał, — i rozdziawił usta, jako miał szerokie. Chwilę trwał w takiem osłupieniu niemem; nagle zerwał się z tapczana.

— Cesarz, dziadusiu, cesarz!...

Chwycił go stary, podniósł, do piersi przytulił, na wąsy spadły mu dwie łzy ciężkie i słone. Potem chłopca na ziemi postawił — podał piersi naprzód, jakby na bagnety szedł i huknął, aż w lesie odgrzmiało:

— Wiw Napolijon! Wiw limperer!

O wieku, co blaski swoje rzucasz w cienie i chłody dni naszych, i zapalasz ognie w biednej chłopskiej piersi, i dajesz chwilę szczęścia czarnej chłopskiej chacie, i uczysz pacholęta bose iść po ścierniskach życia ku ideałowi — o wieku!...

WIKTOR GOMULICKI

(* 1851 w Ostrołęce † 4. II. 1919 w Warszawie).

Wydał oddzielnie: „Kolorowe obrazki“ 1868. „Z otchłani“ 1870. „Księgi pieśni“ 1873. „Obrazki prawdziwe“ 1885. „Poezje“ 1887. „Przy słońcu i gazie“ 1888. „Róże i osty“ 1888. „Nowele“ 1890. „Nowele, studja i obrazki“ 1895. „Złote ogniwa“ 1895. „Nowe pieśni“ 1896. „Zielony kajet“ 1896. „Do niej i do niego“ 1896. „Obrazki weneckie“ 1897. „Pieśń o Gdańsku“ 1900. „Wyzwolone“ 1901. „Wybór wierszy“ 1900. „Miecz i łokieć“ 1903. „Wiersze“ 1901. „Warszawianka“ 1900. „Biały chałat“ 1901. „Biały sztandar“ 1906. „Zakazane“ 1906. „Brylantowa strzała“ 1905. „Schadzka“ 1907. „Ciury“ 1907. „On i ona“ 1909, „Siódme amen Imć pana Mokreckiego“ 1910. „Car widmo“ 1911. „Grandmuszkieter“ 1912, „Dwa romanse“ 1912. „Na rozłogach białoruskich“ 1912. „Bój olbrzymów“ 1913. „Krzyż“ 1919. Ponadto „Opowiadania o starej Warszawie“ 3 serje 1900—1909. „Kłosy z niwy polskiej“ 1912. „Sylwety i minjatury literackie“ 1916.

Wspólne czucie.

Sympatja? Cofnij niebaczne to słowo!
Czyż nam nie dosyć myśli pokrewieństwa?
Pocóż wspólnością obciążać się nową,
W której tkwi zaród przyszłego męczeństwa?

Dotąd tak cicha, dotąd tak zwycięska,
Szczęśliwie wrogim broniłaś się siłom —
Pocóż ci w sercu czynić zdradny wyłom,
Przez który wtargną: cierpienie i klęska?

Po nici, którą wiążesz nieoględnie
Z serca do serca, od głowy do głowy,
Przejść może płomień, w którym wszystko więdnie,
Przejść może gromu wybuch piorunowy.

Czuć pragniesz wspólnie? żyć cudzym żywotem?
Niech głodne serce wybór swój odmienia:
Ptak w Martwem morzu nie gasi pragnienia,
Żagiew bluszczowym nie stroi się splotem.

I jam był dziecko, i jam był szalony,
I chcąc uczynić sercu swemu zadość,
Czuć mu kazałem co czują miljony:
Miljonów żądze i miljonów radość.

Teraz w tem sercu zamęt ciągły gości,
Jak czartów stado szaleją w niem burze,
I w niecichnącym wrażeń sprzecznych chórze
Uczuć doświadczam wszystkich, prócz — radości.

Mieszczka.

(Fragment.)

. . . . . .

. . . . . .

Cenię doktorkę, wielbię wieszczkę,
Lecz wolę — skromną gdańską mieszczkę.

Szatańskich ona nie ma oczu,
Ani sfinksowo się uśmiecha,
W walce płci staje na uboczu,
Chociaż dość lubi walk tych echa;
Zato jej zawsze towarzyszy:
Głębia uczucia, bezmiar ciszy.

Gdy z nią nad morze wyjdziesz nocą,
I w zachwyceniu rzekniesz: „Droga!
Patrz, jak się cudnie światy złocą,
Jak tu się czuje istność Boga!...“
Odpowie: „Prawda, ale chłodno,
Przeziębnąć możesz...“ — i z łagodną

Minką swym szalem cię otuli.
„Ach, prozaiczna!“ — z oburzeniem
Idealiści krzykną czuli;
Bo najgorętszem ich życzeniem:
Na szczyty, śnione przez poetę,
Wieść za mężczyzną i kobietę.

Emancypantka dalej zmierza,
To już nie drużka, lecz mistrzyni;
Sama się stroi w hełm rycerza,
Mężczyznę giermkiem swoim czyni,
I — dziękuj losom, miły bracie,
Jeśli choć spojrzeć raczy na cię...

Chabrowooka Pomorzanka
Nie zna tych gonitw i tych waśni:
Siostra, czy żona, czy kochanka,
Gdy sprzyja — życie ci rozjaśni.
Gdy lubi — jest ci z nią jak w niebie,
Gdy kocha — duszę da za ciebie.

Miewała takie i Warszawa,
Póki zamknięta była murem,
Gdy na przedmieściach rosła trawa,
W domach śpiewano psalmy chórem.
A Baryczkówny i Giżanki
Zdobiły czoła w złote wianki.

Dobrze jest w górnych, chmurnych lotach
Mieć towarzyszkę z niebem w oku
A przy błyskaniach i przy grzmotach
Drugiego siebie czuć przy boku;
Lecz takie loty — znojna praca,
I w umęczeniu z nich się wraca.

Kiedy zaś męski duch się znuży,
Rad znaleźć cichą gdzieś ostoję,
Aby w niej spocząć, jak po burzy
Farys, gdy skończył straszne boje.
Bóg, co ma duchy te w opiece,
Za port im — serce dał kobiece.

Więc jeśli zamęt i tam gości,
Jeśli znużenie pokonało
I tę pierś, pełną anielskości,
Jeśli myśl zgryzła i to ciało —
To kędyż, kędy dla rozbita
Oazy owej blask zaświta?...

Częstochowska.

Sławny jest Loret w sąsiedztwie Ankony,
Sławny Monserat blisko Barcelony.
Agrykol, Halle — sławna Polska ową
Jej Częstochową.

Wespazjan Kochowski.

. . . . . .

Nie podpatrzy ludzkie oko
Tajemnicy Twego cudu!
Podniesionaś tak wysoko
Czarem wspomnień, wiarą ludu,
Że tam, gdzie lśni Twa potęga
Już rozumu grot nie sięga.

Złoty obłok Cię zasłania...
Za obłokiem jakby słońce...
Iść w te blaski duch się wzbrania
I śle tylko modłów gońce;
Bo modlitwa tylko zdoła
Myślom skrzydła dać anioła.

Gdyby zebrać w jedno łoże
Łzy, co płyną Tobie w dani,
Wielkie bólów ludzkich morze
Zgasiłoby żar otchłani;
I Bóg może łzami temi
Zmyłby grzechy z naszej ziemi.

Gdyby skupić wszystkie blaski,
Wszystkie dobra i pociechy,
Które rozsiał dar Twej łaski
I na trony i na strzechy,
Światła tegoby starczyło,
By dzień zatlić — pod mogiłą.

Tu namiętność, owdzie nędza
Falom życia szaleć każą;
Częstochowska szał rozpędza
Miłościwą Swoją twarzą;
Na świat cisza idzie od Niej,
W której naród kroczy zgodniej.

Gdy najbardziej huczy morze,
Wśród skał skrytych i wśród zgliszczy,
Biała wieża na klasztorze
Jak latarnia morska błyszczy...

. . . . . .

Iluż to już pokoleniom
Jesteś lekiem, rosą, manną!
Ilu smutkom, ilu cieniom
Gwiazdą stajesz się zaranną!
Przez posępny ciąg stuleci
Twój, jak słońce, obraz świeci.

Obciążonaś srebrem, złotem,
Sukienkami perłowemi,
Lecz najdroższym Twym klejnotem:
Miłość całej naszej ziemi;
Jak szeroka i jak długa,
Jest — poddanka Twa i sługa.

Twój jest obraz jak zwierciadło,
Promieniste, choć w ukryciu;
Światło Boże, gdy nań padło,
Nam odsyłasz je w odbiciu;
By zaś trafić do bram nieba,
Światła, światła nam potrzeba...

. . . . . .

Wasz cel...

Ludziom za mało jednego żywota —
Sztuka im żywot musi stwarzać drugi.
Na scenie ona nici intryg mota,
Zwołuje sylfy na ludzkie posługi;
Raz na niej smutek, to znowu pustota,
Czasem udręcza jak sen przykry, długi...
Przez cudzą radość, przez cudze katusze,
Widz żyje dwakroć, jakby miał dwie dusze.

Lecz gdy się wrażeń horyzont rozszerzy,
Słońcem, nie nocą wypełniać go trzeba.
Artyści mają być nakształt rycerzy
Walczących z piekłem o triumf dla nieba.
Każdy, kto w ducha ciemności uderzy
Natchnionem słowem, co jest jak grot Feba,
Niosący zgubę syczącej gadzinie —
Powiększa wyłom, którym światło płynie.

Walczcie! i w walce nie znajcie wytchnienia!
Na bój przez Boga jesteście posłani.
O! jak się życie cudownie odmienia,
Gdy słońce sztuki błyśnie wśród otchłani!
Jak często, mocą jednego promienia,
Budzą się smutni, dźwigają znękani,
Cnotliwi wznoszą pochylone skronie,
Półmartwi czują nowe życie w łonie...

Niech nigdy sztuka nie urąga cnocie,
A grzechu w maskę nie stroi ponętną;
Niechaj ku gwiazdom kieruje się w locie,
Kałuża wszelka niech będzie jej wstrętną,
I aby pereł nie szukał nikt w błocie,
Niech każdej rzeczy właściwe da piętno.
Gdy nas blask Dobra i Prawdy omami,
Jeśli ich niema — stworzymy je sami!

ARTUR OPPMAN

(Or-Ot.)

(* 14. VIII. 1867 w Warszawie).

Pierwsze poezje drukował w „Dzienniku dla wszystkich“ w r. 1883. Oddzielnie: „Poezje“ 1889. „Lećcie pieśni“ 1897. „Fragmenty z epopei Napoleońskiej“. „Pieśni“ 1894. „Stare miasto“ 1902. „Kronika mieszczańska“ 1902 i 1923. „Wybór poezyj“ 1900. (1—4 wyd.), „Pieśń o Sławie“. W Bibljotece pomiątek: „Cytadela warszawska“, „Etapami na Sybir“, „Księstwo Warszawskie“, „Rok 1831“, „Rok 1863“. Kilkadziesiąt książek dla dzieci.

Zbudzeni.

Ocknął się ze snu tłum, i podniósł w górę
Źrenice nocą oślepione długą.
Były ciemności na ziemi ponure,
Tylko się zachód krwawą palił smugą;
Więc wkradł się postrach do serc tłumu smutnych,
Do serc, zalanych łzami i pokutnych...

I wielkim głosem wołał tłum ze łkaniem,
Milczenie nocy przerywając głuchej:
Oto tęsknimy zbudzeni świtaniem,
Oto zwątpienie zatruwa nam duchy,
Bo żądzą słońca trawiąc się daremną,
Idziemy drogą posępną i ciemną...

Wiemy, że wzejdzie słońce i oświeci
Wiekowym cieniem zasmuconą ziemię;
Wiemy, że przyjdzie duch przyszłych stuleci,
W gwiazd promienistych królewskim diademie;
Ale nie wiemy, z której świata strony
Przyjdzie ten anioł i ten świt wyśniony...

Ale nie wiemy, którą nam iść drogą
Do tej jutrzenki złotej i promiennej,
Więc ból nas szarpie, jak tych, co nie mogą
Z martwoty ducha otrząsnąć się sennej,
I pójść sił pełni i nadziei nowych
Przez łzy i ciernie do blasków różowych.

I niema pieśni strażników ofiarnych,
Co z nas zrywali zwątpienia łańcuchy;
Oni już w trumnach pokładli się czarnych,
I uleciały ich skrzydlate duchy,
I do krainy ojców poszły złotej, —
A my zostali po nich, jak sieroty...

Byli nam światłem... ale ich już niema,
Do swej błękitnej wrócili ojczyzny;
Próżno błądzimy tęsknemi oczyma,
Próżno się rwiemy z życiowej zgnilizny,
Ona nas więzi, jak całunów płótno,
I nie widzimy ich... tedy nam smutno...

Tedy nam smutno... pamiętamy jeszcze
Ich cudnych pieśni dźwięki konające.
Dziś, kiedy mroki kryją nas złowieszcze,
Dziś, gdy się w piersiach trwożą serca drżące,
Kiedy ku pieśni tęsknoty w nas rosną,
A piosnkę tylko słyszymy miłosną...

My chcemy pieśni, o! my chcemy pieśni,
Lecz nie tej, co ma dźwięk pieszczony, złoty,
Co tylko serce rozkrwawia boleśniej
Słodką melodją miłosnej tęsknoty,
Co zamiast budzić usypia helotów...
My chcemy pieśni silnej, jak huk grzmotów...

Niech ona spłynie z gwiaździstych błękitów.
Niech, jako piorun, w naszą pierś uderza,
Niech nam dzień bliskich prorokuje świtów
Niech nas w życiowych walkach opancerza,
Bezpłodne smutki niechaj w nas uśmierca,
Niech nam nie nerwy szarpie, ale serca!...

Taką nam pieśnią niech zadźwięczą liry,
My takiej pieśni łakniemy, jak chleba;
Ona swą siłą zedrze smutne kiry,
Co zasłoniły jasny błękit nieba, —
Wówczas na czystych lazurów przestworza
Wypłynie złota nowych wieków zorza...

Z „Pieśni o Sławie".

Duma o Sułkowskim.

I.

Twe poświęcenie, twoją śmierć i blizny
I bitew mnogich waleczne przygody
Śpiewać chcę, luby kochanku ojczyzny,
Sułkowski młody!

Zadzwońcie, struny złociste bardonu,
Do bohaterskich gdy wkraczamy włości,
Spłyń, chwało! Oto niezłomny do zgonu
Rycerz wolności!

Italjo! córo nieśmiertelnej sławy!
Siostrzana Francjo! Egipcie daleki!
I ty, o, Polsko! wspomnij grób, gdzie krwawy
Proch śpi na wieki!

Pogonie lotne, wy, orły podniebne,
Godła sztandaru od krwi czerwonego,
Grajcie na larum i łzy rońcie srebrne:
Dank cieniom jego!

II.

Runęły w gruzy spękane kolumny,
Pod zdradną nawa grąży się mielizną,
Jak właśnie Chrystus, aby wskrzesnąć z trumny,
Ległaś, ojczyzno!

Niosą się echem Racławic rapsody,
Ale już w zgliszczach dymią Pragi szańce,
Na kraje idą, na lądy, na wody
Polskie wygnańce!...

Gromem: „Tak lud chce!“ grzmią dalekie szranki,
Prawa człowieka brną przez trupów łany,
Swobodę światu głoszą wolne Franki,
Republikany!

Na wschód i zachód zaciągając wartę,
Depcą tyrany i ich najemniki,
A na ich czele ów Buonaparte:
Orzeł z Korsyki!

III.

Na morzu głuchną pożegnalne dzwony,
Woda — i nieba sklep nieogarnięty,
Tam — do piramid legendowej strony
Płyną okręty...

Orli z pokładu ślą wzrok dwaj młodzieńce,
Morze jak harfa śpiewa im eolska,
Jednemu śnią się Aleksandra wieńce,
Drugiemu: Polska!...

Już na szafirach gwiazda Wschodu płonie,
Nad palcem Bożym naznaczoną głową, —
A tyś wzniósł ku niej, o, Napoleonie!
Twarz marmurową...

Komuż to ona, jako znak migota,
Skrząc triumfalnie wśród świateł wieczora?
A w jej płomieniu, ach! korona złota
Imperatora!

IV.

Oczyma wieków patrzą piramidy,
Ginie w bezkresie pustynia paląca,
Turków bułaty, mameluków dzidy
Gorą od słońca.

Konnica giaurów nagłym lotem ptaka
Poigrać z śmiercią cwałuje w zawody —
I zrywa laury nazwisku Polaka
Sułkowski młody!

Jest, jako piorun, grzmiący z nieb pożogi,
Gdy gna z żelazem nad głową wzniesionem —
I mówią o nim pierzchające wrogi:
„On gardzi zgonem!“

A gdy, jak drogie diamenty chalifów,
Gwiazdy w błękitach noc rozsypie blada,
On duchem mędrca tajnie hieroglifów
Grobom odkrada...

V.

W namiocie wodza w godzinę północną
Buonaparte i Sułkowski społem
Wiodą rozmowę milczącą a mocną
Z dziejów aniołem.

Ozwą się w ciszy obozowe straże,
Zatętni konia galop oddalony,
Czas się dopełnia na wieków zegarze
I r o k sądzony!

Jakby jęk struny zadźwięczał zerwanej
I błyskawica głąb nocy przelśniła:
Tobie: świat cały do podboju dany,
Tobie: mogiła!...

Komuż to, komu gwiazda Wschodu płonie?
Komuż na tron to, komu w zaświat droga?
I podniósł anioł zadumane skronie
Do niebios proga...

VI.

Białym Sułkowski arabczykiem toczy,
Kwiat pomarańczy sypią drzewa gaju,
A takie smutne, takie smutne oczy
Gonią — do kraju!...

„Kto nie zna trwogi w bitew krwi i dymie,
Ten — wódz zawoła — da mi wieść od wroga!“
„Ja!“ — „Ty, Sułkowski?“ — „Na Polaka imię
I w imię Boga!“

„Idź!“ I bohater w konia wbił ostrogi,
(A tam szaleje Kair zbuntowany!)
Skoczył!... Krwią znaczą ślad przebytej drogi
Nieoschłe rany!

Jeszcze go widać... jeszcze koń podskokiem
Wzbił tuman piasku pod niebo otwarte...
Nieodgadnionem patrzy za nim okiem
Buonaparte!...

VII.

Zbieszonych Maurów kłębi się gromada,
Dzikie fellachy z krętych ulic biegą,
A między tłuszczą spokojna i blada
Twarz Sułkowskiego!

Świszczą bułaty, jatagany sieką,
Krew z ran wytryska królewska, czerwona,
„O, Polsko moja! Jakże mi daleko
Do twego łona!“

Jeszcze cię, Polsko, widzi wzrok przymknięty,
Jeszcze do ciebie rwą się dłonie mężne...
A ciało pada w krwi purpurze świętej
W pole orężne...

Zdumione słońce aureolę złotą
Na umarłego kładnie bohatera, —
Tak z niewygasłą wolności tęsknotą
Polak umiera!...

VIII.

Jest grób samotny w krainie dalekiej,
A na nim napis ryty w złote głoski...
Ku Polsce patrząc, tutaj śpi na wieki
Józef Sułkowski!...

Napoleona był on adjutantem,
Jak lew za życia mężny — i przy zgonie,
A imię jego pali się brylantem
W polskiej koronie.

Republikanin z cnotami rzymskiemi
Bił się w ojczyźnie, we Włoszech, w Egipcie, —
Ptaki herbowe! wy kwiat z jego ziemi
Na grób mu sypcie!

Po długich bojów męczeńskiej krwawiźnie
Zwycięskie orły w snach mu się niech marzą
I niech o wielkiej dumając ojczyźnie,
Śpi pod ich strażą!...

ZDZISŁAW DĘBICKI

(* 31. I. 1871 w Warszawie).

Wydał: „Ekstaza“ poezje, Lwów 1898. „Noce bezsenne“ — poezje, Lwów 1900. „Święto kwiatów“ — poezje, Lwów 1904. „Kiedy ranne wstają zorze“ — poezje, Lwów 1907. „Ojcze nasz, Modlitwy wieczorne“, Lwów 1907. „Oglądam się za siebie“ — poezje, Warszawa 1912. „Wybór poezyj“, Warszawa 1912. „Ta, co nie zginęła“ (wspólnie z Edw. Słońskim), Warszawa 1915. „Książka i człowiek“, Warszawa 1916. „Miasteczko“, Warszawa 1917. „Kryzys inteligencji polskiej“, Warszawa 1918. „Kraj lat dziecinnych“, poezje, Warszawa 1918. „Książeczka żołnierza polskiego“, Warszawa 1919. „Powitanie morza“, Warszawa 1920. „Pisarze polscy“ 2 tomy, Warszawa 1920. „Za Atlantykiem“ 1921. „Podstawy kultury narodowej“ 1922.

Na grobie Shelley'a.

Janowi Kasprowiczowi.

Gdyśmy we dwóch stanęli na tym smutnym grobie,
Gdzie S e r c e S e r c spoczęło pod kamiennym głazem,
Dusze się nasze smętne pochyliły razem
I przyklękły w bezgłośnej nad grobem żałobie —

A z pod kamienia ku nam szło echo dalekiej
Gędźby, wygranej niegdyś na harfie ze złota,
I biegło, prometejskie w swej sile, za wrota,
Kędy Rzym huczał szumem wzbierającej rzeki...

Milczenie, swoje nieme złożywszy pieczęcie
Na ustach naszych, trwało, jak cisza w świątyni,
W której się Bogu służba tajemnicza czyni,
Nim dzwon obwieści tłumom o idącem święcie...

Lecz nagle gdzieś wśród laurów zaćwierkał ptak Boży,
Przemówiły cyprysy i pinje szelestem,
Jak gdyby duch poety odezwał się: „Jestem
I z tego wzgórza śmierci poglądam ku zorzy“...

I wówczas nasze oczy spotkały się wzajem,
I na płytę marmuru upadł z Twojej ręki
Fijołków rozkwitniętych pęk wonny i miękki,
Poczem cmentarnym na dół odeszliśmy gajem...

Garibaldi.

Wśród drzew oliwnych, na Sabińskiem wzgórzu,
W obłokach dymu i w bitewnym kurzu
Nagle słoneczna błysnęła mi zjawa
I przed oczyma zdumionemi stawa...

Czerwień koszuli mignęła mi zdala
Skrwawioną barwą wolności korala,
Jak błyskawica, tnie powietrze szpada
I rozkaz wodza wślad, jak piorun, pada...

Huknęła salwa, wionął dym prochowy
Błękitną smugą nad walczących głowy,
A tam, w dolinie, w słońca złotym żarze
Śmierć się szeregom strwożonym ukaże...

Znów rozkaz krótki i salwa grzmi nowa,
Dwóch wojsk walczących urywana mowa,
Dwa przeciw sobie sztandary wiejące
I On — na szczycie wzgórza — Wódz, jak Słońce...

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

(* 24. I. 1864 w Rokitnicy † 1921 w Warszawie).

Osobno wydał: „Poezje“ 1891. „Poezje prozą“ 1891. „Poezje“ ser. II, 1893. „Majówka“ 1895. Cykl „Polonia Irredenta“ (Pod ziemią, Łany, Ziemia obiecana, W ciszy wiejskiej, Stolica, Ptak burzy 1895—1896). „Listopad“ 1896. „Wybór poezyj“ 1899. „Listy człowieka szalonego“ 1900. „Prometeusz“ 1900. „Bajka“ 1900. „Szopka“ 1901. „Dzień on, dzień gniewu Pańskiego“ 1902. „Familja“ 1898. „Rokita“ 1901. „Legendy“ (pod tyt.: „Tytuł skonfiskowany“) 1902. „Z pod pyłu wieków“ 1906. „Ludzie rewolucji“ 1906. „St. Wyspiański“ 1903. „Dawność a Mickiewicz“ 1921.

Róża.

Różo blada! Uszczknąłem kwiat twój pośród błoni,
Nazwanej szczęściem, niosłem ciebie w kraj uroczy,
Zwany młodością, kędy genjusz wiosny kroczy
I mgłą marzenia drogę pielgrzymowi słoni.

Maj biegł przez bór i pieśnią szumiał u mej skroni,
A na niebie jutrzenek przyświecały oczy;
Zdało mi się, że ziemia w niebo się potoczy
I jak anioł oblicze przed Stwórcą zapłoni...

Dziś na szarych obłokach codziennego życia
Maluję te jutrzenki, w ciemnym świecie ducha
Szukam ścieżki do szczęścia błoni zapomnianej...

Każdej nocy mnie budzą pierzchłe doby śnicia,
Lada szmeru przeszłości serce chętnie słucha
I różami lat dawnych przysłania swe rany.

„Z pod pyłu wieków."

Dajmonium.

Wśród gór Beocji w rozległej kotlinie Euryposu stanęły przeciw sobie dwa bratnie wojska. Morze głów, hełmów, dzirytów. Jeszcze jest spokojne, bo mrok porankowy ćmi kotlinę.

Tam w dole wódz ateński Hippokrates obiega na białym koniu szeregi. Tam Laches na koniu gniadym lewe ustawia skrzydło. Tam Alkibiades na koniu karym oblatuje jak kruk skrzydło prawe.

I cisza jeszcze jest; tylko tętent słychać owych trzech galopujących koni. Tylko tupot kroków słychać, gdy szeregi z miejsca na miejsce przechodzą.

Po drugiej stronie kotliny stoi wojsko Beotów. Wyglądają zdaleka niby chmura brunatna. Nie chcą uznać zwierzchnictwa Ateńczyków, sami sobie żyć pragną i panować. Ateńczycy zmogli Spartę; może Beocji ustąpią.

W głębi przewija się stalowa wstęga Euryposu. A kołem, kołem rozległem na górach śród krzewów i gąszczy kryją się niewiasty Beotów i starcy i dzieci. Patrzą w dół; słychać niemal, jak serca ich biją niepokojem.

Tam w głębi ojcowie, bracia, syny. Za chwilę słońce wejdzie nad górami, za chwilę ruszą na siebie te dwa wojska, te dwa morza głów, hełmów, dzirytów.

Jedne niewiasty, przysiadłszy, mają twarz skamieniałą a oczy błędnie w przestrzeń zwrócone. Inne stoją, a ze spokojnych twarzy spływają łzy dwoma strumieniami. Inne tulą się sobie wzajemnie w objęcia.

Jedna, otoczona gromadką innych, przemawia z zapałem. Druga znowu legła twarzą do ziemi i szlocha. Trzecia siedzi na kamieniu, otoczona dziatkami, pieści je a niekiedy wznosi rękę w dal i okropnie przeklina.

Na kijach wspierają się starcy i w głąb popatrują. Jeden z nich, ślepiec, ustawił na kamieniu obok siebie wnuczka siedmiolatka. Starzec uchem będzie rozpoznawał postępy bitwy; wnuczek źrenicą orlika będzie mu dopomagał. Starzec, aby lepiej słyszeć, odemknął nieco usta, a głowę w bok przechylił. Chłopak dygoce na całem ciele, strach go zbiera a jednak czasem błysk zapału zaświeci mu w oku.

Wtem na wschodzie niby czerwona ręka ukazało się słońce. Niebawem też w dole rozległa się wrzawa okrzyku bojowego „allalà, allalà".

Wojska ruszyły naprzeciw siebie.

I oto natychmiast wstały z głębi kotliny dwie ściany kurzu, zbliżały się ku sobie, aż się z sobą złączyły i utworzyły jeden niesłychany słup, prostopadłą górę kurzawy. Zakotłowało się morze hełmów i włóczni. Wzdął się istny huragan szczęku i wrzawy.

Teraz ona góra kurzu ćmi się w miejscu; tylko stawała się coraz tęższą i coraz wyższą, aż przerosła szczyty okalające kotlinę, gdzie ją wiatr rwał i niby dym niósł w stronę morza.

Dziadek kładzie rękę na ramieniu wnuczka i mówi:

— Nic nie widać?

— Nic, dziaduniu.

— A rozpoznałbyś naszych?

— Tak, bo wyszli z prawej strony.

— Ale mogą się zmieszać.

— Nasi są bardziej rośli, tamci bardziej zwinni.

— Patrz dobrze i mów zaraz wszystko.

— Kurzawa stoi w miejscu i całą kotlinę przysłania.

Tuż koło nich szlochały kobiety i dzieci zaczęły piszczeć.

— Cicho tam!

— Cicho, nie płakać!

Jakaś matka wyskoczyła na głaz i jęła krzyczeć:

— Poco im nie ustąpili! Poco nie zgodzili się na ich żądania! Pozabijają nam mężów, ojców, synów, wdowami i sierotami zostaniemy!

Wtem chłopak krzyknął z kamienia:

— Kurzawa cofa się do Euryposu!

Nastało głuche milczenie.

Starzec mówił do wnuczka:

— Patrz dobrze. Dlaczego do Euryposu? Kto kogo prze? Czy nasi, czy Ateńczycy?

— Kiedy nic dojrzeć nie można.

— Czy kurzawa po prawej nie cofa się?

— Nie, dziadku.

— A po lewej?

— Także nie, dziadku.

Słońce wzbiło się już wysoko i z góry lało światłość w kotlinę. Góra kurzu stała się jak pośniedziałe złoto.

— A teraz co widzisz?

— Teraz coś się kłębi po lewej.

— Widzi mi się, wnuczku, że nasi prą tamtych.

— Tak, dziadku, nasi prą tamtych.

Szczyt góry ożywił się, biegano na wszystkie strony i wołano:

— Nasi prą! nasi prą!

Kobiety powyskakiwały na skały, poprzykładały ręce do oczu, bo słońce raziło. I nagle cały szczyt zawrzał namiętnym okrzykiem:

— Prą nasi! prą ich!

Podniosły się z ziemi szlochające kobiety. Matki chwytały dzieci na ręce i biegły na wyższe miejsca.

Jedna, wyciągając ramię w głąb, wołała do niemowlęcia, trzymanego na ręku:

— Patrz, patrz, tam twój ojciec, ojciec twój, zapamiętaj, ojciec twój prze Ateńczyków, bije Ateńczyków, tępi Ateńczyków!

Góra kurzu drgnęła w miejscu i jęła się wolno posuwać w stronę Euryposu, ale już całkiem wyraźnie, całkiem dla wszystkich widocznie.

Szał ogarnął okoliczne góry. Powstała na nich wrzawa, że onego huraganu w dole nawet słychać nie było.

Zdawało się, że niewiasty chwycą w ręce odłamy skał i ruszą za mężami do boju. W oczach dzieciaków widne były błyskawice a twarzyczki stały się jak natchnione.

— Prą nasi Ateńczyków, prą!

Słońce poczęło z zenitu staczać się na drugą połowę nieba a ona góra kurzawy posuwała się dalej i dalej.

Wtedy wszystko, co żyło, jęło szczytami biec na drugą stronę kotliny.

— Dziadku, ja tam polecę!

— Ani się waż!

— Dziadku, puść!

— Nie puszczę, stratują cię, albo w dół ze skał spadniesz.

— Dziadku, ja tu umrę!

— Co widzisz? mów.

— Oto że nic już nie widzę, to chcę lecieć tam, lecieć, dziadku!

Słońce płonęło już na samej krawędzi gór, czerwone, ogromne, niby okropna, skrwawiona pięść, grożąca nad skłóconą Helladą.

A po szczytach wrzało: „nasi prą, nasi prą, nasi prą!“

Kurzawa w oddaleniu stawała się coraz przejrzystszą, coraz niższą, opadała, nikła, aż ukazało się bojowisko zasłane trupami i tylko w głębi szalała jeszcze skotłowana masa wojsk w szczęku i wrzawie.

. . . . . .

A w dole zarumieniły się stalowe wody Euryposu. Krew zlewała się do nich szerokiemi potokami.

Droga krew Hellady, ciepła krew.

Co chwila gasło jakieś młode życie niby gorejąca pochodnia zanurzona w wodach.

Na przestrzeni wielkiej kotliny leżeli młodzieńcy o posiniałych twarzach. Jęki rannych przepełniały powietrze gorzką skargą. Zalegały pole włócznie strzaskane, hełmy rozbite, miecze poszczerbione, tarcze pogięte.

Bój ustał dopiero po zachodzie słońca. Beotowie wyparli Ateńczyków daleko od pobojowiska. Ale gdy zwycięstwo ich stało się jasnem, gdy Ateńczycy zupełnie im ustąpili, wtedy posłali do nich, aby się zabrali wspólnie do grzebania trupów.

Rozpalono ognie. Pobojowisko przedstawiało obraz pełen grozy.

Wszedł księżyc. Zdawało się, że Hellada zamieniła się w posępną krainę Hadesu.

Znoszono rannych w jedno miejsce. Wódz Hippokrates, siadłszy przed białym domkiem, płakał.

Sława Ateńczyków zgasła jako ten dzień, co dopiero uszedł za góry.

Obok owego białego domku rozniecono duże ognisko a dokoła niego zgromadziła się starszyzna, radząc o dniu następnym.

Prawie każdy odniósł jakąś ranę, o której jednak w tej chwili nie myślał. Panowało ogólne podrażnienie. Wszelką radę poddawano gniewnej krytyce.

Bo niemasz nieszczęśliwszej chwili dla wszelkiej rady, jaką jest ta, która następuje po przegranej.

Ufność w sercach ludzkich wypaliła się docna. Gniew bezsilny targał piersią. Każde usta mówiły: oto dziś rano wszystko przedstawiało się jeszcze całkiem inaczej!

Ale przyszedł wieczór tego dziś a z nim pole zasłane trupami, sława jako piękny kwiat zdeptana a w sercu żal, żal...

Wodzowie przerywali co chwila spory i rozglądali się, gdyż w bardziej oddalonych stronach pobojowiska powstawały rozpaczliwe krzyki, klątwy, hałasy. Przyłapywano włóczących się obdzieraczy trupów i uśmiercano na miejscu.

Sokrates walczył mężnie, ustępując z pola w zwartym szeregu. Ciągle był u boku Lachesa, który nadaremnie starał się powstrzymać popłoch wojsk.

Żołnierze podziwiali odwagę i wytrwałość uczonego. Skoro zapadająca noc położyła koniec walce, stracono go z oczu.

Alkibiades konno oblatywał pole, wołając go po imieniu. Kiedy przebiegał około domku białego, żołnierze jęli na niego kiwać rękami i wskazywać w stronę ogniska.

Stał tam rzeczywiście Sokrates. Stał samotny i zapatrzony w ścianę domu.

Alkibiades uspokoił się. W pierwszej chwili chciał go zagadnąć; ale zauważył, że mędrzec jest zajęty jakąś myślą. Ruszył tedy do rzeki, aby się obmyć z krwi i kurzawy.

Kiedy wrócił, Sokrates stał wciąż na tem samem miejscu, zapatrzony w jeden punkt. Znowu go tedy nie zaczepiał, jeno udał się do namiotu swego, aby słudze oddać konia i spożyć posiłek.

W czasie zmiany wart raz jeszcze zbliżył się do białego domku. Sokrates stał wciąż na tem samem miejscu.

Zauważyli to wszyscy, nawet wodzowie. Ale nikt mu nie przeszkadzał, tem bardziej, że męstwo filozofa i zimna jego krew w boju nieszczęśliwym zjednały mu powszechny szacunek.

. . . . . .

Sokrates rozstał się z Lachesem w tem właśnie miejscu i miał przodem podążyć do jego namiotu. Ale uwagę jego zajęło zjawisko, nad którem kto inny wcaleby się teraz nie zastanawiał.

Bo oto na białej ścianie domku, rozjaśnionej księżycowem światłem, przesuwały się cienie krzątających się opodal ludzi. A gdy rozpalono ognisko, które na ścianę rzuciło czerwień, przesuwanie się cieni było jeszcze bardziej widoczne.

I nietylko cienie poszczególnych ludzi odbijały się na ścianie, ale całych grup. Widać było wodzów, siedzących obok siebie na ziemi i żywo poruszających rękami. Widać było pachołków, przynoszących im wodę w hełmach. Widać było, jak wodzowie hełmy

ujmowali w obie ręce, jak przykładali usta, jak pili, przerywając nieraz i kłócąc się ze sobą.

Widać było ludzi, niosących rannych. Widać było żołnierzy, przybywających z wieściami i rozbiegających się z rozkazami. Wszystko to przesuwało się żywo po ścianie, wszystko to miało kształty bardzo zbliżone do rzeczywistości, a jednak rzeczywistością nie było, jeno bezbarwną i niemą złudą — cieniem rzeczywistości.

Sokratesowi żywo stanęła w pamięci owa ostatnia noc na Akropolu, kiedy toczył pożegnalną rozmowę z Anaksagorasem.

Już wtedy błąkała mu się po głowie myśl, że nie wszystko jest tak, jak Anaksagoras głosił. Słuchając pilnie uwag mistrza o charakterze przyrodzenia i charakterze umysłu ludzkiego, popatrywał z uśmiechem ironji na dwie plamy, które, gdy księżyc im świecił w plecy, posuwały się przed nimi po marmurowych płytach między cieniami kolumn, a gdy księżyc świecił im w oczy, pełzały za nimi.

Już wtedy zdawało mu się, że oczy ludzkie widzą z przyrodzenia tylko tyle, ile onych cieni; że każda rzecz przedstawia się różnie, a nigdy właściwego oblicza swojego nie ukaże. Ale nie śmiał w chwili rozstania niepokoić mędrca, który, za naukę swoją prześladowany i na wygnanie skazany, jemu głównie zdać pragnął swoją myślową spuściznę. Mówił wtedy jak człowiek umierający. A umierającemu się nie przeczy.

Ale uczeń buntował się przeciw naucę mistrza. Ta bezwzględna wiara w swój wzrok, słuch i dotyk wydawała mu się mocno podejrzaną. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że świat nie może być tylko liczbą, ciężarem, kształtem. I ten sam głos mówił mu, że władza człowieka nie kończy się na granicy jego ciała. Dziwna to władza!

Ilekroć Sokrates spojrzał w plecy jakiegoś hoplity, ten zawsze się obejrzał i prosto wzrokiem na jego oczy trafiał.

Z ciężkiem tedy sercem żegnał wówczas Anaksagorasa, który, gdyby się był dowiedział, co uczeń mniema o jego wiedzy, byłby przeklął Helladę i proch wszelki po niej z szat swoich otrząsnął. Byłby rzeczywiście mniemał, że kraj ten jest skazany na zagładę jako bratobójczy i na wieki, na wieczyste wieki ciemny...

Ale i Sokratesowi ciężyła głowa od tych myśli a długo się z niemi borykał. Dziś wszelako, po tej okropnej walce, która minęła jak krwawy sen, której szczegóły już zacierały się w pamięci,

która w tej pamięci żyła jak chaotyczny obraz, jak te cienie przesuwające się tam po ścianie, dziś czuł w całej pełni, że nauka Anaksagorasa bynajmniej nie daje odpowiedzi na cały szereg pytań pierwszej wagi. Gorzej jeszcze! Nauka ta pomija je a nawet odwodzi od nich.

Anaksagoras patrzył w świat a nie patrzył w siebie. Tak wierzył w przenikliwość zmysłów swoich a one są jako kłamliwi a gadatliwi słudzy, którzy, wysłani na zwiady, wracają z worem bałamutnych plotek, ale nie z wiadomościami rzeczywistemi, jak owi na zwiady ubiegłej nocy do Beotów wysłani ludzie, którzy Ateńczyków przyprawili o okropną przegraną. I zaprawdę! Tyle tylko te sługi powiedzą, ile owe cienie, przesuwające się po ścianie, powiadamiają o tem, co się za plecami dzieje. I przeciwko tym sługom, tym zmysłom, burzy się całe wnętrze surowo myślącego człowieka. Widzi, że nie ich panem, ale sługą jest, sługą swych własnych sług; onym dziwnym gospodarzem, co to zajmuje się plotkami, znoszonemi przez swoich niewolników.

Około północy cienie spełzły ze ściany, bo ognisko przygasło i księżyc się schował. I oto niema nic a w duszy wre, w duszy zamęt, w duszy poczucia, przeczucia, cała nieuchwytna gra sił, potęg, wołań, błagań, żalów, skarg. Skoro jednak wsłuchać się w tę wewnętrzną wrzawę, skoro wsłuchać się uczciwie, jedno wołanie góruje nad wołaniami wszystkiemi, jedno jakieś wieczyste, nieśmiertelne, wciąż to samo powtarzające, ono dziwne, ono szczególne — Dajmonium.

Wszystko się zmienia, wszystko mija jak sen. Pozostaje tylko ten jeden jedyny pewnik: jakieś Dajmonium w człowieku, które mówi mu, co ma począć śród tej mieszaniny przesuwających się cieni.

To Dajmonium jest tak niezależne od ludzkiej woli, ludzkiej myśli i ludzkiego rozumu, że gaśnie przy niem ów Wszechrozum obliczalny Anaksagorasa. Nie! Jeżeli jest jakieś nieobliczalne Dajmonium człowieka, pyłu, prochu wobec ogromu bytu, to istnieć musi jakieś niesłychane, tem mniej obliczalne Dajmonium świata.

Nie mary błędne, które Charon wiezie przez czarne wody Podziemia, skąd chóry żab Arystofanową komedją skrzeczą swoje brekekeks-koaks-koaks... Już Arystofanes — śmieszek to uchwycił!

Nie rody Świetlistych, zapijających rozkosznie nektar na Olimpie, którego szczyt Sokrates zdeptał, ale prócz pastuchów i trzód nic tam nie znalazł, owych Świetlistych, których ludzie mogą oszukiwać, jak to już stary Homer doskonale wyśpiewał!

Nie! Tam, za firmamentem, za jarzącemi gwiazdami, tam kryje się Dajmonium świata. Próżno Anaksagoras słał oczy leniwe do słońca, w którem głaz rozpalony postrzegał. Nigdy człowiek tego nie dociekne, nigdy tego nie zbada. Cienie cienie, cienie, sen i złuda!

Ale cząstka tego Wielkiego Dajmonium osiadła w każdym człowieku i zwiastuje mu, że jest coś, co te cienie wytwarza i odbicie ich powoduje na ścianie doczesności.

Te pola usłane zwłokami młodzieńców, te wzgórza, śród których przebrzmiała wrzawa bojowa, Beotowie, Ateny, Hellada, cienie, cienie, cienie.

Śród tych cieni wiedź, Dajmonium, ukazuj drogę, oczyszczaj uczucia, prostuj myśli! Hellado! Czy słuchałaś głosu swego Dajmonium?

Ateny! Czy Beotowie byliby was tak pokonali, gdybyście się nie uganiali w chciwości nieposkromionej za czczemi cieniami?

Anaksagorasie! Zasada twoja wiedzie do pogoni za cieniami. Zasada twoja jest nietylko błędna, ale i zła. Ateńczycy w życiu mierzą, liczą i ważą cienie. Anaksagorasie! Ty w nauce mierzysz, ważysz i liczysz także tylko cienie.

Anaksagorasie! Ty wprowadzasz gminność do wiedzy...

Zagłuszyłeś w sobie głos owego Dajmonium. Cień zbuntował się przeciwko swojej przyczynie.

Źle uczynili Ateńczycy, skazując ciebie na wygnanie. Ale czy nie szeptał im jakiejś rady głos ich Dajmonium? Tylko że głos ten źle zrozumieli, źle radę pojęli...

Anaksagorasie! Dziś sam złączony już jesteś z owem Dajmonium Świata i błąd swój niezawodnie najlepiej widzisz. Powiedz zatem, o niewidzialny, żali śród tego morza cieni nie jest wszystkiem ów głos wewnętrzny?

I powiedz jeszcze, gdy Sokrates będzie to Helladzie głosił, żali nie ocknie się w niej uśpione Dajmonium? Żali wtedy znajdzie się ręka, któraby wyciągnęła do mędrca czarę cykuty, albo wiązała go, prowadziła na statek i spychała w morze?...

. . . . . .

Znowu zmieniano straże a Sokrates stał nieporuszony na jednem miejscu.

Charykles, który straże rozstawiał, oraz Anyitos, który mu w tem dopomagał, załatwiwszy swą czynność, popatrzyli na Sokratesa.

— Dziwny człowiek — szepnął Charykles.

— Gdybym kiedykolwiek zyskał wpływ w Helladzie, — rzekł Anyitos, — nie uczyniłbym go najstarszym kapłanem wyroczni delfickiej, wszelako — —

Tu zawahał się a dziwny uśmiech wypłynął na jego jakby zawiędłą twarz. Charykles, który ten uśmiech podchwycił, rzekł:

— Miej odwagę dokończyć. Wszelako?

— Wszelako kazałbym wyroczni, aby go ogłosiła za największego mędrca na ziemi.

— W jakim celu?

— Bo on jest uczciwy ale zabobonny. Kto rządzi, ten uczciwym być nie może. Natomiast potrzebuje dokoła siebie zabobonnej uczciwości.

— Obyś nigdy nie posiadł w Atenach wpływu, a posiadłszy, zawiódł się na tym myślicielu!

— Obyś umarł, nim do wpływu dojdę. Bo w gadatliwości swojej wypaplałbyś mu tajemnicę Delf.

— A wtedy?

— Wtedy z tego myśliciela stałby się człowiek straszny.

. . . . . .

A Sokrates stał wciąż nieporuszony na jednem miejscu.

ANTONI LANGE

(* 1861 w Warszawie).

Osobno wydał: „Pogrzeb Shelleya“ 1890. „Poezje cz. I.“ 1895. „Poezje cz. II“ 1898. „Kwiaty grzechu“ (przekład z Baudelaire'a 1894). „Studja z literatury francuskiej“ 1897. „Studja i wrażenia“ 1900. „Wybór poezyj“ 1900. „Pogrobowcom“ (wiersze z „Pobudki“) 1901. „Fragmenta“ 1901. „Nal i Damayanti“ (przekł. 1905). „Rozmyślania“ 1906. „Pierwszy dzień stworzenia“ 1907. Dram.: „Atylla“, „Wenedzi“, nowele: „Elfryda“, „Stypa“, „W czwartym wymiarze“. Ponadto „Dywan wschodni“ (przekłady) 1921, redagował: „Epos“, „Panteon“.

ANTONI POTOCKI O A. LANGEM.

Antoni Potocki, * 17. IX. 1867 w Kojdanowie. Wydał tom nowel p. t. „Martosia i my“ 1899 oraz „Dzień powszedni“. Studja i szkice literackie drukował w „Głosie“, „Prawdzie“, „Gaz. Pol.“, „Bibl. Warsz.“, „Tyg. Illustr.“ i t. d. Większość tych prac weszła do zbiorku p. t.: „Szkice i wrażenia literackie“ 1903 (o Sienkiewiczu, Reymoncie, Ig. Dąbrowskim, St. Żeromskim, W. Sieroszewskim, K. Tetmajerze, J. Kasprowiczu, A. Langem, Weyssenhoffie, Żeromskim, Rodziewiczównie i in.) Obok książek popularnych (o Krzysztofie Kolumbie, o Gutenbergu etc.) wydał osobno studja o „Marji Konopnickiej“ 1902, „St. Wyspiańskim“ 1902 i dwutomową „Polską literaturę współczesną“ (od 1860—1910) 1911. Z zakresu sztuki: „Portret i krajobraz angielski“, „A. Grottger“. Ponadto: „Wychowawcze zadania ogółu“.

....Świat w poezji Langego przedstawia się nam... nie jako mniej lub więcej urozmaicona panorama wrażeń zewnętrznych, lecz jako cykl przemian duchowych, nie jako widzenie, lecz jako wizja. Lange ma wyróżniający organizacje filozoficzne dar widzenia zjawisk w ich związku i zależności wzajemnej. Są to, że tak powiem, kategorje dialektyczne, nie zaś same zjawiska. Oto taka np. „Venus żebraczka“ nie jestże raczej kategorją, syntezą usymbolizowaną

zhańbionej miłości? Albo w urywku „Lilith“ ta defilada typów kobiecych? Autor ciągle wiąże zjawiska w ich treści wewnętrznej, wiąże je dialektycznie, szukając syntezy.

Jestże więc Lange filozofem, przypadkowo tylko bawiącym w dziedzinie poezji?

Pytanie to nie jest tak śmiesznem, jakby się zdawało. Ludzie zdołali już oswoić się z tem, że poeta jest malowniczy lub melodyjny i nie każą mu być z tego powodu malarzem lub muzykiem. Ale dotąd mimo odwiecznych doświadczeń gotowi są wszcząć spór o ideę w poezji.

Poprostu organizacje intelektualistyczne, typy „mózgowców“ rzadsze są, niż organizacje wrażeniowe, niż typy „zmysłowców“. Nawet ludzie, którym się zdaje, że lubią poezję samą, często bardzo w poezji raz jeszcze lubią przyrodę, świat zewnętrzny; lubią i szukają w niej odtworzenia bezpośrednich wrażeń — barw, dźwięków, zapachów, obrazów. Tymczasem świat duchowy ma odrębną swoją estetykę, bardziej dostępną dla pewnych — mianowicie intelektualistycznych organizacyj. Jak człowiek o subtelnych zmysłach czułym jest na wszelki odcień, wszelki półton świata zewnętrznego, tak podobnie owa organizacja intelektualistyczna specjalnie czułą jest na odcienie i półtony zjawisk duchowych. Poeta o takiej organizacji, niedołężny czasem i obojętny wobec zjawiska zewnętrznego, ma dar dostrzegania najsubtelniejszych różnic w świecie myśli. I nietylko dostrzegania ich, lecz, co stanowi jego siłę, wzruszania się niemi. Kategorje filozoficzne, łańcuch przesłanek logicznych, dialektyczny proces myślenia — przedstawiają dla organizacji takiej tęż samą żywość, dotykalność form, tęż samą grę pełną życia, co życie samo dla organizacji „zmysłowca“. Wówczas poeta kochać się może w odczuwanem pojęciu, jak w kobiecie, marzyć może o Cyfrze i o Słowie:

> Cyfra z ziemi ku niebu — Słowo mknie z nieba na ziemię,
> Ku sobie płyną wciąż — przyjdzie spotkania ich czas!
> **Tęskni za tą godziną duch nasz, gdy niby w Edemie**
> W jedną złączone moc — gwiazdą zapłoną w nas.

To nie jest tendencja w wierszu, to nie jest nauka w sztuce, ani filozofja w poezji, to jest poezja filozofji, to jest estetyka piękna duchowego, jasnowidzenie harmonij bezcielesnych kształtów myśli przed oczyma duszy. Słowo w tym świecie przestaje być narzędziem tylko, pośrednikiem między ja i nie ja, lecz nabiera niejako życia samoistnego. Nie jestże ono tam materją, w którą się przyobleka „stający się duch?“ I stąd w poetach tego rodzaju, w poetach dialektykach ta niezmierna wrażliwość na słowo, jego bogactwo i samorzutność, niezrozumiałe wprost dla tych, którzy używają go tylko za posługacza rzeczywistości. Słowo samo staje się „żywiołem“ z jego potęgą i samorództwem.

Poezje Langego są niewątpliwie wytworem takiej właśnie pracy „stającego się ducha“, o czem świadczą zarówno ich drobne usterki, jak i wielkie zalety.

Rym.

I.

A więc nie lubi pani mych rymów, zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Świecąc jako potrójnie złocony akrostych —
Rymy, powiązanemi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzką, jak perłę szczeżuja.
Rym to niebo i słońce, to piekło i ereb:
W nim muzyka istnienia — jakby echem buja.
Im melodja bogatsza — pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hijacyncie —
A pieśniarz mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płyńcie ze mną, płyńcie!
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab splecion,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli:
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wrzecion,
Gromada nimf, złocistszych od złocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem ma szczęki kutych w ogniu żelaz,
A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;
Czasem — zda się — jak bogów pełna Anafielas —
Lub samotna pustynia proroków hebrajskich.
Są rymy, które dzwonią jak rycerski brzeszczot,
Są rymy, które huczą jak miedziane gongi,
Które tchną pocałunków zapachem i pieszczot;
Są — zda się — marmurowe jak greckie posągi,
Są rymy tak szalone, jak skoczne fandango;
Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł,
Są, które pachną piżmem, żywicą, hidrangą,
Są — rzekłbyś — jako bogów widomy awatar.
Rym to wszystko: melodja, zapach i koloryt,

Myśl, forma, bicie serca. Słuchaj ty, co śpiewasz;
Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, rifiorit
Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
Bo czemuż zielenieje w rymie pól aksamit?
Huczy wicher, żeś gotów w duszy swej się przeląc?
Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
Przeto, że treść i forma są jak brat ze siostrą:
Niech ci żadne nie będzie jako pan lub murzyn,
I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
Niech płyną jak dwa duchy dwu bliźniaczych drużyn.
Wiem! Kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
Potężny, jako włócznia; cenny jako szmaragd;
Jasny, jak kryształ; rzewny jako pieśni El . . . ych,
A tęczami płonący, jak strugi katarakt.
Świat rymów jest tak dla mnie jak gotycki kościół,
Którego szczyt niebieskich — rzekłbyś — sięga posów;
Żyłem w nim, ale duch mój na dwoje się rozciął
I słucham teraz nowych niespodzianych głosów.

III.

Pierś mi strawił zatruty mego wieku rozczyn —
Duch zmęczony, że samby pragnął siebie przerość,
Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wiosczyn,
Gdzie, pod lip starych cieniem, kwitnie złota szczerość,
Znudziły mnie zawroty tej abrakadabry —
Prostoty chcę, zieleni śród lasów i opól:
Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mnie urzekł —
I stanąć odrodzony śród zielonych muraw,
I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek,
Lub ulecieć nad pola jak swobodny żóraw.
I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
Wsłuchać się w tajemnicze borów Zendawesty,
I jak jaskółka spadać na prostaczy świren,
Lub kwitnąć, jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś stuleciu ziemia,

Którą pszczół roje brzęczą śród gryk i koniczyn,
I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
Bo wierzę, że w tych szumach żyje boża czeladź
Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać
W treść istot, z którą wkońcu duch się utożsami.
Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
Bym, pojąwszy natury prostotę i przepych —
Jak ona, lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pełza,
I żem opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
Lecz moja dłoń Pegaza swego sama kiełza:
Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
Kochałem perły rymów. Poznałem najrzadsze
Klejnoty mowy bogów i najsłodszy zapach
Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzy teatrze
Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
Ale dzisiaj już rymy dobieram najprostsze,
Po Edenie płaczący jak po synach Rizpah —
Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze
I spoglądam w tę stronę, gdzie odrodzeń wyspa.
Więc nie dziw się, że u mnie nie napotkasz częstych
Rymów, wyświątecznionych w brylantach i perłach.
Są, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz ja drwię z tych,
Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierłach.
Więc rzucam wszystek ciężar — i chcę na gołoledź
Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą,
A duch jakiś mi szepce: Poleć w górę, poleć!
I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezję ularwi:
Poezja dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin,
A każda ciemna fala uda falę Narwi —
I dzisiaj sztuka rymów, to nuta mandolin.

Jest t r a l a l a a na wszystko — formuły, algebra —
W legjony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,
I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
A łatwo tak, jakby to był walc lub oberek.
Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
Niepamiętni światowych złoceń i uszerścień,
W leśnej głuszy słuchają śpiewu makolągiew,
Szukając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścień.
Chwała wam, o pieśniarze, bólu wychowańce,
Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
I znajdujecie w liljach jad i krew w sielance: ,
Przed wami czcią przepełnion stoję i ukorzon.
Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen,
Bo im już przerąbano oddawna te gąszcze,
Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze sylen.

VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
Lubię słuchać, jak szumią oceanów larga,
Jak płaczą nad Tytanem chóry Oceanid,
Gdy Jowisz się nad niemi piorunami jarga.
Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiększy
Rym, jaki nam gęślarze zostawili dzicy —
Pierwotni — lub ów pieśniarz najprostszy, największy,
Wojciech święty, co śpiewał o Bogarodzicy.
Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
Lecz duszę miał czującą i wzrok jak ostrowidz
I jędrnych słów na gładkość cukrzonych nie wytarł.
Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza —
I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
I drgał podziw i zapał, śmiech i płacz i przestrach.
Biały wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
Heksametr, z iljonowych wzięty wykopalisk;
Jak pantera, wygięta w skok — strofa alcejska:
Oto, co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

VII.

A ty, wieszczu, nim przyjdzie dni twoich odwieczerz,
W górę płyń, jako czujny ideału żniwiarz —
I waż, czyli wyroczne słowa swe wyrzeczesz —
I czy nakazem bożym wolę swą ożywiasz.
A kiedy się zabłąkasz śród życiowych bezdróż —
Pogardę miej dla chwały, dla śmiechów i zniewag —
I z żadną tu na dole nicością się nie zdruż —
Spokojny, jako z siebie świat rodzący śpiewak!

Z „Kołysanki".

Śpij, moje dziecię! Sen daje ciszę,
Sen troski życia z duszy wypędza;
Lecz ja do innych snów cię kołyszę,
Ja twa piastunka, matka twa — Nędza!
Ja czuwam wiecznie nad twym snem.

Jam cię znalazła nad nędznym ściekiem.
Jam cię w łachmany swe ogarnęła —
Karmiła swojem zatrutem mlekiem,
Jad swojej piersi w pierś ci zionęła
Uścisków mych mogilnych tchem.

Więc ja ci nie dam rojeń wiosennych,
Lecz dam ci hańby widziadła czarne,
Gdzie ujrzysz w grozie mroków bezdennych
Twego żywota wieszczby cmentarne —
Więc śpij, wybrańcze, synu mój!

Śpij, w mą zgrzytliwą wsłuchany pieśnię,
Bo pójdziesz wcześnie — może za wcześnie
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez doboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!...

ZENON PRZESMYCKI

(Miriam)

(* 22. XII. 1861 w Radzyniu).

Wydał oddzielnie: „Z czary młodości“ 1894. „Pro arte“ 1914. Ponadto przekłady: Zeycra, Pism Maeterlincka, „U poetów“ 1922. Wydania: Norwid: „Pisma zebrane“ tomów 4, „Chimera“ tomów 10. Poezje oryginalne i przekłady w „Życiu“ (warszawskiem), „Chimerze“, „Zdroju“.

JAN LORENTOWICZ O MIRIAMIE.

Jan Lorentowicz, * w r. 1868. Oddzielnie wydał: „Młoda Polska“ 3 tomiki 1909—13, „Nowa Francja literacka“ 1911. „Polska pieśń miłosna“ (antol.). „Ziemia polska w utworach poetów“ (antologja), „Polska pieśń niepodległa“ 1917.

I.

W literaturze polskiej, w ciągu wielowiekowego jej rozwoju przeważały dwa głównie gatunki twórczości: autorowie tworzyli poematy, dramaty i powieści, jak drzewo rodzi owoce, albo też natchnienie swe posyłali na pomoc potrzebom chwili społecznej, wyrażali świadomie lub bezwiednie troski, bóle i nadzieje pokolenia. To rys znamienny piśmiennictwa naszego, rys który wyodrębnia je przedziwnie z piśmiennictw Zachodu i czyni tak bardzo niedostępnem dla obcych.

I w jednym i w drugim wypadku świadoma troska o czysty gest estetyczny, o piękno niezależne od wskazań zewnętrznych, nie wynikających bezpośrednio z duszy autorskiej — zajmowała bardzo nieznaczne miejsce. Pełnię życia mieliśmy może raz, w szesnastym wieku i, jeżeli wyszedł z jej łona „złoty“ okres literatury, z takim fenomenem nawskroś artystycznym i jedynym, jak Kochanowski, to przecież śród tej pełni zbyt zaciążyła nad umysłami

potrzeba „naprawy Rzeczypospolitej“, aby nie zaabsorbowała większości umysłów twórczych.

Żyliśmy wciąż pod znakiem „odrodzenia narodu“. Przechodziła epoka za epoką, a schorzały organizm narodowy wciąż wołał o reformy. W takim nastroju nieliczne zaledwie jednostki uczuwały naprawdę potrzebę sztuki bezinteresownej a i te zadowolić ją mogły na skutek jakichś specjalnych, raczej ujemnych, niż dodatnich, okoliczności. Morsztyn, Trembecki — w wiekach dawnych, Faleński i trzech, czterech mniej odważnych w wieku dziewiętnastym — oto niewielki poczet naszych pisarzy, którzy kult pięknego kształtu odłączali od ideałów chwili.

Ostatnie ćwierćwiecze narodu najmniej może sprzyjało powstawaniu śród nas czcicieli sztuki czystej. Cała energja społeczeństwa, wszystkie wysiłki jednostek skierowane były ku celom samoobrony. A jednak w takich straszliwych warunkach bytu zakwitła nowa literatura, niezmiernie bujna i oryginalna, która zadała kłam utartej w Europie doktrynie, iż najbogatsze piśmiennictwa powstają na mierzwie przegniłej moralności; a jednak w atmosferze tak doszczętnie, zda się, przesiąkniętej dyskusjami o środkach walki, w społeczeństwie, które tak ciężko przytłoczono obawą o jutro, iż wszystkie jego tchnienia powtarzały wszędzie i zawsze jedno tylko hasło: jesteśmy, trwamy i trwać będziemy, — w epoce najboleśniejszych zmagań się prądów i idei uzdrowienia, obudziła się najgorętsza, najgłębsza z tych, jakie kiedykolwiek w Polsce istniały, tęsknota do sztuki bez ubocznych celów jakiejkolwiek pedagogiki.

Heroldem tej tęsknoty stał się — Miriam. Działalność jego od pierwszych niemal wystąpień literackich w dwóch zdążała kierunkach: teoretycznym i twórczym. Powolne, wytrwałe, zapamiętałe budowanie ideałów estetycznych, sprawdzanie i potwierdzanie własnej syntezy na dziełach i arcydziełach wszelkich piśmiennictw, wreszcie podawanie czytelnikowi polskiemu najpiękniejszych wzorów twórczego ducha obcych — tak bardzo zajęły całą jego istotę, że ucierpieć na tem musiała twórczość własna.

II.

Zaczął od redagowania „Życia“, które mu zajęło kilka lat pracy. Pobudziwszy czeredę kolegów do bezinteresownego kultu dla sztuki, wyjechał zagranicę. Śledząc stamtąd cały ruch „młodych“ w kraju, wciąż pogłębiał go teoretycznie i wciąż nadsyłał świetne wzory obce.

Jeszcze podczas pobytu w kraju ogłosił Miriam szereg poezyj, z których w r. 1891 dokonywa wyboru i ogłasza je w oddzielnej książce p. t. „Z czary młodości“. Zbiór, dla niewiadomych zgoła przyczyn, nie zyskał aprobaty cenzury warszawskiej, więc naogół mało jest znany.

Książka, zbudowana z fenomenalną kunsztownością, posiada jedną znamienną cechę, która rozwinęła się później u Miriama

ogromnie i zdecydowała o kierunku całego jego talentu: jest to myśl, myśl głęboka i wytworna, która towarzyszy każdemu wzruszeniu poety, każdemu jego obrazowi, każdej jego tęsknocie, każdemu zwątpieniu, każdemu nawet uniesieniu. Twórca panuje nad każdym swym wyrazem, panuje zawsze i wszędzie. Bezpośredność wrażenia zamyka odrazu w formę wykształconą świadomie, giętką i podatną do wszelkich zmian.

Całość zbioru podzielono na trzy części: Upojenie, Męty w puharze i — Pojednanie. Podział to jednak zgoła dowolny, bo książka ma właśnie przedziwną jednolitość.

Wprawdzie w prologu poeta posyła życiu takie frenetyczne powitanie:

„O, witaj mi, żywota wiekuiste wrzenie!
Witajcie, ukwiecone młodości krużganki,
Witajcie, burze, cisze, zachody, poranki,
Witajcie barwy, tony słońc i gwiazd promienie!
O, pochwyć mię, Maelstromie, niech wir twój mię żenie,
Gdzie sny, myśli tryskają, jako rakiet wianki,
Gdzie łuny burz dziejowych, blaski z ócz kochanki
Spływają w jedno wzlotów, szałów płomienienie!
Jako stające dęba rozhukane źrebce,
Serce wznosi mi piersi, rwie je, szarpie, depce
I orkanowem biciem: „w pęd! w dal! w życie!“ woła.
Wszystko woła! brzmi! dźwięczy!... *Ave, ave vita!*
Płyńmy — i niechaj myśl nam nie zasępia czoła,
Czy łódź wróci z triumfem, czy zginie rozbita.“

Ale ta frenezja nie przynosi później gwałtownych burz. Upojenie Miriama jest metafizyczne. Wszędzie: na łonie przyrody, w stepach i na morzu, w górach i w lesie, o zachodzie i o świcie, w nocy i we dnie, poeta wsłuchuje się w drgnienia duszy świata i duszę własną w jeden z nią zespala akord.

Męty w puharze poety pochodzą ze zwątpień i niepokojów, w których niema tragedji. Jest na ich dnie tylko olbrzymia troska o doskonałość piękna, jest ta bezmierna tęsknota do ideału formy, która później zawładnęła całą istotą Miriama. —

.....Pojednanie wreszcie nastąpiło nie z rezygnacji serca, nie z ekstazy bólu — ale znowu z refleksji, skąpanej w kastalskich źródłach poezji.

.....Miriam występuje odrazu, jako pierwszorzędny władca formy. Odkrywa wszelkie tajemnice prozodji polskiej, łamie zdania w dowolne rytmy, czuwa nad szlachetnością i kunsztem rymu, wytworność marzenia łączy z wytwornością słowa.

IV.

.....Marząc o skończonej doskonałości, wieńcząc laurami najświetniejsze obce pomniki poetyckie, kształcąc własną miarę krytyczną przez wytężoną kontemplację arcydzieł całego świata,

Miriam stanął wobec problematu: albo pisać rzeczy zupełnie doskonałe, albo nie pisać wcale.

..... Ta dumna postawa prowadziła konsekwentnie do osamotnienia. Miriam nietylko zdaje sobie z tego wybornie sprawę, ale właśnie wierzy, iż długie sam na sam z duszą wydobywa wszystkie jej głębie. Zbiera elementy do nowej manifestacji literackiej, tej właśnie, która stanowić ma epokę w dziejach naszego czasopiśmiennictwa literackiego i artystycznego: zakłada „Chimerę". Twórczość Miriama przybiera inne kształty. Staje się współtwórcą nowych duchów i natchnień, staje się najpełniejszym, najbardziej świadomym celów i środków artystą, jakiego mieliśmy kiedykolwiek w literaturze.

Hymn do poezji.

Śród złotych łanów, nad brzegiem mórz,
W odwiecznych puszcz rozhoworze,
Brzmi twa harmonja olbrzymią pieśnią
I nad powszednią życiową pleśnią
Przewiewa grzmiącem tchnieniem burz.
Poezjo święta! po wieków wiek
W żywota bieg
Niechaj nam świecą twe zorze!

Nad otchłaniami, gdzie chaos spał,
Spowity w ciemność i ciszę,
W snach widzę, jako skrzydła twe tulą
Kształt krągły, ziemską nazwany kulą,
Jak w szumach wód i ciszy skał,
Na wstędze tęczy, słonecznej mgle,
W marzeniu, w śnie,
Bezwiedna pieśń się kołysze.

Odtąd przez wieki, tysiące lat,
Od barwnych ksiąg Ramajany
Do pieśni Danta, do klątw Byrona
Rosła potęga twa niezmierzona,
Przez świat — gwiaździsty znacząc ślad;
W symfonję z tonem splatał się ton,
A złoty tron
Twój jaśniał wciąż bez odmiany.

W tobie zwierciadlił człowieczy duch
Najwyższe swoje porywy:
Radosnych szałów buchał okrzykiem,
Tragicznych tęsknot mówił językiem
I w niewstrzymany życia ruch
Potężnych natchnień swych miotał skry,
A ludy szły,
Gdzie wiódł je pieśni zdrój żywy.

Tyś wstępowała do cichych chat
I do złocistych pałacy,
I rozpalałaś zapału żary,
A sypiąc dary z mistycznej czary,
W idealniejszy wiodłaś świat.
Tyś ocierała pot krwawy z czół —
I nędzarz snuł
Nadziei nić złotą w pracy.

O nieśmiertelna! tyś tchnieniem swem
Wstrząsała lądów obszary,
I świat drżał cały, gdy w proch padały
Nędzne bożyszcza kłamliwej chwały,
Które czcił niegdyś lud wszech ziem,
A z gruzów, dymów, pleśni i skaz
Wynosił czas
Radosnych przeczuć sztandary.

Biada tym chwilom, gdy z twoich lic
Nie błyska przedświt zarania,
Gdy w ciemnej, wdowiej smutku zasłonie
Swe jaśniejące ukrywasz skronie,
Nie mówiąc ludom-karłom nic,
Gdy tęcze twoje nie mają barw,
A z srebrnych harf
Dźwięk żaden nam nie podzwania.

Bezmyślnie patrząc w zamgloną dal,
Gdzie idzie, człowiek sam nie wie,
O chleb swój dziko walczy i leże,
A choć w serc głębi niekiedy wzbierze

Nieukojony jakiś żal,
Nikt nie ma siły zawołać: „Wstań!“
Śród próżnych łkań
Dogasa zwolna zarzewie.

Ale ty żyjesz. Twórcza twa moc
Ożywia stłałe już kości.
Gwiazdy błyskają z niejasnych mgławic,
A skry płomiennych ducha błyskawic
Wskroś przerzynają drżącą noc.
W blasku ich łun, przy dźwiękach strun,
Z tajemnych run
Wybłyska jutro ludzkości.

O, zwróć dziś ku nam promienną twarz,
Źrenicę olśnij zagasłą,
Do ramion daj nam skrzydła sokole,
Na skroń natchnienia włóż aureolę,
Niech się drzemiąca zbudzi straż,
Z pod złotych dachów, słomianych strzech,
Tysiącem ech
Odwagi niechaj brzmi hasło!

Śród złotych łanów, nad brzegiem mórz,
W odwiecznych puszcz rozhoworze,
Brzmi twa harmonja olbrzymią pieśnią
I nad powszednią życiową pleśnią
Przewiewa grzmiącem tchnieniem burz.
Poezjo święta! po wieków wiek
W żywota bieg
Niechaj nam świecą twe zorze!

Przyjaciołom.

Gdybym wam zniknął, gdybym odszedł nagle
I przepadł kędyś w świata nieskończeniu,
Myślcie, że rwące uniosły mię żagle
Ku Ideału wiecznemu złudzeniu.

Myślcie, że za tą marą nieuchwytną,
Gdy śród ludzkiego zgasła mi mrowiska,
Poszedłem drogą uraganów szczytną,
Gdzie głąb przyrody wre, kipi i błyska.

Myślcie, że w krwawym zórz północnych świcie
Wybladły krańce oglądam żywota,
Lub u zwrotników, gdzie rodzi się życie,
Że mną ta sama niepewność wciąż miota.

Myślcie, że orlim uniesion rozmachem,
Ku słońc dalekiej wzbiłem się granicy
I żem padł w prochy, nagłym zdjęty strachem,
Iż i tam niema klucza tajemnicy.

Myślcie, że ilem w sobie miał potęgi,
Wszystką w olbrzymie stopiłem porywy,
Że mię bezmierne znają widnokręgi
I padół gorzkiej rozpaczy straszliwy.

Myślcie tak wszyscy, wy, coście mnie znali,
Coście zajrzeli w duszy mej głębiny,
Co wiecie, jakie w tej burzliwej fali
Wrzały rojenia, i myśli, i czyny.

Wierzcie, żem w walce nie cofnął się z losem,
Nieprzeniknionych zląkłszy się zagadek,
Lecz żem okrzyknął otchłań gromkim głosem —
I tytanicznym że był mój upadek.

Żem grom ostatni dumnem przyjął czołem,
Gdy mię piętnował beznadziei znakiem,
Żem w jarzmie losu nie chciał zostać wołem,
W maszynie świata — bezwolnym robakiem.

Żem w przepaść wieczną nie jak tchórz, — jak nurek,
Rzucił się, perły poszukując drogiej;
Gdym jej nie znalazł śród życia komórek,
Że śmiało śmierci przestąpiłem progi.

Co inni rzekną? Na szlaku wędrówek
Przez niezbadania groźne bezgranicze.
Czemże mi może być sąd ludzkich mrówek,
Efemeryczne wielbiących zdobycze?

Nęcący ludy — sławy maszt bronzowy,
Wielki, lecz mroźny, jak arktyczne zimy,
Runie też. W czasu bezmierni surowej
Sława, cześć ludzka i pamięć — czcze dymy!

Lecz wy, co w mego ufaliście ducha,
Coście mię z memi myślami kochali,
Wierzcie, żem, jako wulkan, co wybucha,
Walczył — i gdzieś tam walczyć będę dalej...

IGNACY DĄBROWSKI

(* 1869 w Warszawie).

Wydał: „Śmierć“ 1892. „Felka“ 1893. „Nowele“ 1899. „Chwila była przedwieczorna“ 1903. „Zmierzchy“, „Samotna“ 1912. „Matki“ 1923.

Ze „Śmierci“.

Zbliżał się dzień egzaminu. Kilka nocy spędziłem nad Cyceronem i gramatyką. Że znużenia zasypiałem nad książką, choć co chwila trzeźwiłem się wodą sodową, przykładając usta do samego kranu, żeby najmniejszej cząstki orzeźwiającego gazu nie stracić. A syfon wody 20 groszy kosztował...

Nie szło jednakże. Taką już widać miałem tępą głowę do łaciny.

Aż nadeszła wreszcie ostatnia noc. Sen mi oczy zasłaniał, głowa ze znużenia opadała ciągle na książkę, — siedziałem jednak noc całą.

To pamiętna noc dla mnie, boleśnie pamiętna.

Dla oszczędności nafty, przyćmiona lampa słabo tylko oświecała pokój. Traciłem nieraz świadomość czasu i miejsca, a myśl, odrywając się od Cycerona, który leżał przede mną, ciągle gdzieś ulatywała w przestrzenie. Majaczyłem i zasypiałem. Myślałem chwilami o innych ludziach, choćby o uczniach moich, i ciągle się z nimi zestawiałem.

— Ot, oni szczęśliwi. O każdym z nich ktoś pamięta, troszczy się, opiekuje, a ja tylko między nimi jestem sam jeden, jak palec, rzucony w świat, na walki i gorycze. Nikt się mną nie interesuje, nikt ręki pomocnej nie poda, muszę sam jeden o własnych siłach dobijać się chleba kawałka i jeszcze innym dopomóc.

I to sam, sam jeden, bez ręki bratniej, bez niczyjego serca, bez...

Tak sobie myślałem.

Brzask już był na niebie, wschodni skrawek horyzontu zaróżowił się i ział światłością. Cały świat zabarwił się błękitem i tonął w ogólnym oceanie dziwnej błogości nieba.

Zgasiłem światło.

Cały pokój zaczął nasiąkać tą atmosferą niebieską, jaka wszechświat zatapiała. Czułem niebo dokoła. Błękit wszechoceanu zaczął mi się wdzierać w mózg, w duszę, i napełnił światłością i upojeniem. Roztapiałem się w tej niebiańskości, anielała mi dusza — i byłem w niebie...

W niebie? Wszakże tam Bóg panem! Czułem Go, widziałem niemal.

On był wielki, potężny, jedną ręką kierował ruchem wszechświata, drugą sypał dobrodziejstwa i łaski.

Takim Go widziałem, takim mieć Go chciałem, takim mię Go widzieć nauczono...

Na kolana!

Zgiąłem kolana.

Zacząłem się modlić...

— Tyś jest wielki, Boże, dobry, wszechmocny, miłosierny! Wysłuchaj modlitwy dziecka Twego, które z ufnością i pokorą ślę Ci słowa skargi i prośby...

I płynęła modlitwa...

Przypomniały mi się lata, ubiegłe już dawno, kiedym błagał w modlitwie o zdrowie i życie matki, kiedym z naiwną ufnością wymagał od Niego, by zmienił tor biegu świata i ocalił mi to najdroższe życie.

Niewiele pragnąłem teraz. Niech mi choć jednym promykiem rozjaśni życie, pełne walk i trudów. Niechaj wejrzy Swem okiem i obaczy, że mi jest źle na świecie.

Samotny, opuszczony, borykam się wśród ludzi, i niedobrze mi, i chłodno, i ciężko... nieraz nad siły ciężko...

Egzamin! Zanadto mi on ciężył na duszy, żeby mi teraz nie przyszedł na myśl. Tak — błagałem Boga, żeby mi dla Swej wszechmocności dopomógł, zezwolił, rozkazał...

Prosiłem, jak dziecko małe, które się modli do Bozi o ulubiony przysmaczek lub zdrowie lalki. Wróciła mi cała prostota i wiara dziecinności.

Szlochałem i zawodziłem.

Wreszcie uląkłem się ogromu mych żądań. Już nie o szczęście błagałem, nie o usunięcie cierni życia przede mną, nie o chleb powszedni, tylko o to fatalne jutro, o które życie moje miało się tak zahaczyć.

Słońce już weszło zupełnie i dzień był wielki, a jam się modlił jeszcze, rozmawiał z Bogiem.

Wreszcie znużony, w płaczu, zasnąłem, z głową zwieszoną na parapet okna, na kolanach...

Nie zdałem.

Ogarnęła mię wściekłość. Zdawało mi się, żem miał prawo mieć o to żal do Boga.

To też krnąbrność i pycha wsączyły mi się w serce.

Drwiłem, szydziłem, bluźniłem.

Wreszcie wstyd mi było przed samym sobą. Tak się upokorzyć, tak zdziecinnieć, tak się zaprzeć całego dobytku rozumu, którym się w owe czasy niezmiernie szczyciłem — i za to nic nie otrzymać.

Czułem urazę i miałem jakąś rozkosz w myśli, że mogę coś zarzucić temu najdobrotliwszemu Bogu, przed którym kolana zginają.

Dzieckiem byłem jeszcze.

Nowe wrażenia jednak szybko zatarły to bolesne przejście i gniew mój bezsilny.

Zobojętniałem dziwnie. Dogmat za dogmatem leciał w gruzy, a ja dopomagałem jeszcze do tej niszczącej pracy. Przeczytałem kilka książek, w których nic nie było o Bogu, zapaliłem się do fizyki, zasłyszałem coś o Wolterze i Darwinie, jednem słowem mądrzałem strasznie. Nigdy nie uważałem się za tak wszechstronnie mądrego, jak wówczas.

Z dumą spoglądałem na swych kolegów, stawiając się w duszy nieskończenie od nich wyżej. Niema ludzi bardziej zaufanych w siebie i dumnych ze swego rozumu i wiedzy, jak właśnie 19-toletni młodzieńcy.

Szukałem ideału, biegłem z życiem w szalonym pędzie, aż w tej pogoni pogubiłem wszystko.

Z całej dawnej wiary pozostało mi jeszcze mgliste pojęcie o Bogu, jako najwyższej, kierującej i twórczej istocie, — i o nieśmiertelności duszy. Te przetrwały najdłużej, bom ich strzegł i tru-

dno mi się było tak rozstać z niemi bez nowych urojeń, któreby dawniejsze zastąpiły. Zawsze to przykro spaść z tak wysoka.

Aż pewnego dnia zapytałem siebie: dlaczego przechowuję jeszcze w głębi duszy te szczątki dawnej wiary?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

Nie umiałem, bom nie mógł żadnem rozumowaniem poprzeć tych archaizmów, jakie mi gdzieś po zakątkach mózgu tkwiły.

Od tej chwili straciłem duszę i Boga.

Czy cierpiałem wówczas nad tem? Nie. Nie zdawałem nawet sobie sprawy, że to jeden z najważniejszych przewrotów w życiu. Lekko, swobodnie, nawet wesoło, załatwiłem się z temi szmatami pieluch, jak nazywałem wtedy te survivale umysłu, i ani chwili jednej nie zastanawiałem się nad tem, czem zastąpię powstałą próżnię.

KAZIMIERZ TETMAJER

(* 12. II. 1865 w Ludzimierzu).

Oddzielnie wyszły jego: „Poezje“ I (wyd. 4), „Poezje“ II (wyd. 5), „Poezje“ III (wyd. 4), „Poezje“ IV (wyd. 3), „Poezje“ V, „Poezje“ VI, „Poezje“ VII, „Hasła“, „Zawisza Czarny“, „Rewolucja“, „Melancholja“; „Wrażenia“, „Szkice“, „Z wielkiego domu“, „Anioł śmierci“, 2 tomy, „Otchłań“, „Panna Mery“, „Zatracenie“, „Romans Panny Opolskiej“, „Król Andrzej“, „Gra fal“, „Judasz“, „Koniec epopei“, 4 tomy, „Na skalnem Podhalu“, 5 t., „Legenda Tatr“, 2 t., „Bajeczny świat Tatr“, „Barykada“, „Illa“, „Allegorja“, „Mąż poeta“, „Na śmierć Sienkiewicza“. Dramaty „Sfinks“ i „Zawisza Czarny“, grane były na scenach teatrów krakowskich i warszawskich, „Judasz“ w r. 1922 w „Reducie“.

MARJAN ZDZIECHOWSKI O K. TETMAJERZE.

Marjan Zdziechowski, * 1861 w Rakowie na Litwie. Wydał: „Mesjaniści i słowianofile“ 1888. Karol Hynek Macha i bajronizm czeski“ 1893. „Byron i jego wiek“ 1894—7. „Dążenia i ideały czeskie“ 1895. „Z niwy najnowszej poezji“ (Tetmajer—Wierzbicki) 1895, „Wędrówki duszy; ezoteryzm na tle współczesnego ruchu religijnego we Francji“ 1895. „Twórczość liryczna Asnyka i jej znaczenie w poezji polskiej“ 1897. „Etyka polityczna w Rosji“ 1899. „Gabriel Sarrazin“ 1900. „Lew Tołstoj i jego Zmartwychwstanie“ 1900. „Szkice literackie“ 1900. „Odrodzenie Chorwacji“ 1902. „Z epoki mesjanizmu“ 1912. „Wizja Krasińskiego“ 1912. „Pesymizm, romantyzm, a podstawy chrześcijaństwa“ 1915. „Gloryfikacja pracy“ 1921.

...Wziąć do rąk zbiór wierszy lirycznych nawet pierwszorzędnego poety i czytać je pokolei, jest rzeczą najczęściej, nietylko pozbawioną przyjemności, ale wprost nużącą; po jakichś dziesięciu utworach bladych i błahych natrafiamy na prawdziwą perłę, lecz znużenie, płynące z bezmyślnego czytania poprzednich bezmyślności, odejmuje nam możność rzetelnego odczucia wdzięku owej

perły. Chcąc więc sumienny wydać sąd o jakimkolwiek zbiorze poezyj, zamiast czytać jednym tchem, należałoby je wielokrotnie przerzucać, przepatrywać.

Tymczasem poezje Tetmajera czytałem właśnie jednym tchem. Do zajęcia tego przystępowałem z uprzedzeniem, że mozolną drogę będę miał do przebycia, ale w miarę czytania ogarniał mię ciągle rosnący podziw; znajdowałem wiersze lepsze i gorsze, lecz nie znajdowałem takich, którebym wyrzucił; z zajęciem wtajemniczałem się w życie wewnętrzne duszy bogatej treścią, a umiejącej wypowiedzieć wszystko, co myśli i czuje; czarowały mię siła i szczerość uczucia, porywał ogrom fantazji pokrewnej Słowackiemu i Konopnickiej, lubującej się w zaświatowych lotach, a niewyczerpanej w bogactwie obrazów, malujących tak trudne do odmalowania mgliste tęsknoty duszy do nieskończoności; język poprawny był i bogaty, styl ścisły i silny; rym bez zarzutu, może mało muzykalny, choć, prawdę mówiąc, tę muzykalność tak niewłaściwą naszej twardej i niedźwięcznej mowie umiał dotąd w zupełności osiągnąć tylko jeden Asnyk.

Jednak w podziwie mym dla talentu nie było zapału, który podnosi duszę. I nic dziwnego: odrazu zapowiedział nam poeta, że „melancholja, tęsknota, smutek, zniechęcenie są treścią jego duszy", więc nie mógł z niej wykrzesać ognistej ody do młodości „okiem słońca przenikającej ludzkości całe ogromy z końca do końca"; nie, w tej duszy „wiecznie szumi smutek, który nurtami pełnemi w głąb jej płynie" i stamtąd obrzuca nas potokami czarnemi pesymizmu. I nie jest to zrezygnowany, wzniosły pesymizm Buddy, który w poezji europejskiej zwiastowali Vigny i Leopardi, pesymizm, budujący na zgliszczach utraconych nadziei gmachy ogromnej litości dla świata ginącego w nieskończonem cierpieniu; nie, to konwulsje rozpaczy, wijącej się w bolach bez lęku: nie może poeta wierzyć, aby jakaś moc wyższa mogła patrzeć obojętnie na tortury stworzonych przez się istot, i żadne słowo nie tłumaczy mu zagadki bytu:

I nie pojmuję nic na drodze mylnej
Prócz rezygnacji martwej lub rozpaczy,
Tem okropniejszej, że do dna bezsilnej.

Z takim to poglądem na świat, złożonym z martwej rezygnacji i beznadziejnej rozpaczy wystąpił młody poeta. Ból obezsila go i odrętwia, i snem wydaje mu się wtedy całość bytu, snem wielkie słowa Chrystusa, które miały świat na nowe tory prowadzić, snem nadzieje wszystkie i zwątpienia.

Snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
Snem byt, snem nawet własne me istnienie.

I z tą myślą tak mu dobrze, że chciałby, aby go nie opuszczała więcej, aby mógł umrzeć w kojącem przeświadczeniu

. . . . . że ja tylko śnię,
Że cała nędza życia jest zwodniczem
Widzeniem tylko, że wszystko jest niczem.

Ale taka martwość nie może trwać długo w duszy młodej, gorące wrażenia biorą górę i nierównie częściej występuje poeta w rynsztunku rozpaczy bezskutecznie szamocącej się ze znienawidzonym porządkiem świata. Wspaniałym w swej sile i grozie wyrazem rozpaczy tej jest Credo, owoc gorzkich doświadczeń poety, które złudzeniom jego wszystkim wyryły na czoło Śmierć i nicestwo; i odtąd wie on, że „póki ludziom trwać, póty trwać złemu", że „niczem innem nie jest chód ludzkości, jak przemianą zła wieczyście trwałą", że „nienawiść dźwignią jest świata", — więc „niech działa ta najsilniejsza potęga ludzkości, niech zbrodnie stare ustąpią nowym", idźmy „wrogów deptać, co nas przedtem deptali", lecz depcząc — melancholicznie zastanawia się poeta — drżeć będziem, że już rosną mściciele ich kości

I tylko głos ten, co nas w noce woła
Z złem walczyć, nie przez ufność odrodzenia,
Lecz przez nienawiść ku złemu dla złego,
I żądzę, ssaną z powietrzem niszczenia,
Jest naszą wiarą.

Innego credo poeta nie zna. Dawniej trzeba było zużyć się i zniedołężnieć, aby przestać kochać i wierzyć; „dziś — woła ze smutkiem poeta — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem, nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem!" W wiośnie życia (Któż nam powróci) nie znali oni wiosennego nieba, pragnienia daremne gryzły im mózg, a nikt im nie niósł słów pociechy, nikt ich dusz mdlejących nie wzmacniał. I gorzkim wyrzutem obarczał poeta stare pokolenie.

Któż nam powróci te lata stracone,
Bez wiosennego w wiośnie życia nieba?..
Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
Żądacie od nas zbawień i pomocy,
Lecz my z waszego wykarmieni chleba,
Jak wy, nie mamy odwagi i mocy.

Że młode pokolenie powstaje przeciwko staremu w imię jakichś nowych ideałów, jest rzeczą bardzo zwyczajną w rocznikach literatury, nie pamiętam jednak, aby młodzi wyrzucali kiedy starym to, że sami nie wierzą w nic i niczego nie pragną. Bądź co bądź Tetmajer wypowiedział głośno to, co było na myśli u wielu, jeśli nie

u wszystkich młodych. Dlatego to słowa jego uważam za objaw znaczący, nad którym zastanowić się warto.

W kwestji warunków pomyślnego rozwoju społeczeństw walczą od wieków ze sobą dwa poglądy: zdaniem jednych zawisło wszystko od form w jakie wylało się życie społeczne i polityczne, od instytucyj, zdaniem drugich — od moralnego poziomu jednostek. I jedno i drugie w swej przesadzie jest równie fałszywe, lekceważenie bowiem pożytecznego działania niektórych instytucyj prowadzi do gnuśnej obojętności względem nędz społecznych, do niewolniczego poddania się mocniejszemu, lekceważenie zaś moralnej strony jednostek udaremnia pożyteczne działanie instytucyj. U nas spór ten nie mógł mieć miejsca; instytucje nie od nas zależały, tem przeto silniej wypadało skupić się w drugim kierunku, wcielając w czyn ideę „Irydjona". Praca organiczna zdawała się być pierwszą tego próbą. Tylko w Warszawie opierano ją na wrogiej chrześcijaństwu albo w najlepszym razie mało z niem mającej wspólnego filozofji pozytywnej; nie mogło więc tam być mowy o ideale tej ze szczytów Golgoty obiecanej chrześcijańskiej wolności, która się śniła Krasińskiemu. W Krakowie zaś głoszono wprawdzie ze szczerym zapałem zasady chrześcijańskie, ściślej mówiąc katolickie, czuło się jednak, że podstawy tego katolicyzmu były zanadto materjalistyczne; oczywiście był on dla tych, co go głosili, prawdą najwyższą o Bogu i stosunku człowieka do Boga, ale przedewszystkiem był opoką Piotrową, z której karna armja w zwartym szeregu zwycięsko odpychała napaście wrogich potęg anarchji i despotyzmu, usiłujących z dwóch przeciwnych stron ruszyć z posad ową opokę. Jednem słowem umysły głosicieli katolickiej pracy organicznej mniej przykuwała sama treść słów Chrystusowych, niż ta forma, w którą się one wylały w życiu praktycznem, stwarzając potężną instytucję Kościoła. Karność stanowiła źródło odpornej siły Kościoła, a właśnie jej brak był przyczyną naszych nieszczęść. Stąd to karność poczęli oni zalecać jako pierwszą i najważniejszą cnotę, a w hołdowaniu zasadzie tej zaszło się tak daleko, że niektóre codzienne pisma polityczne przez przewodników katolickiego kierunku stworzone i natchnione pogrążały się ze zbytku gorliwości w bałwochwalczej czci dla każdego, kto wyższe stanowisko społeczne zajmował.

Sprawiedliwość wymaga zaznaczenia, że ludzie otwarcie wyznający katolicyzm z trudnością mogli liczyć na zaufanie młodzieży, zbałamuconej bezwyznaniową literaturą wieku i przekonanej, że katolicyzm a inkwizycja — to jedno.

Nie zaufał starszemu pokoleniu i Tetmajer; nie umieli go pociągnąć ani wyrobić w nim wiary, i począł on im to gorzko wyrzucać, upatrując źdźbło w oku bliźniego, a nie chcąc widzieć, że nierównie było gorzej z nim i z jego rówieśnikami.

.....Rozpacz ogarniała lepszych, bezmyślna obojętność gorszych; żywsi zaś i zapalniejsi składali dowód materjalistycznego

zabarwienia swoich najlepszych popędów, hołdując doktrynie, która marzyła o osiągnięciu dobrobytu ludzkości, ale drogą spętania dusz w żelazne kajdany jakiegoś przeciwnego naturze ludzkiej wszechwładnego socjalistycznego państwa przyszłości.

Ten radykalizm społeczny Tetmajera nie skusił; dał się porwać rozpaczy. Napisał pełen siły „Hymn do Nirwany", w którym o to się modlił, aby jej królestwo na ziemi przyszło i w niebie.

.....O. Marjan Morawski trafnie dowodzi, że niepodobna ściśle określić, co to jest piękno, ale to pewna, że miarą piękna jest idealny człowiek. Otóż jedną z cech znamiennych tego idealnego człowieka stanowi silnie rozwinięte uczucie moralne, potępiające wszystko, co tchnie zmysłowością. Tetmajer, sławiąc zmysłową miłość, rozminął się z wysokiem posłannictwem poezji.

.....W malowaniu obrazów ciszy oraz graniczących ze śmiercią stanów nirwanicznego omdlenia duszy Tetmajer jest mistrzem skończonym. Przypomina Leopardi'ego, tylko poeta włoski więcej jest myślicielem i psychologiem, pogrąża się w samym sobie, gdy Tetmajer rozpływa się w marzeniach, które mu otwierają nieskończoność: zatopiony o zmroku w bezsłownej zadumie, wsłuchuje się on w szumy leśne, a dusza jego przez doliny mroczne i wąwozy górskie i przełęcze idzie gdzieś „na dalekie w księżycu równiny i dalej w bezmiar"... Gdy w późną noc marzy, z oddali płynie ku niemu muzyka jakaś dziwna i nieziemska, „kędyś w bezkresu poczęta głębinie", — i zdaje mu się, że ją niegdyś słyszał, roje mglistych wspomnień błądzą mu w duszy.

.....Wizje wiekuistego światła i ciszy, zapełniające całe dwa cykle „Zamyślenia" i „Z Tatr" wracają spokój duszy poecie, skołatanej chorobą wieku a niezdolnej do stworzenia ideału. Cudownym jest „Albatros", ptak śniący na dzikiej skale nadmorskiej, zdala od ludnych wybrzeży, wpatrzony w słońce, jak on, dumne i samotne — obraz duszy wyzwolonej z pęt zmysłowości.

Satyr.

Prawda? Kiedy nam serce uczucie rozpiera
I z duszy uniesienie namiętne wybucha:
Nagle widzim gdzieś z boku szpetną twarz satyra,
Który oczy przymruża, patrzy w nas i słucha.

Drwi — a my zawstydzeni milkniem — i przepada
Chwila ekstazy duszy, albo szału serca...
Z iluż skarbów nas samych i ludzkość okrada
Ten wiecznie czuwający nad nami szyderca!

Światło.

I.

Kocham cię, światło! Na moje źrenice
Zlewasz się falą: nurzam się w niej, tonę,
Oczy ku tobie wznoszę roztęsknione,
Na twej jasności promienną mgławicę.

Kocham cię, jasna! Patrzę na twe lice,
Oczu szafiry rzęsą ozłocone,
Na krasę twoich ust — patrzę i płonę,
Tem więcej pragnąc, im więcej się sycę...

Kiedy mię światło falą opromienia,
Zda mi się, czuję twoje uściśnienia,
A gdy w ramiona ciebie, jasna, chwytam, —

Całą mi światła płonie świat ozdobą,
I sam już nie wiem, i sam siebie pytam:
Czyś ty jest światłem? czy światło jest tobą?

II.

Pójdziemy razem na gięte przełęcze
Obłękitnionych gór nad morską tonią;
Pójdziemy słuchać, jak w oddali dzwonią
Fale, od skał się rozbryzgując w tęcze.

Pójdziemy patrzeć, jak się na pajęcze,
Lotne mgieł łodzie blaski słońca kłonią
I za okrętów białym żaglem gonią
Za ciemne morskich rubieży obręcze.

Pójdziemy patrzeć, kędy wśród lazuru
Marzącej wody Capri się promieni
Błyszczącą ścianą skalistego muru...

Serca nam usną, a dusze zatoną
W jakiejś niezmiernej, świetlanej przestrzeni,
W słonecznych omdleń ciszę nieskończoną.

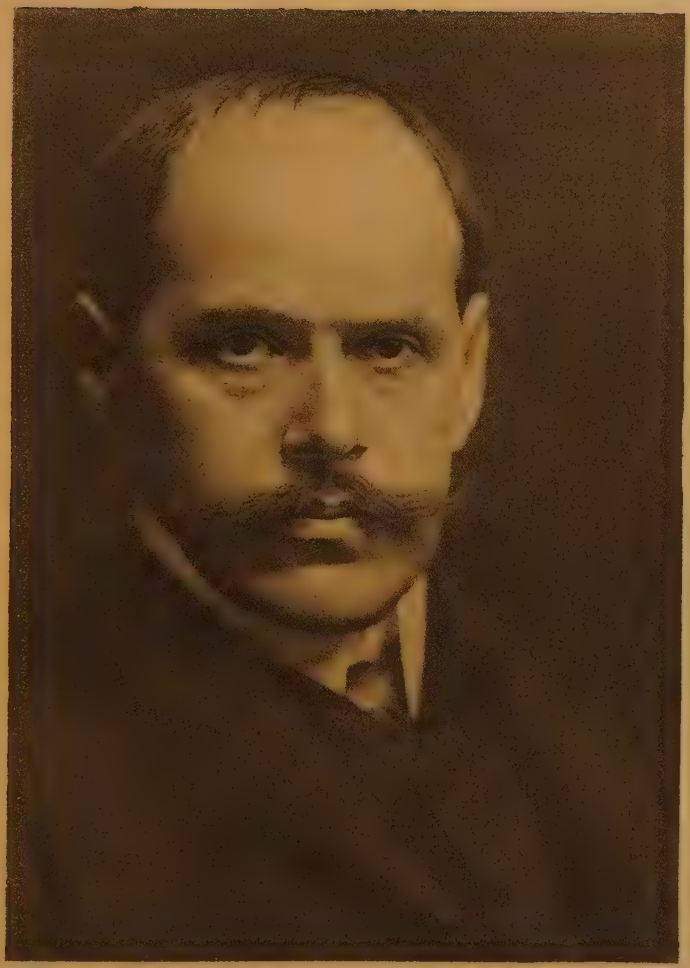

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

III.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winogrady,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy piąć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzwi miłość nam otworzy.

IV.

Idą błękitne, ciche, zamyślone
Przez sfer milczące, skrysztalone tonie,
Lotne, jak blaski, powiewne, jak wonie,
Idą błękitne, ciche, zamyślone...

Idą błękitne, ciche, zamyślone
Gdy śnieg w miesięcznym seledynie płonie
I góry błyszczą w szafirów oponie,
Idą błękitne, ciche, zamyślone...

Idą błękitne, ciche, zamyślone,
Jak przez wikliny ponadbrzeżne wiotkie
Światła słoneczne z wody, jasne, słodkie...

Jak z dali fletów dwa dźwięki pastusze:
Ku sobie nasze rozkochane dusze
Idą błękitne, ciche, zamyślone.

V.

Widzę kraj jakiś, w oddali, w oddali,
Kraj z mgły przejrzystej, z rozkołysań sosny,
Z letnich południ i z porannej wiosny,
Z cisz szmaragdowych na łąk sennej fali,

Z blasków, gdy słońce morze rozopali,
Z majowych nocy zadumy miłosnej,
Z drgnień dzwonków polnych, z rozmowy półgłośnej
Limb zamyślonych wśród milczącej hali...

Widzę kraj taki, jak przez modro-złotą
Gazę, co wiesza się na młodym gaju,
Drżąca i cicha, pajęcza i zwiewna...

To kraj twej duszy — z tego ona kraju,
Obłękitniona mych marzeń tęsknotą,
Spłynęła ku mnie, taka jasna, śpiewna...

Wizja błędnego okrętu.

Błądzić, błądzić i błądzić... Gdziekolwiek uderzy,
Od wszelkich go zawieja odtrąci wybrzeży,
Bez załogi, bez steru błądzi okręt ten...
Wyj, wichrze! Gromy, rwijcie nieba strop na sztuki!
Hucz, burzo! szalej, morze! grzmij i rycz, dopóki
Okrętu paszcze morskich nie pochłoną den!...

Poco? Poco mu płynąć? Poco błądzić dalej?
Lecz okręt wielki, dumny! Niech się niebo pali,
Kiedy się będzie grążył w przepaściste dno!
Wyj, wichrze! Gromy! rwijcie niebiosa na druzgi!
Słońce niech gaszą morza spienionego bluzgi!
Niech morze od piorunów dymi się, jak krwią!

Poco? Poco mu płynąć? Poco błądzić dłużej?
Otchłań mu tylko będzie przystanią podróży —
Przeklęty dziki okręt — sam Szatan go klął!
Wyj, wichrze! Niechaj runie już w czarne odmęty!
Niech przepada i ginie bez śladu, przeklęty!
Wyj, wichrze! Róg sam Szatan w usta swoje wziął!

Okręt, okręt to dziwny... Mówią, że w słonecznej
Zakochał się gdzieś wyspie i, wędrowiec wieczny,
Szuka jej na bezbrzeżu, na bezbrzeżu wód...
Kędykolwiek się zbliży, gdy zdala się śmieje
Brzeg złoty: zbliska piaski i stracone knieje
Dostrzega, nagie głazy, pustynie i lód...

To wszystko są złudzenia, to wszystko miraże...
Błądź, błądź, okręcie! Wędruj po wodnym obszarze,
Niech żagle twoje wicher targa, rwie na szmat!
Wędruj! Wszak nieskończona jest przed tobą woda...
Wędruj! Malstrom ci mocy i ochoty doda:
Wściekły wir cię popędzi. Wędruj, wędruj w świat!

Wędruj! Sam Szatan klął cię! Płyń! płyń! Lecz na Boga!
Nie każdemu z okrętów tam, gdzie tobie, droga:
Widzisz ten wał pod niebo? Ten w dno morskie dół?
Wędruj! Giń na pustkowiu! Lecz sam dumny, śmiały!
Wyj, wichrze! Oto żagle grzmotem odegrzmiały!
Wędruj! Giń! Szatan klął cię, lecz Bóg maszty kuł!

Owa słoneczna wyspa, owa łąka kwiecia,
Raz czasem spotykana na całe stulecia
Przez wędrowne okręty, przez żaglowce burz:
Ona! ach! ona niknie w bezdrożu, w bezmiarze,
A wszystko to są złudy, widma i miraże,
A wszystko to są złudy, gry zwodnicze mórz.

Odpłyń, odpłyń! Bo lepiej ci zaiste w pełni
Rozpiętych żaglów zginąć, gdy się głąb rozwełni,
Wpośród ryku orkanów mknąc przez błysków szlak, —
Niż się błąkać przy brzegu nędznych łodzi drogą,
Gdzie nawet dojrzeć szczytu twych masztów nie mogą,
Gdzie na nich zamiast orłów miejski siada ptak.

Odpłyń! Odpłyń! Niech wichry cię niosą szalone
W elementarnych potęg niebosiężną stronę!
Płyń! Niech zdala zabłyśnie świetna żaglów biel!
Płyń!... Nie jesteś z tych statków, co wpływają z chwałą
Do portu, opłynąwszy wkoło ziemię całą:
Błądzić, szukać i zginąć bez śladu — twój cel.

Z „Poezyj“ serji IV.

I.

Widziadła okrętów.

Noc. W ciemnem niebie księżyc wielki, złoty.
Głuche powietrznej bezdeni pomrocze.
Milczące, ciemne morskich wód roztocze.
Niezmierna cisza pustki i martwoty.

Niezmierny spokój. Wtem z głębi ciemnoty
Blask jakiś blady w oddali migocze.
Światło posępne, martwe, nieprzezrocze
Błękitniejącej fosforu pozłoty.

Zbliża się, płynie — dziw! smugami pnie się
Wzdłuż lin i masztów, obrzeża pokłady
Cieniom podobnej okrętów gromady.

Płyną powoli i, jak mgła w bezkresie,
Giną gdzieś w pustce milczących odmętów
Widziadła dawno przepadłych okrętów.

Zmartwychwstały.

Spokojność senna i milczenie,
W srebrnej melodji księżycowej,
Na nieskończone szły przestrzenie,
Ciche po wzgórzach snując cienie
I zatapiając się w parowy.

Wysoko kędyś po gór zboczy
Księżyc złociste słał mgławice,
Płynąc w otęczy chmur przezroczej
I po odległych mórz roztoczy
Wiódł tęskne, lśniące swe źrenice.

Świat w nocnem chylił się omdleniu
W zadumy sennej głuche tonie,
I tylko kwiaty w zwiewnem tchnieniu
Błyszczącem w nieba zamyśleniu
Dalekim gwiazdom słały wonie.

I była cisza i pustkowie.
Dokoła grobu w ścianie skalnej —
Posnęli twardym snem stróżowie,
Wziąwszy swe tarcze za wezgłowie,
A grot dzirytów srebrniał stalny.

Wtem wieko z głazu wstecz odpadło,
I na księżyca światło białe,
Z twarzą śmiertelnie wyszedł zbladłą
Chrystus, owity w prześcieradło,
I o grobową wsparł się skałę.

A tam, daleko, na wzniesieniu,
Ramiona krzyżów trzech widniały,
W mglistem, błękitnem oświetleniu.
Spojrzał — i w głuchem zamyśleniu
Stał cichy, nieruchomy, biały.

I, jakby odchodziły owe
Moce, co Go zbudziły w grobie,
Pochylał zwolna na pierś głowę,
I siadł na wieko grobowcowe,
Czoło swe kryjąc w dłonie obie.

Na Jego barki i na włosy
Padała jasność złotą smugą,
I kilka kropel świetlnej rosy
Rzuciły nań naskalne wrzosy...
Siedział i patrzał w pustkę długo.

Na ciemnem niebie gwiazdy bladły,
A skraj się wschodu już zabiela,
On jeszcze siedział, w sen zapadły —
I na zroszoną ziemię padły
Dwie gorzkie łzy Odkupiciela.

Z „Na Skalnem Podhalu".

Gazda halny.

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało; bo on rad swoje gazdowstwo nocami obchodził.

Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem poronińskiem, pod czternaście korcy pola, półtora morga lasu, chował krowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyło inkse gazdowstwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek owiec, co się mu pasł w Małołące, nie, ino to były te góry, ten smrekowy las, ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli, albo o bydle radził, tylko cięgiem: co się ta we Wiérchcichej, a co się ta w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy do światu, noc była jasna, miesiąc wyszedł z za Kosistej; w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnię i pyta się Jędrzeja: Ze poco ześ haw prziseł tak nieskoro, Jędrek?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda...

Idzie w górę do Zawratu, ku Pięciustawom, a myśli sobie: Hej miły mocny Boze! Jako sie im tés ta bez zime gazdowało przeze mnie? Kosodrzewiny popod Wołosyn cy tés przybyło kielo telo?... To to jego gazdowstwo najmilsze. Wonieje to, a do słonka się iskrzy, jak złote.

Przyległ na chwilę, zadrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokoło niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyna weselić.

Obudził się, chłodny wiater ku ranu, przejaśniła się noc, tylko w Kościelcu popod turnie gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbie stupaje do przełęczy, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wiérchy takie jak ze mgły, gdzieś tam od Lodowego przebiela, różeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jak żebyś skrzele od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciuteńki, cihućki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak do pół z poza turni i pyta się: Ze poco ześ ty haw prziseł, Jędrek, tak rano?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda.

Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom.

Lepiej mu się szło, niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadził, zbiegł wartko ku stawu Pod Kołem. Zamarźniony.

— Nic tu po mnie — myśli Jędrzej. — Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej — hej! Wielki Staw czerni się między skały.

— Stawecku! Stawecku! — woła Jędrzej — Tuś?!

A ono mu tak zaszumiało z tej wody:

— Hej, gazdo! Witajcie! Nie było was tés dawno!

— Jakoz ci sie ta drzémało pod lode? — woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

— Dobrze. A tak sie mi śniło, co syćko bedzie zielone.

— Ej tak i mnie! — mówi Jędrzej. — A radeś, ze ci ku niebu widno?

— E! Dy to u mnie tak, jak nawonniejsy kwiat! — mówi Staw.

I tak tam oni radzili do siebie.

Poziera Jędrzej, rozwidniło się, świetleje po niebie: słucha — idzie po kosodrzewinie szum, pocieplał wiatr.

— Bedzie jehał śnieg — myśli se.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że się Jędrzejowi gardło ścisnęło i łzy mu do oczu naszły.

Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

— Hej! gazdowstwo moje kohane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, pogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kiele som tés!

A Siklawa huczy mu, wali się z grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna, a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonków.

— Wody mam dość — mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę, pomacał.

— Piéknie zrosła. Nagodziéł Bóg urodzaj, nima co pedzieć — mówi. — Wiaterek duł, oduhował, toz to rosło, jak zyto. Ino by trza tén śnieg pouprzątać dolinami, ale to sie ta wartko zrobi z wiesnom. Turnie sie juz tés pozwydobywały kielo telo ze śniega, śmiejom sie do słonka, jak nowe...

Gdzie spojrzy, wszystko jego: tu wody, tam góry; świecą mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwie objąć może to swoje gazdowstwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

— Bogatyk jest — rzekł. — Tu sie mi w Pięcistawak, dziękować Bogu, wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzej zabrał ku Miedzianemu, na Śpiglasowe Pérci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go to mierziało, że się go bały.

— Djabłaście wy zjadły kany dziś! — mówi im. — Dy wam nic złego nie robiem, cegoz sie mi boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdowstwie. Tak jako zające w kapuście! — pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i przezłociły się ciemne turnie Murów Liptowskich.

Jasność zalała dolinę, rozwidniło się w okrąg, co jaze cud radość.

— Hej! grajom tés wody do słonka! Ciepło im, ciesom sie — myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na pérci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się, telo na niej farby, jako w tęcy, a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śniegi, aż się zażółciły popod Krzyżne. Gdzie już pierwej stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna, a potoki się z niej sączą na dół strugami, jak pręgi szklanne. Jakisi idzie młody deh dolinom, jaze duk w człowieku rośnie!

Takie to było prześlicne Jędrzejowe gazdowstwo...

* * *

Już go nie opuścił.

Tego dnia, kiedy wieczór nastał, wielki księżyc po pełni, wyszedłszy nad wierchy, zaświecił już na czerniejących pośród śniegów co stromszych skałach, i potem począł wolno oświetlać zanu-

rzone w mroku straszliwie puste doliny, zaćmiewając się tu i owdzie na turniach i w żlebach, jakby się światło błąkało w bezdrożach. Szumiały w ciemności nocnej wody, bo już mróz nie ścinał ich lodem. Pustkowia zaumarłe napełniały się żywem, ciepłem powietrzem. Zdawało się, że się wzrusza coś w górach. Już nie było zastygłego spokoju zimy — szła wiosna.

Kiedy blask księżyca począł spływać po białych upłazach Miedzianego, nagle olśnił głowę i ramiona Jędrzeja Pazdura, wystające ze zwału śniegów.

Musiała się oberwać lawina ponad nim i przysypała go w pędzie.

Śnieg utknął w głazach, pośród których Jędrzej stał i nie zniósł go niżej, a tylko ogarnął po ramiona, tak, iż tkwił w nim, twarzą obrócony ku przestrzeni. Mdlejące już, nieprzytomne otwarł Jędrzej oczy na księżyc. Ciepły wiatr gnał deszczowe obłoki; huczały strumienie wiosenne — usłyszał. Nie czuł bólu, nie czuł śmierci. Popatrzał jeszcze raz dookoła zaszklewającemi się oczyma.

— Hej! wiesna idzie — szepnął — syćko, syćko bedzie zielone...

MŁODA POLSKA.

W. FELDMAN O MŁODEJ POLSCE.

Wilhelm Feldman, * 8. IV. 1868 w Zbarażu, † 25. X. 1919 w Krakowie. Wydał 10 tomów powieści i nowel, („Piękna żydówka“ 1887. „Żydzina“ 1888. „Nowele i obrazki“ 1889. „W okowach“ 1890. „Jak w życiu“ 1892. „Nowi ludzie“ 1894. „Amanke“ 1897 i in.,) 8 utworów scenicznych („Sądy Boże“ 1898. „Cudotwórca“, „Czyste ręce“, „Virago“ i in.). „Współczesna literatura polska“, 6 wydań 1902—1918, „O twórczości Żeromskiego i Wyspiańskiego“ 1905. „Pomniejszyciele olbrzymów“ 1907. „H. Ibsen“ 1906. (1922) „Stronnictwa i partje polit. w Galicji“ 1907. „Dzieje polskiej myśli polit.“ 1914. „Geschichte der politischen Ideen in Polen 1795—1915“. Mnóstwo broszur.

Ze „Współczesnej literatury polskiej“.

Wzbierała fala poezji w Polsce około roku 1897; „nastrojowcy“ odłamem są zaledwie falangi młodzieży, wdzierającej się na wzgórze Parnasu. W czasopismach coraz to więcej nazwisk nowych, obcych i rodzimych; „poszukiwacze“ tworzą drużyny wyznawców.

Z zagranicy spłynęły były prądy, kondensujące się, jako „nowa sztuka“. Wspólny to mianownik dla wielu kierunków, ale wszystkie mieszczą się obok siebie, rozciekawiają wrażliwe umysły, przejmują dreszczem, zapałem, dążeniem artystycznem. Najwięcej tych prądów — w Krakowie, w tem mieście miast polskich, gdzie od sztuki odwodzą częstokroć ludzie, ale prowadzą do niej mury i ulice, snujące się po starych krużgankach duchy, unoszące się wszędzie z odwieczną pajęczyną marzenia wieków; prowadzą do niej fale Wisły, widma wież, hejnały dzwonów — tych dzwonów, co królom grały do koronacji, narodowi w chwilach dumy i wesela, bohaterom w pochodzie do grobowca chwały. W Krakowie skupiają się artyści polscy już od lat, gdyż tutaj najwięcej jeszcze ostało się stylu — w architekturze dokoła, w chłopie z okolicy, w patrycjacie ducho-

wym. A choć Petronjusze nieraz zbytnio zalatują tutaj Kleparzem, jest jednak w Krakowie ponad wszystkiem, co małe i przemijające, jedna siła wszechmożna, rozpylona w powietrzu, osiadająca na każdej duszy czującej: ogromna, bogata polskość. W innych stolicach Rzeczypospolitej najeźdźca ją przytłacza, tutaj ona panuje: wieczność przemawia tu z grobów, życie z masy piastowskiej, a kto tchem tej polskości odetchnie, jest już poetą.

Ale nietylko poetą: tutaj kultura przekształca poetę w artystę. Żyje w Krakowie tradycja dobrego teatru polskiego. Od Konopki przez Koźmiana, od falangi talentów męskich i świetnej Modrzejewskiej, ciągnie się linja artystyczna, rzadko na czas dłuższy przerywana, i właśnie od r. 1891 kierownictwo sceny „imienia Słowackiego“ spoczęło w rękach Tadeusza Pawlikowskiego, jednego z poszukiwaczy nowego piękna. Żyje tutaj tradycja wielkiego malarstwa polskiego, a jakkolwiek Matejko berła już nie dzierży, przybytek jego sztuki odmłodzonym rozbrzmiewa ruchem: oto otwarto właśnie szeroko okna, które od lat za mało tu wpuszczały powietrza, natury, rozwarto szeroko wrota dla świeżych kierunków, nowych ludzi: w r. 1897 Kraków widzi wystawę malarską „Sztuki“, fascynującą kolorami i powietrzem Wyczółkowskiego i Fałata, witrażami Mehoffera, fantastycznością Jacka Malczewskiego, „genjalną nadzwyczajnością“ — jak pisał Dziennik Krakowski — „Skarbu Sezama“ i rysunków do Iljady nieznanego dotychczas St. Wyspiańskiego. W Krakowie, gdzie życia nie przytłacza niewola, jak w stolicach innych dzielnic, ani zbyt wyłączna polityka, jak we Lwowie, od kilku lat panowało już głębsze zainteresowanie nowemi prądami kultury. Rozprawiano o niej na łamach „Świata“ Sarneckiego, na wieczorach „Związku naukowo-literackiego“, w teatrze podczas niejednego eksperymentu dyrektora Pawlikowskiego, w feljetonach zarówno konserwatywnego Czasu, jak: radykalnego Dziennika Krakowskiego Feldmana (1896—7). Co prawda bez zainteresowania szerszej publiczności.

Nie był jeszcze dostatecznie przeorany grunt samego życia. Zajmowała się nowaljami garstka mózgowców, wędrowców po obcych ludzi łanach, ale wstrząsnąć duszami może tylko „krzyk, coby był nasz... z tego pokolenia“, owoce może przynieść tylko drzewo głęboko korzeniami w ziemi tkwiące.

Tej potrzebie zorganizowania i zespolenia sztuki z rzeczywistością czyni zadość Ludwik Szczepański, zakładając w jesieni 1897 r. w Krakowie tygodnik Życie.

Nazwa tygodnika, który przed dziesięciu laty w Warszawie był pierwszą forpocztą modernizmu; w treści — także znaczne podobieństwo; charakter nadaje jej Artur Górski (ur. 1870). On czyni pismo organem młodości — tej młodości, którą opiewał Mickiewicz. Bez formuł i programów, czując w sobie dość natchnień, a przynajmniej rozpędu, młodość zaczęła wznosić tutaj ołtarze i — sposobić miejsce dla dalszych. Więc przedewszystkiem garnęli się ku sobie artyści, powodowani tą siłą ciążenia, która jest prawem w świecie fizycznym, jak i duchowym. Każdy przychodził z tem, co miał najlepszego, a przedewszystkiem, co było jego własnością, co było nim — zajaśniała więc na szpaltach pisma mnogość indywidualizmów pisarskich, bogata i różnorodna. Program istniał właściwie tylko negatywny. Ż y c i e podjęło gruntowną „dezynfekcję“ zatęchłej atmosfery literackiej Galicji, energicznie wypędzało przekupniów i blagierów z świątyni sztuki, a kalekom artystycznym i lazzaronom wyznaczało należne miejsce pod kościołem, nie przy wielkim ołtarzu. Dział artystyczny prowadził przez pewien czas rozpoczynający wówczas działalność malarską, nieznany nikomu, jako poeta, Stanisław Wyspiański, reprodukując tu obce szerszemu ogółowi, nieocenione i niedocenione swoje kartony do witraży i fresków w kościele franciszkańskim, rysunki do I l j a d y, studja portretowe i t. d. Już to samo wniosło silne tchnienie artystyczne; z niem w parze idzie systematyczne, niestrudzone pielęgnowanie poezji. I gdy tak znaleźli się obok siebie wszyscy ci młodzi: Miriam i Tetmajer, Kasprowicz i Lange, a oprócz nich Żuławski i Rydel, Wyrzykowski i Perzyński, Sterling i Orkan, Mirandola, a przyłączył się do nich także z obczyzny Przybyszewski, zachęcany do pisania po polsku, wszyscy młodzi, wszyscy z talentem, wszyscy — przy największej rozmaitości usposobienia — pełni czci dla sztuki, poczuli, że są siłą, zaczęli mówić o renesansie poezji polskiej — prasa zaczęła mówić o „Młodym Krakowie“. Ale tak ten renesans, jak wogóle żywszy ruch umysłowy, jeśli nie ma popaść w jałowy scholastycyzm, może się rozwijać tylko pod jednym warunkiem: w atmosferze niezależnej — w wartkich strumieniach życia odmładzającej się myśli. Obok twórczości i krytyki artystycznej Ż y c i e umieszczało też rozprawy i polemiki społeczne, dalekie od służenia jakiejś partji, traktujące sprawy publiczne ze stanowiska niepodległego ducha polskiego, depcącego śmiało karjerowiczostwo i oportunizm, fałsz i świętoszkostwo. Drukowało w tym kierunku artykuły prof. Baudouina de Courtenay i Artura Górskiego, Bol. Lu-

tomskiego i W. Feldmana, dra Zofji Daszyńskiej i Izy Moszczeńskiej etc., etc. Więcej, niż te artykuły, wrzawy wywołały Echa tygodniowe, krótkie, cięte i polemiczne, na wzór dawnych „Ech“ Przeglądu Tygodniowego. Był to grad szpilek, razów, cięć, który padał na głupstwo i podłość, i na blagierów a spekulantów literackich, na pseudo-demokrację galicyjską, i na wszechpotężnego filistra, zatruwającego życie publiczne i byt każdej wybitnej jednostki. W Echach tych dało się nasamprzód poznać niezwykle cięte pióro Adolfa Nowaczyńskiego, a jego impresje i drobne satyry, umieszczane na ostatniej stronicy Życia, godne są stanąć obok ówczesnych karykatur młodych monachijczyków, na których się wzorował.

Więc wielka poezja i sztuka — przeważnie nowa, a równocześnie wielka miotła, puszczona z prawdziwie młodzieńczą butą na największe śmietniki ducha czy bezducha galicyjskiego; poezje starego autoramentu, ale z reguły — modernizmu we wszystkich odmianach, nabożeństwach, potęgach, niemocach, artykuły literackie Ant. Potockiego, J. Lorentowicza, A. Górskiego, Stan. Lacka i innych, zawsze odbiegające od szablonu, krytykujące, co dotychczas faryzejską czcią było otoczone, a nadto tłumaczenia zdecydowanych dekadentów, „satanistów“, Edgara Poe, Aug. Strindberga, Oli Hansona, a nawet estetyka potępionego właśnie niedawno wyrokiem purytanów: Oskara Wilde'a. Potrosze magazynem było Życie, myśli programowej nie miało. Przeciwnie, wśród kierowników i najbliższego grona współpracowników zasadnicze panowały sprzeczności. Było Życie obrazem chwili przejściowej, terenem, na którym miały zetknąć się i rozegrać walkę przewodnie prądy czasu. I rychło też nastąpiła.

Rękawicę rzucił St. Szczepanowski, umieszczając w organie swym, Słowie Polskiem, płomienny, jak zawsze u niego, wiarą apostolską natchniony artykuł: Dezinfekcja prądów europejskich. Głośny ekonomista, jedna z gwiazd parlamentaryzmu europejskiego, rzucił właśnie arenę dotychczasowej działalności i ukazał się publiczności w charakterze, którego poprostu nie rozumiano: oto, okazało się, w Polsce żyje jeszcze wyznawca romantyzmu narodowego, duch zagrzebanej świątyni... Gorzał w pismach Szczepanowskiego, oparty o „granit“ ekonomji i statystyki, ton mistyczno-bohaterski, ton Dziadów i Prelekcyj paryskich Mickiewicza. Tę też miarę przyłożył do bieżącej literatury europejskiej i oczywiście cofnął się ze wstrętem i grozą. W naj-

głośniejszych autorach współczesnych, w Flaubercie, Zoli, D'Annunziu, niemiłosiernie — dowolnie — bez związku — złączonych, znalazł tylko brud i zgniliznę, i przeciwstawił im inne dążności, inne idee.

„U wszystkich wielkich apostołów światła — wołał Szczepanowski — ostatecznym celem usiłowań, busolą ich duszy była nie bańka mydlana piękna estetycznego, błyszcząca zewnątrz, a wewnątrz próżna i pryskająca za każdem zetknięciem się z rzeczywistością, ale czyn bohaterski, bo każdy z nich gardził efektem, a pragnął świat przetworzyć na podobieństwo szlachetnej duszy". „Nie szukali Grecy piękna, kiedy gromili Persów i bronili całości swego kraju. Ale dopóki trwał bohaterski nastrój, to niechcący wszystkie płody ich ducha przyoblekały szatę nieśmiertelnej piękności". W tem świetle widziane pokolenie nastrojowców było oczywiście — karłem, sprzeniewierzało się najpiękniejszym tradycjom rodzimym; toż „nie o piękności estetycznej nasi promieniści rozprawiali..."

Ergo — stać „na straży tradycyj rodzimych, zaprowadzić kwarantannę moralną..."

Konsekwencja niebezpieczna i niesprawiedliwa. „Kwarantanna", „dezinfekcja" literatury — to broń co najmniej obosieczna, to kosa, która nie uszkodzi dęba, a może zniszczyć szczepy, coby potem może nieba sięgnęły. Kwarantanna przed obcemi prądami w narodzie, który tyle zdobyczy kulturalnych im zawdzięcza, to niechybnie zastój i martwota.

Ale pod dwoma względami Szczepanowski trafnie uchwycił wizerunek młodego pokolenia i odmalował je z całą siłą przekonania. Nastrojowcy oczywiście nie byli zdolni do bohaterstwa — i nie snuli tradycyj Tomasza Zana. Istotnie patrząc na preromantyzm literatury, która była u nas jak i w całej Europie psychologiczną koniecznością, trudno było przewidzieć, czy i w jaki sposób zasymiluje ona pierwiastki swojskie, przetrawi co obce, wzbogaci indywidualność własnego narodu. W roku 1897 nie były jeszcze rozpowszechnione pierwsze bolesne nowele Żeromskiego, Wyspiański snuł dopiero w zaciszu swoje wizje, Kasprowicz z trudem wykuwał duszę własną. Typem młodej poezji b y ł a natomiast nastrojowość, b y ł a poezja Tetmajera, Perzyńskiego, bez kośćca moralnego, bez woli i twórczości życiowej.

Przeciw młodym wystąpił także prof. Marjan Zdziechowski. Umysł idealistyczny, z gorącą wiarą katolika łączący kult dla wielkiej sztuki, widzi w wielu młodych — pozbawione skrzydeł płazy.

Na pierwszym planie u niego przedewszystkiem ideał moralny, potem dopiero — piękno artystyczne. Przyświecają mu postacie Tołstoja i Ruskina, Secretana i Ernesta Hello — indywidualności odmienne od siebie, złączone entuzjazmem, podniosłością, łaknieniem dobra.

Nareszcie!

Przemówili pogrobowcy wielkiej przeszłości romantycznej głosem ostrzeżeń i wezwań. Przemówili tak rzadcy wędrowcy po szlakach prawie zaginionych: kto nosił w sobie poczucie odpowiedzialności, musiał wejść w siebie, dać odzew.

Odpowiedziało paru młodych — po dziennikarsku. Odpowiedział poeta, Tetmajer umieścił w Życiu bezimienny wiersz, w którym Szczepanowskiego stara się z właściwym sobie dowcipem sprowadzić do poziomu galicyjskiego „tromtadraty".

Znalazł się nareszcie umysł na odpowiednim poziomie. Artur Górski, pod pseud. Quasimodo, występuje w imieniu całej, po raz pierwszy pojętej tu, jako obóz, „Młodej Polski". Kilkoma cięciami ostrego pióra odtrąca wszystkich tych bohaterów taniego czynu, którzy, mierząc kulturę młodych i ich umiłowanie sztuki miarą łokcia swego gazeciarskiego i frazesu banalnego, ukryci za plecami Szczepanowskich i Zdziechowskich, ciskali bezustannie obelgi; radzi im wystawić pomnik — osłu. Poczem rozpoczyna jedną z najszczerszych spowiedzi czasu. „Programy niech tworzą ludzie, co chcą działać — mówi. — My tego wcale nie zamierzamy. Owszem, piszemy właśnie dlatego, aby nie działać. Literatura — to Pani nasza, orędowniczka nasza, pocieszycielka nasza, której my grzeszni wołamy z głębokości naszych pragnień i smutków". — „A gdzie wasz czyn bohaterski? — z tem zapytaniem zwracają się do nas ludzie poważni i sympatyczni. Potrzeba, byśmy wpierw mogli się bronić. Ale ty, co czytasz te słowa, odpowiedz mi poprzednio na to, o co się obecnie zapytam. Czyś ty kiedy zawył z bólu, czytelniku — filistrze? Zawył tak, jak psy wyją? Czy ty wiesz wogóle, co to ból? — Wyrywali ci zęby — powiadasz. — A nie wyrywali ci nic z duszy? Tak brutalnie, poprostu, jak się wyrywa z ziemi młode drzewka i wyrzuca za mur?... A może chodziłeś krajem przepaści, od których w głowie się mąci?... A czy ty, czytając jaką książkę, nie zasłaniałeś sobie oczu i nie rzucałeś książką o ziemię — i czy tą książką nie była historja polska?"

Następnie spowiedź duszy, analiza „dlaczego dusza młodych niespokojną jest i burzy się i dlaczego po niej nie jeżdżą parowce

z beczkami śledzi, lecz, o zgrozo, meduzy głębin wychylają się na powierzchnię". Winien temu cały przebieg dziejów, które są — szczególnie w ostatnich latach w Galicji — jednem pasmem grzechów, popełnianych przez starych na młodych. Oskarżenie bolesne, straszne... „Sami uderzcie się w piersi: serca nasze nie są czyste, kłamstwo w nich mieszka, zajadłość stronnictw, obłuda, podwórkowa polityka feudalno-lwowsko-wiedeńska; brak nam wielkiej idei i wielkiego poświęcenia — nie jesteśmy godni wielkiej bohaterskiej poezji, nie jesteśmy godni!"

Te to stosunki spowodowały rozczarowanie do życia społecznego i jego typowego produktu, t. j. filistra; „na miejsce masy stanęła indywidualność, najwyższa jako wartość i godność na ziemi, na miejsce etyki społecznej — etyka duszy, moralność estetyczna. Tak powstała literatura nagiej duszy..."

Prąd ten,— wywodzi Górski— „wnosi w nasz dorobek duchowy to, co stanowi o ewolucji społeczeństw: wnosi nowe indywidualizmy", gdy przeciwny ma wprawdzie na swoje usługi opinję, dzienniki, katedry, stypendja, posady, wogóle cały polityczny stan posiadania, ale kogóż lub cóż prawdziwie wielkiego wydał on wśród nas, komu dał taką siłę wzrostu, aby Polak wpłynął na współczesną duszę i kulturę i zajaśniał światłem „gwiazdy stałej"? Sienkiewicz? „Nie łudźmy się! Kochamy go wszyscy i wszyscy niesiemy mu nasze hołdy, ale dla literatury powszechnej więcej niż Sienkiewicz znaczy np. Przybyszewski".

Wszystkie te myśli znamy, słyszymy od lat dziesięciu, choć wypowiedziane ani tak świetnie, ani z taką ekspresją uczucia.

W istocie rzeczy Górski główny zarzut Szczepanowskiego potwierdza; tłumaczy go psychologją pokolenia, ale nie obala. I na końcu zupełnie niespodzianie i niekonsekwentnie obwieszcza, że „Młoda Polska" nie mniema, jakoby czemuś zgoła nowemu dawała początek; pragnie ona zachować ciągłość cywilizacyjną narodu, tkwi w podstawie ojczystej swej kultury i wcielenie jej widzi w — Mickiewiczu: „W nim zamieszkał król-duch całej rasy i przemówił do ludu swego". „Ogół wziął zeń dotąd nie więcej ponad kilkadziesiąt cytatów, a nawet dla krytyki literackiej Mickiewicz kończy się na Panu Tadeuszu: nie umiejąc iść wślad za dalszym lotem jego ducha, staje na miejscu i macha ręką z lekceważeniem i ubolewaniem nad „smutną aberracją wspaniałego umysłu". Tymczasem człowiek ten miał umysł jasny i pozytywny, jak strategik lub matematyk, a mistycyzm jego filozofji był najwyższym wyrazem współ-

czesnej umysłowości polskiej. „Nasza filozofja narodowa, aby mogła iść dalej w poznawaniu świata i spraw jego, wrócić winna po zgubiony wątek do duszy Mickiewicza, mistyka".

Słowa niekonsekwentne, lecz wielkie i ważkie. Autor dopiero w trakcie pisania program ten sobie uświadomił, znaczna część towarzyszy broni z Życia od tego sztandaru nietylko była, ale i została daleką. Poeci Życia, które tymczasem z rąk Szczepańskiego przeszło było w ręce Sewera, Górskiego i L. Wyczółkowskiego, artyści ci młodzi, liczniejsi i różnorodniejsi z dniem każdym, w całkiem innym szli kierunku: nie mickiewiczowski artyzm im przyświecał, lecz inny. Bliższym niż Mickiewicz, okazał się Stanisław Przybyszewski.

Magnum nomen — „słowo" ostatnie, nowe.

Znała już je garstka literatów, śledzących wschodzące na widnokręgu europejskim gwiazdy. Znała ten meteor, który błysnął w Berlinie, kilkoma krótkiemi utworami oślepił nietylko publiczność mieszczańską, lecz i artystów fin de siècle'u, „nagą duszę" apostołował w walce jej o odwieczne prawo, o zjednoczenie się z bóstwem, absolutem, z którego wyszła. Zarazem ze Skandynawji pisywał wówczas do znajomych listy, pełne tęsknoty za słowem polskiem, za krajobrazem, za powietrzem polskiem. Stało się też zupełnie logicznie z ducha czasu, gdy w połowie października 1898 pojawiło się oświadczenie Sewera-Maciejowskiego, że Życie, które wraz z Górskim ocalił od upadku, by oddać je młodym, składa teraz w ręce „najwybitniejszego modernisty, chlubnie znanego poza granicami kraju i najwięcej utalentowanego przedstawiciela Młodej Polski, — St. Przybyszewskiego".

Jakoż niebawem w Życiu zachodzi głęboka metamorfoza. Znika z niego dział publicystyczny, pojawia się nowy sztandar, Confiteor (styczeń 1899).

Apodyktycznie, rozgorzałym namiętnością tonem, Przybyszewski rzuca młodym hasła — objawienia:

„Sztuka jest odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian i przypadkowości, niezawisłem ani od czasu, ani od przestrzeni, a więc

odtworzeniem istotności, t. j. duszy — we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre, czy są złe, brzydkie lub piękne".

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, absolutem, bo jest odbiciem absolutu — Duszy.

„A ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiejkolwiek idei, jest panią, źródłem, z którego całe życie się wyłoniło.

„Nie znamy żadnych praw, ani moralnych, ani społecznych, nie znamy żadnych względów, każdy przejaw duszy jest dla nas czystym, świętym, głębią i tajemnicą, skoro jest potężny.

„Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-rozrywka, sztuka-patrjotyzm, sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, a staje się biblia pauperum dla ludzi, którzy nie umieją myśleć lub są zbyt mało wykształceni, by móc przeczytać odnośne podręczniki — a dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni, a nie sztuka.

„Zasadniczą podstawą tak zwanej „nowej“ sztuki, wszystkich prądów i kierunków w sztuce jest pojęcie duszy, jako potęgi osobistej, duszy kroczącej od jednej wieczności do drugiej, duszy, która raz po raz nieznaną potęgą zmuszona idzie na ziemię, wraca z powrotem na łono wieczności i znowu się ucieleśnia...

„Tak! Poza ciasnem kółkiem świadomych stanów naszego Ja, jest ocean wewnętrzny, morze tajni i zagadek, kędy się wichrzą dziwaczne burze, są tam kryjówki Sezama, pełne nieprzebranych skarbów i cudów i rzeczy w słowa nieujętych.

„Ale rzadko, rzadko otwiera się ta głębia przed oczyma człowieka, ślizgamy się dalej po cienkiej skorupie lodu, pod którym spoczywa mistyczne mare tenebrarum...

„Przedstawiciel nowej sztuki całkiem odwraca się od tego zewnątrz, jako od rzeczy przypadkowej, zmiennej, włania się w siebie, chwyta w swej duszy rzeczy, słowem nieujęte, szuka poza złudnym obrazem t. zw. rzeczywistości całą drobniuteńką sieć pobudek, wpływów i oddziaływań wzajemnych, jakie zachodzą pomiędzy przyrodą a człowiekiem, jednem słowem, nie da się mamić świadomości, a wszystkich przyczyn szuka poza jej obrębem“ — szuka nie zapomocą analizy, nie drogą biednych naszych pięciu zmysłów, ale drogą syntezy uczuciowej.

Na najważniejszym punkcie zgadza się Przybyszewski z Górskim: pojmują sztukę metafizycznie. Czynił to już poprzednio Miriam, umiejąc narzucić Maeterlincka, nie zaś program artystyczny. Teraz ze wspólnej podstawy metafizycznej wyrastają właściwie dwa programy. Górskiego tłumaczy się jednym znakiem:

Mickiewicz. Przybyszewski rzuca kilka prawd estetycznych znanych i kilka paradoksów, które zaciemniają istotę rzeczy, a zwężają, krzywdzą nawet własną jego indywidualność.

Jasnem jest bowiem, że stosować sztuki poza życiem niepodobna, chyba że to życie pojmujemy bardzo ciasno; że bezprawnie stawia artystę ponad życiem; że samo odtwarzanie istności — jest tylko naturalizmem psychologicznym: sztuka tworzy, w chaos zjawisk wprowadza ład, prawo, syntezę artystyczną, ale stąd też odpowiedzialność artysty. Nareszcie mówiąc, że sztuka odtwarza duszę we wszystkich jej objawach, w rzeczywistości za centrum jej i całego życia Przybyszewski uważa „chuć".

Wprowadzona obecnie społem przez młodych, różni się sztuka od tej, na której opierała się od r. 1863 literatura realistyczna. Nie chce być ciągiem dalszym środowiska zewnętrznego, lecz wyrazem stanów podświadomych, jako przejawu duszy, spoczywającej na łonie duszy świata. Tem samem odpada też, co ściśle jest związane z miejscem i chwilą: tendencyjność, zostaje idea: odblask wiekuistych potęg Platona, przyświecających twórczości duchowej. W następstwie nowe pojęcia muszą wydać nowy styl artystyczny. Tendencja, nawiązując do życia zewnętrznego, wydaje sztukę opisową, fotograficzną, protokółującą szczegóły i szczególiki; ideowość, więcej oderwana, wymaga silnych, syntetycznych skrótów: symbolów.

Różniąc się zasadniczo od sztuki realistycznej, programy obu młodych różnią się także między sobą na punktach bardzo zasadniczych. Przybyszewski głosił kult sztuki, stojącej ponad narodem, moralnością i ideą; kult artysty, będącego zawsze świętym i czystym, zarówno gdy brud i słabość odtwarza bez ich przezwyciężenia, jak i gdy z oczyma w niebo utkwionemi światłość Boga przenika. Górski na łamach Życia ubolewał, że poezja polska po wielkich romantykach przestała być słowiańską, wielbił mistrzów romantyzmu, jako że nietylko przez nich przepływał strumień piękności, lecz sami pięknością tą byli: sztuce, opartej „na koźlich nogach", przeciwstawia sztukę Chrystusa.

Gdy Przybyszewski z pogardą mówił o stosunku sztuki do ludu, uważając, że ludowi — chleba potrzeba i biblii pauperum, nie sztuki, Górski przeciwstawia sztuce „arystokratów umysłowych i prostytutek dworskich" sztukę „arystokratów serca, co szukali dusz prostych i pragnęli, by byli czytani przez chłopów".

Głęboka różnica między sztuką indywidualistyczną a syntetycznie narodową. Przybyszewski po latach dopiero zmieni swój program i spróbuje zmienić zakres swej twórczości. Będzie głosił sztukę ideału, sztukę czynu, sztukę Mickiewicza i filaretów: w okresie Ż y ć i a i C o n f i t e o r jest od tego typu daleki.

Wnosi jednak dosyć, aby być wodzem i zapisać się trwale. Wnosi indywidualność suggestywną, świeże, odurzające hasła i porywający kult sztuki. Następnie pojmowanie jej idealistyczne, w miejsce dotychczasowego realizmu. Pod ten znak garną się wszyscy, którzy czują jego chryzmat, a gdzie jest tak silne ciążenie, tam dużo musi też istnieć wspólności; z chaosu nadchodzącego czasu różne wyłaniają się oblicza, ale tego samego pokolenia: Młodej Polski.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

(* 6. V. 1868 w Łojewie).

Oddzielnie: „Zur Psychologie des Individuums", „Chopin und Nietzsche" 1887. „Ola Hanson" 1892. „Wigilje" 1899. „Nad morzem" 1899. „Dzieci szatana" 1899. „De profundis" 1900. „Dla szczęścia" 1900. „Na drogach duszy" 1900. „Androgyne" 1901. „Taniec miłości i śmierci" (Złote runo, Goście) 1901. „Homo sapiens" (Na rozstaju, Po drodze, W Malstromie) 1901. „Matka" 1902. „Synagoga szatana" 1902. „Poezje prozą" 1902. „W godzinie cudu" 1902. „Śnieg" 1903. „Synowie ziemi" 1904. „Śluby" 1905. „Odwieczna baśń" 1905. „O dramacie i scenie" 1905. „Dzień sądu" 1909. „Gody życia" 1910. „Szopen a naród" 1910. „Zmierzch" 1911. „Topiel" 1912. „Mocny człowiek" 1912. („Święty gaj" 1913. „Wyzwolenie" 1913.). „Dzieci nędzy" 1914. „Szlakiem duszy polskiej" 1918. „Krzyk" 1917. „Ekspresjonizm, Słowacki i Genesis z ducha" 1920. Artykuły i manifesty; ob. „Życie", „Zdrój".

JERZY ŻUŁAWSKI O STAN. PRZYBYSZEWSKIM.

J. Żuławski * 1874. Wydał oddzielnie: Na strunach duszy 1895. Intermezzo 1897. Stance o pieśni 1897. Poezje 1900. Z domu niewoli 1902. Pokłosie 1904. Księgi niektóre z żydowskich pism starego zakonu wybrane 1905. Poezje 1909 (4 tomy). Prolegomena 1902. Benedykt Spinoza 1903. Opowiadania prozą 1902. Na srebrnym globie 1903. Kuszenie szatana 1909. Bajka o człowieku szczęśliwym 1910. Stara ziemia 1911. Profesor Butrym. Powrót (cykl. Laus feminae). Koniec Mesjasza 1911. Gród słońca 1911. Zwycięzca 1911. Ponadto: Wianek mirtowy 1905. Dyktator 1903. Eros i Psyche 1904. Ijola 1905. Gra, La bestia 1907. Za cenę łez 1910.

Żuławski zmarł w r. 1915.

...W wizjach Przybyszewskiego jest ogromna żywiołowość — a jest to określenie dodatnie i ujemne zarazem. Dodatnie, bo wyraża bogactwo i pierwotną potęgę duszy twórczej, — ujemne zaś, bo świadczy o niezapanowaniu nad ślepą potęgą własnej duszy, o niewzniesieniu się ponad życie, które przez nią bucha. Ale w wi-

zjach Przybyszewskiego jest jeszcze jedna rzecz, o której on sam nie wie, albo przynajmniej nie chce wiedzieć.

On, syntetyk, mało refleksyjny jako artysta (gdyż refleksja jest zawsze w pierwszym rzędzie analizą własnych stanów duszy, po której synteza dopiero nastąpić może), nie zdaje sobie sprawy ze stosunku swej myśli twórczej do dzieła, w którem ona się wyraża. Odbija się to i na jego teorji sztuki we wspomnianem już złudzeniu, że dzieła artystów duszy są bezpośredniem oddaniem tego, co się w ich głębi staje, a nie symbolem, jak jest w istocie. Wolno artyście sądzić co mu się podoba o swych dziełach i niewątpliwie ma on zawsze słuszność — dla siebie; ale wolno również czytelnikowi cenić je według tego, co w nich znajduje (chociażby to nawet było tylko to, co sam wniósł do nich ze sobą), — i także będzie miał słuszność, już bodaj dlatego, że gmach to musi być obszerny, do którego wnieść można rzeczy wielkie. Nota bene: znaczenie ma tu tylko sąd in plus, nigdy in minus. W największym i najpiękniejszemi rzeczami zapełnionym gmachu ślepy i głupi nic nie znajdzie.

Otóż dla mnie dzieła Przybyszewskiego są symbolami, bez względu na to, czy on je tem chce mieć, czy nie. Są symbolami, to znaczy mają istność niezależną, oderwaną od przypadkowych stanów duszy artysty, które je stworzyły, są niezmienne, wieczne, mają wartość dla każdego, kto w nie swoją duszę włożyć i w nich ją odnaleźć potrafi. Przez to są dla mnie cenne, przez to są dla mnie prawdziwemi dziełami sztuki — są owem Słowem Człowieka do Człowieka.

Symbolami wieczystemi są wspaniałe wizje Wigilij, potężnej Mszy żałobnej, strasznego De Profundis i Androgyny, symbolem jest całe Nad morzem, owa perła twórczości Przybyszewskiego. I cóż mnie to obchodzi, co on czuł, co on cierpiał, ten przemijający człowiek, który to pisał, kiedy ja w tem widzę duszę Człowieka, jakim on jest w swej istocie na wszystkich miejscach i po wszystkie czasy? Co mnie to obchodzi, co on przez to chciał powiedzieć, kiedy ja w tem znajduję to, co ja chcę słyszeć? Jeśli coś może być symbolem, już nim jest przez to samo. A na dowód, że np. Nad morzem symbolem być może, że mieści w sobie coś więcej, niż tęsknotę, miłość, szczęście, ból i rozpacz jednego człowieka, sprobujmy podstawić w tym poemacie inne od zaznaczonych tam wartości, słowem, symbol uzmysłowić.

Król, syn słońca — powiada poeta — panuje nad rozległem państwem, nad rajem i pustynią. Słońce go kocha i obdarza go szczęściem, sławą, wielkością... Otóż wyobrażam sobie, że królem jest artysta, słońcem — jego sztuka, przez którą jest tem, czem jest, a państwem — niezmierzone dziedziny ducha, wśród których włada. Modli się słońcu trzy razy dziennie, bo je kocha, tę matkę swoją. A ono za to wszelkie łaski zlewa mu na głowę

i moc jego mnoży. Aż raz najstarszy z wojowników, dzieci jego słońca, które ono promieniem na pustyni wylęgło, przywodzi mu do nóg dziewicę, brankę z krajów ciszy i tęsknoty, leżących za morzem, zdala od spiekłych wybrzeży, słońcem jego spalonych. Przed duszą człowieka, sztuce swej oddanego, staje piękno dotąd nieznane, tajemnica nierozwiązana, urok nieprzeczuty — miłość. I on król, blaskiem swej niewolnicy olśniony, niewolnikiem jej sam się staje. Zaczyna się walka odwieczna dwóch niezgłębionych i zazdrosnych potęg: mroku-miłości kobiety i słońca-miłości sztuki!

Król się boi, aby mu słońce ukochania jego nie zabiło i dziewicę z mrocznego kraju wydartą sztucznym mrokiem otacza. Z tego, co ma najdroższego, z najwyszukańszych klejnotów, z nieprzebranych skarbów swej duszy dla niej jednej słońce tworzy. Ale jej niedość! — on musi cały jej się poświęcić a przekląć tamto słońce, które moc mu dawało i całej ziemi świeciło. I on je przeklina. Wyrzekł się go, ale nie zapomniał o niem i w trupiem lśnieniu drogich kamieni w ciemnościach ukrytych o niem śni, kocha je, tęskni do niego i — zemsty jego się obawia. Walka kończy się tak, jak się skończyć musiała: król mimowoli wraca do słońca swego, a biała niewolnica pada ofiarą zazdrosnej mocy jego promieni... Nie! to nie koniec jeszcze! — Teraz król dopiero z głębi duszy przeklina słońce, które mu krzywdę wyrządziło i gotuje skrzydlate okręty do podróży za wielkie morza, w kraj ciszy i tęsknoty — za szczęściem swem, za cieniem swej utraconej białej gołębicy...

Cała ta powieść w duszy ludzkiej się odbywa i to w duszy indywidualnej, duszy jednego człowieka. Tam leżało to państwo, tam to słońce świeciło. Dotąd poeta poza tę granicę nie wyszedł. Ale otóż zaczyna się rapsod drugi i widnokrąg się rozszerza, synteza uogólnia. Poeta, dobierając akordów do swej pieśni, potrącił na harfie swej duszy struny, które ludzkości całej są wspólne. Zstąpił do głębi morza, skąd fal już nie widać. Zapomina, że jest p e w n y m o z n a c z o n y m człowiekiem, ale zato czuje tem silniej, że jest c z ł o w i e k i e m.

Dusza jego, zrzuciwszy z siebie wszystko przypadkowe, jest teraz duszą ludzkości: On w pocie czoła wznosił piramidy, on w świętym zapale grób Chrystusa zdobywał — ale w przemianach wiecznych był zawsze Adamem, synem ziemi, który Ewy z kości swej zrodzonej po wszystkie czasy pragnie i szuka, i czuje, że jest mu wszystko wobec niej niczem! A czy to Ewa, ta biała kochanka syna ziemi?... Zda się, że skrzydła u ramion jej rosną; z symbolu zazdrosnej i cielesnej miłości jakąś czystszą, świętszą tęsknotą się staje... tak! to Psyche teraz przed nami.

Teraz sceną są dzieje ludzkości a aktorami: ciało i dusza. Ale szranki ludzkości całej są poccie jeszcze za ciasne, duch człowieczeństwa jeszcze za wątły. Zmusił w swej duszy do płaczu

i drżenia to, co w niej było człowieczego — teraz dotyka tego, co w niej jest boskie. Dusza jego, dusza ludzkości, to tylko promienie, które słońce przedwieczne, Bóg, w nadmiarze świetlanej swej wspaniałości ze siebie wyrzuciło. Napowrót do tego słońca! I w panteistycznej a przepięknej wizji identyfikuje się poeta z Siłą, co jego i wszystko zrodziła, co myśli w nim i świeci: on był Bogiem! On słońca stwarzał i piękno wszystko i wszystek przepych ziemi i niebios, ale w olbrzymiej chwale swojej tęsknił ciągle za niestworzoną jeszcze, niewcieloną a najwyższą pięknością: duszą. Aż oto nadeszła godzina i z wielką mocą krzyknął: Stań się! i ona powstała! Piękność ziemi i nieba dla niej! Ale nadarmo moc swą wyczerpywał, darmo świetny przepych dzieł swoich pod królewskie stopy jej rzucał — ona była smutna i tęskna i nienasycona wiecznie, bo On sam, jej Bóg, jej prapoczątek i ukochanie jej był zdala od niej... To pragnienie było jej życiem. Gdy Go zaś wreszcie doścignła i ujrzała — spłynęła w górę, w blasku jego się roztapiając.

Fantazja poety, jak orzeł nadobłocznych wyżyn dosięgłszy, bystrą teraz spiralą ku ziemi opada. Jeszcze kilka wizyj, kilka przepięknych obrazów i myśli, „które za lat sto się prześnią“ — i oto ziemia. Dusza poety, co po gwiazdach się rozrzuciła, wyczerpana, ściąga się napowrót i do ciała wciska. Rozumie znowu wszystko: nie był królem, nie był Bogiem, nigdy nie opuścił tego brzegu, nad którym mieszka. Tęskni tylko za kobietą, którą kochał. Pieśń o tęsknocie szczytu uogólnienia dobiegłszy, w trzecią fazę wchodzi, ku przedmiotowi tęsknoty się zwraca. Rapsod trzeci.

Wyobraźnia poety znów jak rozpalająca się łukowa lampa elektryczna błyska początkowo i ćmi się, rzuca różnobarwne światła. Mamy tu dość zwykły opis spotkania na parowcu i zaraz potem straszną wizję dwóch gwiazd — oczu, co jak kratery płomienne w niebo się wpalają i potoki krwawego światła na morze leją. Wizja potworna, na wszystko nas przygotowująca... Elektryczna lampa fantazji znów pełnem światłem bucha: Widzimy człowieka, co kocha morze — słowo, co się morzem stało, i kocha kobietę, co jest morzem sama i sercem morza. W pierwszym rapsodzie pokazał nam poeta na dwie połowy rozłamaną duszę męską i tragedję, która się w ogromnem państwie tej duszy rozgrywa i z rozłamania swój początek bierze a tęsknota ma na imię; w drugim przeniósł tęsknotę duszy na ziemię całą i na gwiaździste niebo; teraz znów w szranki osobowej jaźni wracając, przedmiot ludzkiej tęsknoty rozszczepia, Ewę od Psychy oddziela. Morze — to otchłanna głębia duszy kobiecej; postać kobiety widoma — to jej ciało i zmysły...

Kto nie jest zdolny do odczucia piękna i ocenienia sztuki, ten się tego nie nauczy, a tym, co piękno odczuli, nic wogóle tłumaczyć nie potrzeba. W istocie dla tych też jedynie sztuka istnieje. Dlatego też zasadniczą sprzeczność zawierają w sobie

wszystkie — nawiasem powiedziawszy — niesmaczne narzekania artystów na „społeczeństwo“, które ich nie rozumie i nie ocenia, choć dla niego pracują. Artyści bowiem nie pracują dla „społeczeństwa“, lecz dla siebie i tych, którzy sztuki potrzebują. Ci ich rozumieją. A dla innych sztuka nie istnieje i winić ich za to nie można.

Z „Nad morzem“.

Nigdy go przedtem nie widziałem, choć moje serce często ścieliło swe błędne sny gdzieś na roztoczach jego mgieł.

Teraz dopiero pojąłem, że od samego początku było we mnie i ze mną krew z mojej krwi, moje dziecko, siostra i oblubienica moja: Morze!

I nikt go tak nie kochał, jak ja je kochałem.

O, ten cud nad cudami: Słowo, co morzem się stało.

Kocham je, gdy świt się wyzwala z lubieżnych uścisków nocy, swoje krwią obryzgane ramiona na niebo zarzuca, a olbrzymia korona, gdyby w ogniu stojąca kępa koralowa, na całym wschodzie czerwoną łuną się pali. Wtedy się morze wspina na niebo, wgryza się w jego głąb tysiącem purpurowych języków; nad morzem, co z niebem się zlało, wyrastają złote pałace, kwitną czarowne ogrody. Na niebie wichrzą się potworne paprocie, liście palm, jak z płomiennych kryształów ciosane, kielichy orchidei, w olbrzymie kiście spowite.

Kocham je, gdy słońce w upalne południe sypie diamentowy piasek na lekko pomarszczoną toń i w rozszalałym zamęcie światła, gdyby święta monstrancja skrzy się nad morzem.

Kocham je, gdy burza je chwyta w swe wściekłe ramiona, ku niebu ciska i o skały rozbija, lub spienione jego bałwany, gdyby potoki lawy na brzeg wyrzuca —

ale nadewszystko kocham je, gdy godzina zmroku, krwią i błękitem spowita, do jego łona się tuli —

kiedy odgłosy dalekich dzwonów wolno, w cichym smutku, gdyby płaty śniegu, w bezdenne głębie się sypią —

kiedy wspomnienia z cichym szumem ulatujących skrzydeł o niebo trącają —

kiedy smutek tęsknoty na duszę spływa z tajemniczym szelestem spadających liści, przegryzanych jadem jesieni.

Wtedy je kocham najwięcej, siedzę na stromych ścianach skał i chłonę wieczność...

Wokół wiekuiście cichych, śniegiem pokrytych gór, stacza noc w czarne otchłanie swoje ciemne brzemię.

Na głębie morza rzucają skały posępne cienie, co w głuchej ciszy strzegą grobu zapadłych słońc.

Już wspina się morze lśniącemi mgłami na krawędzie nieba, już ścielą gwiazdy na zamilkłej toni swe blade sny, — niby drgnienie wieczności prześlizgła się przez niebo krwawa błyskawica i spadła w milczenie, co się wokół morza święci:

Zapomnij serce, zapomnij!

* * *

A z kwiecia wieczności, co w śniegu pysznych gór wyrosło, wzlatuje na morze ciemny dech pieśni.

Błękitna ręka wysuwa się zwolna cichą modlitwą na wodę, drżącemi palcami trąca o fale, gdyby o paciorki różańca, nad ciemną głębią rozwiesza żałobne kiry i słyszę, słyszę świętą gędźbę bólu:

Lat sto, a wszystko przeminie.

* * *

A święta msza morza, światło co z dna jego wykwita i z kielichów gwiazd napowrót do dna spływa, pieśń gór, co łka w żałobnem omdleniu morza, to wszystko ton jeden, jeden sen złoty, jedno szczęście rozpaczne:

* * *

Lat sto, a wszystko przeminie.

* * *

A oto rozwarła dusza moja swe białe, burzą zwichrzone skrzydła od jednego krańca nieba do drugiego; ujęła morze w swe ramiona, i pierś przy piersi, w rozkosznem spowiciu, spoczęło morze i dusza moja.

* * *

O, nocy upojenia, nocy obłąkania!

Błądzące meteory wichrzą się w mem sercu, z namiętnem pożądaniem tulę do mej piersi twój gorączką spiekły zmrok, i piję, chłonę w chciwem pragnieniu moje wielkie szczęście —

O jasna moja — o morze moje!

* * *

Nikogo jeszcze morze z taką mocą nie ukochało, jaką mnie kocha.

Bo moja dusza, toć to morze samo. Te same bezbrzeżne dale, ta sama spieniona pycha, ten sam rozpęd i szał.

Kochało mnie morze i długie lata żyłem z niem razem, jego cichą modlitwą wieczorną kołysałem stęsknione serce do snu, a budząc się, wznosiłem się wraz z niem pod świetliste i modre rozbrzaskiem niebo.

A stało się, że razu pewnego, kiedy nadeszła godzina wieczorna, a morze poczęło śpiewać swe święte pieśni, ujrzałem ją, siostrę i oblubienicę moją, której tak długo szukałem.

Oczy jej skrzyły jak gwiazdy, a głos jej — to głos morza, który kiedyś słyszałem nad wieczornym brzegiem...

Przyszła jak gołębica, burzą w dalekie strony zagnana, przyszła jak zbłąkana mewa, która szuka miejsca, gdzieby sobie nowe gniazdo usłać mogła.

Tysiące mil, przez rzeki i góry szła za jutrznią wieczorną, za gwiazdą, co od wschodu nad morze się wznosi.

A kiedy wyszła z lasu, co rośnie nad brzegiem morza, padła na twarz i łkała niemą modlitwą.

Wokół stała się cisza, jakby wszelkie życie w trwożnej pokorze zamilkło.

I kląkłem przy niej, całowałem jej ręce i stopy, a potem wziąłem ją w silne ramiona i zaniosłem do mej chaty.

Nogi jej były poranione i krwawiły.

I obmyłem jej stopy i całowałem święte rany.

* * *

Odtąd byliśmy zawsze razem.

* * *

Wokół nas krzyczały bezgłośnie błyskawice.

Z „Szopen a Naród".

Nadszedł czas, kiedy dusza potężnego wieszcza bezmiarem cierpienia swego narodu wyolbrzymiała do ogromu tego, co Bogu jest równy, z wściekłością wali pięściami o wrota Przeznaczenia i krzyczy rozpacznie: Czemu? Czemu?

Eli, Eli lama sabachtani?

Czemuś nas opuścił, Panie?!

I takim jednym, straszliwym krzykiem: Eli, Eli lama sabachtani? — jest najpotężniejszy wyraz, jaki dusza narodu dla swego niepomiernego bólu znalazła:

Szopena Fis-mol Polonez.

Z czemby to porównać można?

W całej przepotężnej sztuce polskiej nie mogę znaleźć odpowiedniego ekwiwalentu. Potęgą natchnienia stoi na wyżynie improwizacji Mickiewicza, ale rozpiera egotyczny ból do cierpienia miljona, siłą artystycznej mocy przerasta cały twór Grottgera... Jeden może symbol znalazłby się w polskiem malarstwie:

Rejtan na obrazie Matejki — wznak rozpostarty z rozdartą koszulą, ostremi szponami swoich palców w ciało swoje wgrzebany i wielkim krzykiem wołający:

Nie pozwalam!

A wraz rozpaczny krzyk do Boga: Czemu?

I zaciekłym, urywanym pierwszym taktem swego Poloneza — męczeńskiej epopei — woła Szopen: Czemu?

I to pytanie rozgłośniej, groźniej jeszcze... Jakby do miażdżącego skoku przyczajone dyszy to „czemu?“ — aż wreszcie wybucha całym orkanem krzyków, co zlały się w jedno, jedno krwawe, spienione pytanie: Czemu, czemu, czemuś nas opuścił, o Panie?!

Chwila milczenia.

Niema odpowiedzi.

Człowiek ochłonął. A dusza jego rozgrzmiała jakimś przeolbrzymim, bohaterskim, uroczystym tonem, śpiewem z bólu wyzwolonej duszy, co dorosła swemu Przeznaczeniu, co bez lęku i bez grozy, z zaciekłem, groźnem męstwem patrzy w upiorne, tajemnic swych pewne ślepia sfinksa, ale na nic... Jednakowoż go lęk ponosi, chciałby wszystkie pieczęcie porozrywać, a one nietknięte:

Życie nie przestało być zagadką, ani śmierć ciężkim strachem i tajemnicą, i w zadyszanym bólu jęczy człowiek to straszne: „Czemu?“

I straszny płacz rozsadza mu piersi, rozpaczny szloch konających, którym życia nie żal, tylko jedynie tego, że dłużej walczyć nie mogą. Ale na nowo ze zdwojoną siłą zrywa się na nogi, powtórnie ze zdwojoną siłą szturmuje zamknięte wrota utraconego raju, i w strasznym, rozdzierającym ryku bólu kona ten rozpaczny wysiłek.

A z dali, jakby odgłos krwawej bitwy — tętent koni, głuchy grzmot dział, dudnienie ziemi pod ciężkiemi stopami karnych czwartaków — majaczą się modlitwy za konających, błagalne prośby do Pana Zastępów, coraz więcej głuchnie w oddali zgiełk bitwy, a nagle, gdyby jakaś święta róża mistyczna, wykwita z rozpacznych cierpień, rozszalałych modłów, dzikiego zamętu bitwy mazurek, w którym genjusz Szopena w niesłychanej potędze odtworzył tak szczerą, tak czystą i tak naiwną poezję narodu, co z dziarskim śpiewem, z kolistym mazurkiem na ustach szedł na krwawy tan.

Tkliwa piosenka ułańska: „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“ kojarzy się z hardym: „Taki los wypadł nam, że dziś tu, a jutro tam“, odzywa się buta Polaka w przedpieklu, którego szatan wpuścić nie chce, bo na wrotach piekielnych pisze, że Polska jeszcze nie zginęła, i szlocha cichą piosenkę nad biedną ojczyzną: „Lecą listki z drzewa, co wyrosło wolne“ — wszystko — wszystko tam jest — a pieśni tych wszystkich dziś już zapomnianych Tyrteuszów, co najistotniejszym tonem duszy narodu — mazurkiem — zagrzewali swych braci do boju, unieśmiertelnił Szopen w tym jednym, nieporównanym, potęgą swego natchnienia przerażającym mazurku.

Ale to wszystko sen, a po nim straszne przebudzenie. Na nowo rozpoczyna się ta straszliwa msza rozpaczy, co się kończy już zupełnym obłędem bólu. Koniec tej przebolesnej epopei wszystkich męczarń, jakie bohaterskie plemię w nadludzkich wysiłkach przeżyło, to już stępiałe pomruki bólu bez granic, z którego sobie sprawy już zdać nie można, bólu poza wszelkim bólem. I zda się, że już wszystko ucichło, wszystko na zawsze umarło, już ostatnią trumnę wynieśli... A tu nagle ostatni przeraźliwy krzyk, gdyby piorun Sądu ostatecznego. To ostatnie fis, pod którem w szale wizji twórczej drżąca ręka Szopena cztery razy podpisała forte, to jedna z najciekawszych zagadek w jego twórczości. Ten nagły, przeraźliwy krzyk, od którego włosy się jeżą, to ostatni jęk złamanego serca, a może gromka, mocarna pobudka do nowego boju?

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

(* 1869 † 28. XI. 1907 w Krakowie).

Wydał: Legenda 1897 (II wyd. 1904). Meleager 1898. Warszawianka 1898. Protesilas i Laodamia 1899. Lelewel 1899. Klątwa 1899. Bolesław Śmiały (rapsod) 1900. Kazimierz Wielki 1900. Legjon 1900. Wesele 1901. Wyzwolenie 1903. Bolesław Śmiały (dramat) 1903. Achilleis 1903. Akropolis 1904. Noc listopadowa 1904. Skałka 1907. P. Corneille'a Cyd 1907. Powrót Odysa 1907. Sędziowie 1907. Daniel (ogł. z teki pośmiertnej) 1908. Wiersze, fragmenty dramatyczne, uwagi 1910. Ponadto: Adama Mickiewicza „Dziady" sceny dramatyczne, tak jak były grane w teatrze krakowskim 31. X. 1901. Wydał St. Wyspiański, Kraków 1901 oraz The Tragicall History of Hamlet prince of Denmark. By William Shakespeare. Według tekstu polskiego J. Paszkowskiego świeżo przeczytana i przemyślana przez St. Wyspiańskiego, Kraków 1905.

AD. GRZYMAŁA-SIEDLECKI O WYSPIAŃSKIM.

Adam Grzymała Siedlecki * 29. I. 1876 w Wierzbnie w Proszowskiem. Ogłosił tom nowel p. t. „Z galerji moich bliźnich" 1911 (II wyd. 1922). „Wyspiański; cechy i elementy twórczości" 1909. (II wyd. 1918). „Cud Wisły" 1920. W „Rozmaitościach" wystawił w r. 1922 komedję p. t. „Sublokatorka", oraz „Popas króla jegomości". Studja literackie, artykuły i recenzje: w „Życiu", „Krytyce", „Słowie Polskiem", „Tygodniku Illustr.", „Słowie" (warsz.), „Czasie", „Muscionie", „Literaturze i Sztuce", w „Rzeczypospolitej".

U schyłku wieku XIX-go i w pierwszych latach wieku XX-go zapisało się na kartach kultury polskiej imię, które najprawdopodobniej nie prędko zejdzie z uczucia i uwagi inteligentnego ogółu. Miara czasu pokaże miarę wielkości tego człowieka. Miara czasu odrzuci może niejedno to, co nas, rówieśnych mu, ujmowało albo i wręcz zachwycało, ale ta sama poprawka pokoleń może też i wydobędzie na światło wartości, dla nas dotychczas skryte. Dziś, po kilkunastu latach od jego śmierci, po dwudziestu od początków

jego twórczości, stwierdzić kategorycznie można, iż zainteresowanie się imieniem i twórczością Wyspiańskiego bynajmniej nie zmalało. Poprzesuwały się może drogi, któremi zainteresowanie pokolenia podchodzi do jego dzieł i zdziałań, ale ani liczba podchodzących ani intensywność naszego wpatrywania się nie wykazują zniżki.

Dziś o Wyspiańskim jedno da się powiedzieć, jedno ustalić: była to indywidualność w bogactwie swojem najbardziej oryginalna, jaką spotykamy na obszarze dziejów naszej kultury piękna.

Przedewszystkiem wszechstronność jego uzdolnień:

Z pierwszego powołania — malarz, znany jest w kołach artystycznych jako i rzeźbiarz. Później odzywa się w nim poeta. Talent tego poety zagarnie scenę i jak nikt przed nim, staje się prototypem pewnego s p o s o b u wypowiadania uczuć narodowych. Naśladowcy Wyspiańskiego działają do dziś dnia. Raz wkroczywszy na scenę, występuje na niej nietylko jako autor dramatyczny, ale i jako reżyser, inscenizator. W swoim sposobie wystawienia „Dziadów", w inscenizowaniu „Cyda", jak przedtem w projektach wystawienia „Bolesława Śmiałego" lub „Wyzwolenia", daje rozwiązanie zagadnień reżyserskich, na które Polska czekała. — Nie należy też tu zapominać o Wyspiańskim, twórcy polskiej sztuki stosowanej. On pierwszy rzucił hasło i pierwsze nakreślił niejako prawa, po których iść ma zdobnictwo, zwłaszcza w drukarstwie. Ta różnorodność już dostatecznie definjuje nam w nim Leonardową bujność. Przejawi się ona w Wyspiańskim nietylko w tych dziedzinach, które pozostały urzędowym niejako po nim spadkiem. Skrupulatniejsza biografja wykazałaby, jakie nieukojone potrzeby tworzenia i przetwarzania spoczywały w tej wiecznie czynnej wyobraźni. Każda rozmowa, każde dotknięcie się nowej rzeczy, nowej sprawy — rodziły w Wyspiańskim reformatorską żądzę. Zmienić, przeinaczyć, poprawić! — te zadania, pragnienia, dopominania się powstawały w jego duszy natychmiast. Nie umiał być umysłem negatywnym li tylko, nie rozumiał nawet negacji bez natychmiastowego planu afirmacji i konstrukcji swojej własnej.

Tu należy z całym naciskiem podkreślić te właśnie wyrazy: „konstrukcja swoja własna". Wszelka bowiem myśl twórcza czy reformatorska Wyspiańskiego odznaczała się przedewszystkiem tem, że pojawiała się w wyrazie absolutnie nieoczekiwanym. W pomysłach tego człowieka nie było nic z szablonu i nic z licznianu. Każdy jego motyw był świeży. Pozostawały jego idee pod wpływem czy to Greków, czy Wagnera, Nietzschego, lub Corneille'a ze starszych, ale ten wpływ bywał raczej inicjatywą twórczą, nie kręgosłupem treści czy formy, ani też nie zabarwiał osobistego kolorytu dzieła Wyspiańskiego. Przeciwnie, owe potrącenia twórcze przechodziły taką transfiguracje, przez tyle nawskroś odrębnych od pierwowzoru przechodziły filtrów, że trzeba będzie kiedyś chemicznego gustu do analizy, by nareszcie wyłuskać podobień-

stwo i, to — prawdopodobnie — w kategorjach trzeciorzędnych pod względem artystycznym. Dla innych typów wrażliwości pozostanie Wyspiański najbardziej swoistym przykładem tworzenia, jaki można odszukać wśród artystów, a zwłaszcza pisarzy nowożytnych. Swoistość owa, oryginalność nie była owocem wysiłku, nie była posłusznym wynikiem żądzy zadziwiania. Przeciwnie, nie wiedziała jakby o swej oryginalności. Nie innym bowiem bywał on w rozmowach i pogawędkach, aniżeli w trudzie twórczym. Każde zetknięcie z Wyspiańskim pozostawiało w nas wrażenie jednostki absolutnie niepodobnej do całego społeczeństwa rówieśnych. Każden temat rozmowy, każda przypadkowo podjęta myśl załamywała się w mózgu Wyspiańskiego pod kątem, którego wymiar stanowił tajemnicę właściciela. Nigdy nie można było przewidzieć, jaka z jego ust padnie odpowiedź — a jeszcze bardziej nieoczekiwane były motywy i uzasadnienia tej odpowiedzi.

Ta oryginalność umysłu była niewątpliwie czarem indywidualności Wyspiańskiego. Była jednakże i kamieniem młyńskim, uwieszonym u motoru jego tworzenia. Gdy bowiem taka nieoczekiwana idea, albo raczej niespodziewane oświetlenie prostej zwyczajnej myśli padało w rozmowie z ust Wyspiańskiego, towarzyszyło temu olśnieniu spojrzenie mówiącego, gest, intonacja głosu i one wyjaśniały, wypowiadały to, co było ciemne i trudne do zrozumienia. W literaturze Wyspiańskiego brak tego osobistego spojrzenia, brak wymownego gestu mówcy. Tu język i forma dzieła mają być narzędziem jasności i zrozumiałości. Ręka, która stawiała litery i składała z nich zdania, przyzwyczajona była raczej do kreślenia linij malarskich, głowa malarska niedość nawykła do myślenia zdaniami i pojęciami. Niełatwo tedy Wyspiańskiemu było uporać się z dżunglą swoich bogatych, ponad przeciętność bujnych fantazyj; nad siły jego intelektualnej sprawności było niezwykłość ową podać w przystępnej formie; przeciwnie: technika słowa, ta w późniejszem dopiero stadjum młodości nabyta technika, przez swą oporność, raczej gmatwała doreszty gąszcz pomysłów i niezwykłość wyobrażeń. Tej technice potrzebnaby była raczej prostotliwość myśli, zawartość treściowa raczej piosenki lub ballady, nie metafizyki Oineusa z „Meleagra“, lub koncepcji historjozoficznej „Bolesława Śmiałego“; technice tej, samorodnej, samouckiej potrzeba było naprzód wprawy, na drobnych zadaniach nabytej, zanimby mogła przejść do dramatu — i to jak przekornie budowanego! Niezwykłość i fenomenalność pomysłów nie dała się okiełznać literackim sposobom, przytłaczała je i ciężarem swym kładła się w przyrodzone niejako formy. Stąd też ta prymitywność cyklopicka w architekturze dramatów: „Wesela“, „Wyzwolenia“, choć złomy granitu owe kryją misterną sieć korytarzy myśli, a zwłaszcza uczuć.

Motorem i dźwignią tej umysłowości była fantazja. Tu mała autentyczna anegdota wyjaśni może i trafnie rzecz określi. W gro-

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

nie koleżeńskiem, w czasie jakiejś koleżeńskiej biesiady częstowano raz po raz winem opornego w tej mierze Wyspiańskiego. Wypraszał się, a gdy to mało pomagało, użył następującego argumentu: „Moi panowie, wy pijecie, bo po wypiciu macie fantazję, ja zaś przeciwnie, po kieliszku — fantazję tracę". Tracił fantazję czyli swoją przytomność. I słusznie teraz zdefinjował; to, co u przeciętnego człowieka jest przytomnością, logiką, rozsądkiem, — to u Wyspiańskiego przeistaczało się w dar wyobraźni, fantazji. Fantazja była chlebem powszednim jego mózgu.

Tutaj należy przypomnieć, że już Piotr Chmielowski swoją metodą może nieco oschłą, może zanadto przyrodniczą, zwrócił zaraz po „Weselu" uwagę na wszechwładztwo wyobraźni w talencie Wyspiańskiego. Pisał swoje uwagi w epoce, kiedy za dowód inteligencji w kołach artystycznych uchodziło nie czytać krytyk Chmielowskiego; dlatego też nie doceniono i innych trafnych analiz tego krytyka, dotyczących talentu i braków Wyspiańskiego. Dziś powinnibyśmy wrócić do studjów Chmielowskiego; odrzucić z nich to, co było u tego historyka z przyrodzonego niedowładu antypoetyckiego, natomiast przyswoić nauce o Wyspiańskim szereg trafnych ocen i określeń. Oto dlaczego choć w tych kilku wierszach nie mogłem pominąć szacownego imienia Chmielowskiego, gdy mówię o wszechwładzy fantazji w umyśle Wyspiańskiego.

Nietylko jednak władze cerebralne Wyspiańskiego poruszane były motorem wyobraźni. Wydaje mi się, że i jego stany emocjonalne, nawet uczucia potężniały pod wpływem fantazji. Kochał mocniej zjawy swojej wyobraźni, niżeli świat zmysłowy; na to, by móc się przejąć jakimś faktem, musiał opowić go w kokon jakiegoś marzenia, jakiejś abstrakcji. Taką jest jego Polska, pokazana w „Wyzwoleniu". Ona jest przecie przeistoczona, ufantastyczniona, czyli wprowadzona na linję nerwowości Wyspiańskiego. Jeden z przyjaciół Wyspiańskiego, towarzysz jego lat dziecinnych, opowiadał mi, że pamięta chwilę, kiedy obaj z przyszłym autorem „Akropolis" mieli mniej więcej po lat dwanaście; znajdowali się w jakimś salonie, czy w jakiejś sali, gdzie uwagę ich zwrócił monumentalny świecznik, w którym rozchodzące się z pnia głównego rozgałęzienia podtrzymywały właściwe lichtarze świecowe; lichtarze te były ciężkie, a owe rozgałęzienia wydały się małemu Wyspiańskiemu podobne do ramion ludzkich. „I wówczas" — mówi mój informator: — „rozpoczął on improwizację na temat tych r a m i o n. Nieprzygotowany, podniecony tylko tem doraźnem wrażeniem, roztoczył całą bajkę, oczywiście dziecinną, o tem jak muszą cierpieć owe biedne ramiona, jak muszą bezustanku latami całemi dźwigać ów nieznośny ciężar lichtarzy, jakie one są biedne etc. etc." Przypomnijmy sobie teraz scenę aniołów, dźwigających trumnę św. Stanisława w „Akropolis". Czy w ich skargach nie odnajdziemy refleksu takiej samej e m o c j i w y o b r a ź n i o w e j? Czy nie tak samo one się żalą na swój los,

jak chłopiątko Wyspiański użalał się nad losem ramion świecznikowych? — Ale nie ku temu spostrzeżeniu prowadzony był argument biograficzny. Prowadzony był ku stwierdzeniu, że ów a n i m a l i z m, ta zdolność obdarzania duszą świata martwego lub fizjologicznego, te wkładania myśli i uczucia w dziedzinę zjawisk i przedmiotów — tak znamienne dla talentu Wyspiańskiego wrodzone mu były od dziecka. Animal'zm prymitywny jest wogóle cechą umysłu dziecinnego, ale, jak to widzieliśmy na bajce małego Wyspiańskiego, u naszego poety animalizm ten był przyrodzonotwórczy, impulsy animalistyczne rodziły w tej chwili konsekwencje artystyczne. A czemże jest taka zdolność? Czem jest taki dar ornamentowania metafizycznego zjawisk zmysłowych? Jest najklasyczniejszą kategorją poetyckiego talentu. Bez tej dziecinności i bez tej pierwotności uczuciowej niema prawdziwego poety. Bez tego, indywiduum może być cudownym wersyfikatorem, albo znowu mędrcem-stylistą, ale nie będzie nigdy ani Słowackim, ani Verlaine'm. Otóż Wyspiański z przyrodzonych powołań i od kolebki niemal, z całem ciężeniem podświadomości szedł w życie z tym stygmatem najprawdziwszego, najbardziej rasowego poety. Miał te władze, które równocześnie ma Petrarka i nieznany nikomu, odwieczny śpiewak strofy w piosence ludowej. Miał słowem tę animalistyczną prostotę, dochowaną wiarę w duszę, tkwiącą we wszystkiem. I zresztą i rytm Wyspiańskiego nie tai często pokrewieństwa swego z prostotą strofy ludowej.

Podczas gdy emocja wyobraźniowa czyniła z Wyspiańskiego najprawdziwszego liryka (choć nie pierwszorzędnego w e r s y f i k a t o r a), to jego znowu wyobraźnia umysłowa, fantazja i fantastyczność myślenia kreowały zeń klasycznego t w ó r c ę w dziedzinie poezji, poetę-konstruktora. Nie da się zaprzeczyć, że prawdziwa twórczość w sztuce odmierza się przedewszystk'em polotem fantazji; romantycy nazywali ją natchnien'em, dzisiaj wypadałoby powiedzieć: wyobraźnią intuitywną. I rozumem i poniekąd uczuciem można tworzyć dzieło sztuki, ale bodaj że nie nada mu się władzy nad ludźmi. Tylko ten czar pierwiastka boskiego, ta sama w miniaturze od Stwórcy zapożyczona siła twórcy: stwarzania świata z niczego — ten imperatyw cudu przyniewala ludzi do zachwytu i umiłowania sztuki. Trzebaby było być pochlebcą, by Wyspiańskiemu przypisywać potęgę ideową, dar takiej wytrzymałości umysłowej, że ona ustanawia nowe wiązania praw myślowych, — jak to miał np. Goethe, Mick'ewicz, albo w zakresie zdrowego rozsądku: Szekspir — ale zato najpolotniejszym fantazjom świata nie ustępował Wyspiański w darze stwarzania wizyj. Potęga wizyjności, potęga wyprowadzan'a nowych, nawskroś własnych rzeczy, lub też kojarzenia danych realnych zjawisk w projekcje i syntezy nieoczekiwane — dochodziła w tym człow'ku do wymiarów wprost olbrzymich. Gdyby tym przyrodzonym rzutom konstruktywnym nie brakowało tego, na co indywidualność Wy-

spiańskiego nie mogła się niestety zdobyć: organizacji artystycznej, gdyby te wizje nie żyły taką republikańską rozbieżnością, wówczas możnaby było powiedzieć, że pokolenie ostatnie, jakie niewola polska zrodziła, wydało największego, najbardziej twórczego po Mickiewiczu poetę. To, co zostało po Wyspiańskim, jest tylko wspaniałym zamachem na tron poezji polskiej.

Wogóle miała cechy rewolucji ta motoryczność wyobraźni, która rządziła Wyspiańskim. Był w niej pęd, niepokiełznanie, była przewaga żądań nad opanowaniem, była wreszcie w niej wywrotowa temperatura. Fantazja Wyspiańskiego była gorąca, czasem piekąca, a wybuchowa jak wulkan. Od tej upalnej lawy wizyj nieprzytomniały inne strony jego intelektu i bierzmo tego oszołomienia zastygało, usiadało nawet na technice późniejszej roboty, kiedy już zimniej, rozważniej artysta przystępuje do realizowania natchnień. Otóż robota Wyspiańskiego nie wykazuje zniżki w ciepłocie w porównaniu z temperaturą pierwszej wizji. Jego robota, jego technika nosi wszystkie znamiona takiego samego żaru, intuicji — nie namysłu, pędu — nie rozwagi, natchnienia — nie obliczeń. Jest to talent jakby medjumiczny. Jest to ten objaw „wieszczkowania w szale", z którym nie mógł się pogodzić racjonalista Sokrates, jak to nam mówi Plato w „Laches".

W tej płomiennej hipnozie topiły się w zgodną całość wszystkie inne, wtórne cechy umysłu Wyspiańskiego: jego ambicja logiki, jego erudycja, żywość postrzegania, wcale nie drugorzędny krytycyzm, jego wreszcie estetyzm, (aczkolwiek też nie zawsze świadomy) — stapiały się w związek zawsze drogocenny. To, co z uzyskanej tak alchemicznie mieszaniny wykuwał potem talent Wyspiańskiego, nie zawsze było arcydziełem, czasem nie było nawet dziełem, ale tworzywo duchowe, materjał twórczy zawsze w sobie miał podźwięk złota.

Artysta, twórca, poeta, w marzeniach swych nawet wychowawca społeczeństwa, w marzeniach i w dokonaniu odnowiciel świetności niejednego działu sztuki polskiej, malarz, teorjo-architekt — oto najwydatniejsze gałęzie tego bujnego drzewa, które pozostanie chlubą gleby naszego pokolenia. W tym człowieku niewątpliwie tkwiła plazma genjuszu. Był to tylko genjusz rokoszowy względem swojego artyzmu. Jego osobowość była więzieniem, w którem zamknięto talent skazany na tragizm Ugolina; talent tak niecierpliwie żądny był życia i wolności, że na żer sobie wybierał własne dzieci: płody swoje, utwory. Pokaleczone przez siebie samego, wypuszczał w świat. Że żyją, że oddychają i czasem nawet czarują bliźnich — to tylko tajemnica tej arcytwórczości, która i w niedokształcone płody umiała tchnąć potęgę swojej żywotności.

T. SINKO O ANTYKU ST. WYSPIAŃSKIEGO.

Tadeusz Sinko. * 14 września 1877 w Małej. Prócz licznych prac z zakresu filologji klas. wydał: „Źródła Reja w Żyw. człow. poczciw.", Kraków, Rozprawy Akad. 1905, „Polski głosiciel stanu natury z pocz. XVIII w.", Kraków, Rozpr. Akad. 1908, „Polski Antilukrecjusz", Kraków, Rozpr. Akad. 1911, „Hellenizm Słowackiego", Kraków, Rozpr. Akad. 1909, „Antyk Wyspiańskiego", Kraków, 1916 (wyd. II, 1922), „Krasiński i Wyspiański", 1921. „O tradycjach klasycznych. A. Mickiewicza", 1923.

...Wyspiański, który z gimnazjum wyniósł romantyczny ideał Hellady, musiał go poddać rewizji podczas pobytu w Paryżu, a uczynił to niewątpliwie pod wpływem wagnerytów, którzy mu zwrócili uwagę na książkę Nietzschego. Nowe pojmowanie greckości tak mu przypadło do smaku, że kiedy potem widział na scenie krakowskiej Antę Okońskiego (Świętochowskiego), nie mógł, jak donosi Rydlowi, wytrzymać na przedstawieniu do końca. Nie inne wrażenie byłaby na nim zrobiła tegoż autora Aspazja, romans z Grecji najbardziej konwencjonalnej, przeładowany dysputami na temat kwestji kobiecej, arystokracji i demokracji, a wszystko w duchu postępu — warszawskiego. Wobec takich antyków, jak te pozytywistyczne, ale i wobec wszystkich dawniejszych, w Polsce robionych, Meleager Wyspiańskiego był czemś u nas zupełnie nowem; był pierwszem objawieniem Hellady — pesymistycznej. Nędza żywota, marność wszelkich poczynań ludzkich, skrępowanie woli przez zawistnych bogów, miotanie się w sidłach losu, w które się tem łatwiej wpada, im bardziej się od nich ucieka, mimowolna wina i niezasłużona kara... oto główne wykładniki pesymizmu, panującego w Meleagrze. W Laodamji przyłącza się do tego niesamowita tęsknota miłosna; w obu tragedjach tło stanowią jakieś prastare wierzenia i obrzędy, zabobony, silniejsze od rozumu. Tylko zwarta budowa, wzorowana na tragedjach attyckich, pozwalała widzieć w tych utworach okazy sztuki, naśladującej antyk. Gdy jednak w Achilleidzie wpływ Szekspira (głównie Troilusa i Kressydy) rozsadził klasyczną formę, odsłoniło się dzieło, w niczem nie przypominające tragedyj attyckich, dzieło klasycznego — romantyzmu. Mimo zwartej budowy romantyczny (formalnie) jest też Powrót Odysa, zwłaszcza przez epilog. Ale pogląd na świat, filozofja i etyka są wszędzie ultra-klasyczne. Sprawił to wpływ Homera, którego poematy Wyspiański dramatyzował. Wyspiański jest tak — homeryczny, że publiczność, nie znając na tyle technicznych, mitologicznych, a zwłaszcza teologicznych i psychologicznych premis Homera i tragików greckich, nie może zrozumieć ani słów i działań osób na scenie, ani intencyj poety. Tę homeryckość Wyspiańskiego, a zarazem jego antyczność wypada nam pokrótce scharakteryzować.

Opowiadając o swoich tęsknotach helleńskich i ich syceniu widokiem greckiego archipelagu i Aten, wyznał Hauptmann (Grie-

chischer Frühling), że się zawsze czuł nawskroś homerycko usposobionym i że się uważa za homerydę. W twórczości jego poza Łukiem Odyssa tej homeryckości wcale nie znać. Natomiast trudno znaleźć w literaturze nowszej poetę, któryby był do tego stopnia homerydą, jak Wyspiański: I „Meleagra“ i „Laodamję“ wysnuł z drobnych epizodów Homera, a w dialog ich wprowadził w niektórych opisach epicką manierę Homera. Gdy się zaś zabrał do rewizji Iljady, to mimo romantycznych pomysłów Diktysa, mimo satyrycznych trawestacyj Szekspira, mimo własnych tendencyj do przerobienia Achillesa z człowieka czynu na bohatera myśli i uczucia, uległ Homerowi i poprowadził bohatera do homeryckiej zemsty. A choć w „Powrocie Odysa“ znowu interpolował Homera Diktysem (Odysseusz ma zginąć z ręki Telemacha), choć Odyssa obciążył klątwą Edypa, to swoje założenie wysnuł tak głęboko z teologji Homera, z takim pietyzmem dotykał przynajmniej jego motywów, by jak najmniej z nich uronić, że ani na chwilę nie przestał być homerydą, oczywiście z XX wieku.

Na osobną wzmiankę zasługuje osobliwa miłość Wyspiańskiego do Hektora. Nie występuje ona tak wyraźnie w „Achilleidzie“, ani w gobelinie trojańskim z „Akropolis“, jak w ogłoszonym przez F. Hoesicka (Kurjer Warszawski, grudzień 1907 nr. 336 nn) liście z r. 1900, napisanym z powodu pomysłu Sienkiewicza, by w jakiejś tragedji trojańskiej Hektor skrycie kochał Helenę. Wyspiański (wierny tradycji Ajschylosa i Sofoklesa) uważa erotyzm (co innego przywiązanie Hektora do żony i dziecka) za niegodny bohatera homeryckiego (co innego bohaterzy Ariosta), za niezgodny z jego charakterem: „Niechże będzie święta pamięć Hektora takiego, jakim był i jakim go zresztą Homer przedstawia i jaki jest logiczny ze swojem otoczeniem, pojęciami, czasem, epoką, stanem“. Hektor staje się dla niego a p p e l a t i v u m, jak np. Amfitrjon (na gospodarza wobec gości), Automedon (na wiernego woźnicę), Mentor (na starszego towarzysza i nauczyciela)...

...Anerotyczność tragedyj Wyspiańskiego łączy się może z jego awersją do psychologizowania w tragedji. Jest ona dosyć dziwna u entuzjasty mistrza psychologji, Szekspira, ale tłumaczy się łatwo niechęcią do — naturalizmu, który psychologję niby to przesubtylizował, a właściwie wypaczył przez notowanie najbardziej przypadkowych drgnień duszy i serca. Wyspiańskiego postacie silnie czują, ale zamiast wyrażać swe uczucia, wolą nad niemi filozofować i to w kierunku etycznym. A że ich etyka drga ciągle pod magnesem Losu, zaprząta je więcej każdorazowy stosunek do Losu, niż do siebie i otoczenia. Tak podrzędną rolę odgrywa psychologja uczuć tylko w tragedji starożytnej. Tu więc antyk wziął u Wyspiańskiego górę nad Szekspirem.

Bardziej w oczy wpadają inne elementy tragedji attyckiej: pojęcie Przeznaczenia i jego stosunek do winy i kary.

...Wyspiański nie uległ zewnętrznemu fatalizmowi Maeterlincka, ale za przykładem Greków wprowadziwszy Przeznaczenie, prowadzi ludzi do jego spełnienia przez ich własne przewiny. Przewiny te mają przeważnie charakter antyczny.

...Nie mniej grecki charakter ma przekroczenie granic, zakreślonych człowiekowi, równanie się z bogami ὕβρις. Widzieliśmy je w Baltazarze (Daniel), w Kraku, który dla wojennej Sławy porzucił stan kmiecy (I Legenda), Meleagrze (zrównanie Atalanty z Dianą), Lelewelu (uważa się za władcę dusz narodu), Mickiewiczu (z Legjonu, to samo władztwo narodu). Za specjalny atrybut bogów uważa Wyspiański osądzanie czynów ludzkich. Przywłaszczanie sobie tego atrybutu jest winą Młodej i Księdza (w Klątwie), Alknoosa (w fragmencie Feaków), św. Stanisława (w Skałce).

Z „Warszawianki".

Skrzynecki.

Płyń przed nami; jak orzeł, tocz nad nami skrzydła,
skoroć Bóg orlą duszę dał i loty.

Chłopicki.

Tu trzeba wiary...

Skrzynecki.

Więc wierz, bohaterze!
W gwiazdę narodu wierz, zawierzaj szczerze,
a przeznaczeniu zostaw losów wagę.
— Odwagi!...

Chłopicki (zmieniony)

Odwagi wołasz, oto mam odwagę
tysiącokrotną ... Wstępuję w zawroty!

Chór.

(wszyscy porwani ostatniemi słowy)

Prowadź nas, dyktatorze, prowadź wodzu,
z tobą wiara, dla ciebie, niech Chłopicki żyje!!
Niech żyje, z tobą wiara!!

Chłopicki (ciszej)

...Z wami pójść, jak młody,
na ten bój: tam was powieść na ognie, na działa,
w zamęt, — słyszcie...

(nagle urywa; — ucisza się, nadsłuchują)

Marja (głośno, dziwnie spokojnie)

Wam oto wiara się rozwiała.

Przeznaczeń twoich gwiazda leci mimo,...
więc rycerze i boje stracone —
(niektórzy patrzą na nią ze zdumieniem)

Chłopicki.
(trzymając wzrok w jej wzroku)

W twych słowach słyszę rzeczy niezgadnione,
co budzą we mnie rycerza z uśpienia.
W oczach twych widzę ócz moich odbicie;
na rzęsach długich chwieje się łzy perła,
nim spadnie płaczem na stracone życie,
za zmarnowane genjuszowe skrzydła,
włóczące w śniegu mogiłach piór loty;
miasto roztoczyć je na bieg rozpędny,
wśród gromów dział, wojny straszydła
gonić...
Tylu już padło od kul, tam w tym boju;
moc dziwna mnie ochrania w walk zamęcie.
Mnie oto zginąć! Mnie zejść w grób spokoju,
com przeżył moich idei tragedje
i patrzę błędno na spełnione dzieła,
jak na spaczone wielkości obrazy,
któremi pycha moja mię przeklęła.
— — — — — — — — — — — —
Duch wielki zadrżał we mnie znów na głos wojenny.
Drżę, drżę, to radość, ton, — Sen, Los niezmienny.
Z założonemi na piersiach rękami
czekam, aż sen się stanie prawdą żywą,
a rzeczywistość zasunie się mgłami
...i widzę gwiazdę mą szczęśliwą,... leci,
jak meteoru błysk ogniowy, —
upadła w otchłań,... na dnach otchłani
jeszcze zwodniczym błyskiem gwiazdy świeci...
— Los niech dopełni się...; Fatum mnie mami.
Dobrze i dobrze, z wami idę, z wami!
Konia! Mój biały sam w pierwsze szeregi
pogoni. — Konia! Żołnierstwo za nami?
Dowodzę!

(Poruszenie między oficerami. Anna, stojąc, wygrywa jedną ręką nutę i śpiewa; inni półgłosem jej wtórują, ucząc się od niej słów pieśni)

Chłopicki.

(do Marji, korzystając z ogólnego zamieszania; poważnie, przygnębiony)

Panno Marjo, panienkę żegnam.

(do oficerów, generałów)

Panowie, w drogę! Ha! wojsko, już widzę,
w rotach przechodzi. — Dowództwo obejmę!

(ciszej)

Przykuwa mnie oczyma.

Skrzynecki (półgłosem)

Czy zapał ze słomy —?

On zwleka, a w dziewczynę patrzy nieruchomy...

Chłopicki (do Marji)

Nie życzysz, bym się zbliżył, — słów się twoich boję:
Przebaczcie, — jedno jeno to zdaleka proszę.
Snać przeznaczeniem dzisiaj u wrót stoję:
które są wrotą Śmierci; — już żegnam od proga.

Z „Wesela".

Gospodarz.

Cicho, — świta, świta, zorze!
Prawie widno, — to On — Boże!
On, On, — cicho, — Wernyhora. —
W pokłon głowy, prawda żywa,
Widmo, Duch, Mara prawdziwa.

Poeta.

Świtanie na lutniach gędzi...

Pan Młody.

Tętni.

Panna Młoda.

Jedzie.

Gospodyni.

Tętni.

Czepiec.

— Pędzi.

(Wszyscy w nasłuchiwaniu, pochyleni ku drzwiom i oknu, — w ogromnej ciszy, w przejęciu).

Gospodarz.

— — — — — — — — — —

Słuchajcie, kochani, dzieci, —
ażeby to była prawda:
że Wernyhora tam leci
z Aniołem, Archaniołem na czele;
że tej nocy, gdy my przy muzyce,
przy weselu, gdy my w tańcowaniu,
tam, kędyś, stało się tak wiele:
że Kraków ogniami płonie
a MATKA BOŻA w koronie,
na Wawelskim zamkowym tronie
siedząca manifest pisze:
skrypt, co przez cały kraj poleci
i tysiące obudzi i wznieci. —
Słuchajcie, serce mi dysze,
ażeby to prawda była:
że Wernyhora tam leci
a za nim tabunem konie!...

Pan Młody.

Coraz bliżej?

Poeta.

Klęknąć!!

Czepiec.

— — — Stanął, wrył.

Gospodarz.

Strzymał, widać, z całych sił.

Haneczka (w zachwyceniu)

Gdyby to Archanioł był.

— — — — — — — — — —

(Wszyscy pochyleni, pół klęczący, zasłuchani; silnie dzierżąc w prawicach kosy; to imając szable ze ściany pochwycone; to znów jakieś flinty i pistolety; w tem zasłuchaniu, jak w zachwycie duszy; dłoń do ucha przychylona. Słychać było rzeczywiście tentent, który nagle bliski, coraz bliższy, — tuż ustał, — — słychać po chwili ciężkie kroki szybkie, gwałtowne, w sień, w drugą izbę, aże we drzwiach w głębi staje pierwszy drużba:)

SCENA 34.

Jasiek.

Maryś, panie, panie, — Jezu!
koń w podworcu padł.
(rozglądając się)
Cóż wy — Hanka — Jaga — hej,
cóż wy, cóż to, Jaga, — — ej
— — — — — — — — — —
Cóż to, co to, czy zaklęci:
stoją syscy, jak pośnięci;
słysta Hanuś, Błazek, matuś,
panie młody, Czepiec, tatuś,
panie, cóż to, — czy zaklęci;
stoją syscy, jak pośnięci.
— — — — — — — — —
Aha! prawda, żywy Bóg,
przecie miałem trąbić w róg;
kaz ta, zaś ta, cyli zginoł,
cyli mi sie ka odwinoł, —
kajsim zabył złoty róg,
ostał mi sie ino sznur.
— — — — — — — —

(Z izby głębnej, od chwili, wszedł był w tropy za Jaśkiem, kołyszący się słomiany Chochoł).

SCENA 35.

Chochoł.

. . . . . .
Jak ci spadła czapka z piór.

Jasiek.

Tom sie chyloł po te copke,
to mi moze sie odwinoł.

Chochoł.

Miałeś chłopie złoty róg,
miałeś chłopie czapkę z piór:
czapkę ze łba wicher zmiótł.

Jasiek.

Bez tom wieche z pawich piór.

Chochoł.

Ostał ci sie ino sznur.

Jasiek.

Najdę ka gdzie przy figurze.

Chochoł.

Pod figurą ktosik stał.

Jasiek.

Strasy u rozstajnych dróg, — —
cy to pioł, cy nie pioł kur?

(Wybiega przez drzwi weselne, przeciskając się przez gromadę znieruchomioną; — słychać tupot jego kroków w sieni, — to raz się zastanowi, to dalej biegnie;... w trop za nim kołysze się Chochoł, szeleszcząc słomą po potrącanych ludziach).

(Od sadu, od pola, we świetle szafiru,
co idzie jak łuna błękitna, —

głosy się cisną przedrannych ptasich świergotań; niebieskie to Światło wypełnia jakby Czarem izbę i gra kolorami na ludziach, pochylonych w pół-śnie, pół-zachwycie. — Przeze drzwi w głębi wraca Jasiek
i patrzy dokoła i oczom nie wierzy
i coraz się słania od grozy).

SCENA 36.

Jasiek.

Juz świtanie, juz świtanie, —
tu trza bydłu pasze nieść,
trza rżnąć sieczki, warzyć jeść; —
jakże ja se rade dam,
oni w śnie, — ja ino sam —?
— — — — — — — — — —
Syćko tak porozwierane, —
syćko z ręcami na usach,
dech im zaparło w dusach;
jako drzewa wrośli w ziem,
jak tu, co tu radzić jem —?
— — — — — — — — — —
Kajsim zabył złoty róg,
u rozstajnych może dróg,
copke strasny wicher zwiał
bez tom wieche z pawich piór;
żebym chocia róg ten miał, —
ostał mi sie ino sznur.
— — — — — — — — —
Straśnie sie zasumowali,
tak im czoła zmarszczek spion,
jakby ciężko pracowali...

SCENA 37.

(Przez drzwi głębne, od chwili wsunął się był, za Jaśkiem tropiący Chochoł; a teraz na skrzynię malowaną się wygramolił i ze skrzyni tak do drużby poczyna:)

Chochoł.

To ich Lęk i Strach tak wzion,
posłyszeli Ducha głos:
rozpion sie nad nimi Los.

Jasiek.

Tak sie męcą, pot z nich ścieko,
bladość lica przyobleko; —
jak ich zwolnić od tych mąk?

Chochoł.

Powyjmuj im kosy z rąk,
poodpasuj szable z pęt,
zaraz ich odejdzie Smęt.
Na czołach im kółka zrób,
skrzypki im do ręki daj;
ja muzykę zacznę sam,
tęgo gram, tęgo gram.

Jasiek (który był uczynił rzecz)

Ka te kosy złożyć — —?

Chochoł.

W kąt.

Jasiek (ciska za piec drzewca)

Nik ich ta nie najdzie stąd.

Chochoł.

Ze skałek postrzepuj proch
i ciś je w piwniczny loch.
Lewą nogę wyciąg w zad,
zakreśl butem wielki krąg;
ręce im pozałóż tak:
niech się po dwóch chycą w bok;
odmów pacierz ale wspak.
Ja muzykę zacznę sam,
tęgo gram, tęgo gram:
będą tańczyć cały rok.

Jasiek.

(który był uczynił wszystką rzecz)

Już nimajom kos.

Chochoł.

Rozśmiej im się w nos.

Jasiek.

Już ich odszedł Smęt.

Chochoł.

Już nie mają pęt.

Jasiek.

Chytajom się w tan.

Chochoł.

Już nie czują ran.

Jasiek.

Zniknoł czar!

Chochoł.

To drugi CZAR!

(A zaklęte słomiane straszydło, ująwszy w niezgrabne racie, podane przez drużbę patyki — poczyna sobie jak grajek-skrzypak — i — słyszeć się daje jakby z atmosfery błękitnej idąca, muzyka weselna, cicha a skoczna, swoja a pociągająca serce i duszę, usypiająca, leniwa, w omdleniu a jak źródło krwi żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca, jak rana świeża: — melodyjny dźwięk z polskiej gleby bólem i rozkoszą wykołysany).

Jasiek.

(jest teraz kontent a dziwuje się)

Tyle par, tyle par!

Chochoł.

Tańcuj, tańczy cała szopka,
a czyś to ty za parobka?

Jasiek.

(z ręką do czoła, jakby se chciał na ucho nasunąć czapki)

Kajsi mi sie zbyła copka, —
przeciem druzba, przeciem druzba
a druzbie to w copce służba.

Chochoł.

(w takt się chyla a przygrywa)

Miałeś chamie złoty róg,
miałeś chamie czapkę z piór;
czapkę wicher niesie,
róg huka po lesie,
ostał ci sie ino sznur,
ostał ci sie ino sznur.

(kogut pieje)

Jasiek.
(jakby tknięty, przytomniejąc)

Jezu! Jezu! zapioł kur!... —
Hej, hej bracia, chyćcie koni!
chyćcie broni, chyćcie broni!!
Czeka was WAWELSKI DWÓR!!!!!

— — — — — — — — — — — —

Chochoł.
(w bok się chyla a przygrywa)

Ostał ci sie ino sznur.

— — — — — — — — —

Miałeś chamie złoty róg.

Jasiek.
(aże ochrypły od krzyku)

Chyćcie broni, chyćcie koni!!!!

(A za dziwnym dźwiękiem weselnej muzyki wodzą się liczne, przeliczne pary, w tan powolny, poważny, spokojny, pogodny, półcichy — że ledwo szumią spodnice sztywno krochmalne, szeleszczą długie wstęgi i stroiki ze świecidełek podzwaniają, — głucho tupocą buty ciężkie, — taniec ich tłumny, że zwartem kołem stół okrążają, ocierając o się w ścisku natłoczeni).

Jasiek.

Nic nie słysom, nic nie słysom,
ino granie, ino granie,
jakieś ich chyciło spanie...?!

(Dech mu zapiera Rozpacz, a przestrach i groza obejmują go martwotą; słania się, chyla ku ziemi, potrącany przez zbity krąg tanecznikóv, który daremno chciał rozerwać; — a za głuchym dźwiękiem wodzą się sztywno pary taneczne we wieniec uroczysty, powolny, pogodny, — zwartem kołem, weselnem —)

— — — — — — — — — — — — — — —

(kogut pieje)

Jasiek.
(nieprzytomny)

Pieje kur; ha pieje kur...

Chochoł.
(nieustawną muzyką przemożny)

Miałeś chamie złoty róg...

— — — — — — — — —

Z „Kazimierza Wielkiego".

LXVI.

Polska się cała zbiegła do mych prochów,
w grób mój patrząca pusty. — „Tu król leżał"
poczęli wołać w szemraniu popłochów.
„Oto już gniazdo wiekowe odbieżał!"
„Oto żądamy widzieć widmo lochów,
aby je każden swoją miarą mierzał.
On jest nasz, — wszystkich! Jesteśmy Tomasze;
żądamy widzieć, patrzeć w Święte nasze!"

LXVII.

„Chcemy położyć głowę w ich pościeli,
pyłem ich świętym żegnać nasze dzieci;
niechajże Jego duch w małe się wcieli
i nieugięcie z nich błyska i świeci,
niechby się w jednem piętnie prochów jęli
ramiony, że się pożar w nich roznieci!
Oto jesteśmy Tomasze bez wiary,
widzieć żądamy próchno, — w niem są Czary!"

LXVIII.

„Uprowadzają nam króle w zazdrości.
Odwalon kamień tumby a loch pusty.
Oto niesiemy balsamy, wonności,
uwonić strzępy, proch całować usty;
Niechby w nas Spokój-wiekowy zagości,
spowiedź uczynim i znajdziem odpusty".
O pustą tumbę rozbili swe dzbany
mleka i miodu i jęknli: „porwany!"

LXIX.

Rzesze szły; wszystkie szemrzą: „Król porwany".
„Nie ujrzym Króla! Niemasz!" — Rzesza rosła.
„Gdzie Król!!" — A inni krzyczą: „Zmartwychwstany!"
„Oto go Boża-moc z grobu uniosła!" —
„Oto wyklęczym kamienie kolany,
aż go nam wróci Bóg Zwiastuna-posła.
Bo snać zrządzenie to i snać być miało
bych Jego wszystko serce dziś płakało".

LXX.

Widzę ich potem, jak do krat się cisną,
któremi byłem odgrodzon, w gościnie;
jak ciałem w nie się wpoją, jak zawisną
u zimnych bronzów rękami; — — i płynie
na mnie dech twórczy z nich; zaklęciem wskrzysną
się kości, prochy ruszą,... wstaję ninie!
Duchem podnoszę się z trumnego stosu
na łuny gorejących świec — potęgą głosu.

LXXI.

Potęgą tego wołania: „Bądź wskrzeszon!
Bo już nam braknie tchu żyć, bo już mrzemy!
Wskrześnij! Abych twój naród był pocieszon,
oto w rozpaczy żalach szaty rwiemy.
Jako ów Chrystus był na krzyż zawieszon,
tak my nad pustką zawiśli, łakniemy!
Króla! — Królewski Cieniu! Z nami, z nami!
Stań się Duch! Zmiłuj nad pokoleniami".

LXXII.

O ludy, teraz rozumiem głos Ducha;
teraz rozumiem... „wracaj"... skąd wołano.
Teraz, gdy na mnie, jako orkan, bucha
narodu zgodny jęk, rozkaz i miano.
I ta grobowa straszliwa posucha
ust, gdy już kamień tumby odwalano.
Powietrza! Tchu! Hej z wami, z wami, z wami!
. . . . . .

LXXIII.

Ponosi mnie wicher w skłębionej zamieci,
już chmur się zagony piętrzące odwalą,
już piorun z nich wypadł i czeluść roświeci,
powietrzne dziwadła piorunem się palą;
jak liściem mną burza przegania i miece
a głos mój się niesie daleki Echami:
„Do mnie, Hej do mnie! na wiekowe wiece!
Ja król nad wami! Ja Duch znowu z wami!"

LXXIV.

Miałem mieć pogrzeb — a jużem był wolny,
jak duch, — jużem polatywał nad krajem;
patrzyłem na Rozpacz, na żal nieudolny; —
widziałem, jak łżyli siebie wzajem;
moje dni, sam przypomniał mi lud rolny,
dawnym w zagrodach rządny obyczajem; —
a i tam jeszcze dymne spalenisko
kurzące — i już śmierć duchowa blisko.

LXXV.

Po jakiejś wielkiej pożarnej ofierze
i wielkiem dusz zatraceniu
przyszedłem; — gdy pobory swoje bierze
Nędza, całemu władna pokoleniu.
I rany te serdeczne jeszcze świeże
i przerażenie to straszne w sumieniu.
Więc złorzeczyłem, więc bluźniłem Niebu,
wyczekujący w jękach dnia pogrzebu.

LXXVI.

Pod wielką wieżą, gdzie zegary dzwonią,
dawne, prastare, jękliwe godziny,
usiadłem i oparłem głowę w dłoniach;
czekam, aż wreszcie ten dzień Zorze spłonią,
w którym się wszystkie moje zbiorą syny,
które się znaczą orłem i pogonią;
aż je przywiedzie hasło na równiny
podmiejskie, — aże zalegną na błoniach.

LXXVII.

Aż upłynęło czterykroć dni czworo,
cały stok wzgórza narodem zakwitał.
Nocą, gdy spali, szedłem pośród zmorą;
kładłem na sennych ręce, bom się witał;
kreśliłem na nich znaki mej pamięci;
a czoła im od dotknięć moich gorą.
Trudami drogi pielgrzymiej pośnięci
legą — a już daleki odblask świtał.

LXXVIII.

A gdy król kładzie dłoń na sercę ludu,
to serce, jako ptasze doń trzepoce
i bliską chwila jest duchowa cudu,
że oto wtenczas są przesilne noce
a śpiący zbywa na śnie grzechów brudu; —
a stado orłów nagle załopoce,
przelatujące ponad wieżycami
i tylko słychać, jak biją skrzydłami.

LXXIX.

A potem inne gromadzą się rzesze
ptasie; kraczące chmarami złowrogie,
świergotne czyże, jaskólce podstrzesze,
żórawne hufce, wronie roty mnogie —
i polatują i krążą z wysoka
złe-duchy, które nocna rodzi Mroka; —
aż naraz we mnie uderzają wrogie
wrzaskiem i krzykiem strasząc i złorzecząc
a jako widma Piekieł, nikną lecąc.

LXXX.

Tylko się śpiący we snach przelękali
i ciężko dysząc, robili piersiami
i widać było, jako na snach łkali,
straszeni duchów czarnemi lotami.
I już się grozą z legowisk zrywali.
Ale już serce w nich czarem zmienione;
krzywd niepamiętne bratnich, podniesione,
więc się ocknięci krzyżami żegnali:
AVE MARIA † CHRYSTE † DUCH NAD NAMI

JAN KASPROWICZ

(* 12. XII. 1860 w Szymborzu).

Wydał: „Poezje", Lwów 1888. „U trumny mistrza", dwa fragmenty poświęcone pamięci Adama Mickiewicza, Lwów 1890 i Lipsk 1904. „Z chłopskiego zagonu", Lwów 1891. „Chrystus" 1, Lwów 1890, 2, Lipsk 1904. „Świat się kończy", dramat z życia ludu wielkopolskiego, w 5 odsłonach, Lwów 1891, „Anima lachrimans" i inne poezje, Lwów 1894. „Miłość", Lwów 1, 1895. 2, 1902. „Krzak dzikiej róży", Lwów 1, 1898. 2, 1907. „Bunt Napierskiego", Lwów 1899. „Baśń nocy świętojańskiej", Lwów 1900. „Ginącemu światu", Lwów 1902. „Salve Regina", Lwów 1902. „Uczta Herodjady", Lwów 1905. „O bohaterskim koniu i walącym się domu", Lwów 1906. „Bajki, klechdy i baśnie", „Ballada o słoneczniku i inne nowe poezje", Lwów 1908. „Album współczesnych poetów polskich 1863—1898", 2 tomy, Lwów 1898. „Moja pieśń wieczorna", „Zbiorowe wydanie dzieł" w 6 tomach Lwów 1910-11; poza tem wydaniem: „Chwile", 1913. „Księga ubogich", Lwów 1916. „Marchołt gruby a sprośny", Lwów 1920. Przekłady z Gudruny, Waltera von der Vogelweide, Wolframa v. Eschenbach, Hartmanna v. der Aue, Schillera, Goethego, Torquata Tassa, Grillparzera, Hauptmanna, Róży Berndt, Woermanna, Spittelera, Emersona, Hofmana, Dehmela, Vauvenauera, Maeterlincka, Rostanda, d'Annunzia, Rabindranath-Tagore, Bracca, Heiermansa, Ibsena, Björnsona, Marlowa, Szekspira, Byrona, Shelleya, Browninga, Yeatsa, Swineburna, wreszcie tragików starożytnych: Aischylosa, Eurypidesa i Sofoklesa.

ZYGMUNT WASILEWSKI O KASPROWICZU.

(bio- i bibljografja Z. Wasilewskiego ob. str. 63.)

(Wizerunek duchowy człowieka.)

....Wyczuwał i kochał rzeczy niepodrabiane, zgodne z naturą człowieka tworzącego, widząc tylko w takich wartościach przejaw życia powszechnego, ponad które nic miał nic wyższego. To widzenie rzeczy czyniło jego duszę otwartą na wpływy filozofji

klasycznej. Tchnęło od niego humanizmem Marka Aureljusza nie przez to, żeby wygłaszał sentencje, tylko że miał we krwi harmonję człowieka jednolitego, zgodzonego z prawem natury, bez śladów, jakie zostawia na ciele i duszy gorset cywilizacji, nabywanej w tresurze, oddzielonej, jako forma, od treści człowieka.

Jak sztukę, traktował i życie, a to, jak wiemy z jego poezji, nie miało dla niego hierarchji. Nie wstydził się przecież wyznać, że gdyby za to, iż nic dla ojczyzny nie robi, miano go sądzić, odpowiedziałby w obronie swojej: „Słuchajcie: rzuciwszy raz strzechę mych ojców, w pole-m pobiegł i grudę, obsianą przelichem, wątłem ziarnem, serca mego raną zwilżyłem potajemnie. Czyn ten mnie ocali". Tego, co ludzkie, szukał w sercu, a za nic mu były pozory i formy czy w sztuce, czy w życiu. W ludziach, jak w dziełach sztuki, spostrzegał dziwnie wrażliwym zmysłem sztuczność, obłudę i trywjalność. Posługując się tem poczuciem wartości wewnętrznej, nie miał nigdy podziwu dla wielkich słów i stanowisk. Wyrabiał sobie środowisko sercem, nie zaś formalnie. Gdzie nie mógł być sobą, zamykał się. Odrzucało go coś od ludzi ordynarnych, to znaczy nie mających życia wewnętrznego.

Robił wrażenie organizacji kosmicznej w tem znaczeniu, że przyjmował z cywilizacji instynktem tylko to, co potrzebne mu było do rozrostu ducha w tym typie, jaki temu duchowi, dziedziczonemu po wielowiekowej jednolitej kulturze ludu, odpowiadał z natury. Niezdatny do czynienia kompromisów i ustępstw zasadniczych z tego, co uznawał za prawdę, w stosunkach ze światem trzymał się rezerwy, folgując naturze towarzyskiej tylko tam, gdzie się czuł w kole przyjaciół, niekrępowany formą konwenansu i obawą podejścia. Stosunki towarzyskie w atmosferze nieszczerości i płytkości etycznej, a zwłaszcza tam, gdzie się uczuwa zawiść, a w grę wchodzi pospolitość rozpierania się łokciami, takie stosunki były przeciwne jego naturze.

....Rozkoszą ducha było zawsze dla Kasprowicza wyrywać się ze środowiska nie odpowiadającego jego naturze. Porwał się jego duch na wielką służbę wskazaną przez cywilizację istotną, ale mierzi go pospolitość ludzi w tej sferze. Pytanie to było stałe:

O wielcy i syci tej ziemi!
Cóż z wami łączyć mnie może?

Choć tak samo, jak wy, się ubieram, przy jednym z wami zasiadam stole, choć wspólne mamy nieraz grzechy i cnoty,

Jakież mnie wiążą z wami
Łączniki, węzły i spójnie,
Choć jedno z błękitów słońce
Spogląda na nas tak czujnie?

Szukał otoczenia, z którem mógłby obcować, jak mówił „z rozpiętą kamizelką" — z otwartem sercem. W rozweseleniu

rozprostowywała się jego natura w całej okazałości; wtedy można się było dowiedzieć, co mu dolega i co go porywa i zainteresować się bogactwem jego natury.

...Nie słyszałem nigdy od Kasprowicza czegoś, coby trąciło doktryną. Miał dla niej taką pogardę jak Mickiewicz. Mówi tylko to, co przetrawił na przeświadczenie, nigdy opinij bieżących, za kimś powtarzanych.

...Dla Kasprowicza poezja jest jedną z dróg dochodzenia prawdy. A należy do tych niepospolitych duchów, które ją wyczuwają intuicyjnie, gdy poruszą się do głębi. Jedni z nich, typu czynnego, poruszają w sobie w ten sposób wolę. Wtedy ona daje im ową syntezę duchową, którą zwiemy intuicją i rodzi się czyn, będący nieodpartą ich potrzebą psychiczną. Umysł typu myślicielskiego w takiem poruszeniu duchowem wpada za olśnieniem w przeświadczenie bez udziału myślenia dyskursywnego. Wreszcie typ poetycki w tym stanie duchowym, który Mickiewicz nazywa błyskiem, spostrzega wzrokiem wewnętrznym prawdę, jako piękno. Wyjawienie tej prawdy staje się dla poety koniecznością; utrwalić ją w dziele sztuki jest jego powołaniem.

Każdy z tych typowych stanów jest dla świadomości postacią przeświadczenia, któremu odpowiada objektywnie treść jako p r a w d a. Do tego celu, do owej prawdy, dochodzą umysły każdego z powyższych typów, z mniejszą lub większą dozą pewności, w drodze mozolnej pracy: 1) wysiłkiem woli poprzez wahania i próby, 2) dyskursywnością rozumowania sylogistycznego, 3) pracą artystyczną wedle wszelkich wzorów, zależnie od tego, która z pierwiastkowych władz ducha stanowi siłę naczelną ich indywidualności twórczej. Rysem zasadniczym niepospolitości jest intuicyjny stosunek do rzeczy, bezpośredniość poczucia prawdy, wyrażająca się przeświadczeniem bez uprzedniego wysiłku. Twórczość takich natur jest tylko wykonywaniem tej prawdy, dawaniem jej wyrazu, realizacją. Sztuka dlatego jest dla niej sprawą wtórną, raczej pochodną, wyrazem tego, co już się dokonało w duszy. To, co się dokonywa tam w duszy, jest owem Słowem twórczem Ewangelji i Mickiewicza. Bez Słowa niema ciała.

To poczucie stanu Słowa, owa siła nieodpartych przeświadczeń dana jest tylko naturom centralnym, w których wszystkie władze działają dośrodkowo i w chwili głębokiego poruszenia układają się koncentrycznie, osiągając zupełną zgodność.

Są w naturze ludzkiej odwieczne instynkty osiągania zasadniczych celów idealnych, streszczających się w pojęciu dobra, prawdy, piękna. Do czegokolwiek dusza dąży, wtedy tylko dozna olśnienia, że cel osiągnęła, gdy wszystkie jej drogi wpadną na jeden tor, który wtedy staje się dla niej środkiem poznania. Natury takie są obdarzone zmysłem prawdy. W tym zmyśle jest jednocześnie i wola prawdy, i pewność, i dar jej widzenia. Genjalność jest tajemnicą budowy duchowej, polegającą na ześrodkowaniu ducha, które nazwać można zjawiskiem akomodacji psychicznej.

Władze duchowe, jak oczy, widzą dobrze, gdy są zakomodowane, gdy człowiek nie zezuje i nie widzi tak, jak się to często zdarza z ludźmi w złej kulturze, że patrzą na coś bądź estetycznie, bądź teoretycznie lub też wyłącznie praktycznie i niezdolni są psychicznie (bez przymusu zewnętrznego) wejść na drogę mądrości postrzegania wszechstronnego. Stopniem takiego ześrodkowania czy akomodacji psychicznej mierzyć trzeba wielkość ludzi i kultur. Im więcej tej siły ducha da wychowanie natur integralnie ześrodkowanych, tem bardziej twórcze są społeczeństwa. Im lepiej pod tym względem poszły czyjeś dzieje, tem większa jest cywilizacja.

To pewna, że tej akomodacji wzroku duchowego najwięcej ma lud w duszy swojej. Jego bowiem dzieje, skupione koło jednej osi życiowej, w jednym kierunku wysilone pod przewodem jednakowo duszę organizującej woli życia, nie różniczkowały władz ducha, ale je syntetyzowały dziedzicznie. To, co u ludu zwiemy mądrością zdrowego rozsądku, w jednostce indywidualnie wypracowanej staje się genjalnością. Przyczem nie ilość nabytej wiedzy i kunsztu będzie decydowała o jej genjalności, ale s t o s u n e k do siebie poszczególnych władz ducha. Jest to tajemnica ustroju, gatunku, nie ilości. Dlatego mówi się o rasie twórców.

W. GOSTOMSKI O „HYMNACH“ KASPROWICZA.

Walery Gostomski urodził się w r. 1854 w Borucinie. Wydał: „Arcydzieło poezji polskiej: A. Mickiewicza „Pan Tadeusz“. „Historja literatury powszechnej“ 1898. „Z przeszłości i teraźniejszości“ (studja i szkice krytyczno-literackie) 1904. „Arcytwór dramatyczny: St. Wyspiańskiego Wesele“ 1909.

Zmarł w Wiedniu 30. I. 1915 r.

....Kasprowicz należy do tych, którzy walczą i mają o co walczyć. Wiara jego wydaje mi się niby skała poszczerbiona i podrywana przez bijące o nią wciąż potężne fale zwątpienia, ale nie skruszona przez nie, ani zalana. Wspaniały obraz tej walki żywiołów duchowych znajdujemy w czterech poematach symbolicznych, przez poetę w tytule „Ginącemu światu“ poświęconych. Tytuł ten uwydatnia dobitnie przewodnią myśl pesymistyczną, wywiązującą się w osnowie cyklu z tragicznej kolizji uczuć duszy, wątpiącej i zrozpaczonej zwątpieniem, a jednak głęboko religijnej i spragnionej wiary. „Ginącemu światu“ śpiewa poeta ponurą pieśń zagłady i zatracenia, pieśń, pełną widzeń gorączkowych i bolesnych wyznań grzechu i winy.

Cztery poematy, w których rozwija się stopniowo tragiczny jej wątek, osnute zostały przeważnie na motywach, zaczerpniętych z odwiecznej tradycji religijnej świata chrześcijańskiego, przenika-

jącej nawskroś — pomimo wszelkich jego zwątpień, zaprzeczeń i bluźnierstw nawet — życie duchowe naszego poety. Osobiste objawy tego życia — uczucia, myśli i wstrząśnienia, w których ono się urzeczywistnia — wyobrażają symbolicznie zasadnicze stany zbiorowej duszy ludzkiej, streszczone i uświadomione w duszy jednostkowej. Poeta cierpi tu i bolejc cierpieniem i bólem nieszczęsnego społeczeństwa, trwoży się jego trwogą, w tragedji własnego serca odczuwa los jego tragiczny, a bezmiar jego grzechów, występków i zbrodni uprzytomnia sobie w skłonnościach i usposobieniach wewnętrznych własnej swej grzesznej natury.

. . . . . Na czele znajdujemy przepotężny poemat, osnuty na motywie starodawnego hymnu kościelnego, D i e s i r a e. Poeta z ogromną mocą odczuwa zasadniczy ton grozy przeraźliwej, dźwięczący w tej sławnej pieśni o sądzie ostatecznym, a przyswoiwszy go sobie, rozwija go szeroko i samodzielnie, wplatając w wysnuty zeń wątek uczucia, idee i obrazy, w których ujawnia się złożona i zawiła niezmiernie dusza człowieka współczesnego. Ale ta zawiłość psychiczna nie wyklucza bezpośredniej, żywiołowej niemal siły odczuwania pierwotnego motywu religijnego. Zespolenie w jednym nastroju psychicznym dwóch takich potężnych, a tak krańcowych stanów duszy, jak śmiertelne przerażenie naiwnej wiary i oszalała nieomal rozpacz zwątpienia, nadaje poematowi ogromną rozległość i siłę wyrazu, ale zarazem czyni go dziwnie chaotycznym, rozwichrzonym, oraz napełnia go takim bezmiarem zgrozy i okropności, iż wrażenia powstałe stąd sięgają najdalszych kresów poczucia estetycznego, a niekiedy stanowczo je nawet przekraczają.

. . . . Oba poematy: „Święty Boże, Święty mocny“, i „Moja pieśń wieczorna“ — już przez zasadnicze swe motywy, przez swą formę zewnętrzną i ton, głównie w niej panujący, pociągają nas szczególnym urokiem swojskości; pierwszy z nich nawet tytułem swoim w swojską uderza nutę.

Komuż z nas, nieobcych tradycji rodzimej i na działanie jej wrażliwych, nie przemówiły kiedyś do serca te słowa hymnu religijnego, unosząc się w uroczystym śpiewie rozmodlonego ludu pod sklepieniami naszych wiejskich kościołów? Któż nie podzielał bodaj przez chwilę tego uczucia wiary głębokiej, z jakiem lud wznosi swą pieśń błagalną ku przybytkom Bożym? A jak wymownie, jak potężnie dźwięczą w niej odgłosy potrzeb i pragnień, klęsk i cierpień życia! Ucho poety słyszy wyraźnie te dźwięki, serce jego odczuwa cały ogrom odzywającej się w nich niedoli, ale umysł jego niezdolny jest poddać się uczuciom pokory i rezygnacji, z naiwnej wiary ludowej płynącym. Wierzy on wraz z ludem w Boga mocnego i nieśmiertelnego, lecz brak mu utrwalonego silnie w duszy poczucia Świętości Bożej. Powtarza wprawdzie ciągle przejmujące wołanie: Święty Boże! bo dźwięczy mu ono odgłosem najczystszych, najwznioślejszych wspomnień — myśl jego

wszakże bluźni nieraz Bogu, serce przeciw Niemu powstaje, bo myśl ta pełna jest zwątpień, a pod ich wpływem serce odczuwa ból świata jako krzywdę, jako ucisk straszliwy wszechpotężnej przemocy.

..... „Pieśń wieczorna“ wyróżnia się od poprzednio rozważanych utworów Kasprowicza nierównie większą harmonją i przejrzystością układu. I w niej słyszymy istną symfonję poetycką o różnych motywach, rozwijających się w wielorakich przemianach i połączeniach, ale niema tu takiego chaotycznego ich powikłania, jakie widzieliśmy w pieśniach poprzednich.

.... Wątek główny „Pieśni wieczornej“, jako wysnuty bezpośrednio z głębi osobistego, uczuciowego życia poety, i dopiero w dalszem swem rozwinięciu ogarniający motywy życia ogólnoludzkiego — więcej ma skupienia wewnętrznego i jednolitości, a zatem prostszy jest i wyrazistszy. Żywioł liryczny silniej i naiwniej w nim występuje, choć i symbolika nie jest zeń wcale wykluczona; owszem, zawarta jest w samym już tytule i w zasadniczym pomyśle poematu. Zarysowuje się tu w wyobraźni poety cichy, wieczorny schyłek dnia, gasnącego w krwawych blaskach zorzy zachodniej, jako symboliczny obraz ukojenia, wpływającego do duszy po burzliwym dniu, pełnym bólów i wstrząśnień namiętnych, które zapadają w ciszę martwego spokoju, pozostawiając po sobie krwawe odbłyski dogasającej wraz z niemi siły żywotnej jestestwa ludzkiego.

.... Pewną jest rzeczą, że jego wspaniały cykl liryczno-symboliczny stanowi jeden z najpotężniejszych i najszczerszych w poezji objawów zamętu i rozstroju, panującego w duszach ludzi dzisiejszych; jest zarazem dziwnie wymownym i przejmującym do głębi krzykiem budzących się dzisiaj z długiego odrętwienia pragnień duchowych, pragnień idei wyższej, wiary, wzlotów nadziemskich. Niezmierna jego siła, powodująca, jak widzieliśmy, częste naruszenia harmonji słowa i nastroju poetyckiego, jakże wymownie świadczy o wielkości potęgi wewnętrznej, która się w nim wyraziła. Czyżby taka potęga miała przeminąć bez śladu, utonąć w zamęcie rozpacznych szałów lub w martwocie kamiennego spokoju?

Z „Mojej Pieśni wieczornej“.

Ze „Święty Boże, święty mocny“.

Świat dół swój grzebie
od pierwszych dni,
a w obramieniu Trójkąta
Twe oko lśni
nad węgłem niebieskiej bramy...

JAN KASPROWICZ

A my wołamy do Ciebie,
a my wzdychamy,
Ewy nieszczęsne dzieci...
A z głuchym łoskotem
na trumnę sypią się grudki
ziemi, oblanej potem
ziemi, oblanej krwią...
A naokoło zapadłe mogiły
i cicho łkające smutki
wśród trawy, co z cichym szelestem
pożółkłe liście kołysze.
A światłość wiekuista biednym ludziom świeci
w tę podróż ciemną...
Jestem!
I Ty jesteś tu ze mną!
Przerwij tę ciszę!
Niech Twoje słowo gromowe
zagrzmi nad wielkim cmentarzem!
Radosne niech głosi nadzieje!
Niech zapomniani wstaną,
a żywym niechaj życie nie będzie ponurym,
wieki kopanym dołem!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Z kornem błagamy czołem!
Spuść Swoją łaskę na tę naszą głowę,
na oczy, zmroczone łzami!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Daj spiekłym łanom
rzeźwiący deszcz!
Nie zsyłaj gradu,
który nam zboże zsiecze, nim dojrzeje...
Nie trać naszego dobytku
w owcach i koniach!
Trzymaj zdaleka pomory,
które nam biją
ostatnią krowę z obory!
Ze żyta wypleń sporysze
i chwast kąkolu

i w ręku trzymaj te chmury,
by się nie rwały
i nie topiły w ulewie
snopów na polu!
Niechaj nie płaczą stulecia!
Niech mróz spóźniony nie warzy nam kwiecia
na ledwie rozkwitłem drzewie,
na naszych wiśniach i gruszach,
na naszych starych pochyłych jabłoniach...
I wdzięczność rozpal nam w duszach,
byśmy Twe dary godnie oceniać umieli.
O pełen kary
i przebaczenia pełny!
Chociaż ci nasze te grzechy utrudnią
stanąć nad niemi z powieką zamkniętą,
niech Twoja litość stokroć większą będzie,
niżeli wszystek nasz grzech!
O Panie!
Nie daj wysychać studniom!
Niech się Szatana nie rozlega śmiech!.
Na naszej grzędzie,
gdzie ciężki trud rozpoczęto,
niech trud ten żniwem się stanie!
Spraw, aby w wielkie, uroczyste święto,
w tę chwilę wesołą,
gdy na organie
i śpiewem i kadzidłem wielbimy Twą moc
i dobroć Twoją,
nie była dla nas potrzeba
skąpić dzieciom chleba!
Chroń nas od zdrady
i daj nam tyle,
byśmy we własnej spoczęli mogile;
by nasze dzieci czy wnuki
gdy przyjdzie im dla ojców starych kopać grób,
nie były przymuszone iść między sąsiady
i prosić o jałmużnę ach! na cztery deski,
na prostą, białą skrzynię z naznaczonym smołą
krzyżem u głowy...

Ojcze niebieski!
Na pokropienie daj
i aby grosz był gotowy
dla dziadka proszalnego, co w gorącej wierze
ciche odmówi pacierze...
A jeśli ziaren swych łask
nie zechcesz równać strychulcem
po brzegi swej szczodrej ćwierci,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
racz nas zachować, Panie!
I niechaj w wietrze chorągwie trzepocą,
niech się gromnice złocą,
niech blask ich płynie w ten słoneczny blask!
Pogrzebne niech zabrzmią śpiewy
nieszczęsnym dzieciom Ewy!
Padłym na znojnym łanie
niech dzwoni żałobny dzwon,
niech szumi z tej strawy szelestem...

Święty Boże! Święty Mocny!

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,
a czarna wrona
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca
kracze i kracze
i dziobem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
świetlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie,
do wielkiej się wloką mogiły...

Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądolcach
i, z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...
Z mokradeł kępy rogoży,
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkiemi
wierzb zaszeleścił rząd
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żałobie
śladem ich drogi...
Całe rżyskami zaścielone łany
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i płyną
tą wielką żalu godziną...
A Ty, o Boże!
o Nieśmiertelny!
o wieńcem blasków owity!
na niedostępnym tronie
siedzisz pomiędzy gwiazdami
i głową na złocistym spocząwszy Trójkącie,
krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej
i ani spojrzysz na padolny smug!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżyce

jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą mrzeć,
w samotny kłaść się grób...
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
O Boże!
O Mocny!
Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód!
Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.
A jako ryczący lew
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O zniszczeń dymiące dni!
A my, ten ród potępiony,
krzyże ująwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiemi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znojny
w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wraz się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —

idziemy, biedną pochyliwszy głowę,
jak ten zsieczony las —
idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na to cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie...
A pierś nasza łka,
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła krwią ociekające,
a jaskier więdnie na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik i wodne lilje,
a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!?
O Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej i niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi,
zachowaj nas, Panie!...

My — przeżyci?

My — przeżyci?... My, jak kwiaty,
które wczesny zwarzył mróz?
My powiędłą mamy duszę
śród zapadłych, ciasnych łon?

A tak chwiejną, rozwichrzoną,
jak korony białych brzóz,
W które wicher z deszczem wali?
Wątły będzie jutro plon

Naszej siejby?... Nie przeżyci!...
Naszą pierś rozpiera ból,
Lecz w tym bólu nie wyczerpań,
nie rozkładu mieszka jad:
Życie drga w nim mocą mocy,
co wśród smutnych idzie pól
Chmurnie, groźnie i stanowczo,
by stracony zdobyć świat.

Idzie cicha... Nie dźwięk fanfar,
nie triumfów głośny wrzask
Towarzyszy jej w tej drodze...
Idzie skromna i na twarz
Nie przywdziewa ni proroków,
ni kapłanów dumnych mask.

Idzie jako prosty żołnierz...
w szarym płaszczu... idzie w dal,
Niewstrzymana... bo iść musi,
choć ma jęk za przednią straż,
A za sobą melancholję
i tęsknicę, cień i żal...

Życia ogromne morze grzmi przede mną.

Życia ogromne morze grzmi przede mną,
A ja na brzegu stoję zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany,
Oczy mam tylko w dal utkwione ciemną.

Łódź na mnie czeka... Wrą żywiołów boje,
Głosem trytonów wzywając w odmęty,
A ja się wiosła nie imam: przeklęty,
Samotny żeglarz, bez odwagi stoję.

Pół sen, pół jawa — oto dzień żywota,
Pędzon na żwirach pustego wybrzeża,
O które fala daremnie uderza,
Daremnie z hukiem srebrne piany miota.

Pancerne statki wyruszyły w drogę:
Warczą ich koła, z paszcz buchają dymy,
Płyną po głębiach, jak ptaki-olbrzymy,
Precz poza sobą zostawiwszy trwogę.

A ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Na karku tylko dreszcz mi usiadł blady
I rwie mą przędzę bezlitośną dłonią:
Chwila, a w chmurach pioruny zadzwonią,
Mego wybrzeża wstrząsną się posady.

Chwila, a orkan porwie swe obroże,
Z rąk i z nóg swoich ciężkie pęta zrzuci
I w zaślepieniu szaleństwa wywróci
Z granic kotliny rozszalałe morze.

Cały ten ogrom z łożyska wyważy:
Ku niebu wzdmie się ta pierś Lewiatana,
By, płomieniami błyskawicy zlana,
Opadnąć z jękiem tonących żeglarzy...

Topi się ołów przestworza! Z łoskotem,
Z trzaskiem i sykiem już się woda pali!
Błogosławiony, kto ginie w tej fali,
W walk żywiołowych rozognieniu złotem.

Błogosławiony, kto pochwycił wiosło
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła!

Błogosławiony, kto z swej ludzkiej duszy
Umie wykrzesać pokrewieństwo burzy,
Swe błyskawice w głębinach zanurzy,
Swojemi grzmoty przestworza poruszy!

Zalewasz brzeg mój, rozhukany wirze?
Piekielna mściwość twe skrzydła rozpędza?
Zalej go! zalej! wszak na nim śni nędza,
Co swoje własne, gnuśne stopy liże!...

Zalej go! zalej! ten mój brzeg przeklęty,
W piarg się rozpadły zębate opoki!
Wybrzeże piasek zasypał głęboki:
By stężał w turnię, znikła już nadzieja!

Zalej go! zalej! z ciałem Prometeja
Bezpłodny, pusty i jak rozpacz nagi:
Więzi mnie na nim trwożny brak odwagi,
Gdy w krąg żeglarze śpieszą na odmęty.

O niema łódko, a przecież wymowę
Strasznych demonów mająca!... O wiosło,
Coś się ze ziemi, jak gigant, podniosło
I idziesz na mnie, na senną mą głowę!

Falo, wiodąca wciąż ze sobą wojnę!
Śmiałe, po falach wciąż krążące statki!
Żagle, rozwiane niby kwiecia płatki!
Maszty, w flag tysiąc różnobarwnych strojne!

Życia ty morze, tak grzmiące przede mną,
Gdy ja, na brzegu stojąc zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany
I wzrok mam tylko w dal utkwiony ciemną —

Gdy ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Tęsknie ku tobie, o szumiący lesie!

1.

Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodje plenny.

Syt jestem ziemi, z tej kaźni codziennej
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienny,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twej pieśni, jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpłynięcie bytu;

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu...

2.

Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze.

Gdy kształty bytów święte Słowo Boże
Przybierać jęło, o szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków przedwiekowych morze!
W on czas, gdy żywioł za żywiołem rwie się.

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez słońca i bez nocy głuszę —

To samo w on czas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

3.

Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie!
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludzkim śpiewa językiem, w twym szumie

Akord najcichszy... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się
I swą koronę wraz z twemi kołysze,

I razem z tobą, o jęczący lesie,
Jęczy i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata...

4.

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się;
Bo najszumniejsze melodje dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpłynięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

Sierotka.

W świat idzie biedna sierotka
z oczkami zapłakanemi —
wiatr wieje i sypie śniegiem
po zamarzniętej ziemi.

Macocha wygnała z domu,
zimno i noc już zapada,
przy drodze nagie topole,
wron się zrywają stada.

W świat idzie biedna sierotka,
w pustkowie zatapia oczy,
wtem przed nią pałac ogromny
z gęstej wychyli się mroczy.

W oknach goreją światła,
zamek, jak płomień czerwony,
łuna złocista bije
na mury i bastjony.

W komnatach głośno rozbrzmiewa
przesłodkie: „W żłobie leży“,
sierota zdumiona staje
u pałacowych dźwierzy.

Chce dzwonić — nie sięgnie dzwonka,
chce pukać — za słabe dłonie:
nikt jej nie słyszy w zamku,
co w świetle i pieśni tonie.

Gdzie, w którą stronę się udać?
W mgłach przed nią świat daleki!
Pod murem zamkowym spocznie
i zaśnie — może na wieki!?...

Wiatr wieje i śniegiem sypie —
sierotka wytęża oczy:
u stóp zamkowych chatynka
gubi się w gęstej mroczy.

W okienku światło przygasa,
przymilka kolęda słodka:
— Otwórzcie mi, dobrzy ludzie,
jać jestem biedna sierotka!

Otwarli jej drzwi sosnowe,
wpuścili do niskiej chaty:
— Ogrzej się, dziecię, przy ogniu —
zjedz kęsek niebogaty!

Sierotka siadła przy ogniu —
o, jaki los szczęśliwy!
i kromkę ma, a wokół
dzieją się cuda i dziwy.

W izbie, gdzie knotek przygasa,
gdzie głosu na pieśń nie stanie,
światłość się wielka rozlewa
i setne słychać granie.

W białych jak śnieg sukienkach
wkraczają aniołowie,
skrzypeczki im błyszczą w dłoni,
korony jasne na głowie.

Kolędy przecudowne
w nadziemskie płyną raje,
a w środku tego orszaku
sam Chrystus biały staje.

Rzucił niebieskie progi,
kościoły rzucił złote,
by podziękować biedakom,
że w dom przyjęli sierotę.

TADEUSZ MICIŃSKI

(* 1873 — zaginął w Rosji bez wieści).

Wydał: „Nauczycielka“ 1898. „W mroku gwiazd“ 1902. „Do źródeł duszy polskiej“ 1906. „Kniaź Patiomkin“ 1907. „W mrokach złotego pałacu“ 1907. „Nietota“ 1910. „Walka o Chrystusa“ 1911. „Dęby Czarnobylskie“ 1911. „Bazylissa Teofanu“. „Ksiądz Faust“ 1913. (Wspólnie z Sewerem dramat „Marcin Łuba“).

Z „W mroku gwiazd“.

Msza żałobna.

Idę nad brzegiem zamarzłego morza
(o Matko Święta, zmiłuj się nad nami) —
wydęte — głuche — lodowe bezdroża
(o Matko Święta, zmiłuj się nad nami) —
z czarnych rozpadlin wylatuje śnieg —
i z dzikim świstem uderza na brzeg.

Tu skały groźne — tam oślizgłe jary —
kłębią się — wyją — na powietrzu mary;
wody rzegocą głucho pod stopami —
(o Matko Święta, zmiłuj się nad nami).

Ja niegdyś Rogier — król Normanów —
z pychy sławiony i czarnego męstwa —
wielem dokonał przy woli szatanów,
wieże na gwiazdach budując i księstwa —
Choremu niosę grzechów odpuszczenie,
ale z mej duszy któż mię wyratuje?
słyszę w głębinach niepojęte drżenie —
morze swój kaftan szalonego pruje.

Na turni kościół, a w podziemiach blask —
słyszę anielski śpiew i lodów trzask.
Wejdę na chwilę pomodlić się Bogu —
wściekły mię wicher odtrąca od progu;
ale przez okno widzę złoty tron —
w światłach tęczuje mi lecący szron —
a w tęczach widzę rozśpiewany chór —
na tronie rycerz — mój pośmiertny wtór.
Włos czarny mu w połowie zakrył trupią twarz —
z sześciorga skrzydeł płynie krew do czasz.
Na harfie niemej gra — szatański zawtórzył śmiech
tej męce. Rzekłem: pieśń Twoja odpuszcza Ci grzech.
Z gór się olbrzymich bory łamały wśród łkań —
rzekłem: rycerzu, ty się zorzą stań.
Tysiące nad nim złotych rozbłysnęło piór,
księżyc, jak kielich czerwony wśród chmur.
Drzewa szły za nim — i krze — i ptastwo —
i mogilny głaz —
i aniołowie w blasku swych nieziemnych kras —
i czarne smugi dziko rozkrakanych wron —
w pustym kościele ktoś uderzył w dzwon.
(O czarna męko moja, o morze — wyjące pod krami —!...)
rzekłem, odchodząc: duchy, pokój z wami.

Już świt.

Już świt... Purpury są na niebie.
Już świt... Wciąż nocne straszą mary.
Sen to? czy zjaw? czy jakie czary?
dusza mogiłę własną grzebie.
Dusza ma blada z przerażenia,
jako te zimne mgły na polu,
dusza się lęka swego cienia —
ten cień — czerwony jest od bolu.
Ptaki się budzą — lecz ja słyszę —
coś w mojem sercu łzami rosi —
w dół się przechylam, w wielką ciszę —
serce się moje w dal unosi —

serce się moje w dal wydziera —
i już się stroi w kij pątniczy,
w kamienną czarkę łzy swe zbiera,
gdy będzie konać — Bóg policzy.
(Tylko mi nie płacz — nie łam dłoni —
ze snów otrząśnij się złowrogich —
jest coś, co nas przed zgubą broni —
nas — i naszemu sercu drogich).

. . . . . .

Już Anioł chodzi między mgłami
i je owiewa skrzydły swemi
i tak uświęca, że nie plami
ich pył, ni ciężar smętnej ziemi.
Jako przejrzyste senne morze
fioletem lśniące i błękitem
falują mgły te po przestworze
srebrzysto-jasnem, złotolitem.
Nagle się mienią na różowo,
jakby od szczęścia zapłonione —
tak przenajświętsza Cię, Królowo,
maluje serce rozmodlone:
w złoto-zielonej mgieł obręczy
ognista róża lśni szkarłatem,
rozwiewa skrzydła ponad światem —
raczej na światów gdzieś przełęczy.
Drzewa jak wyspy koralowe
zaczarowane, niepojęte —
obłoki, jak kadzidło święte,
czerwone wewnątrz i lilowe.

— — — — — — — — — —

Słychać za szybą tuż brzęczenie —
to motyl rwie się do swobody —
leć — i poleciał na ogrody —
leć — i nieś słońcu pozdrowienie.
Słońce! Ty jesteś ziemi królem —
Boże! Ty jesteś świata słońcem —
Duszo! Ty jesteś bóstwa gońcem —
Serce! Ty jedno — wiecznym bólem.

* * *

Płyną ciche, srebrne łzy
i fioletów płynie żal
w nieskończoną ciemną dal —
pachną zwiędłe bzy —
to Ty, duszo? Ty!

W chmurach leci czarny ptak,
niesie w szponach krwawy plon —
— Czy to z Twoich dumnych łon
— wyrwany ten znak?
Tak, ma duszo, tak.
— Tyś mię zaklął w tęczy snów
— do tych szarych zimnych mglic —
— co masz mówić — prędko mów —
— łzy Ci płyną z lic —
Nic, ma duszo, nic.

LEOPOLD STAFF

(* 14. XI. 1878 we Lwowie).

Wydał: „Sny o potędze“ 1901. „Mistrz Twardowski“ 1902. „Dzień duszy“ 1903. „Skarb“ 1904. „Ptakom niebieskim“ 1905. „Godiwa“ 1906. „Gałąź kwitnąca“ 1908. „Igrzysko“ 1909. „Uśmiechy godzin“ 1910. „W cieniu miecza“ 1911. „To samo“ 1912. „Wawrzyny“ 1912. „Łabędź i lira“ 1914. „Siew doli“ 1916. „Tęcza łez i krwi“ 1918. „Wino miłości“ 1919. „Oczy otchłani“ 1919. „Pieśń o skowronku“ 1919. „Sady“ 1919. „Ścieżki polne“ 1920. „Południca“ 1920. „Szumiąca muszla“ 1921. „Żywiąc się w locie“ 1922. „Wybór poezji I“ 1911. „Wybór poezji II“ (nowy) 1921.

Z. L. ZALESKI O L. STAFFIE.

Zygmunt L. Zaleski wydał: „Kobieta i kobiecość w poezji Słowackiego“. „Mickiewicziana“. „Dzieło i twórca (studja i wrażenia literackie)“ 1913.

Bynajmniej nie pośrodku wartkiego prądu życia zbiorowego stoi twórca „Skarbu“ i „Snów o potędze“, Leopold Staff. Jeśli odczuwa silnie bóle i targania duszy zbiorowej, jak to widać ze „Skarbu“, to, w każdym razie, nie mówi nam o tem wiele, przynajmniej wprost, bez wyrafinowanych obsłon poetyckich. Ta oddaleńczość może nawet uchroniła poetę od załamań, którym ulegli inni twórcy współcześni. Zapatrzony w swoje wnętrze, żyjący jakby jedynie refleksami lub szczytowemi momentami życia, Staff miał najwięcej szans, by pozostać nietkniętym w swem dostojeństwie poety wyżyn i tęsknot. Mimo to, ukośne blaski fali życia, fali współczesnej, odbiły się i na jego dźwięcznej tarczy. Świadczy o tem to rozchwianie się i zmącenie przyrodzonych tonów, które widać w „Gałęzi kwitnącej“, oraz ten półuśmiech sceptyczny, niedość starannie ukrywany pod powłoką beztroski i swawoli poetyckiej.

....Spróbujmy przedewszystkiem odrysować linję orjentacyjną ewolucji twórczej poety i odszukać glebę, na której życie poetyckie

Staffa najłacniej się rozrasta. Glebą tą, powiedzmy krótko, jest splot zagadnień poznawczych i moralnych — płodne i ześrodkowane życie wewnętrzne poety, u którego świat myśli i refleksji panuje zwykle nad światem zmysłów i odczuwań bezpośrednich.

„Wszystko poznać i zrozumieć wszystko" — ta dążność splata się u Staffa z początku z mistycznem umiłowaniem tajni. Zbyt łatwe (pozornie) triumfy wiedzy pozytywnej, przesadnie upraszczającej zjawiska, rozniecają w piersi poety głęboki żal poetycki za utraconą krainą nieznanego. Duch poety z lubością idzie szukać tajni i nastroju hen na krańcach niepoznawalnego, w te bory dziewicze, dokąd nie dotarł jeszcze potężny topór wiedzy analitycznej. Pociesza go wtedy myśl:

„...że są podniebne zawrotne przełęcze,
Gdzie stopy tylko jasne opierają tęcze;
Że pomiędzy leśnemi, dzikiemi wykroty
Spoczywa zakopany tajemnic skarb złoty;
Że są wody umarłe pod zieloną pleśnią
W ostępach tak zapadłych, że o wichrach nie śnią."

Ale nadewszystko cieszy go:

„Że nie wszystko odarto z tajni i uroku —
I jest gdzie duszą błądzić o wieczornym mroku."

(„Sny o potędze".)

Ucieka więc poeta przed poznanem i zrozumianem do zagadnień rzadkich, niemal egzotycznych („Godiwa"), do pół- i ćwierćtonów odczuć i przeczuć poetyckich, do tych zakątków, ocienionych bluszczem i złomem skały, gdzie nie zagląda promień słońca, ani zachodzi stopa codziennego przechodnia. „Stać się niepodobnym wielom" — oto jego hasło. Ale nie jest to szukanie niezwyczajności niemal patologicznej w rodzaju Artura Rimbaud'a („Bateau ivre"), lub nawet Stefana Mallarmé'go („Divagations"). Podobnie raczej — od „pozytywistycznej" prostoty i francuskiego symplizmu uciekał w krainę indyjskiego egzotyzmu lub surowości barbarzyńskiej — Leconte de Lisle, z którym zresztą ma Staff jeszcze niejedną cechę wspólną.

Równolegle daje się odczuć w utworach Staffa („Sny o potędze") pęd ku wyżynom, poglądanie ku szczytom. Z głową hardo wzniesioną zmierza poeta ku mocy i potędze. Dążeniu temu towarzyszy stale pewnego rodzaju ideał moralności poetyckiej, ideał surowy, twardy, o dużem napięciu energji wnętrznej. Nie przebaczy wówczas poeta ani sercu własnemu, któreby „rysą chorej niemocy skażone" być miało („Kowal", Sny o potędze), ani jabłoni z własnego sadu, którąby przestała rodzić owoc woli poety („Drwal", Dzień duszy). Dobitnym wyrazem tego surowego ideału

moralności poetyckiej jest sonet p. t. „Rzeźbiarz“ (Sny o potędze). Mistrz wykował posąg, „który ludzi miał uczyć zwycięstw, dumy, chwały“, ale

„...tem, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze,
Padł na twarz zatrwożony, szepcąc ciche modły;
W proch przed tobą mocarze niech padną majpierwsi!

Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze
I widząc, jak moc rzuca siew słabości podłej,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi.“

Wola potęgi świadomej, a może nawet wyrozumowanej, każe poecie deptać zwycięską stopą kwiecie czaru i łaski, któremby nie wzgardził później duch Staffa-artysty. Jest wiele samorodnego i mimowiednego piękna w tem prężeniu nazabój ramion, w tem kiełzaniu gwałtownem instynktów i żądzy życia, w tem upajaniu się powietrzem szczytów, które owiewa wszelki wysiłek twórczy Staffa w tym okresie („Sen nieurodzony“, „Sen o górach“ w Snach o potędze).

Często, nawet bardzo często twórczość ówczesna Staffa objawia się w formie pewnego rodzaju „równowagi wytężonej“. Każda nić, struna każda napięta jest aż do bolesnej niemal dźwięczności. Stan takiej równowagi wytężonej, choć nietyle w zakresie środków artystycznych, ile znowu w dziedzinie moralnej, maluje sam poeta w sonecie p. t. „Strażnik“ (Dzień duszy):

„Całą męką nadludzko wytężonych oczu,
Całym wysiłkiem woli, stopionej w spojrzenie,
Ciężkie swe statki dźwigam na głębin bezdenie,
Dzierżę je na powierzchni wód skrytych w pomroczu.

I jeśli teraz blada senność mnie ogarnie,
Jeżeli mi powieki znużone opadną,
Jeśli mnie wyczerpanie w sny zwali kamienne:

Cała zdobywcza flota ma zatonie marnie,
Ładowne me okręty wszystkie pójdą na dno...
O, nieznużone, wieczne czuwanie bezsenne!“

Ale tego rodzaju równowaga wytężona — zarówno środków artystycznych, jak myśli — nie może utrzymać się długo jako stan poetycki górujący: chyba, że się ma stać równowagą wysilona. To też dynamika środków artystycznych, podobnie jak dynamika napięć moralnych poety zmienia się wyraźnie. Następuje pewne rozluźnienie strun. Bolesność atmosfery szczytów ustępuje zwolna miejsca sceptycznej pogodzie jarów lub płaszczyzn, okolonych górami. Poeta kłoni głowę ku miękkim polanom szczęścia, opuszcza wyprężone ku szczytom ramiona, aby pochwycić lub utulić choć na dzień jeden „pełnię życia — przelotną

miarę jednego południa" („Beztroska", „Igraszka" w Gałęzi kwitnącej). Znamienną przełęczą na tej drodze jest wiersz, zamieszczony w Gałęzi kwitnącej p. tyt. „Zaparcie":

„W grzech kusi powab ziemi! Chcę kochać jeno Pana.
Niczem mi zdrój, las, łąka, sad kwieciem sypki białem,
Ni krasa ciała. — Duszo, upadnij na kolana!"

Ale dusza poety, już tonącego prawie w tajniach absolutu, buntuje się. Porzuciwszy ascezę, idzie ona „do wsi, pomiędzy chat opłotki", by w sadzie całować „grusz płodnych stare kory", idzie do chaty, „dłonie w pieszczocie kładąc słodkiej na piękne, śpiące czoło dziewczyny, snami chorej", idzie wreszcie całować róże i gładzić dłonią wysokie, chłodne trawy... Ten ruch — od wyżyn ku głębiom, od hardego zmagania się z przeznaczeniem (gest prometejski) do półsceptycznego przyzwolenia, aby słodka fala życia otuliła pierś poety, słowem, od chłodnej obojętności, niemal wzgardy życia do głoszenia jego chwały i potęgi, — ruch ten rzeźbi linję podstawową ewolucji twórczej Staffa.

Ale przeobrażenie to nie odbyło się bez wpływów postronnych, ani bez oddźwięków w innych kierunkach twórczości poety.

Przedewszystkiem Nietzsche.

Staff jest jego tłumaczem — odtwórcą nieporównanym. To samo starczy już za świadectwo ukrytych powinowactw duchowych, a może nawet wspólnych głębszych pokładów myśli.

Ktoś powiedział — zdaje się, że p. Kotarbiński w jednym z feljetonów Kurjera Warszawskiego, — że wszyscy moderniści i symboliści nasi współcześni zrodzeni są pod znakiem Nietzschego. Nie będę zwalczać tego twierdzenia. Jest w niem niezawodnie wiele prawdy, jak w tem również, że Nietzsche — to dla twórcy-poety prawdziwe niebezpieczeństwo. Ale niebezpieczeństwo można zwalczyć, lub w walce tej — ulec.

Wśród naszych autorów, ulegających wpływowwi Nietzschego, są niewątpliwie tacy, którzy z obcowania z twórcą „Zaratustry" wychodzą zwyciężeni. Biorą oni w siebie okruchy złomów i migotania rozblasków dzieł Nietzschego, ale niezdolni do wytworzenia jego syntezy samoistnej, poprzestają często na przyswojeniu sobie owych miotań się i burzeń wewnętrznych twórcy Zaratustry, owej lawy zgrzytów i paradoksów, którą ocieka treść głębsza duszy Nietzschego. Staff nie należy przecie do tych „zwyciężonych". Nie pozwoliła mu na to jego samoistność twórcza, jego dojrzałość wewnętrzna i nawyknienie do poglądania w odmęt dociekań filozoficznych bez zawrotu głowy. Ale czy wyszedł on z tego obcowania zupełnie zwycięsko? Sprobujemy odpowiedzieć na to pytanie.

Niewątpliwie Staff głęboko i nie po dyletancku odczuł i wewnętrznie odtworzył ton ducha Nietzschego. Twórca Zaratustry jest dla Staffa przedewszystkiem prorokiem wiedzy radosnej ży-

cia. Nie jest to przecie owa „radość życia“, nieświadoma jego przepastnie bolesnych głębin, owo naiwne dwuwymiarowe poczucie szczęścia powierzchni. Tragiczne zmagania się z cierpieniem nadają właśnie duchowi tę zwycięską gibkość i wyrafinowaną wrażliwość na woń i blask darów życia. Co więcej, kultura cierpienia, a przynajmniej kultura łamań się z cierpieniem, kształci wzrok ducha, otwiera dalekie perspektywy głębin i szczytów, pozwala odczuwać dotykalnie całą bryłowatość, trójwymiarowość istnienia — jego pełnię i majestat.

Tief ist ihr Weh,
Die Lust ist tiefer als Herzeleid...

A Staff w „Przedśpiewie“ do Gałęzi kwitnącej odpowiada echowo:

„Znam gorycz i zawody, wiem co ból i troska,
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia,
A jednak śpiewać będę wam Pochwałę Życia.“

(„Przedśpiew“ w Gałęzi kwitnącej.)

By móc jednak śpiewać tę „pochwałę życia“, Staff musiał wprzód przeorać swą niwę poetycką ciężkim pługiem bogatych, uświadomionych głęboko przeżyć i płodnej syntezy twórczej. Zasługą poety jest, że pług ten był — jego własny. To też plony zbierane nie błyszczą może stubarwną falą kwiecia, na cudzych okwitającego niwach, ale posiadają zato właściwą wagę, swoisty, choć nie upajający zapach i własną barwę. Z obcowania z duchem Nietzschego wyszedł Staff może nie bezwzględnie zwycięsko — w każdym razie bez skazy głębokiej na sercu i bez upokorzenia w swej poetyckiej godności. Wpływ Nietzschego sięgnął głęboko do duszy poety, wyważył ją może nawet z dawnej orbity, ale nie zaparł przed nią dróg artystycznego i twórczego widzenia. Przeciwnie, doszedłszy do tego punktu, skąd życie wydaje mu się warte chwały, umie Staff wgłębiać się wciąż samoistnie w zjawę życia. Jeśli je pochwala, to nie czyni tego z zamkniętemi oczyma, na wiarę przyjętego zgóry założenia, lecz za każdym razem sprawdza artystyczną doniosłość zjawiska, nadając mu koloryt duszy własnej. W tym samym, a tak znamiennym „Przedśpiewie“ mówi poeta o sobie:

„Szedłem przez pola żniwne i mogilne kopce,
Żyłem — i z rzeczy ludzkich nic mi nie jest obce.
Przeto myśli me, które stoją przy mnie w radzie,
Choć smutne, są pogodne, jako starce w sadzie,
I uczą miłowania, radości w uśmiechu,
W łzach widzieć słodycz smutną, dobroć chorą — w grzechu,
I pochwalam tajń życia w pieśni i w milczeniu,
Pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu.“

To wyznanie wiary poetyckiej niewielu wymaga komentarzy. „Zrozumieć — to przebaczyć. Czy nie możnaby raczej rzec: Zrozumieć — to ukochać?“ Tak mówi szlachetny i głęboki poeta-filozof francuski, M. Guyau. Zdaje się, że na tym samym załomie myśli zatrzymał się w swoim „Przedśpiewie“ i Staff. Czy poeta wytrwa przy tem „wyznaniu wiary“, czy nie uniesie go temperament własny i nie strąci ze spinozowskich wyżyn wszechzrozumienia — to inna rzecz. W tym samym nawet zbiorze („Gałąź kwitnąca“) zobaczymy liczne odchylenia od poetyckiego i moralnego credo z „Przedśpiewu“. W każdym jednak razie od nietzscheańskiej pogardy dla profanum vulgus, od woli rozkoszy — do tej prawie zrezygnowanej pogody, mądrej smutkiem i wprawnej w cierpieniu — krok niespodziewanie wielki. Krok ten zrozumiemy nieco lepiej, jeżeli przypomnimy, że wpływ Nietzschego — to tylko łatwiej uchwytny fragment sił, którym ulegał Staff w swej poetyckiej pielgrzymce, jeśli zwłaszcza uwzględnimy obniżanie tonu twórczości współczesnej przez czynnik ogólny, o którym mówiliśmy we wstępie.

Na tle tego szerokiego pasma ewolucji stanów poetyckich — od równowagi wytężonej, tęsknoty do szczytów i mocy — poprzez nietzscheanizm i walkę — do tego nasycenia niemal pełnią życia — przewija się cały szereg problemów myślowych, które, dotknięte berłem poetyckiem twórcy, poczynają żyć odrębnem życiem artystycznem. Czasem krystalizują się one i tak trwają, jak wstrzymana w biegu owa hora tańcząca, „co zachwycona sobą, jak dziełem nad dzieła, nie chciała piękna minąć i w locie stanęła“. Staff nie rozwiązuje oczywiście zagadek bytu. Jeśli daje na nie odpowiedź, to ma ona przedewszystkiem walor artystyczny. Metafizyka, czy — jak kto woli — filozofja — jest w większości utworów Staffa tym zaczynem myślowym, który pobudza poetę do działalności artystycznej. Dlatego treść myślowa nie zabija w jego utworach prawie nigdy artyzmu, choć walka tych pierwiastków (artystycznego i myślowego) jest w nich aż nadto widoczna.

Dzieciństwo.

Poezja starych studni, zepsutych zegarów,
Strychu i niemych skrzypiec pękniętych bez grajka,
Zżółkła księga, gdzie uschła niezapominajka
Drzemie, — były dzieciństwu memu lasem czarów...

Zbierałem zardzewiałe, stare klucze... Bajka
Szeptała mi, że klucz jest dziwnym darem darów,
Że otworzy mi zamki skryte w tajny parów,
Gdzie wejdę — blady książę z obrazu Van Dycka.

Motyle-m potem zbierał, magicznej latarki
Cuda wywoływałem na ściennej tapecie
I gromadziłem długi czas pocztowe marki...

Bo było to jak podróż szalona po świecie,
Pełne przygód odjazdy w wszystkie świata częście...
Sen słodki, niedorzeczny, jak szczęście... jak szczęście...

Piosnka ulicznika.

Z domu wygnali, żem leń, urwipołeć.
Słodki mój grzech był, słodką i pokuta:..
Gołe mam łokcie, ale też wesołe-ć
Życie, choć palce wyłażą mi z buta.

Ubiór ten dał mi strach na wróble w polu,
Który przyswoił ptasią głupią młodzież...
Przysiągł, że wróble nie jedzą kąkolu,
Więc niepotrzebna mu ta pyszna odzież.

Owocnych sadów rząd zdobi gościńce...
Latem je chwalę z ptakami do spółki.
Zimą zachodzą ptaki na dziedzińce,
Czasem też ze mną dzielą okruch bułki.

Zresztą się gwiżdże, śni... Któż dziś już jada!
Brama ogrodów zamiejskich nie strzeże...
Dzień tam beztroski i słodka noc blada,
Słońce na obiad, księżyc na wieczerzę.

Wróbel.

Kochany wróblu mój, obywatelu —
Czterech pór roku i świata całego,
Bywalcze wszystkich dróg, co wzdłuż pól biegą
I wszech podwórek włóczęgo bez celu!

Niech cię moce Opatrzności strzegą,
Że mnie nawiedzasz, szary przyjacielu,
Których na ziemi tej jest tak niewielu,
Że kiedy zliczyć ich, niema żadnego.

U okna mego siadasz w zmierzchu zimy,
Co mą samotność i pustkę rozszerza,
„Cierp, cierp, cierp“ ćwierkasz i cierpliwie cierpię.

Patrzę na dachy i kominów dymy
I wieszam serce, jak lampę przymierza,
Nicią tęsknoty na księżyca sierpie. —

Z „Hymnu do barw“.

Jakiby los twój był, czembyś był, świecie,
Bez barw i światła, gdyby wszystko: kwiecie,
Liście, niebiosa, wody i powietrze,
Szarością było, jak zmierzch — kiedy zetrze
Wieczór polewę ziemi ręką mroku?
Czy życie miałoby choć ślad uroku?
Czyby istniało szczęście, uśmiech, radość,
Chociaż myśl o nich, mająca snu bladość?
Czy słodki byłby szum drzew, śpiew strumienia,
Świergot ptaszęcy, lub spokój milczenia,
Gdyby nie w barwnej głosiły się toni,
Gdzie Światło chadza z Ufnością dłoń w dłoni?
Czy liść tak samo szumi, gdy się mieni
Zielenią wiosny lub złotem jesieni?
Przyjazny we dnie szmer nie zdaż się, nocą,
Niesamowitą, dreszcz budzącą mocą?
Czyli sok wina albo miąższ brzoskwini
Byłby rozkoszą, jaką sercu czyni,
Bez złocistości płynu, bez opusza
Owocu, co swym wdziękiem usta zmusza
Na smak przestrajać źrenicy rozkosze,
Gdy, jak pokusę, pod słońce go wznoszę?
Czy puhar cieszy się, pociemku pity?
A czy, wśród nocy, kwiat mrokiem spowity
Nie pachnie smutkiem, goryczą, cierpieniem?
Czy chmura duszy nie przygnębia cieniem?
I czy boleści, co w noc się panoszy,
Dzień nie łagodzi a światło nie płoszy?

Wierzba.

Jak nie mogę sobie
Wyobrazić wioski,
Aby jej nie nawiedzała
Niedola i troski:

Tak nie zgadnę zgoła,
Gdzie szukać i gdzieżby
Znaleźć sioło, lub zagrodę,
Lub miedzę bez wierzby.

Wszędzie się przyjmuje,
Wszędzie się rozplemia,
Nie dba: glina to, czy piasek,
Byle święta ziemia.

Otną ją z gałęzi
Na grube ociesie,
Okaleczą i okrzeszą,
Ona wszystko zniesie.

Sękatą maczugą
Sterczy obok roli:
Jak pięść chłopska, która twardo
Broni się złej doli.

Puści długie pręty,
Niby szczeć u zwierza:
Przeciw losom złym, jak chłopska
Dusza się najeża.

Niepamiętna krzywdy,
Ani mściwa za nic,
Strzeże, jako płot wierzbowy,
Wiejskiej chaty granic.

I wyręcza jeszcze
W pracy ludzkie plecy:
Dźwiga, jako kosz, ziemniaki
Do piwnicy kmiecej.

Wszędzie jest pomocna
I wszędzie widoczna:
Drogi polnej i wędrowców
Wierna straż przyboczna.

I jak dusza moja,
W wodzie o wieczorze
Topiąc smutek swego cienia,
Utopić nie może.

Ale westchnieniami
Wiatru nauczona,
Wygra, jako ta fujarka,
Treść tęsknego łona.

Ciąg żórawi.

W jesiennem niebie, pochmurnym wieczorem,
Wędrownym kluczem w odlotnej wyprawie
Ciągną wysoko z żałosnym klangorem
Żórawie! Żórawie!

Pod niemi pustka pól martwa, mgły, chłody,
Nagi las drżący w przymrozków obawie,
Znużone sady, zaparte zagrody...
Żórawie! Żórawie!

Płyną, jak długie westchnienia bez końca,
Jak jęk ogromny ziemi w łkań zadławie,
Jak krzyk rozpacznej tęsknoty do słońca...
Żórawie! Żórawie!

Uniesie pastuch, o kij wsparty, głowy,
Długo za niemi pozierając łzawie
I, porykując, łby odwrócą krowy...
Żórawie! Żórawie!

Leciałbym z wami, gdzie pierś radość czerpie,
Lecz jak tu smutki swe same zostawię,
To wszystko, przez co cierpiałem i cierpię...
Żórawie! Żórawie!

Z „Dnia duszy".

Zwycięzca.

Bez miecza i bez tarczy, nagiemi ramiony
Do stóp sobie rzuciłem świat pokorną bryłą!
Zwycięstwo majestatem róż mą skroń owiło
I oto mit, szaleństwem mocy mej wcielony.

Triumfem grzmi me serce, jak świąteczne dzwony!
Wszechmoc woli mej żyje! Dla rąk wrących siłą,
Żaden czyn już nie został! Wszystko się spełniło!
I z dumą na swojego dzieła patrzę plony...

Zabijam swe tęsknoty. Spełniły podniebne
Zadanie przewodników... Już mi niepotrzebne...
Zmogłem wszystko, na wszystkiem postawiłem nogę.

Jam jeden niezwalczony został: więc sposobię
Teraz potęgę swoją całą przeciw sobie,
By nie było nic, czego zwyciężyć nie mogę...

Życie bez zdarzeń.

Przyszedłem z pieśnią — pójdę bez słów
I długo milczeć będę...
Odejdę od was, by wrócić znów
I przy was już osiędę...

Zwyczajna będzie ma noc i mój dzień,
Bez zdarzeń tygodnie, miesiące;
Czasem z chmur padnie przelotny cień
A czasem blask rzuci słońce...

Będę do pracy szedł w ranny świt
I wracał o wieczorze,
Nic mnie nie będzie gnębić zbyt,
Gdy do snu się położę...

W święto na pola zwrócę krok
Patrzeć jak sad dojrzewa,
Jak w gronach winnych wzbiera sok
I słuchać jak ptak śpiewa...

A gdy mi myśli w smutku mgle
Rozproszą się w rozsypce,
Grać będę stare piosnki swe
Na swojej dobrej skrzypce.

Ludzie niejeden zbiorą plon,
Niejedni pojmą się młodzi,
Niejeden starzec pójdzie w zgon,
Niejedno się dziecię urodzi...

Aż szlakiem swych wiosennych dróg
Młodość, jak ptak, uleci...
Nieznacznie żal się wciśnie w mój próg,
Że nie mam żony, ni dzieci...

Zczasem jak ojciec mój i jak dziad,
Będę miał siwe włosy...
Zbytnich rozkoszy nie da świat,
Ni twarde zbyt dotkną mnie losy.

Gdy stary będę, poznam, że mnie
Nie różni nic od braci...
Nie było dobrze mi, ani źle,
Nikt mną nie zyskał, ni traci...

Żaden mym oczom nie błysnął cud,
Nic z mroku się nie wyłania,
Nici splątane w węzłach złud
Nie mają rozwiązania...

A jednak poznam, gdy śmierć do snu
Gasić mi będzie blask powiek,
Żem widział rzeczy, których tu
Nie widział żaden człowiek...

LUCJAN RYDEL

(* 1870 † 1918 w Krakowie).

Wydał: „Poezje“ 1899. „Z dobrego serca“ 1897. „Zaczarowane koło“ 1900. „Utwory dramatyczne“ 1902. „Na zawsze“ 1903. „Betleem polskie“ 1905. „Pan Twardowski“ 1906. „Bodenheim“ 1906. „Ferenike i Pejsidoros“ 1907. „Madejowe łoże“ 1908. „Królowa Jadwiga“ 1910. „Z greckiego świata“ 1910. „Zygmunt August“ (Królewski jedynak, Złote więzy, Ostatni z Jagiellonów) 1913. „Warszawa i jej dzieje kulturalne i wojenne“ 1915.

Dotąd widzę...

Dotąd widzę to wiosenne rano
I tę łąkę kwiatami usłaną,
Białemi kwiatami...
W słońcu grały złotych muszek roje,
I byliśmy sami.
Wśród zapachów, ciszy i promieni —
I w milczeniu szliśmy obydwoje,
Tchnieniem wiosny młodej upojeni,
Napół tęskni, napół uśmiechnięci...
Widzę dotąd jasne oczy twoje...
Wszystko przeszło — w oku mi się kręci
Łza.
I sad widzę cały w śnieżnej bieli,
Gdzieśmy razem w południe siedzieli
Pod kwietną czereśnią;
Chór ptaszęcy śpiewał wniebogłosy,
Cały sad bił pieśnią,
Czasem z gęstwy wołała kukułka,
Słońce blaskiem złociło niebiosy

I przez drzewa kładło jasne kółka
Na stokrocie — na skroń twą dziewczęcą,
Na murawę i na twoje włosy...
Wszystko przeszło — w oczach mi się kręcą
Łzy...
Bądź mi zdrowa ty, biedna dziewczyno!...
Wszystko przeszło — po twarzy mi płyną
Łzy, łzy, łzy...

Z „Ostatniego z Jagiellonów".

(Sala w Lublinie.)

Górka.

. . . . . .

Przypomnę w końcu — bo któż o tem nie wie —
Iż Kniaź Jagiełło, nasz Ładysław Wtóry,
Nim do nas przyszedł, pakt uczynił w Krewie,
K'czemu przywilej dan jest w Wołkowysku,
Gdzie Polsce Litwę Kniaź przysądza z góry,
A tron z Jadwigą za to bierze w zysku...
— Z łaski to naszej, na naszej swobodzie
Takeście wzrośli, Panowie Litwini,
Że dziś już wyższość Korony was bodzie!...

(nie zważając na protesty Litwinów, idzie do stołu, rozwija dokument z licznemi pieczęciami i podnosi go oburącz)

Pójdźcie! Czytajcie tu na własne oczy,
Jako provintiam polską z Litwy czyni
Sam wasz Jagiełło: do Polski ją wciela
I krom odrębnych praw z Polską jednoczy.

(rozwija pergamin i, dłonią po nim uderzając, czyta:)

„Incorporamus et invisceramus!..."

(wrzawliwe protesty Litwinów; w zgiełku słychać ich głosy:)

Biskup Protasewicz.

(do Górki, powracającego na miejsce pod lewą ścianą)

Dość... dość! Na krwawe Rany Zbawiciela!
Tem Waszmość Unii święte dzieło psowa...

X. Roman Sanguszko.
(z pod prawego okna)

Tych pergaminów starych cały lamus
Nie zda się na nic!

Jan Chodkiewicz.
(z pod drzwi na lewo)

Wszak-ci potem nowa
Niejedna była późniejsza ustawa!

Radziwiłł Rudy.

Odrębnych swobód małoż nam przyznawa
Król Jagiełłowic Kazimierz?

Stanisław Tarnowski.
(ze stalli pod oknem wychyla się do przechodzącego Górki)

Tem iście
Nie postąpiła naprzód Unii sprawa:
Na żar oliwy jeno dolaliście!

(Górka, stanąwszy pod stallą, odpowiada mu, giestykulując żywo, ale słów nie słychać w zgiełku powszechnym głosów zmieszanych)

Kardynał Hozyusz.

(zgrzybiały starzec w purpurze, wchodzi powoli drzwiami z prawej, postępuje o lasce, wsparty na ramieniu pazia. Na jego widok wszyscy prócz króla i prymasa podnoszą się; gwar przycicha, Hozyusz na środku sali skłania się, poczem zasiada w krześle, dotąd niezajętem, za którem staje paź)

Niechaj Duch Święty zleje swoje dary
Na Waszmość Panów, syny jednej Matki...
Ja wam — jak święty Jan, gdy już był stary,
Rzekę: „Miłujcie, miłujcie się, dziatki!..“

(Marszałek Firley na skinienie Zygmunta Augusta laską trzechkrotnie uderza na znak, że król chce przemówić.)

Zygmunt August (siedząc).

Obrady nasze tyle już tygodni
Trwają nad Unią. Dojdźmyż raz do zgody!

Wszak-ci tu wszyscy w tem jesteśmy zgodni,
Że trzeba związać Obadwa Narody
Wiekuistemi, niezłomnemi węzły.

(zewsząd potakiwania)

Usilnie k'temu, statecznie, cierpliwie,
Przez Nasze całe dążym panowanie.
Owa — przy końcu rzeczy dziś ugrzęzły,
Że nielza naprzód!... Nic, poki ja żywię,
A strach myśleć, co się po mnie stanie!
Nie chcę, by kiedyś o mnie to rzeczono,
Iżem litował ofiar, znoju, pracy,
Przeto chcąc łacniej zgodę zjednać oną,
Litwie dam wszystko, co mają Polacy,
Iżbych zupełnie zrównał ją z Koroną.

(wstaje)

Dziedzicznych moich praw po Giedyminie
Zrzekam się tedy, tron Wielkoxiążęcy
— Jako polski — obieralnym czynię:

(wielkie poruszenie na sali)

Dziedziczny Wielki Xiądz — ostatni ze mną
Do grobu zstąpi!... A wzdy-ć najgoręcej
Proszę i błagam i zaklinam ninie
Oba Narody o zgodę wzajemną!

(siada)

(Jan Chodkiewicz podczas ostatnich słów królewskich zerwał się i wbiegł do Izby poselskiej, skąd potem dolatuje głos jego podniesiony i okrzyk posłów. Gdy król skończył i usiadł — rozwierają się na oścież drzwi z lewej. Chodkiewicz powraca na swoje miejsce, a w progu widać gęsty tłum posłów szlacheckich, którzy zatrzymują się w drzwiach. Za nimi, w głębi sali poselskiej dalsi, głowa przy głowie. Na skinienie króla, marszałek Firley zbliża się ku drzwiom i, podnosząc wysoko laskę marszałkowską, ucisza gwar, pomaga mu w tem stojący w progu na czele, sędziwy marszałek izby poselskiej, Sieniński, dający także znaki swoją laską.)

Radziwiłł Rudy (wstaje)

Króla naszego, Zygmunta Augusta,
Boże błogosław za ten czyn wspaniały!

(Senatorowie przytakują żywo głowami i podnoszeniem rąk, w izbie poselskiej gromki okrzyk.)

Panie Miłościw, przez moje Wam usta
Dziękuje Litwa i stawa uprzejmie

Do Unii z Polską... — Niechby zawżdy miały
Wspólnego Pana, zawżdy, po wsze wieki!
Lecz niechaj każda na osobnym sejmie
Obiera króla, sama niech o sobie
Radzi w swych sprawach...

(Gwarne protesty Polaków — w zgiełku powszechnym głosy:)

Marcin Zborowski.
(do Radziwiłła)

Rozłam niedaleki,
Jeśli Nationes mają radzić Obie
W osobnych sejmiech!...

Tenczyński.
(w stalli pod oknem)

Co? Mamy podwójnie
Obierać Króla?...

Rafał Leszczyński.
(w głębi przy tronie)

A w czem-że wy spójnię
Dacie tej Unii?

Radziwiłł Rudy.

W Królewskiej Osobie,
W granic Ojczyzny pospólnej obronie!
— Ale podwójne muszą być urzędy:
Na Litwie jedne a drugie w Koronie.
(siada)

Hetman Mielecki.
(jego sąsiad)

Nie tędy droga do Unii! Nie tędy!

X. Konstanty Bazyli Ostrogski.
(z pod lewej ściany, bardzo gwałtownie)

Riwnoj swobody choczem, taj na tronie
I nam i Lachom odnoho Korola!
Inak ne bude!...

Górka.

(przecząc ręką)

Nie! Póki żywota!

Chodkiewicz.

Nie chcecie Unii? Nie chcecie?!... Jak wola!

(wszystkie te wykrzyki następują po sobie szybko, rzucane na tle powszechnego gwaru w sali senatorskiej, któremu wtóruje zmieszany zgiełk izby poselskiej. Firley uderzeniami laski stara się uciszyć hałasy. Równocześnie koło X. Filipa Padniewskiego zgromadzili się co bliżsi panowie polscy, nalegając, by przemówił, dalsi potakują temu głowami i ruchem rąk)

X. Padniewski.

(wstaje — skinieniem ucisza wrzawę)

Cała Korona w mej osobie stawa,
Przezemnie zgodne swe składając vota
I swe do Litwy święte głosząc prawa:
— Kto w ziemie wasze wniósł Drzewo Żywota,
Krzyż Chrysta Pana? Kto wam słońce Wiary
Zażegł, przed którem pierzchnęła ciemnota?
I kto Jagiełłę, Króla Ładysława,
I wasze kniazie i wasze bojary
I lud wasz cały wyrwał z pod obucha
Katów krzyżackich? — To, to nas jednoczy!
Niechaj grunwaldzkie świadczy krwawe pole,
Gdzie w prochu zdeptan łeb Zakonu smoczy, —
Niech ono świadczy wam — jakiego druha
Macie w Polakach! Nie wodą na czole,
Myśmy krwią własną was ochrzcili z ducha;
Myśmy pogaństwo, dzikość i niewolę
Starli z was, nasze dając wam swobody,
My was uczyli godności człowieczej,
Między Zachodnie stawili narody
I tego nikt nam, nigdy nie zaprzeczy,
Ni czas najdalszy zasług tych nie zaćmi!
— Wam-że to, młodszej braci, tak się godzi
Głowę podnosić przed starszymi braćmi?!
Źle, gdzie młodszemu starszy nie przewodzi,
Gdzie dobrodziejstwa dawne i zasługi
Nie mają prawa, by stawać na czele!

Pod wodzą naszą byliście wiek długi;
Czyliżeśmy wam byli gnębiciele
Albo ciemiężcy? Czy wam nie okwicie
Dawała Polska wszystko, co ma własne?
Czy was przy swojem nie ogrzała ciele?
Czy was morzyła serc i ducha głodem?
Czy was na drogi nie powiodła jasne —
Że już nie chcecie iść pod jej przewodem?!!
Przeciwko prawdzie i sumieniu czyni,
Kto wam tak radzi. Niech się zgoda święci;
Nie odtrącajcie-ż jej, Bracia Litwini...

(siada)

(Cisza — potem wielkie poruszenie na sali. W izbie posłów gwar stłumiony)

Chodkiewicz.

(z pod drzwi postępuje naprzód, staje między krzesłami Hozyusza i Protasewicza, zwrócony ku tronowi — z goryczą)

Wprzódy nam stare one przywileje
Przed oczy kładli z dziesiątkiem pieczęci,
A ninie przeszłe wywlekają dzieje
— Które i w naszej wdzięcznej są pamięci —
O starszej braci prawią nam przypowieść!
Aliści wszystko ten ma cel jedyny,
By Litwie — jako, że jest niższa — dowieść...
Na to wskrzeszacie wielkie przodków czyny,
O świętej Pani mówicie — Jadwidze,
I o Krzcie naszym, i o godle Krzyża,
I z pól grunwaldzkich zbieracie wawrzyny!
— Ja w onej mowie, Bracia Lachy, widzę
Chuć przodowania, która nas poniża...
Nie! Precz odrzućmy zżółkłe pergaminy,

(postępuje naprzód ku stołowi i zrzuca na ziemię zwoje dokumentów)

W zamierzchłych czasach nie szukajmy prawa...
— Serce ku sercu niechaj gada z łona!

(rękę wyciąga do krzyża)

Patrzcie! Na krzyżu Miłość wisi krwawa,
Męką zbawiła cały świat — i kona!
...Prze Tego Pana, co Miłością Bożą
W objęcia Swoje wszystkich społem garnie,

Polska i Litwa niechaj tak ramiona
Miłości pełnie ku sobie roztworzą;
Niech o pierwszeństwo nie swarzą się marnie,
I nie wynoszą się żadną zasługą;
Niech jedna z drugą wiecznie trwa złączona;
Niech jedna drugą wspiera, krzepi, dźwiga,
Gotowe przelać krew — jedna za drugą!
— Tego nas uczy Grunwald i Jadwiga,
Tak, nie inaczej, Unia się dokona...!
(stoi przy stole z rękoma przez chwilę wyciągniętemi)

X. Padniewski.
(wstaje szybko i wzruszony postępuje naprzód)

Ninie za siebie sam... w imię niczyje
Nie stając... mówię sam jeno za siebie...
Z pod serca, które drży we mnie i bije,
Mówię — jakobych przed śmierci obliczem
I jakobych już stał przed Bogiem w niebie:
Duch Święty, Boży Duch był z Chodkiewiczem!...
...Jeno z Miłości Unia wstanie żywa!
Jeśli nie w Krzyżu, tedy się już w niczem
Nie pobratamy; żadnych praw ogniwa
Nigdy braterstwem szczerem nas nie spoją,
Tylko to serce, które się wyrywa
Z piersi wezbranej...
(staje przed Chodkiewiczem i obie ręce wyciąga do niego)
Daj mi rękę swoją...
(biorą się w ramiona)
Bracia, jesteśmy pod tym Bożym Znakiem,
Polak z Litwinem...

Chodkiewicz.

I Litwin z Polakiem!...

(Powszechne wzruszenie, wielu ociera łzy. — Polacy i Litwini, co bliżsi, podają sobie ręce, chwytają się w uściski, obejmują za szyje. Wszędzie widać pobratanych wzajemnie. — Anna Jagiellonka, przyzwawszy do siebie Chodkiewicza, wychyla się doń ze stalli i podaje mu serdecznie obie dłonie, które on całuje. — Z Izby poselskiej słychać radosne okrzyki, powtarzające się i wśród senatu:)

Wszyscy.

Polak z Litwinem i Litwin z Polakiem!...

Zygmunt August.

(rozpromieniony powstał był na tronie i spozierał bardzo wzruszony na bratające się dwa narody. Na skinienie królewskie marszałek Firley uderza trzechkrotnie laską)

Słyszcie Waszmoście!... Najmilejsze syny
Ojczyzny, wspólnej Rzeczypospolitej.
Gdy Bóg doczekać dał miłej godziny,
Że mamy zebrać wieków plon okwity —
Niech-że i Nasze ku Wam się ozowie
Serce ojcowskie, które dziś uderza
Radością wielką!... Wzdy nie jeno w mowie,
Przeto, po wieczne czasy — na żołnierza
W zbrojnych zaciągach Obudwu Narodów,
Na wojska nasze, część oddawam czwartą
Z wszelakich stałych królewskich dochodów...
— I po Was czekam, iż nie zwiędnie marno
Zapał, co ninie w sercach Wam rozkwita,
Jeno dojźreje w czyn i wyda ziarno!

Prymas Uchański.

(wstaje)

Królu Miłościw — ta Rzeczpospolita
Poświęceń Mości Waszej nie zapomni,
Ofiarę nową dziękczynieniem wita
I wdzięcznem sercem uczczą ją potomni...

(żywe, pełne zapału potakiwania; w Izbie poselskiej okrzyki)

Z początkiem Sejmu była tu podana
Pod vota nasze gotowa Ustawa
Unii Narodów — za naszego Pana
Najjaśniejszego wolą i staraniem.
Nie uzyskała wonczas mocy prawa,
Obie ją bowiem odrzuciły strony.
Znamy-ć ją... Zali przy niej dziś nie staniem?
Sejm i elekcyę wspólną — w myśl Korony,
I Ruskie Ziemie Koronie przyznawa;
Litwie zaś gwoli — podwójne urzędy
Jedne potwierdza, drugie z nowa tworzy
I z Polakami pod wszelkiemi względy
Litwinów równa w prawach i swobodzie.

Unię tę dzisiaj przy pomocy Bożej
Zaprzysiąż, jeden i drugi Narodzie!..
— Jego Królewska Mość pod vota poda
Ten mój głos...

Wszyscy na sali i w izbie poselskiej.

Unia!... Unii chcemy!!... Zgoda!
Vivat Król! Unia i Rzeczpospolita!

(Marszałek Firley uderza laską na znak, że król chce mówić)

Zygmunt August.
(do biskupa Padniewskiego)

Wasza Wielebność Akt Unii odczyta...

(Cisza. — Padniewski bierze ze stołu akt Unji, równocześnie paź, który stał za krzesłem Hozyusza, na skinienie kardynała, podchodzi do stołu i zapala świece przy krucyfixie, poczem cofa się ku drzwiom, wiodącym do sieni i staje na pierwszym planie obok ławy senatorskiej. XX. Wiśniowiecki i Sanguszko biorą z pod ściany sztandary, Koronny i Litewski, i postępują za niemi ku stołowi. Prymas na pulpicie rozkłada Ewangelję otwartą. Gdy Padniewski ma rozpocząć odczytywanie Aktu, Zygmunt August oddaje złote jabłko stojącemu przy tronie Walentemu Dombińskiemu, zdejmuje kołpak, zstępuje z tronu i podchodzi do stołu. Z pod ścian wysuwają się niektórzy panowie bliżej ku środkowi: Górka staje obok Hozyusza wsparty o jego krzesło; przy Górce X. Ostrogski, mający przed sobą synka, któremu nachylony tłumaczy po cichu znaczenie chwili. Jan Łaski z pod drzwi sali poselskiej wysunął się do krzesła, na którem siedzi biskup Protasewicz, z oczyma wzniesionemi i rękoma złożonemi do modlitwy.

Zewnątrz, z poza okna dochodzi stłumiony gwar głosów. Ciżba ludzka zbiera się w sieni za drzwiami, ciekawie zaglądając do sali. Wśród mieszczan lubelskich także chłop w sukmanie, którego do sali wciąga Frycz Modrzewski.

Gdy X. Padniewski zaczyna czytać, Anna Jagiellonka wstaje wyprostowana w stallach. Dzwony odzywają się zrazu rzadko, potem przyłączają się coraz nowe dźwięki.)

X. Padniewski (czyta)

Za łaską Boga, któremu jest miła
Jedność i zgoda, który w Swojej pieczy
Osobnej trzyma Pospolite Rzeczy
I Ducha dobrej rady im zsyła —
Za łaską Króla Polskiego i Pana
A Litewskiego Wielkiego Xiążęcia

Pana Zygmunta Augusta, co ninie
Włada szczęśliwie, w którym niezachwiana
Stateczność krzepi nasze przedsięwzięcia —
Unia Narodów Obojga w Lublinie,
— Okrom przymusu i przyniewoleństwa —
Dziś wieczna staje: My, obywatele,
Synowie Polskiej przesławnej Korony
Oraz Wielkiego Litewskiego Xięstwa,
Z Królem Zygmuntem Augustem na czele
Wiążem, jednoczym się z obojej strony
Ścisłem braterstwem; odtąd w jednem ciele
Nierozerwalnej Rzeczypospolitej
Nierozdzielnemi członkami się stajem;
Dole, niedole, znoje i zaszczyty
Nosić pospołu, zawżdy się nawzajem
Dźwigać, podpierać i wspomagać mamy,
Pospólnie broniąc granic naszej ziemi,
Zawżdy w miłości trwając takiej samej —
Pod jednem berłem i pod jedną głową,
Wolni z wolnymi i równi z równymi!...

(Dzwony ciągle biją. Zygmunt August bierze krucyfix ze stołu i podnosi go w górę. Niektórzy panowie osuwają się na kolana, inni stoją pełni przejęcia. Tak trwa nieruchomy obraz Matejki, póki X. Padniewski nie skończy odczytywania.)

A jako wedle serca i sumienia
Dzierżeć i pełnić zjednoczenie owo
Chcemy najwierniej — my i nasze syny,
W przyszłe potomnych czasów pokolenia,
Zawżdy, po wszystkie wieki wiekuiste —
Tak nam dopomóż, Boże Trój-Jedyny
I Twoja Męko, Zbawicielu Chryste!...

Wszyscy.

Tak nam dopomóż, Boże Trój-Jedyny
I Twoja Męko, Zbawicielu Chryste!...

(podnoszą ręce z wyciągniętemi do przysięgi palcami.)

Zygmunt August
(żegna ich krucyfixem podniesionym)

Chryste błogosław!... Unia dokonana!...
(zwracając twarz ku krucyfixowi)

Ni za żywota ni w skonania chwili
O nic już Boga Naszego i Pana
Rzewniej, żarliwiej nie będziem prosili,
Jak dziś Go prosim: niech Rzeczpospolitą
W całości, zdrowiu, pokoju zachowa
I w sercach waszych Unię tę wyrytą
Na wieki!... Boże, usłysz moje słowa!...
(opuszcza krzyż i trzyma go na piersi)
A Was, Koronne i Litewskie Stany,
Syny Ojczyzny jednej i tej samej,
Tej Pospolitej Rzeczy nierozdzielnej,
Poprzysięgamy na Chrystusa rany,
Upominamy was i zaklinamy:
Trwajcież w Miłości szczerej, płodnej, dzielnej,
Stójcie przy sobie jednością i zgodą,
Boć one jeno wszelką siłę mnożą
I ku potędze i ku szczęściu wiodą.
Który z Narodów Unii tej dotrzyma
Wiernie i mocno — temu błogosławię,
Iżby na sobie łaskę nosił Bożą,
W domowej wzrastał i w ościennej sławie.
A który Naród będzie szukał drogi
Do rozdwojenia, ten niechaj się lęka,
By gniew go Pański nie dosięgnął srogi,
By go snać Boża nie skarała ręka
— Jak prorok mówi, kiedy tych przeklina,
Którzy niezgodę sieją między braci...
Nie dajże, Panie, by taka godzina
Przyjść miała kiedy! Spraw, niech nie zatraci
Nigdy potomność przodków swoich dzieła:
Unii, co w Imię Twoje się poczęła!
(stawia krzyż na stole)
— Czas na Te Deum pójść nam do kościoła....

(Wszyscy poruszają się na sali. Anna Jagiellonka wychodzi ze stalli. Ci, którzy za nią siedzieli w ławkach, wychodzą na prawo drzwiami do sieni. Król podchodzi ku Annie, która zbliża się do niego.)

Zygmunt August.

Przodem posłowie, senat...
(do Anny).
My na końcu.

Głosy na sali.

Pójdźmy!...

(Zaczynają się ustawiać ku drzwiom Izby poselskiej, skąd dolatuje gwar i miarowy hałas oddalających się kroków.)

Zygmunt August.

Niesione pospołu na czele,
Bratnich Narodów obojga sztandary
Niechaj przed Nami powiewają w słońcu.

(XX. Wiśniowiecki i Sanguszko ze sztandarami wysuwają się na czoło pochodu, tuż u drzwi na lewo.)

Tenczyński.

(jeszcze w stallach — patrzy przez okno)

Izba Poselska poszła już... Na przedzie
Kroczy Marszałek jej, Sieniński stary.

Zygmunt August.

(do Prymasa)

Panów Senatu Xiądz Prymas powiedzie.

Prymas Uchański.

(stojąc za chorągwiami)

Waszą Królewską Mość w progu kościoła
Przyjmiemy.

Zygmunt August.

Wrychle z Królewną się stawię...

(Senat z chorągwiami rusza, mając na czele prymasa i biskupów.)

Anna (wzruszona.)

Wasza Królewska Mość przyjmij łaskawie...

(urywa)

Mówić nie mogę... Słowo nie wydoła...
...Ja, Królu, chciałam... Ja się łzami dławię...

(urywa — całuje go w rękę i odwraca się, by ukryć łzy).

Zygmunt August.

(rozrzewniony)

Poszli... nikogo niemasz tu dokoła...

(całuje ją w czoło)

Jesteśmy sami... Niechże mnie uściska
W dniu tym ogromnym ramię twe siostrzane...
(Anna obejmuje go za szyję)

Zygmunt August.

Samotne serce moje — serca woła,
Twa Mość jedynaś mi ostała bliska...

Anna.

I zawżdy wierna...

Zygmunt August.

(po chwili)

Dziś mi zdjęte z czoła
Ciernie korony, lat przeżytych smutki...
Słońce mi w duszę takim blaskiem tryska,
Jak w one czasy, gdy dziećmi oboje
Igrać w wawelskie biegliśmy ogródki...
(po chwili z żałością)
Przecz, gdy u celu mego życia stoję,
Wian dożynkowy zbieram po tem żniwie
Znojnem, upalnem — przecz niebożę moje,
Barbara moja najmilsza nie żywie?
Nie patrzy na mię, gdym Litwę z Koroną
Takiemi związał serdecznemi śluby,
Jakie mnie z tamtą jednoczyły żoną!

Anna.

To Wam nagrodą za krzyże i próby...

Zygmunt August.

Tego ja — na com zrodzon był, dopiąłem!
Żywota mego nie przeżyłem płono,
Przeto mi duszę radość opromienia —
Jeno z radością miesza się pospołem
Żałość i troska, że mi przyjdzie pono
Zejść w grób ostatnim z Jagiełłów plemienia...

Anna.

Choćby tak było! Bracie mój a Panie,
Więcej Koronie Wy swojej dajecie
Niźli potomka. Wszak po Was ostanie
— Nie pokolenie z Waszej krwi potomne —

Jeno Waszego ducha żywe dziecię:
Unia, to Wasze dzieło wiekopomne,
Jak wiekopomna naszego pradziada
Stoczona niegdyś u Grunwaldu bitwa!

Zygmunt August.
(zadumany)

Dzisiaj piętnasty Julii... dziś przypada
W sam raz wiktoryi grunwaldzkiej rocznica;
Krwią tam się z Polską pobratała Litwa
Za najpierwszego Jagiellona sprawą...
I oto znowu za Jagiełłowica
Narody Oba w sojusz wchodzą bratni,
Lecz w oną ducha wiktoryę bezkrwawą
Już je prowadzi Jagiellon — ostatni...

(Zwiesza głowę — ocknąwszy się, podaje rękę Annie Jagiellonce i wychodzi z nią na lewo. Scena pusta. Wkrótce po wyjściu królestwa rozlegają się na ulicy gromkie okrzyki, oddalające się zwolna. Pod oknami przesuwają się chorągwie narodowe, sztandary cechowe; dzwony biją nieustannie od chwili przysięgi. Niebawem odzywa się stłumiony, daleki dźwięk organów i potężny chór śpiewający w dali Te Deum.)

ADOLF NOWACZYŃSKI

[illegible]

Wypełniłyby się rêveries lat młodzieńczych... chłopięcych... O mój Hertzberg! mój Hertzberg! jak ci adwerzarze moi mnie nie znają! zapoznają! Oni myślą, że ja młodzieńcem będący tylkom na flecie dmuchał... tańczył... Antimakiavella bazgrał, baraszkował... do księżyca wzdychał!... Ani nie przypuszczają, że jam jeszcze w Kistryniu więźniem ojca będący, pilnie rysował sobie godzinami takowe mapki z imaginacji, mapki, na których zawsze te polskie prowincje annektowałem bez pardonu... piórem... młody marzyciel... *(z lubością)*. Plock, Kalisz, Poznań... Ach, żeby to jeszcze za życia mego!... Ale bez wielkich awantur!... i nie w zimie... ot krótko!... w miesiąc! *(laską po mapie wodzi)*. Raz! Dwa! Trzy! To się nam przecie należy... hę?...

Hertzberg *(stanowczo)*. Jak amen w pacierzu, bez dyskusji! Nie mozoląc się zbytnio, można wywieść prawa Śląska do tych dwóch prowincjów. Dałoby się nawet z motywów usprawiedliwiających takowy zabór bardzo misternie skoncypować exposé!... o tak... Byle to wszystko bez wojny!... bez kampamentów! bez tego krwi rozlewu nieszczęsnego!...

Król pruski *(udobruchany, podochocony)*. Więc dałoby się?... dało!... proszę... Niechno Hertzberg sobie siądzie... może zmęczony?... *(wskazuje na miejsce przy biurku)*. O tam!... niech się nie żenuje... proszę...

Hertzberg *(ujęty, uszczęśliwiony)*. Nie mam dość słów doprawdy... dziękuję... niecom i zmęczony *(siada na brzeżku fotelu skromnie)*. Ergo... powtarzam: exposé co do prowincjów Poznania, Plocka, Kalisza, etc... byłoby z punktu justycyj dziejowych nie do zbicia...

Król pruski. Mówił mi to już miesiąc temu... Wierzę... wierzę. Ja sam wiem, że bez wojny lepiej!... wygodniej!... Ja się tak nie kwapiłbym teraz do wojen. Niema wodzów, niema ludzi z głowami! jest armja ale bez talentów. Niechżeż będzie pokojowo, negocjacjami! byle było!... Wszyscy to mówią... niezbędne nam nowe rynki! nowe terreny! nowe kundmany dla naszych panów fabrikantów! Byle było! Ergo widzi teraz! ten Śląsk daje nam właśnie w ręce tituły prawa do pretendowania o te wioski, terreny, i rynki... o... a te Wiedeńczyki ośmielają się właśnie o dawno strawionym Śląsku przebąkiwać larifari... Niechżeż teraz powiedzą, kto chce zrywać ekwilibrjum Europy! kto do awantur zmierza, kto myśli o nowych anneksjach jak nie Apostolski Cesarz.

Jego ambicja wysusza! rujnuje! *(wstał).* Jeżeli on się nie ożeni w tych czasach, jeżeli żona go na pasek nie weźmie, to Jego Mość Wiedeński doprowadzi do obmierzłego galimatjasu w pępku Europy... O... aż pomyśleć przykro... Hę?

Hertzberg wstał i stanął przed biurkiem.

Król pruski *(machnął laską).* Ale poco ja sobie mam tem wszystkiem wątrobę drapać... prawda?... No niech lepiej Hertzberg opowie co miłego o tem swojem exposé co do Wielkopolski... O! z niego jest filut! *(podszedł do Hertzberga)*... Hohoho... pfifficus... Onby nasze pretensje i do Krimu wywieść potrafił... hihihi... *(pogładził Hertzberga po ramieniu).* Prawda... Hę?...

Hertzberg *(poważnie).* O co to to nie!... Wasza Królewska Wysokość raczy sobie żartować najmiłościwiej... Pretensje nasze jako prawnych posesorów Śląska do Wielkopolskich prowincjów opierają się na stricte archiwalnych fundamentach... na argumentach studjum dziejów utwierdzonych, naukowych...

Król pruski *(śmiejąc się).* Naukowych! stwierdzonych? hihihi... Oj filut z pana ministra Status! Pangloss! ale swoje funkcjones zna. Nie za darmo bierze salarium! nie!... Hihihi... *(oparł rękę na ramieniu Hertzberga).* Ale gdybyśmy tak pewnego poranku zechcieli Krim albo Rzym hihihi... dałoby się o tem... takowe mixturum compositum... tego wyalembikować... hę? pokompilować... no?

Hertzberg *(bardzo poważnie).* Nie.

Król pruski *(wesoło).* Ech... no! niech pomyśli!

Hertzberg. Wasza Królewska Wysokość raczy najmiłościwiej... dość niestety często... negliżująco wyrażać się o kunszcie praw dziejowych... A jest to, powtarzam z przekonania, najpoważniejszy aktualnie motor układów między nacjami, powszechnej ludów istności, sprawiedliwego układu stosunków...

Król pruski *(odstępując od Hertzberga kilka kroków).* O już się zaczyna... już... motor... faktor... istności... już cieńkowania! balansé... mnie to nic nie obchodzi... Mnie to obchodzi, jak onby pokojowemi negocjacjami, z piórem przystąpił do tych nowych okupacjów... o... *(wzgardliwie),* bo przecież istnieją tam jakieś pisane układy z Najjaśniejszą Republiką,... gwarantujące tam coś... tegoś... To jak z nimi? co? tak per non sunt hihihi...

Hertzberg. Układy?... Tak, zapewne, istnieją. Atoli według akceptowanej przez nas doktryny politycznej wszelkie układy

pisane wiążą tak długo, jak długo trwają kondycje, w których układy owe zawartemi były... Wszak tak? Ergo...

Król pruski (*kpiąco*). Ergo?... Wedle tej doktryny hihihi...

Hertzberg. Ergo, walor układów niknie przy kondycjach zmienionych. Kondycje zaś się zmieniły albowiem... życie samo stale się zmienia... tak... proporcja sił się zmieniła... o!... Toć są chyba argumentacjones ex logica...

Król pruski (*wesoło*). Każda argumentacja jest ex logica... jeżeli ją można poprzeć bajonettami hihihi...

Hertzberg (*poważnie*). Tak... zapewne... Ale ja staram się argumentować nawet bez reflektowania na protekcję bajonettów... Powtarzam więc... Według moich kombinacjów właśnie tu dałoby się spokojnie... negocjacjami... przywrócić Prusom ich może nierdzenne atoli w każdym razie pokrewne territoria nominowane false: Wielkopolską...

Król pruski. Tak... tak... dałoby się... Ale na przekonanie panów senatores o rzetelności takowej anneksji trzebaby deklarować krociowy bakszysz! Z miljon talarów! hę?...

Hertzberg. E nie... Tyle nie sądzę... Kto wie, czy nawet nie trzebaby brać się do tej entrepryzy całkiem inaczej... Właśnie też chciałem dziś sprezentować... W. K. Wysokości... zarys... tak jest, zarys pewnej... metody nowej... pewnego że tak powiem...

Król pruski (*siadł na rogu biurka, oparłszy się na lasce*). Co za zarys?... co za metody nowej?... Co on mi tu tumani o nowej metodzie... Niech on tylko staremi metodami swojemi zgrabnie kręci, to będzie dobrze... hihihi... Nowe metody...

Hertzberg (*urażony*). W. K. Wysokość atoli pozwoli mi najmiłościwiej przedłożyć sobie tej metody lekki zarys...

Król pruski (*siada na fotel*). Dobrze... owszem... (*przedrzeźniając*). Ale niech ten jego lekki zarys będzie: krótki zarys.... Hihihi... Zarys!...

Hertzberg. Otóż ten młody człowiek, Włoch, który miał szczęście zostać szambelanem W. K. Wysokości, wczoraj wieczorem towarzysząc mi do kwatery zwrócił trafnie moją uwagę na łatwość sposobu, w jakim dałoby się powołać do życia w Polsce frakcję, klub, czy partję, będącą na każde nasze zawołanie...

Król pruski. Ehe... (*zaczyna grzebać w papierach*). To pan Lucchesini powiedział? Ten koncypjent literacki... Nie my-

ślałem, że on się i tem zajmuje... Ho ho! a poco tam jeszcze nową frakcję... hę?...

Hertzberg. On się zajmuje sprawami publicznemi przygodnie, nie gruntownie... ot jako lubownik... dilettante... Zdaje mi się jednakowoż, że z tego Italiana będziemy kiedyś mieli pociechę... Orjentuje się błyskawicznie we wszystkiem... na premisach nikłych niezawodne konstruuje konkluzje... Ergo, ten markiz Lucchesini, jedynie tylko z dyszkurów z biskupem Krasickim doszedł do bardzo roztropnego rezultatu w kombinacjach... że... *(przerwał rozmyślnie).*

Król pruski *(równocześnie czytając coś).* Proszę... proszę... ja słucham tego rezultatu o kombinacjach. Że?...

Hertzberg. Że przy niniejszej dzikiej i rozpasanej procedurze Rosjanów w Polsce, szybko i jak po maśle poszłoby nam stworzenie sobie tam dużej partji przyjaznych popleczników ślepo ordynansów z Berlina słuchających!... partji sztychem swym przeciw Rosjanom zwróconej, takowych niejako organów...

Król pruski. Słucham... słucham *(czyta dalej w papierach).*

Hertzberg. Byle im tylko patrjotyczne nuty wykomponować, mówił ten młody adept dyplomacki...

Król pruski. Pan Lucchesini da Lucca?... Ho ho...

Hertzberg. Tak, pan Lucchesini... to cały Sejm będzie nam grał po prusku... synfonice, a capella... jak suflety.

Król pruski *(podnosząc twarz do Hertzberga).* Ehe... Bardzo ładnie... Ale... ale poco to wszystko?... hę?... To jest ta jego nowa metoda?... hę? co w tem nowego?... Każdej chwili to wszystko mieć możemy bez żadnych zachodów... Więcej dać naszym agentom i Hebrajczykom złota do dysponowania, a panowie matadores i senatores uchwalą wszystko co zechcemy... Co? On wie dobrze!... Niema takiego szelmostwa, któregoby się grandseigneur polski nie podjął za pieniądze, które potem garściami za okno będzie wyrzucał lub w l'hombra przetraci... Tak czy nie? Hę?...

Hertzberg. Ależ tak... Ja wiem chyba o tem najdokładniej. Nawet nie tacy oni kosztowni... Rosjany drożsi znaczniej... Ostatnie zerwane Sejmy nie kosztowały nas więcej nad pięć, sześć tysięcy każdy! A były i za dwa tysiące zrywane... *(wesoło).* Pan Hoffman kupował przecież vota i veta za 10 beczek soli... he he he...

Król pruski. Hi hi hi!... *(podniecony).* Za 10 beczek soli cała reforma w łeb brała!... Dziesięć beczek soli!... Za udaremnienie planów aukcji wojska, dziesięć beczek soli temu... 30 dukatów w zęby tamtemu... Hi hi... Wojewodowie z Bożej łaski brali i sodalise Mariani brali... Ergo, mój Hertzberg!... mój Hertzberg!... Poco mnie tam formowanie jakiejś nowej frakcji... poco jakowes partizanes, kiedy ja placet Sejmu czy Senatu mam tutaj *(głośno)* tutaj... o... *(bije się ręką po kieszeniach od spodni)* o... w kieszeni... Pan Lucchesini niewypierzony adept jeszcze... nie poznał dokładnie pięknej fides polonica... A mammona wielka rzecz! causa prima! causa finalis! Hi hi... Nie należy nią szafować...

JERZY ZUŁAWSKI

(bio- i bibljografja obacz str. 197).

„Za chlebem."

Droga ziemio ojczysta! luby polski kraju!
Góry moje rodzinne! — ja-m wśród was zrodzony,
Czemuż muszę porzucać złotych marzeń strony,
Czemu ptakiem przelotnym ciągnąć do wyraju?

W cudze kraje mi lecieć między obce ludy,
Drogich sercu opuścić na długo, na długo,
Płynąć trzeba pod wodę bystrą losów strugą,
Walczyć z życiem i gonić marne szczęścia złudy!

Serce pragnie tu zostać pośród własnej braci, —
Gnane w światy przemocą oprzeć się nie zdoła,
Rozłączenie jednakże krwawą łzą opłaci...

Ty się pytasz dlaczego w świat mi lecieć trzeba,
Rzucać ojców smętarze, góry, lasy, sioła?
Krótko powiem: dla chleba, bracie mój, dla chleba!

Do świerka.

Świerku! stary, zielony mój świerku poczciwy,
Co w ojcowskim ogrodzie nad lipy i klony
Wystrzeliłeś z wspaniałej pyszniąc się korony,
Zali ja cię obaczę jeszcze kiedy żywy?

Ileż razy dziecięciem igrałem szczęśliwy
W twoim cieniu, muskając twój warkocz zielony,
Lub jak ptaszę u szczytu twego uczepiony
Na me góry patrzałem, na łąki i niwy.

Kiedy postrach przed karą za zbytki się zdarzył,
Ty mi byłeś ucieczką! Na twoich konarach
Pierwsze-m żale wypłakał, pierwsze sny przemarzył.

Może wkrótce bezbożna powali cię ręka:
Wolne życie zakończysz w popiele i żarach, —
Świerku! mnie los tak samo powalił i nęka...

Pytam ciągle...

Pytam ciągle — lecz darmo czekam odpowiedzi!
Pytam ciągle, lecz bytu tajnej treść zagadki
Jest jak owe paproci w starych baśniach kwiatki:
Kwitną pono, lecz miejsca oko nie wyśledzi!

Mędrców świata powieści — to brzęk pustej miedzi!
Huczą głośno, lecz kłam im zadają wypadki,
Kłam zadają im dusze nad skreślone kratki
Dziką myślą sterczące. Mędrzec w księgach siedzi:

Zachciał bujny prąd życia z jednej zbadać kropli!
Zgłębiż ducha tajniki z wierzchniej szaty? — snop li
Zboża plenny oceni ze słomy okruchów?

Nie odnaleźć wam prawdy: w księgach się nie mieści!
Bóstwa jakieś zazdrosne tajnej strzegą treści;
Pytać ciągle i — darmo, los to ludzkich duchów!

Przy rozstaniu.

I.

„Daj mi te piosnki! — chcę je mieć ze sobą,
Daj na pamiątkę. Idę w kraj daleki;
Góry i stepy i szumiące rzeki
Wnet nas rozdzielą... Wspomnisz? czy z żałobą?

„Nie! nic mi nie mów! — jeno przyślij książkę,
Napisz na przedzie, że dla mnie te piosnki,
A między kartki dwa białe pierwiosnki
Włóż — i liljową atłasową wstążkę.

„I przyślij mi ją. A gdy późno zajdzie
I już w zielonej mnie mogile znajdzie —
Napisz na karcie, żem ci była bratnią,

„I niech twą książkę złożą na mym grobie,
A ja tam w trumnie będę myśleć sobie,
Żeś na grób przyszedł pieśń mi piać ostatnią...“

II.

„Wplotłam ci liście dębu między włosy,
I tak chcę zawsze wspominać o tobie,
Widzieć cię w wieńców dębowych ozdobie,
Zielonej, świeżej, lśniącej perłą rosy...

„Pamiętaj o mnie! Na szerokim świecie
Dadzą ci wawrzyn, ciernie albo róże, —
Lecz kwiaty więdną, wawrzyn odrą burze,
Dębu ni ciernia jedno czas nie zmiecie.

„Dąb ja ci dałam. Gdy będę daleko,
Wspomnij ten wieniec... Łzy mi z oczu cieką
I ból przejmuje serce moje ostry...

„Bądź zdrów! Ja nie chcę płakać! chcę wesoło
Myśleć o tobie... Myśl o mnie... Daj czoło,
Żegnam cię — żegnam pocałunkiem siostry.“

Testament.

Synkowie moi, poszedłem w bój
Jako wasz dziadek a ojciec mój,
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legjonami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej ojczyzny.
Synkowie moi! Da nam to Bóg,
Że wreszcie spadną kajdany z nóg
I, nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawą się stanie, co pradziad śnił.
Szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
Łan naszej wolnej ojczyzny.
Synkowie moi! Lecz gdyby Pan
Nie dał wznijść zorzy z krwi naszych ran,
To jeszcze w waszych piersiach jest krew
Na nowy świętej wolności siew.
I wy pójdziecie, pomni spuścizny,
Na bój dla naszej ojczyzny.

„Na srebrnym globie."

(Fragment z rozdz. III.)

Dziesięć lat ziemskich minęło od czasu, jak przybyliśmy nad brzeg morza, gdzie dzisiaj jeszcze mieszkamy. Niewiele się tutaj od tej pory zmieniło. Morze huczy tak samo i tak samo co noc świeci nam długo roziskrzonemi falami: co pewien czas powtarzają się wybuchy wulkanu, któryśmy przez pamięć naszego drogiego przyjaciela nazwali Otamorem; tak samo biją gejzery i strumyk szemrze po kamieniach — tylko na jednym z basenów teraz wznosi się na palach domek zimowy, a niżej nad brzegiem morza szałas, służący nam za letnie mieszkanie; tylko na piaszczystem wybrzeżu lub na łąkach bawi się czworo dzieci, zbierając muszle i kwiaty, lub igrając z kilkoma psami, zrodzonemi już na Księżycu.

I myśmy już przywykli do tego świata. Nie dziwią nas długie mroźne noce ani dni, podczas których leniwie pełznące słońce ogniem z nieba zionie; popołudniowe, straszliwe burze, przeciągające regularnie co siedmset dziewięć godzin nad naszemi głowami, przestały napełniać nas trwogą; na dziki, fantastyczny krajobraz, na roślinność tak od ziemskiej różną i potworne a niedołężne księżycowe zwierzęta patrzymy jak na rzeczy dobrze znane i naturalne... Zato Ziemia we wspomnieniach naszych staje się czemś, podobnem do snu, który przeszedł i pozostawił po sobie jeno nieuchwytny jakiś i tęsknotą rozmarzający ślad w pamięci.

Siadamy czasem nad brzegiem morza i rozmawiamy o niej długo, długo... Opowiadamy sobie o krótkich ziemskich dniach, o lasach, o ptakach, o ludziach i krajach, które oni zamieszkują, o mnóstwie rzeczy znanych i drobnych, jakby o czemś niezmiernie ciekawem i w bajce tylko zasłyszanem. Tom jest już dosyć duży i rozumny i słucha tego wszystkiego rzeczywiście jak bajki. On nigdy nie był na Ziemi...

Ostatecznie urządziliśmy sobie tutaj życie dosyć znośne. U stóp Otamora, na skruszałem wulkanicznem podłożu odkryliśmy pnącze, których grube i tęgie korzenie są dosyć zdatnym materjałem, mogącym zastąpić od biedy ziemskie drzewo. Wysuszone i ze zdrzewiałych łusk oczyszczone wielkie liście, nadzwyczaj silne i trwałe, zastępują nam skórę, a z włókien innych tkamy sobie rodzaj grubego i miękkiego płótna. Na równinie za rzeką znaleźliśmy po długich poszukiwaniach pokład brunatnego węgla, a także odkryliśmy znacznie bliższe od pierwszych źródła nafty. Żelazo,

srebro, miedź, siarka i wapno znajdują się tu w dość znacznej obfitości; morze dostarcza nam mnóstwa bardzo przydatnych muszel i bursztynu, różniącego się od ziemskiego tylko barwą płomienno-czerwoną.

Z morza też wyławiamy przeważnie pożywienie. Żyją tu najrozmaitsze, szczególne, a jadalne skorupiaki i jakieś niby ryby, niby jaszczurki, wcale smaczne i pożywne. Oprócz tego zbieramy w piasku lub po zaroślach jaja — żadne z tutejszych stworzeń nie przychodzi na świat żywe, lecz wszystkie znoszą jaja, niesłychanie na mróz odporne, a wylęgające się nadzwyczaj szybko w słonecznem cieple, — albo też przyrządzamy smaczne i posilne potrawy z kilku gatunków roślin, obficie tutaj rosnących.

Początkowo przykrzyło nam się tylko bez mięsnego pożywienia, ale teraz jużeśmy się przyzwyczaili.

Wszystkie zwierzęta tutejsze mają mięso łykowate i smrodliwe tak, że jeść go niepodobna. Psy niem tylko nie gardzą.

Upłynęło kilka dni księżycowych, nimeśmy się tutaj jako tako zagospodarowali. Naprzód wzięliśmy się do wyszukania budulca i paliwa, poczem zaczęliśmy wznosić na palach, zrobionych z mocnych korzeni, domek zimowy na tym samym stawku cieplic, gdzieśmy we wozie pierwszą noc spędzili. Po ukończeniu tej najważniejszej roboty zaczęły się nasze długie wycieczki po okolicy, któreśmy odbywali przeważnie pieszo, mając ze sobą wózek z zapasami i narzędziami, ciągniony przez psy. Psy są tutaj dla nas jedynemi zwierzętami roboczemi; ze stworzeń księżycowych chowamy tylko pewien rodzaj dużych, skrzydlatych jaszczurek, znoszących wielkie i smaczne jaja.

Czasami puszczaliśmy się na morze, płynąc wzdłuż brzegów. Wybrzeże ku zachodowi jest płaskie i piaszczyste, na wschodzie zato występują liczne, z wulkanicznych gór utworzone przylądki, pooddzielane głębokiemi, daleko w głąb kraju wrzynającemi się zatokami. Prawie każda taka wycieczka, wodna czy lądowa, przynosiła jakąś korzyść; znajdowaliśmy coś nowego, co nam się mogło przydać, albo przynajmniej poznawaliśmy właściwości i tajemnice tej okolicy, w której snadź będziemy mieszkać już do śmierci.

Po trzynastu dniach księżycowych, to znaczy po ziemskim roku naszego pobytu nad morzem znaliśmy już okolicę wcale dobrze, a oprócz domu mieszkalnego mieliśmy warsztaty, małą hutę, składy, stajnie dla psów, słowem wszystko, co nam tu jest niezbędne do życia. Skończył się okres gorączkowej, wytężającej

czynności i zwolna przychodziła do nas nuda i gorsza od niej tęsknota za opuszczoną Ziemią. Były to dla nas czasy okropne; pamiętam, że nie mogliśmy sobie dać rady. Podczas dnia zwiedzaliśmy jeszcze okolicę, błądząc samopas po górach, albo zajmowaliśmy się dość łatwem gromadzeniem żywności, ale w długich nocach rozpacz nas już ogarniała. Zamknięci w małym domku nad powierzchnią ciepłego stawu, bezczynni i rozleniwieni, staraliśmy się tylko spać jak najwięcej.

Ale i to nie zawsze się udawało. Siedzieliśmy wtedy milczący, nudą i tęsknotą obezwładnieni i niechętni sobie wzajemnie. Jest to prawdą, jedną z najniewątpliwszych, że nic tak ludzi nie zniechęca ku sobie, jak cierpienie lub nuda. Miałem niestety sposobność stwierdzić to kilkakrotnie.

Można się było wprawdzie zająć i tem i owem, zaprowadzić jakieś ulepszenia, pomyśleć o przyszłości, ale niezdolnymi do tego czyniła nas myśl, że skazani jesteśmy tutaj na wymarcie. Ludzie na Ziemi nawet nie wiedzą o tem, że większą część swej energji zawdzięczają myśli — czasem nieświadomej, — że pracują nietylko dla siebie, ale i dla tych, co przyjdą po nich. Człowiek chce żyć — otóż to jest wszystko. — A tymczasem śmierć nieubłagana stoi mu przed oczyma i gdyby nie znalazł wybiegu, sposobu oszukania jej — a może tylko siebie? dalibóg nie wierzę, aby inna myśl, oprócz tej strasznej i paraliżującej: ja umrę, mogła powstać w jego głowie! Są różne lekarstwa: jest wiara w nieśmiertelność duszy, jest wiara w nieśmiertelność ludzkości i dzieł człowieczych. Człowiek czynami swemi przedłuża własne istnienie; bo jeśli wspomni czasem o tych wiekach, kiedy jego już nie będzie, to wyobraża sobie, że jednak pozostanie wówczas jeszcze jakiś ślad jego pracy i tak we własnych myślach staje się sam obecnym tej przyszłości, na którą już nie będzie patrzył żywemi oczyma. Ale do tego potrzeba mu wiedzieć, że będą po nim istnieli ludzie, którzy, jeśli już nie wspomną jego imienia, to przynajmniej, nie wiedząc o tem, będą z jego pracy korzystać. To jest nieodzowny warunek życia jego czynów. Bo dzieła ludzkie są jak ludzie sami: żyją lub umierają. Dzieło, które żadnej zmiany w niczyjej świadomości nie powoduje, jest martwe.

Są to wszystko uwagi ogromnie proste i naturalne, ale uświadomiłem je w sobie zupełnie i jasno dopiero na Księżycu, podczas owych długich, bezczynnych i beznadziejnych dni w początkach naszego pobytu nad morzem.

Nieraz myślałem: dobrzeby było zbadać granice tej wielkiej wody, przejechać ten kraj wzdłuż i wszerz, poznać jego góry i rzeki, porobić mapy, opisać rośliny, zwierzęta i minerały — ale w tej chwili stawało mi w myśli szydercze pytanie: i co komu z tego przyjdzie? Istotnie, co komu z tego przyjdzie, myślałem, komu opowiem to, co poznam, komu zostawię to, co piszę? Tom?... Ależ mały Tom umrze tak samo, jak ja, nieco później wprawdzie, ale to rzeczy nie zmienia: będzie ostatnim człowiekiem na tym świecie, na którym my jesteśmy pierwszymi. Z nim skończy się wszystko...

Ta świadomość paraliżowała wszystkie me czyny, czy to gdy zamierzałem badać ten kraj zadziwiający i to morze, którem Księżyc nalany jest jak srebrna czara, suchem dnem zwrócona ku Ziemi, czy to kiedy myślałem o postawieniu trwalszego domu, założeniu nowych i lepszych warsztatów, ogrodu i zwierzyńca, słowem o podniesieniu dobrobytu naszego małego gospodarstwa.

JAN LEMAŃSKI

(* 7. VII. 1866 w Głażewie).

Wydał: „Bajki“ 1892. „Proza ironiczna“ 1904. „Colloquia“ 1905. „Ofiara Królewny“ 1906. „Nowenna“ 1906. „Prawo własności“ 1909. „Baśń o prawdzie“ 1910. „Noc i dzień“ 1911. „Czyn“ 1911. „Kamień filozoficzny“ 1911. „Jasełka“ 1911. „Zwierzyniec“ 1912. „Satyra Polska“ (antologja 2 t.) 1914. „Bajki o zwierzętach“ 1916. „W kraju słońca“ 1920. „Złota rybka“ 1920. „Lisy na dworze królewskim“ 1920. „Księga rodzaju“ 1920. „Tao“ 1920. „Prawo mężczyzny“ 1922.

Z. PRZESMYCKI O J. LEMAŃSKIM.

(bio- i bibljografja Przesmyckiego ob. str. 159.)

Odrodzenie bajki.

I.

Występując przed półtora wiekiem przeciwko hybrydyczności bajki po-lafontenowskiej, brał Lessing w obronę „rzeczywistą istotę“ (das wirkliche Wesen) ezopowskiego apologu.

Dziś wiemy, iż „rodzaj literacki“ nie jest czemś nieruchomem, stałem, na zawsze obowiązującem, lecz, jako rezultat pewnej sumy warunków, pierwiastków i okoliczności życiowych, oraz, jako wytwór indywidualności, jako inkarnacja danego talentu, ulegać może i musi, przy nowych warunkach i pod nowego talentu mocą twórczą, zasadniczym modyfikacjom i przeobrażeniom.

To też, zdając sobie sprawę, jak głęboko zmieniły się w ciągu ostatniego zwłaszcza stulecia stany umysłowości i wrażliwości człowieczej, nie dziwimy się wcale, iż bajka starego typu, obca im już i chyba przez nawyknienie z dziecinnych, szkolnych czasów znajdująca oddźwięk w duszach, — wyrodniała zwolna, zanikała w literaturze jako dzieło sztuki i w ostatnich latach pięćdziesięciu

stała się już wyłącznie narzędziem bądź pedagogiki, bądź — co gorzej — taniej humorystyki dziennikarskiej.

Na istotę dotychczasowej bajki składały się właściwie trzy pierwiastki: mniej lub więcej górująca nad wszystkiem celowość moralizatorska; jak najzwięźlej (u Ezopa) lub też bardziej malowniczo (jak u Lafontaine'a) opowiedziany fakt czysto zewnętrzny, w którym ma się uwidocznić dany morał; wreszcie, w bajce zwierzęcej, traktowanie życia zwierzęcego bądź nader suche również, bądź bardziej malownicze, lecz zawsze w sensie zmyślenia, fikcji, schematu, znaku umownego.

Człowiek dzisiejszy nie ma przedewszystkiem zaufania do nieomylnych, ogólnych reguł codziennej, utylitarnej moralności; wie, że często są one tylko dziełem umowy lub nawyknienia, że wogóle wartość ich zmienia się, stosownie do horyzontów, że ta sama rzecz może nie być jednako moralną z punktu widzenia osobnika, rodziny, narodu, ludzkości i wreszcie jakiejś sprawiedliwości bezwzględnej, sub specie aeternitatis.

Człowiek dzisiejszy nie zadowala się, dalej, faktem nagim, czysto zewnętrzną sytuacją czy zdarzeniem, lecz doszukuje się przedewszystkiem motywów tej zewnętrzności, ukrytego dna faktu, jednem słowem, procesów dusznych, które ten fakt wywołały i które jedynie stanowią o jego jakości istotnej. Dusza — oto ku czemu zwróciła się cała dzisiejsza literatura i sztuka. Czy to przez analizę (kierunek psychologiczny), czy też przez odczucie i ewokację (symbolizm), artysta dzisiejszy duszę tylko najaw wydobyć pragnie, odsłonić najtajniejsze jej zakąty, dać wyraz najgłębszym jej zadrgnieniom. Zewnętrzność staje się tylko kanwą do rozsnuwania tych arabesków życia duszneg.

I nie o ludzką jedynie chodzi duszę. Człowiek dzisiejszy opuścił zajmowane od tak dawna stanowisko samolubnie wyłącznego antropocentryzmu. Czy to przesiąkły już we wrażliwość jego teorje nauki współczesnej o jedności gatunków, czy też jego sympatja i współczucie dla wszystkich maluczkich, zależnych, uciśnionych, rozszerzyły się aż na nieme stworzenia, — dość, że dzisiaj nie uważa on już życia zwierzęcego za umowny jeno środek do zamaskowania i alegoryzacji swego własnego, lecz traktuje duszę zwierzęcą jako coś samo w sobie godnego uwagi, zaciekawia się nią niemniej niż ludzką i, co za tem idzie, spostrzega mniej lub więcej ukryty ich paralelizm.

Coraz wyraźniejsze ślady tego głębszego odczuwania natury i przeto poszerzenia się samej duszy odczuwającej — czerwoną nicią wiją się przez cały wiek XIX.

„Stworzenie jest jedno", powiada Balzac w Przedmowie ogólnej do Komedji ludzkiej; „Stworzyciel uczynił według jednej modły wszystkie twory organiczne... Społeczeństwo nie różni się od natury".

Wczucie się w duszę zwierzęcą przyniosło Alfredowi de Vigny jeden z najpiękniejszych jego wierszy:

Seul le silence est grand; tout le reste est faiblesse
(La mort du loup),

a Zeyerowi pełne niewypowiedzianej rzewności słowa o „skardze niemoty, która sili się, aby móc przemówić":

Wie istność niema, że słowo zbawieniem.
(Kronika o św. Brandanie.)

Leconte de Lisle'owi snuły się w Poematach barbarzyńskich przeczucia wielkiej epopei duszy w naturze, podobnie jak w Poematach antycznych zarysowała mu się epopeja duszy ludzkiej w dziejach. Fragmentami tych marzeń są przedziwne ewokacje duszy zwierzęcej w Marzeniu Jaguara, Słoniach, Śnie kondora, Panterze czarnej, Dżunglach, Inkantacji wilka, i t. d.

Nareszcie w psychologicznych i symbolicznych opowieściach zwierzęcych Dygasińskiego i Kiplinga zmartwychwstaje w nowej postaci odwieczna baśń indyjska, której ślady i echa niewyraźnie nas doszły w Mahabharatach i Panczatantrach; baśń z czasów, gdy człowiek stał tak blisko przyrody, iż poniekąd sam siebie jeszcze z niej nie wyróżniał, i przeto odczuwał ją niemniej dobrze, niż siebie samego, z czasów, gdy, jak mówi Ezop, zwierzęta miały mowę ὅτε φωνήεντα ἦν τὰ ζῶα; baśń, która nie była jeszcze zoomorficznem zmyśleniem, alegorją, maską życia człowieczego, lecz rzeczywistym obrazem duszy zwierzęcej, i która zapadła w letarg z chwilą, gdy człowiek, o pierwszych brzaskach kultury, jął oddalać się od przyrody i „samego siebie tylko w stworzeniu poszukiwać, nic poza ten widok nie ważąc sobie".

Dziś, po stuleciach cywilizacji, inną drogą, znów do natury powraca. Tak oto

...życia koniec szepce do początku:
Nie stargam cię ja — nie! — ja uwydatnię!
(C. Norwid.)

II.

Bajka, o ile miała istnieć nadal jako dzieło sztuki, musiała odrodzić się i przekształcić odpowiednio do całej tej fali nowego życia duchowego.

Kuszono się też w ostatnich latach niejednokrotnie o jej odnowę, wprowadzano ciekawe i niekiedy zasadnicze modyfikacje, zaczęto np. — obok dawnego przyodziewania charakterów i właściwości ludzkich w maski zwierzęce — chłostać i wyszydzać, w obrazkach z rzeczywistego życia zwierzęcego, zwie-

rzęce przywary w naturze człowieczej. Wszystkie te próby wszakże, nie wyłączając najlepszych względnie utworów F. W. v. Oestérena, dążyły raczej do przerobienia czy poprawienia starego typu bajki, aniżeli do stworzenia nowego.

Istotnym odnowicielem zanikającego rodzaju literackiego stał się dopiero Lemański. W nim pierwszym, wymienione wyżej duchowe pierwiastki epoki w spójną z jego cechami indywidualnemi zlały się całość. On pierwszy w dzisiejszej dobie jął pisać bajki nie jako specjalista zawodowy, nie według ścisłych lub zmodyfikowanych reguł i tradycyj, nie dla takich lub innych celów przemijających, lecz impulsywnie, bezinteresownie, dlatego tylko, że właśnie w bajce ironicznej pewne sfery czy stany jego duchowości jedynie odpowiedni znajdowały dla siebie wyraz.

To wprowadzało bajkę zpowrotem w dziedzinę sztuki. Tylko bowiem dzieła, powstające w ten nieodzowny sposób, jako uzewnętrznienie duszy autora, nie zaś tworzone ad hoc, ze świadomem czy nieświadomem podporządkowaniem tej duszy jakimś wzorom, regułom czy nawyknieniom, na nazwę dzieł sztuki zasługują.

Cechą charakterystyczną talentu Lemańskiego jest, podobne jak u Baudelaire'a, niezwykłe zjawisko jakiejś refrakcji twórczej w duszy poety. Jak Baudelaire nie był wcale naturalistą ani pornografem i nie lubował się bynajmniej w brzydotach, ohydach, perwersjach, chorobliwościach, acz malował je tak często, — tak Lemański nie jest bynajmniej humorystą z powołania, który dostrzega w życiu jedynie strony komiczne i z zamiłowaniem poniekąd zabawia się odkrytemi śmiesznościami.

Proces tu, równie jak tam, zachodzi zupełnie odwrotny. Lemański jest przedewszystkiem głębokim lirykiem, żarliwym entuzjastą piękna, harmonji, wielkiego rytmicznego potoku życia. Ale ten właśnie instynkt piękna, to sprężenie duszy ku sferom doskonałości, to nienasycone pożądanie czegoś wiecznie żywego, wolnego, świadomego, czegoś nieskończenie lotnego, giętkiego, ruchliwego, czyni go, przy zetknięciu z życiem rzeczywistem, czułkowato, boleśnie wrażliwym na wszystkie śmieszności i groteskowości, na pozę, zarozumiałość, na objawy jarzmiącej duszę przewagi ciała, na zakusy formy, chcącej zapanować nad treścią, na wszystko, jednem słowem, co ducha wolnego w mechaniczną zmienia marjonetkę.

Dla tych widomych „zniewag względem piękna i harmonji", dla tych dysonansów, dla tych „błędów przeciwko rytmowi i prozodji bytu" czuje on tak głęboką nienawiść, taki wstręt, taką pogardę, że intensywność tych uczuć wywiera jakby odwrotne działanie: że wszystkie te skazy i niedoskonałości poczynają go fascynować, przyciągać magnetycznie, zasłaniać mu wszystko przed oczyma, póki ich twórczo z siebie nie wyrzuci, póki nie odda całej ich nędzy, póki z nieubłaganą nie wyszydzi ich złośliwością.

Oto geneza ironicznych bajek Lemańskiego. Na zbiorku ich słusznie położono juwenalowskie motto: „facit indignatio versum“, — bo powstały one z patetycznych, zaiste, pokładów duszy, — i powiedzenie Ernesta Hello: „dans le comique, le pathétique est sous-entendu“, nigdzie lepszego, jak tu, znaleźćby nie mogło zastosowania.

To już nie dobroduszność (bonhomie) La Fontaine'a, to nie rozumowa i nieco sucha ironja Lessinga, to nie elegancka, figlarna żartobliwość Krasickiego, — to raczej gorzki, posępny sarkazm Swiftowski, to zimna, bezlitosna zawziętość prawie.

Takim nieprzejednanym wszakże jest Lemański tylko względem objawów bezduszności, która, będąc brakiem wszelkiego polotu, wszelkiej samodzielności i samotwórczości, odbiera osobnikowi, choćby najbardziej nienagannemu z punktu widzenia codziennej etyki utylitarnej, całą istotną wartość. Jest to jedyny kategoryczny postulat moralny autora, unoszący się zazwyczaj, niby widmo starożytnej ananke, na najdalszych widnokręgach jego bajek i rzucający stamtąd od czasu do czasu niespodziane oświetlenia na bezpośrednie nauki i sensy akcji pierwszoplanowej. Stąd często nieoczekiwana chwiejność lub dwuznaczność tych ostatnich, zbijająca z tropu ludzi, nawykłych do biernego posłuszeństwa zdawkowym formułkom.

Poza bezdusznością, autor traktuje wszystko inne z pobłażliwym raczej humorem, niekiedy nawet, np. w Lilji wodnej, z wyraźną sympatją. Łagodny jego uśmiech zda się wtedy mówić: „Miejcie jeno duszę! Z nią możecie iść choćby na bezdroża. Bezduszność jedna jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu — i niemasz dla niej przebaczenia!“

Bajka Lemańskiego jest κατ' ἐξοχήν bajką o duszy, nie zaś Lafontaine'owską, „komedją“ zdarzeń „w stu różnych aktach“.

Dla Lafontaine'a świat zdarzeń zmysłowych i najbliżej związanych z cielesnością powierzchownych reakcyj psychicznych jest rzeczą główną. Nie wyszukuje on wprawdzie „pomysłów“ (co Lessing uważa później za wyłączne zadanie bajkopisarza), bierze je spokojnie od Ezopów, Fedrów, Awienów czy Pilpayów, ale zajmuje się niemi przedewszystkiem, rozwija ich szczegóły, układa je w całkowite dramaciki, z ekspozycją, przejściami i rozwiązaniem.

Dla Lemańskiego zewnętrzność jest nieprzebranem morzem symbolów duszy. Wszelkie kombinowanie zdarzeń, wszelkie układanie ich w całości dramatyczne wydaje mu się co najmniej niekoniecznem, bo w najprostszym fakcie, przy głębszem weń zajrzeniu, już duszę odkryć można.

Dlatego nietylko nie szuka sam specjalnych zawikłań bajkowych, lecz nawet nie posiłkuje się cudzemi. Zadowala się najprostszem spostrzeżeniem, ujrzaną sytuacją, luźnem zupełnie sprowadzeniem w gromadę kilku postaci. Związku dramatycznego częstokroć w bajkach jego niemasz wcale, przeważnie nic się

w nich nie dzieje, jest tylko dialog, w ciągu którego zarysowują się jakby jakieś wizyjne, przeświecające z poza zewnętrzności portrety i studja duszy.

Lafontaine zwraca przedewszystkiem uwagę na ziemskie, przemijające odmiany i gatunki duszy człowieczej, maluje nam królów, panów, mieszczan, chłopów, uczonych, doktorów, księży, zarozumialców, tchórzów, próżnych, hipokrytów, skąpców, cały szereg zawodów, stanów, powołań, charakterów.

Lemańskiemu chodzi o samą duszy istotę, jako pierwiastka eleuterycznego, wolnego, lotnego, świadomego, w przeciwieństwie do pierwiastków cielesnych: bezwładu, musu mechanicznego, ślepoty, które, jarzmiąc ją, są powodem głęboko smutnych w gruncie, lecz od zewnątrz, pod kątem przypadkowości, śmiesznych i cudacznych zjawisk.

Dusza to ani ludzka, ani zwierzęca, lecz jakaś jedna, przenikająca całą naturę, czasem lepiej uwydatniająca się w cechach ludzkich, czasem w zwierzęcych. Postacie w bajkach Lemańskiego nie są właściwie ani zwierzętami, ani zwierzęcemi maskami ludzi, lecz stworzonemi przezeń porówno z pierwiastków ludzkich i zwierzęcych, nierzeczywistemi właściwie, a jednak dzięki taumaturgicznej mocy talentu głęboko żyjącemi upostaciowaniami duszy. Oto źródło ich kameleonowatości, ich mienienia się w oczach. Przypominają one owe wprost niepokojące rysunki Leonarda, poświęcone zewnętrznym napozór, a właściwie znacznie głębszym analogjom ludzko-zwierzęcym.

Jak widzimy, w bajkach Lemańskiego nic nie jest na dawnem miejscu, zwykłe ustosunkowania straciły wartość, perspektywa zmieniona, horyzonty ku nieznanym rozsunęły się dalom, niewiadomo, gdzie się kończy i gdzie zaczyna rzeczywistość.

Jednocześnie wszakże, wszystko ma w nich taką stanowczą r z e c z y w i s t o ś ć w ł a s n ą, tak nieodparcie przekonywającem pulsuje życiem, z taką nieodzownością narzuca się wrażliwości czytelnika, że sama ta potężna ewokacja jużby całego przekształcenia wystarczającem była usprawiedliwieniem.

Na magiczną jej moc dwa, u najkapitalniejszych jeno twórców w takiej harmonji spotykane, składają się pierwiastki: właściwa realistom i zwłaszcza humorystom, a u Lemańskiego znajdująca poniekąd wytłumaczenie we wspomnianej wyżej fascynacji, zdolność indywidualizowania najdrobniejszych szczegółów, chwytania ich oznak najcharakterystyczniejszych, najkonkretniej wyłącznych, — oraz cechująca liryków syntetyczna wyobraźnia poetycka, wyczuwająca związki ukryte zjawisk i umiejąca jednoczyć wszystko w całość żywą o perspektywach nieskończonych.

Pierwiastki te ujawniają się u Lemańskiego odrazu w formie — ścisłej i pierzchliwej zarazem, wyrazistej i falującej. Gwoli owej indywidualizacji szczegółów, ma on obrazy, porównania, przenośnie, zdolne raz na zawsze wyryć rzecz w pamięci czytelnika,

ma niesłychaną nieodzowność wyrażeń (propriété des termes), ma słowa „wszech kolorów i wszech dostojeństw", bądź wydobyte z zapomnienia czy z gwar ludowych, bądź — gdy potrzeba było — stworzone.

Mimo ogromnej skali tych środków, sięgającej od najtrywjalniejszej rzeczywistości po najwyższe szczyty poezji, nic się w bajkach Lemańskiego nie kłóci, nic nie razi, najnieoczekiwańsze zwroty, słowa, dzięki owej intuicji syntetycznej, przybierają cechę prostoty, łatwości, naturalności, konieczności, wszystko jest na swojem miejscu, wszystko potęguje jeno wrażenie, wszystko zlewa się w styl energiczny, odrębny, dla którego nie znajduję lepszego przyrównania nad znane Gautier'owskie w studjum o poezji Baudelaire'a: do owych tkanin wschodnich, kędy nici jedwabiu i złota mieszają się z twardą, krzepką przędzą konopną.

Wiersz Lemańskiego winienby stać się przedmiotem studjów dla młodych poetów, zwłaszcza dla żądnych v e r s - l i b r e'yzmu. Jest to właśnie wiersz wolny (v e r s p o l y m o r p h e) w najszerszem słowa znaczeniu. Olśniewa w nim poprostu bogactwo, swoboda i dźwięczność rytmów — nieuchwytnych, zmiennych, ruchliwych, podążających wiernie za konturem treści, naginających się do każdego odcienia myśli czy uczucia, ówdzie lapidarnie twardych, gdzie indziej szerokich, organowych, indziej jeszcze miękkich, rozełkanych, lub, naodwrót, figlarnym, tanecznym podbiegających krokiem. W prawdziwą jakąś „nieskończoną" zlewają się one melodję.

Poetycka, symboliczna bajka Lemańskiego wyszła zeń, jak Atene z głowy Zeusa, w pełnym rynsztunku, i w chronologji rodzaju literackiego nowa od niej znaczyć się winna era. Odtąd niedość już obmyśleć anegdotkę i wyprowadzić z niej sens moralny, albo też wynaleźć „dowcipną" analogję między człowiekiem i zwierzęciem, — odtąd, aby pisać bajki, trzeba przedewszystkiem być poetą.

Z „Bajek".

Mysz okrętowa.

Burząc fal przeguby,
Do Amsterdamu z Kuby,
Płynął okręt.

Mysz, podróżniczka,
Pipipinka mała, gryząc migdał z pierniczka,
Tak sobie myślała:

Rodzice — ba, dziadkowie — naopowiadali,
Że w okręcie na fali
Jest się, jak w pułapce.
Wierz tu ojcu, matce, babce!
Oj ci starzy!... Czyż swobodę tracę,
Gdy, gdzie zechcę, żeruję:
Czy w worku, czy w pace.
Odwiedzam również kuchnie,
Gdy noc światła zdmuchnie
I uśpi załogę,
A nawet na pokładzie wtedy hulać mogę,
Słowem, jaki zapragnę, taki łapkom ster dam...

Tak myśląc — myk na pokład, —
Wtem strwożył ją gruby
Głos majtka z tuby:
— Hola! Amsterdam!

Masz-ci, myszko, swą wolę, lecz, w onej zakresie,
Zawsze tam tylko dążysz, gdzie okręt cię niesie.

Gęś tuczona.

Chcąc pani Gęś utuczyć, wmówiła w to zwierzę,
Iż jedząc wiele, wdzięków łabędzich nabierze.
Przyszłość taka
Uśmiechnęła się duszy ambitnego ptaka.
Nuż chłonąć poślad pszenny oraz inne wety
Gęsie, ile zmieści grdyka.
Ale, cóż wynika?

Po miesiącu fety,
Gdy, otyła, na staw ruszy,
Utkła w drodze z wielkiej tuszy.
Tam ją scapi dobrodziejka
I powlecze na półgęski.

A tak żywota Gęsi skończyły się dzieje.
Zaprawdę, najtuczniejsza gęś nie złabędzieje;
Owszem, im sutsza w schaby, tem pewniejsza klęski.

Pies i wieprz.

Psi jeno w walkach dusznych
Dręczą się i biedzą.

Wieprz pewien, najedzon,
Ryjem koryto podważył,
I chrząkając syto,
Do budy Burka szedł z wizytą:
Dla konkokcji, rozmowa z sąsiadem
Ostrogą bywa.

Burek szperał w ogonie
I zębem kaźń czynił srogą nad owadem.
Wieprz się przysuwa.
— „Czołem, sąsiedzie!
Jakże się wiedzie?
Coś wyglądasz smętnie?“
— „At“ — ziewnął Burek — „weselem nie tętnię,
Boć nie dośpi się, nie doje...
Patrz stem oczu, choć masz dwoje,
Szczekaj, warcz, gryź, dniem i nocą...
Ot, wiadomo — służba pieska“.
— „Oui, oui“ — Wieprz rzecze —
„A przytem snać lichą pieczę
Ma dziedzic o swoim słudze:
Chudyś jak gnojowa deska“.
— „Tam to pół biedy, gdyby nie zmartwienie“.
— „Umf, powiadasz“...
— „Tak, obito
Mnie niezasłużenie“.
— „Za cóż, proszę?“
— „Za co? Dziedzic ma zajadłość
Na Maćka kokosze,
Który mu je kiedyś tam podpuszczał w żyto.
Wczoraj w przypołudnie z łańcucha
Mnie spuszcza,
I wedle chaty Maćka idziem naumyślnie,
Gdzie grzebie kurza tłuszcza,
Bogu ducha winna.

Jak nie świśnie
Mi dziedzic, nie krzyknie: a huzia!
Co może buzia...
Przyznam ci się, mój Wieprze,
Że dotąd o dziedzicu miałem zdanie lepsze.
Że pierzasta hołota
Grypsnęła przez psotę
Jedno liche ziarnko —
Toż nie kryminał! Za czyn ten
Pozbawiać żywota
Jest to zbyt nierówną wypłacać się miarką.
Odmówiłem stanowczo. Pan mi sprawił mydło,
Skopsał mnie, sponiewierał... Dlategom na kwintę
Nos spuścił, zmizerniałem i życie mi zbrzydło".

Wieprz słuchał, czochrając się o budę,
Jak to czynią wieprze,
Gdy im szczecina błotem zbyt się zeskorupi,
Mruknął wreszcie: — „Głupi —
Harda dusza w ciele chudem!"
— „Jakto?" — bryś odeprze —
„Zasady, sumienie"...
— „Ha, ha! na honor, jak pomyje cenię,
Wyborny!... Bawisz mnie dobrodziej!
Przy mieniu, nie sumieniu
Chcą od ciebie warty.
Zasady przy obroży!... Lecz na stronę żarty,
Powiem: czy pan zły, dobry, zemściwy czy złodziej —
Cóż mnie to obchodzi?
Spójrz na mnie: zaważę ze czterysta funtów
Dlaczego? Bo drwię z tych zasad,
Z tych sumienia buntów.
Moja zasada jedyna:
Koryto przednie,
Moc pomyj, obierzyn i tłustych fecesów.
Treść, grunt — słonina,
A reszta — brednie.
I radzę'ć szczerze"...

Tu Burek rozsrożony zaszczękał łańcuchem.
— „A idź do stu biesów,
Ty plugawe zwierzę,
Ty ryjcu, kłapouchy! Patrzcie kiełbaśnika!“ —
I łaps go za ucho.

Wieprz, widząc, że krucho,
Z wystrzępionem uchem
Duchem
Pomyka
Do chlewika.

STEFAN ŻEROMSKI

(Maurycy Zych, Józef Katerla)

(* 14. XI. 1864 w Strawczynie).

Wydał: „Rozdziobią nas kruki, wrony“ 1895 (wyd. III 1905). „Opowiadania“ 1896 (wyd. IV 1910). „Syzyfowe prace“ 1898 (wyd. nowe 1919). „Utwory powieściowe 1899 (wyd. IV 1910). „Ludzie bezdomni“ 1900 (wydanie V 1911). „Aryman mści się“ 1904 (wyd. II 1911). „Popioły“ 1904 (wyd. V 1922). „Powieść o Udałym Walgierzu“ 1906 (wyd. nowe 1918). „Echa leśne“ 1905 (wyd. nowe 1920). „Duma o hetmanie“ 1908 (wyd. IV 1920). „Słowo o bandosie“ 1908 (wyd. nowe 1920). „Dzieje grzechu“ 1906 (wyd. VI 1920). „Sułkowski“ (wyd. II 1910). „Róża“ 1909 (wyd. II 1910). „Promień“ (wyd. IV 1910). „Uroda życia“ 1911. (wyd. nowe 1920). „Wierna rzeka“ 1913. „Sen o szpadzie“ 1911. „Sen o szpadzie i sen o chlebie“ 1916. „Walka z szatanem“ (Nawracanie Judasza“ 1916. „Zamieć“ 1916. „Charitas“ 1919). „Wisła“ (wyd. II 1920). „Wszystko i nic“ 1919. „Ponad śnieg bielszym się stanę“ 1920. „Inter arma“ 1920. „Biała rękawiczka“ 1921. „Wiatr od morza“ 1922. „Turoń“ 1923. „O przyszłość Rapperswilu“ 1912. „Projekt akademji literatury polskiej“ 1918. „Organizacja inteligencji zawodowej“ 1919. „Początek świata pracy“ 1919. „Dla młodzieży“ (książka pierwsza i druga) 1921. „Snobizm i postęp“ 1922. Zbiorowe wydanie „Pism“ zaczęło wychodzić w r. 1922 w Warszawie.

STANISŁAW BRZOZOWSKI O ST. ŻEROMSKIM.

Stanisław Brzozowski urodził się w r. 1878. Wydał: Mocarz 1902. St. Wyspiański jako poeta 1903. Stef. Żeromski 1903. T. Dostojewski 1906. Wstęp do filozofji 1905. Kultura i życie 1909. Współczesna powieść w Polsce 1906. Współczesna krytyka literacka w Polsce 1906. Fryderyk Nietzsche 1907. Płomienie 1907. Legenda Młodej Polski 1909. Idee 1910. Sam wśród ludzi 1910. Głosy wśród nocy 1912. Wyspiański (wyd. pism) 1912. Pamiętnik 1912. Widma moich współczesnych 1914. Zmarł w roku 1911.

...W swoim wytwornym i subtelnym szkicu o Stefanie Żeromskim powiada Sten, że tylko wskutek okoliczności przypadkowych i ubocznych historja J u d y m a i J o a s i wysunięta została na

pierwszy plan w Ludziach Bezdomnych, że właściwie bezdomnymi są i brat d-ra Judyma — Wiktor, i jego żona, i dr. Węglichowski, i Krzywosąd.

Jest to słuszne, lecz należałoby zdaniem mojem spostrzeżenie to poprowadzić dalej i pogłębić. Nie o postacie tu, jako konkretne, odrębne i odgraniczone od siebie indywidua idzie Żeromskiemu w tej powieści, jak i we wszystkich innych jego utworach, lecz o pewien zasadniczy stan duszy, duszy, którą pragnie on wyrazić w całej pełni, różnostronności i bogactwie, nie o bezdomnych tu idzie, lecz o bezdomność.

Powieści Żeromskiego są pewnego rodzaju symfonjami psychicznemi, i na tem to zasadza się ich tajemnica kompozycyjna. Nieuświadomione, lecz przemożne i zasadnicze dążenie artyzmu Żeromskiego na tem polega, że usiłuje on zestroić wszystkie wzruszenia i wszystkie stany duszy ludzkiej w ten sposób, aby współbrzmieniem swem wywołały treść głębszą od nich wszystkich, w nich wszystkich obecną i przenikającą je nawskroś.

Powieści Żeromskiego podobne są do jakiegoś zaczarowanego ogrodu: z dusz ludzkich, z krwi i łez wyrastają przedziwne kwiaty, płomieniste i krwawe, jak ból, błękitne jak tęsknota, purpurowe jak żądza, mieniące się wszystkiemi barwami tęczy jak marzenia.

Ludzie tu poto tylko są, aby wyrastały z nich one, te kwiaty, na widok ich zapominamy, jakiem jest ludzkie, życiowe znaczenie tych uczuć i przeżyć, które je rodzą. Gdy roztwiera się przed nami bezmiar cierpień Rafała po utracie Heleny, nie możemy już nawet współczuć, bo współczuć można tylko, pamiętając o swej odrębności, a tu wchłaniają w siebie te stronice, panują nad nami te słowa, i z osłupieniem, nie mającem nazwy, widzimy jak z duszy naszej wyrasta piekielny kwiat bólu. Wżera się w nas jego widok, krwią naszą syci się jego straszliwe piękno. Nie jesteśmy w stanie mu się oprzeć.

Utwory Żeromskiego radlą duszę do głębi, czynią z niej glebę rodzajną i posłuszną, z której wyrasta przedziwnym plonem ich zasiew.

Przechodzi się przez różne fazy przy ich czytaniu, jest więc pierwsza chwila chłodu i obojętności, to martwieje w głąb duszy rzucony zasiew, zaczyna się potem jego głębokie podziemne życie; poprzez ból kiełkowania, poprzez długą tęsknotę bezwiednie dążącego do źrałości życia przejść też potrzeba duszy, która istotnie pragnie poznać te dzieła.

Niespodziewanie przychodzi dojrzałość, cudowna chwila rozkwitu, chwila, w której rozchylają się wszystkie kielichy, unoszą się wszystkie aromaty, chwila, w której dusza cała widzi w zdumieniu bezmiernem, że przeobraziły ją te książki w ogród kwiatów nieskończenie wonnych i zapachem swym upajających ją aż do tych granic ekstazy, w których jednoczy się cierpienie z bólem,

rozkosz z tęsknotą. Aromat tych kwiatów jest muzyką, — barwa — ich śpiewem, a cały ten rozkochany, rozśpiewany, w czarze swym zatopiony, w muzyce rozełkany ogród jest duszą ludzką, objawiającą się poprzez nieskończone bogactwo kształtów, barw, dźwięków, aromatów i oczarowań.

Wielostronność i bogactwo bowiem ekspresji jest tu zdumiewające. Żeromski zna najtajniejsze rozgałęzienia uczuć, najbardziej ukryte powinowactwa, najróżnorodniejsze formy, w jakich się przejawiają one.

Roztwiera on duszę i każe łkać wszystkim jej strunom. Jego powieści są ujawnieniem bezpośredniem muzyki duszy.

Stąd tysiączne nieporozumienia.

Pragniemy, aby autor opowiadał t. j. klasyfikował, porządkował, wskazywał i podpisywał, on zaś wyklina, wyczarowuje z każdej duszy, z każdego uczucia ich najistotniejszą muzykę i układa swoje przedziwne symfonje.

Chcemy stać nazewnątrz postaci i słuchać, chcemy, by nam wyjaśniono znaczenie tego, co widzimy i słyszymy, a tu poddać się wprost potrzeba, przejść przez całą gamę wzruszeń, zostać sam na sam z dziełem i jego zasadniczą treścią.

To jest bowiem właściwością Żeromskiego, że obcuje się z jego dziełami bezpośrednio i wewnętrznie, jak z muzyką, lub nie zna się ich w c a l e.

Żeromski nie objaśnia swoich postaci, nie komentuje ich czynów, wygrywa tylko na nich uczucia i wzruszenia. Nie zajmuje względem psychicznego życia stwarzanych przez siebie ludzi żadnego stanowiska, zmusza nas tylko do życia niemi, do wibrowania ich, w konkretności swej bezmiernemi wzruszeniami.

On sam uważa to, jak się zdaje, za pewien rodzaj konsekwentnego realizmu psychologicznego, który odsłania prawdę wewnętrzną w całej jej bezpośredniości. Jest to nieporozumienie, zapoznanie swej najrdzenniejszej indywidualności twórczej.

Życie duchowe postaci Żeromskiego nie jest nigdy dla niego przedmiotem, objektem we właściwem znaczeniu tego słowa.

Życie nie obchodzi go nigdy samo przez się, nie ma on wobec niego naiwnej ciekawości — stanowiącej zasadnicze fond wszelkiego realizmu.

Punktem wyjścia jest zawsze u niego uczucie, jest on l i r y k i e m, t y l k o l i r y k i e m d o ś ć n i e z w y k ł y m. U c z u c i e, w z r u s z e n i e, p r z e ż y c i e, k t ó r e g o p r z e n i k a d o g ł ę b i, s t a j e s i ę j a k g d y b y d u s z ą ś w i a t a, staje się słowem rozwiązania zagadki, którą jest wszystko. Zawłada ono nim tak całkowicie, że widzi on i odczuwa wszystko poprzez nie, wrasta ono w cały świat, świat przyrody zarówno jak i świat dusz i ludzi, i c z y n i z n i e g o s w ó j w y r a z, s w o j ą f o r m ę o d c z u w a l n ą. Wszystko zaczyna krążyć koło niego jak koło swego centrum, jego życie i faza tego życia są prawem tajemniczem wi-

bracji wszystkiego, co istnieje i przejawia się czy to kształtem zewnętrznym, czy uczuciem. Staje się ono najgłębszem tętnem istnienia. Wszystko jest poto tylko, aby je wyrażać.

Świat cały, życie całe staje się muzyką, muzyką zarówno tonów, jak i barw, zarówno wzruszeń, jak i ruchów, której treścią istotną jest to centralne przeżycie.

Kompozycja Żeromskiego wtedy tylko mogłaby być konsekwentną i dostrojoną do najbardziej indywidualnych rysów jego twórczości, gdyby opierała się na uświadamianiu sobie tych swoich podstaw.

Żeromski, jak mówiłem, walczy pod tym względem sam z sobą, nie zdobył jeszcze słonecznej mocy zupełnego samopoznania.

IGNACY MATUSZEWSKI O ŻEROMSKIM.

(bio-bibljografja I. Matuszewskiego ob. str. 26.)

Jeżeli przyjrzymy się uważnie większości typów, stworzonych przez Żeromskiego, to uderzy nas umiejętność, z jaką autor maluje zmiany, zachodzące w ich wnętrzu. Wyraz „zmiany" nie jest tu może odpowiedni, gdyż, ściśle biorąc, nie są to zmiany, lecz wydobywanie się najaw tego, co tkwiło w głębi człowieka i, dzięki zbiegowi okoliczności, staje się świadomem dla niego, a widomem dla czytelnika.

Charakter danej osoby pozostaje w istocie swojej jednaki, ale się rozwija, jak kwiat z pączka, i albo więdnie, jeśli jest słaby, albo też, jeśli posiada siłę życiową, zaczyna jaśnieć pełnią barw i bogactwem oraz oryginalnością kształtów.

Żeromski uwzględnia wpływy zewnętrzne, ale grają one u autora „Popiołów" raczej rolę bodźców, niźli sił, kształtujących duszę, która, reagując na działanie środowiska, przeobraża się, nie tyle przez nacisk czynników obcych, ile przez wewnętrzną pracę, świadomą lub bezwiedną, zależnie od typu, do jakiego należy.

Słuszność powyższej uwagi możemy stwierdzić bardzo dokładnie, rozpatrując utwór znakomitego pisarza p. t. „Powieść o Udałym Walgierzu".

Legenda o Walgierzu (Walterze) Udałym, znana w literaturze polskiej od wieku XIII-go, jest niewątpliwie pochodzenia germańskiego i przeniesiona na grunt polski, wzbogaciła się pierwiastkami miejscowemi, ale pomimo niewątpliwej piękności i siły motywów nie zyskała popularności wśród szerokiego ogółu, lecz pozostała w literaturze czysto książkowej. Co dziwniejsza, że nie pociągnęła dotąd żadnego z rzetelnych mistrzów słowa i zrodziła zaledwie parę, i to lichych opracowań poetyckich.

Treść legendy: porwanie królewny frankońskiej, Helgundy, przez Walgierza, zwycięska walka o nią z królewiczem jednego

STEFAN ŻEROMSKI

ze szczepów niemieckich, wojna z Wisławem, jego uwięzienie, zdrada Helgundy i straszliwe poniżenie, niedola oraz gwałtowna zemsta Walgierza nad wiarołomną żoną oraz jej kochankiem, wszystko to stanowi bogaty i wdzięczny temat, zarówno do dramatycznego, jak i do epickiego utworu.

Żeromski wybrał formę epicką, ale nie trzymał się ściśle akcji, zawartej w legendzie, lecz traktował rzecz zupełnie samodzielnie. Pominął początkowe, germańskie motywy legendy, a zatrzymał się na swojskich, które po swojemu uzupełnił i zaokrąglił w całość skończoną i zamkniętą w sobie.

Jeżeli powiedzieliśmy, że Żeromski wybrał formę epicką, to mieliśmy na myśli tylko zewnętrzną szatę utworu, w gruncie rzeczy bowiem dzieło znakomitego pisarza naszego przesycone jest od początku do końca żywiołami dramatycznemi, nie w teatralnem, lecz w istotnem, estetycznem znaczeniu tego terminu.

Autor nie lekceważy strony opisowej, nie zbywa akcji lekkiemi muśnięciami, ale, dzięki niesłychanej zwięzłości, plastyce, barwności i wyrazistości języka, umie wypowiedzieć w kilku słowach lub zdaniach to, na coby kto inny zużył kilka stronic. Niema tam nic zbytecznego, wszystko jest niezbędne, ale tak zwarte i jędrne, że stanowi prawdziwy majstersztyk kunsztu pisarskiego, w którym największą trudność i zaletę stanowi to, żeby zapomocą jak najmniejszej ilości wyrazów obudzić jak największą sumę wrażeń, uczuć, wyobrażeń i myśli.

Chcąc osiągnąć ten skutek, Żeromski wybiera zawsze słowa najodpowiedniejsze do artystycznego oddania danej sceny, nastroju, uczucia, myśli i t. p. Niedość na tem, słowa te układają się w zdania, sploty, okresy pełne rytmu, który faluje ciągle i którego charakter zmienia się również stosownie do opisywanej sytuacji.

Przykładów tak ścisłego związku, stopienia się tego, co przywykliśmy nazywać treścią, z tem, co nazywamy formą dzieła sztuki, znajdujemy w naszej literaturze bardzo niewiele.

Język polski w „Walgierzu Udałym“ śpiewa, płacze, jęczy, grzmi, huczy; to staje się twardym, jak granit, to znów miękkim, łagodnym, jak pieśń słowika; drga tam ból nieskończony, rozbrzmiewa rozpaczliwe szyderstwo, tętni heroiczna potęga, skomli zwątpienie, wybucha zuchwałe poczucie siły, pełza nikczemne samolubstwo i zdrada, kwili litość i żałość, promienieje zachwyt i miłość, pieni się nienawiść i mściwość... Słowem, w stylu Żeromskiego wszystkie odcienia i tony uczuć oraz namiętności ludzkich znalazły najdoskonalsze odbicie artystyczne.

Do owej fenomenalnej piękności oraz oryginalności języka i stylu dochodził Żeromski stopniowo, ale już w „Popiołach“ wykazał ją w całej pełni.

Poczucie wartości artystycznej słowa, jako słowa, zdania, jako zdania, zwrotu stylowego, jako zwrotu, uwydatniło się we wspomnianej powieści tak silnie, że jeden z krytyków nazwał Żerom-

skiego „radżą indyjskim, upajającym się dźwiękiem słów, jak dymem z opjum". Sądzę, że po przeczytaniu „Walgierza Udałego" nietylkoby nie cofnął swego zdania, ale je powtórzył i zaakcentował jeszcze silniej.

Jakkolwiek jednak twierdzeniu wspomnianego krytyka niepodobna odmówić słuszności, trzeba pamiętać, że jest ono jednostronne.

Rzeczywiście, Żeromski jest wrażliwy na piękno językowo-stylowe, ale nie na tem się kończy jego rola, jako artysty. Każdy prawdziwy malarz czuje piękno barwy, samej w sobie, czy w kombinacji z innemi, a mimo to nie każdy zatrzymuje się na tem, lecz idzie dalej. Jeżeli Makart był tylko kolorystą i nie troszczył się wcale o duchową stronę swoich obrazów, to taki Böcklin, pomimo bajecznego poczucia koloru, jest współcześnie głębokim i wymownym poetą, obdarzonym wyjątkową fantazją oraz siłą ekspresji.

Gdyby Żeromski nie napisał nic innego prócz „Walgierza", to możnaby zatrzymać się na przecudownej formie i nie pytać o nic więcej, mniemając, że autorowi szło tylko o wirtuozostwo językowe. Na szczęście, z całego szeregu dawniejszych utworów Żeromskiego widzimy, że nie jest to typ, dający się zamknąć w rubryce „wirtuoza".

Autor „Popiołów" zawsze ma coś do powiedzenia i chce coś powiedzieć, a jeżeli używa do tego środków możliwie doskonałych, to dlatego, że dąży do nadania swoim uczuciom i myślom formy najwymowniejszej i najtrwalszej, gdyż jest poetą w każdym calu.

Wiedząc o tem, nie mamy prawa traktować „Walgierza", jako przepysznego ornamentu, lecz musimy zrobić próbę odsłonięcia ukrytych poza pięknemi kształtami idei...

Rzecz dzieje się w epoce nieokreślonej bliżej, ale w każdym razie w epoce, kiedy szczepy, z których powstał lud polski, poczęły, pod wpływem różnych czynników dziejowych, skupiać się i krystalizować w to, co nazywamy — narodem.

Po walnem zwycięstwie nad chciwymi grabieży Sasami, król polski, upojony powodzeniem, zapowiada drużynie dalszą walkę z wrogiem i zabrania chować trupów rycerzy germańskich.

„Niech zgniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle. Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A ktoby się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!"

Za chwilę jednak przybywa poselstwo rycerzy niemieckich, zakutych w stal. „Ze środka ich, jak gdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż".

Chudy człowiek z krzyżem był to biskup, świętobliwy asceta, umartwiający swe ciało dla odkupienia grzechów własnych i cudzych. Stał przed królem polskim i — płakał.

„Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha", aż wreszcie, wzruszony widokiem pokornego sługi Bożego, mówi: „Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną".

To wywołuje szemranie wśród drużyny wojennej, a czterej bojownicy z Walgierzem na czele wypowiadają posłuszeństwo królowi.

Po ostrym, dźwięczącym, jak uderzenia wrogich mieczów o siebie, dialogu, Walgierz woła: „Zaprzysiągłeś pomstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, jużeś się przeląkł haniebnie... Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!"

Ponieważ drużyna królewska podziela oburzenie Walgierza, przeto król nie może go ukarać, i rycerz z bratem oraz dwoma towarzyszami opuszcza w nocy obóz i podąża do rodzinnego Tyńca.

Dlaczego Walgierz uciekł od króla? Czy dlatego jedynie, że monarcha ustąpił łzom biskupa i, złamawszy własne słowo, pozwolił na pochowanie poległych rycerzy niemieckich? Nie. Motyw ten grał w postanowieniu Walgierza rolę poważną, ale nie wyłączną. Zwracamy na to uwagę, gdyż pominięcie tego szczegółu uczyniłoby niezrozumiałem rozwiązanie i koniec poematu.

Walgierz wraca do domu. Nie będziemy się zatrzymywali nad przecudnym opisem krajobrazów, nad ucztą w domu Mściwa oraz nad imponującą sceną odczyniania uroku przez wróża polskiego, pogańskiego, który, bolejąc nad zmierzchem starych bogów, przepowiada koniądzowi Tynieckiemu smutną dolę i radzi mu „iść do stoku, co haw ze ziemi bije". „Idź — powiada dziad — nachyl się nisko, nisko nad wodą. I patrz. A skoro samego siebie zobaczysz, przypatrz się, woju, dobrze, żebyś, widzisz, samego siebie poznał po czasach"...

Słowa te zapowiadają przyszłe przeobrażenie duchowe dumnego rycerza.

W domu wita Walgierza Cudna, żona jego (Helgunda w legendzie). Wita go obłudną pieszczotą, gdyż w chwili, gdy bohater zrzucił z siebie „szłom, żeby nanośna stal pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła", i przestąpił bez oręża i zbroi próg miłosnej świetlicy, został schwytany rzemiennym strykiem za szyję i ubezwładniony.

To Wiślimierz, jeniec, zamknięty w podziemiach Tyńca, a uwolniony przez rozkochaną w nim Cudną, obszedł się w ten sposób ze swoim przeciwnikiem i zwycięzcą.

Walgierza przybijają do żelaznego słupa i każą mu patrzeć na pieszczoty wiarołomnej żony z jego wrogiem i panem, Wiślimierzem.

Rozpoczyna się opis straszliwych tortur moralnych, którego streszczać nie będziemy, gdyż musielibyśmy ze względu na lapidarność i zwięzłość opowieści cytować całe stronice i rozdziały. Walgierz wytrzymuje wszystko: i zdradę żony, i policzki zwycięzcy, i wiarołomstwo druha, Mściwa, któremu „rozum męski" nakazał przyjąć dary i opiekę Wiślimierza i uchylić przed nim czoła...

Ale przez cały ten czas duch skrępowanego bohatera pracuje bez przerwy. Dawne uczucia i myśli staczają walkę z nowemi. Walgierz cierpi, ale się przeobraża wewnętrznie i zaczyna coraz jaśniej rozumieć to, czego nie pojmował przedtem.

Wreszcie pewnej nocy przychodzi do niego Zdrada, wstrętna siostra Wiślimierzowa, i ofiarowuje się dać udręczonemu rycerzowi swobodę za cenę miłości. Walgierz przystaje, ale uwolniony, dusi Zdradę i, schwyciwszy przyniesiony przez nią miecz, zabija jednym zamachem Wiślimierza i Cudną, splątanych w namiętnym uścisku, wyprowadza brata, Wydrzyoko, z lochu, podpala zamek pradziadów Tyniec i wyjeżdża z orszakiem, który w tej chwili przeszedł na stronę zwycięzcy.

„Głęboko duma Walgierz, patrząc w dymy skłębione, w słupy iskier dalekie.

— Pójdziemy teraz, wiciądzu — powiada Wydrzyoko — na nowy bój, na żywot nowy. Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cyplami stromych skał...

— Tak, bracie, nowe zamki — odpowiada Walgierz, a Wydrzyoko ciągnie dalej: — „Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochód nieskończony iść będzie w wieczność pod niebem świętej Pogody".

Walgierz potwierdza, ale kiedy Wydrzyoko wspomina o jego wielkości, którą opiewać będą w pieśniach —

„Cicho, cicho ku zgliszczom zaśmiał się Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemię trzasnął. Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń: — Tam moja wielkość... — wyrzecze z pomiędzy głębokiego śmiechu. — Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki i jakoby gniazda orłowe wydźwignę na szczytach gór, nowe sioła rozsadzę po puszczy, jak ule pszczół, pszeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny... Lecz już wielkości nie zaznam. Wielkość moja do słupa żelaznego przykuta, w tamtych się dymach ogniem przepala".

I Walgierz idzie szukać króla polskiego...

Dlaczego? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przypomnieć sobie chwilę i motywy rozstania się Walgierza z królem oraz myśli, jakie kłębiły się w głowie rycerza, kiedy cierpiał przykuty do słupa żelaznego i „samotny, strudzony spoglądał w źródło wody wieczystej i rozeznawał samego siebie".

Walgierz Udały zerwał z królem polskim dlatego, że oburzył się na ustępstwo, zrobione biskupowi przez władcę, który złamał okrutną przysięgę, daną dobrowolnie drużynie, iż mścić się będzie na Sasach żywych i umarłych. Ta pozorna słabość poniżyła króla w oczach srogiego wojownika i obudziła w nim poryw dumy. Samodzielny ongi dynasta nie pojął pobudek wzruszenia i czynu królewskiego i uczuł się równym swemu wodzowi.

„Jestem ci równy i władzy twojej już nie chcę dźwigać — zawołał. — Wracam na zamek, gdzie ojce moje przedtem władały".

Więc nietylko oburzenie, ale i duma oraz chęć niezależności popchnęły Walgierza do odstąpienia monarszego sztandaru.

Mądry król przenika myśli rozgniewanego rycerza i mówi: „Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi, wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach". Bo rzeczywiście Walgierz nietylko pragnie żyć według swojej, nie cudzej woli na zamku praojców, ale tęskni do domowego ogniska, do pieszczot ukochanej żony...

Wszystkie te pobudki razem skłaniają wiślańskiego koniądza do porzucenia obozu króla, któremu jest równy odwagą, ale od którego stoi znacznie niżej myślą i sercem.

Król bowiem, niezależnie od swego osobistego bohaterstwa, jest reprezentantem idei szczerej, idei zespolenia rozproszonych szczepów, rodów i samodzielnych dynastów polsko-słowiańskich w jedną organiczną, trwałą, potężną i oporną całość i zdaje sobie sprawę z tego dążenia, jak to wynika z jego słów, zwróconych do Walgierza i szemrzącej drużyny:

„Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja, wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego proga i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko Niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego pokolenia. Ziemiom twoim kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz pospolitą..."

Otóż idei tej, wypowiedzianej bardzo jasno, ale nowej w owych pierwotnych czasach, Walgierz, przywykły do polegania na własnym mieczu, odwadze, sile i dumie, nie zrozumiał narazie.

Nie zrozumiał również łaskawości króla dla prośb „płaczka bożego", biskupa.

W chwili uniesienia władca zapragnął pomsty nad trupami, ale po namyśle pojął, że postępek podobny, zwykły u drobnych dynastów, szarpiących się wiecznie z sąsiadami i goniących za brutalną sławą, zemstą i łupem, nie odpowiada godności prawdziwego majestatu, godności głowy i przedstawiciela całego narodu, który ma odegrać wielką rolę dziejową; zrozumiał, że co innego walka obronna, a co innego bezmyślne i bezcelowe pastwienie się nad umarłymi. Biskup, reprezentant idei miłosierdzia chrześcijańskiego, wzruszył swym niemym płaczem monarchę, który był także chrześcijaninem i, mniej lub więcej, jasno odczuwał moralną potęgę etyki ewangelicznej.

Słowem, król ma szerszy widnokrąg myślowy i uczuciowy, niżeli Walgierz. Król już przestąpił próg nowej epoki, w którą świat zaczął wchodzić, gdy Walgierz oceniał zjawiska życiowe ze stanowiska martwiejącej i skazanej na zagładę przeszłości.

Ale przyszły zawody, rozczarowania i ból, ból okrutny, któryby słabą i lichą istotę złamał, który jednak odrodził bohaterską duszę Walgierza.

W rozpaczliwych dumaniach swoich, obok tęsknoty za swobodą i dążenia do pomsty, przeżył koniądz wiślański i przemyślał wiele, wiele spraw... Zastanawiał się więc nad tem, że Wiślimierz, który stał się niejako nim, a jego zepchnął na stanowisko niewolnika, mogąc zabić swego dawnego ciemiężyciela, nie czyni jednak tego. Dlaczego, pyta Walgierz i odpowiada sam sobie:

„Straszny jest widok cierpienia. Niezwyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdycham".

Podobne refleksje nie przyszłyby dawnemu Walgierzowi do głowy.

Postać pokornego i płaczącego biskupa-ascety wyłania się kilkakrotnie z mgły rozmyślań Walgierza:

„Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe, jak u myszneńskiego biskupa, a piersi pełne szlochu. Staną owe oczy, zawalone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości przepływa wpośród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej, jakby głos własnego sumienia. A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania, szerzą się nikłe, urocze barwy zwątpienia".

„...Szept wokół senny. Rycerzu, rycerzu, czyliżeś kiedy był poza drzwiami jęku, ażaliś wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz? Gdzieżeś był noszony przez konie sławy we wichrach, kiedy żegnał oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim? Czyliżeś

słyszał stękanie i trzask stannicy złamanej, a szloch i łomot upadającej chorągwi?... Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent odlatującego konia zwycięzcy, a jak szczękają podkowy w błonach ucha tego, co został na krwawem polu i cicho leży sam jeden".

Na tle takiego stanu ducha i postępki królewskie zaczynają się przedstawiać udręczonemu wojownikowi w odmiennem świetle: „Król polski, niezwyciężony, którego cesarz udusić w żelaznem ręku nie może, zląkł się bosego biskupa. A biskup słaby był, jak gąsię w lipcu, jak mucha na jesieni. Czegoś się zląkł, przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu, łzami zasłonionych, gdy wejrzały".

Odziedziczone po przodkach pojęcie wartości bohaterstwa, siły i wielkości poczyna chwiać się w umyśle Walgierza.

Wielkim jest i dziad-wróż słowiański, który strzeże progu prastarej kontyny i czci dawne bogi, chociaż widzi, że nowa wiara gotuje im koniec tragiczny; wielkim jest i bosy biskup, żywy męczennik, który w imię Chrystusa walczy łzami i krzyżem z okrucieństwem i nienawiścią; wielkim jest i król polski, którego bystre oko ogarnia teraźniejszość i przenika przyszłość, a który posiada nietylko żelazną dłoń, ale i serce, zdolne do szlachetnych uczuć i wzruszeń...

Walgierz nie wyrzeka się zemsty i swobody, bo jest, bądź co bądź, człowiekiem z krwi i kości, nie bezcielesnem widmem; jest rycerzem, koniądzem, nie mnichem, ale, odzyskawszy wolność i pomściwszy swą hańbę, wraca do życia z innemi, niż dawniej, celami.

Idzie do króla polskiego, nie poto, żeby szukać pomocy i opieki, bo tego w danej chwili nie potrzebuje, ale dlatego, że odczuł i zrozumiał wyższość myśli królewskiej nad swemi dawnemi, silnemi, ale ciasnemi dążeniami. Sława, która lubiła „oglądać swoje oblicze w mieczu-zbójcy, wydartym z pochwy", wydaje się teraz bohaterowi nikłą. Pojął, że istnieją inne formy wielkości, nietylko skąpane w purpurze krwi i lśniące blaskiem zdobytych łupów. Idzie do króla polskiego, nie jako wróg, ale jako przyjaciel, gdyż czuje mu się pokrewnym i równym, nie potęgą materjalną, ale duchową. Idzie, bo zrozumiał daleko sięgające myśli i cele królewskiego wodza narodu...

Idzie, bo odczuł, że monarcha polski nie jest „twardym samodzierżcą", ani lękliwym sługą „bosych wróżów", lecz wcieleniem świeżych, żywotnych i zdolnych do rozwoju idei.

A być może, iż Walgierz, pragnąc „otworzyć królowi oczy jasne i pokazać duszę kamienną", czuje, że doszedł do dalszego punktu na tej samej drodze, że ma prawo nietylko iść ręka w rękę z królem, ale go oświecać i prowadzić?...

Niedarmo przecież, porwawszy „w dłoń wyschłą, w dłoń oszalałą stylisko młota", kuł „dzień i noc w czarną ścianę tajemniczej komory", kędy sam „wrośnięty w kamień leżał"; niedarmo pragnął „wykuć rozwarte oczy i zwalić obuchem w kamienne

piersi"; niedarmo pragnął, żeby „oczy jego spojrzały w rzeczy ziemskie nieustraszonem wejrzeniem i nie przelękły się niczego, cokolwiekby ujrzały".

Zresztą, tłumacząc utwór symboliczny, można wskazać zasadniczą ideę symbolu, ale nie można zakreślić jego granic; można wskazać kierunek myśli i uczuć poety, ale nie wolno ich zacieśniać w kole akcji, zawartej w samym utworze. Analogiczne starcia aspiracyj indywidualnych z dążeniami szerszego i ogólniejszego charakteru, podobne przeobrażenia bohaterskich dusz przez ból, gorycz i poniżenie trafiały się nietylko przed wiekami, ale zawsze, zarówno wczoraj, jak i dzisiaj.

Żeromski, jako wielki artysta, nie mógł pisać powieści tendencyjnej, lecz, opierając się na prastarej legendzie, stworzył dzieło sztuki, ujęte w kształty konkretne, dał żywych ludzi czy nadludzi, nie nadziane frazesami manekiny.

Ale duch, istota wewnętrzna tego dzieła tylko formalnie, plastycznie wiąże się z dziejami naszych praojców.

Ideowo — symbolizm „Walgierza Udałego" przekracza kordon legendarno-historyczny i nie przestaje być żywotnym i wymownym nawet dla chwili obecnej. Inaczej przepiękny poemat Żeromskiego nie byłby utworem symbolicznym, tylko zimną próbą rekonstrukcji archeologicznej. Na szczęście tak nie jest! „Walgierz Udały" tętni gorącą krwią i zieje prawdziwie ludzkim bólem, ale bólem twórczym, który nie zabija, lecz oczyszcza ducha.

Z „Popiołów".

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zorjentował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzypienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc między nim a domem. Takiej, szeroko rozwartej kniei nie było w całej okolicy...

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słychać było stękanie całych poręb, trzask bukowych konarów i świst siekących rózg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nadewszystkiem wszakże panował martwy pomruk. Rozdymał się, albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą niewidzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą

stronę jechać. Co prędzej chciał to przedsięwziąć i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

Wtem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem rażona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę śnił, że to migoce światełko w dersławickim dworze, i radość go owiała. Ale prędzej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił nawylot, jak gdyby lanca. Kobyła z ryczącem chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał uczuł tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na łęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przecwał coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłańcanie, jak gdyby zgłodniałych psów:

— Wilki za mną... — wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychylając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!...

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciała nad ziemią we fruwających pianach śniegu z chyżemi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrzał w tył. Ujrzał cztery błyski, migocące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczuł wnet, że ma płomień we włosach, płomień, pełgający na szyi, na krzyżu. Leciał, mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrążała jego czaszkę, zwolna ją opłatała, jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk, martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech.

Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami ze świstem, krzaki miotały w lecącego śmiech urwany, jak okiask, chichot djabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartemi nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zaklęsłe parowy, a zbierając nogi do kupy, wypadała z nich lwiemi susami. Czasem stękała, jak człowiek, czasem coś, jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem, zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staje, albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu, ze zdwojoną siłą, śmigała jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi. Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconem spojrzeniem, i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia...

Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nic wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Leciał w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedzieć kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napełniły mu głowę i oczy. Magnął kozła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał nawznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwem sapaniem, jak koń, zwalił się na niego. Rafał uczuł wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w kożuch jego na piersiach, przejęła kłańcami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotały mu piersi, ramiona, ręce ciosy tego czarnego łba. Czynem rozpaczy Rafał chwycił nagiemi dłońmi ów czerep za nastroszone, grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwartej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepia cios zwiniętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczękę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł

pięść i wszystkiemi palcami, silniej niż sęp szponami, wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go nazewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się, jak naciągnięty łuk.

Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzemienny kiszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałych ręku Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepia kołowały. Znagła straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełgającą jasnem światłem, dźwięk krótki, jak ostatnie uderzenie dzwonu: klucz. Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przebłyskiem nadziei mordu w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieczonemi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywlókł z nich żelazo. Ujął je w pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ciosem, chichocząc, wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza więzły między kośćmi nosa i w czaszce. Miażdżył je teraz póty, aż się klucz napoły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwala mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą, jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem żgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rżenie Baśki. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gardziel, jak chłepce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem źre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał, leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i sił kuł jeszcze raz za razem.

Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!... Za Baśkę!

Wyrwał z paszczy rękę, jakby z cieśni ognistej. Legł na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nierychło, tknięty jakąś błędną myślą, ścisnął w ręce żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymówiony mróz strachu. Serce ciskało się w nim odległemi, ślepemi i bezdźwięcznemi wybuchy. Chwilami ustawało, jak zabite. Zaczął iść wskroś zaspy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął, potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach szedł, uciekał, zmykał od łkającego rżenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, obłapił go, jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarząb przydrożny, do pól zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidłonemi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną. Dopóki leżał na wilku, nie czuł ni zimna, ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem.

Z „Dumy o hetmanie".

Zwróciły się oczy hetmańskie na zastęp siedmiotysięczny i szły po chorągwiach koleją, koleją, koleją.

Patrzą w demeszkowane szyszaki pancernych korony, na kopije lasem stojące z powiewnym, jak welon proporcem i grotem błyszczącym, — na pancerze ruskich województw srebrem nabijane i złotem, — na litewskich petyhorców poczty, przybrane w brzeszczotowe koszule i gięte kolczugi. Obejmują głowy misiurkami okryte, hartują miecze u boku szerokie i długie, utwierdzają drzewa kopji olbrzymiej, przywiązane do łokcia sznurem z jedwabiu.

W pośrodku, między taborami, na czele, troistym szykiem w półkole, we sto dwadzieścia koni każda, husarskie czatują chorągwie hetmanów.

Rozkosz oczu rycerskich, pociecha ducha twardego!

Tarcze z rodowemi lśnią znaki.

Rycerze i konie obleczeni w kirys. U boku ich — koncerze. Pod prawą nogą u siodła — rapier do ścinania wroga dziewięćłokciową zwalonego na ziemię kopiją. Na łęku młot sześciofuntowy do miażdżenia szyszaków albo berdysz dwubrody do płatania na poły pancerza. Skóry lampartów i lwów, czarnych albo białych

niedźwiedzi i wilków na barach. Z przyłbic strzelają czaple kity, pióra żórawie, indycze i bocianie. Zaramienne skrzydła w kunsztownej oprawie zrosły się w las, w puszczę młodą, po której strzelistych piórach sława szeleszcze. Długie, ze złotemi krzyżami, żółte i białe, czerwone i błękitne wieją proporce. Hetmański na czele znak, drzewo z wprawionem w nie skrzydłem rozpostartem orłowem.

Przed chorągwiami rotmistrze. Na czele — pułkownicy. Przy znakach pancernych trębacze z surmą przy ustach na sygnał czekają. W pogotowiu trzyma pałki bębenista.

Ponad nimi wszystkimi, jako żałosny polski biały ptak, polata myśl hetmańska, wszystko nieulękłem rozsądzająca baczeniem:

— Ciebie się nietylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska!

Przed tobą drżę, ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty, samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma...

Widziałem cię w krwawych bitwach.

Gdyśmy się siekli w pałasze z kozaki i z wojewodą Michałem, pod Rewlem z Karolusem, pod Toropcem z Moskiewskiego tatary, u bram niezłomnego Połocka, pod tynami płonącemi Wielkich Łuk, we trzydziestu nogajskich zagonach, w inflanckich i multańskich potrzebach, w kłuszyńskich opłotkach i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha czapkę szafirową dla polskiej skroni królewskiego dziecięcia... Widziałem cię w byczyńskiej opresji, gdy w djabła łańcuckiego kudłaty łeb przyszło cisnąć siekierą, — i pod Guzowem, gdy po ramię i po kolana trzeba się było ubroczyć w rodzonej krwi...

Och, polskiego wyuzdania duchu, wrosły w serce, ojcowski, własny, — a obcy, rodzimy, — a wrogi!

Nie przed najeźdźcą drży moje serce, lecz przed wami, o sobiepany!

Każdy zosobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek — król sobie, Wiszniowiecki — sobie, Sapieha — sobie, Rożyński — sobie, Samuel Tyszkiewicz i Mohiłowi zięciowie. Każdy zależy tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce prowadzi wojnę i gdzie chce szuka ojczyzny.

Djabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, palą wsie i łupią miasta w ojczyźnie. Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakuszaninem. Samuel banita praktykuje

kozaki przeciw ojczyźnie. Zebrzydowski zgromadzi stotysięczną armję przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwanego od szubienicy człowieka rozbije ogromne pułki jedynowładców północy pod Zamkiem Biełozierskim, u Wielkiej Soli i pod błotnistym Suzdalem, zdobędzie niezmierną krainę dla impostora Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt w jego sprawy, w jego zamki na moskiewskim budowane lodzie zechce zaglądać. Książę Korecki we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne hordy na tem wołoskiem palenisku, wiecznie krwią polską gaszonem.

A jeśli swawolnicy zięciowie, prowadząc teścia hospodara na multański tron, podpał pod całą Rzeczpospolitą wzniecą, — skoro lisowczycy, wspierając cesarza w zapasach z Bethlenem Gaborem, rozjuszą sułtana do tyla, że ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie, — kiedy przyjdzie wszystkiego odżałować, nieprzyjaciela odepchnąć stos, gołe granice zastawić od nawały — wtedy nielża!

Ze wszystkiej, z najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyżebrzesz przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza!

Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek, — gdyby nie koligaci z pod Karpat podnóża, co na słowo najświętsze zaklęci, skupią kilka rot w nagłym czasie i dla sąsiedzkiej wyjdą przyjaźni — iłużby ze mną było?

Darmo w gnuśnej próżni, wśród ziewania ducha, wpośród mów a szumnych odpowiedzi, w zimnem kole skomleć, gdzie w pośmiewisko obracają uniwersał, — żeby Warneńczykową strzałę woli na cięciwę Stefana króla zuchwałej rady położyć, — nie zasłaniać dziś od nawały nagich ścian kraju, bo tu u węgłów śmierć się wałęsa i w wywalonych czeka drzwiach, lecz w nieprzyjaciela ślepie iść, najeżdżać go w jego kraju, skoro z legowisk swoich wyszedł, żeby przyćmić Europy oświatę i na karku polskich ludzi wolnych postawić nogę.

Lecz któż w płytkie serce ludzi wolnych tchnie, żeby w sobie jedno uczcili Prawo, niem się związali, zbudzili wolę, wzniosłość i zachwyt wielki?

Jeśli nie skoczyć z tym zastępem, sam na dwudziestu nieprzyjaciela, zarzucą w tył zniewagi, idąc na swą pijatykę, me główne imię z niedbałą sarmacką pychą, z niewdzięczną polską fantazją, jako wylot kontusza.

A jeśli skoczyć i przegrać, ukamienują obłudnym szlochem mą pamięć, unurzają moje imię wojenne w błocie obmowisk i jawnego oszczerstwa, cisną je w pomietle pospólnego sądu, w śmiechu swym bezrozumnym zagrzebią i przypną mi nad wiecznym mym hełmem kitę przekleństwa.

Daleko w polach wzbiły się pyłów obłoki.
Wrzawa odległa... Tatarski nagły krzyk.
Podjazd niósł bitwę.
Zcicha wyszeptał kanclerski syn głuchą radę:
— M a c t e!
Mgła zasłoniła ojcowskie źrenice.
Wzmógł się hetman głębokiem westchnieniem:
— Zestąp się i zrośnij w jedno, o rozszarpany polski duchu!
Stań się Moc!
Twardem spojrzeniem poruszył buzdygany wodzów.
Dźwignął nagle buławę. Wielkim zamachem dał znak.

„Cokolwiek się zdarzy — niech uderza we mnie"...

Sofokles. „Edyp-król".

Na łóżku, oznaczonem liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdem poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: c a r i e s t u b e r c u ł o s a... Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz, z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował, — aż oto, ni z tego, ni z owego, zabolała go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tam to jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobiecina swoją w paradnym wasągu z półkoszkami, jak se popłakują oboje ze strachu i żałości — i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tylu miesięcy przygniatał mu duszę z taką

nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości — potem operację, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy, krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nić rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzyni — wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa, nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlatywały w jakiś kącik mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same — nie na sen, lecz na bezwładność, — napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikało wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokręga, jaki się tuż zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwęża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linji spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wyrywa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobiecina kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowcu suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopa skupiało się pod jej uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagłe przesądy, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzemsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tem, co przesuwało się przed jego oczyma. Lecz jakże się zmienił rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wyrastająca ze wstrętu, — teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapieżnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli. Co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wydała.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą...

I odszedł w towarzystwie asystentów. Od drzwi powrócił jeszcze na chwilę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieszczotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go znienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo — aż nastała w nim cisza nieznana.

Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedm zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmierzonego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niezgorzej przecie...

GUSTAW DANIŁOWSKI

(* 1872 w Cywilsku).

Wydał: „Nego“ 1900. „Na wyspie“ 1901. „Z minionych dni“ 1902. „Poezje“ 1902. „Dwa głosy“ 1903. „Fragment pamiętnika“ 1905. „Jaskółka“ 1907. „W miłości i boju“ 1910. „Marja Magdalena“ 1912. „Lili“ 1917. „Tętent“ 1919. „A to się pali tylko serce moje“ 1922. „Nad Urwiskiem“ 1922.

Z bezsennej nocy.

Noc letnia cicho rozpostarła cienie,
Snu Anioł spływał ku ziemi powoli,
By utrudzonym dać błogie wytchnienie,
Ulgę niedoli.
W górze nade mną w harmonijnej zgodzie
Ciągnęły gwiazdy w świetlanej gromadzie,
Wstając na wschodzie, niknąc na zachodzie
W niezmiennym ładzie.
Widziałem ład ten wśród niebios błękitu...
Czułem się prochem, nie czułem zachwytu,
Bo patrząc w przestwór gwiaździsty, otwarty,
Myślą przebiegam ludzkich losów karty,
Ludzkich trosk, bólów, i sam pytam siebie:
Wiążąż się one z tym łanem na niebie?
Niestety! niech tam na tym firmamencie
Dla oczu naszych nagle się zapali
Sto słońc, ukrytych gdzieś w mgławic odmęcie,
Czy to zaważy na żywota szali?

Czy się wynurzy słońce prawdy z cieni,
Fałszu i błędów rozpaczy ciemnotę,
Szlachetnem hasłem życie opromieni
I nędzy ludzkiej ulży choć na jotę?

Tu płacz, tu walka, krzywda pomsty woła,
Do wielkich celów rwie się wielka dusza,
Brutalna siła, zdusiwszy genjusza,
Skrwawioną stopą na piedestał wkracza,
Tu łza z uśmiechem, złe z dobrem się splata:
— Tam geometrji prawidłowe koła
Gwiazda zatacza...
Tam jest ład świata...

A choćby nawet ten świat był bezładem,
On dla nas zawsze jest i będzie ładem,
Bośmy innego pomyśleć niezdolni,

My — niby wolni, a w myślach nie wolni...
Badając prawa natury, w zachwycie
Mędrzec hołd daje ich żelaznej woli;
Lecz niechaj ład ten porwie jedno życie
Drogie mu, niechaj go serce zaboli —

Klnie ład i z bólu wściekle ściska pięście. —
Ładem dla niego — jego własne szczęście.
To ład jedyny, on się nie szkłem z wieży,
Igłą magnesu lub cyrkla kreśleniem,
Lecz tętnem serca, skalą uczuć mierzy,
Duszy pragnieniem...

Bój wre zacięty o ten ład jedyny,
Najmniejszą zmianę w tym ładzie na świecie
Odczuje mędrzec i serce dziewczyny,
I małe dziecię.

Ład ten dłoń niszczy zła i nierozumna
I ład ten niszczy każda łza w źrenicy,
Ład ten jednostce daje tylko trumna
I blask gromnicy...

Dzwonek.

Siadam w sanki — wio, hej, dzieci!
I przez śnieżne pola jadę;
Wśród chmur siwych księżyc świeci,
Spływa światło smutne, blade;
Fantastyczny cień mych koni
Ściele się na śnieg srebrzysty;
Bezustanku dzwonek dzwoni,
I przez pola mknie dźwięk czysty...
Czy go tylko kto usłyszy
Wśród zdrętwienia, zimy, ciszy?
Dzwoń, dzwoń, dzwonku! głośniej, głośniej!
Rwą się tony, dźwięk się tłumi...
Znów się wzmaga... tak żałośnie...
Może teraz kto odpowie?
Ach! ktoś woła w tym parowie!...
Nie — to tylko wicher szumi...
Dalej, dalej, wio rumaki!
Uciekajmy stąd, hej! dzieci!
Ktoś się zbliża — nie, to krzaki...
Patrz, tam widać śród zamieci
Ktoś wyciąga swe ramiona...
Dzwonku, dzwonku, natęż siły!
Nie, to tylko krzyż z mogiły...
Dzwonek mdleje i dźwięk kona...
Coś się czerni, światło świeci,
Chaty stoją w obie strony:
Wioska, ludzie... wio, hej dzieci!
Nie mdlej, dzwonku, natęż tony!
Patrz: tu chaty, tyle ludzi.
Tu na pewno ktoś w tym tłumie
Dźwięk usłyszy, z snu się zbudzi
I wołanie twe zrozumie...
Cicho — dzwonka słychać łkanie.
Nikt nie woła — sioło całe
We śnie głuchym; psów szczekanie
Tylko słychać — złe, zuchwałe...
Łkaj, łkaj, dzwonku! póki w łonie
Tchu, a w sercu sił ci stanie.

Wio, hej! szybcej pędźcie konie!
Cicho... tylko psów szczekanie...
Dźwięcz, drgaj dzwonku! chociaż zbladły
Wszystkie gwiazdy... nikt nie woła...
Tylko słychać chór zajadły
Złych sennego stróżów sioła...

„Z minionych dni".

Łaciasty pies pobiegł do chłopca, kręcąc ogonem, wysunął przednie łapy, wygiął krzyż, przeciągnął się i ziewnął skamlająco. Ignaś poklepał go po łysym łbie i skierowali się razem do parku.

W mrocznych alejach, niby w ruchomych kulisach, pełnych przewidzeń tajemnych i szeptów trwożliwych, w sercu chłopca począł się trzepotać bojaźliwy niepokój; przytrzymywał tedy przy sobie Znajdę, zaciskając na fałdach jego skóry mocniej rączkę, ilekroć wychynął z cieni krzewów jakiś chybotliwy, kształtujący się w oczach, rozczapirzony dziw, lub mu się odzywał zagadkowem słowem przejmujący szmer. W ten sposób ciemnemi labiryntami przedostał się na widniejsze miejsce aż pod chróściany płot, gdzie w płytkim wąwozie krzewiły się obficie kępy paproci. Tu puścił psa. Ignaś wiedział, że kwiatu należy szukać w lesie, ale zboczył z drogi w tę stronę z myślą: a nuż!... i jeszcze z jednego powodu: w łódeczce, którą zamierzał przeprawić się na wysoki lesisty brzeg, nie było ławeczki, ale zato stała zawsze woda. Ignaś, pomimo surowe zakazy, cichaczem puszczał się na staw w starej „duszegubce", przyczem zwykle urządzał sobie siedzenie z siana, słomy lub snopków zboża. Tym razem tę prozaiczną rolę miało odegrać czarodziejskie ziele. Zabrał się tedy z pomocą kozika oburącz do roboty i ciął zapamiętale wilgotne, frendzliste, ząbkowane liście, na których nie dostrzegał świetlistego kwiatu. Przy pracy zapomniał o niepokoju, raz tylko, gdy śliska ropucha przeskoczyła mu przez rękę, zląkł się trochę. Skoro spory pęk był gotów, związał go pnączem chmielu, przerzucił przez ramię i, tak obładowany, przecisnął się przez dziurę w płocie na łąkę.

Tu otworzyły się przed nim oblane pełnią księżyca, trącane lekkim wiatrem, rozległe przestrzenie. Garbate pola chwiały się

powabnym rytmem bujających się zbóż, niby kołyski, rozlewające zapach.

Po sennych wodach ogromnego stawu migotały drobne smugi fali, której zmarszczków czepiały się sine pasma oparów, jak nici wiotkiej przędzy; z dymiącej się łąki ku odległym moczarom płynęły rozwiewne kształty białawych tumanów, niby słaniające się błędne postacie w powłóczystych welonach, i tam rozsrebrzoną szeroką kurzawą wstępowały w niebo.

Cicho było, gdzieś tylko niedaleko biła pełnym tonem przepiórka, i dwa chróściele darły naprzemian chrapliwe swe głosy. Znajda wyprzedzał Ignasia i ostrym kłusem przebiegał w zygzakach łąkę; coś furknęło, pies rzucił się i znikł.

Kiedy powrócił, Ignaś już był na brzegu i wyciągał schowaną między balami żerdź, którą się posługiwał zamiast wiosła. Nad głową chłopca przewinął się kilkakrotnie miękkim niepewnym lotem wyolbrzymiały w cieniach lelek; dalej porwał mu się z pod nóg duży kulon, zagiął skrzydła nad wodą i, poświstując tęsknotą, zniknął zaraz w pomroce.

Ignaś, wlokąc za sobą po piasku tyczkę, dotarł do małej zatoki, gdzie czerniała wąska, płaska łódeczka. Tu rozwiązał snop ziela, wysłał niem, jak matą, stojącą w zagłębieniu wodę, i, rozstawiwszy nogi, począł się odpychać żerdzią od brzegu. Dziób łódki obracał się to w tę, to w ową stronę, ale na jednem miejscu.

Chłopak wyskoczył, zdjął buciki, rozkazem: waruj! powierzył je opiece Znajdy i, wszedłszy po kostki w wodę, popychał łódkę przed sobą po piasku; poczem nagłym ruchem wdrapał się do środka. Pies cały czas kręcił się niespokojnie, rzucił się do stawu, ale szybko się wycofał i, popiskując żałośnie, patrzył na stojącą na czarnej plamie figurkę, która się oddalała od brzegu, aż naraz znikła, jakby wsiąknęła w unoszący ją cień. Wówczas dopiero Znajda otrząsnął się z wilgoci, przysiadł i podrapał się zadnią łapką za uchem, kłapiąc zębami na dokuczliwe drobne muszki, wylizał się dokumentnie i wreszcie, ukończywszy nocną toaletę, zwinął się w kłębek w pobliżu bucików i począł drzemać czujnie.

Tymczasem jego pan był prawie na środku Śniwody; żerdź nie sięgała już dna, więc usiadł w łódce, powierzywszy ją prądowi fali, która w tem miejscu była istotnie leniwą i niosła ją już wolno w kierunku pożądanym na brzeg przeciwległy, gdzie stał tęgi, wysoki mrok lasu.

Pozbawiony zajęcia, Ignaś począł się rozglądać wokoło:

Na wyspach oczeretów osiadły wijące się w kłęby, umęczone błądzeniem, blade mgły. Na matowych nieruchomych powierzchniach stawu kurczył się, drżący drobną łuską szlak wzbijającego się w zenit księżyca. Linje brzegów znikły. Gdzie niegdzie rozpraszały się sinawemi skrami utopione w głębiach gwiazdy nieba.

W granatowej kopule kołysała go sennym ruchem łupina łodzi. Daleko widniał klonowiecki dwór; duże okna ociekały zielonkawym pyłem, jak wielkie szkliste oczy próchniejącej martwoty, na górce tylko, w najmniejszej szybce, majaczyło nikłym rumieńcem światełko życia. Po wodzie szły mocne bicia przepiórek, chrapania chróścieli i subtelne fale pachnące, — jedyny oddech i odgłosy ziemi. A gdy umilkły, w uroczystej ciszy grał nieustanny dźwięczny szum, jak miljardowy rój cykających owadów, który zdawał się zrywać poto tylko, by czemś wypełnić przeraźliwy ogrom milczenia. Gdzieś plusnęła ryba.

Ignaś słyszał, jak w marzeniu, rytmiczny szmer rozpędzanej sercem krwi i drżał wewnętrznie.

Nie był to tchórzliwy lęk niebezpieczeństwa, był to raczej święty przestrach wobec obnażeń tajemnych wzruszeń, które, mocą czarodziejskich odczynian uroku nocy, wyrywały się z najmisterniejszych obsłonek jakiejkolwiek formy pojmowania.

Dziecko zaczynało powoli zatracać poczucie swej odrębności wobec zjawisk zewnętrznych, nie poznawało ich po odbieranych wrażeniach, ale jak gdyby wcielało się samo pełnią swej wrażliwości we wszystko, o co trącił choć jeden zmysł. Więc w lotność wilgotnych widm mgły, w błyski i cień, w bezkres i kształt, w ciszę i głos, odnajdując się wszędzie, całkowite i niepodzielne, tak przytem piękne i rozlewnie smutne, jak pięknym, rozlewnym i smutnym był czar tej cudownej nocy, która, rzec można, zwierzała się sama sobie ze wszystkiego najczulszą wymową, — naiwnym zachwytem dziecięcego serca.

Otarła się burta łódki o szuwary. Z gwałtownym łopotem uniosła się nad niemi ciemna plama, wydając zardzewiały krzyk i przepadła. Chybnęła się dusza Ignasia, ocknął się i wrócił do siebie.

— Kaczka! — szepnął z zimnem mrowiem przestrachu, z ciężkiem uczuciem nagłego osamotnienia.

Rozejrzał się żałośnie. Naokół szumiały zarośla wodne. Uprzytomnił sobie poco płynie i odzyskał sprężystość energji. Wstał i, chwytając się za tatarak, posuwał się wzdłuż szuwarów i znowu utknął dziobem łódki w stary wysoki oczeret; coś licznego furknęło i przesypało się na drugą stronę jak garście śrutu.

— Szpaki pewno! — pomyślał Ignaś i, odpychając się żerdzią, wycofał się na czystą wodę.

Kiedy nie zmacał dna, usiadł, rzucił listek na falę i z otuchą zobaczył, że płynie w stronę lasu. Ucieszył się, poczytując to za dobrą wróżbę. Rozdrgane szczątki minionego nastroju zlepiły się w nim na mętne poczucie czegoś uroczystego i, skrzyżowane z biegiem jego myśli, dały mu w rezultacie wrażenie pewności, że kwiat znajdzie. Zaraz też począł sobie wyobrażać z niezwykłą siłą niemal wizji wygląd jego. Widział na zarysie liści paproci małą złotą gwiazdeczkę promienistą i, czując w drżącej radośnie dłoni gorące jej kształty i miękkość aksamitu, obejrzał się na dwór. Srebrzyły się dachówki, okna — ciemne.

— Śpią i nic nie wiedzą!... — szepnął, zalewając się rozczuleniem wdzięczności. A potem przyszły mu na myśl figle.

Do czasu sekret, ani mru mru!...

I oto już uprzedza w tajemnicy życzenia wszystkich:

— Stryjcio zdrów! Ciocia ma kopalnię złota w ogrodowym lochu; ubranka same się łatają nocami; kuce, wózki, łuki, niesłychane zabawki zjawiają się na żądanie, jak z pod ziemi.

Dzieci, wszyscy starsi... Dziadunio... Pan dyrektor!... Nie! a zresztą, jak przeprosi Znajdę, i on... niech tam!... Jan, cała wieś, kto tylko zechce, Murzyn i Chińczyk także, ma się rozumieć... Biorą co się komu podoba, cieszą się i dziwią... A on taki rad, taki rad... aż płakać się chce.

— Boże... mój Boże!... — szepcą usta dziecka i, jak w modlitwie, podnosi się ku niebu uskrzydlone rozrzewnieniem serce.

Były to słodkie, święte i wzniosłe minuty rażąco podobne do tych, jakie przeżywał nieraz jego ojciec. I Wiktor bowiem często po owocnym trudzie, w chwilach uciszenia się w sobie, w odpoczynku rozmarzał się przed Marynią obrazami przyszłości i dochodził do takich dziwnych wzruszeń, jakie chyba może doświadczać lekki rozpięty wysoko obłok, gdy nawskroś przesiąka pierwszą różową strzałą zorzy poranku. Czując w sobie brzask dnia, który spotyka, zapomina, że czyha na niego wicher, mocen zedrzeć go, jak płachtę, z błękitów i łzami wbić w błoto ziemi.

Znowu miękko zatrzymała się łódka i, jak odtrącona, cofnęła się nieznacznie.

Ignaś oprzytomniał.

Niedaleko brzegu zobaczył przeszkodę.

Wstał, by się rozejrzeć w położeniu.

Od ściany lasu oddzielał go długi, lecz niezbyt szeroki pas, zarośnięty niskim tatarakiem i rzadkiem sitowiem, między którem widniały matowe, poplamione liśćmi nenufaru, liczne halawki, niby martwe oka ryby olbrzymiej. W jednej z takich kałuż odbijała się smutno gwiazda.

Omijać — daleko! chyba się przebić!... postanowił chłopak.

Zanurzył żerdź. Było dość głęboko; poszła w muł, ale wystarczyła.

Ignaś oparł się całą siłą i pchnął łódkę; z szurgotem podnosząc dziób w górę, wsunęła się między zielsko.

Jeszcze raz udało mu się posunąć ją o parę cali, i dalej ani rusz; uwięzła w kępach.

Czarna gęstwina lasu była tak blisko, że chłopak słyszał szelest rozbujanych wierzchołków; czuł idący stamtąd chłód i widział padający nań cień.

Nie namyślając się długo, zakasał, jak mógł najwyżej, majteczki i stanął na najbliższej kępie. Ugięła się, bulgocąc. Nóżki do kostek pogrążyły się w ciepłej na powierzchni wodzie, rozszedł się zapach zgniłych korzeni tataraku. Chłopiec przeskoczył na drugą kępę, za którą zaczynała się jakby murawa darni pokrytej osoką, tak sprężysta, że trzęsła się w dużym promieniu pod ciężarem chłopca.

Ignaś rozróżniał już ciemne pieczary wnętrza lasu. Serce zabiło mu mocniej i nagle zatrzymał się jak wryty.

W jednem miejscu, prawie nad ziemią, unosiła się zielonawo błękitna iskierka; zatrzymała się i błyszczała najwyraźniej.

Ignaś uczuł w płucach gorąco, jakby spalanie się w przyspieszonym oddechu zapartej w piersiach krwi, i fala ciepła oblała go od stóp do głowy. W uniesieniu radości, zapatrzony w mistyczne światełko, począł biec prawie. Zachybotało się wszystko naokół; przerwało się trzęsawisko i chłopak zawisł na łokciach w wodzie, pogrążając się zwolna coraz głębiej. W szamotaniu okręcił się i złapał oburącz za jakieś ostre komysze. Miękka, rozlazła, drgająca masa chwytała go za nogi i ciągnęła pod kępy.

Chciał krzyknąć, ale głos zastygł mu w krtani. Zacisnęły się żyły i wszystka krew na moment zatrzymała się w rozdętych arterjach; a potem skurczyły się tętnice, krwawy prąd buchnął do obwodu ciała, i serce stało się wystraszoną pustką.

Trzymając się słabnącemi rączynami za sitowie, Ignaś utkwił skamieniałe z przerażenia oczy w cichy uśpiony dwór.

Ratujcie — jęczały obłąkane rozpaczą myśli. Niemo żebrały pomocy oszalałe instynkty.

Słodkie omdlenie rozjęło małe palce.

I nagle rozwarły się bez szelestu stare zręby domostwa. Dziecko znalazło się wśród swoich; rozwinął mu się w oczach jego ostatni dzień, za nim przedostatni...

I tak we wstecznym biegu w błyskawicznych skróceniach opasywały go najistotniejszą treścią dzieje życia, coraz szczuplejszego zakresu, niby pierścienie o zmniejszającym się szybko promieniu.

Całość ich tworzyła rodzaj leja, w który się niejako osuwał, spostrzegając na ścianach nieprzerwany obraz minionych dni, równie plastyczny i żywy, jak rzeczywistość, ale wysubtelniony, jakby omglony czarem piękna. To też emocje, których Ignaś doświadczał, były pasmem wzruszeń natury estetycznej. Rzeczy wesołe dawały wrażenie pogody, bolesne — rozlewnego smutku.

Kiedyś przesunęło się marmurowe, śmiertelne, żałosne oblicze matki, zmarnowana, wychudła twarz ojca; później zjawiły się obie rozwidnione ukochane twarze rodziców. Wreszcie z akordami dźwięków zawirowały plamy barw i światła, wkońcu spłowiały kolory, poszarzały światła, dźwięki stały się zmieszanym zgiełkiem.

Otwór lejka zwężał się i zamraczał, aż zmienił się w punkt sztywnej ciemności i głuchego milczenia.

Tymczasem zewsząd czołgały się śliskie macki wodorostów, bezokie rzęsy, wysmukłe zielenice, przeciągały się zdaleka brunatną linją nenufary i oplątały ciało Ignasia, nim upadł na dno. W rytm wzruszonych kręgów fali kołysały go w splotach swych sprężyste sieci coraz wolniej i wolniej.

Bielała noc, wiatr się wzmagał. Szedł szmer w oczerety, poszum w las. Sieć zarabiała się pracowicie w całun wybladłej zieleni, jakby chcąc zataić przed złotem okiem słońca zrabowany mu skarb.

JULJUSZ KADEN BANDROWSKI

(* 24 lutego 1885 w Rzeszowie).

Wydał: „Niezguła“, powieść, 1911; „Zawody“, nowele, 1911; „Proch“, powieść, 1913; „Zbytki“, nowele, 1914; „Piłsudczycy“, 1915; „Iskry“, 1915; „Bitwa pod Konarami“, 1915; „Mogiły“, 1916; „Spotkanie“, nowele, 1917; „Łuk“, powieść, 1919; „Wyprawa Wileńska“, 1919; Podpułk. Lis-Kula“, życiorys, 1919; „Wianki“, 1920; „Wiosna 1920 roku“, 1921; „Rubikon“, nowele, 1921; „Generał Barcz“, 1923.

Druciarz.

Chudzik se na drodze przystanął, ziemniakowaty swój nos w górę wzniósł i jął węszyć zimne, świeże powietrze, zapach, idący z miasta, ten i ów dym złowonny, ten i ów miły, pierś we wnętrzu, niby miodem głaszczący. Ale jeszcze coś prócz tego wszystkiego węszył druciarz Chudzik z otwartej drogi, jakby płótniakiem ku miastu wyciągniętej. Oto radość przyszłą węszył...

Zdaleka przez świetliste powietrze, niby przez farbkę niebieską w wodzie rozpuszczoną, widać stare narożniki Wawelu, połatane czarnemi oknami, nito spódnice i kiecki bab w gromadzie rozsiadłych.

Skądże ta radość przyjdzie, co sprawi, kogo, gdzie, jak bujać i huśtać będzie?

Ano, gdzie ona jest, niewiadomo. Ale wiadomo, że w Chudzikowej piersi zostawiła wartki wrzątek czegoś, co się kołem obraca, piętą przystępuje, śmigą wiatraczka strzyże, młyńskiego kamienia żuchwą miele smakowicie i powiada gwałtownie, a tak radośnie, że aż gderliwie, i tak prędko, że aż pytlując, — powiada w oczy patrzące, w ucho rozwarte i nos węszący: Radość cię czeka, Chu-

dziku — i już... Gdzieś ci się ta na drodze twego dnia strawa, posiłek nadarzy — i już...

Na tę myśl, z najniższej czeluści głodowej wychynęło coś pod górę, błysnęło w oczach, zwarło szczęki i zaświergotało w uszach chłopca. Ech ty! jedzenie!...

Czerstwe, ranne głody ściskały Chudzika, krzepko i zdrowo. Przystanął, bo mu mruczało w środku, jakby w brzuchu kot mruczący siedział. Przystał druciarz, porteczki podwinął, paskiem ściągnął, potem z ramienia na ramię przełożył rzemień z ciężarem. Było co dźwigać. Nosił przecie na sobie blaszane formy, zmiotki, łapki na myszy, proste i droższe, i zmyślne, otwierające się z dwóch stron, na dwie myszy. W torbie miał kawały blachy do łatania rondli, różnoraką maź do lepienia czerepów, obcęgi, obcążki, wreszcie na ramieniu zwoje białego i mosiężnego drutu.

Przerzucił to wszystko z ramienia na ramię i poszedł.

Z za zakrętów, z za wikliny, z poza mgły lekkiej, wylegał coraz sowiciej Wawel z wieżami, kręconemi wysoko pod niebo, z drugiemi, którym, jakby kto w łeb dał i spłaszczył, i trzeciemi, co, gruzu się najadłszy, wyrość nie zdążyły. Między tem zgromadzeniem wież murowanych, przylepek i łat rozrastał się mur warowny, zjedzony przez burze, słoty i szturmy. Zdaleka, ów mur bronzowy, przechodem czasów wysuszony — widział się Chudzikowi, — niby ogromne kromy czerstwego razowca, tu i owdzie spękane w głąb, aż do ośródki. Bo jako przez spieczoną skórę ośródka — tako tu z murów wyłaziła — stara, odwieki pamiętająca i wciąż płodna ziemia.

Juści tak.

A jako gdy na starym bochenku chleba pleśń i śniedź żeruje — tu, z międzypomiędzy starych wawelskich rozłamów hasa w najlepsze ku górze bujna zieloność.

Dziwnie to wyglądało. Powiedziałbyś, człowieku, że samo życie nowe rózgami prętów soczystych tryska z rozpadlin, że miotełką liści, starość owych murów okurza, pociesza, łagodzi i koi.

Dalej od Wawelu, od schylonych przez wiek grzbietów katedry i kaplic spływały wzgórza ku dołowi modrym fałdem zieleni, aż po srebrną listwę Wisły. A Wisła teraz we słońcu wiosennem widziała się Chudzikowi, niby rozpuszczony, jedną, niewyczerpaną wodą płynący bystry diament, oprawiony w złoto nadbrzeżnych piasków.

Wiater se chodził i łaził między wszystkiem. Przez wodę rzeki pluskał tchem słodko dmuchającym, to znów wikliny ku sobie skłaniał, że się sczepiały, niby splótłszy ręce dzieci, — kręgiem rozchwianym tańczące. To znów trawę pod włos do góry czesał i, lecąc wyżej, rozganiał nadmiastowe dymy po czystem niebie.

I jakżeby to mogło być, — pomyślał sobie niechcący Chudzik, rozwartem okiem widok obejmując — żeby to-to wszystko nie dało zjeść i napić się i zarobić człowiekowi!?...

Ominął spojrzeniem stary zamek wawelski i patrzył na samo miasto Kraków. Na te dachy spiętrzone, splątane, polane światłem słońca, niby topionem masłem. Na te wieże — co, gdybyś, człowieku, nie wiedział, tobyś myślał, że tam wysoko, w przestworzu nieba czystego, głosem godzin bijących nie godzinę znaczą, — a zasię oddychają głośno, z kamiennej piersi tchnienie miarowe wypierając.

Przysporzył kroku. Teraz mu droga szła nad samą Wisłą wedle rybaków i galarów. Rybacy, niby te haki wbite u brzega, siedzieli nieruchomo nad wodą z wielkiemi wędami, wpatrzeni w srebrny połysk toni, — rychło li się pławik zakołysze...

Zato na galarach szło życie już na dobre. A zdały się one, grzecznie obok siebie stojące, szerokie, pojemne, niby czyjeś chodaki, lub kierpcie.

Udała się ta myśl Chudzikowi i zaśmiał się. Juści na takich chodakach wielgachnych, mocnych i posuwistych sunie se człek po wodzie, — jeszcze jak zgrabnie!... Chodaki nielada, większe niż łódka, zmieści się w nie wszystkiego jak w karczmę, ale nie dla zabawy są — mocne i spławne.

Pełne były węgla, który się w słońcu mienił i łuszczył sinawo-niebieskim poblaskiem. W środku każdego galara widniała przystojna budka podłużna. Na progu jej siedział taki, lub owaki flisaczyna i prządł z fajki do zębów uczepionej cienkie wstążeczki dymu. Opodal na cegłach paliło się krasne ognisko pod garnkiem z warzą. Płomień drżeniem i blaskiem raz po raz znikającym ginął w jasnym ogromie i, zdało się, targał powietrzem i na karbki je zwijał. Bo wszystko, coś z oddali ponad ogniskiem ujrzał, drżało, jakby żarem płomienia kołysane.

Do miastaby już wejść, — pomyślał Chudzik.

Żal mu się zrobiło tego widoku słodkiego, tego zapachu, co nęcił wonią, jak namowne zaprosiny. Ale wiedział Chudzik, że

przecie pracować, zarabiać musi, bo musi do domu nad wieczór pieniądz zarobiony przynieść. Więc żeby tak i tu pozostać i własne lenistwo omylić — kroku zwolnił i już szedł noga za nogą, becząc głodnym, żadną strawą nie przetartym głosem: Garnki drutować! Garnki drutować!

Odezwał się któryś flisak zdołu z nad Wisły: „Chodźno tu".

Pobiegł Chudzik.

Pokazali rozbity garnek do odrutowania, umówili się o cenę.

Chudzik siadł na krawędzi galaru. Z blaszanym chrzęstem ściągał przez głowę rzemień z wyrobami, zwoje drutów i torbę. Zsunął to wszystko na dno, że aż jęknęło, i zaczął przymierzać czerepy garnka.

— Jodeś już co? — zagabnął flisak stary, siedzący przy ognisku.

— Nie, — odpowiedział Chudzik. I zaraz radośnie się zaśmiał, drąc gębę od ucha do ucha. Bo przecie wyczuł w głosie starego, niby srogim i zadzierzystym, że nie po próżnicy o jedzenie pyta...

Tymczasem przy ognisku drugi flisak z fajką w zębach zakrzątnął się i, podawszy chłopcu garnek gorącego żuru, wrócił na swe dawne miejsce.

— Niech ji, — rzekł.

— Niech se poji, — dodał stary.

Cisza zaległa. Słychać było, jak chłopy w szczękach niezłomnych miażdżą chleb, podlany, zwilżony, rozrobiony kwaśnym żurem i śliną sprawiedliwego głodu. Chudzik też nie dał się prosić, tylko zawijał, aż mu w skroniach trzeszczało.

Dobrze było. Ogień coś tem trzaskaniem płomieni pytlował i ranną ciszę bróździł; chłopy mlaskały, ów twardy chleb językiem niby kijanką rozgłośnie przygniatając, a łyżki na krawędzi garnków chrapliwie skrzypiące pokazywały, że statecznie ludzie jedzą i potrzebnie.

Smakował Chudzikowi ten żur, Jezus! — jak smakował. Kwaśne to było, że ci gębę ściągało, ale nie nadto, tylko w miarę... Nie ugryzła cię ta kwaśność, a i owszem, im więcej jadłeś, tem cię więcej swą kisłą potęgą radowała. Gęste, po wysuszonym przełyku szło rozważnie, jak dobre słowo rzeczone w ciężki czas, dając otuchę i ciepło. I dokumentne to było. Kiedyś ledwie kilka łyżek przełknął, toś zrazu czuł, żeś w sedno spraw swych i kło-

potów ugodził, człeku, że zaspokajasz nareszcie ten brzuch niesforny i nienasycony.

Podjadł se Chudzik, skromnie powstał, miseczkę przypochlebnie na miejsce wedle ogniska odstawił i wziął się do roboty.

Właściwie, to śpiewać mu się chciało z tego dobrodziejstwa, co je czuł teraz w żywocie słodką pogodą płynące. Ale się wstrzymał ze względu na flisaków.

Robotę zaczął. Przepatrzył se skorupki, przymierzył, przycelował, tym bokiem i tamtym, tym do tego i tamtego, cierpliwie i chytrze. Przymierzywszy, zlepił. Zlepiwszy — z drucianego krążka wywinął drut, błyszczący, niby włosie, a wykrętny, nieustępliwy i nieusłuchany. Co-nie-co wymierzył, ile trzeba było zmiarkowawszy. Obcążkami, niby tym pyskiem psim, drut ugryzł, — czyli odciął. A potem garnek zlepiony wgrążył se Chudzik w brzuch, tak miarkując, aby się naczynie na podołku między podniesionemi udami a piersią przytrzymującą statecznie ustaliło. Wysunięty język zębami przyłapał, uszy od uwagi i namysłu zaczerwienione nastawił i wziął się do pracy ostatecznej.

Zaczepił tedy o garnka kant drut na ząbek zakręcony. Przez denko zwinnie przeciągnął, zaczepił z drugiej strony, a potem nakrzyż, a potem w gwiazdę. Na środku gwiazdy skręcił końce drutu w warkoczyk i stąd dalej na prawo i lewo, z oczka na oczko.

Z kłębu, niby z kądzieli owo włosie, coraz więcej drutu troczył, raz wraz stopą w kierpeć obutą kłąb dalej od siebie kopiąc.

Śmigała w rannem słońcu ta nić żelazna, którą Chudzik garnek rozbity od spodu w znaki gwiazdy oszywał, a paluchy chłopaka, z pozoru niezgrabne, powiedziałbyś wałkonie, lub niedorajdy, zgrabnie się przy robocie zwijały. Każdy za siebie swój rozum miał, mimo, że wszystkiemi świadoma dłoń rządziła.

I znów mu drutu brakło i znów se go, obcęgami w powietrzu szczeknąwszy, uciął, oczko palcami ugniótł, w zębach ścisnął, — drut w świder splótł i jął drutować dalej i tym drutem, w czworoboki zaginanym, sczepionym mocno, garnek okrążał, spajał, spoił, — aż się klej z czerepów krawędziami wypacał i wyciskał, aż skorupy podołkiem przychwycone postękiwały.

I tak działał, kręcił i wiercił, jakby nie drutem, a tą rodzoną myślą własną ów garnek do kupy skupić miał.

Dobrze mu się pracowało. Złotem słońcem po głowie głaskany, zdrowo pojedzony, siedzący na krawędzi galaru nad tą wodą Wisły, bardziej świetlistą niż blacha, — chybotając się na mocnych

pośladkach, pracował se Chudzik w to słoneczne rano. Nie czuł, że mu się palce na drucie jak druty gną i na obcęgach strzępią... Że mu oczy potem zachodzą, że zgryziony, przed wargi wysunięty język schnie, a grzbiet wysilony drętwieje. Nie znał Chudzik fatygi ani żadnej udręki, ani wcale mitręgi...

Zaś gdy mu tak robota szła i w czynnych palcach rajdosząc się gadała, grała i śpiewała, myślał se...

Ze skrzypem drutu, z pochrzęstem czerepów stękających pełgała myśl Chudzikowa coraz dalej i dalej od tego, co jawne jest, aż do jakiegoś kresu, a od kresu owego, niby w jakieś pole cudne bardzo, mało znane i szczęsne...

Więc myślał se Chudzik, myślami na wsze strony, niby koń uchem strzygąc, o tem, gdyby mu to kiedy cały galar zdrutować przyszło, — żeby zrobił...

O tem, gdyby mu kiedy całe to miasto Kraków odrutować przyszło: żeby się namyślił, pokruszone czerepy zmyślnie złożył — i odrutował...

I gdyby mu cały ten świat odrutować przyszło, — żeby się w kupę zebrał, w sobie rozognił i dechu w płuca wziął... I żeby wtedy zamiast drutu promień z cyferblatu słońca zdarł, i żeby onym promieniem cały świat rozbity w całość drutował...

ANDRZEJ STRUG

(Tadeusz Gałecki)

(* 1873).

Wydał: „Ludzie podziemni", Lwów 1908. „Jutro" Kraków 1909. „Ze wspomnień starego sympatyka" („Ludzi podziemnych" serja II) 1909. „W twardej służbie", („Ludzi podziemnych" serja III), Kraków 1910. „Dzieje jednego pocisku" 1910 (wyd. III. 1918). „Ojcowie nasi" (nowele) 1911, (wyd. II. 1921). „Portret" 1913, (wyd. II. 1921). „Chimera" 1917. „Odznaka za wierną służbę" 1920. „Pieniądz" 1921. „Mogiła nieznanego żołnierza" 1922.

Z „Dziejów jednego pocisku".

Cios może paść niewiadomo skąd — każdej chwili. Pomimo dozoru i rygoru w zamku i tu może do niego trafić wróg swoim nieobliczalnym sprytem.

Tedy znienacka, w dzień czy wieczorem, otaczano plac zamkowy wojskiem i rewidowano wszystkich, zabierano każdego, kto wydawał się podejrzanym.

Żołnierze szli na tę robotę, jak na wesele. Bezczelnie obmacywali każdego i z całą prostotą okradali rewidowanych ludzi z portmonetek i zegarków. Nie przynosiło to jednak żadnego istotnego pożytku. Generał siedział po dawnemu w swojej rezydencji.

Potem przyszły czasy najgorsze. Raporty wszystkich dowódców korpusów zaczęły donosić o spiskach żołnierskich, o buntach po koszarach, po obozach. Wykryto związek między ruchami żołnierskiemi a polskiemi organizacjami rewolucyjnemi. Tu — już jakby ziemia zapadła się pod nogami.

Ci żołnierze pilnowali jego osoby. Przecież na ich łasce i niełasce był każdy moment jego życia.

W twardym, niezłomnym umyśle generała zaczęło się dręczące wahanie. Mądrość całego życia, etyczne podstawy całej jego niezachwianej w wierności karjery podlegały niebezpiecznym wstrząśnieniom. Czyżby to już był koniec? Czyżby mylił się on i ci, co rządzili Rosją? Czyż mają słuszność żywioły anarchistyczne, te buntownicze gazety, przepowiadające zgon samowładztwa?

Znał rosyjskiego żołnierza. Znał jego ciemną, martwą duszę. Wiedział, że na wrzask komendy żołnierz ten idzie w ogień, idzie na ojca, na matkę, jak ślepa maszyna. Przykręcał śrubę dyscypliny i w powierzonym mu okręgu nie było do niedawna słychać o buntach i niepokojach sołdackich. Tutaj żołnierza otaczał zewsząd wrogi, obcy naród. Przeciwko temu odwiecznemu wrogowi, Polakowi, szczuto sołdata w cerkwi, w koszarach, w szkołach podoficerskich, w broszurkach patrjotycznych. A jednak sołdat bratał się z polskim buntownikiem i skrytobójcą...

W cóż w takim razie można jeszcze było wierzyć?

Generał zaczął się upijać. Pił samotnie, wieczorami. Pokrzepiał się, jak mógł — mógł przynajmniej spać twardo do rana. Inaczej nie mógłby zasnąć — bo do szaleństwa doprowadzała go myśl, że ginie Rosja.

Ze strachem patrzył teraz w oczy żołnierzy, stojących na warcie w zamku. A widząc struchlałe, bezmyślne spojrzenia sołdackie, wlepione w niego, jeszcze nie wierzył.

— Przekłuje mnie tym oto kazionnym bagnetem — myślał.

A ponieważ na takie niebezpieczeństwo nie było żadnej rady, przeto przestał wychodzić ze swego gabinetu i przylegających dwu pokoi. Wzmocnił zato działalność raportową, i władze centralne na mocy dokumentów miały zupełnie dokładne pojęcie o jego gorliwości. Raz struchlał, otrzymawszy oficjalne zawiadomienie z Petersburga, że jakiś wielki książę z wielką księżną wybierają się zagranicę i mają przejeżdżać przez Warszawę.

To jedno mogło go zmusić do opuszczenia swojej fortecy. Ale genjalny dyrektor kancelarji przynosił mu natychmiast gotowy tekst telegramu, oświadczający, że osoba jego jest nieustannie tropioną przez rewolucjonistów, że wobec tego nawet tak krótki moment, jak powitanie na dworcu Ich cesarskich Wysokości może sprowadzić na Ich Ces. Wysokość nieszczęście w postaci zdradzieckiego zamachu, wymierzonego przeciwko warszawskiemu generał-gubernatorowi. Że polskie żywioły anarchiczne nie zawa-

hają się poświęcić osób Ich Ces. Wysokości. Że wobec tego uważa za swój najświętszy obowiązek...

Wobec tego W. Książę jechał na Wierzbołów, albo wcale nie jechał, a generał zostawał w spokoju.

Miewał jednak napady buntów, piekielnej nudy, wstydu. Wyjeżdżał na miasto! Wyjeżdżał. Stała gotowa opancerzona kareta z cesarskich wozowni, konwój kawalerji, która swemi ciałami i kadłubami kazionnych koni miała go osłaniać od kul, przywdziewał „protège-corps invulnérable", wyrabiany na użytek biurokracji rosyjskiej przez francuskich blagierów. Wyjeżdżał, ale od pół roku nie wyjechał za bramę. W ostatniej chwili chwytał go jakiś skurcz, jakiś spazm... Był to strach.

A czas upływał. Jeszcze wciąż wznosiły się ku górze nadzieje. Jeszcze na miejsce jednego powieszonego stawało do walki dziesięciu. Masy ludowe falowały i drgał coraz mocniej zrąb podmurowania państwa. W tajnym albumie generała zgromadziły się już dziesiątki fotografij skazańców rewolucjonistów, którym potwierdził wyroki i którzy już poszli na tamten świat. Zrzadka, w pewnych złych chwilach, rozglądał się po tych młodych twarzach.

Były tam oczy, patrzące na niego wyzywająco, jak na wroga, albo też bezmyślnie, obojętnie, w niektórych zastygło osłupienie strachu, w wielu widać już było wyraźnie patrzenie w niezgłębioną czeluść śmierci. Generał nie poczuwał się do litości ani żadnych wzruszeń natury ludzkiej, gdyż, podpisując wyroki, spełniał tylko swój obowiązek, a zresztą i rewolucjoniści nie byli dla niego inni, niż on dla nich.

Wśród tej galerji skazańców miał jedną młodą twarz, którą zazwyczaj pomijał przy przeglądaniu. Zbyt drażniące, zbyt mocne było jej spoglądanie prosto w oczy. Zbyt długo trzeba było pamiętać potem pewne, nieopisanie przykre wrażenie. Do tych oczu, patrzących z za świata, niepodobna się było przyzwyczaić. Na pierwsze wejrzenie chłopak ten spodobał mu się i to do tego stopnia, że gotów był nawet go ułaskawić. Ale ciążyło na nim zbyt wiele dowiedzionych przestępstw, generał zaś lubił być sprawiedliwym. Chłopak zginął i zaczął mścić się po śmierci.

Kiedy po jakimś czasie generał wydobył jego fotografję, spojrzały nań stamtąd jakby oczy upiora. Jasne, przenikliwe, nieubłagane — wiedzące już wszystko i mówiące wszystko. Szarpnęło nim po raz pierwszy w życiu okropne powątpiewanie.

Zali dobrem jest to, co czyni? Zali to jest koniecznem? Z oczu powieszonego biła prawda, owa wiekuista nieomylność — która panuje tam, gdzieś, kędy poszedł skazany chłopiec. Z trudem powrócił potem generał do równowagi i przez jakiś czas nie wieszano nikogo. Ale któregoś dnia wrócił przecież do siebie i do pełnienia obowiązków. Siłą logiki i pracą woli, wymuszonem szyderstwem i zapijaniem sprawy zwyciężył tajemniczą moc swego wroga z za świata. A kiedy już było wszystko po dawnemu, wydobył album i z drwiącym uśmiechem spytał widma:

— No, i co?

— Zginiesz! — odpowiedziały natychmiast oczy.

Była w tem spojrzeniu znowu przenikliwa, nieodparta prawda. I zamarł drwiący uśmiech na pobladłej twarzy generała — zobaczył bowiem jakby własną śmierć, swój własny grób. Widział swój pogrzeb uroczysty, idący ulicami Warszawy. Gromady gapiów, szpalery wojsk. Odtąd nie otwierał już albumu i przestał gromadzić fotografje skazanych.

Z „Mogiły nieznanego żołnierza".

Wojna domowa jak pijana zataczała się i przelewała po olbrzymich przestrzeniach. Walczące masy ludzkie zdawały się błąkać poomacku po bezmiernym kraju, rozganiane na cztery wiatry i spędzane zpowrotem do kupy przez nieobliczalne piekielne podmuchy huraganu dziejowego.

Narazie znajdował się pod ogniem czerwonej pancerki. Wyciągał z niemałą gorliwością dokument sowiecki, który po drodze zapchał był głęboko w czeluściach obszarpanej cholewy, a na jego miejsce pakował świstek z dwugłowym orłem, użyczony mu przez jakiegoś współtowarzysza podróży. Albowiem słusznie przypuszczał, że czeka go jeszcze po drodze niejedna odmiana fortuny. O zmierzchu wieczornym zakradł się do miasta, ciekawy nowin.

Na szeroki, biały od śniegu plac miejski zganiano tłumy dońców i „dobrowolców" na mityng uświadamiający, gdzie już tu i owdzie z mównic, pod któremi stały kulomioty, rozlegały się potężne głosy propagandystów. Pochodnie naftowe, szarpane przez mroźny powiew, rzucały krwawe blaski na dzikie twarze. W tłumie deptano trupy porozrzucane tu i owdzie. Mróz wzmagał się.

Opodal pod murem w ciemnościach stała wielka zbita gromada, osaczona zewsząd przez bagnety. Przy świetle pochodni obsługa dwóch kulomiotów ładowała taśmy.

Spokojnie, bez pośpiechu w obliczu skazanych szczękały maszynki, wpychające naboje. Łazowski chciwie patrzył w ciemną gromadę oficerów armji ochotniczej. Nie miał dla nich współczucia, nie przerażało go to, co się miało stać za chwilę. Tę zbrodnię uznawał raczej za słuszną i niemal konieczną, jeżeli dzieje tej wojny mają mieć wogóle jakiśkolwiek sens — w ostatecznym swoim wyniku. Czuł wstręt do oklepanych słów sowieckich, które dolatywały aż tutaj od mównic i do huczących gębaczy, zionących ze siebie wzniosłe idee. Niebawem ich jasne, przekonane wrzaski poparte zostaną przez potężny akord kulomiotów i przedśmiertnego ryku skazanych. Kogóż ze drżącej tłuszczy nie przekonają takie argumenty? Nastąpi wiadome zgóry głosowanie i dziś jeszcze tysiące dwugłowych orłów odpadną od czapek, a jutro poprawieni synowie ludu pójdą do boju pod czerwonym sztandarem. Żołnierze, ładujący kulomioty, nucili ospale i leniwie:

Noczka tiomnaja
Ja bojusia,
Prowadzi mienia
Marusia!

Łazowski plątał się w tłumie, zapomniawszy o sobie. Porwała go nieprzeparta chciwość patrzenia i wchłaniania w siebie grozy i straszliwości tego obrazu. Był tu obcym i jakby nieczłowiekiem. Był jeno jakimś dziwnym świadkiem przewrotu. Nic nie odczuwał, a widział jasno i rozumiał każdą twarz, każdy ruch i fragment z tego, co się działo. Każde słowo zasłyszane było pełne znaczenia i głębi, jak gdyby je podpowiadało fatum.

— Oto jest przewrót... — powtarzał sobie. To samo proste twierdzenie stukało w jego mózgu podczas walk w Jarosławiu, i w Tagańskiem więzieniu i w Butyrce i w rozmowach z Simonowem, i w miasteczku Bobrowie, gdy oglądał powieszonych komisarzy.

— Oko za oko. Ząb za ząb. I czyż mogło być inaczej?

Na rynku zapalano ogniska dla przemarzniętych żołnierzy. W gromadzie skazanych wszczął się ruch. W półmroku czarny tłum szarzał, bielał. W zbitej masie wyrastało coraz więcej białych postaci. Opodal na śniegu rosła olbrzymia kupa zrzucanych

płaszczy, kożuchów i reszty drogocennego przyodziewku. Jeńcy rozdziewali się do naga na mrozie bez protestów, bez żadnych krzyków. Ruszali się żwawo, i naglili jeden drugiego, byle prędzej dostać się pod zbawcze strzały. Masa kłębiła się jak w konwulsjach. Gromowy głos mówców obijał się o mury domów. Szczękały maszynki, ładujące taśmy kulomiotów. Żołnierzyki przy pracy ciągnęli swoją monotonną sołdacką piosenkę:

Proważała —
Żutko stało.
Proważaj-ka,
Do wokzała!

Nazajutrz w niezmiernym ścisku dworca kolejowego stał wraz z innymi przed olbrzymią mapą, rozpiętą na ścianie i zgadywał, kędy się obrócić. Rosja leżała przed nim w całym swoim ogromie. Teraz dopiero spostrzegł, jaki szmat drogi przemierzył i zostawił za sobą. Była w tem otucha, ale gdy doliczył oczami to, co mu pozostało do przewędrowania, zdejmowała go zgroza. A były to strony ogarnięte najgorszą pożogą.

Przyszłość była ciemna, nawet dzień dzisiejszy zdawał się niepewny. Wystrzały działowe trzęsły szybami. Pociągi wojskowe wciąż gdzieś odchodziły, ale pod tak surową kontrolą, że za tym razem instynkt doradził mu nie być zbyt bezczelnym. Nikt na dworcu nie wiedział, co się dzieje na mapie, ani na Kupiance. Snać front armji ochotniczej w odwrocie zbliżał się do miasta od północy. Tłum chętnych do podróży nie sprzyjał ani jednym, ani drugim. Byli to nieszczęśni spokojni ludziska, którzy zabłąkali się tu i radziby rozjechać się każdy w swoją stronę. Opowiadano, że front białych wojsk jest na południu, atakują zaś chłopi „Machnowcy", którzy walczą z obu stronami. Opowiadano, że miasto otoczone jest przez „Zielonych", czyli przez bandy dezerterów, domagających się pokoju. Charków miał być zajęty przez białych, Kijów przez Polaków, a w Charcysku o dwieście wiorst na południe już siedział o tej porze Budiennyj, przesławny wódz kawalerji czerwonej i odciął kontrrewolucjonistom wszelkie komunikacje.

Niepodobna było wyznać się w chaosie, a nie warto było pytać, bo w tych ostatnich chwilach bez żadnego namysłu strzelano w łeb każdemu, który się wydał byle komu zanadto ciekawym wydarzeń bojowych. Działa biły już w obrębie dworca.

Gęsty dym spowił całą stację. To palono składy wojskowe. Naprzeciwko, na bocznych torach płonęły wagony. Ostatni pociąg ruszył z przed peronu. Pośpiesznie wskakiwali zapóźnieni żołnierze, warty, placówki. Nigdzie nie zostało śladu czerwonej władzy.

Niebawem przesunęła się jak ślepe widmo pancerka, zionąca dymem, grzmotem i ogniem. Przetoczyła się i Kupianka była wolna.

— Idą! Idą!!

W panice, w ścisku, we wrzasku, wszystko co żyło umykało z dworca. Nikt nie wiedział, co za siła szła na miasto. Tłum ogarnęła trwoga przed niewiadomem. Krążyły, biegły śród popłochu nieprawdopodobne wieści. Oszaleli ludzie wierzyli w coś ostatecznego, co jeszcze niezaznane, a najgorsze. Uciekano na wszystkie strony. Biegł za innymi i Łazowski. Gdy się znalazł w polu, spojrzał na blade zimowe słońce i skierował się w pierwszą drogę ku zachodowi.

Nad połyskującemi w śniegu dachami pękały szrapnele. To czerwona pancerka, dymiąca na tle lasów, ostatniemi strzałami żegnała opuszczone pozycje. Z przeciwnej strony jakieś czyjeś działa biły naoślep salwami w nieszczęsne miasto. Ktoś niewiadomy, nadciągający z głębin tajemnej Rosji, witał ogniem dział struchlałych mieszkańców, których uciekające tłumy czerniały na wszystkich drogach. Żółte, bezdymne ognie pożarów jeden po drugim wyrastały martwo nad opuszczonem miastem, dziwnie poczwarne we słońcu i w lśnieniu śniegów.

Łazowski szedł wartko. Po godzinie ogarnęła go biała przestrzeń stepu, samotność i cisza. Zapomniał o tem, co było dzisiaj, wpatrywał się w to, co będzie — co niewiadome. Liczył drogę swoją: Połtawa — Charków — Kijów — linje polskie...

Bajeczna kraina Polski wydawała się nietylko nieskończenie daleką w przestrzeni, pełnej burzy i okropności, ale i wprost nieprawdziwą. Nie dawała się ona zrozumieć i nie mogła się ułożyć w głowie. Dążył do niej i przecie szedł dzień za dniem, przepychając się wytrwale przez wszystkie piekła. Wiedział dokąd idzie, dopóki nie wydarzały się chwile jasności, w której zamiast upragnionej ojczyzny otwierała się przed nim przeraźliwa pustka. Na tysiące sposobów zgadywał i wyobrażał sobie niepodległą Polskę, ale nigdy nie widział tam siebie pośród swoich. Więc może nawet

być sobie Polska i jej nieprawdopodobna wolność, ale on, zagubiony na obczyźnie Polak nie dojdzie do niej nigdy. Jest jakby upiorem, tęskniącym do widma swojego szczęścia. Czuł się jak skazany, któremu od życia nie należy się już nic. Nadarmo marzy, napróżno dąży...

Zła godzina chwyciła go śród białego stepu. Szedł szybko, uciekał, ale nie mógł wyminąć swej godziny, ani złego miejsca. Poddał się. Uczuł całe straszliwe swoje znużenie.

Umęczony był trudami przebytej drogi, które przypominały się wszystkie, i latami tęsknoty, które rozpostarły się przed nim w całym swoim ogromie — rok za rokiem, dzień za dniem. Cierpiał za siebie, cierpiał i olbrzymią mękę obcej ziemi, którą przemierzył był własnemi krokami, wstrząsaną w konwulsjach, owianą dymami pożogi, zalaną krwią. Umęczony był pamięcią wszystkiego, co widział był po drodze, o co się ocierał obojętnie i co mijał czem prędzej.

Zdawało mu się, że wszystkie swoje siły rozproszył po drodze. Zostawił daleko poza sobą ostatnią resztę woli. Nie zostało mu nic na dziś ani na niewiadome jutro. Ustawał w połowie swojej drogi.

Patrzał w czerwoną łunę zachodu. Tam prowadziła jego droga. Czerwone słońce kryło się za las daleki. Mróz wzmagał się.

Daleki las chwiał się, wiał od niego głuchy, jakby podziemny grzmot. Dudniła zmarznięta ziemia. Łazowski jak obudzony ze snu zemknął z drogi i sunął naukos ku kępie zarośli. Nie oglądając się wszedł w krzaki, położył się na śniegu i stamtąd patrzał.

Gościńcem i polem, trzema szlakami, trzema ławami szeroko ciągnęła konnica. Tętniła głucho i jęczała umęczona ziemia pod kopytami mnogich tysięcy koni. Znowu jakaś, czyjaś siła szła stepem, niosąc ogień i miecz, zemstę i karę, niosąc tej ziemi gromowe słowo swojej woli. Długo przewalały się gromady konnych, skrzypiały płozami tabory. Dalekie dymy płonącego miasta poróżowiały w mroku wieczornym. Ku tej łunie głęboko w noc pchała się wędrowna masa. Wreszcie przeszli, przewlekli się ostatni zapóźnieni i znowu cisza usłała się na stepie.

Łazowski wysunął się z kryjówki i powlókł się naprzełaj przez pole. Wsłuchiwał się w ostry chrzęst swoich kroków po zmarzniętym śniegu i dziwił się, że zdoła jeszcze iść.

Po drodze ogarniały go jakby tumany mgieł. Zapominał o sobie i usypiał.

Budził się i w podziwieniu postrzegał, gdzie jest. O którejś godzinie nocy znalazł się w krainie prześwietnej jasności. Księżyc bił blaskami. Śniegi iskrzyły się.

Pogrążył się w ten nieogarniony obszar białości i światła. Był sam jeden na świecie. Nigdzie człowieka, ani śladu ludzkich nóg.

Przystanął, rozejrzał się wokoło i uląkł się swojej samotności. Spostrzegł ją dopiero tutaj, wśród mroźnej, martwej pustyni. Nie czuł jej w ciągu lat swego tułactwa, dopóki miał siły i zdrową wolę. Teraz oglądał się za człowiekiem, gotów był wołać i płakać jak przerażone dziecko. Bał się bladej twarzy księżyca, bał się czarnych dziwnych znaków, które kreśliły na śniegu cienie rosochatych, wyniosłych bodjaków. Omijał zeschłe badyle, ale zewsząd zastępowały mu one drogę i straszyły. Zaplątał się wśród nich, przystanął i zapłakał. W głowie mąciło się.

Wówczas posłyszał dobre tchnienie, oddech czyjejś obecności. Poczuł w umęczonej piersi jakby drugie serce. Biło gorące, szerząc w nim błogość. Popłynęły łzy dobre, kojące. — Witaj, witaj — to ja! — To ty? — obudź się, obudź się i idź! Już niedaleko. Ja jestem z tobą...

Zbudził się i ruszył z miejsca. Prowadził go szept ukochanego głosu. Nie rozumiał słów, ale wiedział, że to szepce ktoś jedyny, oddany i wierny. Jego głos dochodzi przez śnieżne pustynie. Na nim wspiera się wędrowiec znużony śmiertelnie. Słania się na nogach, ale idzie, nie wie nic, ale wierzy.

Zapadnie się w zaspy śnieżne, utknie, zachwieje się, przystanie. Podtrzymany, dźwignięty z miejsca, powlecze się dalej. Usypia, usypia, ale wciąż idzie za ukochanem szeptaniem.

Nagle ziemia usunęła się pod nim. Potknął się, zatoczył, ale ustał na nogach i oprzytomniał.

Był na krawędzi głębokiego jaru. W rozpadlinie, jak wizja szczęścia i wytchnienia, stał domek wśród ośnieżonych stodół, stert i osędziałych, białych drzewek. Przychylnie świeciły małe okienka, dym z komina szedł równo ku górze w spokojnem mroźnem powietrzu i zapraszał gościnnie znękanego wędrowca. Ten futorek zdawał się być snem z dawnych lat, zatraconych na zawsze przez nieludzkość wojny. Kiedy były jeszcze na ziemi miłosierdzie dla niedoli i ufność ludzka... Kiedy dla każdego starczało chleba...

Łazowski zwolna zstępował w dół i modlił się w uniesieniu, we łzach, w dziecięcej ufności. Ogarnęło go ciepło wśród mrozu. Pogoda usłała się w znękanej duszy. Zapomniane zostały straszliwości ludzkich dziejów. Osuwał się w krainę dobrego snu.

— Niechże znajdę pod tym dachem dobrych, prostych ludzi!... Niech uwierzą, że stuka do nich po nocy nie zbrodniarz, jeno człek znużony i nieszczęsny! Niech pozwolą usiąść przy swoim ogniu nieznajomemu bratu! Niech wiedzą, że im nie skłamie, że ich nie zdradzi... Byle odetchnąć... byle pobyć z ludźmi. Dajcie spocząć zabłąkanemu, dajcie noc spędzić pod dachem, dobrzy ludzie...

WŁ. ST. REYMONT

(* 6. V. 1868 w Kobielach Wielkich).

Wydał oddzielnie: „Pielgrzymka do Jasnej Góry“ 1894. „Komedjantka“ 1896. „Spotkanie“ 1897. „Fermenty“ 1897. „Ziemia obiecana“ 1898. „Lili“ 1899. „Sprawiedliwie“ 1900. „Za późno“ 1899. „W pierwszą noc“ 1900. „Przed świtem“ 1902. „Z pamiętnika“ 1903. „Chłopi“ (1904—9), „Marzyciel“, „Wampir“ 1912. „Rok 1794“, „Za frontem“ 1919. „Osądzona“ 1923. Zbiorowe wyd. „Pism“ (z przedmową A. Grzymały-Siedleckiego) u Gebethnera i Wolffa od r. 1921.

JAN A. KISIELEWSKI O WŁ. ST. REYMONCIE.

Jan August Kisielewski urodził się w r. 1876. Wydał: W sieci 1899. Karykatury 1899. O teatrze japońskim 1902. Sonata 1902. Ostatnie spotkanie 1903. Panmusaion 1905. Życie dramatu 1907.
Zmarł w roku 1918.

....Kiedy przed kilku laty zewsząd domagano się od Reymonta powieści chłopskiej, artystycznego przetworzenia tej poetyckiej przędzy, z której utkał był tyle przepięknych nowel w „Spotkaniu“, „Przed świtem“, w „Pielgrzymce“ i w „Pamiętniku“, utworzenia jednego szerokiego gobelinu i gdy Reymont ciągle przyrzekając, ciągle jednak ociągał się z wykonaniem i o „Chłopach“ mówił nawet jakoby z niechęcią, a pisał natomiast o „Lili“ żałosne idylle, z łezką w oku opowiadał o stłuczonem sercu japońskiego cacka, — nie umiano zrozumieć, iż w jego duszy zbierały się, gromadziły iście tytaniczne moce twórczości, do spełnienia zadania, o którem on jeden, Reymont, wiedział, jak ono bardzo przekracza granice zwykłego pisarskiego wysiłku, „utalentowanego powieściopisarza“.

Znać chłopów i wieś, znać jego przyrodnicze i duchowe życie, pamiętać różne, artystycznie zajmujące jego objawy, wystarczy, aby napisać poetycką nowelę lub wstrząsający epizod w dramacie.

Lecz, aby napisać „Chłopów", dać Chłopów, stworzyć Wieś, nie dość jest mieć intuicję i talent i „znajomość życia" — tu należy mieć rozległe i głębokie rozumienie życia, tu trzeba wielkiej mądrości życia, tutaj otwiera się pole popisu wielkiej wiedzy artystycznej, sprawnie poruszającej seciną pendzli i instrumentów, tu należy przyjść z pełnem, męskiem, dojrzałem spojrzeniem oka, które widziało już wszystko dziwne, wyjątkowe, „jedyne", wyszukane, to, które niesie ze sobą kultura — a teraz zwraca się ku sprawom prostym... codziennym, odwiecznym.

„Powieścią współczesną" nazwał Reymont swe dzieło. Dlatego może „współczesną", iż bajka tej powieści odbywać się może obecnie, przed piętnastu laty, lub w dziesięć lat po wydaniu „Chłopów". Ze wszech innych względów jest to odwieczna powieść chłopska, opowieść o życiu polskiego chłopa. Dopóki będzie istniał polski wieśniak, dopóty będzie niezmiennie takim, jak go przedstawił Reymont. Wtedy dopiero „Chłopi" przestaną być współczesną powieścią, a staną się powieścią „z początku XX wieku", gdy fala zachodniej cywilizacji, oświaty, postępu, wyblechuje barwność dzisiejszego chłopa, gdy polski wieśniak zamieni się w polskiego fermera, gdy z ludem naszym stanie się to, co się stało we Francji: poza Bretanją, dzisiaj niema już francuskiego chłopa — jest rolny przedsiębiorca i rolny robotnik.

W czem jest ta różnica między współczesnym chłopem a chłopem przyszłości? Oto w tym przyrodniczym, fizycznym, duchowym i uczuciowym związku z ziemią. Chłop kocha swoje gospodarstwo i swoje obejście, nie tyle jako swój majątek, ile jako swoją ojcowiznę — ojczyznę, jako swoje gniazdo, w którem się ulągł i w którem zamrze, ustępując miejsca synom i wnukom.

Chłop kocha swoją wieś i poza nią świata nie zna, i nie uznaje; wieś sąsiednia, to jakby państwo sąsiednie, niemal obce. W tej wyłączności, w tej zachowawczości tkwi najgłębsza siła chłopskiego istnienia. Wszelki postęp nietylko obyczajowy, umysłowy, lecz nawet techniczny, wszelkie udoskonalenia, których „ojcowie" nie znali, wszystko, mające w sobie pierwiastek fabryczny — zbliża zanik chłopskości.

Doskonale rozumie to Reymont; daje więc chłopa niepiśmiennego, niekulturalnego, pierwotnego, nie znającego i nie uznającego świata poza Lipcami; daje wieś, organicznie w jednolitą całość zrośniętą, mimo „urzędy i urzędniki" rządzącą się patrjarchalnie, prawem zwyczajowem.

Reymontowscy „Chłopi", to ta przyrodnicza podwalina narodowej budowli, to ta ludzka ziemia, z której wytryska łan ludu oświeconego, przetykany kwiatami przedstawicieli kultury, ozdobiony sadami narodowej wytwórczości. Setek rąk pisarskich trzeba, aby odtworzyć cały naród; potrzeba pracy może niejednego pokolenia twórców, aby zbudować ten gmach syntezy narodowej: lwią część tej pracy wziął na swe barki Reymont i namalował żywą ziemię, z której się rodzi naród — dał nam chłopów.

Tak wyobrażam sobie, na tle tych wydanych trzech ksiąg, psychologję artystycznego zamiaru reymontowskiego dzieła.

Jeżeli zgodzimy się na to, iż jesteśmy jeszcze do dziś dnia narodem przedewszystkiem rolniczym, że typowy Polak to przedewszystkiem w i e ś n i a k, to wtedy dojrzymy i obejmiemy całą powagę i piękno tak ujętej koncepcji „Chłopów", bo w dziele tem poznamy Polaka w stanie pierwotnym, całą psychologję i charakterystykę naszą w wyrazach najprostszych i najistotniejszych. Reymontowski „chłop" ma rzeczywiście wszystkie właściwości, wszystkie wady i wszystkie nasze zalety narodowe.

Chcąc dać powieść doskonale, klasycznie chłopską, musiał Reymont wyrzec się komplikacji politycznego i ekonomicznie klasowego oświetlenia swoich Lipców ze złudnej w tym wypadku perspektywy dążeń ogólno-narodowych. Tej strony przedmiotu dotknął zaledwie raz i drugi. Niesłusznym też wydał mi się żal p. Jabłonowskiego, wymawiającego Reymontowi, iż nie dał nam „chłopa-obywatela". Polscy chłopi dzisiaj jeszcze nie są obywatelami i zdaje mi się, iż przestaną być chłopami, gdy staną się obywatelami. A Reymont chciał napisać i napisał... C h ł o p ó w... Reymont jest jednym z tych pisarzy, którzy idą na czele naszego piśmiennictwa artystycznego; należy znać wszystkie jego dzieła; w nich zaś „Chłopi" są tem dziełem, jednem z tych może nielicznych u nas, które w każdym domu być powinny. Do „Chłopów" należy wracać, odczytywać ich raz jeszcze i jeszcze raz, powracać do nich i studjować ich, powiedziałbym, uczyć się ich i z nich.

Nie jest to romans, nadający się do przeczytania, zabawienia się i zapomnienia, nie jest to lektura kolejowa; „Chłopów" należy czytać zwolna, nauczyć się ich czytać, rozumieć, wejść w ten ich styl, pod względem artystycznego pokonania trudności jedyny w swoim rodzaju, prawdziwie rdzennie chłopski, życiowy, realny, a tak szlachetnie zharmonizowany, zestrojony i podniesiony do wyżyn poezji.

Przedziwna to maniera, którą Reymont ujął techniczną stronę swego dzieła. Dotychczas mieliśmy chłopskie powieści i dramaty, w których „inteligent"-artysta, poeta, w artystycznej formie „pokazywał chłopów", opowiadał o nich, zastanawiał się nad nimi, pod tym lub owym kątem widzenia badał ich psychologję lub sielankowo wzdychał, marzył o schłopieniu się czyli powrocie na łono natury lub też wykazywał praźródło zwierzęco-ludzkiej tężyzny życiowej, społecznej, narodowej.

Odrodzenie narodu przez lud, walka ludu o przyszłość demokratycznego społeczeństwa, schłopienie szlacheckiej dotychczas naszej kultury — te i tym podobne tezy, do których starano się dociągnąć „powieści z życia włościańskiego" — Reymont uchylił zupełnie.

Artysta rozkochany w naturze, psycholog rozmiłowany w psychologji swojego narodu, poeta, czciciel życia i jego czarów, realista, uznający, iż rzeczywistość jest uzmysłowioną fantazją

Boga-Poety, usunął twórca „Chłopów“ siebie samego — siebie artystę przepojonego kulturą europejską i miejską — poza nawias, zaparł się siebie, swego subjektywizmu i przedzierzgnął się w chłopa.

Oto, nie pan Wł. St. Reymont, lecz jakiś pieśniarz chłop, chłop-poeta, chłopom opowiada o chłopach — po chłopsku! Mieć taki niezwykły, a tak wysoce artystyczny pomysł technicznego sposobu przeprowadzenia swojego dzieła i nie wypaść z tonu ani razu, to, zaiste, godne najwyższego podziwu i wawrzynów mistrzostwa!

Próżny to byłby wysiłek i trud niewczesny pisać o trzeciej księdze „Chłopów“, podawać jej treść, osnowę, opowiadać o losach „bohaterów“. W „Chłopach“ tak z „wiosną“ jak w „zimie“ i „jesienią“ niema „bohaterów“, jak jeno tych dwoje: „Ziemia i Chłop“ — jak tylko: Wieś... Lipce! Chyba... wziąć tom do ręki i czytać stronę po stronie, rozmyślać nad nią, komentować, zastanawiać się i podziwiać... w ten sposób żyć wsią i na wsi, przypominać sobie utraconą wieś lub wieś poznawać, gdy się jej nie miało sposobności stracić...

W ciągu tego czytania będą chwile, iż trudno przyjdzie zastanawiać się i nie pora podziwiać — chwilami zdawać się będzie, że to nie o Lipcach mowa, nie o lipcańskich żałościach tylko...

A. SIEDLECKI O REYMONCIE.

(biografja A. Siedleckiego ob. str. 206.)

Autor „Sprawiedliwie“ i „Chłopów“, autor „Ziemi Obiecanej“ i „Fermentów“, autor „1794 roku“ jest zjawiskiem nietylko polskiej, ale i wszechświatowej literatury. Dzieła jego tłumaczone są nietylko na te języki, które stanowią naturalny teren naszej ekspansji kulturalnej, a więc nietylko na język: rosyjski, czeski, chorwacki, lub słoweński; dzieła Reymonta zdołały utorować sobie drogę do tak wyrobionych, często zadrosnych o obcą inwazję piśmiennictw, jak: francuskie, anglo-saskie, włoskie lub hiszpańskie. Szerokie rozpowszechnienie ma powieść jego w Niemczech i Skandynawji.

....Doskonałość Reymonta polega... na tem, że swój niezwykły dar obserwacji i pamięci wzrokowej umie przyoblec w przedziwnie giętki zespół słów i zdań. Słowo jego jest kolorowe, czasem zaś jeden dźwięk w zdaniu przeleci, jak błysk światła.

....Cała beletrystyka Reymonta, powstająca przed „Ziemią Obiecaną“, była odtworzeniem mocarności, działającej jako cel sam w sobie. Młodzieńczego pisarza upaja żywioł siły, zaklęty w życie, w człowieka naturę. I on i jego bohaterzy nie pytają, ku jakiemu pożytkowi skierować ten przyrodzony nadmiar biologiczny. Młodzieńcza literatura Reymonta pokazuje, że ten nadmiar istnieje, i to dla idei utworu wystarcza, ale ponieważ dla sensu ar-

tystycznego trzeba z nim coś zrobić, więc autor kieruje zazwyczaj swoich bohaterów ku jakiejś katastrofie, ku jakiemuś krachowi życiowemu, lub pcha ich w drogę bez wyjścia (Janka w „Fermentach"). Było w tych konkluzjach może coś z nakazu ówczesnych smaków estetycznych, było coś może z prawdy stosunków estetycznych, było coś może z prawdy stosunków ówczesnych, zamykających u nas wszelaki rozpęd energji tak indywidualnej, jak i zbiorowej — ale nadewszystko bodaj w tych pesymistycznych konkluzjach działała młodość, niedojrzałość samego autora, n i e o d s z u k a n i e j e s z c z e w s o b i e s a m e g o s i e b i e. Przejściową formą do prawdziwego Reymonta staje się „Ziemia Obiecana". Tu mamy wprawdzie również pogrom ludzkich szczęść, zmiażdżenie woli, zmiałczenie zapędów; na każdym kroku widać, jak tryby i transmisje tego bawełnianego potwora, Łodzi, zjadają rasę wielkoludów; na grobach ich temperamentu, jak na kamiennym fundamencie wyrasta demoniczne laboratorjum energji, zaklęte w huk maszyn, w pomruki kotłów, w szaleńcze tempo pracy. Autor nie zdobywa się jeszcze na wyraźne powiedzenie w sobie: „mimo wszystko to wielka rzecz — ten smok i to piekło", ale między wierszami dzieła czytelnik czuje już podświadome uwielbienie dla zjawiska. Wydaje mi się, że wcale nie przypadkową jest sympatja, z jaką Reymont kreśli postać owego staruszka, zakochanego w Łodzi, patrjotę zadymionych ulic, dygocących od huku machin ścian fabrycznych, beznadziejnie monotonnego kolorytu miasta. Ta figura jest bodaj utajonym sensem powieści: trzeba coś poświęcić, by móc patrzeć na wielkość siły!

Aż wreszcie przychodzą „Chłopi".

....Chłop Reymonta jest nowy, jako podmiot literatury. Ma swoje własne oblicze, sobie tylko i autorowi za życie wdzięczne, a równocześnie w chłopie tym zeszły się poniewoli wszystkie poprzednie stadja patrzenia na lud.

Jest ten chłop pierwotnym, jak u Dygasińskiego, jest i malowniczym, nie tak jak u romantyków, ale malowniczym z obserwacji malarskiej; jest poetycznym, nie sielankowo, jak w „Wiesławie", ale poetycznym, jako idea warstwy i sentyment ziemi, którą autor „Sprawiedliwie" pokazuje jako tautologję chłopa. Nie jest potomkiem koronowanej Rzepichy, jak u księdza Jezierskiego, ale jest prawym spadkobiercą Piasta-oracza. Gdy się czyta „Chłopów", uderza ów akcent, jaki autor stawia nad tą jakąś zamierzchłą, archaiczną obyczajowością, która w rytm swój ujmuje wszystkie cnoty i wszystkie przywary chałupy. Każda czynność chłopa ma coś z obrzędu, nad każdą czujesz dłoń jakiegoś boga, g e n i i l o c i świetlic i komór, stodół i zagonów. On jeden z pośród wszystkich warstw zachował wagę ceremonjału w uczynkach powszednich, przez co jest zaiste — znowu — potomkiem Piastów.

Nie można pominąć wrażenia, że wieś w „Chłopach" przedstawiona jest w pochodzie wszystkich powszednich zajęć i zatrudnień, a mimo to chłop tej powieści staje przed nami, po zamknięciu

WŁ. ST. REYMONT

książki, jakbyśmy go nawet przy robocie oglądali w odświętnej szacie i godności. To ten piedestał epicki, o którym była mowa w rozdziałach poprzednich, ale i ta ukryta teza, którą autor chce z dzieła wydobyć.

Gdy chłop romantyków politycznych i romantyków poetyckich jest zjawiskiem stwarzanej a d h o c legendy, gdy chłop Dygasińskiego jest zjawiskiem przeszłości i teraźniejszości, — chłop Reymonta jest zjawiskiem p r z y s z ł o ś c i. Wszystkie jego zalety i wszystką jego siłę warstwową Reymont kroił na wyrost. Na początku XX-go wieku powstały utwór przedstawiał chłopa nie dokładnie takiego, jaki był przeciętnym przekrojem ludu polskiego, lecz takiego, jakim może się stać za niepodległości. W „Chłopach" ukazano p r a w d ę i m o ż l i w o ś ć. Ukazano realne zadatki przyszłego obywatela. Ten chłop zna narazie tylko ziemię i do niej przywarł doskonale zharmonizowaną sumą swojej psychiki. Jeśli układ narodowy pozwoli mu tak przekształcić tę psychikę, by nic nie uronił z jej siły, a wyszlachetnił jej wyraz — wówczas na chłopie, jak na fundamencie, budować będzie Polska swoją nowoczesność. Oto jest filozofja chłopskich powieści Reymonta.

Z „Chłopów".

Nie mogła już powstrzymać bolesnego zalewu żałości, ni łez, uciekła do krów, za przegrodę, wsparła się na żłobie i cicho chlipała, a gdy krasula poczęła sapać i lizać ją po głowie i plecach, buchnęła głośną skargą...

— I ciebie zabraknie, bydlątko, i ciebie... przyjdą tu wnet... stargują... postronek ci za rogi założą... poprowadzą... we świat cię powiedą, żywicielko nasza... w cały świat!... — szeptała, obejmując ją za szyję i tuląc rozbolałą duszę do tego stworzenia czującego. Nie powstrzymywała jęków, ni płaczu, bo wstawał w niej nagły, mocny bunt. Nie, tak być nie może dłużej, krowę sprzedadzą, jeść niema co, a on siedzi, roboty nie szuka, do młocki, choć proszą, nie idzie, a choćby i ten złoty groszy dwadzieścia zarobił na dzień, na sólby było, na okrasę, kiej już i tej kapki mleka zbraknie!

Wróciła do izby.

— Antek! — powiedziała ostro, śmiele, gotowa wszystko wypowiedzieć.

Podniósł na nią ciche, zaczerwienione oczy i tak spojrzał smutnie a żałośnie, że jej dusza struchlała, opadł ją gniew, a serce zatłukło się litością...

— Mówiłeś, by przyszli po krowę? — rzekła cicho i dziwnie miękko.

— Pewnie już idą, bo tam na drodze coś pieski jazgoczą...

— Ni, w Sikorowem obejściu naszczekują, — powiedziała, wyjrzawszy.

— Przed połedniem się obiecali, to ino ich patrzeć.

— Musimy to przedać, co?

— Jakże, grosza potrzeba, paszy też la dwóch nie starczy... musimy, Hanuś, cóż poradzę... szkoda krowy... juści... ale kto nie ma grosza, nie umacza i nosa... — mówił cicho i z taką dobrocią, że Hance stajała dusza a serce zaczęło się trzepotać radością i nadzieją; patrzyła mu w oczy jak ten pies wierny i słuchliwy, że już w tem oczymgnieniu nie żałowała krowy ni niczego. Spoglądała ino pilnie, bez udręki w tę twarz umiłowaną, a słuchała tego głosu, co jak ogień szedł przez serce i rozgrzewał ją dobrocią i rozczuleniem.

— Juści, że trzeba. Jałowica ostanie, ocieli się jako w półpoście, to się jeszcze tej kapki mleka doczekamy — powtórzyła, byle ino on mówił dalej.

— A jakby zabrakło paszy, to się dokupi.

— Owsianki chyba, bo żytniej starczy do zwiesny. Ociec, odwalcie kopczyk, trza zajrzeć, czy ziemniaki nie przewiane.

— Siedźcie, za ciężka la was robota, ja odkopię.

Podniósł się, zdjął kożuch, zabrał łopatę i wyszedł przed dom.

Śniegu było prawie równo z dachem, bo dom stał na wydmuchu, za wsią prawie, o dobrą staję od drogi, a nieosłonięty ni płotem, ni sadem; kilka dzikich, pokręconych trześni rosło przed oknami, ale tak były zasypane, że ino gałęzie wysuwały się ze śniegu, kiej te palce chorością poskręcane. Z przed okien, to tam stary jeszcze do dnia śnieg przekopał, zaś kopczyk z ziemniakami tak zawiało, że ani go było rozeznać z pod śniegów.

Antek wziął się ostro za robotę, bo śniegu było na chłopa, a chociaż świeży, uleżał się już i stężał nieco, że trza go było krajać w cegły; zapocił się też niezgorzej, nim odwalił, ochotnie jednak robił i był dobrej myśli, bo raz wraz rzucał pecyną na dzieci, baraszkujące przed progiem, ino chwilami, gdy mu się przypominały udręki dawne, mdlały mu ręce, zaprzestawał roboty, wspierał się grzbietem o ścianę i niósł oczami po świecie. Wzdychał i znowu się błąkał duszą, jak ta owca zgubiona w noc ciemną.

A dzień był chmurnawy, szarawy, a przebielone niebo wisiało nisko, śniegi rozścielały się grubym, puszystym kożuchem i leżały, jak okiem sięgnąć, modrawą i ogłuchłą, martwą równiną; mgliste i przejęte stężałemi szronami powietrze przesłaniało świat wszystek niby przędzą; że to chałupa Bylicowa była jakby na wzgórku, to wieś widniała kieby na dłoni, rzędy kopic abo i tych kretowisk śnieżnych siedziały wpodle siebie i wiedły się wydłużonym wiankiem dookoła zasypanego stawu, ani dojrzał gdzie chałupy całej, wszystkie zniknęły pod śniegiem. Kajś niekajś ino czerniały ściany stodół, kłębiły się rude torfowe dymy, to szarzały drzewiny pod śniegowemi czapami, ino głosy raźno się rozlegały w tych białościach, leciały z końca w koniec wsi, a monotonne capanie cepów dudniało głucho, jak gdyby z pod ziemi. Drogi leżały puste i zasypane, a na zaśnieżonych polach ni żywa dusza nie majaczyła nic, ino ta przeogromna pustka biała i martwa, zastygła w śniegach. Przemglone dale tak się stapiały, że ani rozeznać było nieba od ziemi, jedne lasy modrzały niecoś z bielm, jakby tam chmura wisiała.

Ale Antek niedługo się błąkał po śnieżnem pustkowiu, nawrócił znowu oczy na wieś, za ojcową chałupą gonił, nie zdążył zaś i pomyśleć, bo Hanka ano wlazła do dołu i stamtąd skrzeczała.

— Nie przemarzły! Wachnikom tak wiatry przeziębiły, że z pół dołu musieli świniami spaść, a nasze zdrowe.

— A dobrze. Wyjdź no, widzi mi się, że idą żydy! Trza krowę wywieść przed dom!

— Juści, że żydy a nie kto drugi, juści że te zapowietrzone — zawołała ze złością.

Jakoż od karczmy, przez dróżkę docna zasypaną i ledwie co poznaczoną Stachowemi trepiskami, kopało się dwóch żydów, juści, że pieski prawie z pół wsi goniły za nimi z wielką uciechą i szczekaniem, a tak zajadle dobierały się do nich, aż Antek wyszedł naprzeciw i obronił.

— Jak się macie, no? Spóźnilim się, bo takie śniegi, takie śniegi! ani przejść, ani przejechać, wiecie?

— A w boru to już szarwarkiem przekopują drogę!

Nic się nie ozwał na ich gadanie, ino do izby poprowadził, by się nieco rozgrzali.

Hanka zaś wytarła krowie ognojone boki, oddoiła mleko, co się jej tam od rana uzbierało i przewiedła przez izbę na dwór.

Krowa się opierała, szła niechętnie a przestąpiwszy próg, wyciągała gembulę, wąchała, to śnieg jęła zlizywać, aż ni stąd ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie i tak się rwała z postronka, że ledwo ją stary udzierżał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją przejął srogi i tak świdrujący; aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci, czepiając się matczynego wełniaka, uderzyły w krzyk i lament. Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiekł, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zleciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlarze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron.

Juści, że Antkom zrobiło się w sercach kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydlątka, co próżno się targało na uwięzi, darmo wykręcało do gospodarzy wybałuszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało głucho.

— Jezu!... Natom cię krówko pasła, natom zabiegała, natom starunek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli... na zatracenie... — lamentowała Hanka, tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły.

Ale po próżnicy lamenty a płacze, nadarmo, bo musu człowiecze nie przeprzesz, doli nie przemożesz, ni tego, co być ma...

— Co chcecie? — spytał wreszcie starszy, siwy żyd.

— Trzysta złotych.

— Trzysta złotych, za tę chabaninę! Wy Antoni chory jesteście, czy co?

— Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Widzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna — wrzeszczała Hanka.

— Sza... sza... w handlu gniewu niema o to słowo... bierzecie trzydzieści rubli?

— Powiedziałem swoje!

— I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no, trzydzieści jeden i pół... no, trzydzieści dwa — dajcie rękę... no, trzydzieści dwa i pół... zgoda!

— Rzekłem.

— Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! — powiedział flegmatycznie młodszy i oglądał się za swoim kijem, a starszy zapinał chałat.

— Za telachną krowę... adyć bójcie się Boga ludzie... krowa kiej obora, sama skóra warta z dziesięć rubli... za telachną krowę... oszukańce, Chrystobije... — jąkał stary, oklepując krowę, jeno, że nikto nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi. Antek też stał twardo przy swojem, opuścił coś niecoś, ale niewiela, bo po prawdzie krowa była dużo warta, i żeby tak na zwiesne i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli jak nic. Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie — żydy dobrze o tem wiedziały i chocia wrzeszczeli coraz głośniej i coraz zapalczywiej bili w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po półrublu...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała zpowrotem do zagrody i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaży poniechać, ale kupcy wrócili i jak zaczęli krzyczeć, handryczyć a przysięgać, że więcej dać nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować, tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la Bylicy.

Wypłacili zaraz, na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karczmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadziła krasulę aż do drogi, a co trochę to ją gladziła po gembuli, to pokładała się na niej a oderwać się nie mogła od bydlątka ni przyciszyć frasunku i żałości...

Jeszcze na drodze przystanęła patrzeć za nią i pomstować z całej duszy na tych żółtków niechrzczonych!

Tylą krowę stracić, to i nie dziwota, że kobiecie zagrała wątroba pomstą.

Z „Insurekcji".

Naczelnik spojrzał na zegarek; było już dobrze po szóstej. Wieczór się zbliżał. Słońce leciało na dół. Góry i lasy kładły długie cienie. Rosa pokrywała ziemię i pociągał chłód. Dymy, wiszące nad polami modrawe, poszarpane przędzą, kolebały się od grzmotów.

Ognie strzałów błyskały coraz wyraźniej i bitwa srożyła się z coraz większą gwałtownością. Nieustannie trzeszczące salwy karabinów ledwie się dały zauważyć przy huku dział. Ciężkie baterje ryczały głosami, od których wszystko dygotało, a drzewa

przyginały się do ziemi. Co chwila jęk rozdzierał powietrze i buchał hukiem piorunu. Z przeszywającym wizgiem leciały granaty i, pękając, dawały obraz garści rozżarzonych węgli, ciskanych na szeregi. W przedwieczornej cichości te dzikie wrzawy bitwy nabrzmiewały głosami huraganów. Niekiedy wydobywał się ponad wszystko świst, chichoty i nieludzkie wycia, jakby tysiąca oszalałych djabłów: to kozacy rzucali się do boju. Zasię chwilami spływała ze wzgórz ku zorzom wieczornym bijąca pieśń szeroka, smutna, rozkołysana tęsknym poszumem borów, oddających rozełkanemi echami. To śpiewały moskiewskie piechoty, następujące ścieśnionemi kolumnami.

Bataljony Wodzickiego, pchnięte naprzeciw, odpowiadały siarczystemi przyśpiewkami, jakoby obertasowych hołubców trzaskaniem przeplecionem żałosnem zawodzeniem lub osmęconą, rzewną nutą, i wraz do wtóru rypiącym gwałtownie tarabanom uderzały zapamiętale na bagnety. Rzucali się w pląsach, obrotach i podrygach, jakoby w taniec. Śpiewy gasły w potokach krwi. Rwali się do siebie z zajadłością wygłodniałych wilków. Buchały przeraźliwe krzyki, jęki, klątwy. Człowiek polował na człowieka. Pierś uderzała o pierś. Zgrzytały żelaza. Wolność potykała się z ciemięstwem, żołnierz świętej sprawy z niewolnikiem. Łamały się szeregi. Każdy uderzał na upatrzonego. Każdy, by nie być zabitym — zabijał. Tworzyły się okropne kłębowiska, w których jeno dojrzał okrwawione bagnety i szable, nieprzytomne twarze i oczy oszalałe. Powietrze wrzało rozjuszonym wrzaskiem. Bito się na wszystkie sposoby. Śmiertelnie splątane wiry przewalały się po pobojowisku. Krew bluzgała pod nogami. Ludzie padali ciężko, jak podcięte drzewa. Raz po raz ryki bolów tryskały, jakby fontannami krwi. Nierzadko zapaśnicy walili się na ziemię i, tarzając się w zaciekłej walce i własnej krwi, marli, zatratowani przez swoich i wrogów.

Gorącość bitwy nie pozwalała brać niewolnika. Mordowano się bez pardonu i miłosierdzia. W straszliwych tumultach, gdzie już nie było miejsca na broń, chwytano się za gardło, za łby, za włosy i prano o ziemię, duszono, rwano pazurami. Walczono na bagnety, na szable, na kolby, na noże i na pięście, a w potrzebie i zęby umiały zadawać rany i śmiercie. Bito się do ostatniego tchu. Bataljony Wodzickiego walczyły z takiem męstwem i niepowstrzymaną furją, że nieprzyjaciel, zdziesiątkowany i rozbity,

szukał ratunku w bezładnem cofaniu się wtył. Wtedy bębny gwałtownie nakazały zwycięzcom powrót i drugie linje, zakrywając ich sobą, występowały na front szturmowym krokiem, z bronią do strzału.

— Plutonami ogień! Pierwszy pluton zaczynaj! Tuj, cel, pal! Nabijaj! — podnosiły się twarde, miarowe komendy i na zbroczone i stratowane pola, pełne trupów, konających, porzuconych rynsztunków, okrwawionych szmat i tlejących się pakuł od przybitek, występowały nowe szeregi. Rozpoczynała się bitwa ogniowa. Salwy trzeszczały za salwami, dymy znowu zasnuwały pobojowisko, huki armat wstrząsały ziemią, błyskawice strzałów ślepiły, a śmierć ciągnęła dalej swoją nieubłaganą kośbę. Napierały ze wszystkich stron piechoty, uderzały jazdy i grzmiały wszelkie kalibry dział. Moskale całą przewagą swojej liczby i artylerji znowu próbowali przełamać i zgnieść polskie szeregi. Trzymały się jednak niepokonanie, niezachwianie, utrzymując szyk i porządek.

— Tuj, cel, pal! Nabijaj! Tuj, cel, pal! Nabijaj! — rozlegały się jednako czujne komendy.

Niekiedy, gdy wojska pod osłoną dymów zbliska na siebie nacierały i ogień stawał się rzęsistszy, a gęściej wywracali się żołnierze, te same głosy rozkazywały:

— Otwórz szeregi! Rannych i zabitych za front! Zamknij! Ścieśnij się! Tuj, cel, pal! Nabijaj!

I tak szło wkółko na całem polu walki, jakby w straszliwym kieracie.

Na wielkiej baterji sześciodziałowej, usypanej na węgle pomiędzy centrum a skrzydłem Zajączka, dobrze umocnionej szańczykami, panował taki sam spokój i porządek.

Kapitan Laskowski sam rychtował działa i znaczył stopień odległości, a po każdym wystrzale kazał naprowadzać armaty na miejsca, przez co baterja nie zmarnowała ani jednego pocisku, zadając ciężkie straty nieprzyjacielowi.

— Pierwsze działo od lewego pal! Nabijaj! Drugie działo pal! Nabijaj! — wołał przeciągle tubalnym głosem, sprawdzając co trochę wiatr i gdy zawiewał z prawej strony, armaty zaczynały grać z lewej półbaterji, żeby dym nie zasłaniał.

— Huncwoty, huczą i grzmią jak na odpuście. Myślą, że nas tem, jak Turków, wystraszą! — odezwał się wzgardliwie na straszliwy ryk moskiewskich bateryj. Naczelnik stał przy nim.

— Nasze szczęście, mają kiepskich kanonierów. Poniesła jakie straty baterja?

— Dwa konie zabite, trzech gemeinów rannych i wóz kowalski zdruzgotany. Można wytrzymać!

— Ale jak długo? — rzucił, nasłuchując wściekłych kanonad ciężkiej artylerji.

— Mam jeszcze po pięćdziesiąt pełnych strzałów na działo, nie licząc kartaczów.

W tej chwili zjawił się konny z raportem od Kaczanowskiego.

Naczelnik, przeczytawszy doniesienie, pchnął z rozkazami Fiszera do Zajączka, Biegańskiego do Madalińskiego i, poszeptawszy coś Laskowskiemu, skinął na swoich wolonterów.

Popędzili galopem głęboką drogą ku Janowiczkom. Las, schodzący na dół, wnet ich osłonił od strzałów. Mroczno było w parowie, drzewa dygotały od grzmotów. Wąski pas nieba nad głowami znaczył kamienistą i błotną drogę. Naczelnik tak popędzał konia, że w kilkanaście minut pokazywały się pola. Na brzegu lasu, dobrze jednak ukryte w gąszczach, już czekały wybrane kompanje kosynierów ze Ślaskim na czele. Przeszło trzystu chłopa, co najwyborniej egzercyrowanego w wojskowych obrotach, stało w cieniu drzew, podobnych do smukłych a potężnych pni. Obok uformował się oddział Kaczanowskiego.

Naczelnik, nakazawszy najgłębsze milczenie, posunął się na sam skraj lasu. Na obszernem polu, zbiegającem ku dworowi w Janowiczkach, widniały moskiewskie wojska, wyciągnięte w pochodową kolumnę. Szły jakby od Racławic i w najzupełniejszej cichości, bez zwykłych trąbień, bębnów i wrzawy. Na czele poruszało się kilka ciężkich bateryj, dobrze okrytych piechotą i chmarami jazdy. Łatwo można było odgadnąć, że biorą dyrekcję ku wschodowi, właśnie na skrzydło Madalińskiego. Cios był obmyślany doskonale: zgnieść słaby flank i runąć przeważającemi siłami na tyły Zajączka! Taki plan obiecywał niechybny skutek: klęskę Polaków. Los jednak zdarzył inaczej.

Naczelnik, przejrzawszy sytuację miejsca, rzekł do Kczewskiego prędko:

— Wszystko teraz zależy od niespodziewanego i mocnego uderzenia w bok tej kolumny.

Spokojnym się wydawał, ale przy wydawaniu rozkazów głos mu się łamał.

— Kaczanowski, awansuj Waszmość na środek, ja uderzę z chłopami od czoła. Tylko nie bawić się strzelaniną! Na polu biegiem i odrazu brać na kosy i bagnety! Pułkowniku — zwrócił się do Kczewskiego — ubezpiecz resztą kosynierów nasze tyły i dziemierzycki parów. Górski, zasłonisz z wolonterami prawy bok od jakowejś niespodzianki.

— Obywatelu-Generale! — wystąpił Zaręba — pozwól mi wziąć udział w tej akcji, jako prostemu żołnierzowi. Pragnę pod twojem okiem walczyć, a choćby i zginąć.

— Rób, co uważasz. Mości panowie, pamiętajcie: wroga trzeba bić, jeszcze raz bić i pobić!

Spojrzał po szeregach i, wydobywszy szablę, zawołał donośnie:

— Naprzód w imię Boga! Podwójny krok! Marsz! — Nacisnął konia i pojechał przed frontem.

Chłopi ruszyli z miejsca jak jeden, przesuwając się między drzewami jakimś przyczajonym, wilczym krokiem. Ślaski prowadził czołową kompanję, mając pod ręką Bartosza. Zaręba stanął przy nim z wydobytą szablą. Przy drugiej szedł Bujak. Trzecią wiódł porucznik Munkiewicz. Maszerowali w uroczystem skupieniu, w mrokach dziwnie świeciły im oczy, z warg płynęły gorące, porwane szepty pacierzów; febra trzęsła niejednym.

Nagle las się urwał i jasny dzień uderzył w oczy. Zawahali się na mgnienie. O jakieś sto kilkadziesiąt kroków przed nimi wyrosła moskiewska kolumna, płynąca wielkiem półkolem ku Wrocimowicom, niby wezbrana groźnie rzeka.

— Kosy do ataku! Za wolność i ojczyznę! Naprzód, chłopy! — zagrzmiał głos Naczelnika.

Wraz załomotały wszystkie bębny i biły przyspieszonem tempem do ataku.

Porwali się, jak burza, z okropną wrzawą i krzykiem. Gwałt powstał w kolumnie. Zagrały spiesznie trąby i bębny. Gorączkowo odprzodkowywano armaty. W zamieszaniu rozpoczęli bezładną strzelaninę.

— Biegiem! Biegiem! Biegiem! — krzyczeli coraz szybciej oficjerowie.

Nagły huk wstrząsnął powietrzem, kartacze chlusnęły warem ognia i żelaza.

— Jezu! — ktoś jęknął, ktoś się zwalił, a reszta pędziła, groźna, rozjuszona, niepowstrzymana.

Jeszcze nie dobiegli, gdy kartacze znowu rzygnęły im prawie w same twarze.

— Bij w nich! Jezusie, Maryjo! Bij, kto w Boga wierzy! Za mną! — ryknął Bartosz, rzucając się z kosą na asekurację dział i tnąc straszliwie. Chłopy spięły się za nim, jakby tabun dzikich koni, kosy wzniosły się wstęgą błyskawic i spadły piorunami. Runęli, jak orkan, druzgocąc wszystkie przeszkody. Zawyła dzika zawierucha! Prali jakoby cepami, jeno nie ziarno tryskało z pod tej młocki, ale krew z ran okropnych, odwalone łby, obcięte ręce, krwawe strzępy ciał. Bartosz prowadził, niby zjurzony odyniec, a za nim, jako potężne warchlaki, szły rozsrożone kumy, tnąc straszliwemi kłami na śmierć.

Bartosz pierwszy rzucił się na armaty, kanonierów pogromił, roztlały już zapał przydusił czapą i wyrwał, jak żądło, a skoczywszy okrakiem na zdobyczne działo, zakrzyczał:

— Moja harmata! Moja, psiakrew! — I kto się zbliżył, marł pod ciosami jego kosy.

Kum Świstacki zdobył drugą. Bujak wziął trzecią, lecz pozostał na niej przewieszony i podarty, jak szmaty, bagnetami. Ale wtedy, jak przez wyłom w pękniętej tamie, chlusnęła spiętrzona fala chłopów na połamane szeregi Moskalów. Rozpoczęła się rzeź, urągająca wszelkim wyobrażeniom. Nieludzki ryk wydzierał się raz po raz. Siekli, jakby gęsty i zwarty łan, do czysta. Siekli bez miłosierdzia. Co chwila zrywała się chmura migotów i co chwila okropny krzyk bił w niebo. Kto żebrał p a r d o n u — marł, nie wymówiwszy jeszcze tego słowa. Kto się próbował bronić — padał, jak zrąbane drzewo. Jakaś rota, przywiedziona do rozpaczy, próbowała ich powstrzymać bagnetami. Hej, nie przeszło i Zdrowaś, a już leżała pokotem, poćwiertowana, jak woły. Kozacy próbowali stawić czoło. Luty wicher tak nie rwie, nie łamie drzew, nie roznosi liści, jak prędko rozsypali się krwawą sieczką pociętych ciał. Walili zwartą ławą, zmiatając kosami, co się tylko dało.

Kaczanowski ze swojemi kompanjami dokazywał nie mniejszych przewag, wgryzając się w nieprzyjacielskie boki, jakoby żelaznemi kłami. Porwany bojową furją, walczył, nie szczędząc własnych sił, zaś jego chorąży, Krzysztof Dębowski, zuchwały młodzik o niepohamowanej waleczności, prawie sam jeden zdobył baterję dział ze wszystkiemi zaprzęgami i amunicją. Dokonał tego

na oczach Naczelnika i, upojony zwycięstwem, szalał, bijąc w nieprzyjaciół, niby grom, roznoszący śmierć i przerażenie.

Kolumna pod takiemi ciosami jęła się gwałtownie miotać, niby przydeptana żmija, nadarmo usiłując się sprężyć i rozwinąć. Sytuacja miejsca już nie pozwalała na odzyskanie przewagi, nie dopuszczała nawet zebrania myśli. Naczelnik bowiem czuwał nieubłaganie, prowadząc atak za atakiem.

— Za wolność! Za całość! Za niepodległość! Naprzód! — grzmiał, nie pozwalając im na oprzytomnienie.

Moskale, ogarniani potężnie od czoła, szarpani coraz zajadlej z całego boku, spychani na kupę, splątani, gęsto znacząc pole trupami i rannymi, zaczynali się już na wszystkie strony wyginać, chwiać i kolebać.

Naraz, Zaręba dojrzał, że ostatnia baterja, jaka im jeszcze pozostała, i to najcięższego kalibru dział, próbuje się wydobyć z ciżby, że już zaprzęgi, prane batami, ruszają z miejsca. Jeszcze chwila, wydostanie się na wolniejszy plac, otworzy ogień i wszystko stracone! Włosy mu powstały na głowie i błyskawicowo zmierzył całą przepaść niebezpieczeństwa.

— Za mną, chłopy! Kosy do ataku! Biegiem! Biegiem! — zakrzyczał, rzucając się naprzód.

Zagrodził mu nagle drogę płot bagnetów, kozackich spis, wycierów, a nawet i drągów.

Sto ciosów zagroziło śmiałkom! Skoczył pierwszy, chłopi runęli za nim niepowstrzymaną nawałnicą. Zarębie w pierwszem starciu rozleciała się szabla, wyrwał któremuś kosę i cisnął się wściekłym rzutem na całą kupę. W mgnieniu oka uformowała się zawierucha, opętańczo rycząca, pokryta kurzawą i tryskająca potokami krwi.

Ale chłopi przemogli, rozgromili, wycięli co do jednego i, zdobywszy armaty, rwali się naprzód z niemałym wrzaskiem zwycięstwa. Zaręba prowadził, a groźny wojennem wyćwiczeniem, męstwem i zimnem objęciem sytuacji, mnożył uderzenia, rozbijał kupę po kupie i tak szybko a uporczywie następował, że czoło kolumny rozprysło się pod uderzeniami chłopskich pięści, jakoby krucha szklana zastawa. Świst kos, straszliwa siła ciosów, od których rozłupywali się ludzie, jak szczapy, przejmowały Moskalów taką zgrozą i strachem, że widząc niechybną śmierć, uciekali, ciskając broń i co im przeszkadzało.

Naczelnik w jakiejś chwili przywołał Zarębę.

Stawił się cały we krwi, w podartej kurcie, ledwie dyszący, ale upojony niezmierną radością.

— Widziałem, coś dokonał. Ojczyzna ci tego nie zapomni — uściskał go czule.

— Moja powinność — ledwie wyszeptał z utrudzenia — zasługa to kosynierów, Obywatelu-Generale!

— Zasłużyli się ojczyźnie ponad spodziewanie. Ale to potem. Bierz konia i pędź z rozkazem do Zajączka! Powiedz, co się tu dzieje. Ma wszystkiemi siłami atakować, całą forsą.

Porzucił go, pędząc do walczących. A już zarówno żołnierze Kaczanowskiego, jak i kosynierzy, zdawali się być wściekli; pijani walką i własną mocą, oszaleli, często bez czap, a nawet i bez kurt i kapot, zjuszeni krwią własną i nieprzyjaciół, straszliwie się zwijali przy tem okropnem żniwie. Chłopi wyrąbywali ten człowieczy bór z nieopisaną furją, a bór z jękiem żałosnym walił się pokotem, wył miłosierdzia i litości. Nie przepuszczali nikomu. I, krzykając junacko, niekiedy z dzikim śmiechem rąbali, jakby na wyprzódki, któren prędzej, któren mocniej, któren więcej.

Kiedy Zaręba ruszył do Zajączka, kolumna była już przełamana, rozbita i uciekała na wszystkie strony świata w panicznym popłochu.

W dogasającym dniu, w modrawym zmierzchu i cichości, jaka świat ogarnia wraz z następującą nocą, tragicznie brzmiały krzyki rozpaczy, jęki rannych i konających. Docinano broniących się jeszcze tu i owdzie. Jakiś oddział jazdy, osłaniający sztabowe powozy, torował sobie drogę pałaszami, ogromna żółta chorągiew z czarnym orłem powiewała nad nimi. I już się wymykali, kiedy pod kaplicą, naprzeciw dworu w Janowiczkach, spadł im na karki Górski z wolonterami, rozbił w mgnieniu oka, powozy zagarnął, sztandar wydarł i, wziąwszy na szable, pognał bez pamięci aż na błotne łąki Racławic. Co nie padło od miecza, potopiło się w bagniskach. I gdzie jeno się obrócił, mógł już dojrzeć sromotnie pierzchających. Wielu spróbowało schronienia w lesie, na dół schodzącym; tych Kczewski przywitał kosami, a przyczajeni tyraljerzy pożegnali celnym ogniem, że z krzykiem rozpaczy uciekali, gdzie ich oczy poniosły. Prędki zmierzch, a głównie rozkaz, wzbraniający pogoni, salwował resztki rozbitej kolumny.

Bitwa skończyła się równo ze dniem. Jeszcze na lewem skrzydle Zajączek gromił, aż trzęsła się ziemia od huków, wrzasku i tętentów, a już trąby uderzyły zwycięską fanfarą. Zagrały ka-

pelc. Tarabany jęły bić triumfalnym marszem i ze wszystkich stron tryskały w niebo krzyki radości!

Owo po skończonej walce Zajączka, w której Pustowałow poległ, a jego korpusy w szybkiej rejteradzie szukały ocalenia, zwycięskie wojska zaczęły ściągać na punkt wyznaczony.

Naczelnik stał konno na wzniesieniu, cały w łunach pochodni i ognisk, jakoby w złocistych glorjach, zdaleka widny wszystkim oczom. Pokazywał się tak rozjaśniony radością i strzelisty, niby pacierz dziękczynny za ten szczęśliwy dzień dla ojczyzny.

Wojska ściągały zwolna z szumem niemałym i gwarem; niektórzy ze śpiewem, podobnym do szczęku rąbiących mieczów; niektórzy z hulaszczą, pijaną piosneczką; niektórzy zaś z czapkami w rękach pobożnemi głosy czcili miłosierdzie Pańskie.

Wracały uznojone piechoty, całe w plejzerach, krwawych szmatach, poczerniałe od dymów a świecące upojonemi oczami; powracały groźne jazdy w poszumie proporców; wracały baterje w bojowym porządku, z zapalonemi lontami. Wszystkie wojska, defilując przed Naczelnikiem, składały wraz trofea, zdobyte na nieprzyjacielu. Spiętrzały się stosy broni i wszelakiego rynsztunku. Oddawano pozdzierane ordery. Zatykano w ziemię oznaki rot i batalionów. Prowadzono jeńców; niewielu ich było, ponieważ zaciekłość walki nie pozwalała brać niewolnika. Górski stawił się ze zdobytym sztandarem. Naczelnik zgromił go za to, że, wbrew zakazowi, poważył się ścigać uciekających; na zakończenie dostał jednak pochwałę za męstwo. Defilada zajęła sporo czasu, gdyż Naczelnik oddawał sprawiedliwość każdej zasłudze. W obliczu wojsk ucałował czule Zajączka, Madalińskiego, Mangeta, Lukkę i Kaczanowskiego, nie pomijając nawet niższych szarż.

Na ostatku, z przyczyny dalszej drogi, nadciągnęli kosynierzy. Już zdala niosły się pogwary, śmiechy i pokrzyki jakby powracających z jarmarku. Wiedli ze sobą dwanaście zdobytych armat. Groźne, śpiżowe paszcze, obficie zlane krwią, pokornie przyległy u stóp Wodza. Chłopska wiara stanęła półkolem, chorągiew z orłem i snopami dumnie powiewała.

Naczelnik, podjechawszy przed front, wzruszonym głosem zawołał:

— Chłopi! Swojem męstwem w znacznej mierze przyczyniliście się do zwycięstwa! Dziękuję wam imieniem Polski. Krwią za nią wylaną podpisaliście swoją wolność. Świadczę, jako wolni

jesteście i równi każdemu. A czego dokonaliście, zachowa wdzięczna potomność! Zaś ciebie, Bartoszu, od dzisiaj Wojciechu Głowacki, placuję chorążym przyszłych grenadjerów krakowskich. Daj mi swoją kapotę, Mości Głowacki: będę ją nosił do końca wojny, jako znak poważania i miłości dla nowych obywatelów Rzeczypospolitej!

— Niech żyje Naczelnik! Wiwat naród! Wiwat wolność! — zerwały się huragany uniesień i wraz z wieścią o zwycięstwie leciały po wszystkiej Polsce echami wstającej wolności.

. . . . . .

JÓZEF WEYSSENHOFF

(* 8. IV. 1860 na Podlasiu).

Wydał: „Z Grecji“ 1894. „Zaręczyny Jana Bełskiego“ 1894. „Za błękitami“ 1894. „Żywot i myśli Zygm. Podfilipskiego“ 1898. „Sprawa Dołęgi“ 1902. „Syn marnotrawny“ 1904. „Dni polityczne“, I „Narodziny działacza“ 1905, II „W ogniu“ 1905. „Litwa“ 1905. „Unja“ 1910. „Hetmani“ 1911. „Soból i panna“ 1911. „Erotyki“ 1911. „Gromada“ 1913. „Znaj Pana“ 1913. „Puszcza“, „Nowele“, „Cudno i ziemia cudeńska“ 1921.

WŁ. JABŁONOWSKI O J. WEYSSENHOFFIE.

Władysław Jabłonowski, * 22 września 1866 r., w Popieluchach na Podolu. W oddzielnych wydaniach ogłosił: „W zatoce śmierci“ (nowele), 1899. „Chwila obecna“ 1900. „Emil Zola“ (studjum), 1902. „Wśród obcych“ (Szkice literackie), 1905. „Dwaj wielcy patrjoci włoscy“ (Mazzini i Garibaldi), 1906, „Rozprawy i wrażenia literackie“ 1908. „Dookoła Sfinksa“ (Rzecz o psychice i dążeniach narodu rosyjskiego), 1910. „Dwie kultury“ 1913. „O roli uczucia w życiu duchowem Słowackiego“ 1916. (Rozprawy Tow. Naukowego War.); „Dusza poety“ (Rzecz o J. Słowackim) 1900. „U źródeł ducha nowożytnego“ (Leonardo da Vinci) 1916. „Z ojczyzny Danta“ 1921.

....Weyssenhoff jest rzadkim w beletrystyce naszej autorem, który z całą świadomością rzeczy rozwiewa i obraca wniwecz wszelkie fałszywe legendy, przesądy i mniemania, jakie się ustaliły tu i ówdzie, o wyższych sferach naszego społeczeństwa — niszczy te uroki i magiczne wpływy, jakie na niejednego stamtąd idą.

Gdyby tej roli podjął się kto inny, nie należący do owych sfer, toby mu odmawiano kwalifikacji potemu, malowidłom jego zarzucanoby przesadę, albo wręcz nieprawdę, wreszcie ich dosadność tłumaczonoby sobie wyłącznością kastową, demagogją, głuchą urazą itp.

Autor „Żywota i Myśli Zygmunta Podfilipskiego“ i „Sprawy Dołęgi“ zarzutów podobnych nie ściągnie na siebie, gdyż odtwarza życie tych sfer, z których wyszedł — wierzą więc mu ludzie więcej

niż komu innemu, ufają, pomimo bezwzględności jego opinij i stanowczości oświetleń.

Z „Żywota i Myśli Zygmunta Podfilipskiego“, od wtajemniczonego we wszystko autora, dowiedział się czytelnik, że tak zwane „towarzystwo“ warszawskie nie jest ani arystokracją rodową — z wyłączeniem paru rodzin — ani tem bardziej arystokracją inteligencji, pracy społecznej, zasługi; że nawet nie jest stowarzyszeniem w celach zabawy, a tylko mechanicznem skupieniem wielu jednostek, z których każda jest pospolitym numerem w ogólnym spisie ludności m. Warszawy. Numery te nadto nie są skupione w imię czegokolwiek bądź, nie mają ze sobą nic wspólnego, jak tylko plotkę i krój fraka, razem więc są niczem.

Ktoś np., sądząc z oszałamiających pozorów, mógł wyrobić sobie pojęcie o życiu tej sfery, jakoby jest feerją, olśniewającym korowodem nieprzymuszonych uciech i zabaw. Na to mu Weyssenhoff powie: kłamstwo! tam życie całe jest marne, trwożliwe, rządzone dwulicową cnotą i zgryźliwemi zasadami; tam ludzie noszą grzech w sobie, a duszą się w kleszczach konwenansów i formułek bezdusznych. Powie mu następnie Weyssenhoff, że w świecie niema prawdziwych zabaw, a tylko liche współzawodnictwa o pierwsze miejsce; niema prawdziwego miłosierdzia, jeno „wesołe pogaństwo“, przykryte płaszczykiem spłowiałych frazesów; że tam panowie nie są naprawdę panami, a kobiety naprawdę kobietami. Słowem: — rozpacz! Wszelkie złudzenia, rozpędy i żywione skrycie zachwyty unicestwia nieubłagany znawca. W powieści swojej „Sprawa Dołęgi“ prowadzi Weyssenhoff dalej dzieło zniszczenia.

Tylko tu nie chodzi już o sposoby i formy używania, o cnotę kobiet i brak wysokiego stylu w zabawach i roztargnieniach towarzyskich, lecz o rzeczy o wiele ważniejsze: — o umiejętność pracy społecznej tzw. sfer wyższych, o zrozumienie potrzeb ogółu i gotowość szczerego służenia mu, o produkcyjność słowem tych sfer.

W „Panu Podfilipskim“ autor podaje w wątpliwość uzdolnienie swojej sfery do tego wszystkiego, w „Sprawie Dołęgi“, z właściwą sobie stanowczością, powiada o ludziach należących do niej. „Są więc jak ta woda stojąca. Popchniesz ją — rozleje się; chcesz ją zapalić? — mokra; użyć do obracania młynów? — nie płynie. A zalewa jednak ogromną przestrzeń kraju i gdzie nie pleśnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzajne pola“.

A więc znowu beznadziejna charakterystyka, uderzająca w sam mlecz życia sfer „wyższych“. Znowu jedna legenda zniweczona, jeden urok rozwiany. Tę metaforę „wody stojącej“ popiera autor fabułą powieści swojej.

Był pewien sentymentalny pozytywista, inżynier Jan Dołęga, który pomimo to, że odebrał ultra-realne wychowanie, miał skłonność do złudzeń romantycznych i bardzo ciepłych wzruszeń. Gorące serce pobudza go do pracy dla dobra kraju, romantyzm — wypełnia go złudną nadzieją, że w tem zechcą mu dopomóc jednost-

ki, należące do wpływowych sfer arystokratycznych. Dołęga opracowywa projekt sieci dróg bitych, któremi radby podnieść ekonomicznie i kulturalnie ziemię ojczystą. Starania o zatwierdzenie projektu swego powierza paru hrabiom i księciom, z którymi łączyła go bliższa znajomość.

Książęta i hrabiowie podejmują się wyrobienia koncesji na szosy, jadą nawet w tym celu do stolicy, robią tam pewne kroki w tej sprawie, rzecz się jednak cała kończy jej zabagnieniem, gdyż delegaci doszli do przekonania, że nie należy wyrywać się z inicjatywą prywatną.

Dołęga wkłada serce swoje, wiarę mocną w konieczność wysiłków zbiorowych dla dobra ogółu, ochotę i zdolność do pracy, przedstawiciele sfer wyższych natomiast — tylko kilka pustych frazesów na temat „wielkich planów i interesów praktycznych“ i sporo pretensyj do „przodownictwa moralnego“.

Dołęga przejęty jest doniosłością swego projektu i pragnie gorąco go wykonać. Rzeczy pewnych, z których zdaje sobie dokładnie sprawę, rzeczy wreszcie wykołysanych oddawna w duszy swojej, nie może poświęcać rzeczom niepewnym, zamiarom mglistym, które nie potrafią zadośćuczynić jego potrzebie, natychmiastowej pracy dla dobra ogólnego.

Przedstawiciele sfer „wyższych“ innego są zdania. Nie pojmują uporu Dołęgi, gdyż ich chęć czynu nie pali, radzi więc odwołują się do niewyraźności „wielkich planów i interesów praktycznych“, pozbawionych zarysów konkretnych, bo wszelkie podobne bałamuctwa dogadzają ich gnuśnym, bezkrwistym duszom, zdejmują z nich obowiązek wysiłku i pracy społecznej. Oni zresztą mają swoje daleko sięgające „kombinacje“, oni są zawsze „najlepiej poinformowani“ o „ważnych decyzjach“, dotyczących przyszłości kraju, nic więc dziwnego, że ufni w swoją ministerjalną zdolność przenikania „opinij ogólniejszych“, wolą nie wyrywać się z inicjatywą prywatną i zdala się trzymać od tego, co w swoim enigmatycznym żargonie nazywają „cząstką wielkich planów“.

Są więc jak ta woda stojąca, co zalewa ogromną przestrzeń kraju i gdzie nie pleśnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzajne pola... Są jak ta woda, dlatego, że w duszy ich nie przebiegają żywsze prądy, usuwające z niej pleśń odwieczną, to co obraca ich w pospolite numery w ogólnym spisie ludności, albo w anachronizmy, urągające zasadniczym potrzebom życia i rozwijającym się wciąż dziejom społeczeństwa.

Niepospolitą galerję podobnych „numerów“ i anachronizmów zawiera powieść Weyssenhoffa. Na ich czele stoi hr. Karol Zbązki, uosabiający tę typową, śmiechu wartą, „ministerjalność sfer wyższych“, która potrafi zawsze najrealniejsze interesy zamienić na plewy nic nie mówiących przyrzeczeń, frazesów gołosłownych. Jest to uroczyście pontyfikująca mumja, która z nałogu i z przekonania wygłasza najhumorystyczniejsze brednie, w których najbliższe otoczenie wynajduje skarby mądrości, właściwej wielkim mę-

żom stanu, opatrznościowe rady i przestrogi dla zagrożonej wciąż nawy społecznej.

Postać nieco karykaturalna, ponieważ jednak uroszczenia arystokracji do „przodownictwa moralnego“ są farsą wierutną, rodzajem sportu, w którym dusza udziału nie bierze, sportu, wyrażającego się zapomocą czczych formułek, zdawkowych deklamacyj i wogóle jakiegoś namaszczonego kuglarstwa, Zbązki charakteryzuje dobrze typową stronę tego przeżytego ceremonjału.

Dalej mamy rodzinę książąt Zbarazkich, złożoną z księcia Janusza, dobrodusznego i nieszkodliwego, chociaż ograniczonego feudała, z księżnej, jego żony, przesadnej i wyniosłej damy, żyjącej — jak powiada autor — „dla idei“, dla wyrobienia sobie opinji kobiety rzadkiej, subtelnej, niewypowiedzianej; wkońcu z ich dzieci: księcia Andrzeja, dorodnego efeba, łączącego petronjuszowską świadomość nędzy bytu własnego i sfery swojej, z fatalizmem epikurejskim i, często odzywającą się, niewymuszoną dobrocią serca — i księżniczki Halszki, niezwykle bujnej istoty, drgającej szczerością i bezpośredniością uczuć.

Prócz tego kilka jeszcze doskonałych postaci, uzupełniających mozaikę tzw. „towarzystwa“, są niemi: hrabia Szafraniec, poziomy dusigrosz, baron Kersten, wyborny okaz pasorzyta klubowego, dusza wyprana z wszelkich pierwiastków szlachetnych, wreszcie panowie Zawiejscy (ojciec i syn), para dorobkiewiczów, „plus catolique que le Pape même“, gdy chodzi o apoteozę arystokracji, przepełniona komiczną wdzięcznością dla sfery, która raczyła ich — ostatnich przybyszów — przytulić do swego łona.

Wszyscy oni należą do jednego obozu, skupili się, gdyż każdy ma w tem interes osobisty, nic ich wszakże nie obchodzi to, w jakim celu się skupili i dokąd mają dążyć.

Skąpy Szafraniec, ograniczony książę Janusz, arcykapłańsko usposobiony Zbązki i t. p. mają sobie podobnych w innych sferach, w innych stanach i grupach ludzkich, — różnią się oni wszakże od swoich odpowiedników z innych sfer społecznych sposobem istnienia, tem, że poruszają się własnym ciężarem, że żyją inercją i odruchowem odwoływaniem się do zwietrzałych zasad, które im służą tylko do przeciwstawienia się innym, do celów dekoracyjnych. Wysiłkiem indywidualnym, treścią wewnętrzną, nie zaczerpniętą z przekazanych tradycyj, komunałów i wszelkiego rodzaju przepisów obowiązujących w sferze, żyje właściwie jedna tylko istota — Halszka, a poczęści i Andrzej Zbarazki. Pierwsza zdobywa się na czyny (wizyta u Dołęgi, poczucie krzywdy mu wyrządzonej i chęć dzielenia jego losów), które świadczą o jej zdolności do życia nie podług kodeksów, opracowanych przez sferę własną, lecz podług najbardziej samorzutnych instynktów natury niezniekształconej niemi, zgodnie z najszlachetniejszemi pobudkami serca; drugi — daje dowody niezależności ducha, obracając wniwecz przenikliwem rozumowaniem wszystkie konwencjonalne kłamstwa i przeżyte zasady, któremi się rządzi jego otoczenie.

Autor patrzy na te dwie postacie z jakiemś ukrytem rozrzewnieniem, usprawiedliwia je nieraz i pobłażliwie traktuje, podczas gdy innym nie szczędzi swego zabójczego szyderstwa. Na księciu Andrzeju nawet spoczął wzrok autora, jako na możliwym „odnowicielu swojej rasy", na tym, który potrafi na sztandarze sfery swojej wypisać hasła czynnego życia dla kraju.

Autor, pomimo swój pesymizm i surowe sądy, wydawane o ludziach, należących do jego sfery, jest jej przyjacielem, ostrzegającym ją przed ostatecznym upadkiem i zmaleniem (w tem przypomina francuskiego pisarza Lavedan'a, również nieubłaganego satyryka sfer wyższych) — jako przyjaciel jednak podlega wielu złudzeniom... Autor np. wie doskonale o tem, że w atmosferze, z której wywietrzały aspiracje społeczne, altruizm, sens dziejowy i t. p., nawet ludzie zdolni, szlachetni i rozumiejący wysokie zadania życiowe drobnieją, — a pomimo to w podobnej atmosferze doszukuje się czynników odradzających. Jego książę Andrzej „odradza" się — sposobem bardzo impresjonistycznym wprawdzie — pod wpływem wspomnień przeszłości, pod wrażeniem tego, czem się było dawniej, czem była jego „rasa". Ależ z podobnego źródła wszyscy mogą czerpać w każdej chwili i czerpią machinalnie, a wszystko to jakoś nie skutkuje! Za mało się przejmują? — być może! A może sprężyna już sama przez się nie działa; może czynnik jest niedostateczny?

Wspomnienia przeszłości, pamięć tego, że się było czemś więcej, niż pospolitym „numerem" w spisie ludności — to może być dobre dla wyjątkowych organizacyj, a tu wszak chodzi o sferę całą, o zmianę atmosfery, w której najlepsi maleją. Trzeba więc zwrócić się do mniej przypadkowych i impresjonistycznych oddziaływań, nie do tego, czem się było, lecz czem się być powinno, do gruntownie odradzających źródeł poświęcenia, obowiązku, aspiracyj społecznych, które wszystkim są dostępne... Parę słów jeszcze o autorze, jako artyście. Ostatnią powieścią swoją przekonał nas Weyssenhoff, że jest niepospolitym twórcą żywych postaci i kształtów. Artyzm jego spoczywa na dwóch nieodzownych podstawach, na zdolności abstrakcji, wyodrębniania cech zasadniczych i idealizacji t. j. umiejętności rozwijania cechy wyodrębnionej, poddając jej wszelkie inne, drugorzędne.

O języku autora, o jego sposobach pisarskich, powiem krótko, że przypominają one t. zw. „l'écriture artiste" Goncourt'ów.

Zola powiada gdzieś doskonale: On écrit bien, lorsqu'on exprime une idée ou une sensation par le mot juste.

Weyssenhoff właśnie ma zdolność wyszukiwania słów „najwłaściwszych", jedynych, ma żywe poczucie tego, o czem mówi i wrażenia swoje oddaje w sposób niesłychanie intensywny. Ekspresja jego jest zawsze jasną, stanowczą, niekiedy zbyt ostrą, nigdy jednak brutalną i ociężałą, nigdy odruchową, nerwową bądź niespokojną.

Ze „Sprawy Dołęgi".

Około dziewiątej poszedł znowu do Marsowicza. Lżej było choremu, choć gorączka się wzmogła; sam prosił, żeby go przeniesiono z fotelu na łóżko. Senny i mniej rozmowny, mówił pacierz szeptem, a czasem wybuchał głosem większym i żarliwszym. Andrzej siedział zamyślony, przy lampie, wpatrując się w twarz chorego.

— Nudno ci tak... możebyś wziął co do czytania... Znasz ten manuskrypt o księciu Andrzeju?

— Nie znam.

— To sięgnij do komody — górna szuflada na prawo — okładka zielona.

Andrzej wynalazł bez trudności rękopis i począł wertować pożółkłe karty. Zajął go niebawem ten portret, kreślony zwięźle, bez przesady panegirycznej, na dobrze malowanem tle epoki. Pogrążył się w czytanie.

Dowiedział się dokładnie o „chłopomanji" swego pradziada, o której słyszał często. Ale pod piórem historyka ta manja wyglądała inaczej, dużo poważniej. Andrzej zamyślił się nad tem, że starzy włościanie Warscy pamiętali jeszcze tego pana, nazywając go niezmiennie „księciem ojcem", jednak ci sami i ich potomkowie nie okazali wiele wdzięczności rodzinie książęcej przy zatargach o serwituty, przez nadużycia wszelkiego rodzaju. Ale przypomniał sobie i to, że okolica Waru odznacza się piękniejszemi chatami, często murowanemi, na które książę Andrzej dawał darmo cegłę, że są przy nich sady, że nawet istnieje przysłowie: „co chłop Warski, to łebski i dziarski", a to z powodu, że wielu umie czytać, zna kunsztowne rzemiosła i lepiej się ubiera niż okoliczni.

„Nie na wdzięczność on pracował, lecz na pożytek kraju".

— O czem czytasz? — odezwał się Marsowicz.

Andrzej wzdrygnął się na ten głos starca, o którym był przez chwilę zapomniał. Powtórzył mu przeczytane zdanie.

— Święte słowa — rzekł poważnie Marsowicz. — To był pan.

Urzędową historję swego pradziada Andrzej znał; mniej go więc zajmowały dokładne daty różnych fundacyj starego księcia, jego tytuły założycielskie, prezesowskie, których wiele było w życiorysie. Uderzało go bardziej ciepło niekłamanej czci, wiejące ze słów historyka; szukał też szczegółów „jakim książę Andrzej był u siebie w domu", według wyrażenia Marsowicza. Tych szczegó-

łów mniej się znajdowało w rękopisie. Jednak pisarz charakteryzował życie zamkowe za owych czasów, mówiąc, że nawet zjazdy i zabawy miały pewien styl i sens społeczny; skład towarzystwa nie był przypadkowy, owszem, powstawał z przemyślanego doboru. Cenzus stosowano bez pedanterji i przesady, lecz cenzus istniał wyraźnie; obok krewnych, obok głośnych nazwisk spraszano do Waru ludzi odznaczających się ze wszystkich sfer towarzyskich, wyłączając starannie podejrzanych, wyuzdanych, pretensjonalnych próżniaków, kosmopolitów, samolubów wszystkich odmian. Ludzie, którzy często bywali w Warze, nabierali nietylko poszanowania dla książęcego domu, nietylko nauki, poloru, nietylko wdzięczności za różne dobrodziejstwa (bo książę był hojny i lubił zobowiązywać przyjaciół), ale powoli wiązali się w grupę, w stronnictwo, wkładali „mundur przyjacielski", który obowiązywał do wielu cnót i zalet, jak mundury sławnych i odznaczonych pułków. Stronnictwo Warskie liczyło w szeregach wielu obywateli zasłużonych, wtedy lub później; wywarło swój wpływ na wewnętrzne dzieje nasze i historję naszej cywilizacji. To także niemała spuścizna po tym człowieku jasnej głowy, zacnej ręki i gorącego serca. Tak pisał historyk.

— O czem czytasz? — odezwał się znowu Marsowicz.

— Czytam, jak się dobierało towarzystwo w zamku za czasów pradziada. Dobrze się dobierało.

— Tak... gałgana on przez próg nie puścił...

Rękopis wspominał dalej różne urządzenia i upiększenia zaprowadzone w Warze przez księcia Andrzeja. Ten pan lubił rzeczy krajowe i trwałe, przedewszystkiem zaś urządzenia na pożytek kilku pokoleń. Mawiał skromnie, że pracuje dla prawnuków, jednak budował gmachy, kreślił szerokie plany ogólniejszego użytku, z których nietylko potomkowie jego, lecz potomstwo sąsiadów, sług, poddanych, znajomych i nieznajomych osiągać miało, albo i osiągnęło korzyść. Miłością swą rodzicielską ogarniał całe plemię; nie przestając być „pater familias", pragnął zostać „pater patriae". Naszym obowiązkiem przyznać mu to najzaszczytniejsze miano — pisał historyk.

Tak, naprzykład, mniemając, że dobre drogi komunikacyjne są pierwszym warunkiem normalnego krążenia ożywczych soków w organizmie społecznym, wydał znaczne pieniądze na poprawę traktów, na budowę mostów i promów. Chciał nawet prowadzić drogi przez cudze terytorja, zaczął układy w tym przedmiocie i po-

zostawił plany rozległej sieci dróg, których śmierć nie pozwoliła mu wykonać.

— Żeby to wiedział Dołęga! — pomyślał Andrzej, uderzając machinalnie palcami o kartę rękopisu.

Marsowicz coś dosłyszał i odezwał się, przerywając pacierz:

— Na co tam mój pan natrafił?... co go ucieszyło?

— Nie tak ucieszyło, jak zadziwiło. Pradziad pozostawił podobno jakieś plany budowy dróg. Gdzież one są?

— A są w bibljotece.

— Czemu wcześniej nic mówiłeś mi o tem, panie Franciszku?

— Nikt nie pytał.

Andrzej przerwał teraz czytanie i zamyślił się nad pokrewieństwem portretu swego pradziada z żywą i dobrze znaną postacią Jana Dołęgi.

— Te drogi, których tamten nie dokończył, a które dzisiaj ten chce prowadzić... Ten sam program przewodnictwa w pracy społecznej... To samo pojęcie arystokracji narodowej... Więc to nie mrzonka młodzieńcza — byliśmy niegdyś tacy. Kto z nas zachował tradycję „księcia ojca"? my, Zbarazcy, czy on, Dołęga? Kto wziął po starym księciu moralną spuściznę?

Zapragnął mówić jeszcze i jeszcze o tym sławnym przodku, którego przykład podnosił mu serce, a razem budził uczucie zbawiennego wstydu.

— Cóż o nas napisze historyk?

Zwrócił się znowu do żyjącego jeszcze świadka owych czasów, ale nie postawił zamierzonego pytania, gdyż chory wydał mu się zatopionym w wizję jakąś i żarliwą modlitwę: oczy miał olśnione, bił się w piersi i zwykły pacierz mieszał z nowemi przemowami:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu. Obok niego, Boże mój, po prawicy Twojej... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... miejsce dla sługi wiernego...

Andrzej zaniepokoił się i poszedł do sąsiedniego saloniku, gdzie drzemały w fotelach dwie niemłode kobiety, dozorczynie. Ocknęły się zaraz.

— Źle choremu. Możeby posłać po księdza?

— Był już rano, proszę księcia pana.

— Ksiądz proboszcz już go wysłuchał, proszę księcia pana.

Chory tymczasem modlił się ciągle, tylko oczy kleiły mu się powoli i słodki spokój rozlewał się po twarzy. Poznał Andrzeja,

gdy ten pochylił się nad nim, bo zwrócił do niego spojrzenie pełne wymowy. Było w tem spojrzeniu coś z uśmiechu zasypiającego dziecka do niańki i z tęsknoty człowieka, odchodzącego w drogę niepowrotną. Zamknął powieki, pierś podnosiła się krótkiemi falami: starzec zasnął.

Andrzej posłał po swego przybocznego strzelca i kazał zapalić wszystkie lampy w gabinecie ojca, dokąd poszedł przez podwórze, przez galerje i ciemne pokoje. Noc czarna i wietrzna ogarniała stary gmach ponurym koncertem jęków; odgłos kroków po kamieniach znaczył w tej muzyce miarowe odstępy.

Andrzej rzekł do strzelca, który go poprzedzał z latarnią:

— Oświetlić mi tu po drodze z gabinetu do mieszkania pana burgrabiego i trzymać światła aż do rana! Nogi można połamać w tych ciemnościach.

W istocie zaś dreszcz nerwowy przejmował go: ogromny zamek zdawał się tej nocy pełnym dziwów i tajemniczych zasadzek. Dopiero pokój ojca był weselszy z powodu lamp zapalonych i ognia na kominie. Andrzej usiadł na zwykłem miejscu księcia Janusza. Choć noc była późna, nie czuł się sennym, owszem podnieconym i nastrojonym uroczyście.

Poza murami jasnego pokoju, ponad nim, pod nim, naokoło grały głuche chóry, jak daleki głos organów, wyły gardła kominów, jęczały blaszane dachy: zamek rozgadał się na potęgę. W tej sferze dźwięczącej panował zgiełk i niepokój, niby walnej bitwy. Ale Andrzej miał dzisiaj w sercu dumne pragnienia i dobrze mu było pośród walki zamczyska z wichrem. Powstawały w nim samym silne głosy, wołające go od wygodnego życia do nieznanych uciech czynu. I głosy te układały się harmonijnie, płynęły zewsząd, zlewały się w kategoryczny nakaz. Tak chciał za niego Jan, tak mówił dogasający starzec, tak żył wielki pradziad...

Zaczął pisać gorący, długi list do Jana Dołęgi.

Pisał długo. Noc upływała i cichła, wiatr się wydyszał i ledwo czasami ziewnął przeciągle, aż zasnął, pozostawiając i zamek we śnie głębokim. Andrzej słyszał dzwonki w uszach, skrzypienie pióra po papierze, osuwanie się gasnących węgli w kominie. Zapomniał gdzie się znajduje i pisał, pisał...

Zdanie jedno zaczęło mu się układać w rytm, którego nie pragnął zachować, jakiś rytm obcy, wkraczający przemocą, coraz natarczywiej... Przerwał pisanie, ale ów takt, bijący gdzieś koło niego, trwał... Zaczął nasłuchywać i uprzytomnił sobie nareszcie, gdzie

jest i że zbliżają się do niego czyjeś kroki. Niby z góry?... Nie — zapewne przez galerje wewnętrzne?... Tak — szedł ktoś do niego, ale, jak długo, długo... Ileż kroków naliczyć można przez ten zamek?

Zżymnął się najprzód, że mu przeszkadzają — tak mu było dobrze z górnemi, nowemi myślami. — Potem, ponieważ krew mu kipiała w skroniach, przypuścił na chwilę, że ujrzy zjawisko nadprzyrodzone. Wszystko możliwe w tym zamku.

Oparł obie ręce na stole i, wpatrzony we drzwi, do których zbliżały się kroki, czekał.

Skrzypnęły drzwi i ukazał się w nich strzelec blady, milczący.

— No co? gadajże prędzej!

— Proszę księcia pana... pan Marsowicz skończył.

. . . . . .

Z „Unji".

Religijny półmrok, pomimo wielu świateł zapalonych, panował w kaplicy świętego Kazimierza przy katedrze wileńskiej. Z czarnego marmuru ścian ośmiu srebrnych Jagiellonów spoglądało uroczyście na obrzęd, odbywający się przed ołtarzem, gdzie trumna świętego z ich Familji zawieszona wysoko, pływała w niebie jasnem, lekko w kunsztownej rzeźbie wyobrażonem. Z bardzo daleka, z sąsiedniej wielkiej nawy katedralnej, dopływał dźwięk organów tyle tylko, aby rozmarzyć modlitwy, płynące rytualnym szeptem w tej pięknej komnacie Bożej i narodowej, siostrze kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Mszę świętą odprawiał ksiądz Antoni Wyrwicz.

Bez ujmy dla królewskich wspomnień klęczała para nowożeńców przed stopniami ołtarza na dwóch karmazynowych klęcznikach. Przejmujący był ich piękny spokój; ich młoda powaga biła blaskiem otuchy i nadziei na twarze zgromadzonych towarzyszów i senjorów.

— Kto tak pewny jutra i siebie nawzajem, jak oni? — myśleli młodzi.

— Myśmy dążyli, oni dojdą — dumali starsi. W pulpitowych ławach, na krzesłach i fotelach, na klęczkach i stojący, ludzie, którzy dzisiaj asystowali ślubom Kazimierza i Krystyny, przyjezdni z różnych stron, czuli się tu u siebie, równouprawnieni w dostojeń-

stwie, spływającem na nich ze wspólnego ołtarza. Janowie Rokszyccy i Kmitowie, Budziszowie koronni i litewscy odnajdywali tu swe pierwsze wzruszenia młodości, nie zamącone przez nic obcego; Jan Miłaknis stał pod posągiem króla, który wyrósł z jego rasy; Franciszek Marczak czytał na marmurze: tu spoczywa serce Władysława IV-go, króla polskiego. Na chwilę uroczystą, między sercami wzniesionemi była unja wspomnień i unja życzeń dla dobrej młodzi, łączącej się przed ołtarzem nowym związkiem między Koroną i Litwą.

Zauważono ich głosy stanowcze i nietrwożne, ich mocną i nieprzymuszoną wolę zaprzysiężenia sobie miłości i wiary.

Po dokonaniu obrzędu ksiądz Wyrwicz stanął przy pulpicie od mszału i, zwrócony do obecnych, tak przemawiał od ołtarza, od trumny świętego Jagiellończyka:

— Cieszcie się w Panu, zebrani tu synowie rozległej ziemi! Oto przybywa nam mocna ostoja przyszłości w związku tych dwojga, którzy dozgonnie łączą się dzisiaj przed ołtarzem. Rycerze to są, nie z tytułów tylko odziedziczonych, które, jak wiara, bez uczynków są martwe, rycerze to nowego autoramentu. W miłowaniu i w pracy zakładają cel swój i chlubę swoją; miłośnikami będą obu plemion bratnich, ziemię naszą zdawna osiadających. Wstępując w koło nasze społeczne, nie na wodzów i dyktatorów nam przybywają, lecz aby węzłem swych młodych dłoni pomnożyć i utwierdzić łańcuch ogólny rąk, pilno tu wspólnej ojczyźnie potrzebny.

Mocno mówił ksiądz Antoni, przypomniał młodość swą kaznodziejską i duszę odmłodzoną kładł w słowa, dźwięczące miłością i przekonaniem. Nikt z obecnych nie myślał o tem po chwili, jak mówi, lub jak wygląda każący kapłan, poczuli zaś wszyscy jedną gorącą wolę, która, topiąc kruszce serc, pociągała je ku sobie wzajemnie i pociągała razem do pragnień zgodnych i wysokich. Wyszły jakoby z ciał dusze potomków i uskrzydlone niosły się hufcem ku wielkim ojcom zapomnianym.

Bo ksiądz nie mówił już o parze nowożeńców, lecz rozszerzał kręgi myśli, budził święte wizje spólnych przez wieki losów, sojuszów, miłością i krwią spieczętowanych, poczętych w zgodzie i w chwale, wypróbowanych w niedoli, wiernych jeszcze do wczoraj.

Aż mówca głos zniżył i jakby go rozsypał w pokłonie przed głosem większym, którego był tylko heroldem. Wziął z ołtarza

kartę, położoną na mszale, i odtąd czytał, nawołując zgromadzonych pamiętnemi słowami testamentu ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta:

— „Przeto prosimy i upominamy, dla Pana Boga i dla dusznego zbawienia, aby wszyscy obywatele tak koronni, jako Wielkiego Księstwa Litewskiego, byli i żyli w jednej wierze chrześcijańskiej jednostajnie, jako Bóg Ojciec z Synem w jednostwie Ducha św. jeden jest. Potem też wszystkich stanów przez Boga żywego zaklinamy, aby, będąc obywatelami tak Korony, jako i W. Ks. Lit., byli jedną nierozdzielną Rzecząpospolitą wedle postanowienia sejmu lubelskiego, teraz dwuletniego, i poprzysiężenia, miłując się braterską miłością, szczerze, prawdziwie, jako jednego ciała członki i jednej nierozdzielnej Rzptej ludzie, nic jedni nad drugimi zacnością i dostojeństwem sobie nie przywłaszczając, chcąli, aby Pan Bóg, który, będąc jednym, w jedności się kocha, długo te Państwa zjednoczone pomnażał i wspomagał. Przeto tym naszym testamentem obiemu Państwu, Koronie Polskiej i W. Ks. Lit., dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie Unją zwali i mocnemi spiski obywatelów obojego Państwa na wieczność ukrzepili".

„A który z tych dwóch narodów, tę Unję od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, tym to błogosławieństwo dajemy, aby Pan Bóg w łasce swej, w szerokiem i spólnem panowaniu, we czci i sławie postronnej i we wszystkiem dobrem i potrzebnem przed inne narody wysławił i wywyższył. A który zasię naród niewdzięczen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego, który ma w nienawiści, przeklinając siejące niezgodę między bracią. Za którem przeklęctwem i gniewem Bożym niczegoby się inszego nie bać, jedno doczesnego tu, a potem wiecznego zginienia, od którego racz, Panie Boże, zachować, a racz to w tem obojgu Państwie utwierdzić, coś w niem przez Nas sprawił".

Szedł dreszcz na obecnych od posągów królewskich.

Z „Sobola i Panny".

Droga zniżała się ku równinie mokrej, zakrzaczonej, leżącej pozornie na poziomie jeziora, które, daleko za nią, łowiło już blaski słoneczne, przetapiając je na stal i srebro. Myśliwi zeszli znowu na łąkę, ku haszczom, ziejącym wonią pomieszaną drzew, ziół, dzi-

kich jagód. Oba psy dążyły do zarośli ze skupioną uwagą, czując w nich obfitość łupu.

— Lekko, Fox! — napominał Stanisław zawsze zbyt zapalczywego wyżła.

Razem, strzelcy i psy, zapuścili się w obszary splątanej łozy, chudej brzeziny, krzewów różnych karłowatych i zielsk wyrastających często ponad krzewy. Pod chodakami uginał się mech blady, gąbkowaty, upstrzony czerwoną żórawiną i czarną „pijanicą", sączący wodę pod naciskiem stopy.

Dur zawrotny ogarniał mózgi myśliwych.

Hetka stanęła pierwsza, jak w spiż zamieniona. W całym jej ruchu, w poważnych fałdach czoła, w stężałym, jak drut, ogonie, była zapowiedź grubej zwierzyny. Zrozumieli to obaj strzelcy i stanęli za wyżlicą z gotową bronią. Zrozumiał i Fox, rzucił się na ślad przez towarzyszkę odkryty i zaczął dochodzić razem z nią — wkrótce ją minął, rzucił się w bok, nerwowym galopem okrążył jakiś krzak i znowu skradał się, wyprzedzając Hetkę.

Delikatna suka poskarżyła się swemu panu krótkiem, wymownem spojrzeniem:

— Ten prostak przeszkadza mi...

Ale nie miała podobno racji Hetka w tym wypadku, jak to oświadczył ludzką mową właściciel Foxa:

— Trzeba nacierać ostro — tu „leniak"[1]) — cieknie, a może i co większego. Tu dla Foxa robota.

Więc pozwolono wyżłowi rzucać się na boki, obwąchywać kępy, potem iść przycupniętym kłusem, nie oglądając się na Hetkę, która, obrażona i dostojna, mając przytem wiatr lepszy, skradała się z nosem dumnie wzniesionym do góry, szła jednak już prędzej, ciągniona przez psa paliwodę.

Nareszcie oba psy skamieniały przed krzakiem, w którym miał się stać cud. Drżąc wyprężonemi ciałami, spłaszczone i rozciągnięte na mchu, jakby ogromne ciężary spadły im nagle na karki, — celowały zniżonemi łbami i pożądliwemi oczyma w jeden krzak splątany, gdzie myśliwi jeszcze nie widzieli nic.

— Pyf!

Rzucił się Fox — i w tej chwili krzak łoziny napełnił się ogromnem, czarnem ciałem lotnem, a powietrze łoskotem jakoby stu cepów.

---

[1]) Stary cietrzew, wypiór.

— Bach! — pudło — bach, bach! — jeszcze dwa razy chybiono — Bach! — kabałdyksz!

Czwarty dopiero strzał Stanisława zwalił z powietrza czarnego ptaka, o sześćdziesiąt kroków, aż mech głuchy dał odgłos.

— Co to?... stary cietrzew?... — pytał Michał, dech utraciwszy od wzruszenia.

— Gdzie, jaki cietrzew?! — parsknął Stanisław radosnem oburzeniem — Głuszec! I sam nie wie, do czego strzelał!

— Zdaje mi się... że z mojego drugiego strzału... pióra się posypały... — jąkał się Michał.

— Pióra to on sypie i od wiatru w tej porze — — Ale bierz jego sobie! Mało to ja piękniejszych zabił na tokach, w pełnem pierzu!

— Nie, kiedy mówisz, że twój, bierz ty.

I tak certowali się uprzejmie, ale w istocie obaj byli nieradzi: Stanisław, że zakwestjonowano jego ostatni celny strzał, Michał, że nie mógł sumiennie przyznać głuszca za swojego. A zdobycz była rzadka.

Fox taszczył w pysku ogromnego, czarno połyskującego głuszca, z obwisłem jednem skrzydłem i nawpół złożonym wachlarzem. Nad siną, zamkniętą powieką wielka czerwona brew stroiła jeszcze dumnie głowę poległego mszarów dygnitarza.

Głuszec leżał na ziemi i nikt go nie chciał przytroczyć do pasa. Wreszcie Stanisław odezwał się:

Poco my takiego indora mamy nosić? Wyniesiem na brzeg rojstu, powiesim na brzózce i zabierzem, wracając. — A teraz idź ty, Miś, z Hetką w jedną stronę, ja z Foxem w drugą. Razem tylko proch marnujem i psy się bałamucą.

Według tego planu buszowali łowcy po gulbińskich zaroślach aż do południa.

WACŁAW BERENT

(* 28. IX. 1873 w Warszawie).

Wydał: „Fachowiec“ 1898. „Próchno“ 1903. „Ozimina“ 1911. „Żywe kamienie“ 1918, oraz: „Źródła i ujścia Nietzscheanizmu“ 1906.

EDWARD PORĘBOWICZ O W. BERENCIE.

Edward Porębowicz, * 20 lutego 1862 r. w Warszawie. Prace literackie i naukowe: Lord Byron: „Don Juan“, przekład poetyczny 1885. wyd. II 1921. „Calderon de la Barca“ dramaty przekł. poet. 1887. Leopardi: Wybór pism, przekł. 1887. Antologja prowansalska, „Wybór poezji trubadurów“ przekł. poet. 1887. „Andrzej Morsztyn“, przedstawiciel baroku w poezji polskiej 1891. „Historja literatury włoskiej XVI—XVIII w., francuskiej, hiszpańskiej i portugalskiej“, (jako część Dziejów lit. powsz. Bibl. najceln. utworów) 1887—97. „Révision de la loi des voyelles finales en espagnol“ 1897. „Znaczenie synkopy dla ustroju form romańskich“ 1898. Dante: „Boska Komedja“ 1899—1906 (wyd. II. 1904—1909, wydanie III. 1921). „Dante“ (monografja) 1906, (II wyd. 1921). „Św. Franciszek z Assyżu“ 1899. „Tryady Z. Krasińskiego“ 1900. „Studja do dziejów literatury średniowiecznej“ 1904. „Pieśni ludowe celtyckie, germańskie, romańskie“, przekł. 1909. „Nowe piękno wieków średnich“ 1916.

Gdyby sztuka była jedynie „wczuwaniem się“, intuicją, za którą postępuje „wypowiadanie się“, ekspresja, jak chce głośny estetа włoski Ben. Croce, docierałaby co najwyżej do istotnych znamion oglądanej rzeczywistości i, odtwarzając je, utknęłaby na realizmie. Bo wyobraźmy sobie najpoprawniejszą metodę tworzenia przez „intuicję“. Artysta-powieściopisarz staje wobec tematu średniowiecznego i wczuwa się weń. Nie przez podręczniki do historji, do literatury, sztuki, kultury. Wie, że na nich jak na konikach w karuzelu krążyłby wkółko, — jazdą beznadziejnie smutną. Ale przez chłonienie i przejmowanie życia epoki we wszystkich objawach. Więc wpatruje się długo i badawczo w kształt sprzętu i stroju spółczesnego, dochodzi ich celowości i racji istnienia; pal-

cami głaszcze pergaminowych kodeksów alabastrowość, zamyśla się nad charakterem pisma kopisty, chwyta moment, kiedy litera romańska zaostrza się w gotyk i z gotyku przegina się znowu w okrągłość łacińską; poświęca baczną uwagę składowi barw minjatury, notuje w pamięci linje rysunku jej figur. Mówią mu one nieco o człowieku społecznym, ale jak niepewnie! Zatem postępuje od zewnętrznych cech stylu epoki do odgadywania wewnętrznego ładu myśli u jednostek, do ujęcia zasadniczych dążności grup społecznych, do podpatrzenia potęgi dominującej u ras i narodów, do szukania tajemnicy owego zwrotniczego, co nastawia tor, po którym ma przelecieć wóz czasu. Mniema, że natrudził się dość, aby poznać człowieka. Ale nie. Po czynach sądzić go nie zdoła, bo często utajone mu są ich pobudki; po mowie choćby najszczerszej także nie, bo w ciągu stuleci wyrazy odmieniły znaczenie: virtù znaczy już dziś nie siła, ale cnota, talento nie chęć, ale zdolność, forma nie moc kształtująca, ale odwrotnie powłoka ukształtowana. A choćby wszystkie głębie filologiczne przebrodził, to natrafi na trudność nie do przebycia: kilka wieków rozwoju fizjologicznego tak dalece zmodyfikowało w nim ustrój nerwowy, t. j. stopień i siłę wrażliwości i odczucia, bystrość i rozległość kojarzeń i pojmowań, że on a ów drugi, z których ten jest badaczem a tamten przedmiotem badania, mimo wszystkie wspólne cechy gatunku wiecznie i ogólno ludzkie, będą to dwie istoty sobie obce, prawie jak ludzie dwu ras, dwu klimatów. Więc wczuwanie się w człowieka innych czasów zawiodło; kto wie czy nie omyli podobne wglądanie w duszę spółczesnych bliźnich i czy nie stąd pochodzi owo rzadkie a radosne zdumienie, gdy nam się zdaje, że artysta czy krytyk odgadł gdzieś indywidualność cudzą.

Do takiej świadomości doszedłszy, sztuka wyrywa się poza realizm; skoro artysta nie zdoła wczuć się, jeno w siebie, zatem własną osobowość bierze za tworzydło, romans układa z przygód własnej duszy; im ta indywidualność oryginalniejsza i bogatsza, tem piękniejsze dla czytelnika widowisko. Oto punkt wyjścia dla krytyki literackiej: przedmiotem w dziele najgodniejszym ciekawości jest sama osoba autora, mianowicie sposób, jakim transponuje na mowę poetycką świat jawy zewnętrznej i świat wzruszeń i wyświetleń własnych. Więc nie osoba w znaczeniu towarzyskiem, z biografją anegdotyczną, często plotkarską, ale osobowość twórcza, co w encyklopedjach może pozostać mitem, zaś w dziejach literatury jest słupem ognistym. Berent przyzwyczaił nas do tego, że na osobowość jego poglądamy z najwyższem zajęciem, czekając od niej objawień nowych. Nie zawodzi pod tym względem książka ostatnia, wybiegająca poza konwencję, pełna świetnych odkryć poetyckich, rewolucyjna.

Indywidualność ową wyjaśnia przedewszystkiem wybór tła powieści, mówiący o rdzennych upodobaniach autora. Po owe granice, do jakich sięga możebność „wczuwania się", złudzenie Średniowiecza jest tam nadzwyczajne. Jakby z minjatur spół-

czesnych zdjęte owe sceny kościoła, sukiennic, rynku, gospody, celi klasztornej; widok ciągu pątników, wizerunki ubiorów i zbroi. Z głębokich snadź studjów dobyta cecha epoki, groteskowość; ostre i dzikie przeciwieństwa askezy i rozwiązłości, majestatu i karykatury, olbrzymiości i skarlenia, grozy i pustoty. Rzeczywistość przedstawiona jak wizja: owi kozodoje i pankowie, którzy w zwidzeniach mnicha przedzierzgają się w bożki pogańskie, wedle pojęć ówczesnych z djabłami identyczne; owe gonitwy satyrów i nimf jakby na obrazku z klasycznej sielanki, lub owo wylatywanie skoczki kominem na grzbiecie kozła, w oczach pijanego goljarda. Nawzajem wizja oddana jak scena realna: wizyta Śmierci u płatnerza, walka braciszka z urojonym szatanem i zachwycenie pod figurą M. B. Jest w tem wszystkiem świetne — nie powiem: przeczucie, gdzie mogę rzec: podpatrzenie znamiennego dla W. Średnich pomieszania j a w y i z j a w y, zatarcie granic między światem dotykalnym a wymarzonym, jakiemu to zatarciu sztuka i literatura ówczesna zawdzięczają swe najdziwniejsze pomysły. Mniejsza z tem, czy tło jest odtworzone bez omyłki, czy archeolog nie odkryje anachronizmu a łacinnik niedokładności w cytacjach a filolog mglistości figur nazywanych po imieniu i zawodzie. To, co raziłoby klasyka, jest może umyślnem przyćmieniem rysów, użytem przez pisarza dla nadania powieści charakteru przestrzennego, ponad czas i miejsce, — znany środek sztuki symbolicznej. W niedomówieniach jest zaczyn dla pracy do-twórczej słuchacza. Natura organizacji artystycznej autora da się już tutaj określić jako realizm, szukający podpory w sumiennej erudycji, ale świadomy, że jego sfera możebności nie sięga poza odtworzenie tła akcji. Wybrał dla niej właśnie epokę, w jaką najsnadniej da się wrysować tłumny korowód idei kontrastowych a ogromnych.

Następnie sama fabuła: niebogata pozornie poddaje domyślności słuchacza wątek przeciągły, sztuką wysoce sugestywną. Dzieje się — dajmy na to — w jakiemś miasteczku Styrji, na schyłku Średniowiecza, kiedy to znużona ludzkość popadła w gnuśną a c e d j ę, w pospolitość kramarską, w tępe ogłupienie. Na ten marazm, niby dwa prądy galwaniczne, ożywcze, przypadają odrodzony romantyzm złotej, legendarnej doby rycerstwa i pierwsze świty klasycznego humanizmu. W tej chwili fabuła przestaje być treścią powieściarską; poczyna się nowy zwrot w Berentowym na świat poglądzie: bunt przeciw acedji ducha, pęd ku uciesze i pięknu w formie podwójnej: pogodnego mistycyzmu i płodnej zmysłowości, wyobrażony przez błędne rycerstwo i przez „igrców“, t. j. przez „chuci i ducha tkliwców szlachetnych“. Stąd dwa wątki powieści posuwają się równocześnie w ścisłem zapleceniu: w akcji ostatniego błędnego rycerza, sobowtóra Lancelotowego i w najeździe rybałtów i wesołków na miasteczko kołtuńskie. Rycerz, szczęśliwy kochanek królowej, oskarżony o zabójstwo straży, przedziera się z miasta po srogiej bitwie, wsparty pomocą kompanji

wagantów, która, narobiwszy między „ludźmi osiadłymi“ wiele mętu, rusza utartym szlakiem pielgrzymim za morze.

W miarę baczniejszego wejrzenia w powieść symbol rozprzestrzenia się: to już nie historja jakiegoś kraiku w jakimś momencie dziejowym, kiedy po gościńcach chadzały Lanceloty, goljardowie i mistycy; to pouczenie i pociecha dla wszechczasów od poety-mędrca, dobrego pasterza serc zbłąkanych, rozgoryczonych, omdlałych w męce zawodnego szukania. Potrzebni światu rycerze-marzyciele, co tak zapatrzyli się w żywe kamienie na płytach grobowych, że zachcieli powtórzyć ich żywot i dążenie. „Gdzie tacy przez lat dziesiątki nie pokazują się wcale, tam mija niejednemu w goryczach wiosen szereg“. Potrzebne też ptaki wędrowne, śpiewacze, wonią życia karmione, wolności chciwe. Słusznie chwalą sobie swój byt dumny, choć tułaczy: „Błogosławiona niech będzie nasza dola wszelaka, skoro w torbie włóczęgi przynosi ludziom to rozsiewne urabianie się życia“. Poeta z „żywych kamieni“ wydobywa prawdy radosne i twórcze; — „z ich piersi kamiennej ssie mleko na żywą krew dążenia“. Coś się bowiem zepsuło w postępie człowieczeństwa. Bo gdy „ducha pogody“ głosiła zarówno religja pogańska, jak mądrość Salomona i apostoł słowami: „Zawsze się weselcie“ i brat Franciszek z Asyżu przykazaniem swej reguły, to w chrystjanizmie „na Golgocie, która odmienne miała wejrzenie świata, coś się pono zataiło było... Coś z Golgoty jeszcze się nie dostało ludziom. Więc chrześcijan serce płodne stwarza onych rycerzy w nieustannem poszukiwaniu Graala, na starcie smutków z oblicza ziemi, na odnowienie serc“. Tak to przenikliwy wzrok poety tłumaczy tęsknoty Parakletyzmu, tak to pociąga torem Parsifalowym ku jego dopełnieniu.

Dumne poczucie dostojeństwa artystycznej myśli twórczej, wyznaczenie jej roli apostolstwa i przewództwa w chwilach rozkładu energji, sparaliżowania woli czynu, — to drugie znamię duchowego ustroju pisarza, niewątpliwie rdzennie silne i organiczne, a tylko w dawniejszych dziełach „prze-filozofowaniem“ zwarzone, wspólne zresztą z dobroczynnemi skłonnościami całej grupy społecznej, prawem koniecznych oddziaływań, w epoce wzmożonego pędu życia. Ale to jeszcze nie owo znamię wyłączne, absolutnie własne, wśród reszty twórców jedyne. Po znalezienie go zstąpićby trzeba w głębsze jeszcze pokłady osobowości, w samą istotę jaźni, zewnętrznym wpływom niepodległej. Lecz o ile „wczuwanie się“ w jaźń cudzą krytykowi — jak już wiemy — sprawić musi zawód konieczny, o tyle dla jej cech indywidualnych a zewnętrznych, tak jedynych, jak jedyny jest rysunek linij dłoni u każdego osobnika, istnieje sprawdzian niezawodny. Jest nim s t y l, polegający na stałym sposobie funkcjonowania myśli, wyrażanej słowem, a ujawniany transpozycją wrażeń, składnią, upodobaniami przenośni, porównań, obrazów, bezwiednemi nawyknieniami szyku słów, mechanizacją mowy. Stylometrja, owa gałąź odrębna wiedzy filologicznej, dziś zaledwie w zawiązku, może oddać znakomite

usługi jeżeli nie w pojmowaniu, to w określaniu i klasyfikowaniu typów twórczych.

Godzi się tu wskazać bodaj niektóre cechy znamienne i jedyne stylu Berenta. Pierwiastki jego istniały w dziełach jego poprzednich, obecnie doszły do pełnego rozwoju, wydały indywidualność artystyczną — nie trzeba wahać się z nazwaniem — pośród europejskich pierwszorzędną. Dlatego lektura książki jest początkowo niepokojąca i kłopotliwa, zmusza do natężenia uwagi, myli wzrok nawykły banalnym frazesom mowy potocznej. Berent operuje abstrakcją, jakby konkretem: „A g n u ś n o ś ć miejskich nędzarzy, muchom nawet niebronna, poziera tępo na ptasie z w i n n o ś c i w słońcu". Albo: „Wydostali się w ludu z g i e ł k l i w o ś ć odpustową i śpiewne o b w o ł y w a n i e s i ę kupców". Odtwarza wizyjnie rzeczy niewidzialne: „Ba — odmie się wzgardliwość na usteczkach dziewczyny i furknie, rzekniesz, bańką mydlaną ku górze". To „ba", drogą skojarzeń słuchowych przeniesione w „bańkę", stało się ślicznym obrazkiem.

Każdy gest kreśli się z wypukłością plastyczną: „Gadkarz zaciera łapy, a ruchliwą gębą zębatą pocznie parskać, strzyc nią i otrząsać właśnie, jak ta wydra, gdy rybę chwyci"; każdy szmer z Flaubertowską dokładnością pochwycony i oddany: „Nagle zatrzepoce się spódnicą szeroką i, w wachlarz rozciągnąwszy ją po bokach, wionie z szelestem za towarzyszką ujrzaną". A co za przenośnie gigantycznością przejmujące! V. Hugo pozazdrościłby tej oto dla swojej Notre Dame: „Tum — w górę zaklęty olbrzym, który na kolana padł i pręży ku niebu ramiona oba". Język Berenta bawi się onomatopeją: „A te ich zaszeptania rozrechocą się raz po raz w pochodny rozgwar gromady"; wszak słyszysz w tem naprzód szmer cichy, a potem stopniowe na dźwięku „r" rozigranie. Układa się też w melodje śpiewne, w rytmy przedziwnie faliste: „Grał. Łagodność cisz niewieścich grał i krosienkowych rojeń moce... Łodzie bezsterne u brzegu grał i to trzepotanie się żaglów w huraganie rojeń, gdy się wszystkie mewy burz dalekich zlatują na żale, na biady, na lamenty... Grał wieżę utęsknienia i łabędzicę w niej zaklętą i ockniętej na baszcie orlicy krzyk". Człony zdania posiadają ważkość lapidarną przy zwięzłości tkanin kilimowych: „Zęby żują odruchem głodu chleb niewidziany i tem zbydlęceniem w gnuśności roztkliwią tępe miłosierdzie sytych".

Pojawia się nowa składnia, np. zapomocą ulubionej partykuły „pod" dla oddania pół-cieni nastroju i pół-tempa ruchu: „Pod rzęsy weźmie to aksamitne nastawianie oczu ku niedbałości"; garną się neologizmy, z rzadkiem poczuciem językowem zbudowane: „Zkobuział" cały w zamyśleniu; — atłasy „pawio-barwne"; — romantyczności „tęskliwiec"; — rybałtowa igra ze „smętem" życia.

Wsłuchiwać się w tę pieśń słów, pieścić grację linij, miękkością modelowania, harmonją barw puszczanych pod słońce, — taka radość każe krytykowi zapominać, że dokonywa analizy, że zada-

niem jego jest „wydać sąd". Oto trzecie znamię osobowości pisarza: już nie erudyt, nie propagator ewangelji wesela, ale artysta, wywoływacz złudy. Wszystkie zmysły wibrują w nim ustawiczną rozkoszą odczuwania i wcielania widzeń wewnętrznych w sposób najzupełniej indywidualny, jedyny. Góruje skłonność do syntetycznego ujmowania każdej choćby najbardziej złożonej grupy zjawisk jednym rzutem spojrzenia, jednym zwięzłym obrazem, jednem zwarciem składniowem, jednem określeniem słownem, gdy potrzeba, umyślnie ukutem.

Najznamienniejsze i typowe w tej pracy jest zwłaszcza działanie abstrakcją; z niej psycholog eksperymentalny może dla Berenta wyznaczyć przynależność do odpowiedniej kategorji twórczej. Nadużycie abstrakcji mogłoby dać powód do mniemania, że Berent jest intelektualistą, tymczasem dla natury tak niewątpliwie zmysłowej abstrakcja nie istnieje jako pojęcie; Berent czuje, widzi, słyszy w niej zawsze rzecz pochwytną. Rozumie on, że wyrazy uogólnione są tą formą, w jakiej ruch migawkowy wrażenia złożonego stapia się dla oczu artysty najłacniej w jednolity widzialny kształt. Stąd zdanie każde wygląda jak snop kwiatów zharmonizowanych wzajemnym refleksem barw, a każde imię ze swoim atrybutem, ze swoją pozarealną wartością symboliczną, a każde słowo z obrazowym odpowiednikiem akcji — wszystkie te twory żyją, zaludniają książkę rojem wyczarowanych widziadeł, mnożą sumę piękna i uciechy zeń czerpanej.

Z „Żywych kamieni".

.....Padł na kolana, sunie na nich ku stopom kamiennym swej Pani. Lecz oto krzyk triumfu w zwycięstwie nad szatanem zastygł, zamarł mu na ustach rozchylonych. — I w nagłą jakby niepamięć zapada wszystko, co było przed chwilą. — Bo stokroć większa radość, przemożniejsze nad wszystko zachwycenie rozpłomienia go wskroś. Oczy otwarte na świat nieziemski widzą, widzą jawnie! — czego dusza nie ogarnie chyba... I już tylko ten szept olśnienia wytrzepoce mu się z piersi:

„K r ó l o w o w s z e c h c u d n a!..."

W otwartej furcie klasztoru stał przeor z bratem furtjanem i coś mu prawi nad głową pochyloną. Milczenie snadź nakazuje, bo z palcem na ustach a drugą dłonią na piersi chyli się pod kapturem brat furtjan.

Z posochem w dłoni i torbą przez ramię wyrusza pasterz szukać owcy zbłąkanej. Zrzadka za furtę wygląda: i oczom i no-

gom starym świat nazbyt rozległy: daleka mu tędy droga pod klasztornym murem, — dalekie wędrowanie...

Trzęsie się głowa i broda siwa w smęcie pielgrzymiej zadumy.

Aż nakoniec, — gdzieś u węgła, — przy muru zakręcie, — ujrzy najmilszego dla się brata. Klęczy oto mnich z rozstawionemi ramiony, a tchu prawie w piersi nie czerpie: taki się oderwany zdał od świata. Spadł przeorowi ciężar z piersi: nie ciałem, a duchem zabłąkał się ten wagant mniszy śród odpustowego wczoraj zgiełku w grodzie. Znał pasterz doświadczony trzodę swoją: po samej skrusze klęczkowej odgadywał łacno popełnionego grzechu naturę. Zaś ten tutaj wspomaga jeszcze klasztor gorliwą modlitwą i pod jego murami.

Podchodzi tedy do mnicha, kładzie mu rękę na głowie i powiada za wymówkę całą:

„Strzeż się, bracie Łukaszu, by ci Bóg nie odjął darów sztuki twojej z duszy nazbyt wątłej, którą nawet odpusty zamącić potrafią; by nie uprzykrzył sobie i mojej powolności dla cię. Wszelako słusznie czynisz, włóczęgo, że się do Tej tu garniesz, która i za wagantów dusze najniestateczniejsze zastawia się zawsze przed Bogiem, — za co ma od nich pieśni i muzykę, jeszcze piękniejsze od mniszych".

„Ojcze, ja nie oślepłem, chocia...!"

Wzniesieniem dwóch palców mówić mu przeor nie dozwala.

„Ojcze, ja doznałem...!"

„Nakazuję ci, bracie Łukaszu, milczenie w mowie innej nad pendzle i farby, aby tem wymowniejszą stała się przed Bogiem. Im głębsze doznanie, tem cichsze milczenie, — i w modlitwie. A kto pracuje, modli się, — powiada święty Bernard".

Poczuł się mnich pod mocną ręką: wracała mu ufność do samego siebie.

A gdy stanęli u furty, śmiało ujął krzyż kołatki. Przepuszcza ich brat furtjan z palcami na ustach, a drugą dłonią na piersi. Zamknęły się za nimi wrota świata, okoliły mury milczenia.

Bacznie spogląda przeor na krok jego słaniający się i to drżenie co chwila, które nim wstrząsa bezwiednemi już może wspomnieniami doznań na świecie. Każe mu iść za sobą do piekarni, na ławie sadza, sam mu przynosi kubek mleka i bułkę. Długo trzyma

to mnich w garściach obu, nie spożywając przecie; choć mu bułka, jeszcze ciepła, nie zakwasem niecki pachniała, lecz dobrocią samą.

I nie posilając się jadłem wcale, krzepił się oto chleba dotknięciem: — ustępowała z czoła bladość miesięczna.

Gdy wtem odstawi nietknięty posiłek na ławę. „Szkatuła moja kwestarska! — szepnie. I w pałąk pogięty w przygnębieniu, ku ziemi opuszcza ramiona. Aż się przeor nachmurzył przez chwilę; odpędza jednak z przed czoła domysły wszelakie.

„Nie godzi się nam biadać nad stratą doczesną. Nie ty nas będziesz żywił, bracie Łukaszu, lecz łaska Boża. A czyś ze szkatułą i cenniejszych skarbów klasztoru nie uronił, okaże się rychło miarą tego, co-ś przyniósł w wnętrznej skarbonce".

Każe mnichowi odpasać sznur. I kiwa siwą brodą nad śladami krwi na nim, nie racząc nawet zapytać przeciw jakiej to pokusie było: — w tak wielkiej pogardliwości miał grzech myśli cielesnych śród braci. Zadziergnął natomiast pętlę na końcu sznura, zarzuca ją bratu na szyję. I wiedzie go jak na postronku.

Pojął mnich kary zamierzenie: ukrył się jak najgłębiej w kapturze, a i dłońmi jeszcze się przysłania, — szepcze pacierze. Wiedzie go przeor podcieniem krużganka. Dygocą ściany pohukiem organów, z krypty dochodzą pomruki litanji i głuche przyjęki śpiewacze, niczem oddechy i westchnienia samych murów klasztornych.

Wprowadza przeor mnicha do celi, wiedzie w nyżę okna i przywiązuje do wysokiego stołu księgi.

„Tę ci, włóczęgo, penitencję zadaję, skuteczniejszą nad bicze. Do dzieła twego wiążę cię! Stoisz przed tą księgą jak przed wrotami czyśca, pod któremi przejdą postaci twego zaznania ziemskich pierzchliwości, aby się tu czyściły sumieniem świadomem. Zasię powłoki cielesnej, szat i farb, tyle im tylko użyczysz, by kiedyś nie do ciał, lecz do dusz przemawiały".

Łzy ciche spływają po twarzy mnicha, gdy ręce same sięgały nad księgę, po pendzle i farby.

A przeor, dobywszy dla się inną księgę, zajął swe zwykłe miejsce na skrzyni. Dobra, powszednia praca głaskała przez czas długi obie te głowy. W wielkiej ciszy słyszał mnich tylko te westchnienia z nad skrzyni, — nie ciężkie wszelako, — takie ot: potoczne wzdychania starości, niewiele co różne od gołębich turkań na dworze.

A gdy się przeor naczytał w księdze, kładzie oto rękę na kartach i prawi: — jak to brat Łukasz, choć w pętli pracy, jest

najwolniejszym w tej chwili człowiekiem na świecie. Bowiem, za łaską Bożą, odczuwa niechybnie, jak z chaosu materji grubej, przez ciała człeczego skorupę uwięziony D u c h się wyświetla.

I wyszła ta światłość z księgi i mnicha słońcu samemu naprzeciw. Za słońcem zajrzały przez okno i gołębie ciekawe; dziwią się i wypatrują ruchliwemi główki: czy nie Franciszek to może sam w błogosławieństwa glorji?

Póki ich przeor chustą zdala nie spłoszy, powiadając, by nie przeszkadzały bratu Łukaszowi.

Furkną nad klasztoru wieżę, polecą w górne kręgi. I znów oto spadają na okno celi, przynosząc bratu za kolory do księgi — złote błękity podniebia na swych skrzydłach białych.

Ale przeor chustą znów je płoszy, powiadając, by nie przeszkadzały bratu Łukaszowi.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

(Sirko)

(* 1858 w Wólce Kozłowskiej).

Wydał: „Dwanaście lat w kraju Jakutów". „Na kresach lasów" 1891. „W matni" 1896. „Risztau" 1900. „Brzask" 1901. „Latorośle" 1901. „Powieści chińskie" 1903. „Powrót" 1905. „Ol-Soni-Kisań" 1906. „Małżeństwo" 1904. „Ucieczka" (wyd. II. 1919). „Z fali na falę" 1912. „Na daleki Wschód" 1911. „Bajka o żelaznym wilku" 1911. „Bajki" wyd. II. 1912. „Zamorski Djabeł" 1912. „Dno nędzy" wyd. IV. 1912. „Zacisze" 1913. „Nowele" 1914. „Beniowski" 1916. „Ocean" 1917. „Łańcuchy" 1920. „Topiel" 1921. „Bolszewicy" 1922. Ponadto monografja: „Józef Piłsudski" 1915. W r. 1922 zaczęło wychodzić zbiorowe wydanie „Pism" (nakł. „Bibl. Polskiej").

A. MAZANOWSKI O W. SIEROSZEWSKIM.

A. Mazanowski wydał: „Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego". „Młoda Polska w powieści, liryce i dramacie" 1902; szereg „charakterystyk literackich pisarzów polskich" (w Zuckerkandla Bibljotece powszechnej: o Mickiewiczu, Ujejskim, Kochanowskim, Krasickim, Wyspiańskim, Tetmajerze i M. Konopnickiej). „Przegląd najnowszych badań z historji literatury polskiej (1893—1896) oraz wiele przyczynków literackich w „Bibl. Warszawskiej" i „Przeglądzie powszechnym".

Zmarł w r. 1921.

Sieroszewski obrazuje głównie człowieka; ale nie chodzi mu o zewnętrzną powłokę ludzką. Nie zaniedba wprawdzie niekiedy narysować dużemi rzutami linji skorupy ludzkiej; jednakże przedmiotem, do którego najpilniej przykłada skalpel ostrej analizy, bywa anima vilis — Jakuta lub Tunguza. Prawa niezmienne, rządzące ludzką naturą, wszędzie są też same; ale w obliczu różnej przyrody — nieba, ustroju powierzchni ziemi i klimatu, pod wpły-

wem atawizmu i długowiekowej przeszłości, przystosowuje się czująca i myśląca istota do form, najlepiej odpowiadających danemu otoczeniu. Zrozumieć te formy, ująć, ułożyć i zobrazować tak, aby na tle niezmiennych praw, na tle żywej i martwej przyrody, słowem całego otoczenia nie zadźwięczały jak fałsz i dysonans — zadanie trudne. A jakże łatwo przytem przekroczyć kres artystycznej twórczości i zabrnąć w naukowo-pedantyczne opisy! Sieroszewski dzielnie sobie radzi. Umie on się przeniknąć sposobem myślenia, dowodzenia, mowy Jakutów, umie w każdem położeniu — w smutku, trwodze, rozpaczy, w radości i rozkoszy zdać sprawę z ich myśli, czynów i uczuć.

Jakut jest gościnny, prostoduszny, uczuciowy, wrażliwy, nawet namiętny, przytem naiwnie chytry, wyobraźnia jego zaludniona szatanami i leśnemi djabłami; wierzy on, że gwiazdy są odbiciem blasku jezior na chmurach, że niedźwiedź może się przeobrażać, że dusze zmarłych przychodzą upominać się o masło i tłuszcz, w przepiękny sposób symbolizuje zjawiska natury. Niezliczonej ilości tych drobnych rysów dowiadujemy się z książek Sirki nie bezpośrednio, ale w miarę rozwijających się zdarzeń i powieści. Taki objektywizm, spokój w malowaniu jest oczywiście owocem metody naturalistycznej, która też na opisy niektórych scen rzuca swe jaskrawe połyski.

Naturalistą jest wówczas, gdy opisuje głód Jakutów na przednówku — straszny, mogący chyba znaleźć u Indusów swój odpowiednik; a ci Jakuci wśród najokropniejszych mąk głodowych wspominają o dawnych ucztach, kiedy to przed każdym leżały kupy jadła: „kawał schabu, obrosłego żółtym tłuszczem, jak kamień jagielem, ozór świeżutki, wątroba, serce, chrapy renowe, gruba niby miętus kiełbasa, nalana kopconą w dymie krwią, zmieszaną z kulkami wpółstrawionego reniego kału“. Naturalistą jest, ilekroć z nieznaną dotąd obfitością drobnych rysów kreśli jaką pospolitą czynność. Andrzej „jednem mistrzowskiem cięciem odkroił fartuch ciała na brzuchu rena, odwinął go i wnętrzności wypuścił. Cienkie, szare, splątane jelita wypłynęły pospiesznie, wijąc się jak węże; duży żołądek, koloru martwej twarzy, pełen gazów i kału, wyskoczył z lekkim szelestem ku górze, przykry odór uderzył w twarz Pawła“. Naturalistą jest, gdy z wielką żywością barw przedstawia obżarstwo Jakutów wraz z jego skutkami, ich pijaństwo w czasie przyjazdu kupców, dzikie i pierwotne stosunki seksualne, a zwłaszcza, kiedy opowiada przerażający pochód babuli — ospy, która jak pożar wgryzła się w jurty i pozostawiła same trupy. Niezrównany epik ma tę szeroką skalę talentu, która dozwala mu rzewne i macierzyńskie uczucia, przyjaźń (np. Toi i Aleksandra), żar zmysłowy, wybuchy szału i zazdrości (Chajłach), zapamiętanie się zbrodnicze i wściekłe, bierną ofiarę z życia dla dobra ogółu (Setliczan) odmalować z jednaką siłą przenikającą, ale spokojną — bez odrobiny patosu lub czułostkowości. Lubi i skutecznie używa starego sposobu kontrastów: skręcający wnętrz-

ności głód i rozwiązłe obżarstwo, wesołość i beztroska Jakutów obok bezbrzeżnej tęsknoty i smutku posielenca, gołębia prostota i niewinność Ujbanczyka obok rozuzdania i wichrowatości szalonego Dżjanki. W scenach jego pełno ruchu, pełno dramatyczności. I tu ujawnia się właśnie z całą świetnością niezwykły talent. Mistrzowskie są opisy scen grozą dyszących. Jak przeznaczenie nieubłagany dla ludzi, nie daje się ukoić widokiem słodyczy, niemocy i piękna, lecz dla prawdy obyczajowego obrazu każe niewinnej Keremes zginąć z rąk mordercy Chajłacha. Okropność położenia zwiększa jeszcze bezsilność władzy, której zbrodniarz urąga. Nie znam bardziej przerażającego malowidła stosunków syberyjskich: ani Dostojewski w swych Zapiskach iz miortwawo doma, ani Kennan w swej książce o sybirskiej katordze nie dorównali Sirce pod tym względem. Czyż zresztą opowieść Tumary o morze na renifery nie przypomina spokojnej napozór choć do szpiku dreszczem grozy wstrząsającej boleści — Ugolina z „Boskiej komedji“ i „Ojca zadżumionych“? Ale i tu zachowuje powieściopisarz miarę artystyczną. Nigdy nie przedłuży nad potrzebę tragicznej sceny, nigdy nie zmitręży ciekawości ludzkiej; owszem przerywa najczęściej w stanowczej chwili i dozwala domysłowi czytelnika uzupełnić łatwy koniec.

Pomimo tego, że śmiech i ból wije się w obrazach, przeplatając się nawzajem, daleko potężniej dźwięczy nuta cierpienia. „Bajeczna cisza i bezludność miejsc, które zamieszkiwałem — spowiada się raz autor — wyrugowały z serca mego nienawiść. Pojąłem nie myślą a całym sobą to, co mi twierdzono zdawiendawna, od dzieciństwa, że ból z jednakowem okrucieństwem przeszywa każdą istotę ludzką, każdą istotę żywą, i wszystkie serca, drżące od zmian życia, stały się mi jednakowo zrozumiałe, jednakowo pożałowania godne, choć nie jednakowo... bliskie. Wyobraźnia, wyrobiona ciemnością biegunowych zim, przedstawiała mi wyraźnie i z łatwością całą kulę ziemską — srebrzystą u biegunów, pozłocisto-zieloną w pół ciała, oblaną błękitnemi morzami, pocentkowaną żółtemi plamami pustyń, porysowaną szaremi żyłami górskich łańcuchów, owiniętą płachtami dni, zórz i nocy płynących za sobą niezmiennie“. W istocie cały krajobraz w powieściach Sirki dostraja się doskonale do sposobu życia, do duszy ludzi. Każdy rys drobny, każdy najmniejszy szczegółik, wszystkie linje pejzażu, wszystkie charakterystyczne znamiona splatają się z niezłomną konsekwencją w całość. Rozległe płaszczyzny przez trzy ćwierci roku pokryte mrokiem i lodem, przez jedną ćwierć kipią tłumnym rozgwarem życia. Na tych płaszczyznach masy wody, rozlanej w jeziorach — i tajga, las rzadki, przeświecany słonecznemi promieniami. Oko nie cieszy się rozmaitością kwiecia ani rozkoszuje barwami pól i łanów „wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“. Zato mknie w obszary powierzchni i atmosfery, nie znajdując oporu. Człowiek, pozbawiony otoczenia, w którem się roi niezliczona moc drobiazgowych śladów kultury

ludzkiej, wsunięty w tę głusz i skazany na obcowanie ze światem pierwotnym, zwraca swe oczy na niebo, szuka dali widnokręgów i ogarnia je z miłością i tęsknotą. To też obrazy natury zarysowane szerokiemi linjami, a słońce, księżyc, rozłogi jezior i dolin, krawędzie oddalonej puszczy i wstęga pieniących się rzek — dal i obszar — to główne znamiona krajobrazu Sirki. Napróżnobyś tu szukał szczegółowej obserwacji, jak u Żeromskiego lub Reymonta, albo też cichych i słodkich nastrojów: wszystko powleczone barwami często jaskrawemi i pięknemi w swym majestacie lub grozie, ale jakby kreślone à vol d'oiseau tak, że drobne rysy giną a występuje potężna całość. Później, kiedy wracał z tej dziwnej ziemi i kiedy wspomnienia jej tkwiły jeszcze w pamięci wyraźnie, pisał Sieroszewski: „Rzeka, po której płynęliśmy, miała znaczną szerokość, lecz nie były to już te oceany słodkiej wody, po falach których mknąłem tak niedawno w drobnej cudzoziemskiej pierodze, ze strzelbą za plecami i sieciami u nóg. Niebo słało się nad nami łagodne, szafirowe, nie miało chłodnych połysków niebios północy; blask słońca nie miał metalowej ostrości, odległość — wyrazistości czystych i pustych przestworów". Znamy z licznych opisów podróży do bieguna północnego wielką intensywność tego blasku. „W południowych godzinach — mówi Sirko — cała okolica zamieniała się w rodzaj piekła świetlanego. Maluchne, kanciaste perełki już sformowanego na śniegach lodu, drobiąc promienie na tęczowe barwy, rozpraszały je i znów mieszały w taki sposób, że wszystko zlewało się w jakiś tuman światłości, gdzie każdy atom materji zawierał atom blasku. Mieli oni (dwaj Jakuci) blask ten w górze, na dole, przed sobą, za sobą, czuli go w całem ciele; czuli go w mózgu, dokąd wdzierał się nawet przez przymknięte powieki, a gdy oczy otwierali, zjawiał się tuż przed nimi piekący, krwawy, jak ogromne, rozgorzałe zarzewie". Oto obrazowanie, snujące się na tle aparatu naukowego. Drobienie i rozpraszanie się promieni, atom blasku w atomie materji, wnikanie w ciało i mózg przez powieki, bolesne odczuwanie w oczach — wszystko bardzo wymownie świadczy nietylko o artystycznem spostrzeganiu zjawisk przyrody, ale o umiejętnem ich pojmowaniu. Istotnie do pięknych opisów w powieściach Sirki należą opisy rybołówstwa, wyborne obserwacje o życiu i zwyczajach ryb w Ałdanie, sceny z polowań na kaczki, gęsi i łabędzie, na niedźwiedzie i reny. Najdzielniejszą postacią w jednej powieści jest namiętny myśliwy Jurek, bohaterem geograf i uczony, a cała powieść krąży około geologicznej katastrofy — oberwania się części góry i zasypania rzeki Uruch. Sama fabuła nic tu nie znaczy. Czuł to powieściopisarz, skoro całości dał za tytuł nazwę lodowca kaukaskiego, Riszau. Natomiast dziewicza puszcza, morze, żlebia górskie, szczeliny lodowców, niebo, obłoki, gwiazdy, wiatr, woda i słońce, a zwłaszcza słońce rzucają bogate barwy na paletę malarza. Jeśliby kto jeszcze o tem wątpił, niech przeczyta następujący obrazek: „Na zakręcie, gdzie szczelina kończyła się przepaścią, a potok

tworzył wodospad, Stanisław po bardzo wąskiej ścieżce wprowadził dziewczynę wyżej na strome zbocze, ponad lasy, hen, pod zalane słońcem wiszary. Tu wśród krzewów czeremchy, krępej muszmuły i strzelistych wicin derenia, pokazał jej drzewko ałyczy, obciążone ogromną ilością owoców. Na ten widok Hela aż krzyknęła z radości i pospiesznie zabrała się do zrywania małych, przezroczystych, jakby słońcem nasiąkłych śliweczek z ciemną pestką we środku i delikatnym rumieńcem z boku. Zbierający, rozumie się, nie zapominali o sobie, wskutek czego czas jakiś milczeli, mając usta pełne słodkiego miąższu". Ludzie giną wobec przyrody; rola ich zgoła podrzędna, a natomiast jagody ałyczy opisane z taką mnogością rysów i dokładnością, że opis śmiało mógłby się znaleźć w książce botanicznej. Nie chcę wszakże zgoła przez to powiedzieć, iżby Sirko przeładowywał tok utworów balastem naukowym. Artysta dostoi kroku uczonemu. Przyroda rozwarła przed jego okiem swe tajemnicze łono narówni z duszą ludzką. Prawda, że groźne i posępne siły obu szczególną stanowią dlań ponętę; prawda, że wszelka nędza duszy poniżonej zdobywa sobie w jego sercu tkliwe współczucie; prawda, że malował dotąd przeważnie przyrodę, niekiełznaną przemysłem ludzkim, i duszę ludzką pierwotną, dziką. To nawet tchnęło w jego dzieła czar nowości, ale też zacieśniło je obrębem jednej sfery.

Z „Risztau".

...Wdzierali się coraz wyżej i wyżej. Grzbiet skalisty i zębaty jak piła przeciął im drogę. Było to owo drugie trudne wejście, które zapowiedział im przewodnik. Gdyby nie gęste zarośla rododendronów i olbrzymiej krzewiastej „czernicy", za których wici można się było chwytać rękoma i wciągać jak po linach, gdyby nie nabyta już wprawa i orzeźwiające powietrze wyżyn, możeby się Helena na szczyt nie wdarła. Chwilami czuła się bliską omdlenia, więc choć przez dumę nie przyznawała się wcale do tego, Jurek przystawiał często kolbę karabina do wysokich, potrzaskanych zwojów skał, by dać oparcie nodze dziewczyny. Gdy stanęli na wierzchołku, twarze ich pobielały od bliskich śniegów Risztau. Wszystko wokoło wydało im się bledsze, przejrzystsze i jakby bardziej powietrzne. Tylko łąki na zboczach były niezwykle szmaragdowe. Lasy natomiast skarlały: przez konary drzew przeświecało wszędzie szafirowe niebo i jaśniały białe kołpaki śniegowych szczytów, ku którym dążyli. Na łysych, coraz częściej trafiających się polankach ogromne paprocie tamowały im drogę. Wilgoć, kapiąca z ich liści, zmoczyła wędrowców nie gorzej od deszczu.

Nad nimi i pod nimi płynęły chmury, zostawiając po kniejach i zaroślach kłębuszki i szmaty swych mgieł. Powietrze było już tak chłodne, że, mimo ciągłego ruchu i gwałtownych wysiłków, zbytniego rozgrzania nie czuli. Przed samem wyjściem z lasów, gdy spuścili się w dół, by ominąć niezmiernie przykre przejście przez przełęcz, przewodnik omylił się i zbłądził. Zostawiwszy ich samych, poszedł szukać drogi, a oni siedzieli na kamieniach zmęczeni i smutni.

— Czem się to skończy? — myślał Jurek, z trwogą przyglądając się Helenie, pochylonej nad przepaścią.

Gwizdnięcie rozległo się w górze: to przewodnik dawał im znać, że drogę znalazł. Zaczęli się więc wdzierać, ale tak było ślisko i stromo, paprocie dawały takie niepewne oparcie, że Jurek krzyknął niecierpliwie na Swaneta, aby im pomógł. Wyszedł z tumanu tuż koło nich prawie, wziął ich węzełki i, wesoło uśmiechając się, powiedział:

— Risz-tau!

Po chwili stali na wyniosłym, kamiennym cyplu. Przed nimi drzemał w słońcu zimny, biały olbrzym. Potworną piersią zwalił się na grudę szarych skał, na wszystkie strony rozpuścił kamienne łapy, odnóża i macki o piłowatych grzbietach, zwietrzałych i ostrych, z niezliczoną ilością szczelin, zrębów i rozwidleń, któremi, jak siecią, oplątał tłum gór, zdusił i trzymał w poddaństwie. Między palcami i żyłami tych ciemnych opok, między haczykowatemi ich skrętami, po wąskich żlebach spuszczały się na dół blade lodowce, z pod których buchały wodospady i, rwąc, szaleając, spadały w otchłanie, gdzie widać było śliczne, zielone hale i knieje, drobne, jak mech. Kiedy niekiedy chmura otarła się o niepokalanie białe czoło szczytu i płynęła wdal, rzucając na te góry, doliny, wody i bory cień przejrzysty i niebieskawy.

— Już blisko!... już blisko!... — powtarzała w upojeniu Helena, rwąc rosnące u nóg jej żółte azalje i zatapiając w nich rozgorączkowaną twarz; obok niej stał Swanet, wsparty na karabinie, i patrzał na góry, a dziki zachwyt malował się w jego dzikiej twarzy. Jeden Jurek był smutny.

Aby dostać się do głównego szczytu, musieli przebyć głęboką, u stóp jego leżącą dolinę, następnie — wedrzeć się na zupełnie nagą, omszałą przełęcz i, po wąskim jej grzbiecie, przenikającym niby żebro pod oponą śniegów, dostać się na lodowce, które obszedłszy, można już było spuścić się w dolinę Urucha. Wytłu-

maczył im to wszystko przewodnik bardziej palcem niż słowem i naglił do zejścia. W dolinie powinni byli wypocząć i zjeść obiad, a nocować już mieli u samych lodowców. Zejście było bardzo przykre; pocieszał ich tylko widok doliny, wysłanej żywą, wesołą zielonością i, jak cudny kobierzec, wysypanej kwiatami. W wądołach bieliły się płachty wiecznych śniegów, a strumyk czysty jak łza sączył się od nich po łące. Spłoszyli stado żeranów, pasących się na dole; odeszły spokojnie na śniegi, ciekawie oglądając się na nich, aż Jurek strzelił i zabił jednego; wówczas pierzchły, skacząc po skałach, jak sznur płowych błyskawic.

Pogoda dopisywała im dotychczas. Dopiero gdy, wypoczęwszy i posiliwszy się, weszli na ostatnią przełęcz, Helena aż krzyknęła z przerażenia. Cała głębia północnego stoku wypełniona była chmurami: kłębiły się, wzdymały, opadały, i czuć w nich było fermenty burzy. Mężczyźni, prócz dawnych pakunków obciążeni wiązankami drew i ćwiartkami zabitej zwierzyny, poruszali się bardzo powoli i ostrożnie. Helena chętnie byłaby usiadła i posuwała się na klęczkach; szli po wąskim, śliskim szlaku, niby po szczycie ogromnie wysokiego, kamieniami krytego dachu. Przebywając niebezpieczniejsze zazębienia, dziewczyna chwytała się rękoma za skąpo rosnące tam trawy, czepiała złomów, byle nie patrzeć przed siebie w przestworza, nie prostować się, gdyż zdawało jej się, że bezmiar ją porwie, że lada wietrzyk ją zdmuchnie. Droga w tych warunkach mogła przedłużyć się nad miarę. A tymczasem słońce było już blisko zachodu; przepaście na jasnej stronie powlokły się długiemi, ostremi cieniami, mgła wzdymała się, rosła, jak ciasto na drożdżach, aż zaczęła się przelewać przez szczerby grzebienia, po którym szli. Brnęli w niej, jak w wodzie.

— Jurku, nie mogę iść... Strasznie się boję!... — rzekła Helena.

— Aby tylko nie wiatr... aby nie wiatr!... — szeptał chłopak, podając jej rękę. — Pewnie zatrzymamy się tu gdzie niedaleko.

Z „Puszczy Białowieskiej".

Po „tajgach" północnej Syberji, po zabajkalskich „urmanach", po puszczach Kaukazu, otrzymałem tu wrażenia leśne zupełnie nowe i zajmujące.

„Tajga" nie jest gęstą. Ma dużo niegrubych pni, dużo gałęzi i dużo powietrza. Często przedstawia zwykłą szarą sieć chróstu.

Gdzie spojrzeć, prześwieca blade niebo. Las — w rzeczywistości czarny, osmalony, kołtunowaty, wydaje się w skupieniu delikatnie bladym od przewagi złotozielonych modrzewi i obfitości światła. Słońce w tajdze nie tworzy olśniewających smug, ostrych strzał, centków i plam, o krawędziach wyraźnych, jak grudy rozsypanych dukatów; nie rzuca również głębokich, żałobnych cieniów; ono przenika wszędzie i kładzie na grzędy pokotem ułożonych, omszałych zwałów deseń płytki, misterny i bardzo ruchomy. W tajdze prawie niema podszycia, niema wesołych szmaragdowych łąk, jest zato mnogość jezior, kępiastych bagien i moczarów, gdzie drzewa chore, słabo uliścione, sterczą krzywo w rozmaitym kierunku, jak sterczy zarost na pomarszczonem obliczu Azjaty. Tajga martwa. Prócz szumu wichrów, plusku fal, trzasku padających drzew, wędrowiec nic nie usłyszy — w jej głębi. Gdy drzemie, można dziesiątki wiorst przebyć i mieć za towarzysza tylko stuk kopyt własnego wierzchowca. Cały jej urok w jej smętności i jej bezmiarze.

„Urmany“ południowej Syberji, są to gniazda boru tak rosłego, zwartego i ciemnego, że ma pozór jakiejś olbrzymiej leśnej piwnicy. Wyrastają one tylko w żyznych górskich dolinach lub zaciszach, osłoniętych od suchych, gwałtownych, stepowych wiatrów i są wkropione w obszary zwykłej, trochę tylko bujniejszej tajgi. Spotkać tam można sosny, modrzewie, świerki, cedry (limba), tak potężne, jak nigdzie. Guzowate ich cielska, gruba, spękana kora, kręte, szeroko rozrzucone konary, ogromne zwoje korzeni, jak polipy oplątujących złomy skał — robią wprost potworne wrażenie. Niema żadnego podszycia. Nic nie rośnie w cieniu tych północnych olbrzymów. Wilgotno, cicho, czarno, jak w katakumbach. Promień słońca, gdy się przekradnie szczytowym otworem, świeci smutno, mdło, jak przez więzienne okienko. Drzewa żyją, władają wieki i konają wieki. Zwały upadłych tworzą wysokie stosy, na których ciężko wspierają się kadłuby późniejszych nieboszczyków. Toczone przez robactwo, jedzone przez pleśń i liszaje, obłupane z kory, boleśnie wygięte rysunkiem swych obwisłych boków, pochyleniem sęków wyrażają namiętne pragnienie lec i wypocząć nareszcie na ziemi. Przyciśnięci przez nich towarzysze, grubi i tędzy, zachowują obojętność skamieniałych tytanów, charławsi wyginają się poczwarnie, jak kupa przyduszonych jaszczurek. Najśmielszy, najzręczniejszy myśliwiec nie odważa się daleko zapuszczać w te żałobne ostępy. Przedrzeć się przez nie znacznie trudniej, niż wspiąć na najstromsze skały. Tu

tylko kryje się ryś po nocnych rozbojach lub lękliwie przesunie wszędzie prześladowany, „wieczny tułacz", soból.

Puszcza Kaukaska to znowu świat kontrastów, to śliczny gotyk, pełny mrocznych cieniów, smug światła i stłumionych barw. Pnie drzew równe, niezmiernie wysokie, z korą gładką, delikatną, tworzą miejscami obszerne, schludne, przewiewne kolumnady, gdzie pachnie mocnym aromatem południa, gdzie czuć, że nad zielonym koron baldachimem świeci dzień olśniewająco jasny i gorący. Miejscami znów roślinność zbija się tu w nieprzebyte gąszcze, w wojłok utkany z pni dębów, buków, z pnączy, z dzikiego winogradu, bluszczu, z tysiąca krzewów, pędów, latorośli... Górski las śmiało czepia się stromości urwisk, spełza w przepaście po szczelinach skał. Ma nieskończoną rozmaitość spadków i ugrupowań, rozmaite podłoża, podlesia i nieskończenie rozmaitą roślinność. Bujny, pachnący, soczysty, lubi dawać strzeliste odnogi, formować smagłe drzewa o wężowych gałęziach i małych głowicach, niknących w niebotycznem wspólnem sklepieniu. Gatunki dają się poznawać tu tylko po korze, po spadłych liściach i owocach; u osobników widać dobrze tylko odziemia i korzenie. Zwałów mało, gdyż przeważa las liściasty, którego tęgie, giętkie łapy niełatwo wyrwać z ziemi; upadłe drzewa szybko butwieją i zostają pożarte przez robactwo, pasorzytne rośliny, starte na próchno, wessane przez ziemię. Tu nie martwo, nie cicho, choć zaciszno, nawet w najpotężniejszą burzę; gdy górą przewala się z strasznym łoskotem orkan, w dole można zapalić zapałkę bez obawy, że ją wiatr zgasi. Ale dźwięczeć i szemrać puszcza tutejsza nie przestaje na chwilę, nawet w nocy. Nic nie widać, lecz czuć, że życie tętni, drga, przelata w brudno-zielonym cieniu drzew, przekrada się przez krzewy bukszpanów, przedziera przez gaje jaśminów, przez gąszcze żółtych azalij lub rododendronów o różowych kwiatach, że ono ślizga się pod parasolami olbrzymich paproci i łopuchów, trąca sennie wiszące liany. Wciąż można spodziewać się, że coś niespodzianie wyłynie z nieznanego wnętrza i przeraźliwy krzyk zmąci rozkoszną serenadę lasu. Mieszkaniec wyższych szerokości globu musi się z tem życiem zwyknąć, nim je polubi; z początku ono dla niego jest za nużące, za bogate, za rojne i... za mroczne.

Puszcza Białowieska uderza nadewszystko przedziwną harmonją rozmiarów i światła. Drzewa bardzo kształtne i wyniosłe nie są jednak ani tyle wybujałe, ani rosną tak zwarto, żeby zatra-

cały swą fizjognomję. Zawsze można znaleźć punkt, z którego widać cały osobnik od spodu aż do czuba, skąd można poznać charakter koron i proporcje strzał. Mimo to puszcza nie jest bladą; owszem jest niezmiernie zieloną. Każda cząsteczka powietrza wydaje się nasycona tą zielonością, która spływa wraz z słońcem z umiarkowanie gęstego stropu, bije z dołu od bogatego podszycia leszczyny, jałowcu, od młodej porośli, od rozmaitych odmian traw, ziół, chwastów, od brudno-zielonych mchów i ciemnych, jak laur, plam jagodniku. Oko pławi się w tej zielonej powodzi, jak w ożywczym nektarze. A że drzewa skupiają się w duże, zwarte połacie jednego gatunku, więc spojrzenie wciąż odnajduje nowe kombinacje tonów, zarysów perspektywy. Jest to niby cudowny poemat, bardzo spokojny, bardzo przejrzysty i bardzo swojski. Każde drzewo to niby wyraz a wszystkie je znamy. Ale wydane przez ziemię żyzną, wolną, chronione od siekiery i pożaru przez wieki, zachowały właściwy im dobór, porządek i własne prawa, tworzą niezwykle urocze, niespodzianie piękne gaje, sploty... akordy głębokie i tajemnicze.

Wszystkim przoduje sosna. Jest jej najwięcej i dorasta tu ona wspaniałych, nigdzie niewidzianych przeze mnie rozmiarów. Robi też wrażenie najbardziej towarzyskiej i uspołecznionej, gdyż częściej od innych skupia się w jednolite bory. Patrząc na nie, łatwo zrozumiałem, dlaczego zwano je niegdyś „czerwonemi". Ognisty odblask pni płynie górą, niby łuna — niby zebrał się tu i błyszczy w promieniach gasnącej zorzy oddział driad w zbroi drobnołuskiej, stalowej u spodu, a pozłocistej w pół ciała. Śmigłe, gibkie, toczone ciała drzew wdzięcznie kołyszą się w wietrze; mają korony zgrabne, niewielkie, o niegrubych gałęziach, tak nieraz ślicznie wygiętych, że wydają się ramionami dziewic, co wybiegły nareszcie na słońce i ruchem lubieżnym, wyzywającym odwróciły iglastą pierś i pachnące twarze ku tylko copoznanemu niebu.

Świerk co innego. Świerk ma kształt dzwonnicy i charakter mistyczny. Jest abnegatem. Na jego strzelistym, ale brudnym, kostropatym pniu łatwo wykwitają liszaje, śniedź, chętnie wieszają się siwo-brode porosty. Całe szczęście, że lubi, niby w habit, aż do stóp owijać się w kręgi ciężkich, spuścistych gałęzi, o ciemnem, krótkiem igliwiu. To mu dodaje powagi, na tem on gra. Kiedy wiatr wieje, on nie jęczy, nie śpiewa, ale drży, szepcze modlitwy, gderze, wygaduje... W mrukliwym, basowym jego szeleście dźwięczy wiele posępnej, męskiej melancholji. Obok rozkosznej sosny,

albo wiotkiej brzozy, bardzo odbija jego mnisia postać, szczególniej, gdy wysuwa kosmate łapy i pieści ich wysmukłe kibicie.

Dąb w takich razach poczyna sobie zupełnie inaczej. Mimo gonności pnia, wysokości i gładkości, wygląda potężnie, gdyż tylę jest prawie gruby u szczytu, co u podstawy. Konary kręte, węzłowate, załamują się ostro, niby łokcie, któremi chce rozepchnąć sąsiadów. Gdy wyprzedzi sosny i świerki, co mu się łatwo udaje, szeroko rozsuwa gałęzie i wszystko wkoło bierze natychmiast w poddaństwo. W gajach wyłącznie dębowych rośnie obrzednio, ma kolosalnie rozrosłe, żylaste ciało, wspaniałą kędzierzawą koronę, słowem — ma minę wielkiego pana, zdobywcy — rycerza starej daty. Kora na nim, jak kolczuga, pęka w duże, grube ogniwa.

Hoża lipa, elegant grab, prostacza olcha, blada brzoza, histeryczna osina, wiąz, klon, wierzba, jarząb tworzą niższy, wątlejszy tłum puszczy; można nawet spotkać wśród niego gruszę i jabłoń wysokie i cienkie, jak trzciny. Poetycznie wyróżnia się smagły jesion o cienkiej, drobno pomarszczonej korze i wytwornej, widlastej koronie z puklami jasnych, pierzastych liści.

Zwałów w Białowieskiej puszczy mniej, niż w Syberji, ale więcej, niż na Kaukazie. Upadłe szybko butwieją, porastają grzybem i mchami. Przykryte ich całunem drzewo wygląda jak ogromny, smętny sarkofag. Gdy się trafi na szereg takich sarkofagów, leżących u stóp wyniośle wybujałych żywych osobników, dziwne uczucie ogarnia człowieka: nie chce się mówić, myśleć, a siada się i godzinami słucha uważnie, jak szumią w górze gałązki, jak dzięcioł kuje w oddali, jak przepływa promień słońca niby złota wskazówka zegaru po rudawem podłożu lasu. Czasem przeleci cicho czarny motyl, szary ptak gwizdnie lub ciekawa wiewiórka wyjrzy z pobliskiej rosochy...

WŁADYSŁAW ORKAN

(Wł. Smreczyński)

(* 27. XI. 1876 w Porębie Wielkiej).

Osobno wydał: „Nowele“ 1898. „Nad urwiskiem“ 1900. „Komornicy“ 1900. „W Roztokach“ 1902. „Skapany świat“ 1903. „Z tej smutnej ziemi“ 1903. „Ofiara, wina i kara“ 1905. „Herkules nowożytny“, „Miłość pasterska“ 1905. „Franek Rakoczy“ 1908. „Pomór“ 1910. „Drzewiej“ 1912. „Z martwej roztoki“ 1912. „Wesele Prometeusza“ 1920. Ponadto antologja pt. „Młoda Ukraina“.

Przygrywka.

Ukochałem lud biedny nad miarę —
  Bom się jego pieśnią wykołysał...
Ukochałem zwyczaje i gwarę —
  Które dziecko z piersi jegom wyssał.

Co mię wiąże z ludem jeszcze szczerzej,
  Powiem — choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy —
  Oto wspólna towarzyszka — bieda...

Może ona zaćmiła mi oko,
  I przesłania serc biedaczych głębię —
Że nie mogę patrzeć tam... wysoko —
  I od ludzi sam gnębiony — gnębię...

Może ona mi zaćmiła słonko,
  I na nerwach zwinęła promienie,
Że, gdy chodzę serc ludowych łąką,
  Poza światłem wszędy widzę — cienie...

Poza światłem cienie widzę zawdy,
Łzy mię ciągną więcej, niźli blaski...
Lecz do ludu nie schodzę, jak z łaski —
Ja w nim samym szukam tylko — prawdy.

„W Roztokach".

(Fragment.)

Noc była czarna, gdy zaszedł ku izbie, w oknach się już nie świeciło, widać, że ludzie posnęli. Zlekka otworzył drzwi, by nie skrzypiały, i cicho wszedł do wnętrza. Nie szukał światła, ani wieczerzy nijakiej, ino legł na posłaniu i pogrążył się w dumaniach o jutrze swojem.

Przeróżne obrazy życia stawały mu przed myślą, jasne i mroczne, szare i niezwykłe, a nie mógł nijak wybrać i oprzeć oczu na jednym. Niepokój przylazł, przyczołgał się do łoża jego i nie ustąpił, aż sen uśmiercił myśli. Kur prawie opiewał północ.

Duże rano już było, gdy Rakoczy wstał. Nie budziła go siostra, bo wiedziała, że późno wczora przyszedł.

Po śniadaniu, skoro się już poodbywali z robotami w izbie, a szwagier, wziąwszy siekierę, zabierał się w pole, ozwał się Franek:

— Zaczekajcież, chciałbych z wami pogadać otwarcie. Bo tak dzień za dniem schodzi, nigdy niema czasu, nawet chwili nieurada wydostać na słowa.

— Dyć ja tu przecie nie za światem... — mruknął w sieni szwagier. Ale zawrócił wnetki i złożył siekierę.

— O czem-żeś to chciał pogadać? — spytał.

— O tem, co nas łączy razem, a chciałbych, żeby się już raz urwało. Nimielibyście wy nad głową biedy, ani ja związanych rąk.

— Czy nam to bieda? — zagadnęła Zośka. — Dyć przecie chwała Bogu, nic nam się nie dzieje.

— Tak, ale zawdy trzeba się spodziewać, że rozłąka może nastąpić kiedy tedy. A lepiej wcześniej i odrazu, to i wam dużo milej bedzie pracować na swojem.

— No dyć o to, to ta i prawda — mruknął szwagier.

— Nie bedzie wam wsze, jak ta zmora, nad głową wisiało.

Usiadł na ławie. Skoro widział, że uwaga zajęła całą izbę, począł:

— Wspomniałech wam niedawno o zamiarach żeńby. Nie wiedziałech jeszcze wtedy, jak sie to ułoży. Od ojca bowiem dużo zależało: mógł mnie przyjąć, abo nie. Myślałech se różnie. Ale teraz wiem na pewno, czego sie mam trzymać. Otoć tak wam powiem, szwagrze: Gruntu nie wymagam, bo wiem, że go i na zbyciu niema. Jeden ledwo tu wyżyje, dwaj musieliby biedować.

— No dyć sprawiedliwie padasz...

— Nie chcę też ukrzywdzać siostry, bo i na drugiej połówce narobiła się od mała...

— Od dziecka prawie — dorzuciła.

— To też o gruncie nie myślę. Niech ostanie przy was. Ino żądam spłatu z niego, ale odrazu, bez zwłoki, abych miał czem poczynać, nim kany osiędę...

Zatrzymał się i po chwili zadumania wyrzekł:

— Smutno to jest opuszczać ojcowiznę swoją. No, ale darmo! — podniósł głowę. — I jakże myślicie?

Nikt nie spieszył się z odpowiedzią, bo każde czuło, że to moment ważny, trafiający się raz na jedno życie. Trza się więc długo nad tem zastanowić, zanim się słowo wyrzecze. Zośka stała przy nalepie, z opartą brodą na dłoni; szwagier spoczywał na gnacie i zdawał się być mocno zamyślonym; jedynie mała Marysia nie czuła ważności onej chwili. Włóczyła po izbie mysz na sznurku, przerobioną z lalki, i serdecznie się śmiała, gdy jej kot nie mógł dogonić. Trwało to dość niekrótko. Aż ucnęło się kotowi daremne bieganie — siadł — Marysia, rada nierada, musiała mysz schować. Wtedy szwagier podniósł głowę, ozwał się pomału:

— No dyć dobrze... Kiedy trza, to trza, to nic nie pomoże. Ale powiadasz pono: „Nim kany osiędę“... To wójt nie myśli cię przyjąć do chałupy, czy jak? Bo niedoznaku rozumiem...

— Eh, co ta o tem gadać! Dość, że spłat mi jest potrzebny i to dziś odrazu.

Z tego wymiarkował szwagier dwie rzeczy: naprzód, że Suhaj Franka musi nierad widzieć, i kto wie, czy mu zechce po dobrej woli dać Hankę; powtóre, Franek musi rety potrzebować pieniędzy, skoro tak przenagla. A trzecią myśl już letko wysnuł z dwóch poprzednich: że łatwa będzie z nim ugoda i nieciężki targ.

Ośmielony tą myślą, przeżegnał się w duchu, by na złą chwilę nie trafić, i zagadnął:

— Kiełoż-byś to chciał wypłatu? Dy powiedz otwarcie...

Zośka chciała zapobiec pytaniu, ale już było za późno. Franek się począł namyślać pomału. Dodała więc dla zmniejszenia:

— Zastanów się i uważ, kielo ci potrzeba...

Ale słowa jej serdeczne nie znalazły zrozumienia, jakiego chciała. Franek bowiem odrzekł prędko:

— Mnie potrzeba więcej, niżby se kto myślał. Ale co ta o tem gadać. Dacie mi pięć stówek spłatu, i odejdę z Bogiem.

Na to szwagier powstał z gnata i zwrócił się do Zośki:

— To my tu nie mamy co robić. Kiedy tak słono szacuje, to niech ostaje, niech robi, a my weźmy spłat i pódźmy...

Ona zaś wybuchnęła płaczem i poczęła wołać:

— To nas chcesz zniszczyć doznaku? Masz ty sumienie jakie, abo serce? Choć szczypte sumienia? powiedz...

Franek gniewem zadygotał i zerwał się z ławy.

— Czyż ja wam czynię jaką krzywdę? Sobie gorzej robię... Przecie ta ziemia więcej warta, niż dwadzieścia stówek. A budynki? A statek? A przystrój domowy? Jakby przyszło do podziału, ktożby na tem stracił? Przecie nie ja, bo nie chcę nawet trzeciej części... I to wam zdaje się za dużo? Porachujcież w głowach swoich i osądźcie lepiej...

— Mojeśty — podjął szwagier — tu nie o to idzie. Insza rzecz połowę oddać, a insza zapłacić. Siedź-że ty na jednej części, wydobądź z niej telo, żebyś mógł drugą oczyścić i omyć z niej spłat, jak on jeszcze przelatuje jej wartość rzetelną.

— Przecież o pół mniej żądam, niż warta owa część!

— Tak ci sie to widzi... Podumaj sam, a uważysz i staniejesz hrubo. Teraz grunta upadają, wszystko idzie z góry, nawet ornistego pola nic szacują za dawne ugory. I obrobić niełatwo, nie tak, jak drzewiej. Teraz ludzi nie upytasz darmo do roboty, ba kiebyś każdemu płacił i to jeszcze słono, do tego proś, obłapiaj, kłaniaj sie niziutko. Tak sie ponauczali po tych djablich miastach, że nic, ino zapłata i pieniądz odrazu. A tu skąd sie telo nabiere? Człek nie ma pojęcia. Bo na sobie nie urwiesz, ani z tych skali zatraconych marnego centa nie wygrzebiesz.

Wodził oczami za Frankiem, gadał i jęczał bezustanku. A Zośka ocierała łzy czarną zapaską, ile razy ku nalepie zbliżał się chodzący.

— To słuchajcież — stanął Franek. — Opuszczę wam sto, i niech już bedzie. Nie trapmy sie wzajem.

— O mojeśty — podjął szwagier — tobyś ty łatwy chciał mieć koniec...

— To wam jeszcze za dużo!

— Na żaden sposób nie przystanę...

— A kiełoż wy chcecie?

— Ja uwazuję: sto śrebła, to już masz gardło niemały...

— Czyście wy przy dobrym zmyśle? Czy ze mnie kpicie?

— Nie kpię — kanybych zaś śmiał! Ani mi też Pan Bóg (tu się skłonił) łaską Swoją przenajświętszą rozumu nie odjął, ino, jak powiadam...

— Zośka! A ty co na to?

Trząsł się wewnątrz oburzeniem.

Zośka nie odpowiadała prędko, najpierw łzy otarła, potem zapaskę otrzepała dłonią i rzekła wolno:

— Coż ja na to powiem? Sam widzisz, że nam sie znikąd nie leje...

— To zdzierstwo! — odwrócił się do szwagra. — W biały dzień! I jakże wy śmiecie coś podobnego...

— A ty jak śmiesz stawiać takie sumy? I nie wstydzisz sie Boga Ojca. Coż ja to takiego powiedział? Moi ludzie drodzy... Przecie sto śrebła, to pieniądz! Trza sie dość nałamać kości, nim sie je z gruntu dobędzie...

— Nie słucham żadnych labiedzeń. Dacie mi spłat, jaki żądam, czy nie? Ostatnie słowo!

— Sto śrebła możesz dostać odrazu...

— A resztę?

— Jaką resztę?

— No, moiściewy, ja ze siebie nie dam kpić. To darmo. Nie chcecie przystać po dobroci, to was prawo zmusi...

— Franek! Co ty masz w głowie? — skoczyła Zośka, lecz ją szwagier wstrzymał.

— Niech skarży! Bedziemy widzieli, kto wygra. Ja tu swoją pracę włożył, a on co? Może ten rozum, jakim sie przechwala? Adukatować radby ino, chciałby se letko żyć...

— Ani słowa! Bo jak mnie złość porwie...

— To co? W swojej chałupie nie wolno mi gadać?

— Chałupa wasza?

— A czyja? Tyś już dawno wybrał z domu, co ci sie patrzyło. Nic, ani złamanego kija nie dostaniesz. Chciałech po dobroci z tobą, ale nieporada. Kiedy tak, to sie prawujmy!

— Jędruś...

— Cicho! Nie płacz! Nauczymy go rozumu, kiedy taki masny...

— A zmilczcież, bo już dłużej nie ścierpię...

Począł się prędko zaodziewać.

— Słuchaj! — zwrócił się do szwagra. — Żebych na nią nie uwazował — wskazał siostrę — tobych cię tak sprał...

— Pomału! Coś mi ta za rycerz!

— Kości-bych ci pogruchotał doznaku na piekne.

— A sądy kany? A prawo?

— Ja sie też idę o nie pytać...

Pchnął drzwi i wypadł z izby, jak z waru.

Z „Nowel".

(Z „Pogrzebu".)

* * *

Od chałup z pod lasu gromada ludzi płynie powoli, rozsuwając miałki śnieg z pod nóg... Czterech tęgich parobczaków trumnę czarną niesie na ramionach. Wszyscy na mróz głowy poodkrywali i nucą półgłosem jakąś smętną, grobową pieśń o czyścu...

Na białem tle, ta czarna masa, jak cmentarz posuwa się powoli... Czasem melodja popłynie ku sinym lasom, czasem poważny, basowy głos dzwonu o pobliską górę się obije, to znów rozdzierający płacz kobiety, idącej za trumną, przedrze powietrze, a cała wioska spokojna, cicha, weselną szatą białą przybrana, śnieżystą piersią w słońcu oddycha, rzędami drzew i miedz poorana...

Przed kościołem stanęła gromada ludzi. Naprzód trumnę ponieśli młodzi do kościoła, za nimi posunęli się starzy, kobiety, dorośli i niedorostki... Nieduży kościółek wnet zapełnił się zgromadzonymi „na pogrzyb".

Grabarz z pomocą parobczaków postawił trumnę na katafalku i zapalił dwadzieścia cztery świec. „Za trzydzieści reńskich dość światła, powiedział ksiądz pleban" — tak objaśniał grabarz ciekawych.

Organista zaintonował żałobną pieśń i ksiądz w czarnym ornacie wyszedł do ołtarza... Po skończeniu mszy św. rozpoczęły się wilije. W jednej ławce ksiądz wikary, w drugiej organista śpiewali monotonnie naprzemian psalmy pogrzebowe. A lud płakał „kie sie jegomość z organistom przemowiali..."

Spory pagórek centów piętrzył się na tacy przed trumną. To lud „na ochfiarę“ złożył...

„Przecie cent, to nie piniądz, a nieboscykowi sie jako tako dopomoze...“ Hej!

I skończyło się nabożeństwo. Trumnę wynieśli z kościoła; za nią szedł zwolna ksiądz w żałobnej kapie, dookoła zaś postępował lud rozpłakany...

Zatrzymali się nad grobem... Ksiądz pokropił i rzucił drewnianą łopatką parę grudek zmarzłej ziemi na trumnę. Lud począł szlochać głośno... Kobieta-wdowa z krzykiem rozpaczy rzuciła się ku trumnie, objęła ją czerwonemi od zimna rękami i, zawodząc głośno, całowała zimne deski...

— Nie mogliście się w domu wypłakać!... — odezwał się „jegomość“. — Tu już krzyczeć darmo!...“ — Zaintonował „Salve“ i, uważając obowiązek za spełniony, równoważnie do zapłaconej sumy, oddalił się szybko, bo mróz nie żartował.

A kobietę ledwo zdołali znajomi odedrzeć od grobu... „Łoczymali“ jej jak mogli... a ona ostatkiem łez żegnała „nieboscyka“.

Lud otoczył grób kołem i począł nucić rzewnie, cicho pieśń nagrobną:

„Pogrzebmy to ciało w grobie —
Niechaj tu spoczywa sobie...
Albowiem z ziemi stworzone,
W ziemię będzie obrócone...“

Straszną prawdą, silniej już zabrzmiała druga zwrotka:

„Możny i ubogi równy —
Nikt od „śmierzci“ nie wymówny;
Któż wie, na kim kolej stoi?
Przeto niech się każdy boi...“

Lud rozśpiewał się, rozpłakał i nie spieszyło mu się do domu, choć mróz szczypał twarz i oczy... Gdy skończył jedną pieśń, zaraz rozpoczynał drugą, a co która, to rzewniejsza żałobną melodją... Jakby głos skarżącego się z trumny leciał śpiew po drzewach:

„W tę podróż odchodzę... nie biorę nic z sobą —
W postaci okryty śmiertelną żałobą...
Tylko cztery deski, z siedmiu łokci szata —
To cała zasługa z mizernego świata...“

To znów podzielili się młodzi i starzy na dwa chóry żałobne, chóry umarłych i żywych. Młodzi pytają grobów:

„Zatrzymajcie się — rozpytajcie się:
Czyje jęczą prochy?...
O syny, córki!... — co te pagórki,
Co szepcą te lochy?...“

A odpowiedź grobów płynie:

„Pominęli nas — zapomnieli wczas
I nie rzekli nam:
Wieczny pokój wam!...“

I bolesną powtarza się skargą. A żywi pytają się znowu:

„Odezwijcie się — upomnijcie się,
Smutne kostek jatki!...
Nie zna was cudzy — krewni i słudzy,
Nie znają was dziatki...“

Odpowiedź umarłych, jak z grobów jękiem się wydobywa:

„Śpimy głęboko... Już wasze oko
Nie zobaczy nas,
Chyba w sądny czas...“

Pieśni się skończyły... Ludzie pocichu szeptali paciorki — i poczęli się rozchodzić w nabożnem milczeniu po cmentarzu... Każdy przecie chciał się i za „swoich“ pomodlić — a nie było człeka „coby kogosi ze swoich tu ni mioł...“

Wreszcie ostatniego dziada mróz wygnał z cmentarza i cisza była w zmierzchu drzew — wielka cisza grobów...

Prawdziwą boleść tego ludu tylko na cmentarzu można zobaczyć. W furcie cmentarnej zbywa on się ziemskich namiętności — i te prawdziwe skarby pięknej duszy jego otwierają się na widok grobów rzewnością nieopisaną, smutkiem prawdziwym i płyną w żałobnych melodjach na świat z cmentarza... Zawzięty chłop, gdy na cmentarz wejdzie, gotów darować wszystko największemu wrogowi... Tu się odbija prawdziwa jego wiara: uczucie... Ko-

medją są wielkopańskie pogrzeby „na urząd“ wobec tych bogatych świątyń smutku i żałości ludu!... Piszę to, com widział i słyszał. Dzieckiem jeszcze, wypłakałem duszę przy tych cmentarnych śpiewach ludowych. I nie żal mi smutku owego... Kto chce lud poznać — niech idzie słuchać jego nagrobnych pieśni. I nie wiem, czy jest człowiek myślący, któryby potrafił łzy powstrzymać, gdy tylko samą melodję usłyszy owej pieśni grobów...

EDWARD SŁOŃSKI

(* 1874).

Wydał oddzielnie: Dla mojej pani 1898. Z wiosennych dum 1898. Poezje 1899. Zeszyt bez tytułu 1900. „Do Boga; Poemat“ 1901. Noc 1902 Wiesio 1903. Okruchy 1904. Pieśń nad pieśniami 1904. Fragmenty 1905. Bezimieńce 1907. Przebudzenie 1907. Jeszczem wciąż pełen wiosny 1909. Z pod szronu 1910. W więzieniu 1911. Partja 1911. Wybór poezyj 1911. Niezżęty kłos 1913. Powrót 1914. Ta, co nie zginęła 1915. Idzie żołnierz borem, lasem 1916. Jak to na wojence 1916. Już ją widzieli idącą, (wiersze o Polsce, o wojnie i o żołnierzach) 1917. Prawdziwa wojna 1917. Bajka o białym orle 1917. Wiśniowy sad 1918. Śmierć we mnie rośnie 1919. Zatopione królestwo 1919. Na progu Polski 1921. Syn 1922. Maj ostatni 1922.

Z „Sonetów“.

O zmroku.

Niebo nade mną, wkoło mnie zmrok szary,
Z nieba księżyca patrzy twarz wybladła
Na przezroczyste srebrnych wód zwierciadła
Na złotych łanów drzemiące obszary.

Mgła na doliny i na wody spadła,
Całunem błotne zakryła wiszary,
Srebrną oponą zakryła las stary...
Po lesie nocne snują się widziadła.

I stuwiekowe, niebotyczne sosny,
I stuwiekowe dęby cicho drzemią,
W blaskach księżyca błyszcząc srebrną rosą..

W nocnych oparach powstaje czar wiosny,
Anioły marzeń lecą ponad ziemią
I bolejącym ukojenie niosą...

O świcie.

Świta... Ucichły wszystkie szmery w borze,
Blask jakiś srebrny zszedł na górskie szczyty —
Świat śpi, białemi mgłami upowity,
Stary bór milczy... W dole, na jeziorze

Drzemią lilije, wpatrzone w błękity,
W tęczowych świateł budzące się morze,
Gdzie duchy białe, gdzie anioły boże
Budzą jutrzenki i blade przedświty...

Ja jeden nie śpię... W szarawym półmroku
Świetlanych marzeń wije się nić złota —
Chcę lecieć w kraje, niedostępne oku,

Na orle drogi; chcę stargać wędzidła,
Lecz na mym progu usiadła tęsknota
I pierś przygniotła i związała skrzydła.

Po onej drodze, kędy smutek chodzi,
Po owych ścieżkach, gdzie pełza tęsknota,
Naszych snów pierwszych snuła się nić złota —
Tędy, jak starzy, myśmy przeszli młodzi...

I szliśmy naprzód... Aleśmy dla złota
Nie grzęźli marnie w mętnych wód powodzi,
Ale na sterze naszej smutnej łodzi
Nie było zbrodni i występków błota...

A, jako mgławic puchy przezroczyste
I jako gwiazdy, które świecą jasno,
Tak całe życie nasze było czyste...

A gdy te gwiazdy skryją chmury mgliste
I gdy ostatnie w niebie blaski zgasną,
Na odpocznienie pójdziem wiekuiste...

Z „Pieśni nad pieśniami".

Umierający niechaj cichą mają
Śmierć i skonanie... niech idą z tej ziemi
Dzwonów dzwonieniem i mgłami białemi,
Aż się gdzieś ciszą wielką obłąkają.

Umierającym niechaj dzwony grają
I księża płaczą mszami żałobnemi,
Aż ich spokojność dostojna oniemi
Na srebrnych szlakach tych gwiazd, co spadają.

Niech idą wielkim spokojem owiani
Do swojej cichej ostatniej przystani,
Do słonecznego niechaj idą tronu —

W dzień, który nie ma początku i końca,
Pod wielkim płaczem spiżowego dzwonu,
Pod wielką łuną gasnącego słońca...

Ta, co nie zginęła.

1.

Rozdzielił nas, mój bracie,
zły los i trzyma straż —
w dwóch wrogich sobie szańcach
patrzymy śmierci w twarz.

W okopach pełnych jęku
wsłuchani w armat huk,
stoimy nawprost siebie —
ja — wróg twój, ty — mój wróg!

Las płacze, ziemia płacze,
świat cały w ogniu drży...
W dwóch wrogich sobie szańcach
stoimy — ja i ty.

2.

Zaledwie wczesnym rankiem
armaty zaczną grać,

ty świstem kul morderczym
o sobie dajesz znać.

Na nasze niskie szańce
szrapnelów rzucasz grad
i wołasz mnie, i mówisz:
— To ja, twój brat... twój brat! —

Las płacze, ziemia płacze,
w pożarach stoi świat,
a ty wciąż mówisz do mnie:
— To ja, twój brat... twój brat! —

3.

O nie myśl o mnie, bracie,
w śmiertelny idąc bój,
i w ogniu moich strzałów,
jak rycerz, mężnie stój!

A gdy mnie zdala ujrzysz,
odrazu bierz na cel
i do polskiego serca
moskiewską kulą strzel.

Bo wciąż na jawie widzę
i co noc mi się śni,
że T a, c o n i e z g i n ę ł a,
wyrośnie z naszej krwi.

Dziś, gdy się sen nasz ziścił...

1.

Dziś, gdy się sen nasz ziścił,
dziś, gdy się skończył bój,
z dwóch wrogich sobie szańców
przyszliśmy, bracie mój.

Wróciliśmy do domu
w doroczne święto żniw —
ja z twoją kulą w piersi,
ty z moją — ale żyw.

Żołnierskim pewnym krokiem
stąpiliśmy na próg
i stoim nawprost siebie:
ja — wróg twój, ty — mój wróg...

2.

Niedawno jeszcze, bracie,
w piekielnym huku dział
tyś w ogniu moich strzałów
nieprzejednany stał.

Lecz dziś już bój się skończył,
lecz dziś już stał się cud —
pod pruską pikelhaubą
moskiewski spoczął knut.

Krwią Bogu i Ojczyźnie
spłaciliśmy swój dług,
więc czemuż dotąd jeszcze
ja — wróg twój, ty — mój wróg?

3.

Graniczne padły słupy,
które dzieliły nas —
i idzie ciężkich siewów
i twardych trudów czas.

Więc podaj rękę, bracie,
albowiem zmożon wróg,
i dłoń błogosławiącą
nad światem trzyma Bóg.

Sto ziaren najprzedniejszych
sto ziaren da nam łan,
co moją krwią i twoją
użyźnił dobry Pan.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

(* 9. I. 1884 w Stryju).

Wydał osobno: „Połów gwiazd“ (poezje) 1907. „Narodziny serca“ 1918; prozą: „Rzeczy wesołe“ 1909. „Romantyczne historje“ 1910. „Arabskie awantury“ 1914. „Dziwne powieści“ 1911. „W kalejdoskopie“. „Dusze z papieru“, „Zabawa w szczęście“ 1917. „Perły i wieprze“, „Po mlecznej drodze“, „Słońce w herbie“, „Straszliwe przygody“, „Radosne i smutne“, „Piosenki żołnierskie“.

Hymn do polskiej szabli.

Z poematu *„Pieśń o Ojczyźnie“*,
z pieśni drugiej.

A to nie boskie dzieło, ale czarcie,
Że Polak szeptem mówił, jakby prosił
Złodziejów dobra swojego o wsparcie,
I karki widać było, jakby skosił
Czart wszystkie głowy, wzniesione uparcie.
I ten, co wolność na swych rękach nosił,
Nie wznosił głosu, by nie zranić kogo
Co niewart polską być kopnięty nogą.

O, bo my zawsze byliśmy szlachetni,
Do przebaczania jedyni, z nałogu
Czuli na głosy schlebiające fletni,
Sercem my gościa witali na progu,
A gdy dom złupił, gospodarze świetni
Szliśmy tajemnie się poskarżyć Bogu,
By jutro, mądrzy w doświadczenie nowe
Dać złupić drugą koszuli połowę.

A zato Polak, dobre, stare dziecię,
Czasem się czynił od radości blady
A dałby duszę całą, lub dwie trzecie
I wielkim głosem zwołuje sąsiady,
Czytać, co o nas w hiszpańskiej gazecie
Fircyk jakowyś baje, co nam rady:
Żeśmy szlachetni wielce, to i owo,
I nie jadamy mięsa na surowo.

...Oto za miłość naszą jest zapłata,
Za sto tysięcy śmierci i za głody,
Za to, że szliśmy w cztery strony świata
Dźwigać umarłe z trumniska narody,
Za to, że Polak brat zabijał brata,
Potem sam padał, krzycząc hymn swobody,
Oto zapłata za wielkość i dzielność,
Wspaniałomyślność i za nieśmiertelność!

I za tę naszą miłość nierozumną
Dla wszystkich serca polskiego szalbierzy,
Co zawsze czarną nam zapłacą trumną
Z dodatkiem kilku fałszywych pacierzy
I dla umarłych poradą rozumną,
Że zbytnio nigdy kochać nie należy,
Bo uczy świata tak systemat wilczy:
Że serce gryzie, jak pies, albo milczy.

A my przeczyści, jak anioły biali,
Mądrego świata niemądre sieroty,
Serce na strzępy w swoich piersiach rwali,
By wszystkie wilcze nakarmić pomioty,
I przez świat idąc, sercem doskonali,
W chleb zamieniwszy oczu promień złoty,
Ginęli sami od nędzy i głodu,
Dla chwały boskiej i chwały narodu.

Aleśmy byli na pochwały czuli,
Tak rycerskiego godne kawalera,
Co patrzy jasno w odartej koszuli,
Jak zeń ktoś serce pazurem wydziera,

A on serdecznie do tych słów się tuli,
Że nikt na świecie piękniej nie umiera,
Niż Polak... Jakżeż nie umrzeć radośnie,
Gdy ci, Polaku, serce z dumy rośnie?!

Lecz przedtem szabla, wisząca na ścianie,
Z ukrytą w pochwie duszą błyskawiczną
Zadrży i z bolu aż się sina stanie,
Dźwięknie i jedną łzą zapłacze śliczną
Z krwi tak czerwonej, jako wino w dzbanie,
Albowiem szabla jest apolityczną,
I jeśli pisze, to tylko traktaty
Na pergaminie ze łba dyplomaty.

O, szablo polska, święta i bez sromu,
Najświętszą Panną znaczona w nasadzie,
Ostrzona sercem i wykuta z gromu!
O, nie służyłaś ty nigdy ku zdradzie,
Nie uczyniłaś krzywdy ty nikomu,
Przed Ewangelją na mszy w defiladzie
Bogu przysiągłszy, że runiesz na wroga,
Jeno za ziemię swą i swego Boga!

O, szablo polska! piorunie ze stali,
Ognisty wężu i rózgo ognista!
Żeśmy cię duszą całą ukochali,
Jak polska dusza taka jesteś czysta,
Bo ta krew, co się jeszcze rdzą korali,
Chociaż się lała, jako deszcz rzęsista,
Krew ta trująca, jak Bóg w niebie żywie!
Zawsze wylaną była sprawiedliwie.

O, szablo polska! — czy gdzie śpisz, ponura,
Swe turkusowe wpół przymknąwszy oczy,
Jak w habit, w skórę schowana jaszczura?
Gdy się po niebie grom za gromem toczy
I jak krwi pełen bukłak, zwisa chmura,
Ciebie tu niema, bo cię sen gdzieś mroczy?
Czy może leczysz u płatnerza szczerby?
Czy też na nowo swoje złocisz herby?

O, szablo polska! — może ciebie boli,
Że tak zapadło w smęt szlacheckie bractwo
I nie zna smaku słodyczy, ni soli
I tak się błąka, jak oślepłe ptactwo?
A może jesteś u żyda w niewoli,
Co stare polskie sprzedaje bogactwo
I drżąca, czekasz wśród starych rupieci,
Aż cię ktoś znajdzie i pod blask rozświeci?!

O, szablo polska! — że tu niema ciebie,
To wciąż nieszczęście ponad nami lata:
Rwą nas na ziemi, zapomnieli w niebie
I psi syn każdy nami wciąż pomiata,
A my milczący, jako na pogrzebie
Nie śmiemy wzgardą plunąć w oczy świata,
Co ciebie szczerbił i twą raził klingą
Ziemie od Nilu aż do San Domingo...

O, szablo polska! — teraz w naszej dłoni,
Co cię miłośnie imała za szyję,
Sterczy żelaza kawał obcej broni,
Co się nie w piorun wyciąga, lecz w żmiję
I nigdy krwią się, jak zorzą nie spłoni,
Bo najpierw w ziemię, jako w grób się wryje,
Potem z zasadzki, nędznie i zdaleka
Przerażonego zabija człowieka.

O, ty nie taka byłaś, och, nie taka!
Szedł z tobą w pole, jakby do kobierca
Z oblubienicą szlachcic zawadjaka,
A ty w błyskaniu dopatrzyłaś serca,
Śmignęłaś skrzydłem ognistego ptaka
I jako piorun ziemię wskroś przewierca,
Tako padałaś gromem, co zabija,
A wichr łopotał w głos: Jezus, Maryja!

Szablo, kochanko, w dyjamenty strojna,
Żywoty ludzkie kosząca, jak kwiaty,
Gdy srogi apel zatrąbiła wojna!
O, jako drżałaś, ujrzawszy rabaty,

Albo się z pochew rwałaś, niespokojna,
Kiedy w dłoń kapral chwycił cię wąsaty,
Co iskrą serca ogień palił w dziewce,
A oczu skrami zapał na panewce!

Kiedyś zniknęła z pośród nas, w tę porę,
Raz jeszcze jękło polskie serce dumne
I położyło się potem w pokorę
Jak w atłasową z czarnych desek trumnę,
Zaś by odegnać wielkich wspomnień zmorę,
Mózgi przedziwnie stały się rozumne,
Potem na stosie wawrzynowych liści
Z piórem przy boku usiedli — statyści...

Serce polskie.

(Z poematu *„Pieśń o Ojczyźnie"*.)

...O, niech się każde słowo me wydłuży
W sztyletu siną, niezawodną żmiję,
Bym mógł tę miłość, co każdemu służy,
I tę pokorę, która zgina szyje,
I tę anielskość, co w wiecznej podróży
Za sprawy, nigdy niewiadomo czyje —
Ugodzić w serce, które — daj je katu!
Do pachnącego jest podobne kwiatu.

Niech się wydłuży w giętki bicz i smaga
Tę płochość starą, a zawsze młodzieńczą,
Co żywi sercem swem antropofaga
I egoistów chmarę potępieńczą,
Że nam kolumna pozostanie naga
Nad Wisłą, lecz ją wawrzynem uwieńczą,
Zaś by dziecinna się bawiła dusza,
Pióro dodadzą nam do pióropusza.

O, nie chcę uczyć ja was nienawiści,
Bo jestem Polak, ochrzczony w kościele,
Co jeśli czyni, to nie dla korzyści.
Lecz to wiem, że tych kwiatów już za wiele

I już za wiele tych laurowych liści,
I owych parad świetnych na niedziele,
I tej królewskiej, polskiej gościnności,
Kiedy gość mięso zjada, a pan kości.

Tylko mnie taki żal serdeczny bierze,
Co duszę dławi i za gardło ściska,
Że wciąż pokornie mówimy pacierze
I żyjem, jakby dla urągowiska,
I że wciąż puste nasze są spichlerze,
I że nas każdy, jako chce, wyzyska,
A miękkie serce słowem kto połechce,
Wtedy oszuka nas, kto chce i nie chce.

Więc mnie, sług polskich sługę, serce boli,
Gdy naszej nędzy pozór widzę złoty,
I żeśmy smutne w bohaterskiej roli
I takie dziwnie piękne Don Kiszoty,
My, kochankowie świata, w aureoli,
Do których wszyscy przychodzą w zaloty
I każdy, jako w starej, nudnej dramie,
Miłość nam swoją i swą wierność skłamie.

Więc chodzę w owych czarnych słów żałobie,
Tragicznych ojców nieodrodne dziecię,
Melancholijne w serdecznej chorobie,
Co tylko wieńce wawrzynowe plecie
I na śmierć zawsze zapomni o sobie,
Z łachmanem delji wytartym na grzbiecie,
Śmiertelnych chorób nosząc w sobie zaród,
Na piękno chory jestem, — jak mój Naród.

Więc umiem róże hodować w ogrodzie,
Płakać, gdy błędną z oczu gwiazdę stracę,
I umiem pyszne budować na lodzie
W swoistym stylu podniebne pałace,
I umiem marzyć, nawet w wielkim głodzie,
I ponad gwiazdy rymów ciskać race,
I umiem kochać djabłów sto tysięcy
I gest mieć piękny. Nic nie umiem więcej...

O, dław się teraz własnych klątw trucizną,
Ty polskie serce, gnuśne serce moje
I przez noc jedną okryj się siwizną,
Zanim cię wielką pracą nie ukoję
I zanim ciebie nakarmię Ojczyzną.
Rwij z siebie szychy, poetyckie stroje,
I jak skomlący, głodny pies przed progiem
Wyj zmiłowania przed swym polskim Bogiem.

A gdy ostatnia łez popłynie struga,
I będziesz lśniące od żalów pokory,
Niech miast lemiesza wprawią cię do pługa,
Byś zaniedbane krajało ugory,
I wtedy będziesz najnędzniejszy sługa,
Co długie lata był śmiertelnie chory,
Lecz kiedy dobry wiatr z Ojczyzny powiał,
Czołem uderzył o ziem i ozdrowiał.

Lecz teraz, serce polskie, ty nikomu
Nie wierz, prócz Boga, co cię nie omami,
Bo ciebie strzeże prędkość Jego gromu
I On otoczy ciebie aniołami,
Zaś wszystkich krzykiem pędź od swego domu,
Szalbierzy wszystkich wzgardą goń, jak psami
I bądź jak skała granitowa, twarda,
Lub, jeśli trzeba — buchnij, jak petarda!

Rwij się i w oczy świata pluń żelazem,
Lub milcz, — niezłomnie zacisnąwszy wargi
Smętne liryzmy swoje przywal głazem,
Aby nikt szeptu nie usłyszał skargi,
Bo cię powiodą z murzynami razem
Na rynki świata, na bezecne targi,
A przeto wielka bądź i milcz, jak trumna
I w tem milczeniu, bądź, o Polsko dumna!

O, taka dumna, Polsko, bądź, niezmiernie,
Jako archanioł, który kroczy w łunie,
I Ty tak stąpaj, poprzez tłum pancernie,
Z skrzydłami w ogniach i z głową w piorunie,

Że w złote błyski Twe się zmienią ciernie,
A kiedy wzniesiesz miecz, niech burzą runie
I z wnętrza ziemi, dzieło pełniąc boże,
Niech serce świata jako pług wyorze.

Lecz wprzódy, zanim taką moc odzyska,
Musi być Polak niestrwożonym sługą,
Co się swojego zasromał nazwiska
I jakąś duszę sobie stworzył drugą,
Co się strwożona do żeber przyciska:
Lecz się hardością pokryć, jak kolczugą,
O ziem się oprzeć, spłynąwszy z obłoku,
Grzmot mieć w wołaniu i pożar we wzroku.

Och, patrzę w gwiazdy, jak na pszczoły w ulu,
I tak w przyszłości głąb spoglądam łzawie,
I o te sprawy w niespokojnym bólu
W gardzieli serca prośbę korną dławię:
O, ty włodarzu nasz, czy panie królu,
Co będziesz Polsce panował w Warszawie!
Niech miłościwa łaska twa pamięta,
To jedno w pacta postawić conventa:

To jedno, — żeby Polak zbył pokory
I w dumy swojej chodził majestacie,
I wszystkie swoje słoneczne kolory
Nosił jak szkaplerz na siermiężnej szacie,
I aby panem się stał od tej pory,
W swojej ubogiej, Boga pełnej chacie;
By nie był świętszym, niźli święci w niebie,
I by bliźniego kochał, jako siebie,

Ale nie więcej! — nie więcej, — przez litość!
Bo do żebraczej sakwy nas przywiedzie
Ta serca ciągła, niesforna obfitość,
I ta serdeczna troska o sąsiedzie,
I ta pomysłów wielka rozmaitość,
By nic po wielkiej nie zostało schedzie,
Ni krwi kropelki, bo i tę wylejem,
Tym serca błędnym pijani szalejem!...

....Tak myśląc, duszę miałem gdzieś w przeźroczach,
Wśród gwiazd, co świtu różowiutkie wstęgi
Już sobie wplotły w promiennych warkoczach.
Myślą pobiegłem poza widnokręgi
I ciepło dobre łez poczułem w oczach,
Aż wiatr, co z nocnej powracał włóczęgi,
Z mózgu zwiał myśli, jak sokoły z berła
I łzę zwiał z rzęsy, że padła, jak perła.

Więc mnie noc miękko ujęła rękoma
I w ciszę niosła przez gwiaździste bramy
Ostrożnie, bowiem noc jest niewidoma...
Potem na duszę lała mi balsamy,
Aż ona biedna, wielkich snów łakoma,
Weszła przez progi milczące w Sezamy,
A wiatr poza nią złote drzwi zatrzasnął...
Wtedy zasnąłem ja — i rym mój zasnął.

Z „Narodzin serca".

Bonaparte na balu w Warszawie.

W ciszę, dostojni!... Cesarz jest w pobliżu!...
Pałacu wielki przedsionek otwarty,
Świec setka płonie. A na ulic skrzyżu
Głośno się czujne nawołują warty,
Patrząc, skąd jedzie — dzisiaj nie w paiżu,
Bez swej lunety i wojennej karty,
Lecz gość wspaniały, po wojennym trudzie
Idący złudą leczyć śpiących w złudzie.

Wszyscy zebrani w pałacu salonach,
Świetni, a z trwogą wpatrzeni w podwoje,
Czekając, kiedy wejdzie w swych koronach
Na rozszeptane brühlowskie pokoje.
Szedł tu zdaleka, po zwalonych tronach,
Na łęku siodła przesypiając znoje,
Widma przed sobą mieczem pędząc krwawe,
Aż ujrzał widmo śmiertelne: Warszawę.

W oczy oczyma spojrzał jej czarnemi
I słuchał rytmu serca, czyli bije...
A oto ujrzał każdą grudkę ziemi
Że krwią nasiąkła, a koń jego pije
Wody wiślane, barwy krwi... Nad niemi
Wieże kościelne wyciągnęły szyje
Z gromady domów i dzwonami jęczą,
Że opar krwawy z wód się dźwignie tęczą.

Niech żyje Cesarz!... Warszawo, Warszawo!
Coś w Tobie płacze radością i woła,
Że w kondotjerze okrytym kurzawą,
Bóg Tobie zesłał zwycięstw archanioła,
Który — gdy spojrzy i skinie buławą,
Troskę śmiertelną z twego zmiecie czoła,
Że go przeżegna Król Zygmunt z kolumny,
A on odrywać pocznie wieka trumny.

Och, tak! Wszak myśmy mu już tysiąc razy
Rzucali serca do nóg — wciąż gotowe,
Na Pireneje, na piramid głazy,
Na San Domingo, Alp drogi krzyżowe!
Byle twem widmem zakląć nam rozkazy
I kamień z twoich murów dać pod głowę
Na sen pod niebem, gdy zluzują wartę!...
Och, wiedział o tem wielki Bonaparte.

Na białym wjechał koniu przez okopy
Jak sfinks milczący, jeno patrzył w twarze,
Prośba ócz niemych padła mu pod stopy,
Czekając w ciszy, co wiekom rozkaże,
I jak powiedzie nawę przez potopy,
I kędy drogę wytknie w mgieł oparze.
Milczał, — a wszyscy mu patrzyli w oczy...
Milczał, — a wszyscy śnili sen proroczy.

Za tą balową widzę ich zasłoną,
Jak wciąż czekają jeszcze, co im powie?
Chciał chorych wprzódy zbliska ujrzeć pono,
Zanim o biedne ich zapyta zdrowie,

Jak lekarz dobry... Z diamentów koroną
Na zamyślonej swej, cesarskiej głowie
Błysnął im jeno na balowej sali
I odszedł... Oni z nadzieją zostali.

Na bal ten smutny, świetny i wyniosły
Wyszła Warszawa przybrana purpurą,
I syny swoje wysłała jak posły
Do Majestatu... Swoją pieśń ponurą
Na hymn zmieniła, a z smętku wyrosły
Kwiaty przedziwne, cudnie barwną chmurą;
Warszawskich niewiast przewspaniałe grono
Wyszło, by świetną wieńczyć go koroną.

Do kontredansa dadzą znak za chwilę...
Czoła im gorą nadzieją. A w tańcu
Choć będą tutaj, barwni, jak motyle,
A jednak sercem — daleko! — na szańcu...
Skłonią się dumnie i uśmiechną mile,
A oto myślą są na świata krańcu,
Gdzie on ich powieść ma orłowym lotem
Pośród kul gradu, z sztandarów łopotem!

Oto teatrum prześwietne... Tak było!
Taki sen śniła jednego wieczora
Nad rozkopaną, wilgotną mogiłą,
Świetna Warszawa, swą nadzieją chora.
Choć sen się prześnił i sen wspomnieć miło,
Który z tęsknoty przędzie zmierzchu pora...
Byliśmy piękni nawet w tęsknot zwidzie...
W ciszę! znak dają... Baczność! Cesarz idzie!...

Z „Ballady o św. Jerzym".

Kiedy poczerniały od dymu kowal, płachtą skóry okryty, wściekłem od siły ramieniem uderzy młotem w rozpalone żelazo, a ono, śmiertelnie uderzone, jęknąwszy nagle, snop iskier z siebie wyrzuci, jak rozpyloną strugę krwi — taki snop ogni buchnął z pod

kopyt oszalałego rumaka, gdy uderzył kopytami o gwiazdę. Cugle wyleciały z rąk rycerza, bowiem koń nozdrzami niemal tknął gwiaździstej ziemi.

Rycerz poczuł w uszach niezmierny dzwoniący jednostajnie szum, jak gdyby stał pod spiżową kopułą ogromnego dzwonu, albo jak gdyby potwornej wielkości koncha nakryła świat cały. Zrozumiał równocześnie, że się wspaniała gwiazda, drgnąwszy, zachwiała w posadach, kiedy się na nią zwalił ciężar jego bachmata i osuwać się poczęła w dół, jak skalny złom, który coraz głębiej osiada w trzęsawisku; przeto czem prędzej, zebrawszy w dłoń cugle, pchnął swego rumaka z gwiaździstej ostoi na ciemny w tej chwili, mrokiem przepojony, niebieski ugór bez końca.

Parsknął rumak, pianę z krwią wyrzuciwszy z nozdrzy i ostrożnie, nogą próbując, zanim stąpi, schodzić począł z gwiaździstego, rozświetlonego złomu, pilnie bystremi patrząc oczyma. Ugrzęzły znagła jego kopyta jakby w piasku pustynnym, czarnym i sypkim. To złoty, gwiezdny pył, wiatrem naniesiony, od lat niepoliczonych leżał na niebieskim ugorze. Rumak, jak gdyby go skok bohaterski nowemi siłami napełnił, rzucił głową raz i drugi, gotów do orlich lotów. Drżał cały jak liść od nadmiernego wysiłku, który ich na gwiazdy rzucił i biec począł szybko w siną ciemność nieskończoną drogą, którą, jak milowe kamienie, znaczyły gwiazdy, jedne umarłe i blade, inne żywe, patrzące rubinowemi oczyma, inne śpiące cicho, bez westchnienia, inne zasię chodzące po niebie powoli, jak zadumane włóczęgi, końca swojego szukające smutku.

Święty rycerz, do okutej złotą blachą piersi cisnąc księżniczkę, dzierżył mocno cugle w dłoni i patrzeć począł dookoła pełnemi zdumienia i trwogi oczyma, szukając drogi. Dokądże się teraz uda? Gdzie koniec i gdzie kres? Gdzie przyczaiła się przepaść i która gwiazda zadaje śmierć? Oto jest tu sam i ona, nieszczęsna umarła — przed nim lęk i zgroza, poza nim ktoś, co go goni zajadle i wściekle na wytrwałym, potężnym rumaku.

Nagły lęk tknął żadnym dotąd strachem nieskalanego jego serca na myśl, co uczynił; oto się ważył na sprawę straszliwą, od której rozum się mąci. Pomyślawszy, spojrzał trwożnie naokół, patrząc, czy się w którejkolwiek stronie niebieskiego pola nie zjawi Bóg, straszliwy sędzia i skinieniem palca nie rzuci go w odmęt, pod nim szumiący. Uczynił, jak przystoi rycerzowi, którego oczy krew zalewa na widok krzywdy, słabemu uczynionej dziewczęciu, jednakże zaklęty w posąg potężnym rozkazem, powinien był ścier-

pieć, usta zaciąwszy i przed tronem bożym zdać sprawę, Sędziemu Najwyższemu zostawiwszy wyroki i karę. Ważył szlachetny rycerz w myśli te sprawy niezbadane i słuchał poszeptu serca, wyniesionego ponad inne, podobnego przeczystej łzie.

Mówił sobie:

Nieprawość padła na ziemię, jak chmura szarańczy, czyż mogło ścierpieć moje serce? Małe jest plemię ludzkie i zapomniało spraw rycerskich... Przetom wzniósł ramię... Albowiem wśród żywych niema rycerza ani bohatera, lecz jest zbójca i przekupień... Szczęście ich jest małe i małem jest ich nieszczęście, któż tedy urodzi wspaniałość, a z serca wysnuje jasność rycerską, świetniejszą niźli poblask słońca w złoconym puklerzu i pyszniejszą, niż biała kita na szyszaku, rozwiana na wietrze?... Przetom ja się zbudził, zaklęty w kamień, albowiem w kamieniu śpi wszelki bohater... Kupczy miłością robak ludzki i sprzedaje za miedziany pieniążek serce człowieka, nie wiedząc, że sprzedaje słońce... Przetom ja wyjął serce z kamiennej piersi... Przebacz mi, Panie, szaleństwo, albowiem i słońce czyni szaleństwo, płonąc nad miarę; wszakże czyniłem pięknie wedle Twego rozkazania, a oto kazałeś, aby człowiek był bohaterem, nie wężem i aby czynił pięknie, zanim uczyni roztropnie!...

I myślał, że jeśli go Bóg nie strąci w odmęt tego straszliwego morza, po którem na grzbiecie potwornego Lewjatana pływa ziemia, tedy mu rozkaże przez nieskończony czas błądzić po straszliwszym jeszcze niebieskim stropie i gnać go będzie do skończenia świata ręka boża, jak na ziemi niezaspokojone serc pragnienie gna przez góry i rzeki bladych, cichych, w czarną zbroję zakutych błędnych rycerzy, których śmierć unika, albowiem są tak smutni, że śmierć płacze, słuchając ich ostatniej, dziwnie rzewnej piosenki, podobnej pękniętemu sercu...

Rumak rycerski biegł szybko po pochyłej drodze, nurzając kopyta w złotym piasku; biegł bez celu, albowiem nie kierowały nim purpurowe cugle i czuł, że ręka rycerza, dzierżąca je, była niepewna. Nagle rycerz puścił je zupełnie, albowiem zdjęło go niezmierne zdumienie: oto ujrzał, że się otwarły ciche oczy umarłej księżniczki i spojrzały zachwycone na jego twarz. Drgnął szlachetny ten rycerz i drugą ją objął ręką, aby snać, bezwolna dotąd, przewieszona przez siodło, nie padła na nieznanej, obłędnej drodze. Przygarnął ją do piersi, uradowany nad miarę tak, że oczy przymknął, jakby nie mogąc patrzeć w słoneczną zjawę i tylko sercem słuchał, czy

jej serce bije. A oto ono uderzyło radośnie, jak dzwon znagła rozkołysany, śpiewający coraz głośniej, coraz głośniej, a rycerz, jak gdyby muzykę rajską usłyszał, poił się nią do szaleństwa, zachwycony niezmiernym cudem, nie rozumiał bowiem sprawy znanej astrologom, uczonym w piśmie i ludziom podłego rzemiosła, układającym pieśni, lecz wiele tajemnych rzeczy wiedzącym, że człowiek, umarły na ziemi, ożywa znowu, przebywszy ten kraj straszliwy, który ziemię rozdziela od nieba.

Podniósł powieki i spotkały się ich zachwycone oczy, pełne nieziemskich blasków, jak gdyby patrzyły w siebie blade, niezmiernej piękności gwiazdy; patrzyli w siebie takim przeczystym, rozbłyśniętym wzrokiem, jakim patrzą sobie w oczy dzieci, których dusze mieszkają nie w piersi jeszcze, lecz w niezmąconym błękicie źrenic, albowiem dusza ludzka mieszka najsampierw w oczach, potem się kryje w pierś, zasię nakoniec, goryczy zaznawszy, złości i jadu, czołga się w ciemną kryjówkę mózgu, jak eremita w jaskinię. I tam ją zjada mądry, wieczysty, nienasycony czerw.

Chciał przemówić święty rycerz, lecz mu się gardło ścisnęło zbytnio, a słowo rycerskie ogromne jest i szorstkie, nie zaś gładkie, a puste; więc ją tylko silniej przycisnął do piersi, pokrzykując oczyma tak radośnie, że jej usta drżały od upojenia i tak rozgłośnie, że zamęt poczuła księżniczka w cudnej głowie, gdyż nagle przywarła twarzyczkę, jak gdyby w zapamiętaniu, do jego piersi, w złotą blachę zakutych. On tedy, czując, że mu serce przepali blachy pancerza, albo też dusza, nagle w ogromy rozrosła, rozsadzi jego pyszną, młodzieńczą pierś, zachciał nagle uciszyć dzwony serca w niezmiernym, obłąkanym pędzie, więc konia kolanami ścisnął i krzyknął. Poderwał się rumak i śmignął jak szczuka w rzecznej toni tak, że chmura gwiaździstego pyłu wzniosła się poza nim, a w uszach zawył im nagle wichr.

Ohej! nie ucieczesz przed sercem, rycerzu!...

Złote i rozbłyśnięte, a nieraz do rubinów podobne grudy gwiezdne leciały gradem z pod kopyt pysznego bachmata, lecącego wciąż po lekkiej pochyłości, przesadzającego potężnemi skokami szczerby i bróżdy, wyryte na niebie tam, kędy kiedyś przed wiekami może lub przed chwilą przeszła wędrująca gwiazda, własnym, odwiecznym się włócząca śladem, podobnym tej rysie, jaką tęsknota na ludzkiem pozostawia sercu. Czasem rumak stulił nagle uszy i w bok uskoczył, rwąc dalej w obłąkanym pędzie, kiedy nagle z mroku gwiazd wyszła postać ludzka, jakby z mgły uczy-

niona, zupełnie przejrzysta, z twarzą bladą; szła tak błędnie, przed siebie w dal patrząc, nie zdumiona nagłem błyskawicowem zjawiskiem z ziemi, wszystko wiedząca. Koń gnał w nieznanym kierunku, uniesiony szaleństwem lotu, jak goni obłędny wichr, co własne serce, podobne do uschłego liścia, niosąc w dłoniach, ucieka w potwornym locie przed śmiercią. Poznał szlachetny rumak, że pan jego, rycerz, nie nadaremno ostrogi wpija w jego ciało; wyciągnął się tedy jak struna i gonił przez niebieski step, tak, że z oddali podobni byli złotej błyskawicy, drącej swą złocistą smugą spokój śpiącego nieba.

Kiedy zasię rumak przesadzał w szalonym skoku kurhan gwiezdny, w którym pochowana była zagasła, oślepła gwiazda, roztrzaskana owego dnia, kiedy to potężny archanioł wiódł śmiertelny bój z owym, pychą nadętym, co śmiał spojrzeć w twarz bożą, krzyknęła lękliwie księżniczka i silniej jeszcze wiotkie, do mgły podobne i do lilji ciało, przywarła do szerokiej, rozgorzałej, rycerskiej piersi. Opamiętał się rycerz, w szalonym pędzie zapamiętały i twarz dziwnie bladą nachylił ku księżniczce.

— Nie lękajcie się, pani! — szepnął z trudem, albowiem wichr porywał każde słowo, zwiewał je z ust, zanim rozbrzmiało i niósł pomiędzy gwiazdy, słuchające chciwie, rozszerzonemi od zdumienia patrzące oczyma.

Wtedy radość niezmierna ubarwiła twarz księżniczki; podniosła powieki, zawarte znagła w chwili zalęku i, wpatrzona w usta rycerza, z trudem szeptające, rzekła cicho:

— Gdzie mnie wieziecie, rycerzu?

Stropił się złocisty jeździec i odpowie:

— Gdzie nas zaniesie rumak...

Pojąć nie mogła odpowiedzi tej księżniczka, więc się strwożyła bardzo i poczęła szeptać niespokojnie:

— Czy daleko jestem od klasztoru?

— Tak daleko — odrzekł rycerz — że potrzeba ludzkiego żywota, aby przebyć tę drogę.

— Chryste Panie!

— Szybki jest mój rumak, — rzekł rycerz.

Potem się pochylił ponad nią tak, że ich twarze były tuż przy sobie i jął szeptać:

— Przebacz mi, żem cię śmiertelnie senną wziął na ramiona i uniosłem, jak orzeł unosi... Wszakże ścierpieć nie mogłem katuszy, które wypiły z ciebie wszystką krew, żeś padła na kościelną

podłogę, jak kwiat ścięty kosą... Rycerz jestem i przysiągłem, że nie dopuszczę krzywdy... Przeczyste jest twoje serce, a oto kazano mu cierpieć... Przetom cię uwiózł, cisnącą w dłoni różany krzew, znak twej męki...

— Rycerzu! — szepnęła dziwnym szeptem księżniczka — nie jest tak, jak mówicie... O, nie!... Ten krzew nie jest znakiem męki... Wywiodła go z różańcowego ziarna nie męka, lecz miłość. Czyż męką jest miłość?...

— Męką! — rzekł rycerz głosem niezmiernie drżącym i ostrogą ubódł konia, jak szaleniec, co się chce rzucić straszliwym skokiem w gęstwę bitwy, szukając śmierci.

PIOTR CHOYNOWSKI

(* 27. VIII. 1885 w Warszawie).

Wydał: „Zdarzenie“ (nowele) 1912. [II wyd. p. t. „Kij w mrowisku“ 1922]. „Historja naiwna“ (nowele) 1913 (1921). „Ruchome piaski“ (dramat), 1913. „Pokusa“ (nowele), 1918 (1922). „Kuźnia“ powieść z lat 1861—63, (1919).

Z „Pokusy“.

Było to chyba w sam Wielki Piątek. Zwiedziawszy się od Wicka, że ciotka piecze mazurki i że on uszczknął przy tej okazji garść słodkich migdałów, któremi się nie podzieli „za nic“, poszedłem i ja do kuchni na zwiady i po łatwą zdobycz. Zachowanie moje było, rozumie się, niedbałe i bezinteresowne. Z rękoma w kieszeniach włóczyłem się koło wściekłej Agafji i kołowatej z przejęcia Nastki, zgóry upatrzywszy pięknie rozłożone, obrane już rodzynki. Niestety, akurat obok ciotka lukrowała właśnie piękny mazurek czekoladowy. Udając chłodną obojętność, z wyciągniętą za plecami ku rodzynkom ręką, wpatrywałem się baraniemi oczyma w strugę białego lukru, którym ciotka wypisywała na czekoladowej powierzchni: „Alle..lu..ja!“ I nagle, przeczytawszy ten napis, zapomniałem o rodzynkach i wysuniętej dłoni. Stanęło mi przed oczyma świąteczne przyjęcie, goście, ci wszyscy miljonerzy w kupieckich „kaftanach“, zapici dygnitarze, nieokrzesane małżonki, wszyscy ci, „honoratiores“ miejscowi, z którymi trzeba było utrzymywać stosunki; słyszałem ich coroczne ciekawe pytanie, co znaczy to „alleluja“ i coroczne głupie na ów temat zdumienia i konwersacje; przypomniał mi się mój rotmistrz na stancji

i cała długa zimowa mordęga. Mimowoli prawie pociągnąłem ciotkę za rękaw:

— Ciociu! Poco ciocia to pisze?

— Co takiego? Czego chcesz?

— Poco ciocia pisze „alleluja"?

— Zawsze się tak pisze. Nie przeszkadzaj!

— Znowu będą pytać, gadać...

— Więc będą, no i co? Nie nudź!

— Kiedy można inaczej...

— Jak tam znowu? Czego chcesz?

— Zwyczajnie po rosyjsku. Alliluja.

Ciotka usadziła na floresach lukrowego kleksa i przerwała pisanie. Patrząc mi prosto w oczy, spytała krótko:

— Jak? Powtórz.

Aż mi się zimno zrobiło pod tym wzrokiem. Powtórzyłem przecież splątanym językiem:

— Po rosyjsku — alliluja. Przecież to samo znaczy.

Twarz ciotki poczerwieniała nagle jak ukropem zlana. Spuściwszy przerażone oczy, usłyszałem suchy, zdławiony wyrok:

— Idź precz, głupcze! I nie pokazuj mi się na oczy!

Wyszedłem. I od tej chwili skończyła się moja radość.

Z początku nie orjentowałem się nawet co do wagi mego przestępstwa: gwiżdżąc, z rękami w kieszeniach, skakałem przez wszystkie przed domem kałuże, pieszcząc lekkomyślną w sercu nadzieję, że się ciotka jakoś przeprosi. Któż bo wreszcie miał rację? Czyż „alliluja" nie znaczy „alleluja"? Czyż nie rozsądniej wypisać odrazu „alliluja", niż każdemu zkolei na rosyjski tłumaczyć? Argumenty te napełniły mnie takim spokojem, że, wlazłszy na dach parterowej kuchni, przez godzinę bombardowałem stamtąd brytana w sąsiedniem podwórzu, który aż ochrypł w bezsilnej wściekłości.

Dopiero gdy Nastka podała mi obiad oddzielnie, w dziecinnym — zmiarkowałem, że źle. A potem doszły mnie echa ożywionej w gabinecie narady: słyszałem podniesione głosy ciotki i panny Natalji, oraz nieśmiałe wujowskie protesty: „Ależ bo, Helciu, przesada... Tak odrazu, za byle co..." I ostatni, ostry i surowy wyrzut ciotczyny: „Dla ciebie byle spokój, tybyś zawsze ustąpił. Nie wiem, czy wogóle o powrocie myślisz..." U, źle! Gdym się

ostrożnie, pod ścianą, ku drzwiom wyjściowym przesuwał, ciotka nie spojrzała nawet na mnie, panna Natalja odwróciła się z ostentacją, a wuj szybko bębnił palcami po biurku...

Źle! Byłem odtąd jak wygnany z ludzkiej społeczności. Nikt mnie w domu nie widział, nikt nic do mnie nie mówił. Gdym kiedyś w korytarzu podszedł do konfidentki, Zosi, odsunęła się szybko, szepnąwszy ledwie bokiem warg: „Mama nie każe...“ Jadałem zawsze sam i usługująca Nastka robiła miny chłodne i obojętne. Wieczorem, słysząc wesoły gwar przy stole pod wiszącą lampą, musiałem czytać samotnie dawno przeczytane książki. Zagadnięty o obiecany łuk Frąckiewicz, gwiżdżąc, patrzał długo w okno kuchni ponad moją głową, poczem rzucił niedbale, że teraz święta i grzech łuki robić, a zresztą „panicz sam wie“. I odszedł, pogardliwie dzwoniąc ostrogami. Grubawy Wicek patrzał na mnie z milczącą zgrozą. Jeden jedyny Czapla nie zmienił się w stosunku do mnie wcale. On nosił mi ciotczyne rozkazy, on w pierwszy dzień świąt wprowadził mnie na wspólne rodzinne pacierze, mające brak kościoła zastąpić, on zresztą szepnął mi potem: „A do gości to ma panicz nie wychodzić“. I znowu ten długi świąteczny dzień byłem sam. Włóczyłem się, jak senna mucha, byle najdalej od ludzi, byle nie wpaść pod niczyje cofające się, jak lód zimne spojrzenie. Strasznie było mi ciężko i źle.

Najwięcej przesiadywałem w stajni. Gdy jednak pod wieczór w pierwsze święto niezgorzej już napity Muzła począł również mlaskać po tatarsku i, kiwając głową z wyrzutem, pleść kołowatym językiem: „Aj, aj, panicz! niedobrze...“ — ogarnęła mnie dzika wściekłość. Bo co ten stary idjota wie! Co rozumie?! Czego się wtrąca?! Zatrzasnąwszy wrota, wyszedłem z taką goryczą, jakbym się piołunu napił: „Kiedy wy tak“, — myślałem zawzięcie — „to i ja pokażę, co umiem“. Zaraz na drugi dzień rano, gdy na zadane pytanie Nastka odpowiedziała mi tylko chłodnem spojrzeniem, skuksałem ją, co się zmieści, uciekającej jeszcze ciskając na głowę szczotki, książki i pudełka. Pół godziny czekałem na awanturę. Nic. Nikt nie pisnął... Wówczas z premedytacją rozlałem po podłodze atrament i wyszedłem, gwiżdżąc na cały dom, ubrany w najpiękniejszy mundur, choć jak z cebra lał szczery deszcz wiosenny. Zaszarganego, jak nieboskie stworzenie, ledwie pod wieczór namówił do powrotu poczciwy Czapla,

udzieliwszy mi skutecznej pomocy w walce z ulicznikami, z którymi pobiłem się do krwi. I znowu nic. Żadnej kary, żadnych napomnień. Przebrany przez milczącą Nastkę, w oczach przerażonej Zośki odkrajałem sobie z całym cynizmem kawał przygotowanego dla gości placka. Anim na Zośkę spojrzeć raczył. W gabinecie wypadła mi droga obok stojącego przy biurku wuja. Nic. Z męstwem gryzłem placek dalej, sypiąc okruszyny na kosztowny dywan. I nagle, gdym wuja mijał właśnie, uczułem na włosach i na twarzy szorstkie, choć pieszczotliwe muśnięcia. Nie rzekł wuj ani słowa. Choć nie widziałem, przysiągłbym, że się oglądał, czy ciotka nie widzi. I jam nic nie powiedział. Ale od tego pogłaskania stopniało we mnie serce jak wosk. Siedziałem u siebie pociemku i grube łzy sypały mi się na łapczywie pożerany placek.

Na tem się mój bunt skończył. „Niema, widać, co“ — myślałem, — „trudno!“ — Pogodziłem się z sytuacją i usiłowałem żyć samotnie. O przyczynie mej niełaski zapomniałem już prawie, uznawszy ją wewnętrznie za drobiazg, czyli, jak mówiłem — „głupstwo“. Został mi tylko żal do ciotki. Przestawałem dużo z Czaplą, który nietylko sam zrobił obiecany przez Frąckiewicza łuk, ale co ranka naszał mi różne przysmaki „ze stołu“ z prośbą, bym przecie nie pogardził. Nie gardziłem, broń Boże! Siedząc w stajni na wyrku, konwersowaliśmy długo i uprzejmie o końskich wadach i zaletach, o wojskowem życiu i tematach religijnych, na które Czapla był łasy, jak na mazurki. Przeczytałem mu wtedy całą Historję Świętą księdza Putjatyckiego. Słuchał z nabożeństwem, mało co, jakem miarkował, rozumiejąc. Skarżył się z głębokiem westchnieniem, że już zapomniał, jak to u nich, w Bętkowie, w parafji, organy pięknie grają i że do cerkwi musi chodzić, co przecież nie jest prawo, tylko grzech.

Pocieszałem go, jakem umiał. Wśród gardłowych pokrzykiwań Muzły na konie, merdając zwieszonemi nogami, z serowcem w ręku, twierdziłem ze spokojem i powagą:

— To nic. I nas, uczniów, też pędzają do cerkwi, nawet nie prawosławnych. Ale tylko w galówki. Takie prawo.

Czapla westchnął.

— Zawsze grzech.

— Nie. Jak mus, to grzechu niema. Co innego, jakby z dobrej woli, albo żeby się ich religji uczyć...

— Jeich religji? Prawosławnej niby?

— Aha. To byłby grzech. Mnie nawet chcieli uczyć...

Czapla przeraził się.

— Panicza? Jeich religji uczyć? I takie prawo jest?

— Nie, prawa niema. Tylko chcieli i już. Woła mnie kiedyś inspektor i mówi, żebym szedł na religję z innymi, prawosławnymi. Więc ja mówię, żem katolik. A on mówi, że to wszystko jedno i że wstyd, żebym zostawał z Kirgizami, którzy są poganie. I żebym szedł...

— Reta! I co mu panicz pedział?

— Powiedziałem, że jak ciocia każe, to pójdę. Bo wiedziałem, że ciocia nie każe i że to grzech.

Zaimponowałem biednemu Czapli śmiertelnie. A w parę godzin potem przylatuje po mnie ze złośliwą radością wytłuczona onegdaj Nastka. — „Do pani!“ Zrobiło mi się niewyraźnie — brr! Nastka, atrament, mundur, placek — kłaniały mi się po drodze wszystkie moje zbrodnie. Przyrzekłem sobie, że zniosę wszystko z ponurem męstwem.

Ledwiem wszedł do gabinetu, ciotka zawołała na mnie po imieniu:

— Chodźno tutaj!

I ku memu osłupieniu, wzięła mnie, ucznia klasy drugiej, mężczyznę bitnego i ciężkiego, na kolana jak małe dziecko. Długi czas, wśród pocałunków i pieszczot, słyszałem tylko z ust surowej ciotki coś jakby groźbę, czy usprawiedliwienie: „Bo ja się tak o was wszystkich boję...“ Ścierała przytem chusteczką nigdy u niej niewidziane łzy. A potem, siedząc obok siebie, rozmawialiśmy bardzo długo, jak rozmawiają dorośli. Usłyszałem straszne historje o takich, co własny naród zdradzili, o renegatach i odstępcach. Bo śliską jest droga do upadku i tylko twarde przy swojem stanie od niej broni. Wyszło najaw moje stancyjne życie, i rotmistrz, i przegapiona Warszawa... Wspólnie rozważaliśmy kwestję ilości karabinów w piechocie i szabel w konnicy... W rozrzewnieniu o mało nie wygadałem swego do pięknej Lizy afektu, alem się w porę jednak ugryzł w język. A wreszcie jadłem. Chcąc mi wynagrodzić stracony czas, pchano we mnie mazurki, szynki i placki w takich masach, żem pękał poprostu. Boże, co ja wtedy zjadłem!...

A w trzy miesiące potem, na inną już stancję, przysłała mi babka — kanoniczka okazyjnie lipskie wydanie Słowackiego. Czytałem je na uniwersytecie.

Z „Kuźni".

Aż któregoś popołudnia wezwał go marszałek, by dać rozkaz szykowania się do podróży na jutro. Ma wziąć najlepsze ubranie, a w Warszawie dokupi, czego mu potrzeba, żeby ojcu wstydu nie zrobić. Zrozumiano?

— Pojedziesz razem ze mną winszować margrabi ocalenia. Żeby wiedział ten człowiek, iż nie samotnie na straży tego kraju stoi... iż znajdzie współczucie i pomoc wśród rozsądnych...

Wyglądało, że sam los uprzedza Jurkowe życzenia. Nie zdziwił się jednak ani trochę, bo któż dziwi się szczęściu? Oprzytomniał tylko odrazu. Odbył zaraz dłuższą konferencję z Freytagiem i wikarym, na której zdecydowano rozwiązać raczej organizację, bądź usunąć się z niej zupełnie, niźli na dalsze skrytobójstwa pozwolić. Miał się w tem zresztą zorjentować na miejscu. Pełen był najlepszych nadziei.

Jechał też do stolicy z milczącym i nachmurzonym marszałkiem, jak na święto. I rzeczywiście, gdy przybyli tam w cudowne, letnie popołudnie, uderzył ich świąteczny wygląd miasta. Po ulicach snuły się gęste i rozbawione tłumy, a tak kolorowe i strojne, jakby po jednostajności żałoby samą barwą nacieszyć się chciały. Poprzez osute zielonością kraty Saskiego Ogrodu widać było szeregi i grupki strojnych dziewcząt, jak spacerujące po ulicach girlandy i bukiety. Nigdzie śladu niedawnej czarności i smutku. Wróciły do swych praw ścigane zimą konfederatki, ukryte po szafach ułanki i batorówki. Siaki taki podejrzany karmazyn walił po Krakowskiem i w kontuszu i żółtych butach, aż blask szedł odeń i pycha, że kroć sto tysięcy!... Policji dojrzeć było trudno, wojska ani na lekarstwo.

Jurek oczom nie chciał wierzyć, patrząc na tę szczególną przemianę. Wysiadłszy tedy przed Saskim, już w kancelarji pytał zarządzającego hotelem:

— Cóż to, panie? Żałobę znieśli?

Ten spojrzał nań z uśmiechem.

— Gdzieżby żałobę. Niema powodu. Tylko, że dziś 12-ty sierpnia, narodowa rocznica unji.

A i marszałek wmieszał się do rozmowy.

— Więc cóż z tego, że rocznica?

— Ano, ubrali się wszyscy inaczej. Komitet kazał.

— Jaki znów Komitet?

— Tego już nie wiem. Komitet.

— To już w Warszawie nie władzy się słucha, tylko Komitetu?

Zarządzający podniósł ramiona do uszu prawie.

— Każdego się słucha, panie marszałku. Takie czasy.

Urządziwszy z Andrzejem zamówione przez ojca apartamenty i wziąwszy klucz od swego skromnego pokoiku w innem skrzydle gmachu, ze szczerą radością wmieszał się Jurek w wesoły na ulicy tłumek. Włóczył się tak bez celu kilka godzin w bezsensownej nadziei, że spotka tu gdzieś ją, panią Zofję, choć zgóry wiedział, że to niemożliwe ze względu na żałobę.

W głównej alei Saskiego Ogrodu spostrzegł Dąbrowskiego, jak asystował kilku rozbawionym pannom, zwracając powszechną uwagę swoim rosyjskim mundurem. Przypomniało mu to organizację i wszystkie spiskowe sprawy; zaraz też udał się do Niemieckiego hotelu na Długą, by się dowiedzieć jednak, że panowie Rolscy już tu nie mieszkają. Nie mieszkają od miesiąca chyba, od czasu powrotu pana Józefa; dokąd się przeprowadzili — niewiadomo. Wraz z zapadłym zmrokiem podążył na Pragę. Widok połyskujących już tu i owdzie żółtych, migocących światełek napełnił mu raptem serce niewymowną trwogą.

A jeśli jej niema? jeśli wyjechała po pogrzebie? Przeszedł most jak na skrzydłach. Wśród ciemnawej bezksiężycowej nocy mijał znany sobie parkan i furtkę. Jest światło. Jest. W salonie nawet. Patrzał w niewyraźny z poza firanek i krzewów krąg światła, jak w zaczarowane koło szczęścia. Siłą woli zwalczył w sobie pokusę, żeby wejść i mówić z nią zaraz, natychmiast. Nagle ruszył zpowrotem krokiem szybkim i zdecydowanym. Gdzieś na środku mostu minął czyjąś wysoką i szczupłą, a jakby znaną sobie postać. Obrócił się, a i tamten obrócił się również. Dyrektor Królikowski. Nie skłonili się sobie jednak — Jurek z nagłego gniewu. „Że też muszę go zawsze spotkać?“ — myślał. — „I czego się włóczy? Toć żonaty i dzietny od lat. Głupiec“... Nawet w głowie mu nie postała myśl możliwej rywalizacji. Kładąc się spać, układał bilecik do pani Zofji z prośbą o widzenie się.

Wysławszy go nazajutrz, raniutko, już koło dziesiątej jechał z ojcem do margrabiego. Udali się tam z całą pompą, wynajętym powozem, z liberyjnym Andrzejem na koźle, choć do pałacu Brühlowskiego mieli kilka kroków zaledwie. Gęsto ugalonowany szwajcar przeprowadził ich kilka kroków, by oddać następnie jedynemu staremu lokajowi z herbami Wielopolskich.

W obszernej sali, z czerwonemi wzdłuż ścian kanapkami, oczekiwało już sporo osób. Jakieś starsze paniusie, petentki, tuliły się po kątach, przytłoczone wielkością chwili; kilku urzędników cywilnych gładziło co moment cylindry niespokojnemi palcami, wpatrzeni w olbrzymie, na biało malowane drzwi, jak w obraz; wysoki jenerał, o posrebrzonej czuprynie i zalanej orderami piersi, przechadzał się wpoprzek sali krokiem niecierpliwym i sprężystym; w którymś rogu gromadka modnie ubranej młodzieży szeptała o czemś między sobą, dyskretnie przesłaniając uśmiechy trzymanemi w ręku tekami... Odebrawszy bilety Krasuskich, lokaj stanął obok nich w postawie wyprężonej i oczekującej. Zanosiło się na długie ceremonje. Marszałek zasępił się i napuszył cały, jak sowa, rzucając po sali okiem złem i niespokojnem. Lecz oto z grupki młodzieży oddzielił się i ruszył wprost ku nim jeden z rozbawionych panów. Ledwie zerknąwszy na wzięte od lokaja bilety, skłonił się wcale nisko:

— Jestem de Vidal, sekretarz naczelnika rządu. Wiem, że margrabia ucieszy się bardzo z łaskawości pana marszałka. Natychmiast zamelduję.

I rzeczywiście, wróciwszy za chwilę z poza zaklętych drzwi, szeptał konfidencjonalnie:

— Jak mówiłem. Mam wpuścić panów bez zwłoki. Panowie pozwolą...

Lecz już koło samych drzwi zastąpił im drogę jenerał, czerwony teraz jak burak. Brzękając ostrogami, zwrócił się do Vidala ostro i z pretensją, a po rosyjsku:

— Przecież to moja kolej!... Czekam już od dziesiątej, u djabła!

Uśmiechnięta twarz sekretarza zesztywniała w jednej chwili. Patrząc gdzieś w sufit prawie, wycedził po francusku z chłodną grzecznością:

— Pan margrabia bardzo żałuje... Obecnie jest pilnie zajęty.

I, nie dbając o wściekły pomruk dygnitarza, prowadził ich przez dalszę salony z prawdziwą dworskością.

— Trzeba uczyć tych panów — mówił z uśmiechem. — Niech wiedzą, że nie są już u siebie, że koniec ich panowaniu.

Margrabia umyślnie przyjmuje ich na ostatku i to bez względu na wiek i stanowisko. Mógłbym opowiedzieć panom przezabawne historje w tym rodzaju...

Otworzywszy jakieś drzwi, cofnął się z ukłonem, wygłosiwszy krótko:

— Panowie Krasuscy.

Od zawalonego papierami stołu uniosła się na te słowa postać olbrzymia, a tak w budowie ciężka, że zdawała się z kamienia raczej, niźli z ludzkiego ciała. Długi czarny surdut, niedbale pod górą zapięty, a pofałdowany w tysiączne składki, powiększał jeszcze wrażenie potęgi i niedźwiedziej wprost niezgrabności tego człowieka. Nie łagodziła tu nic ogromna, na krótkiej, a gęsto kłakami porośniętej szyi osadzona głowa. Była rozumna i zła. Z wygolonych ust i ciężko nawisłych brwi zionęło ponurą, bezgraniczną dumą.

Margrabia patrzał na nich bez uśmiechu i zapowiedzianej przez sekretarza życzliwości. Przygniatał. Jurek nie dziwił się też wcale drżeniu ojcowskiego głosu, gdy wygłaszał koniec powitalnej tyrady:

— ...Potrzebą serca i rozumu było mi wraz z synem złożenie hołdu mężowi, co w tych strasznych czasach ma odwagę przeciwstawić swą wolę i mądrość szaleństwu współobywateli. Wobec niecnego zamachu, przybyłem tu, aby osobiście zaświadczyć, ile dobro tego kraju po panu się spodziewa, panie margrabio!

Margrabia, teraz dopiero dłoń marszałka ująwszy, wstrząsnął nią kilkakrotnie a tak niezręcznie, jakby ją ze stawów chciał wyrwać. Nic ze zwykłej ponurości nie tracąc, wskazał obu panom miejsca gestem powolnym i ważkim. Sam siadłszy, jął mówić bez intonacji, głębokim basem, który, jak sadzą, pokrywał zdania zawiłe i ciężkie.

— Przyjacielskim, a przez marszałka mi tu wyrażonym uczuciom wierzę, jako pochodzącym od człowieka, z którym mnie wiążą wspomnienia wspólnej, w sąsiedztwie spędzonej, młodości. Tem większą do nich przykładam wagę w chwili, gdy zewsząd czyha fałszywość, zdrada i mord. Dwa zamachy, w jednym miesiącu spełnione — pierwszy imię Polaka hańbiący — oto ciężkie brzemię, jakiem władza na samym początku rządów mnie obarcza. Mniemaćby można, że pokolenie nowe, cnotami przodków wzgardziwszy, szyderczo się z ich czynów natrząsa i w pyle nogami depce...

Zamilkł, a zdało się, iż rzucone oskarżenia tłuką się gdzieś po kątach ponurem echem. Marszałek poruszył się niespokojnie.

— Wszystko, co rozsądniejsze, murem za margrabią stanie! Niesłuszna jest miara, brana dla kraju z szaleńców i nieuków...

— Nieuków! — przerwał margrabia. — Rzekłeś, marszałek, nieuków... Ja też ich douczać pragnę. Pierwsze to moich rządów staranie. A skoro wykłady w szkołach nie pomogą, stać mnie dla nich na lekcję tak wymowną, że długie lata kraj jej nie zapomni...

Rozległo się ciche we drzwi pukanie.

Nie czekając pozwolenia, wszedł Vidal z miną poważną i zaaferowaną. Nachylony nad margrabią, szeptał mu coś do ucha długo i natarczywie. W miarę tych szeptów twarz dygnitarza pochmurniała coraz bardziej. W posępnych brwiach wystąpiły składki niehamowanej groźby i mściwości. Pytał kilka razy o coś półgłośno i na przeczenie Vidala srożył się jeszcze więcej. Z wygolonych warg wypadł wreszcie jeden jedyny wyraz, jak warknięcie:

— Wprowadzić!

I zaraz zwrócił się do starego Krasuskiego tonem cierpkiej ironji:

— Właśnie pokażę tu marszałkowi owych „najrozsądniejszych"...

Podniósłszy się w całej swej potwornej okazałości, czekał z nasępionemi brwiami, jedną ręką wsparty o biurko ciężko i majestatycznie. Z wydętych warg wiało pełnią władzy i chłodną wzgardliwością.

Weszli czterej panowie, wprowadzeni przez Vidala, którego margrabia zatrzymał skinieniem ręki. Na jego nie znoszące protestu zapewnienie, że przed obecnymi nie ma żadnych tajemnic, panowie ci wymienili z Krasuskimi chłodne powitanie. Ze zdziwieniem Jurek poznał wśród nich Kronenberga i Jurgensa. Marszałek, powstawszy dla ukłonu, cofnął się o kilka kroków cicho i dyskretnie: Zapanowała cisza tak głęboka, że słychać było wyraźnie bzykanie uwięzionej za kotarą muchy. I oto jeden z przybyłych, starzec o rysach suchych i drapieżnych, rozpoczął przygotowaną przemowę:

— Panie margrabio! Przychodzimy tu do margrabiego sami i nieproszeni, niosąc panu nasz żal z powodu zamachu i radość z racji ocalenia męża, w którego talentach i znanych już krajowi chęciach niezachwianą pokładamy ufność. Lecz przychodzimy nie z próżną chwałą tylko i pustemi rękoma. Pan wie, że za nami stoi cała lepsza część naszego nieszczęsnego narodu, cała szlachta i całe zasobne mieszczaństwo, którego tu obecny pan Kronenberg jest

przedstawicielem. Reprezentujemy siłę, bo reprezentujemy wszystko, co w narodzie jest ważkiem i co podstawę jego bytu stanowi. Przychodzimy tu, aby siłę tę, a z nią losy całego kraju oddać w pańskie, panie margrabio, ręce.

Przerwał, jakby wyczekując skutku ostatniego zdania. Margrabia milczał.

— Panie margrabio! — ciągnął mówca, stopniowo jakby wagą własnych słów obciążony. — Wszystkim, a nam szczególnie, wiadome są niezmierne prace i wysiłki, które pan dla ocalenia tego kraju podjąłeś. Milczę o nich, bo nie chwalić tu pana przyszedłem. Raczej przestrzec chciałbym, że sam jeden, na szerokich warstwach nieoparty, padniesz pan pod nawałą anarchji i bezrządu. Panie margrabio! Jesteś pan głową tego kraju, przynosimy panu ręce, które jego myśli lojalnie wykonywać będą dla dobra wspólnej Ojczyzny.

Zamilkł znowu i na dłuższą teraz chwilę. A i margrabia milczał, milczał ponuro i zacięcie. Ocierając z czoła krople potu, starzec mówił dalej głosem upadłym i bez przekonania:

— Wielki, a po dojrzałym rozmyśle składamy w ręce pańskie dar. Pragnęlibyśmy znać wzamian cele, jakie sobie margrabia w swej działalności zakreślasz. Czyli są one w stanie zaspokoić pragnienia serca narodu, objąć wszystkich braci naszych z Litwy i Rusi, a ku połączeniu całej rozdartej Ojczyzny dążyć? Tu byłby punkt jedynie, w którym drogi nasze połączyćby się mogły. Nie mówimy przez to, panie margrabio, byś za nami poszedł, pójdziemy raczej ochoczo za pańskiem wypróbowanem już przewodnictwem, byleśmy ze słów twych posiedli pewność, iż cel zmudnej wędrówki naszych najdroższych nadziei nie zawiedzie.

Mówca chrząknął i cofnął się o krok, jakby znak dając, że już skończył.

A margrabia milczał dalej. Nachmurzony i posępny, milczał tak długo, jakby samem tem milczeniem chciał dać odpowiedź. Aż stało się to kłopotliwe i żenujące. Panowie jęli spoglądać po sobie niespokojnie, Kronenberg poruszył ramionami i potrząsnął głową, niby czemuś przecząc. Wreszcie oczy margrabiego spoczęły z pod nawisłych brwi na przybyłych z ciężką pychą. Przemówił:

— A gdzież przywódca panów? Gdzie głowa partji? Czy i w jego imieniu panowie tu przemawiacie?

I jakby nie widząc ich zakłopotania, a wzgardziwszy odpowiedzią, rąbał surowo i ciężko:

— Zamiarów moich i planów przed nikim nie ukrywam, ani je dopiero objaśniać muszę. Dość są z mych czynów wyraźne. Niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Wszystko, com dotąd zrobił, sam zrobiłem.

Na pergaminową twarz mówcy wystąpiły krwiste rumieńce. Drżącym głosem, wyraźnie spełniając obowiązek ponad siły, pytał jeszcze:

— Więc pan odmawiasz? Tak to rozumieć mamy? Odrzucasz pan podaną mu rękę?

Margrabia odrzekł krótko i posępnie:

— Powiedziałem.

Cała delegacja żegnała się wśród oznak najwyższej obrazy i oburzenia. Ledwie słychać było cichą przestrogę Kronenberga:

— Gubisz się, margrabio...

A ten dorzucił jeszcze, jakby ostatni cios młota w kowadło:

— Dla Polaków można coś zrobić, z Polakami — nigdy.

Ledwie drzwi zamknęły się za delegacją, gdy margrabia siadł ciężko, wskazując marszałkowi dawne miejsce. Z przymkniętych jego oczu wyzierała głucha nienawiść.

— Oto marszałek masz pierwsze w kraju głowy! — mówił gniewnie. — Mnie, sprawującemu rządy imieniem obcego monarchy, proponują wyzwanie na rękę cesarza i dwóch jeszcze wrogich potęg. Jezuickiem pochlebstwem chcieliby wprzągnąć do własnego wozu, co w głupstwie już po osie zagrzązł. Politycy z rolniczych zjazdów! Co wieczór pracują u namiestnika, żeby Wielopolskiego strącić, a w dzień przychodzą się tłumaczyć jak niegrzeczne dzieci, jak smarkacze. Myślą, że ich Wielopolski pogładzi i psoty daruje. Marszałek wiesz, że gdym moje koncesje krajowi przywiózł, spotkano mnie jak zdrajcę, jak zaprzańca! To była moja nagroda! A teraz, gdy zapachniała im władza, chcieliby mi ją z rąk wydrzeć! Ale z Wielopolskim sprawa... Wielopolski nie zapomina. Niech wiedzą, że jeśli padnę, to jak dąb, co wszystko wokół miażdży! Sam rządy sprawiam! Fałszywej pomocy nie potrzebuję!

Zamilkł na chwilę w groźnym namyśle. Tak namyślałby się piorun, gdzie ma uderzyć. I zaraz grzmiał znowu:

— Strach ich tu przygnał. Lękają się anarchji... Ale ja się nie boję! Choćby mi połowę ludności w dyby, całą młodzież pod bagnety oddać przyszło, choćbym ten kraj zlać miał krwią i łzami, jak deszczem! Pod mój zasiew. Wiem, co robię. Od lat o tem

w Chrobrzu myślałem... Wrócę ten naród słowiańskiej rodzinie i należne pierwszeństwo mu w niej oddam. Żeby nas Praga i Wrocław nie wstydziły!

Wstał ciężko, kres temu posłuchaniu znacząc. Rękę marszałka ująwszy, mówił z szorstką i ponurą życzliwością:

— Pomocników-przyjaciół, jak marszałek, mi potrzeba... Chcę go widzieć w mojej Radzie Stanu lub mieć prezesem Komisji Czynszowej. Proszę jutro wieczór do siebie, gdziebyśmy te sprawy bliżej omówić mogli...

Krasuski zarumienił się aż po siwe włosy, ledwie coś bąkając w wielkiem zmieszaniu. Za chwilę, grzecznie przeprowadzeni przez Vidala, wracali poprzednią drogą wśród rozstępujących się z szacunkiem petentów. Tylko stary jenerał na ich widok odwrócił się na pięcie z pasją. Marszałek szedł środkiem ludzkiego szpaleru, napuszony i dumny, łaskawie słuchając sekretarskich komplementów...

W powozie zato, ledwo ruszyli, zwrócił się do syna z niezwykłą żywością:

— Wiesz, kto byli ci panowie, tam, u margrabiego?

— Wiem. Dyrekcja Białych.

— Skądżeś taki pewny?

— Bom poznał Kronenberga, a wszyscy mówią, że jest w Dyrekcji.

Starzec spojrzał nań bystro.

— Widzę, że i ty wcale się znasz na polityce — mówił z ironicznem uznaniem. — Bo, jeśli nie Dyrekcja, to jej wysłańcy co najmniej...

I, trąciwszy woźnicę końcem laski, rozkazał krótko:

— W Aleje.

Mijając liczne o tej godzinie powozy, marszałek, jak z otwartego herbarza, wyliczał synowi nazwiska właścicieli, co chwila zresztą zamieniając z kimś wytworne ukłony. Pod wpływem margrabskiej łaski i cudownego południa starzec jakby odmłodniał nagle. Zapomniawszy zwykłej rodzicielskiej mustry, do każdego prawie ukłonu łączył dykteryjkę czy wspomnienie, niby promień dalekiej a wesołej widać młodości. Pozdrawiając jakieś starsze, w dystynkcji na lód zastygłe panie, uśmiechał się całą głębią przepysznych szarych oczu, mimowoli unosząc rękę do białego jak śnieg wąsa... Jurek patrzał na to z osłupieniem.

„Ehe, staruszku"... — myślał z pewną satysfakcją, zerkając z boku na rozjaśnioną twarz ojcowską, — „nie takiś ty był w życiu surowy, jakim się synom chcesz wydać"... Nie dziwił się już wcale, gdy marszałek kazał podać do deseru butelkę szampana. A starzec, zapaliwszy cygaro i popijając złociste wino, teraz dopiero zdradził przyczyny swego ukontentowania. Pół żartem niby, jął przecie snuć przed synem widoki własnego wyniesienia, a rychło się zapomniawszy, roił z całą powagą o zaszczytach i honorach, któremi przez margrabiego nazwisko Krasuskich ozdobi. Przenosił się już do Warszawy na stałe, oddawał synowi Kęty na własność, a cały klucz Kowalski w administrację... Wraz z winem, co rumieniło mu policzki, jak słońce sierpniowe gruszkę, biły mu do głowy myśli o świetnej przyszłości i znaczeniu...

EDWARD LIGOCKI

(* 5. III. 1887 w Tuczy).

W książkowych wydaniach: „Kuźnica Ilmarowa“ 1905. „Poezje“ S. I. 1906. „Poezje“ S. II 1908. „Przeznaczenie“ 1909. „Legendy o Królowej Jadwidze“ 1911. „Pustkowie“ 1911. „Laguna morta“ 1913. „Sambra i Moza“ 1916. „Thalassa“ 1917. „Sen o Dwernickim“ 1918. „Ognie Werony“ 1920. „Triumfatorzy“ 1920. „Historja o panu Bazylim“ 1921. „W ogrodzie róż“ 1921. „Nemezis“ 1921. „Nowa legenda“ 1921. „Płonące Reims“ 1921. „Lew św. Marka“ 1922.

Idziemy nad polskie morze.

Idziemy nad polskie morze,
— Bóg naszej wiary strzegł...
My, ordynansy Boże,
Idziemy na Pomorze,
Na bursztynowy brzeg.

Graniczne kopce giną,
Sypią się w proch i w pył —
Śpiewałbym ci, dziewczyno,
Godzinę za godziną —
Jak lud nam wieńce wił.

Jeno, żem raz, na wieki
Już moje serce dał...
Szumią nam wielkie rzeki
I Bałtyk grzmi daleki
Aż hen! u szwedzkich skał.

Głucho nam dudnią działa
O kamień zmarzłych dróg,
Żołnierska pieśń, zuchwała,
Zerwała się, zerwała —
— Tak nam dopomóż Bóg!

Lśni srebrem zbrojny szpaler
I szumi morska toń...
Dał znak brygadjer Haller —
— Zbiegnijcie z wrażych galer
Za ostrą chwycić broń!

Ze wszystkich krańców świata
Nasz wierny żołnierz biegł
I witał go, jak brata,
Odzyskanego brata,
Nasz bursztynowy brzeg.

Bogu Rodzico Maryjo,
Zwólże nam, odpuść nam!
Żołnierskie serca biją,
Bogiem sławiona Maryjo —
Idziemy do gdańskich bram.

Świeci nam jasne zorze —
Hufiec nasz w błękit wbiegł —
— — — — — — — — — —
My, ordynansy Boże,
Idziemy na Pomorze
Na bursztynowy brzeg.

Ze „Snu o Dwernickim".

Dwa pokolenia.

XXXVIII.

— Opamiętaj się, człowieku!
— Jestem przy zdrowych zmysłach.
— Ale zmiłuj się. Ledwie parę miesięcy minęło, odkąd się ożeniłeś!

— Cóż stąd?

— Zapominasz o żonie!

— Czy ojciec woli, żebym zapomniał o Ojczyźnie?

— Ależ wszystko można pogodzić.

— W jaki sposób?

— Poczekać.

— To trudno. Wszyscy chwycili już w całym powiecie za broń.

— Głupstwo.

— Wie ojciec, co to jest honor?

— No, pewno.

— Mnie się nie zdaje.

— Zbyt wiele sobie pozwalasz, mości zięciu.

— Nie zaczynam pierwszy.

— Ale masz żakowskie zamiary. Młoda żona, majątek mały, zadłużony.

— To trudno.

— Zostawisz wdowę i sierotę.

— I uczciwe nazwisko.

— Wielu uczciwych ludzi siedzi w domu.

— Czy ojciec nie widzi różnicy?

— Żadnej.

— Tamci nie wierzą.

— Ty wierzysz w głupstwo.

— Ja wierzę w sprawę.

— Sprawa sprawą, a chimeryczne projekty djabła warte. Bóg da wytargować co w Petersburgu.

— Ojciec wierzy w Petersburg?

— Więcej, niż w wasze dubeltówki.

— To jest ani w jedno, ani w drugie.

— Właściwie, to tak.

— A do obowiązków żadnych ojciec się nie poczuwa?

— Mam żonę i dzieci. Nie możesz się uskarżać. Procent wam płacę regularnie.

— Głupstwo procent.

— Głupstwo? mogę przestać płacić.

— Nie o tem mówię.

— Rejterujesz?

— Jakiż ojciec dziwny.

— Jakiś ty narwany. Toż to pewna zguba. Przepisz choć majątek na moje imię.

— I owszem.

— Trzeba antydatować.

— Co się ojcu podoba.

— Ale w każdym razie...

— Co?

— Zastanów się.

— Raz powiedziałem: obowiązek.

— Znikąd nadziei.

— A pan jenerał Dwernicki?

— To jeszcze widłami na wodzie.

— Pan jenerał nas nie opuści.

— Pan Bóg opuszcza, cóż dopiero jenerał?

— Niech ojciec zlituje się i przestanie narzekać.

— Serce ci mięknie?

— Słuchać nie mogę spokojnie.

— Ja ci powiadam: zastanów się. Masz młodą żonę. Pan Bóg ci zsyła dziecko. Głupstwo wasze powstanie. Ani broni, ani ludzi, ani pieniędzy.

— Pół pokoju zasypane rublami u pana Wincentego Tyszkiewicza.

— Dalibóg, szkoda pieniędzy. Zły interes.

— Broni poddostatkiem.

— Moskale więcej mają. Ludzi niema.

— Już jest osiem tysięcy.

— Car przyśle osiemdziesiąt.

— To niech przysyła.

— Zamówić mszę za twoją duszę?

— Jeżeli się ojcu podoba.

— Może Bóg da, że się opamiętasz.

— Może się serce ojca nawróci.

— Moje serce ojcowskie kraje się na myśl o waszych dzieciństwach. Zaprzepaścicie siebie i kraj.

— Wywalczymy wolność i Państwo Polskie.

— Zginiecie.

— To zostawimy dobre imię i testament dla synów.

— Wolę porządny testament u rejenta.

— A ja uczciwe serce.

— Dowidzenia. Namyśl się.

— Żonę moją ojcu polecam.

— Córkę moją kocham sercem ojcowskiem. Nie chciałem tego małżeństwa. Przeczuwałem, że ci głupstwa w głowie. Wziąłeś obowiązki na siebie, masz być ojcem, nie rozumiesz ani mnie, ani obowiązków obywatelskich.

— Czyny moje zaprzeczą słowom ojca.

— Widzisz?

— Co?

— Tę bliznę.

— Widziałem nieraz.

— Wiesz co?

— Wiem. Pod Racławicami.

— Tak.

— Tem mniej rozumiem ojca.

— Nas wtedy było więcej. Mieliśmy własne państwo. Mieliśmy armję, Kościuszkę, króla i własny sejm.

— Prymasa, Ożarowskiego i Targowicę.

— Tak.

— Cóż stąd?

— Myślisz, że dziś Targowicy nie będzie?

— Niechże ojciec da spokój.

— Boli?

— Zrzędzi ojciec, i koniec.

— Obyś nie pomyślał kiedyś, że teść prawdę mówił.

— Ale skąd te przypuszczenia?

— Skąd? Bo znam naszych ludzi. Wiesz, kto jest pani Branecka z Białej Cerkwi?

— Pewno, że wiem.

— Takich się znajdzie więcej.

— Nie sądzę.

— Tacy się znajdą, co przez głupotę, czy przez podłość wrodzoną protestować będą przeciwko Niepodległości.

— Co też ojciec za nonsensy opowiada!

— Zobaczysz.

— Bóg da, że nie zobaczę.

— Jeśli cię Bóg do swej chwały powoła, to nie zobaczysz.

— Żywy, czy umarły, czekam na triumf Polski.

— A ja na klęskę niechybną.

— Wolę honor i śmierć.

— A ja oczekiwanie na lepsze jutro. To honoru nie plami.
— Jak czasem.
— Masz gorące serce.
— Bogu dzięki.
— Więc idziesz?
— Raz powiedziałem.
— Zaciąłeś się?
— Nie. Postanowiłem po namyśle.
— Tak ci serce mówi?
— Tak.
— I rozsądek?
— I rozsądek.
— Niechże cię Bóg prowadzi.
— Dziękuję ojcu.
— Ale, poczekaj. Cóż z majątkiem?
— Gotów jestem na imię ojca...
— Kiedy widzisz, ja już swój folwarczek sprzedałem...
— Poco?
— Bo był kupiec.
— Co też ojciec zrobił najlepszego?
— Wysłałem pieniądze do Lwowa.
— Kiedy?
— Wczoraj.
— Dlaczego?
— Mam córki. Będę miał wnuka.
— Nie mógł ojciec spokojnie w domu? I takby nie przepadło.
— Kto wie.
— Boi się ojciec, że ze względu na mnie?
— Nietylko na ciebie.
— Na kogo jeszcze? Na moją żonę?
— Widzisz, u mnie w lamusie jest trochę broni i prochu ze dwie beczułki...
— Co też ojciec opowiada?
— Do krocset, toś ty lepszy ode mnie?
— Nie rozumiem.
— To ty nie wiesz, błaźnie jeden, kto jest komisarzem w twoim powiecie?
— Orlikowski?
— Nie.

— A kto?
— Ja.
— A niechżeż ojca!
— Cicho! Żonę zbudzisz!
— Co też ojcu w głowie!
— Baczność! Znaj mores, to cię mianuję wachmistrzem.
— Niechżeż ojca kule biją! Więc idziemy?
— Choćbyśmy zginąć mieli.
— Widzi ojciec, co jest przed nami?
— Polska Jagiellońska — lub śmierć.

Śmierć Wacława Monkiewicza pod Barem, we dwadzieścia cztery godziny po chwyceniu za broń. R. I. P.

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI

(* 1895 † 1922 w Zakopanem).

Wydał: „Koń na wzgórzu“ 1921. „Pod lazurową strzechą“ 1923 (wyd. pośm.). Teatr Bogusławskiego w Warszawie grał w r. 1921 jego „Wigilję“. Poezje i opowiadania prozą: „Placówka“, „Tygodnik Illustr.“, „Rzeczpospolita“, „Skamander“.

Czyn.

Narodzie!

Ty wołasz: Czynu, czynu! co dnia.
A on już płonie, jak pochodnia.
Bo z Twoich zasług, z Twoich win
powstaje — POLSKA: wielki czyn.

Mężowie!

Powstaje Ona z waszej pracy,
jeśli c z y n i c i e, jak P o l a c y,
jeżeli zdrowem ziarnem słów
rzucacie w polski ugór-nów.

Niewiasty!

Czyn w łonach waszych się rozkwieci
i zrodzi się w postaci dzieci,
co w wieńcu waszych pięknych cnót
po laury sięgną, czyniąc cud.

Poeci!

Skrzydlicie skrzydłem Czyn orłowem,
jeśli ostrzycie miecze słowem,
jeżeli każda wasza pieśń
rozrywa pęta, łamie cieśń.

Żołnierze!

Nadacie POLSCE czyn wasz w herbie:
przez ducha — w harcie, ciało w szczerbie,
jeżeli czyn w c i ą ż będzie lwi
na amarancie waszej krwi.

Z „Dziejów Baśki Murmańskiej".

Na przeciwnym brzegu, wznoszącym się stromo, rozsiadła się wieś, która z ośnieżonych strzech wzdychała w niebo błękitnemi bukietami dymów.

Podczas jednej z takich wycieczek, w której, prócz Baśki i Smorgońskiego, wzięło jeszcze udział kilku żołnierzy, zachodziło właśnie słońce, sadowiąc się hen za rzeką, na pokryte śniegiem pola, tam gdzie daleki las siną taśmą wił się wzdłuż widnokręgu. Leżąca u stóp Wisła w purpurze i fioletach, urwisty brzeg i śnieżne pola, okryte jakoby ruchliwemi grzędami różowych i fiołkowych kwiatów, sina smuga dalekiego lasu — wydały się nagle Baśce czemś ogromnie znanem, drogiem, utęsknionem: rzeka — zatoką morską, gdzie się niegdyś pływać nauczyła, urwisty brzeg i pola w barwnem świetle — murem lodowałów, siny las — oceanem, daleko, daleko szumiącym.

Wołanie wiecznej natury, jednakiej w swej potędze od bieguna do bieguna ziemi, wzywało swe dziecię, zabłąkane wśród ludzi, do powrotu.

I Baśka, podobnie jak wówczas, dwa lata temu, poczuła znów wielką tęsknotę, szaloną chęć do pójścia i popłynięcia naprzód, gdzie oczy poniosą, w szeroki świat, morskiem bezdrożem.

Urwała się z łańcucha, wpadła do wiślanej wody, jak burza, i, rycząc radośnie, popłynęła skroś gęstą krę ku przeciwnemu brzegowi.

Żołnierze, lękając się o jej los, kopnęli się na poszukiwanie łodzi.

Tymczasem Baśka wydostała się już była na tamten brzeg i pobiegła zrazu w stronę dalekich lasów, ku urojonemu oceanowi. Lecz po chwili zmieniła kierunek i zaczęła iść ku chałupom wsi nadwiślańskiej. Porywcza tęsknota opuściła ją nagle, jak nagle przyszła. Cywilizacja wzięła górę nad popędami pierwotnemi.

I Baśka znów zapragnęła towarzystwa ludzi, znów się jej zachciało być przez nich oglądaną, podziwianą, poklepywaną po kudłach.

Tak to czasami i w zwierzęciu, pozbawionem duszy rozumnej, siedzi iście ludzka żądza „zadziwienia, nie zbawienia świata".

Obok skraju wsi, na polu, dostrzegła Baśka poruszające się na tle śniegu czarne postacie. Poszła wprost ku nim. A był to ojciec Wawrzon, gospodarz stateczny, z synami. Rozrzucał przy ich pomocy gnój na swym zagonie.

Dojrzał niebawem idącą ku chałupom niedźwiedzicę. Przysłonił dłonią oczy i miarkował, co za dziw tak wprost na niego naprzełaj polem idzie. Zmiarkował wreszcie, że musi to być Baśka, wiedział o niej ze słyszenia.

— A spójrzyjta-no, chłopcy — rzekł do synów. — Galanty zwirz do nas wali. Pedają ludzie, że naskie legjony przywiezły ją z tego ich tam jakiegoś Murmanu, co to gdziesik wedle samej Ameryki leży, albo i dalej. Długo wieźli morzami i lądem, bezmała rok czasu, na wielgi podziw całemu światu. Gadają, że sam król jangielski dziwował się okrutnie; jak ją zobaczył, jaże gęba mu się ozdarła od ucha do ucha, a królowa z własnej ręki marcypanami toto karmiła. A w Warszawie sam nasz pan Naczelnik za rękę z nią się witał. Honorowali ją wszyscy, jako że rzadkość jest pono wielga. Nigdy jeszcze takiej nie było...

Baśka znajdowała się już na jedno strzelanie z rusznicy.

Ojciec Wawrzon w kupę dymiącego ciepłem gnoju wsadził na sztorc widły i wsparł się na nich oburącz. W tej postawie, przy tradycyjnej czynności polskiego kmiecia, miał w sobie jakiś majestat wieków, powagę świętej ziemi, uznojonej, jak to się mówi, łzami i potem ludu, słowem: „miał w sobie coś z króla Piasta i — basta!"

Długo oglądał zbliżającą się niedźwiedzicę, aż wreszcie rzekł:

— Ale mnie się widzi, że będzie z niej bardzo zacne futro dla Maryśki, wedle tej mody, jak się noszą francuskie oficery po ulicach w Warszawie, sierścią na wierzch...

— Sprawiedliwie mówicie, ojcze! — odrzekli trzej synowie, parobczaki naschwał, z których dwaj starsi zdezerterowali świeżo z wojska.

A Baśka szła wprost do nich, ucieszona, że znów widzi ludzi, wezbrana ową wielkopańską łaskawością dla wszystkiego i wszystkich, którą od niejakiego czasu miała nawet dla nieznajomych. Ufała

tym ludziom, trzymającym ostre widły w ręku: przecie w tym kraju nikt jej dotąd żadnej krzywdy nie wyrządził, owszem, wszyscy, podziwiając, kochali.

Gdy podeszła na odległość kilku kroków, ojciec Wawrzon przeżegnał się pobożnie, splunął w garść i zagrzmiał na synów:

— Chłopcy, do wideł! Rrraz!...

Zakotłowało się na śnieżnem polu. Wrzask czterech chłopów, mordujących Baśkę, wywabił ludzi z pobliskich chałup. Sypnęli się wkrótce ku Wawrzonowi z pomocą, chwytając co było napodorędziu.

Baśka tak się zdumiała niespodziewanym napadem, że nawet nie próbowała się bronić. I zginęła, skłuta widłami, bez najmniejszego oporu, jak łagodna sarna.

Zabrano się wnet do zdzierania cennej skóry. Zbiegły się psy wiejskie i zlizywały krew, przelaną na śniegu.

W trakcie tego nadbiegł Smorgoński z towarzyszami. Ledwie nie utonęli, przebijając się łodzią przez gęstą krę, lecz pomimo to nie zdążyli na czas, by uratować Baśkę.

Zdumienie i żal straszny na widok tego, co się stało, zdjęły żołnierzy i tak ich przygnębiły, że nikt z nich narazie nawet nie pomstował i nie sklął chłopów, jak na to zasłużyli.

Smorgoński rzekł tylko:

— Bodaj wam ręce i nogi połamało na równej drodze za to, coście z nią zrobili! Ale, wola Boska, stało się i nie odstanie. Oddajcież ją nam przynajmniej tak jak jest...

I zapłakał łzami grubemi, jak największy groch.

Lecz ojciec Wawrzon, dalej kozikiem zdzierając skórę z zabitej Baśki, otarł tylko krwawą ręką uznojone czoło i odpowiedział:

— A niedoczekanie wasze! Nie znacie prawa pisanego? Moją jest, bom ją z narażeniem miłego żywota na własnym groncie upolował. Nie dam!

— Twardy jest naród tutejszy! — zawołał na taką odpowiedź zdesperowany Smorgoński. — Niema co, chłopaki. Do broni!...

Na to hasło żołnierze rozgrodzili w okamgnieniu pobliski płot, gdyż karabinów z sobą nie wzięli, i na łbie ojca Wawrzona i jego synów i kumów i sąsiadów wypisali ze wściekłością, z furją jakoby całego bataljonu, rzucającego się wręcz do ataku z nadstawionym bagnetem — swoje murmańskie niezawodne, idące przed wszelkiem innem prawem, wojenne prawo.

Zaczem Baśkę, odbitą z chłopskich rąk, włożyli na te same kije, któremi pokonali chłopów, i ponieśli ją ku łodzi, zostawionej przy brzegu, struci żalem i smutkiem, jak na pogrzebie rodzonej siostry.

Tego dnia przy raporcie wieczornym kapral Smorgoński meldował dowódcy Baonu, pułkownikowi Skokowskiemu:

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że tutejsze polskie chłopy rozparcelowali naszą Baśkę dzisiaj na flaki... żeby Pan Bóg skarał ich ciężko za naszą krzywdę i sieroctwo!...

STANISŁAW WASYLEWSKI

(* 18 grudnia 1885 w Stanisławowie.)

Wydał oddzielnie: „Na Zachód“, (1918); „U księżnej Pani“, 1918; „W srebrnym dworku z modrzewia“, 1919; „Na dworze króla Stasia“, 1919; „Romans prababki“, 1920; „O miłości romantycznej“, 1920; „Szambelanowa z Walewic“, 1921; „Historje lwowskie“, 1922; „Ducissa Cunegundis“, 1923; oraz szereg pamiętników w Bibljotece Gawęd o dawnym obyczaju.

„Ducissa Cunegundis“.

(Fragment).

Pisarz jął przemawiać z ukrycia i prostym wykładem wykładał słowa swoje. Głosek drżał mu przytem co nieco, bo pierwsza ta jego mowa była w tym klasztorku.

...A najpierw rozważał o tem, komu modlimy się. I też kto patrzy na nas codzień z nieba gwiaździstego?

Ano Ten patrzy, jenż utworzył wszystko.

I wywiódł ziele z opoki ku służbie ludzkiej.

Ptaszyny ustanowił na siedlach swoich.

Siedm planet założył na niebiosach.

I krople wody policzył i morze wiatrem wielkim porusza.

Jemu bydlęta, Jemu gadziny pływające służą. I też Go stwór każdy pochwala. Tak wilcy, tak łosiowie, niedźwiedziowie i lwowie, tak leśni ptaszkowie, tak ziółka i zwaliska gór.

A gdzież ten Bóg? Wśród winnych sadów na niebieskiem morzu mieszka i gwiazdy sieje w obłokach.

A jakoż chwalić Go? Dwoją rzeczą chwalić: czystotą serdeczną i radością doskonałą. Tu pychę i pokorę dokładnie rozliczył. Bo cóż pycha? Uciska serce kamieniami złości, owszejki pokora jest żywotem w obliczu Boga. Pycha ma córek siedm

a szkaradnych, pokora ma córkę jedną, a cudną, którą zowią radością. Więc im dołożył, jakaby była radość doskonała. Tejże rozmnożcą jest Bóg, a któż szatan jest? Otóż szatan pomnożycielem smutku. Bóg światy płaczliwe utula, chcący, iżby brzmiał w sercach rozśpiew wesela.

Patrzmyż tedy, aby swe serce ku radości mieć, a jako daleko wschód słonka od zachodu, tak my oddalmy trwogi nasze gaudentes in Domino...

Każącemu płynęło z ust słowo w porządku, śpiewne i dźwięczące i na obraz lekwaru smaczne. Tem słowem jakoby trwogi rozrzucał, tem słowem boleści przepędzał i łagodził. Widno, że w niem rozumny był.

Zatchnęły się siostrzyce z ksienią ducissą w słuchaniu.

Wydało się, jakoby dobruchny wietrzyk do serduszek postąpił. I wymiótł im był myśli czarniawe, a nałożył insze, jaśniejsze. Sama tylko panna ksieni nieco ruchliwa zdawała się.

Prezbiter przydał teraz mocy wyrazowi swemu:

— ...A chcecie inszą ważną rzecz usłyszeć? Też powiem. Ni to pustą modłą, ni to kolankiem zgiętem nie objednacie radosnej łaski w niebiesiech. Ni też świeczkami, ani paznokciem drapiącym nie uwielbicie Bożego Syna i Jego Matuchny dziewicy. Ku smutku was one zawiodą, ku truchłej trwodze, a te są od czarta zesłane.

Wy zasię czarta wiarujcie się! Czystotą serca wiarujcie i radością doskonałą.

A wtedy, gdyżby i kamienie z gór ciskał na was czarcisko, wieleby chciał, nie bójcie się!

W radosne serce wstąpić mu nie lza.

I w miłujące też.

Miłujcie Boga i utwory Jego, z których radość wynika.

Miłujcie te zamrozy i śniegi białe i ptaszki latem trzepiotopióre i jastkolice śliczne czarniawe.

Miłujcie kwiecie wśród łąk pachnące...

Tu jużci dziw jakiś wystąpił na chórze.

Z między tych słówek skrzydlatych, płynących wyniknął uśmiech i uśmiechły wpośród siostrzyc siadł.

Prezbiter już kończył naukę swoją:

— ...A tylko jednego nie miłujcie, otoć ciałka swego niewieściego, które z głupstwa plugawego zrodzone ku głupstwu plugawemu pośpiesza.

Pokląknąwszy na kolana wasze, módlcie się codzień Bogu za ludzie smutne, aby je pocieszył, a od trwogi zbawił Amen...

Tu wzniósł ręce obie ku górze wysoko i, nakrywszy oblicze uśmiechem czystym, padł o ziem modlący się głosem bujnym i roznośnym.

A słowa modlitwy owej przedziwne były i takie:

Pochwalony bądź, Panie, wszelkim utworem Twoim.
A najpierw tym naszym braciszkiem wielmożnym słońcem,
z jegoż mocy jasność dnia wynika,
a cudna w wielkim blaskocie —
Twoim jest, Panie, obrazkiem!

Pochwalony bądź i tym braciszkiem
naszym miesiącem i siostrzycami gwiazdami,
jeżeś ustawił na niebie —
kosztowne, świetliste i piękne!

Pochwalony bądź i tym braciszkiem naszym wiatrem,
a też powietrzem, tak ciemnem jako jasnem,
jako i wszelkiem,
ilkoraz je przysyłasz ludzkiemu stworzeniu Twemu!

Zgubiony w pacierzu zakonnik nie widział i nie słyszał i też świadom nie był, coliby się dziać mogło. A tam to działo się, iż znagła poderwała się z klęczek ksieni ducissa, toż samo rozkazawszy inszym siostrzycom swoim. I spędzone z klęczek precz oddaliła od wysłuchu tej płynącej z poza kraty modlitwy. Z nią razem złaziły rączo po drabince chórowej wzniż, i już tam żadnej nie było.

Modlący u kraty dalej wysławiał:

I też pochwalon bądź, Panie, tą naszą siostrzycą wodą,
abowiem i ona pokorna jest, ważna, czysta i pomocna!
Pochwalon bądź tą naszą siostrą i macierzą ziemią,
onaż bo zachowuje i żywi,
rodzi owoc w ilości i kwiatki barwiste i ziołka!

Pochwalon bądź osobliwek i tą czarną siostrzycą
śmiercią, jejże nie ujdzie niżaden
człek żywiący! Amen.

Skończywszy, powstał, spojrzał — i w niewiedzy dziwił się owej pustej cichości.

A wonczas ozwarły się wierzeje kraty mocno pchnięte od panieńskiej strony i przystanęła w nich ksieni Cunegundis.

I popchnęła go laszczką w pierś, krzycząca:

— Hej, ktoś ty?!

To rzekła twardo i zgłobliwie.

Zakonnik pochylił głową i kapicą.

— Boguchwałem zowią mnie w konwencie.

A ksieni z nim w spór:

— Nie szukaj łży! Wiemci ja, ktoś ty! Tyżeś omyła, tyś znowu ten isty sam, ten sam a w nowotnej postawie!

I wzierała w oczka jego swemi oczyma żadliwie i obiegała go wzrokiem płonącym powszędy.

Boguchwał, nie wiedzący czegoby chciała, stał. Ani hardy, ani pokorny.

A ksieni:

— W imię Pana Krzystusa i Franciszka, ońca naszego, powiadam: cożech ty prawił, ohydo?

Tochto zaśpiewy były, czarnoksięskie hymny, kacerskie blekoty — kwasu w duszyczki naplułeś! W stróżę odejdziesz, w żelaza, otchłanniku!

Więc Boguchwał w spokoju:

— Posłuchu zwólcie mi, siostrzyczko, a powiem.

Słuchała, on zaś prawił cicho:

— Ten tam paciorek mój przeciwek regułce naszej mniejszej być może. Aliści już takie ślubiny moje dziwne są.

Zamknęła mu słowo w okrzyku:

— Jakież zaś ślubiny przeciwek regułce być mogą, jakie?

— Zwolicie mi? opowiem —

a nim zwoliła, rozpoczął:

— ...Jako wiecie i rozumiecie, jam przed ośmiorą niedziel dopirko powrócił jest do swej polskiej krainy. A już to dwa dziesiątki lat i więcej przeminęło, odkolim stąd odeszedł był, by tam u włoskiej braci mniejszej w sztuce pisma uczyć się.

Po tychże leciech dwudziestu, jechaliśmy do dom żaglem, rozpodniosłym w korabiu.

I tam to na tem morzu znagła nas wiatr niemały pochwycił i też zawołał do siebie burze i powichry różne z ciemności nocnej.

Wiatrem ruszone wzdęło się morze spuchnięte.

W okropliwej nawalności toczyły się tam srogie wełny morskie i przewały ryczące. Które swoją mocą wodną szumiały i szumiały powszędy.

Oneż to nasz korab porwawszy, na szkopuły podwodne cisnęły. W tęż to chwilę przepęknął, ukazując miejsce otwarte, przez które woda morska nadbiegała w ilości.

A wtedychmy, ilko nas tam jechało, do różnych opiekunów niebieskich uciekali się. Jedni świętemu Tyburcemu wzdawali się, inszy posyłali prośbę do panny Rustykuli świętej, drudzy do Eufemji i Tomasza angielczyka, ci znów do Anastazji utrapionej mękami, i do Amandusa i do Prokarjusa. Ale widno ci wszyscy mocy nad morzem nie mieli...

Tknięta słowem ksieni słuchała. A Boguchwał:

— ...Ja podczas na powierzchu stanąłem. I pozierałem na zakręty wód, na bałwaniska huczące, przelewające powszędy. A otóż wydało mi się, że z między wełnów owych wynika ku mnie zjawa jakaś. I to była zjawa panny Klary świętej, tem samem okiem na mnie patrząca, jak wtedy żywa w Damjanie...

Tu ksieni znagła przerwie mówiącemu:

— Wyżeście ją widzieli za żywota, w ciele?!

Tę świętą pannę Klarę naszą?

— A widziałem. Koli stareńka już odsyłała duszkę Bogu z cielesnego domku swego, widziałem ją klęczący u podźwierzy wraz z inszą bracią mniejszą.

Gorące różańce wystąpiły na obliczu ksieni, jaskrzawe stanęło oko. Zaparta w tchu ścigała słóweczka mówione. Boguchwał dalej wiódł:

— ...I taką ją tam wśród wełnobicia ujrzałem, cichą, dobruchną, stareńką. Tedy z serca gorącego zaniosłem modły jedne i drugie, ażeby nas wiarowała od tej wodnej śmierci. I wtedy ślubinę uczyniłem pewną: jak skoro ona panna święta, za którąż modliłem przy jej śmiertelnem łóżeczku, wejrzy na nas i potopieńcom wypłynąć z potopu pomoże, wtedy już do żywota swojego przepowiem codzień po dziesięć i więcej razy ów ten ostatni franciszkanów paciorek, słoneczny a cudny paciorek do Boga, jegoż w skonaniu śpiewał Franciszek, na pannę Klarę patrzący. Wyrzekłem. Bałwany dalej łomotały, a wichrowie bieżeli k nam i k nam odwszędy, i już już zła wełna korab nakrywała...

Ducissa ksieni jakoby nie słyszała owej powieści mówionej. Ino jedno jej twardo w myślach stanęło, że ten Boguchwał tem swojem dziwnem obliczem pozierał w otwarte oczy żywej panny Klary. On zasie dalej mówił:

— ...Aliści widzę, jak w czarnem powietrzu wysoko rozmaite światłości maluśkie zabłyskają: jedna, druga i trzecia. I te światłości z powietrza ku korabiowi zstępują. Pirwsza na dzióbek korabia upadła, insza na poślad, trzecia w stek, kędy się woda gromadziła. I ta światłość w otwór przepęknięty weszła i zamknęła go. Otóż i wichry ustały i wełny przepadły, a bałwaniska wsiąkły i siadły na morzu cicho, równiutko. A trzy światłości, idąc przez ciemnię morską, wiodły korab za sobą aż do spokojnej przystani. Przetoż ja tę piosnkę słoneczną w polskie włożyłem słowa i do żywota odprawiam, gdziebych nie zaszedł. To i przewina moja. Już też i ninie ósma przewina taka. Przyzwólcie, siostro, że i dziewiąty raz powiem ją przed wieczorem!...

Poszedł w klęczki i powtarzał:

Pochwalony bądź, Panie, wszelkim utworem Twoim.
A najpierw tym naszym braciszkiem słońcem....

Ksieni Cunegundis osunęła się na kolana modląca, zachwycona bardzo.

List z lasu.

List ten dyktuje mi beztroska nasza
Jodeł i świerków brodatych pogwarem
Szafirem świtu, gdy mroki rozprasza
Obozowiskiem kopic siana szarem
Cudem poranku i cudem wieczoru
I tajemnicą dziewiczego boru.

Piszmy... Atrament? Oto krople rosy,
Zamiast papieru — jest liść ostrężyny
Pióro zaś będzie zacięte z jedliny.
Słów nam pożyczą gadatliwe kosy
Po dowcip niechaj konik polny bieży
A myśli smutne masz u nietoperzy.

Wyrazy same przybiegną z polanki —
Wszakże świerszczyki to są nasze gońce
W każdej literce przeglądnie się słońce
Zapieczętują zaś list macierzanki.
Więc o pisanie bądźmy bez obawy:
Gdy strofy braknie, to drzew pogwar szumny
Swojej nam miary hymnowej użyczy
I barw zawezwie świeżych od murawy
Gdy rymu braknie, to duch tajemniczy
Potoku w jarze, rym szeptem podpowie.
Wszystkim nam, dzięki Bogu, służy zdrowie
Wiewiórki, pliszki i susły grubasy
Dziękczynne niebu zasyłamy modły,
Kiedy ze słońcem całują się jodły,
Kiedy się w blasku pławią pola, lasy,
A znowu smętek serce nam zalewa
Gdy mgła otula szczyty gór i drzewa
Bez trosk człowieczych, bez strapień mozołu
Żyjemy w lesie i z lasem pospołu.
Znamy nowiny wszystkie, wszystkie plotki
Rozpowiadane w naszym leśnym świecie
Stąd, że szeptają o nich ćmy — dewotki?
Nie! My je w swojej czytamy gazecie,
Którą pan kornik przy dobrym humorze
Tłoczy, jak drukarz na świerkowej korze.
Gazeta świetnie jest redagowana
To też każdego przerzucam ją rana,
Dziś jest sensacja: w poziomce malusiej
Rydz się zakochał, ale jej nie skusi
Tedy aż pożółkł z bezmiernej rozpaczy
Oto, co miłość zawiedziona znaczy!

Słychać, że zwykłej do życia ochoty
Nie mają smętne maliny i bledną
Snać anemiczne od przydługiej słoty,
Lecz buki twierdzą, że to wszystko jedno.
Pnie się ku górze drzew grzebień wyniosły,
Maki się płonią na widok motyli,
Grzyby tak rosną, jak i pierwej rosły
Nigdy im modrzew słońca nie przychyli

Las nocy tylko zdradza tajemnice,
Słoneczne stoki kochają rumianki
Biedronka w trawce ma swą powiernicę
Kosodrzewiny słońca są kochanki
(Stąd u jałowca powód do zazdrości) —
To najważniejsze nasze wiadomości.

Jeszczem wyczytał coś w naszej gazecie:
Że gdy wam źle jest w mieście i na świecie,
To przyjeżdżajcie tutaj bracia moi
Bo las jest dobry, las dusze ukoi
Gdy skłonisz głowę, na pastwę zdasz smutkom
W mchach najpyszniejsze odnajdziesz wezgłowie.
Wnet się wychyli poziomka z borówką
By się pochwalić swą słodką jagódką,
Tylko ich nie zgań w poufnej rozmowie,
A ty mi gościa nie pokąsaj, mrówko!
Las wam opowie wszystkie tajemnice:
Gdzie najpiękniejsza dziewanna się złoci,
Gdzie jest mech rzadki, a gdzie naparstnice
I kiedy znaleźć można kwiat paproci
Gdzie kolorowe w potoku kamyki,
Kiedy na spacer rozchodniki chodzą
Gdzie wieczorami włóczą się świetliki
I o czem motyl rozmawia z gogodzą.

Powie ci także, jak płacze jedlina,
Gdy stanie smutna, strzaskana od gromu
I o tem, czego nie zdradza nikomu:
Gdzie czterolistna rośnie koniczyna.

JULJAN TUWIM

(* 13 września 1894 w Łodzi).

Wydał: „Czyhanie na Boga“ Warszawa 1918. „Rewolucja w Niemczech“ 1919. „Sokrates tańczący“ 1920. „Siódma jesień“ 1921. „Balmont i Briusow. Przekłady z liryki rosyjskiej“ 1921. „Poezyj tom czwarty“ 1923. Utwory poetyckie: w „Pro arte et studio“, w „Pro arte“, „Skamandrze“, „Kurjerze Polskim“.

Z „Siódmej jesieni“.

Przyszła ciszą miłosierna ksieni:
Siódma jesień — najzłotsza, najsłodsza
Z wszystkich złotych i słodkich jesieni.

Moja jedna — jedyna — kochana!

Przyszła ciszą — drogą długich cieni,
Naszych cieni od dawnych jesieni,
I wszeptała się w nas, zadumana...

Moja jedna — jedyna — kochana!

Tyś ta sama — o siedem lat młodsza,
Prześwietlona, wypatrzona wzrokiem,
Smętniejącym w życiu z każdym rokiem
I stęsknionym tej świętej jesieni,
Co na zawsze się w dusze wpromieni!...

No i przyszła — najsłodsza, najzłotsza,
Przyszła ciszą — drogą naszych cieni...
Jeno patrzeć — a park się rozszumi,
Moja jedna — jedyna — kochana!

Jeno patrzeć — a lata dziecięce,
Moja jedna — jedyna — kochana,
Zaniemówią w nas szczęściem i trwogą
I wzruszeniem nam głos się przytłumi
I ściśniemy po raz pierwszy ręce,
Co już nigdy się żegnać nie mogą!
I znów, drżeniem z przed laty wzruszeni,
Rozwiośnimy się w pierwszej jesieni,
Moja jedna — jedyna — kochana,
Zawsze tamta i zawsze ta sama,
Z mojej pierwszej i siódmej jesieni!

Ojczyzną moją jest Bóg,
Duch, Syn i Ojciec wszechświata.
Na każdej z moich dróg
Ku Niemu dusza ulata.

Ojczyzną moją jest łan,
Łan Polski, prostej, serdecznej.
Niech mi pozwoli Pan
W nim znaleźć spoczynek wieczny.

Ojczyzną moją jest dom,
Kochany dom rodzicielski,
Przytułek cichym snom
Młodości sielskiej — anielskiej.

Patrzę, strudzony śród dróg,
W oczu twych błękit przeczysty,
I jest w nim wszystko: i Bóg,
I Polska i dom ojczysty.

Z „Sokratesa tańczącego".

Epistoła sentymentalna.

1.

Cieplutko w moim pokoiku,
Milutko, jasno i wesoło,
Chcę Cię obdarzyć najłaskawiej
Sentymentalną epistołą.

Z pod abażuru zielonego
Przyćmionej lampy blask przyświeca,
Samotnie siedzę, gorzki wdowiec,
W miękkim fotelu koło pieca.

Popijam wiśniak, wykradziony
Kochanej matce ze spiżarki,
Piję dostojnie i spokojnie
Ze staromodnej czeskiej czarki.

I palę, palę... Może palę
Mosty za sobą, tonąc w dymie,
Gdy taśmą modrą, z ust puszczoną,
Piszę w powietrzu Twoje imię?

2.

Już mnie znużyły sny o mocy,
Zapałach, szałach, ideałach!
Więc się wyciągam, słodko drzemię
I o niebieskich śnię migdałach.

Śnią mi się psotne faramuszki,
Jakieś koszałki i opałki,
I te bajeczne, niemożliwe
Niebieskie śnią mi się migdałki.

I widzę Ciebie, jak zawzięcie
Mielesz je, tłuczesz, trzesz i drobisz
I pytam w strasznem przerażeniu:
„Najmilsza moja! Co ty robisz?“

A ty mi na to: „Nie przeszkadzaj
I nie zawracaj teraz głowy!
Szykuję na twe zaręczyny
Torcik niebiesko-migdałowy“.

3.

Mam takie dnie sentymentalne,
Gdy w smutku miło mi, jak dziecku,
Czytam Dickensa, Walter Scotta
I czuję się po staroświecku.

I mam przygody nadzwyczajne,
Hece z ucieczką i z romansem
I tajemniczych nieznajomych
I długą podróż dyliżansem.

I widzę Ciebie — w krynolinie,
Jak onych czasów cne niewiasty,
I zapominam, że to przecież
Rok tysiąc dziewięćset szesnasty!

Biegnę na miasto, jak szalony,
Porzucam domu ciepłe kąty!
„Dyliżans! nie!... dorożka! jazda!
Starozamkowa pięćdziesiąty!“

4.

Przypomniał mi się twój pokoik,
Tak dawno, dawno niewidziany:
Pianinko, sofka, etażerka
I obrazeczków pełne ściany.

Śliczne kwiateczki, poduszeczki,
Książeczki (zwykle nierozcięte)
I lustereczka, firaneczki,
Dalekie wszystko, drogie, święte...

I krzesełeczka i stoliczek,
Mały stoliczek z szufladeczką,
Gdzie stos olbrzymi moich listów
Pod różowiutką spał wstążeczką.

...Kiedy podejdziesz do stolika,
Usłyszysz, jak szuflada zcicha
Za stosem listów, strasznych listów
W wielkiej tęsknocie ciężko wzdycha!

5.

Mój Boże! Czyżbym mógł zapomnieć,
Że w złotej klatce masz kanarka?!
(Sam przecież do ciemnego sklepu
Chodziłem z Tobą w deszcz po ziarnka),

U kanárkowej eskulapki
Brałaś gwałtowne konsultacje,
Jako że Maciuś nie chce śpiewać
I wpadł w zupełną rezygnację.

Nie wiem, czy dziś się lepiej czuje
Czcigodny Maciej melancholik,
Lecz sądzę... że powinien wzdychać,
Jak za listami memi stolik.

Macieju, stary przyjacielu,
Jeżeli jesteś uzdrowiony
I *teraz* śpiewasz — to mi wybacz,
Lecz to jest nietakt z twojej strony!

6.

Konacie, smętki żartobliwe
I żarty moje niewesołe...
Po dwóch tuzinach strof — zakończę
Sentymentalną epistołę.

Nie płaczcie, oczy... Ciszej, ciszej...
Skonała radość — rozpacz skona...
Bądź zdrowa, dawna i daleka,
Bądź zdrowa, moja utracona!...

Już wielka senność mnie ogarnia,
Usnę spokojnie, bezboleśnie...
Wiem, że nie będziesz mi się śniła,
Bo już przyjść nie chcesz nawet we śnie.

A jednak do snu mnie utulą
Dłonie dalekie, najłaskawsze...
— — — — — — — — — — —
A zegar cyka: „Nigdy, nigdy“...
A serce bije: „Zawsze, zawsze“...

Dwa wiatry.

Jeden wiatr — w polu wiał,
Drugi wiatr — w sadzie grał:

Cichuteńko, leciuteńko,
Liście pieścił i szeleścił,
Mdlał...

Jeden wiatr — pędziwiatr!
Fiknął kozła, plackiem spadł,
Skoczył, zawiał, zaszybował,
Świdrem w górę zakołował
I przewrócił się i wpadł
Na szumiący senny sad,
Gdzie cichutko i leciutko
Liście pieścił i szeleścił
Drugi wiatr...

Sfrunął śniegiem z wiśni kwiat
Parsknął śmiechem cały sad,
Wziął wiatr brata za kamrata,
Teraz z nim po polu lata,
Gonią obaj chmury, ptaki,
Mkną, wplątują się w wiatraki,
Głupkowate mylą śmigi,
W prawo, w lewo, świst, podrygi,
Dmą płucami ile sił,
Łobuzują, pal je licho!...

A w sadzie cicho, cicho...

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

(* 26. VIII. 1894 w Drohobyczu).

Wydał oddzielnie: „Wiosna i Wino“ 1919. „Wróble na dachu“ 1921 „Wielka niedźwiedzica“ 1923. Drobne poezje w „Pro arte“, „Nowym Przeglądzie literatury i sztuki“, „Skamandrze“ i „Przeglądzie Warszawskim“.

Z „Wiosny i Wina“.

Mapa.

O, podróże palcami odbyte na mapie,
Czarne linje gościńców, czerwone koleje,
Zygzaki rzek, wśród których sen delfiny łapie,
Atlantyk, Kizylirmak, Bombaj, Pireneje.

Na krągłych miast pieczątkach mnóstwo chmur drapaczy,
I wśród zazębień twierdzy ciężka artylerja,
Porty, skąd się paznokciem szlak okrętom znaczy,
I pod aeroplanem znikająca prerja.

Skalp indyjski, daktyle, braci siamskich para,
Australskie marki, tajfun i fok lśniące futra,
Bronzowe Himalaje, pożółkła Sahara,
Kilimandżaro, Honkong, Bosfor, Bramaputra.

O, świecie drukowany, marzeń abecadło!
Twój papier kolorowy wśród kartonów chowa
Głębię cudów bezdenną i tak nieodgadłą,
Jak w globusie zaklęta dusza Kolumbowa.

Tryptyk.

Marysi i Jędrkowi.

1. Dzieci w parku.

Przez długie, proste lipowe aleje
Próżniacze słońce ciepłem złotem świeci.
Jest miło. Sennie różami wiatr chwieje,
W dali się bawi dwoje białych dzieci.

Próżniacze słońce ciepłem złotem świeci,
Esy floresy kreśląc w ścieżek żwirze,
W dali się bawi dwoje białych dzieci:
Dwie jasne plamy w powietrza szafirze.

Esy floresy kreśląc w ścieżek żwirze,
Słońce wciąż liczy drobne ziarnka piasku;
Dwie jasne plamy w powietrza szafirze:
Dwa białe życia w opiekuńczym blasku.

2. Dzieci w makach.

W czerwonych makach chodzą dzieci białe;
Kręcone włosy po kwiatach się wloką,
Jak pajęczyna, na nich lśnią rozchwiałe,
Oblane słońcem stojącem wysoko.

Kręcone włosy po kwiatach się wloką,
Ni to motyle, drgają kapelusze;
Oblane słońcem stojącem wysoko
Wśród maków chodzą dwie maleńkie dusze.

Ni to motyle, drgają kapelusze,
Drga blask i wszystko jest bajką błękitną...
Wśród maków chodzą dwie maleńkie dusze
I, zda się, z niemi pocichutku kwitną.

3. Dzieci się kąpią.

Dzieci się kąpią! O, wodo i słońce!
Srebrzyste pluski i swawolne skoki,
Dołem jaskółki a w górze skowrońce,
Na żywej rzece dwa żywe obłoki!

Srebrzyste pluski i swawolne skoki!
Śmiechem, jak pianą, operla się dusza;
Na żywej rzece dwa żywe obłoki,
Woda je kąpie a słońce osusza.

Śmiechem, jak pianą, operla się dusza,
Młodemu szczęściu nic więcej nie trzeba,
Woda je kąpie a słońce osusza
Pocałunkami i ziemi i nieba.

JAN LECHOŃ

(Leszek Serafinowicz)

(* 1899).

Wydał: „Karmazynowy poemat“ 1920. „Rzeczpospolita Babińska“ 1921. (bezimiennie: „Królewsko polski kabaret 1917—1918“.) W teatrze w Pomarańczarni wystawiono w r. 1916 jego nokturn pt. „W pałacu królewskim“. Drobne utwory w „Pro arte et studio“, „Pro arte“, „Skamandrze“, „Narodzie“, „Dzienniku Powszechnym“, „Kurjerze Porannym“.

Z „Karmazynowego poematu“.

Mochnacki.

Mochnacki jak trup blady siadł przy klawikordzie
I zwolna jął próbować akord po akordzie.
Już ściany pełnej sali w żółtym toną blasku,
A tam w kącie kirasjer w wyzłacanym kasku,
A tu bliżej woń perfum, dam strojonych sznury,
A wyżej, na galerji — milcz serce — mundury!
Tylko jeden krok mały od sali go dzieli,
Krok jeden przez wgłębienie dla miejskiej kapeli, —
On wie, że okop hardy w tej przepaści rośnie,
Więc skrył się za okopem i zagra o wiośnie.

Rozpędził blade palce świergotem w wiolinie,
I mały smutny strumień z pod ręki mu płynie.
Raz wraz rosa po białej pryska klawjaturze,
I raz po raz w wiolinie kwitną polne róże.
Rosną. Większe, smutniejsze, pełniejsze czerwienią,
Coraz niżej i niżej, uschną, w bas się zmienią!

Nie. Równo, równo rosną w jakiś smutny taniec,
Rozdrganą klawjaturę przebłagał wygnaniec,
I nagle się rozpłakał po klawiszach sztajer,
Aż poszedł szmer po sali, sali Biedermayer.

Głupio, sennie, bezmyślnie kręci się i kręci,
Jakieś myśli chce straszne wyrzucić z pamięci,
Do piersi jakąś białą przytulił pierś drżącą
I czuje tuż przy piersi nieznośne gorąco,
I tysiąc świateł w oczach, w czyjejś twarzy dołki,
I zapach... białej sukni, ubranej w fijołki.

Nagle złoty kirasjer poruszył się w kącie.
Sto myśli jak kanonier stanęło przy loncie,
Stu spojrzeń obcej sali przeszyły go miecze,
Wstyd idzie ku estradzie — czuje, jak go piecze.
Więc do basu ucieka i tępo weń tłucze.
Po tym tańcu szalonym niech ręce przepłócze,
Z tych czerwonych, duszących róż otrząsa płatki,
Rozsypuje po sali w tysiączne zagadki,
W sto znaków zapytania, sto szmerów niechęci,
Nie pyta. Już jest w basie. Już tam się wyświęci.
Raz, dwa, trzy, cztery — wali. Niechaj mu otworzą,
Niechaj wyjdą z chorągwią, wyjdą z Matką Bożą,
Niech mu końskie kopyta przelecą po twarzy,
I niechaj go postawią gdziekolwiek na straży:
Na ulicy stać będzie z karabinem w dłoni...
...Słyszy sala: ktoś idzie, ostrogami dzwoni — — —

Ostrogą spiął melodję, a akompanjament
Szaleje, krzyczy w basie, rośnie w straszny zamęt —
Ku sali bagnetami już mierzy, już blisko —
I ton jeden uparcie wybija — nazwisko!!!
Wciąż czyste, w rozszalałe wplątuje się głosy
I wali, wali w basie murem Saragossy,
Oszalałych Hiszpanów wyciem, darciem, jękiem,
I znów wraca ku górze załzawionym dźwiękiem —
W mazurze — nie — w mazurku idą wszystkie pary,
By całą klawjaturę owinąć w sztandary.

Zatrzymali się wszyscy w srebrzystych kontuszach,
A klawikord im ducha rozpłomienia w duszach,
I wzdłuż długich szeregów przewija pas lity,
Tysiąc głów podgolonych podnosi w błękity,
I wszystkie karabele jedną ujął dłonią,
I uderzył w instrument tą piekielną bronią,
Aż struna się ugięła tą w górze, płaczliwa,
I cisza jest w wiolinie. Cisza przeraźliwa.
Po martwej, głupiej strunie, po fijołków woni,
Po czyichś smutnych oczach, jakiejś białej dłoni,
Jakichś światłach po nocy i szeptach w komorze,
Po księżycu, po gwiazdach! Mój Boże! Mój Boże!
Gdzieś się gubi i zwija, przeciera pas lity,
Po księżycu, po gwiazdach, po Rzeczpospolitej.
Po sali idzie cisza przeraźliwa, blada,
I obok tęgich boszów w pierwszym rzędzie siada.
Wzrok wlepia martwy, ślepy w jakiś punkt na ścianie
I patrzy w Mochnackiego, kiedy grać przestanie.

— — — — — — — — — — — — — —

A on, blady jak ściana, plącze, zrywa tony
I kolor z pod klawiszy wypruwa — czerwony,
Aż wreszcie wstał i z hukiem rzucił czarne wieko
I spojrzał — taką straszną, otwartą powieką.
Aż spazm ryknął, strach podły, i z miejsc się porwali:
„Citoyens! Uciekać! Krew pachnie w tej sali!!!“

(W r. 1832 Maurycy Mochnacki koncertował w Metzu).

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

(* 20 lutego 1894 w Kijowszczyźnie).

Wydał oddzielnie: „Oktostychy“ 1919. „Legendy i Demeter“ 1921. „Dionizje“ 1922. „Hilary, syn buchaltera“ 1923.

Z Dionizyj.

Utęskniony pociąg.

Czasami go ujrzycie gdzieś na horyzoncie,
Jak pełznie cichy, siny, między wierzb szeregi,
W jakimś stepowym albo falującym kącie
Ziemi naszej, tęsknotą pełnej aż po brzegi.

Czasami zadziwiony wjeżdża w swej podróży
Jakimś sinym wieczorem, o cichej godzinie,
Między dwa wały kwiatów o kolorach róży
I w tym kwietnym peronie aż do pasa ginie.

I długo w ogrodowym zmierzchu marząc stoi,
Słucha, jak nocne kwiaty miesiąc bodzie rogiem,
Aż czasem pszczół złocistość rankiem się wyroi
I widzi, jak milcząco rachuje swe drogi.

Czasem zdarzy się taki zachód rozpalony,
Kiedy nieba połowa kraśna jest, pół żółta,
Z jękiem szarych buforów pociąg utęskniony
Wjeżdża między latarnie, semafory, kółka,

Co się aleją czarną jak drzewa gromadzą,
I z zardzewiałym jękiem wózki węgla wznoszą,
I wznosząc czarne ręce jak skielety radzą,
I o przedrannq ciszę modlitewnie proszą.

A czasem rozpęd wziąwszy największy w południe,
Między dwie białe ręce olbrzymicy wjeżdża,
Aby w jej rudych włosów pogmatwanej studni
Spocząć, gdzie słodki marmur z winem się zagnieżdża.

Lecz próżną go namową pieszczą ciche rampy
I w nocy lub nad ranem drobną chłodzą rosą,
Napróżno go atłasem otulają lampy,
A ranki oplątują zorzą przetowłosą.

— Zapalił błędny pociąg na nowo latarnie
I czerwonością parzy łąkę fioletową,
I cichym głosem rampie, co się szaro garnie,
Niby umarła fala, takie szepce słowo:

„Ciebie kwiatów przystani. Odjeżdżam bez szmeru,
Jakby wszystko się we mnie stało próżnią gumy,
Wylej mi moją drogę z objęcia szpaleru,
I nie łechtaj mej dziwnej łańcuchowej dumy.

Jedna jest dla mnie przystań. Wzniesiona nad ziemię,
Jak wielkie tuberculum, kolumnada świata,
Na której złota chmura spoczywa i drzemie,
A nad chmurą On, jasny jak tęcza, polata.

Nie wstrzymają mię inni, choć pełni są ciszy.
— On może wabi ku sobie. Nie będę już próżny,
Wśród jarzmowych lasów, których nikt nie słyszy,
Wejdzie we mnie ostatni, jedyny Podróżny".

SPIS TREŚCI.

	Str.
Przedmowa wydawcy	V
Bandrowski-Kaden Juljusz	
— Druciarz	332
Berent Wacław	381
— Z „Żywych kamieni“	386
Brzozowski Stanisław	
— O St. Żeromskim	301
Chlebowski Bronisław	
— Charakterystyka B. Prusa	19
Chmielowski Piotr	
— Charakterystyka Al. Świętochowskiego	86
Choynowski Piotr	
— Z „Pokusy“	431
— Z „Kuźni“	436
Chrzanowski Ign.: Charakterystyka Sienkiewicza	1
Daniłowski Gustaw:	
— Z bezsennej nocy	323
— Dzwonek	325
— Z minionych dni	326
Dąbrowski Ignacy	
— Ze „Śmierci“	167
Dębicki Zdzisław	
— Na Grobie Shelley'a	140
— Garibaldi	141
Dygasiński Adolf	63
— Z „Godów Życia“	65
Faleński Felicjan	73
— Z „Harmonij jesiennych“	77
— Z „Meandrów“	81
— Opiekun domowy	83
— Tam — Tam!	85

	Str
Feldman Wilhelm:	
— Młoda Polska	186
Głowacki Aleksander (Prus Bolesław)	19
— Z „Faraona“	36
— Z legend dawnego Egiptu	42
Gomulicki Wiktor	
— Wspólne czucie	127
— Mieszczka	128
— Częstochowska	130
— Wasz cel	131
Gostomski Walery	
— O „Hymnach“ J. Kasprowicza	230
Grabowski Tadeusz:	
— O F. Faleńskim	73
Iwaszkiewicz Jarosław	
— Utęskniony pociąg	477
Jabłonowski Władysław	
— O J. Weyssenhoffie	367
Kallenbach Józef: O Marji Konopnickiej (w skróceniu)	99
Kasprowicz Jan	227
— Z „Mojej Pieśni wieczornej“	232
— My — przeżyci?	238
— Życia ogromne morze grzmi przede mną	239
— Tęsknię ku tobie o szumiący lesie!	242
— Sierotka	244
Kisielewski Jan August: O „Chłopach“ W. St. Reymonta	348

Str.

Konopnicka Marja . . 99
— Zawsze leciałam 110
— Angelus 110
— Z „Pana Balcera“ 113
— Kujawiak 113
— Pole Grochowskie 115
— Wojciech Zapała 116
Lange Antoni 152
— Rym 154
— Z „Kołysanki“ 158
Lechoń Jan (Serafinowicz Leszek):
— Mochnacki 474
Lemański Jan 290
— Mysz okrętowa 296
— Gęś tuczona 297
— Pies i wieprz 298
Ligocki Edward:
— Idziemy nad polskie morze 445
— Dwa pokolenia 446
Lorentowicz Jan: O Miriamie (w skróceniu) . . . 159
Makuszyński Kornel:
— Hymn do polskiej szabli . 415
— Serce polskie 419
— Bonaparte na balu w Warszawie 423
— Z ballady o św. Jerzym . . 425
Małaczewski Eugenjusz
— Czyn 452
— Śmierć Baśki Murmańskiej . 453
Matuszewski Ignacy:
— O Żeromskim 304
— Prus i Sienkiewicz (paralela) 26
Mazanowski Antoni:
— W. Sieroszewski (fragment z „Młodej Polski“) . . . 390
Miciński Tadeusz
— Msza żałobna 246
— Już świt 247
Miriam obacz Przesmycki Zenon
Niemojewski Andrzej:
— Róża 142
— Z pod pyłu wieków (Dajmonium) 143

Str.

Nowaczyński Adolf:
— Z „Wielkiego Fryderyka“ . 277
Oppman Artur (Or-Ot):
— Zbudzeni 133
— Duma o Sułkowskim . . . 135
Orkan Władysław:
— Przygrywka 401
— W Roztokach (fragment) . 402
— Z „Pogrzebu“ 406
Orzeszkowa Eliza . . 49
— Z „Nad Niemnem“ 53
Porębowicz Edward:
— „Żywe kamienie“ W. Berenta 381
Potocki Antoni: A. Lange (w skróceniu) 152
Prus Bolesław obacz Głowacki Aleksander.
Przesmycki Zenon (Miriam) 159
— Hymn do poezji 162
— Przyjaciołom 164
— Odrodzenie bajki (o J. Lemańskim) 290
Przybyszewski Stanisław 197
— Z „Nad morzem“ 201
— Z „Szopen a Naród“ . . . 203
Reymont Wł. St. 348
— Z „Chłopów“ 353
— Z „Insurekcji“ 357
Rydel Lucjan
— Dotąd widzę 262
— Z „Ostatniego z Jagiellonów“ 263
Serafinowicz Leszek obacz Lechoń Jan.
Siedlecki Grzymała Adam: O Reymoncie (w skróceniu) 351
— O Wyspiańskim 206
Sienkiewicz Henryk . 1
— Z „Ogniem i mieczem“ . . 5
— Z „Quo vadis“ 11
Sieroszewski Wacław 390
— Z „Risztau“ 394
— Z „Puszczy-Białowieskiej“ . 396
Sinko Tadeusz: Z „Antyku St. Wyspiańskiego“ . . 212

Str.

Słoński Edward:
— O zmroku 410
— O Świcie 411
— Z „Pieśni nad pieśniami“ . 412
— Ta, co nie zginęła 412
— Dziś, gdy się sen nasz ziścił 413
Smreczyński Wł. obacz Orkan W.
Staff Leopold 250
— Dzieciństwo 255
— Piosnka ulicznika 256
— Wróbel 256
— Z „Hymnu do barw“ . . . 257
— Wierzba 258
— Ciąg żórawi 259
— Zwycięzca 260
— Życie bez zdarzeń 260
Strug Andrzej (Gałecki Tadeusz):
— Z „Dziejów jednego pocisku“ 338
— Z „Mogiły nieznanego żołnierza“ 341
Świętochowski Aleksander 86
— Z. „Aspazji“ 90
— Lew kamienny 95
Tarnowski Stanisław: Eliza Orzeszkowa 49
Tetmajer Kazimierz . 171
— Satyr 175
— Światło 176
— Wizja błędnego okrętu . . 178
— Widziadła okrętów 180
— Zmartwychwstały 180
— „Na Skalnem Podhalu“ (Gazda halny) 182
Tuwim Juljan
— Z „Siódmej jesieni“ . . . 465
— Epistoła sentymentalna . . 466

Str.

Tuwim Juljan
— Dwa wiatry 469
Wasilewski Zygmunt:
— J. Kasprowicz (w skróceniu) 227
— Charakterystyka A. Dygasińskiego 63
Wasylewski Stanisław:
— Ducissa Cunegundis . . . 457
— List z lasu 462
Weyssenhoff Józef . . 367
— Ze „Sprawy Dołęgi“ . . . 372
— Z „Unji“ 376
— Z „Sobola i panny“ . . . 378
Wierzyński Kazimierz:
— Mapa 471
— Dzieci w parku 472
— Dzieci w makach 472
— Dzieci się kąpią 472
Wyspiański Stanisław 206
— Z „Warszawianki“ 214
— Z „Wesela“ 216
— Z „Kazimierza Wielkiego“ . 223
Zaleski Z. L.: Leopold Staff 250
Zdziechowski Marjan:
— O K. Tetmajerze 171
Żeromski Stefan . . . 301
— Z „Popiołów“ 312
— Z „Dumy o hetmanie“ . . 316
— „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie“ 319
Żuławski Jerzy:
— Stanisław Przybyszewski . 197
— Za chlebem 283
— Do świerka 283
— Pytam ciągle 284
— Przy rozstaniu 284
— Testament 285
— Z „Na srebrnym globie“ . . 286
Spis treści 479